

Brian Freeman

TWARZE ZŁA

NA CELOWNIKU



*Rozpala zmysły,
by za moment
zmrozić krew w żyłach*

Świat Książki

Brian
Freeman

TWARZE
ZŁA

Z angielskiego przełożyła Marta Klimek-
Lewandowska

Świat Książki

*Jeśli komuś umrze z druhów ktoś,
Najprzykrzejszą rzeczą zda się
Myśleć, jak było z nimi wraz
O takim a takim czasie*
Emily Dickinson
(przeł. Kazimiera Iłakowiczówna)

PROLOG

Ciemność w lasach północy jest inna niż ciemność w mieście. Zapomniał o tym.

Dziewczyna była prawie niewidoczna - jak duch na nocnym niebie - ale wiedział, że tu jest, tuż obok niego. Mocno ścisnął jej ciepły nadgarstek. Oddychała lekko i równomiernie; była spokojna. Tak dobrze mu znana woń jej perfum znów napełniła jego nozdrza trwałym, niezwykłym tchnieniem wiosennych kwiatów. Bez, pomyślał. I hiacynt. Wspomniał, jak same te perfumy wprawiały go w podniecenie. Tęsknił za jej zapachem i za jej ciałem. A teraz znów były z nim - jedno i drugie.

Pięść grozy zacisnęła się na jego wnętrznościach. Ogarnęła go fala nienawiści do siebie. Nie wiedział, czy starczy mu odwagi, by wykonać następny krok. Wyobrażał sobie tę noc, czekając, planując, pragnąc. Ta dziewczyna stała się jego częścią - do tego stopnia, że gdy spoglądał w lustro, widział ją za swoimi plecami, jak czarnego kruką, który przysiadł mu na ramieniu. Ale po tak długim czekaniu teraz, u progu zawahał się.

To ostatnia partia, pomyślał.

- Dalej, miejmy to za sobą - syknęła.

Jej głos zdradzał irytację i zniecierpliwienie. Nawet cień dezaprobaty z jej strony wprawiał go we wściekłość. Ale miała rację - zawsze była o krok przed nim. Za długo już byli na dworze, na tym przenikliwym zimnie. Szopa była magnesem dla kochanków. Ktoś może ich zaskoczyć i wszystko obróci się w ruinę.

Czuł na sobie wilczy wzrok. Byli sami, a mimo to miał wrażenie, że za białymi jak szkielety pniami brzoź kryją się obcy, że go śledzą. Odetchnął głęboko, próbując zapanować nad lękiem. Nie mógł już zwlekać.

Zanurzył lewą rękę w kieszeni płaszcza. Jego palce pieszczotliwie dotknęły ostrza. Już czas.

Czekał na nią na najciemniejszym odcinku ulicy, tam gdzie nie ma innego przejścia. Zimne grudki deszczu ze śniegiem, które wiatr gnał niemal poziomo, zasypywały samochód, gromadząc się na przedniej szybie. Zadrżał, ciaśniej owinał się płaszczem i w napięciu wpatrywał się w lusterka.

Przyjechał za wcześnie, o wiele wcześniej niż dyktował rozsądek. Na szczęście w okolicy było pusto. Zegarek pokazywał dziesiątą. Już niedługo.

Ale minuty mijały rozpaczliwie powoli. Zwijął się w męce. Miał uczucie, że jelita przemieniły mu się w wodę. W jednej straszliwej chwili uświadomił sobie, że ona może nie przyjść. Całe to wyczekiwanie, całe poświęcenie pójdzie na marne. Mimo

panującego w samochodzie zimna oblał się potem. Zagryzł wargę. Im dłużej tak siedział, odliczając w myślach sekundy, tym większy narastał w nim lęk. Czy przyjdzie?

Nagle zjawiała się, jakby znikąd, jak duch w bladym świetle ulicznej lampy. Jej uroda zaparła mu dech. Tętno przyśpieszyło, a na lepkiej warstewce pod pachami i na karku zgromadziło się jeszcze więcej potu. W ustach nie miał ani kropli śliny. Gdy się przybliżała, spijał oczami jej obraz. Pełne czerwone usta, czarne włosy mokrymi pasmami opadające na ramiona. Zimno zaróżowiło jej policzki, ale nie na tyle, by ocieplić alabaster skóry. Pod lewym uchem kołysał się jeden złoty kolczyk w kształcie koła, a na prawym nadgarstku zwisała swobodnie złota bransoletka. Była wysoka, szła długimi, śpiesznymi krokami. Miała na sobie biały golf. Wilgotna dzianina przylegała do smukłego torsu. Czarne dżinsy ciasno opinały biodra i nogi.

Próbował sobie wyobrazić, jak to jest - mieć taką moc i taką pewność siebie. Niemal miał wrażenie, że znalazł się w jej skórze, że czuje jej ciałem - smak kropli deszczu na ustach, śpiew i kąsanie wiatru w uszach i lubieżne, skoncentrowane doznanie między nogami.

Jej wzrok go odnalazł. Wiedział, że nie może go dostrzec we wnętrzu samochodu, ale i tak czuł na sobie jej spojrzenie. Znał te oczy, w których pragnął zatonać, głębokie i zielone niczym morska piana. Szła prosto na niego.

Wiedział, co ma robić - siedzieć w samochodzie, czekać, aż przyjdzie. Ale nie mógł już znieść bólu w sercu. Jego oczy omiotły ulicę, sprawdzając, czy są bezpieczni. Potem otworzył drzwi samochodu i zawołał głosem tylko odrobinę mocniejszym od szeptu.

- Rachel!

Teraz, wiele kilometrów stamtąd, biegła. Uciekała. Wyciągnął rękę, próbując ją pochwycić. Złapał w garść jej golf, ale uwolniła się, uderzając go w dłoń. Sięgnął po jej nadgarstek, ale palce w rękawiczce zamiast na ciele zamknęły się na bransoletce. Gdy się szarpnęła, bransoletka spadła, a ona pomknęła w wysokie zarośla.

Biegł za nią, zaledwie dwa kroki z tyłu. Ale Rachel była lotna i pełna wdzięku jak gazela. A on czuł się niezdarny, skrępowany wielkimi butami, lepkim błotem i zielskiem. Dystans między nimi powiększał się. Zawołał ją, błagając, żeby się zatrzymała, i widocznie usłyszała. A może tylko potknęła się na nierównym gruncie. Na ślepo wyrzucił ręce przed siebie i natrafił na coś delikatnego. Jej ramię. Chwycił je mocno i szarpnął ją ku sobie. Ich ciała się zderzyły. Ścisnął ją z całych sił, wijącą się w jego ramionach, z falującą piersią. Wdychał słodką woń jej oddechu. Nie odezwała się ani słowem.

Prawą stopę zahaczył o jej piętę, blokując jej ruchy, i przycisnął się do niej biodrami. Chwycił ją za golf. Ścisnął mocno w garści jego fałdy. Podniósł drugą pięść, uzbrojoną w nóż. Koniuszkiem ostrza ciał miękki jak masło materiał, który rozrywając się, wydawał cichy dźwięk. Ciał jeszcze raz. I jeszcze... na strzępy. Opuszkami palców musnął jej skórę, wyczuł obrzmienie piersi wznoszących się i opadających, wznoszących się i opadających, jak kolejka górską.

Przyłożył czubek ostrza do miejsca, gdzie, w głębi, powinno być serce. Jeśli ona istotnie ma serce. Walczyła, nie przerywając gry. Gry w umieranie. Wiedział, że ona chce, aby to zrobił. Przypomniawszy sobie, że tu nie chodzi o niego, nigdy nie chodziło o niego. Chodzi tylko o Rachel.

Pchnął. W końcu wyrwało jej się westchnienie. Po ostrzu noża spłynęło coś mokrego. To wszystko, byli wolni.

CZEŚĆ PIERWSZA

1.

Jonathan Stride, skąpany w białej poświacie reflektorów oświetlających most, czuł się jak duch.

Pod mostem wielkie brązowe błotniste fale wlewały się do kanału, bluzgały na betonowe filary, a bryzgi wchłaniały z powrotem dwumetrowej głębokości leje. Woda burzyła się i przewalała sama o siebie, wciskając się z rozszalałego jeziora do spokojnego portu. Na końcu mola, tam gdzie statki przechodzą przez kanał, delikatnie jak nitka przez ucho igielne, dwie bliźniacze latarnie morskie wysyłały obracające się wiązki czerwonego i zielonego światła.

Most sprawiał wrażenie żywej istoty. Gdy wjeżdżały nań rozpędzone samochody, powietrze wypełniał jękliwy dźwięk, przypominający buczenie szerszeni. Chodnik wibrował, drżał pod jego stopami. Stride spojrział w górę, tak jak przypuszczał, że zrobiłaby to Rachel, na strzeliste stalowe ostrza skrzyżowane nad jego głową. Od ledwo zauważalnego kołysania kręciło mu się w głowie.

Robił to co zawsze - starał się wczuć w psychikę ofiary, zobaczyć świat jej oczami. Rachel była na tym moście w piątek wieczorem, sama. Potem - nie wiadomo.

Stride przeniósł uwagę na dwoje towarzyszących mu nastolatków, przytupujących niecierpliwie, żeby się rozgrzać.

- Gdzie była, kiedy widzieliście ją po raz ostatni?

Chłopak, Kevin, wyciągnął z kieszeni mięsistą rękę. Na jego środkowym palcu pysznił się ogromny onyksowy pierścień - emblemat liceum. Poklepał mokrą stalową poręcz.

- Dokładnie tutaj, panie poruczniku. Balansowała na poręczy. Z rozpostartymi ramionami. Jak Chrystus. - Zamknął oczy, podniósł twarz ku niebu i rozłożył ręce otwartymi dłońmi do przodu. - O tak.

Stride zmarszczył brwi. Był ponury październikowy wieczór, wiał porywisty wiatr, a niebo siekło deszczem ze śniegiem niczym kulami karabinowymi. Nie wyobrażał sobie, żeby ktoś zdołał wspiąć się na tę poręcz i nie spaść. Kevin zdawał się czytać w jego myślach.

- Ona była naprawdę bardzo zwinna. Jak tancerka.

Stride wyjrzał za barierkę. Wąski kanał był dość głęboki, by mogły się przezeń przedostać wielkie frachtowce o brzuchach wypchanych rudą żelaza. Jego podstępny prąd podpowierzchniowy mógł bez trudu wessać ciało i już nie wypuścić.

- Co ona tam, u diabła, robiła?

Dziewczyna, Sally, przemówiła po raz pierwszy, tonem opryskliwym.

- Popisywała się, jak zawsze. Chciała zwrócić na siebie uwagę.

Kevin otworzył usta, wyraźnie chcąc się sprzeciwić, ale zaraz je zamknął. Stride odniósł wrażenie, że to ich stały temat kłótni. Zauważył, że Sally otoczyła Kevina ramieniem, a mówiąc, przytuliła go nieco mocniej.

- I co wtedy zrobiliście? - spytał Stride.

- Wbiegłem na most - powiedział Kevin. - Pomogłem jej zejść.

Stride obserwował jak usta Sally skrzywiły się żałośnie, gdy chłopak opisywał swoją misję ratunkową.

- Opowiedz mi o Rachel - zwrócił się do Kevina.

- Znamy się od dzieciństwa. Byliśmy sąsiadami. Potem jej mama wyszła za pana Stonera i przeprowadzili się.

- Jak wyglądała?

- Była... hmm... ładna - powiedział nerwowo Kevin, rzucając Sally ukradkowe spojrzenie.

Sally przewróciła oczami.

- Była piękna, jasne? Długie czarne włosy. Smukła, wysoka. Wszystko w pakiecie. A większej dziwki ze świecą by się nie znalazło.

- Sally! - zaprotestował Kevin.

- To prawda, i dobrze o tym wiesz. Po tym, co było w ten piątek? Dobrze wiesz.

Sally odwróciła się od Kevina, choć nie wypuściła go z uścisku. Stride zauważył, że jej szczęki nabrały zaciętego wyrazu, a usta były gniewnie zaciśnięte. Miała okrągłą twarz i rozwichrzoną grzywę kasztanowatych loków spadających na ramiona i przysłaniających zarumienione policzki. W niebieskich dżinsach i czerwonej parce wyglądała ładnie i młodzieńczo. Ale nikt nie określiłby jej jako piękną. Nie była oszalamiająca. Nie to co Rachel.

- Co się stało w ten piątek? - spytał Stride.

Wiedział tylko to, co Kinnick, zastępca szefa policji, powiedział mu dwie godziny temu przez telefon: Rachel od piątku nie wróciła do domu. Zaginęła. Zniknęła. Zupełnie jak Kerry.

- No więc ona tak jakby mnie prowokowała - wyznał niechętnie Kevin.

- Na moich oczach! - warknęła Sally. - Przeklęta dziwka.

Brwi Kevina uniosły się jak ramię dźwigu.

- Przestań, nie mów tak o niej.

Stride podniósł dłoń, chcąc uciąć sprzeczkę. Zapуścił dłoń pod wytartą skórzaną kurtkę i wyciągnął przechowywaną w kieszeni flanelowej koszuli paczkę papierosów. Przyjrzał jej się ze znużonym niesmakiem, a potem zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Kłęb dymu wypełził mu z ust i obłoczkiem przysłonił twarz. Poczul, jak jego płuca się kurczą. Rzucił resztę paczki do kanału. Czerwone pudełko zawirowało jak kropla krwi, a potem zostało wciągnięte pod most.

- Dość tego i powiedział. - Kevin, bądź grzecznym chłopcem i opowiedz mi wszystko, dobrze?

Kevin potarł głowę dłonią, aż jego blond włosy stanęły dęba niczym nagie drzewa w zimie. Wyprostował ramiona, szerokie i muskularne. Ramiona futbolisty.

- Rachel zadzwoniła do mnie na komórkę w piątek wieczór i zaproponowała, żebyśmy połączyli z nią po parku nad kanałem - powiedział. - Było chyba w pół do dziewiątej. Parszywa pogoda, w parku pustki. Gdy zauważyliśmy Rachel, była już na tej barierce. Więc pobiegliśmy na most, żeby ją ściągnąć.

- A potem?

- Poszliśmy we trójkę na plażę. Rozmawialiśmy o szkole.

- Rachel to lizus - wtrąciła Sally. - Na psychologii - zasypuje nauczyciela swoimi teoriami na temat patologicznych rodzin. Na angielskim - wiersze nauczyciela są takie wspaniałe. Na matematyce - pomaga sprawdzać zadania po lekcjach.

Stride uciszył dziewczynę kamiennym spojrzeniem. Sally nadęła się i buntowniczym gestem odrzuciła włosy. Stride skinął Kevinowi głową na znak, że ma kontynuować.

- Potem usłyszeliśmy syrenę okrętową. Rachel powiedziała, że chce zjechać z mostu, kiedy będzie się podnosił.

- To zabronione.

- Tak, ale Rachel zna strażnika. Jej tata się z nim kolegował.

- Jej tata. To znaczy Graeme Stoner?

Kevin pokręcił głową.

- Nie, jej prawdziwy tata. Tommy.

Stride kiwnął głową.

- No dobrze, dalej.

- Więc wróciliśmy na most, ale Sally nie chciała tego robić. Poszła w stronę miasta. A ja znowu nie chciałem, by Rachel była sama, więc zostałem. I właśnie wtedy... tam... no więc... tam zaczęła się do mnie dobierać;

- Dla niej to była zabawa - powiedziała ostro Sally.

Kevin wzruszył ramionami. Stride zauważył, że rozluźnił sobie kołnierzyk pod szyją, a potem pochwycił jego spojrzenie. Było jasne, że chłopak nie zamierza się przyznać, co właściwie zdarzyło się na tym moście, ale samo wspomnienie jednocześnie zawstydzia go i podnieca.

- Nie byliśmy tam długo - powiedział. - Może z dziesięć minut. Kiedy znaleźliśmy się na dole, Sally... Jej już...

- Ja już poszłam - wyjaśniła Sally. - Wróciłam do domu.

- Bardzo cię przepraszam, Sal - wyjąkał Kevin.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po włosach, ale się uchyliła.

Zanim Stride zdążył położyć kres kolejnej sprzeczce, usłyszał jak jego telefon zabulgotał polifoniczną wersją *Chattahoochee* Alana Jacksona. Wyciągnął go z kieszeni. Poznał numer Maggie Bei. Odebrał.

- Tak, Mags?

- Złe wieści, szefie. Media już wiedzą. Osaczają nas ze wszystkich stron.

- Cholera - warknął Stride. Oddalił się na kilka metrów od nastolatków. Nie uszło jego uwadze, że gdy tylko Sally znalazła się poza zasięgiem jego uszu, z miejsca zaczęła znowu syczeć na Kevina. - Czy wśród innych szakali jest także Bird?

- Ależ oczywiście. Na czele.

- No to, na miłość boską, nie rozmawiaj z nim. Nie dopuszczaj żadnych dziennikarzy do Stonerów.

- Nie ma problemu, teren jest ogrodzony.

- Jeszcze jakieś dobre nowiny?

- Rozgrywają to jako powtórkę z rozrywki. Najpierw Kerry, teraz Rachel.

- To było do przewidzenia. Cóż, mnie się też nie podoba to deja vu. Słuchaj, będę za dwadzieścia minut, dobra?

Stride wyłączył telefon. Był zniescierpliwiony. Sprawa zaczynała przybierać obrót, który bynajmniej mu nie odpowiadał. Fakt, że wiadomość o zaginięciu Rachel przedostała się do mediów, zmieniał charakter śledztwa. Owszem, potrzebował gazet i telewizji, żeby pokazać twarz dziewczyny społeczeństwu, ale chciał panować nad sytuacją, nie zaś żeby sytuacja zapanowała nad nim. A kiedy Bird Finch zadaje pytania, panowanie nad sytuacją staje się niemożliwe.

- No i co dalej - przynaglił Kevina.

- Dalej to już niewiele - odparł Kevin. - Rachel powiedziała, że jest zmęczona i chce iść do domu. Więc odprowadziłem ją do Pijawki.

- Gdzie?

- Aha, przepraszam. Do samochodu. Jej volkswagena garbusa. Nazwała go Pijawką.

- Czemu?

Twarz Kevina pozostała nieruchoma.

- Chyba dlatego, że jest krwistoczerwony.

- No dobrze. Widziałeś, jak odjeżdża?

- Tak.

- Sama?

- Na pewno.
- I wyraźnie oświadczyła, że wraca do domu?
- Tak powiedziała.
- Mogła kłamać? Mogła być jeszcze z kimś umówiona?

Sally zaśmiała się bezlitośnie.

- Jasne, że mogła. I pewnie tak było.

Stride znowu zwrócił na nią ciemne oczy. Opuściła powieki i wpatrzyła się w czubki swoich butów. Bujne loki spadały jej na czoło.

- Wiesz, co sobie myślę, Sally? - spytał. - Że może to ty spotkałaś się z Rachel i powiedziałaś jej, żeby dała spokój temu chłopakowi?

- Nie!

- No to jak myślisz, z kim Rachel mogła się spotkać?

- Z każdym. To była dziwka.

- Przestań - rzucił z uporem Kevin.

- Przestańcie oboje - warknął Stride. - Jak Rachel była ubrana?

- Miała czarne dżinsy, takie obcisłe, że chcąc je zdjąć, trzeba by je rozciąć nożem.

I biały golf.

- Kevin, zauważyłeś coś w jej samochodzie? Jakiś bagaż? Plecak?

- Nie, nic takiego.

- Powiedziałeś panu Stonerowi, że umówiła się z tobą na randkę.

Kevin zagryzł wargę.

- Spytała, czy chcę się z nią spotkać w sobotę wieczór. Powiedziała, że mógłbym po nią przyjechać o siódmej i gdzieś byśmy wyskoczyli. Ale nie było jej w domu.

- Dla niej to była zabawa - powtórzyła Sally. - Czy powiedziała ci też, żebyś zadzwonił w sobotę do mnie i nakłamał mi? Bo to właśnie zrobiłeś.

Stride zdawał sobie sprawę, że dziś już nic z tej dwójki nie wyciągnie.

- Posłuchajcie oboje. Tu nie chodzi o to, kto kogo pocałował. Zaginęła dziewczyna. Wasza koleżanka. Zaraz będę rozmawiał z jej rodzicami, którzy zadają sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś zobaczą córkę, jasne? Więc zastanówcie się. Czy jest jeszcze coś, co zapamiętaliście z tego wieczoru? Coś, co Rachel powiedziała albo zrobiła. Co mogłoby nam podpowiedzieć, gdzie pojechała albo z kim mogła się spotkać.

Kevin zamknął oczy, jakby naprawdę próbował sobie przypomnieć.

- Nie, panie poruczniku. Nic.

Sally, nadąsana, milczała. Stride zastanawiał się, czy czegoś nie ukrywa. Ale najwyraźniej nie zamierzała mu się zwierzyć.

- Nie mam pojęcia, co się z nią stało - mruknęła.

Stride skinął głową.

- Dobrze, będziemy w kontakcie.

Jeszcze raz rzucił okiem na nieprzeniknioną ciemność jeziora za wąskim kanałem. Nie było się czemu przyglądać. Było puste, tak jak pusty wydawał mu się teraz świat. Mijając dwoje młodych ludzi i kierując się na parking, poczuł to znowu. Deja vu. To było paskudne wspomnienie.

2.

Minęło czternaście miesięcy od deszczowego sierpniowego wieczoru, gdy zniknęła Kerry McGrath. Stride tyle razy rekonstruował ten wieczór, że mógł na zawołanie odtworzyć go sobie w pamięci jak film. Gdy zamknął oczy, widział ją w każdym szczególe, aż po pieprzyk w kąciку ust i trzy cienkie złote kółeczka zwisające z płatka lewego ucha. Słyszał, jak się śmieje, dokładnie tak samo jak na wideokasie z urodzin, którą oglądał setki razy. Przez cały ten czas nosił w sobie jej obraz tak wyraźny, jakby to była ona, żywa.

A przecież wiedział, że nie żyje. Ta pełna temperamentu dziewczyna, dla niego tak realna, była już tylko ohydny szczątkiem, rozkładającym się gdzieś w ziemi, na jednym z niezmiernych dzikich pustkowi, których nie przeszukali. Teraz chciał tylko wiedzieć, kto jej to zrobił.

A tu następna nastolatka. Następne zaginięcie.

Czekając na zmianę świateł, Stride zerknął w szybę samochodu i napotkał swoje zasnutę cieniem brązowe oczy. Oczy korsarza, jak w żartach mawiała Cindy. Ciemne, czujne, płomienne. Ale to było kiedyś. Kerry zginęła z rąk potwora, a inny potwór w tym samym czasie upomniał się o Cindy. Przeżyta tragedia zgasła płomień w jego oczach i dodała mu lat. Widział to w swojej zniszczonej, niepięknej twarzy. Jego czoło przecinała sieć zdradzieckich bruzd. Czarne włosy, przetykane pasmami siwizny, były krótkie, ale rozwichrzzone, z nieposłusznym wicherkiem. Miał czterdzieści jeden lat, a czuł się, jakby miał pięćdziesiąt.

Pognał swojego zabłoconego bronco po wybojach do starej bogatej dzielnicy w pobliżu uniwersytetu, gdzie mieszkali Graeme i Emily Stonerowie. Wiedział, czego się może spodziewać. Była jedenasta w nocy. W niedzielę o tej porze takie miejsca są zazwyczaj jak wymarłe. Ale nie dzisiaj. Ulicę rozświetlały migające światła samochodów policyjnych i białe reflektory ekip telewizyjnych. Na sąsiednich trawnikach wystawały grupki szpiegów i plotkarzy. W tle brzęczała kakofonia nakładających się na siebie dźwięków z policyjnych radioodbiorników.

Kordon umundurowanych policjantów otaczający dom Stonerów trzymał reporterów i gapiów z daleka. Stride zatrzymał się obok wozu policyjnego i zaparkował na drugiego. Natychmiast oblepili go reporterzy - ledwo udało mu się otworzyć drzwi samochodu. Stride pokręcił głową i podniósł dłoń, aby osłonić zmrużone oczy przed oślepiającym światłem kamer.

- Ludzie, dajcie żyć.

Sprawnie torował sobie drogę w tłumie dziennikarzy, ale naraz ktoś mu ją zastąpił, jednocześnie dając znak kamerzyście.

- I cóż, Stride, czyżbyśmy mieli do czynienia z seryjnym mordercą? - zagrział Bird Finch głosem potoczystym i głębokim jak dźwięk syreny przeciwmgielnej.

Naprawdę nazywał się Jay Finch, ale cała Minnesota знаła go pod przydomkiem Bird. Dawniej gwiazda koszykówki, obecnie był gospodarzem skandalizującego telewizyjnego talk-show z Minneapolis. Choć Stride mierzył ponad metr osiemdziesiąt, musiał dobrze wyciągać szyję, żeby spojrzeć w jego pochmurną twarz. Facet był olbrzymi, co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć. Miał na sobie nieskazitelny granatowy dwurzędowy garnitur. Spod rękawów marynarki wyzierał centymetr spiętych błyszczącymi spinkami mankietów białej koszuli. Na palcu wskazującym potężnej łapy, w której ścisnął mikrofon, Stride dostrzegł uniwersytecki pierścień.

- Ładny garnitur, Bird- zauważył. - Przyjechałeś tu prosto z opery?

Kilku reporterów zachichotało. Bird wpatrywał się w Stride'a czarnymi węgiel oczami. W jego czarnej łysinie odbijało się światło reflektorów.

- Jakiś chory zboczeniec porywa dziewczęta z ulic naszego miasta, poruczniku. W zeszłym roku obiecał pan społeczności tego miasta sprawiedliwość. W dalszym ciągu na nią czekamy. Czekają na nią nasze rodziny.

- Jeśli chcesz prowadzić swoją kampanię wyborczą, to nie kosztem mojego czasu.
- Stride odpiął od paska dżinsów tarczę kuloodporną i podstawił ją Birdowi pod nos. Drugą ręką zasłonił obiektyw kamery. - A teraz z drogi.

Bird niechętnie cofnął się o kilka centymetrów. Przechodząc dalej, Stride mocno trącił kamerzystę barkiem. Za jego plecami nie cichły krzyki. Tłum dziennikarzy deptał mu po piętach aż do chodnika, gdzie zaczynało się prowizoryczne ogrodzenie z żółtej policyjnej taśmy. Stride przykucnął, przeszedł pod nią i wyprostował się. Skinął na najbliższego gliniarza, drobnego dwudziestodwuletniego rudzielca. Policjant zbliżył się skwapliwie.

- Tak, panie poruczniku?

Stride nachylił się i szepnął mu do ucha:

- Trzymaj tych gnojków jak najdalej ode mnie.

- Załatwione, panie poruczniku - uśmiechnął się szeroko gliniarz.

Stride wszedł na sam środek wypielegnowanego trawnika Graeme'a Stonera. Pomachał ręką Maggie Bei, która wydawała lakoniczne polecenia grupie umundurowanych funkcjonariuszy. Maggie, starszy sierżant w podlegającym Stride'owi wydziale śledczym, nawet w ciężkich czarnych buciorach na czterocentymetrowej podeszwie miała niewiele ponad półtora metra wzrostu. Przy innych policjantach wyglądała jak karliczka. Ale kiedy celowała w nich palcem, z miejsca brali się do roboty.

Dom Stonerów stał na końcu wąskiej uliczki, w cieniu dębów, których liście w większości spoczywały już w nieporządnym stertach na ziemi. Był to dwupiętrowy zabytek z dziewiętnastego wieku, solidna, odporna na zimy Minnesoty konstrukcja z cegieł i sosny. Od ulicy do potężnych drzwi frontowych wiodła łukowata alejka. Od wschodu nad obrosniętym drzewami kanałkiem stał oddzielny garaż na dwa samochody z drogą dojazdową prowadzącą na tyły domu. Stride zauważył na niej jasnoczerwonego garbusa zaparkowanego tak, że prawie blokował drzwi. Samochód Rachel. Pijawka.

- Witamy na imprezce, szefie.

Stride spojrzał na Maggie Bei, która stanęła na trawniku u jego boku.

Kruczoczarne włosy Maggie były ostrzyżone na okrągło. Prosta grzywka zasłaniała jej czoło aż do brwi. Była malutka jak chińska lalczka. Miała ładną wyrazistą twarz, błyszczące oczy w kształcie migdałów i złotawy odcień skóry. Była w białej koszulce marki Gap, ciemnoczerwonej skórzanej kurtce i czarnych dżinsach w rozmiarze dla nastolatek. Cała Maggie - modna, ale oryginalna. Stride nie wydawał zbyt dużo na ubrania. Kupował stale takie same buty kowbojskie, które zaczął nosić, gdy - dawno temu - zrzucił mundur, by przejść do wydziału śledczego. Ciągłe miał te same wystrzępione dżinsy, które przeszły już dziewięć zim, mimo że przez dziurę w kieszeni wysypywały mu się z nich monety. Skórzana kurtka była równie wysłużona. Na jej rękawie, w miejscu, gdzie na muskularnym ramieniu miał bliznę, nadal widniał otwór po kuli.

Stride przeniósł wzrok na frontowe okna domu Stonerów i dostrzegł za nimi mężczyznę, który z drinkiem w ręku zmierzał do pokoju w głębi. Kryształowa szklanka pochwyciła światło z żyrandola i błysnęła jak lusterko przekazujące tajną wiadomość.

- I co my tu mamy, Mags? - spytał Stride.

- Nic, o czym byś już nie wiedział - odparła. - Rachel Deese, lat siedemnaście, ostatnia klasa liceum. Ten jej kolega sportowiec, Kevin, mówi, że widział ją po raz ostatni w piątek około dziesiątej wieczór, jak odjeżdżała z Canal Park. Od tamtej pory

kamień w wodę. Samochód stoi na podjeździe, ale nikt nie widział, jak przyjechała do domu, ani jak z niego wychodziła, ani też nie była widziana w towarzystwie żadnej innej osoby. To było dwa dni temu.

Stride pokiwał głową. Chwilę przyglądał się volkswagenowi Rachel, skrupulatnie obszukiwanemu przez policjantów. Koloru jaskrawej czerwieni, fajny, porządny samochód, nie jakiś gruchot, z którym nastolatka rozstałaby się bez żalu.

- Sprawdź kamerę przy bankomacie na trasie między Canal Park a domem - podsunął Stride. - Może dopisze nam szczęście i trafimy na nagranie z piątku wieczór. Wtedy się okaże, czy naprawdę, jak twierdzi Kevin, pojechała do domu.

- Właśnie to robimy - poinformowała go Maggie.

Uniosła brwi, jakby pytając: „Czy wyglądam na idiotkę?”

Stride się uśmiechnął. Maggie była najbystrzejsza ze wszystkich jego dotychczasowych współpracowników.

- Graeme to jej ojczym, prawda? A co z ojcem biologicznym? Zdaje się, że miał na imię Tommy.

- Celny strzał. Ja też o tym pomyślałam. Ale nie żyje.

- Jeszcze ktoś zniknął? Jakiś chłopak?

- Nikt niczego takiego nie zgłaszał. Jeśli uciekła, to albo sama, albo z kimś spoza miasta.

- Do ucieczki potrzebny jest środek transportu - powiedział Stride.

- Sprawdzamy lotnisko i dworzec autobusowy, tu i w Superior.

- Może ktoś z sąsiadów coś widział?

Maggie pokręciła głową.

- Jak dotąd nic ciekawego. Jeszcze ich przesłuchujemy.

- Jakies skargi, które miałyby związek z tą dziewczyną? Molestowanie, gwałt, coś w tym rodzaju?

- Guppo sprawdził bazy danych. Nic, co by dotyczyło samej Rachel. Ale jak się cofnąć o kilka lat, jest to i owo o Emily i jej pierwszym mężu, ojcu Rachel.

- Co na przykład?

- Tatuś często się upijał i rozrabiał. Jest jedno doniesienie o przemoc domowej, ale niezakończony wniesieniem oskarżenia. Pobił żonę, nie córkę.

Stride zmarszczył czoło.

- Nie wiadomo, czy Rachel i Kerry się znały?

- Nazwisko Rachel w zeszłym roku nie wypłynęło - odparła Maggie. - Ale jeszcze popytamy.

Stride odruchowo pokiwał głową. Znowu próbował postawić się na miejscu Rachel, odtworzyć jej ostatni wieczór, przesłedzić, co zdarzyło się lub nie po drodze. Zakładał, że wtedy w piątek dotarła do domu. Jechała swoim samochodem, a teraz ten samochód stoi na podjeździe. Ale co potem? Czy weszła do domu? Czy znowu wyszła? Padał deszcz ze śniegiem, było zimno - powinna była wziąć samochód. Chyba że ktoś po nią przyjechał.

- Czas pogadać ze Stonerami - powiedział.

Zawahał się. Przywykł polegać na instynkcie Maggie.

- Co ci mówi intuicja, Mags? Ucieczka czy coś gorszego?

Maggie nie miała wątpliwości.

- Ucieczka? Skoro samochód stoi pod domem? Wygląda na coś gorszego.

Wygląda jak Kerry.

Stride westchnął.

- Taak.

3.

Stride zadzwonił do drzwi. Przez matowe szkło dostrzegł cień i usłyszał kroki. Rzeźbione dębowe skrzydło otworzyło się do wewnątrz. Mężczyzna mniej więcej w jego wieku, elegancko ubrany, w kaszmirowy sweter z wycięciem w serek, białą koszulę z kołnierzykiem zapinanym na guziczki i jasnobrązowe spodnie o starannie zaprasowanym kancie, wyciągnął do niego rękę. W drugiej trzymał drinka: w szklaneczce zagrzechotały kostki lodu.

- Pan porucznik Stride, nieprawdaż? - powitał go. Energicznie uściśnił mu dłoń i uśmiechał się ze swobodą bywalca przyjęć w country clubie. - Kyle zawiadomił nas, że pan się niedługo zjawi. Jestem Graeme Stoner.

Stride ze zrozumieniem skinął głową. Komunikat był czytelny. Kyle to Kyle Kinnick, zastępca szefa policji w Duluth, przełożony Stride'a. Graeme chciał mieć pewność, że Stride zdaje sobie sprawę z jego wpływów w ratuszu.

Zauważył drobne zmarszczki wypełzające na czoło Graeme'a i czające się wokół ust i uznał, że gość musi być mniej więcej w jego wieku. Ciemnobrązowe włosy miał ostrzyżone krótko, po dyrektorsku. Nosił okulary w wąskiej srebrnej oprawce. Twarz miał szeroką, o miękkich rysach, bez wyraźnie zaznaczonych kości policzkowych czy ostrego podbródka. Choć był już późny wieczór, linia zarostu była niemal niewidoczna. Stride odruchowo potarł dłonią własną szorstką szczecinę.

Graeme położył mu rękę na ramieniu.

- Zapraszam na werandę z tyłu domu. Obawiam się, że teraz, przy całym tym tłumie, w salonie czulibyśmy się zanadto wystawieni na widok publiczny.

Stride przeszedł za nim przez salon umeblowany delikatnej konstrukcji sofami i antykami z orzecha włoskiego, wszystko na najwyższy połysk. Graeme wskazał wypełnioną kryształami chińską szafkę z lustrzanymi plecami.

- Czy mogę pana poczęstować drinkiem? Niekoniecznie alkoholowym.

- Nie, dziękuję.

Graeme zatrzymał się na środku pokoju i przez chwilę wyglądał na zatroskanego.

- Muszę przeprosić, że zgłosiłem się do pana z takim opóźnieniem, panie poruczniku. Kiedy Kevin wpadł do nas w sobotę wieczorem, naprawdę wcale nie byłem zaniepokojony, że Rachel nie ma w domu. Widzi pan, Kevin jest bardzo przeczulony na jej punkcie, uważałem, że przesadnie się przejmuje.

- Ale teraz pan tak nie uważa.

- To już dwa dni. Poza tym żona przypomniała mi o tej drugiej zaginionej dziewczynie.

Graeme ruszył i poprowadził Stride'a przez jadalnię i drzwi balkonowe na przestronną werandę ogrzewaną przez marmurowy kominek na jej wschodniej ścianie. Puszysty dywan był biały, bez jednej plamki. Ścianę północną stanowiły ogromne okna zajmujące niemal całą długość pomieszczenia - z wyjątkiem drzwi z witrażowego szkła prowadzących w ciemność ogrodu za domem. Z mosiężnych lamp umocowanych w równych odstępach na pozostałych ścianach płynęło blade światło.

Na prawo od ściany z widokiem na ogród, po obu stronach kominka stały dwa potężne bliźniacze fotele z regulowanymi oparciami. W jednym z nich spoczywała kobieta z pękatym kieliszkiem brandy w dłoni.

Kobieta powitała Stride'a skinieniem głowy, nie podnosząc się z fotela.

- Jestem Emily Stoner, matka Rachel - powiedziała cicho.

Emily choć z pewnością o kilka lat młodsza od Graeme'a, nie była efektownym trofeum, jakim mógłby się pysznić mężczyzna na stanowisku. Dawniej z pewnością była bardzo ładna, ale czas nie obszedł się z nią łaskawie. Niebieskie oczy były

zmęczone, przesadnie umalowane, podkrążone. Włosy miała ciemne, krótkie, proste i nieświeże. Ubrana była w zwykły granatowy sweter i dżinsy.

Przy kominku obok Emily siedział, trzymając ją za lewą dłoń, mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Siwiejące włosy miał zaczesane tak, aby ukryć początki łysiny. Na powitanie wstał i uściśnął rękę Stride'a, pozostawiając na niej lepką wilgoć, którą Stride dyskretnie wytarł o spodnie.

- Witam, poruczniku. Nazywam się Dayton Tenby. Jestem pastorem w parafii Emily. Emily prosiła, żebym był z nimi dziś wieczór.

Graeme Stoner zajął krzesło przy oknie.

- Jestem pewien, że ma pan do nas wiele pytań. Powiemy panu wszystko, co wiemy, aczkolwiek obawiam się, że nie będzie tego dużo. Miejmy to, co najprzykrzejsze, jak najszybciej za sobą. Moja żona i ja nie mamy absolutnie nic wspólnego ze zniknięciem Rachel, ale rozumiemy, że w tego rodzaju sytuacjach najpierw trzeba wykluczyć udział rodziny. Rzecz jasna będziemy z panem współpracować pod każdym względem, również jeśli potrzebne będzie badanie wariograficzne.

Stride był zaskoczony. Z reguły najgorsza ze wszystkiego była ta część śledztwa - poinformowanie członków rodziny, że są podejrzanymi.

- Jeśli mam być szczery, to tak, rzeczywiście staramy się badać rodziny wariografem.

Emily nerwowo zerknęła na Graeme'a.

- No, nie wiem...

- To rutynowe postępowanie, kochanie - wyjaśnił Graeme. - Panie poruczniku, proszę przekazać wszystkie pytania Archibaldowi Gale'owi. On będzie nas w tej sprawie reprezentował. Możemy zrobić to jutro, jeśli to panu odpowiada.

Stride się skrzywił. Ładna współpraca. Archie Gale był najślawniejszym obrońcą kryminalnym w północnej Minnesocie, postrachem śledczych. Stride już nieraz ściał się z tym starym capem ze swojego miejsca dla świadków.

- Uważa pan za konieczne angażowanie w to prawnika? - spytał chłodniejszym tonem.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - odparł Graeme tak samo kordialnie i spokojnie jak przedtem. - Nie mamy nic do ukrycia. Mimo wszystko w dzisiejszych czasach i w naszym wieku wykazalibyśmy się brakiem roztropności, nie korzystając z pomocy prawnej.

- Czy zgodzą się państwo porozmawiać ze mną teraz, gdy pana Gale'a jeszcze nie ma?

Graeme uśmiechnął się.

- Archie leci tu do nas z Chicago. Bez entuzjazmu zgodził się, abyśmy przedstawili fakty pod jego nieobecność.

Bez entuzjazmu. Stride znał Gale'a. To był z pewnością eufemizm. Ale nie miał zamiaru zaprzepaścić szansy i to może być ostatnia okazja do rozmowy z rodziną bez adwokata prześwietlającego każde słowo.

Stride wyciągnął z tylnej kieszeni notes i zdjął nasadkę z pióra. Po jego lewej stronie znajdował się sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem. Wyciągnął spod niego obrotowe krzesło i usiadł.

- Kiedy widział pan Rachel po raz ostatni? - spytał.

- W piątek rano, zanim wyszła do szkoły - odparł Graeme.

- Czy wzięła samochód?

- Tak. I nie było go też wieczorem, kiedy wróciłem z pracy.

- Ale nie słyszał pan, żeby wracała na noc?

- Nie. Położyłem się o dziesiątej. Mam bardzo mocny sen. Nigdy nic nie słyszę.

- Co pan robił w sobotę?
- Większość dnia spędziłem w biurze. Typowo.
- A czy pani w tym czasie była w domu?

Emily, dotychczas wpatrzona w ogień, podniosła głowę, jakby zaskoczona. Pociągnęła długi łyk brandy. Stride był ciekaw, ile wypila do tej pory.

- Nie. Dopiero dziś wczesnym popołudniem wróciłam do domu.
- Gdzie pani była?

Chwilę się koncentrowała.

- Wybrałam się do Saint Louis. Trzy lata temu przeprowadziła się tam moja siostra. Wyruszyłam w drogę powrotną w sobotę rano, ale wieczorem byłam zbyt zmęczona, żeby jechać dalej. Przenocowałam w Minneapolis i dojechałam tutaj około południa.

- Rozmawiała pani z Rachel podczas swojej nieobecności?

Emily pokręciła głową.

- Czy w ogóle dzwoniła pani do domu?

Zawahała się.

- Nie.

- Kiedy zaczęli się państwo niepokoić?

- Po powrocie Emily - odpowiedział Graeme. - Nie mieliśmy żadnej wiadomości od Rachel, więc zaczęliśmy dzwonić do jej znajomych. Nikt jej nie widział.

- Do kogo państwo dzwonili?

Graeme rzucił kilka nazwisk, które Stride zanotował.

- Dzwoniliśmy też do różnych osób ze szkoły - dodał Graeme. - Do klubów i restauracji, o których powiedzieli nam jej znajomi. Nigdzie jej nie widziano.

- Czy ma chłopaka? - spytał Stride.

Emily podniosła głowę. Odsunęła z twarzy kosmyk włosów. Głos miała znużony.

- Rachel miała wielu chłopaków. To nigdy nie trwa długo.

- Czy prowadzi życie seksualne?

- Co najmniej od trzynastego roku życia - odparła Emily. - Kiedyś zastałam ją z chłopcem w intymnej sytuacji.

- Ale nie ma nikogo szczególnego?

Emily pokręciła głową.

- Kontaktowała się pani z krewnymi? Kimś, do kogo mogła się wybrać?

- Nie mamy tu żadnych krewnych. Moi rodzice nie żyją, a Graeme nie jest stąd.

Nie mamy nikogo prócz siebie.

„Jak doszło do tego małżeństwa?”, zapisał Stride w swoim notesie.

- Proszę powiedzieć, jak układały się pani stosunki z córką.

Emily nie odpowiedziała od razu.

- Nigdy nie było między nami bliskości. W dzieciństwie była córeczką tatusia. Ja byłam wstrętną czarownicą.

Dayton Tenby zmarszczył brwi.

- To nie fair, Emily.

- No, ale w każdym razie tak się czułam - warknęła Emily. Trochę brandy wylało jej się z kieliszka. Wytarła sweter palcami. - Kiedy ojciec Rachel zmarł, ona jeszcze się ode mnie oddaliła. Miałam nadzieję, że po moim ślubie z Graeme'em z czasem staniemy się rodziną. Ale w miarę jak dorastała, było coraz gorzej.

- A pan? Jakie są pana stosunki z Rachel?

Graeme wzruszył ramionami.

- Były w miarę bliskie tuż po tym, jak pobraliśmy się z Emily, ale jak już mówiła żona, im Rachel była starsza, tym bardziej się od nas odsuwała. Teraz są niezmiennie chłodne.

- Staraliśmy się wyjść jej naprzeciw - powiedziała Emily. - W zeszłym roku Graeme kupił jej ten samochód. Pewnie pomyślała, że w ten sposób próbujemy kupić sobie jej miłość, i chyba rzeczywiście tak było. Ale to nic nie dało.

- Czy kiedykolwiek mówiła o ucieczce z domu?

- Już od dawna nie. Może to brzmi dziwacznie, ale zawsze miałam wrażenie, jakby ona czuła, że więcej kłopotów sprawi nam, będąc z nami i zatruwając nam życie. Czerpała z tego okrutną satysfakcję.

- Czy miała skłonności samobójcze?

- Nigdy. Rachel nigdy by się nie zabiła.

- Skąd ta pewność?

- Była zbyt zadowolona z siebie. Zawsze zarozumiała i pewna siebie. Nami pogardała. A może tylko mną. - Emily potrząsnęła głową.

- Czy coś się wydarzyło pod nieobecność żony? Jakaś kłótnia, wymiana zdań, coś w tym rodzaju?

- Nic. Ignorowała mnie. Jak zawsze.

- Czy wspominała, że poznała ostatnio kogoś nowego?

- Nie, ale gdyby tak było, to nie sądzę, żeby mi o tym powiedziała.

- Czy zwrócił pan uwagę na jakieś nieznanne samochody na państwa ulicy? Czy widział ją pan z kimś, kogo pan nie zna?

Graeme pokręcił głową.

- Jaka jest pańska sytuacja zawodowa? Pracuje pan w Range Bank, zgadza się? Graeme przytaknął.

- Jestem wiceprezesem banku na Minnesotę, Wisconsin, Iowę i obie Dakoty.

- Czy kiedykolwiek grożono panu w domu albo w pracy? Miał pan jakieś dziwne telefony? - pytał Stride.

- Nie przypominam sobie.

- Nigdy nie czuł się pan zagrożony?

- Nie, nigdy.

- Czy pana dochody w banku są jawne?

Graeme zmarszczył brwi.

- Cóż, sądzę, że nie są tajemnicą. Na moim stanowisku muszę składać zeznania przed Komisją Papierów Wartościowych, więc są dostępne dla każdego zainteresowanego. Ale to nie jest nic sensacyjnego.

- I nie miał pan żadnych sygnałów, które wskazywałyby na to, że Rachel została porwana?

- Nie, niczego takiego nie było - powtórzył Graeme.

Stride zamknął notes.

- Myślę, że na razie to wszystko. Oczywiście będziemy jeszcze rozmawiać w miarę rozwoju śledztwa. Będę też w kontakcie z panem Gale'em.

Emily otworzyła usta. Zamknęła. Najwyraźniej chciała coś dodać.

- Słucham panią - powiedział Stride.

- Chodzi o to, że... to jest przyczyna, dla której jesteśmy tak zaniepokojeni.

Dlatego prosiłam Graeme'a, żeby zadzwonił do Kyle'a.

- Kerry McGrath - mruknął Dayton.

- Mieszkała tak blisko nas - wyrzuciła z siebie Emily. - Chodziła do tej samej szkoły.

Stride zaczekał, aż Emily znów spojrzy na niego, i odpowiedział jej spojrzeniem, w którym zawarł całe współczucie, jakie był zdolny w ten sposób przekazać.

- Nie będę pani okłamywał. Szukamy powiązań ze zniknięciem Kerry. Byłoby karygodnym niedbalstwem, gdybyśmy tego nie robili. Ale zewnętrzne podobieństwa nie oznaczają wcale, że zaginięcie Rachel ma coś wspólnego ze sprawą Kerry.

Emily głośno pociągnęła nosem. Pokiwała głową, ale w jej oczach lśniły łzy.

- Gdyby państwo mieli jakieś pytania, proszę do mnie dzwonić.

Stride wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na biurku.

Dayton Tenby podniósł się ze swojego siedzenia przy kominku i uśmiechnął się do niego.

- Pozwoli pan, że pana odprowadzę.

Pastor przeszedł ze Stride'em z powrotem przez cały dom. Sprawiał wrażenie nerwowego, zniewieściałego człowieczka onieśmiałego ekskluzywnym wystrojem domu Stonerów. Szedł niepewnie, jakby obawiał się, że jego podniszczone brązowe buty zostawiają brudne ślady. Był niezbyt wysoki, miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Do tego wąski podbródek, małe brązowe oczka osadzone blisko siebie i ostry nos. Stride ocenił go jako pozostałość z dawnego życia Emily. PG - Przed Graeme'em.

Pocierając podbródek, Dayton zerknął ciekawie na światła i tłumy zgromadzone na zewnątrz.

- Jak sępy, prawda? - zauważył.

- Czasem. Ale bywają użyteczni.

- Tak, na pewno. Cieszę się, że pan przyszedł, panie poruczniku. Rachel jest trudną młodą osobą, za nic w świecie nie chciałbym, żeby jej się stała jakaś krzywda.

- Od kiedy pan ją zna? - spytał Stride.

- Od dziecka.

Stride pokiwał głową. PG, pomyślał.

- Kiedy zaczęła sprawiać kłopoty?

Dayton westchnął.

- Tak jak mówiła Emily, po śmierci ojca. Rachel była do niego bardzo przywiązana. Nie mogła znieść jego straty i przypuszczam, że cały jej gniew i żal obrócił się przeciwko matce.

- Kiedy to było?

Dayton ściągnął usta i wpatrzył się w łukowate sklepienie, zbierając myśli.

- Kiedy umarł, Rachel miała osiem lat, to znaczy, że dziewięć lat temu.

- Jak pan myśli, co się stało? Czy Rachel mogła odejść sama? Uciec?

Dayton sprawiał wrażenie absolutnie pewnego swojej opinii.

- Może to myślenie życzeniowe, ale jestem przekonany, że tak. Uważam, że koniec końców się okaże, iż ona gdzieś tam sobie jest i śmieje się z nas wszystkich.

4.

Emily wychyliła ostatni łyk brandy i podźwignęła się z fotela. Gdy Dayton wrócił do pokoju, wyciągnęła w jego stronę pusty kieliszek.

- Proszę o jeszcze jeden.

Dayton wziął kieliszek i poszedł do salonu, aby go napełnić. Emily odprowadziła go wzrokiem, po czym odezwała się do męża, nie patrząc na niego.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam.

- Nie szkodzi. Jak tam Janie?

- W porządku. Naprawdę chciałam zadzwonić.

- Powiedziałem przecież, że nie szkodzi.

Emily skinęła głową. Czuła się pusta w środku.

- Myślałam, że będziesz się gniewał.

- Ależ skąd.

- Tęskniłeś za mną?

Graeme machnął ręką, jakby to było zupełne głupstwo.

- Co za niemądre pytanie. Przecież wiesz, że bez ciebie jestem kompletnie zagubiony. Wczoraj chciałem się wybrać na wycieczkę i nawet nie mogłem znaleźć swoich sportowych butów.

- Butów - szepnęła Emily, kręcąc głową.

Pojawił się Dayton. Porecja brandy w kieliszku wyglądała na mniejszą niż poprzednio. Emily wzięła ją i wychyliła jednym haustem, nie zwracając uwagi na pieczenie w przelyku. Oddała kieliszek Daytonowi i odwróciła się. Wytarła oczy, ale było za późno. Wiedziała, że dostrzegł jej łzy.

- Zrobiła to, żeby mnie ukarać - powiedziała Emily. - To jedna z jej gier.

- To może mieć więcej związku z Tommym niż z tobą. Nawet po tylu latach.

- Tommy - rzuciła gorzko.

- On był jej ojcem, Emily - przypomniał Dayton. - Miała osiem lat i w jej oczach ojciec był ideałem.

- Tak, za Tommym wszyscy przepadali - powiedziała Emily. - A ja byłem tą jędzą. Nikt nie rozumiał, co on z nami robi.

- Ja rozumiałem - odparł Dayton.

Emily ujęła go za rękę.

- Tak, wiem. Dziękuję ci. I dziękuję, że tu dzisiaj przyszedłeś. Bez ciebie po prostu bym się rozsypała.

Graeme wstał.

- Odprowadzę cię, Dayton - powiedział uprzejmie. - Dopilnuję, żeby dziennikarze cię nie nagabywali.

Obok niego, znacznie potężniejszego, Dayton wyglądał jak karzełek. Emily patrzyła za nimi, gdy opuszczali werandę, wsłuchiwała się w ich kroki, odgłos otwieranych drzwi frontowych i wrzawę zgromadzonego na zewnątrz tłumu, a potem znów trzask drzwi i grobową ciszę domu.

Była sama.

Ostatnio miała uczucie, że jest sama nawet w obecności Graeme'a.

Graeme mówił to, co wypadało mówić, dobrze się do niej odnosił i dawał jej wolną rękę, by mogła żyć tak, jak chce. Ale nie udawał, że łączą ich jakieś gorące uczucia. Zastanawiała się, czy w ogóle ma dla niej jakieś uczucie. Celowo nie zadzwoniła z Saint Louis. Chciała go podrażnić, chciała, żeby zatęsknił za nią na tyle, by samemu zadzwonić. Gdyby zadzwonił, gdyby zatęsknił, gdyby na nią nakrzyczał, przynajmniej dostrzegłaby w nim jakieś emocje.

Ale on jej nie potrzebował. No, chyba że nie mógł znaleźć butów.

A kiedy przyjeżdża do domu, dowiaduje się, że Rachel nie ma. Spodziewała się tego od lat, tylko czekała, kiedy córka zostawi jej na stole kartkę i zniknie. Czasami nawet życzyła sobie tego. Wreszcie skończyłaby się ta wrogość, jej życie stałoby się trochę spokojniejsze. Nie zdawała sobie sprawy, że gdy to się rzeczywiście stanie, będzie odczuwała taką pustkę, że bez reszty pogrąży się w myślach o zmarnowanych szansach na zasypanie przepaści między nimi. Dawno temu pogodziła się ze świadomością, że Rachel nigdy nie zrozumie, jak bardzo Emily ją kocha i mimo tylu zatrutych strzał, którymi przez wszystkie te lata ją zasypywała. Nawet starała się przestać ją kochać - a przecież nie mogła.

Nie ma jej.

A jeśli nie uciekła? A jeśli spotkało ją to, co tamtą dziewczynę, porwaną z ulicy?

- Gdzie jesteś, córeńko? - powiedziała na głos.

W tej chwili usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Graeme wrócił. Nie chciała go widzieć. Nie mogła znieść tego wszystkiego - obcości Graeme'a, bólu z powodu

Rachel. Podniosła się pośpiesznie i umknęła przez kuchnię na tylne schody. Słyszała Graeme'a wracającego na werandę. Wyobraziła sobie, jak obrzuca puste pomieszczenie przelotnym spojrzeniem, widzi, że jej nie ma. Nie oczekiwała, że pójdzie jej szukać, i słusznie. Z trudem złowiła uchem ciche brzęknięcie kluczy. Zapewne usiadł przy biurku i zabrał się do pracy na komputerze. Pobiegnęła schodami na piętro.

Nie będzie dzisiaj spała w ich wspólnej sypialni. Tego też mu nie będzie brakowało.

Emily poszła do pokoju Rachel. Unosił się tam jeszcze obcy zapach, ślad potu policjantów, którzy tego wieczoru grzebali w jej biurku i komodzie. Prawdę powiedziawszy, cały ten pokój i tak był dla niej obcy - gdy Rachel jeszcze z nimi była, Emily rzadko przestępowała jego próg. To była prywatna twierdza jej córki i nie była tam mile widziana - szczególnie ona.

Pokój był prawie nagi. Ścian nie zdobiły plakaty; jedynie bladożółta farba. Ze stojącego w kącie białego kosza wylażyły brudne ubrania. Na biurku leżały podręczniki, niektóre otwarte, inne zamknięte. Spomiędzy kartek wyglądały pomięte karteczki częściowo pokryte bazgrołami Rachel. Porządnie wyglądało tylko starannie zasłane łóżko - jedyny element wnętrza, który wolno było tknąć sprzątacze.

Emily położyła się na łóżku, podkulila nogi i oplotła je rękami. Jej wzrok padł na fotografię umieszczoną z miłością na honorowym miejscu na nocnym stoliku. Rachel wtulona w ramiona ojca. Emily wyciągnęła rękę i odwróciła ramkę, żeby nie musieć na to patrzeć.

Spoglądając jednak na nocny stolik, uświadomiła sobie, że nie uda jej się tak łatwo uciec od przeszłości. Obok radia z budzikiem siedziała na tylnych łapkach pluszowa świnka wystrojona w czarne plastikowe okulary przeciwsłoneczne. Pamiątka z jarmarku stanowego.

Minęło dziewięć lat, a Rachel ciągle trzymała ją przy łóżku.

- Tommy - westchnęła Emily.

Tommy posadził sobie Rachel na barana. Wyniesiona ponad głowy ludzi, szeroko otworzyła buzię na widok takiego tłumu, człowiek przy człowieku, szczerlnie wypełniającego całą szerokość ulicy. Były tu dziesiątki tysięcy ludzi, spocona ruchliwa masa, gotująca się w wilgotnym upale sierpniowego wieczoru.

- To niesamowite, tatusiu - zawołała Rachel.

- Przecież ci mówiłem - odparł Tommy. - Czy to nie wspaniale?

Uniósł Rachel wysoko w powietrze, zakręcił nią i postawił z powrotem na chodniku.

- Pójdziemy teraz do wesołego miasteczka? - krzyknęła Rachel.

Emily nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Podejrzewała, że jest to ostatnia rzecz, na jaką Tommy miał ochotę. Jak dzień długi patrzyła, jak oboje z Rachel buszują po jarmarku. Tommy jadł co popadło, łykał jak popcorn smażone w głębokim tłuszczu kulki serowe i zapijał gigantycznymi porcjami lodowatego piwa w plastikowych kubkach. Jadł parówki w cieście, kotlety wieprzowe, smażoną cebulę, pieczoną kukurydzę ociekającą masłem, smażone pierożki i całe torby miniaturowych pączków. Karuzele zrobią mu z żołądka mikser. Ale Tommy nigdy nie odmawiał Rachel.

Wesołe miasteczko było istnym tornado światła. W wieczornym zmroku teren jarmarku wyglądał jak zaczarowana kraina. Ludzkie morze krzychało z podniecenia, a twarze rozświetlały wszystkie kolory tęczy z przemykających nad głowami kolorowych wagoników. Rachel chciała spróbować wszystkiego. Żadna karuzela, żadna kolejka nie była dla niej zbyt szybka ani zbyt wysoka, nie

odstraszało jej też zwisanie z opadającymi, zmierzwionymi włosami głową w dół. Zaciągnęła Tommy'ego na ognisty krąg, potem na gigantyczną huśtawkę, wreszcie na ośmiornicę, a jeszcze potem na tornado. Emily ze skrytą satysfakcją obserwowała jego zieloną twarz.

Prawie dwie godziny zajęło im przemierzanie tylko jednego rzędu rozrywek. Potem ruszyli w przeciwnym kierunku, wzdłuż drugiego. Przy jednej z bud, gdzie rzucało się do celu piłką bejsbolową, niechłujny naganiacz w kostiumie diabła z przypiętym do czerwonej tkaniny znaczkiem z napisem „Witaj w piekle” odstąpił w uśmiechu dwa czekoladowobrązowe siekacze i zachęcił Tommy'ego, żeby spróbował swoich sił.

- Zbij trzy tarcze, a zdobędziesz główną nagrodę.

- Jaka jest główna nagroda? - spytała Rachel.

Diabeł wskazał olbrzymiego pluszowego miśka, pękatego, mięciutkiego, niemal tak dużego jak Rachel. Oczy dziewczynki rozszerzyły się; uczepiła się ręki Tommy'ego i tęsknie spojrzała mu w twarz.

- Czy mógłbyś mi go wygrać, tatusiu?

- Jasne.

Diabeł podał Tommy'emu trzy piłki bejsbolowe. Tommy poząnglował nimi prawą ręką, a potem przełożył jedną do lewej i wziął rozmach.

- Jesteś pijany, Tommy - ostrzegła go Emily. - I nie wyglądasz za dobrze.

Ale Tommy posłał pierwszą piłkę w sam środek jednej z ceramicznych tarcz. Rozpadła się w drobny mak; szczątki posypały się na zaśmieconą ziemię, a piłka z głośnym brzękiem uderzyła w ściankę z aluminium.

- Trafileś, tato! Trafileś!

Uśmiechnięty Tommy cisnął drugą piłkę i brzdęk! Poszła następna tarcza.

- Jeszcze jedna i wygrasz, tatusiu! - zawołała Rachel.

- Możesz już robić miejsce dla tego miśka na swoim łóżku, kotku - oświadczył jej Tommy.

Napinając mięśnie grubego ramienia, przygotował się do następnego rzutu. Za ich plecami tłum w napięciu czekał na dźwięk następnej rozbitej tarczy.

Tymczasem piłka wypadła Tommy'emu z ręki, odbiła się od lady i z głuchym stuknięciem wylądowała na ziemi. Diabeł zaczął się śmiać. Po tłumie gapiów przeszedł jęk rozczarowania. Pod Tommym ugięły się kolana; wyjąc z bólu, chwycił się za ramię. Twarz miał wykrzywioną i czerwoną.

- Tommy, do cholery, od lat nie rzucałeś piłką bejsbolową. Co chcesz w ten sposób udowodnić? - wyrwało się Emily pierwsze, co przyszło jej do głowy.

I natychmiast tego pożałowała.

Rachel rzuciła matce wściekle spojrzenie. Tommy zagryzł wargę do krwi, której kropelka skapnęła mu na brodę. Dziewczynka wytarła ją ręką.

- Przepraszam cię, kotku - powiedział Tommy.

Stary obszarpaniec przy ladzie skinął na niego, ciągle jeszcze chichocząc.

- Nie zapomnij nagrody.

Wziął do ręki małą pluszową różową świnkę w czarnych okularach przeciwsłonecznych i rzucił ją Tommy'emu.

Tommy, podając ją Rachel, wyglądał na zażenowanego, ale ona przytuliła świnkę, jakby była o wiele lepsza od głównej nagrody.

- Jest cudowna, tatusiu - zapewniła go, a gdy się ku niej pochylał, cmoknęła go w same usta.

Emily poczuła się, jakby jej ktoś wbił nóż w serce. Była zazdrosna i nienawidziła się za to.

- Chyba już czas do domu - zauważyła.

Ale Rachel miała inne plany. Gdy odeszli od stanowiska bejsbolowego, nagle tuż przed nimi wyrosła wyrzutnia: okrągłe stalowe krzeselko z dwójką wrzeszczących pasażerów wystrzeliwane jak kamień z wielkiej procy. Zamontowany w krzeselku mikrofon niósł ich histeryczne krzyki w przestrzeń, na cały teren jarmarku.

- O rany - powiedziała Rachel głosem ściszym z podziwu. - Czy ja bym też mogła?

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Rachel - wtrąciła się Emily. - Tata nie czuje się dobrze, a ty jesteś zdecydowanie za mała na takie zabawy.

- Mnie się nie wydajesz za mała - oświadczył Tommy. - I czuję się świetnie.

- Przestań, Tommy, nie wygłupiaj się - poprosiła Emily.

Tommy puścił oko do córki.

- Co my na to, Rachel?

Rachel spojrzała na matkę i swoim najśłodszym dziewczęcym głosikiem zaczęła wyśpiewywać.

- Stara jędza, stara jędza, stara jędza!

Emily stanęła jak wryta. Chwyciła Tommy'ego za rękę i wyszeptala mu do ucha:

- Ty ją uczysz tak się do mnie zwracać? Czyś ty oszalał?

- Do diabła, Emily, przecież to tylko żarty.

- W porządku, idźcie sobie na tę swoją pieprzoną wyrzutnię - syknęła, nienawidząc sama siebie za to, że pozwoliła się Tommy'emu sprowokować.

Udał, że jest zaszokowany.

- Ojej, mamusia użyła brzydkiego słowa.

Rachel triumfalnie chwyciła go za rękę. Razem ruszyli ku wyrzutni, ale w pewnej chwili dziewczynka odwróciła się i zawołała takim tonem, jakby to był wspaniały dowcip:

- Sama jesteś pieprzona mamusia!

Emily zrobiła dwa kroki naprzód i uniosła rękę do ciosu. Ze wszystkich sit pragnęła uderzyć córkę w twarz. Ale zamarła w miejscu, a jej dłoń znieruchomiała. Zaczęła szlochać. Patrzyła, jak odchodzą, nie zwracając uwagi na jej łkanie, przyciągające jedynie ciekawe spojrzenia gapiów. Otarta policzki i przepchnęła się przez tłum do podnóża wyrzutni. Będzie robić to, co zawsze. Będzie im kibicować. Mężowi, przez którego czuła się jak najnędzniejszy robak, i córce, którą on nauczył nienawiści do niej.

Gdy Tommy 'ego i Rachel przypinano do siedzenia, oświetlił ich reflektor i Emily wyraźnie zobaczyła twarze.

Rachel promieniała, nieustraszona jak zwykle.

Ale Tommy był blady, biały jak płótno, a z czoła spływał mu pot.

W głowie Emily zaczęła świtać straszliwa świadomość. Uprzytomniła sobie, że stan Tommy'ego nie ma nic wspólnego z jarmarkiem ani z kontuzjowaną ręką, a bardzo wiele z historią jego ojca, który padł trupem w wieku trzydziestu siedmiu lat, i jego dziadka, który zmarł nagle, mając zaledwie trzydziestkę.

- Nie prosz mnie, żebym dorósł, Emily - powiedział jej kiedyś Tommy w chwili trzeźwości.

- Czekaście! - krzyknęła Emily, ale nikt jej nie usłyszał.

Wszystkie wrażenia tej nocy zlały się w niewyraźną mgłę.

W głowie dudnił huk muzyki i ludzkich głosów. Światła mrugały i wirowały wokół niej. W nozdrzach czuła woń spalonego tłuszczu, tak silną, że była bliska uduszenia.

- On ma zawał! - wrzasnęła jeszcze, najgłośniej, jak potrafiła.

Ludzie stojący obok niej zaczęli się śmiać. Dla nich to było zabawne. Kawał.

PING! Blokada puściła. Siedzenie niczym strzala wystrzeliło w górę. Filary zagrzechotały i zakołysały się. Mikrofon pochwycił ekstatyczne piski Rachel. Jej podniecenie tym lotem w przestrzeń jakby w warunkach nieważkości miało zabarwienie niemal seksualne. Z gardła wypłynął spazmatyczny śmiech i rozlał się na tłum.

Tommy'ego nie było słychać.

Siedzenie skakało w górę i w dół jak zabawka na sprężynie, przez trzydzieści sekund, które wydawały się wiecznością. Potem z tłumy zaczęły dobiegać szepty. Zauważyła, że ludzie zaczynają sobie coś pokazywać. Piski Rachel ucichły.

- Tato?

Teraz Emily zobaczyła męża dokładnie. Głowa opadła mu na ramię, oczy uciekły w tył głowy i wyglądały jak dwa jajka na twardo; język bezwładnie zwisał z ust. Rachel też to zobaczyła i zaczęła krzyczeć:

- Tato, obudź się, tato!

Emily przeskoczyła przez barierkę oddzielającą widzów od urzędnika. Obsługa zdołała już zatrzymać siedzenie i ściągnąć je na dół. Zanim do nich dobiegła, odpięła pasy zabezpieczające Rachel, która przywarła do ojca, płacząc histerycznie. Odpięła też Tommy'ego, ale on po prostu zsunął się z krzesła i skulony opadł na ziemię. Rachel, wciągając w niego wczepiona, wołała go bez ustanku.

W tamtej chwili Emily zrozumiała, że jej życie weszło na nowe tory. Po części i w głębi ducha wierzyła, że będzie to droga ku lepszemu. Pod wieloma względami Tommy jako nieboszczyk był lepszy niż Tommy żywy. I tak to ona zawsze miała pracę i płaciła rachunki. W ciągu następnych kilku lat zaczęła powoli wygrzebywać się z długów.

Ale w sensie najważniejszym, w umyśle jej córki, Tommy nie umarł. Skamieniał w jej pamięci na zawsze.

Zaczął się już pierwszy dzień po jarmarku, gdy w posępnym milczeniu jechały z powrotem do Duluth. Łzy na twarzy Rachel obeschły i ze zdumiewającą prędkością zastąpiła je wrogość. W pewnej chwili na autostradzie mała zwróciła twarz do Emily, spojrzała na nią zimnym wzrokiem i z przerażającą pasją wycedziła:

- To przez ciebie.

Emily próbowała tłumaczyć. Starła się wyjaśnić, że Tommy miał chore serce, ale Rachel nie chciała tego słuchać.

- Tatuś zawsze mówił, że jeśli kiedyś umrze, to przez ciebie.

I tak zaczęła się wojna.

Teraz, leżąc na łóżku Rachel, Emily wzięła do ręki głupią wypchaną świnkę.

- Och, kochanie. Co ja ci zrobiłam, że tak bardzo mnie nienawidzisz? Jak mogę to naprawić?

5.

Stride mieszkał w dzielnicy Park Point, na pasku lądu w kształcie zakrzywionego palca wystającego między południowym biegunem jeziora a spokojnymi portami Duluth i Superior, już w stanie Wisconsin. Półwysep miał szerokość wystarczającą akurat na jeden rząd domów po każdej stronie ulicy. Można się było tam dostać tylko jedną drogą i przez zwodzony most nad kanałem i co zmuszało wszystkich mieszkańców do układania sobie życia w rytmie zawijania i odpływania statków.

Gdy o czwartej nad ranem sunął do Point, jakby na autopilocie, z opadającymi powiekami, nie pamiętał o moście. Usłyszawszy donośny dźwięk ostrzegawczego dzwonu, w pierwszej chwili pomyślał, że to zmęczony mózg płata mu figle. Przyciszył piosenkę Sary Evans i nastawił uszu. Uprzytomniwszy sobie, że most rzeczywiście się podnosi, odruchowo przyśpieszył, ale dobrze wiedział, że już za późno. Zirytowany, zahamował przy barierce i wyłączył silnik. Ciekawe, ile czasu będzie tu musiał zmitrężyć.

Wysiadł z samochodu, oparł się o drzwi i wystawił się na podmuch zimnego powietrza. Sięgnął do środka, odszukał nową paczkę papierosów, zapalił. Oto cała jego silna wola. Mniejsza z tym. Wyczerpany, palił i nasłuchiwał jęku wspinającej się przed nim stalowej konstrukcji. Oto jego życie. Tak wyglądało od roku, odkąd rak zabrał mu Cindy. Miasto, które zawsze uważał za swój dom, którego nigdy nie zamierzał opuścić, zaczęło mu się wydawać inne, bardziej mroczne, groźniejsze. To, co przyjazne, jak ten potężny zwodzony most i zapach jeziora, wiązało się ze wspomnieniami.

W czasach jego młodości Duluth było miastem jednej gałęzi przemysłu, stolicą północnej części stanu zwanego nie bez powodu Żelaznym Pasem. W tym mieście kadłuby gigantycznych statków pochłaniały miliardy grud rudy żelaza i głęboko zanurzone, torowały sobie drogę przez przepaściste koryto Jeziora Górnego na północny wschód. To było biedne miasto, miasto ciężkiej doli, zamieszkane przez krzepkich górników i marynarzy, jak jego ojciec.

Może i nie były to szczególnie dobre czasy, ale panowała tu wtedy przytulna atmosfera małego miasteczka. Ludzie wspólnie przeżywali wzloty i upadki przemysłu metalowego. Lata tłuste, lata chude, praca, strajki. Przez dziewięć miesięcy każdego roku, dopóki jezioro nie zamarzło, życiem miasta rządziła ruda. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały, statki zawijały do portu i wypływały. Most unosił się i opadał. Stał wieżowców, samochodów i pistoletów całego świata zaczynała swoją drogę tu, pod gliniastą glebą północnej Minnesoty. Stąd w trzewiach wielkich statków wędrowała na morskie szlaki.

Ale przemysł wydobywczy, zdławiony przez konkurencję zza morza, stracił na znaczeniu, a wraz z nim przygasła gwiazda Duluth. Z rudy nie dało się już wyżyć. Zatem mędrcy rządzący tym miastem zwrócili wzrok na jezioro i rzekli: Niechaj przybędą turyści. To, co zostało z przemysłu, stało się atrakcją turystyczną. Gdy do kanału wpływał statek, na moście gromadzili się gapie.

Rzecz jasna nie teraz. Nie w środku nocy. Stride stał samotnie, zaciągając się długimi haustami dymu papierosowego, obserwując pełznący pod mostem rdzawoczerwony kadłub. Na pokładzie statku dostrzegł mężczyznę też samego, też z papierosem. Jego sylwetka zaledwie odcinała się od tła. Na widok Stride podniósł rękę w geście niedbałego pozdrowienia. Stride pomachał mu w odpowiedzi. Gdyby jego życie potoczyło się zgodnie z przewidywaniami z czasów młodości, to on mógłby być teraz na miejscu tego mężczyzny.

Most wrócił na swoją pozycję. Stride wsiadł do samochodu. Jadąc do Point, słuchając, jak most jęczy pod kołami, co chwila spoglądał na rzęsiście oświetlony

statek zmierzający w głąb jeziora. Jakaś cząstka jego duszy płynęła razem z nim. Czuł to zawsze, gdy patrzył na odpływający statek. Między innymi dlatego mieszkał tam, gdzie mieszkał.

Mieszkańcy Point to było krzepkie plemię. Znosili turystów, wichury, sztormy, zamiecie śnieżne i lód w zamian za tych kilka idyllicznych letnich dni, gdy nigdzie na świecie nie było lepszego miejsca do życia. Wąski pasek lądu, który z roku na rok stawał się o parę centymetrów węższy; kępy trzcin i słusznego wieku drzewa oddzielały miniaturowe tylne ogródki ich domów od piasku plaży. W lipcową niedzielę Stride często siedział z leżakiem za pas trzcin, rozstawiał go i siedział godzinami, obserwując statki i żaglówki.

Tutejsze domy, oprócz tych, które wybudował sobie na miejscu zburzonych bogaty element napływowy z miasta, były przeważnie stare i zniszczone nieustannymi atakami żywiołów. Stride każdej wiosny ochlapywał swój farbą, wypróbując wszystko, co tylko było na rynku, ale żadna nie wytrzymała sezonu zimowego.

Jego dom, niecałe pół kilometra od mostu, zbudowany był na planie kwadratu o boku dziesięciu metrów. Drzwi, do których prowadziły dwa schodki, znajdowały się dokładnie na środku; po ich prawej stronie był pokój dzienny z dużym oknem od frontu. Na lewo od domu, na końcu piaszczystego paska, który można było uznać za podjazd, stał oddzielny garaż na jeden samochód.

Stride pogmerał kluczem w zamku, a potem ramieniem otworzył sobie drzwi. Stanąwszy w holu, zamknął je za sobą, opierając się o nie z zamkniętymi oczami. Wciągnął w nozdrza stęchlą woń starego drewna i mocny rybi odór kraba na parze, którego przyrządził sobie dwa dni temu. Ale to nie wszystko. Choć minął już rok, jak odeszła, wciąż wyczuwał w tym domu zapach Cindy. Może to dlatego, że przez piętnaście lat wdychał tę samą nutę perfum zmieszanych z mydłem kwiatowym i tak mu się wryła w wyobraźnię, że czuł ją jak realne zjawisko. Z początku starał się wygnać ten zapach ze swojego domu. Otwierał wszystkie okna, żeby wpuścić wiatr od jeziora. Ale kiedy zapach zaczął blednąć, ogarnął go lęk, że zniknie raz na zawsze, i z kolei zaczął wszystko szczelnie zamykać.

Coraz bardziej senny, powlókł się do sypialni, wysypał zawartość kieszeni na nocny stolik, strząsnął z siebie kurtkę i zostawił ją na podłodze tam, gdzie stał, a potem osunął się na nieposłane łóżko. W głowie mu dudniło. Nie pamiętał, czy zrzucił buty. Nieważne.

Zamknął oczy i znowu ją zobaczył; wiedział, że tak będzie. Od kilku tygodni sny były mniej wyraziste, ale dziś mógł się spodziewać kolejnej nocy udręki.

Stał na autostradzie, gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc. Brzegi opustoszałej drogi na długiej przestrzeni w obie strony porastały brzozy. Po drugiej stronie, za żółtą linią, na wąskim pasku chodnika stała Kerry McGrath rozpromieniona radosnym, beztróskim uśmiechem. Na jej twarzy perliły się kropelki potu. Zdyszana od biegu, gwałtownie łapała powietrze.

Pomachała do niego, dając znak, żeby przeszedł na jej stronę jezdni.

- Cindy - zawołał.

Uśmiech na twarzy Kerry zgasł. Odwróciła się i zniknęła między drzewami. Próbował ją dogonić, zbiegając po stoku za poboczem drogi. Zagłębił się w las. Nogi ciążyły mu jak kamień. Lewa ręka też. Gdy na nią spojrział, zobaczył, że trzyma w niej pistolet. Gdzieś w oddali usłyszał krzyk.

Potykał się na ścieżce, ocierając pot z czoła. A może to był deszcz? Woda sączyła się przez liście, wsiąkała w ścieżkę i jego włosy. Gdzieś przed nim przemknął cień - ogromny i groźny. Znów zawołał Kerry po imieniu.

- Cindy!

Przez labirynt drzew dostrzegł, że ktoś na niego czeka. To nie była Kerry.

To Rachel tam stała. Była naga. Zagroziła mu drogę na ścieżce, z rozpostartymi rękami wspartymi o dwie brzozy, w swobodnym rozkroku. Deszcz obmywał jej ciało, skapywał z piersi, spływał srebrnymi strużkami po brzuchu i zagłębiał się w szczelinę między nogami.

- Nigdy mnie nie znajdziesz - rzuciła mu.

Odwróciła się i puściła się biegiem. Jej ciało pochłonał las. Widział, jak połyskuje w oddali, między drzewami. Była taka piękna - odprowadzał wzrokiem jej coraz dalszą i mniejszą sylwetkę. Nagle, tak samo jak przed chwilą, jakiś groźny cień przemknął przez ścieżkę i zniknął. Podniósł broń. Zawołał Rachel.

- Cindy!

Przedarł się na niewielką polanę, gdzie ziemię porastał mokry mech. Bulgotał tam zdążający do jeziora strumień, ale woda, która toczyła się po kamieniach, miała barwę jaskrawej czerwieni. Trzaski i szmery lasu spotężniały, niemal huczały mu w uszach. Deszcz zaczął. Stride był już przemoczony do nitki.

Po drugiej stronie polany zobaczył Rachel.

- Nigdy mnie nie znajdziesz - zawołała znowu.

Gdy wpatrzył się w niewyraźny kształt na przeciwległym brzegu strumienia, uprzytomnił sobie, że to już nie Rachel tam stoi.

To była Cindy. Wyciągała do niego rękę.

Za jej plecami znów dostrzegł poruszający się cień. Potwora.

- Nigdy nic ci się nie udaje - powiedziała.

Stride leżał na łóżku z głową zanurzoną w poduszce. Jeszcze prawie we śnie, powoli zaczynał rejestrować rzeczywistość. Gdzieś w pobliżu dosłyszał szelest papieru i wyczuł zapach palonej kawy.

Otworzył oczy. W odległości paru metrów w skórzanym fotelu siedziała Maggie Bei z podkulonymi krótkimi nogami, z nadjedzonym pączkiem w jednej ręce i obtłuczonym fajansowym kubkiem z kolekcji Stride'a w drugiej. Przez rozsunięte do połowy zasłony za jej plecami widać było poranek na jeziorze.

- Twój dzbanek na kawę śmierdzi - powiedziała. - Ile on ma lat, dziesięć?

- Piętnaście - odparł Stride. Zamrugnął kilka razy, ale się nie poruszył. - Która godzina?

- Szósta rano.

- Poniedziałek?

- Niestety.

Stride jęknął. Spał tylko dziewięćdziesiąt minut. Rzecz jasna, Maggie, wciąż w tych samych dzinsach i skórzanej kurtce bordo, nie spała wcale.

- Jestem rozebrany? - spytał.

Maggie uśmiechnęła się szyderczo.

- Mhm. Masz ładny tyłeczek.

Stride wygrzebał głowę z poduszki i spojrzał za siebie. On też miał na sobie to samo ubranie co w nocy.

- Mam nadzieję, że zrobiłaś kawę i dla mnie.

Maggie wskazała stół, na którym porządnie ułożony na serwetce leżał oblany czekoladą pączek. Za nim parował kubek z kawą. Stride odgryzł kawałek pączka i upił kawy. Przeczesał palcami zmierzwiłone włosy. W dwóch kęsach skończył ciastko i zaczął rozpinać koszulę. Wyciągnął pasek z dzinsów.

- Od tego miejsca zaczyna się robić brzydki - ostrzegł.

- Jakbym nie wiedziała - odparła Maggie.

Spokojnie dalej jadła swoje śniadanie.

- Aha, chciałybyś.

Żartował, ale miał świadomość, że stąpa po grząskim gruncie. Pracował z Maggie od siedmiu lat. Była imigrantką z Chin, która sama pozbawiła się możliwości powrotu do domu, zabierając głos na politycznych zebraniach studenckich w czasie spędzonym na uniwersytecie stanu Minnesota. Stride zatrudnił ją zaraz po studiach. Okazała się bystrą uczennicą. Po niespełna roku znała się na prawie lepiej od niego i wielokrotnie wykazała się instynktem, dzięki któremu dostrzegała na miejscu zbrodni - a także w podejrzanych - szczegóły niezauważalne dla innych funkcjonariuszy. Od tego czasu Stride trzymał ją przy sobie.

Im dłużej pracowali razem, tym wyraźniej Maggie rozkwitała. Stawała się coraz dowcipniejsza, śmielsza, skora do żartów z siebie samej. Jej twarz przestała być maską powagi - nabrała ekspresji. Nauczyła się mówić po angielsku bez cienia obcego akcentu, a za to ze zdrową dawką sarkazmu i bluźnierstwa.

I w jakimś momencie zakochała się w swoim szefie.

To Cindy otworzyła mu oczy. Z miejsca wyczuła, co kryje się w duszy Maggie, i ostrzegła go, że jeśli nie będzie ostrożny, roztrzaska jej serce na drobne okruszki chińskiej porcelany.

Gdy Cindy odeszła, Maggie zrobiła pierwszy i jedyny ruch w grze o jego uczucie. Sześć miesięcy temu, w okresie jego najgłębszej samotności, w lodowaty wiosenny poranek wkradła się do jego domu i wsunęła do łóżka obok niego. To go obudziło; w niczyich oczach nie widział jeszcze tyle miłości. Pokusa była silna - tak bardzo potrzebował czyjejś bliskości, a ona była ciepła i gotowa.

Ale przypomniał sobie ostrzeżenie Cindy, pomyślał o drobnych okruskach chińskiej porcelany i oparł się jej. Miesiąc temu podziękowała mu za to. Powiedziała, że miał rację: to by zniszczyło ich przyjaźń, a jako romans nie zdałoby egzaminu. Ciekawe, czy naprawdę wierzyła w to, co mówi.

- Jak wypadła wizyta u Stonerów? - spytała.

Stride otworzył drzwi łazienki, rozebrał się do reszty i wszedł pod prysznic, drżąc z zimna, zanim woda z wolna się ogrzała.

- Matka twierdzi, że samobójstwo nie wchodzi w grę. A ty jak myślisz? - odkrzyknął.

- Matki zawsze twierdzą, że samobójstwo nie wchodzi w grę - odparła Maggie. - Ale podejrzewam, że gdyby ta dziewczyna chciała się zabić, zrobiłaby to pod ich nosem i mało tego, jeszcze by się postarała, żeby ich piękne dywany dobrze nasiąkły krwią.

Stride się uśmiechnął. Maggie rozszyfrowała Rachel. To nie był typ dziewczyny, która odchodzi w niebyt cichutko i dyskretnie.

- No a mamusia i zastępczy tatuś? - zawołała znowu Maggie. - Znasz zasady. Najpierw rodzina.

- Sami zadeklarowali chęć poddania się badaniom wariograficznym. Ale pytania będziemy musieli przepuścić przez Jego Świątobliwość Archiego Gale'a.

Dosłyszał, jak Maggie zakrztusiła się kawą.

- Cholera, nienawidzę tych bogatych rodziców. Najpierw dzwonią do adwokata, dopiero potem na policję.

Stride chwycił ręcznik, wytarł włosy i osuszył ciało. Potem zawinął go sobie wokół bioder i wrócił do sypialni.

- Musimy uważać - powiedział. - Sprawdzić oboje, ale dyskretnie. Graeme nie omieszkał podkreślić, że zna K-2.

- Tak, mnie też to powiedział. Co tydzień grają razem w piłkę ręczną. Nie mogę sobie wyobrazić K-2 grającego w piłkę ręczną. W każdym razie na przepisowym boisku.

Stride się roześmiał. K-2 - zastępca szefa policji Kyle Kinnick - nie był wyższy od Maggie. Nawet burmistrzowi zdarzało się nazywać go krasnalem.

- Mamy coś w zapisie z kamery przy bankomacie - dodała. - Tuż po dziesiątej zarejestrowała migawkowe ujęcie jej samochodu.

- Punkt dla Kevina. Była sama?

- W samochodzie nie było widać nikogo innego.

Stride przywdział jasnobrązowe dockersy, zapiał guziki białej koszuli i włożył granatową sportową kurtkę.

- Chodź. Muszę wypić jeszcze jedną kawę.

Maggie poszła za nim do kuchni. Stride otworzył okno. Poranne powietrze pachniało mrozem. Igiełki zimna kłuły go w wilgotną szyję.

- Musisz zawsze otwierać okno, kiedy na dworze jest tak przeraźliwie zimno? - wzdrygnęła się Maggie.

Stride nalał sobie kawy i usiadł przy kuchennym stole o grubym blacie. Zauważył spojrzenie, jakim Maggie obrzuciła jego zlew do połowy wypełniony brudnymi naczyniami. Odsunęła na bok stertę gazet i pocztę z trzech dni, żeby zrobić miejsce na swój kubek.

- Tak wygląda twoje życie? - spytała.

Stride wzruszył ramionami.

- Bo co?

- Nic.

- Bierzmy się do roboty - rzekł Stride. - Uważamy, że dotarła do domu, ponieważ mamy ją sfilmowaną, jak jechała, a samochód stoi tam, gdzie powinien stać.

- W samochodzie nie ma nic niecodziennego. Analizujemy odciski palców, ale nie spodziewałabym się rewelacji.

- Następne pytanie brzmi: czy weszła do domu. Jej sypialnia?

Maggie pokręciła głową.

- Wiemy, co wtedy miała na sobie. W jej pokoju nie znaleźliśmy żadnych rzeczy odpowiadających temu opisowi. Pytaliśmy Emily, czy czegoś nie brakuje, ale za wiele nie wniosła. Tak czy owak, szuflady są pełne ciuchów, a w biurku też zostało mnóstwo rzeczy osobistych. Jeśli wybrała się w podróż, to z minimalnym bagażem. Nie była też ubrana na sportowo. Nie tak jak Kerry.

- A może jakiś pamiętnik? Wiem, jestem marzycielem.

- Jesteś - przytaknęła Maggie. - Przeszukałam jej komputer. Miała bardzo mało plików osobistych. Sprawdziłam też, czy nie rozmawiała przez internet z jakimś psycholem. Ale jej e-maile dotyczyły w zasadzie tylko spraw szkolnych i nie widać, żeby zaglądała na jakieś podejrzanе strony. Damy to jeszcze do ekspertyzy; a nuż coś odzyskamy.

- A sąsiedzi?

- Ten i ów widział jakichś ludzi na ulicy, ale było ciemno. Twarzy raczej nie pamiętają. Kilka osób zauważyło spacerujące nastolatki, ale żadna nie przypominała Rachel. Mamy też jedną informację o nieznanym samochodzie, który tamtej nocy stał jakieś cztery przecznice od jej domu. Świadek nie pamiętał szczegółów - mówił, że był ciemny, może czarny, a może granatowy, czterodrzwiowy sedan, numer rejestracyjny chyba nie z Minnesoty. Przesłuchaliśmy mieszkańców okolicznych domów. Samochód nie należy do nikogo z nich i nikt też nie miał gości z innego stanu.

- Ciekawe - powiedział Stride. - Oczywiście jeśli pominąć tych kilka tysięcy turystów goszczących jak zwykle w naszym pięknym mieście.

- Właśnie.

- A inne drogi wyjazdu? Coś z tej strony?

Maggie pokręciła głową.

- Nic. Między dwudziestą drugą w piątek a wczesnym rankiem w sobotę nie było żadnych wylotów. Ale na wszelki wypadek przepytamy personel lotniska. To samo jeśli chodzi o autobusy - i tu, i w Wisconsin.

- Mogła dojść do autostrady i zatrzymać jakiś samochód - wysunął przypuszczenie Stride.

- Też o tym pomyślałam. Przefaksowaliśmy jej zdjęcie i informację do patroli drogowych w całym stanie i na granicach. Guppo umieścił to wszystko na naszej stronie internetowej. Policja stanowa będzie sprawdzać wszystkie miejsca, gdzie można coś zjeść i wszystkie stacje benzynowe przy autostradzie międzystanowej. A że dzięki Birdowi Finchowi media dosłownie się na tę sprawę rzuciły, przynajmniej od razu mamy jej zdjęcie na tytułowych stronach gazet.

Stride bez trudu mógł sobie wyobrazić niemilknący dzwonek gorącej linii. Gdy szukali Kerry McGrath, odebrali blisko dwa tysiące zgłoszeń lokalizujących dziewczynę wszędzie od Nowego Orleanu po Fresno. Z pomocą sił policyjnych całego kraju metodycznie sprawdzali każdy ślad. Wszystkie prowadziły w jedno i to samo miejsce - donikąd.

- A zboczeńcy?

Maggie westchnęła.

- Aktualnie w mieście przebywa pięciu przestępców seksualnych trzeciego stopnia. Pierwszego i drugiego stopnia - kilkudziesięciu. Oczywiście złożymy wizytę każdemu z nich.

- Dobra. - Stride czuł narastający ucisk w skroniach.

To nie był tylko brak snu, to było gorzkie podobieństwo. Zniknięcie. Poszukiwania. Poszlaki. Nie wiedział, czy znajdzie siłę, żeby przerobić to wszystko jeszcze raz i stawić czoło kolejnej kłęsce. W dodatku tym razem będzie musiał przejść przez to piekło samotnie. Bez Cindy.

- Szeffie? - zagadnęła Maggie, wrywając go z zamyślenia.

Uśmiechnął się blado.

- Tak, jestem. Słuchaj, jeśli ta dziewczyna uciekła z własnej woli, musiała mieć pomocnika. Musiała z kimś rozmawiać. Ty dziś kierujesz śledztwem i kontaktujesz się ze mną przez komórkę. Ja się przejdę do jej szkoły i przepytam nauczycieli i znajomych. Przekonajmy się, czy uda nam się dowiedzieć, co w tej małej siedzi.

6.

Stride spędził już w szkole dwie godziny i desperacko chciało mu się papierosa. Nałóg palenia w jego wydaniu był szczególnie kosztowny.

Kupował paczkę, wypalał jednego albo dwa papierosy, po czym wściekał się na siebie i wyrzucał resztę. Następnego dnia znów chwycił go głód nikotyny i kupował kolejną paczkę.

Liceum było wyraźnie oznakowane jako strefa bezdymna. Ale na końcu głównego korytarza, między czerwonymi szafkami ze sprzętem przeciwpożarowym dostrzegł tylne wyjście. Przeszedł przez jedno, drugie, trzecie drzwi i ruszył w kierunku pustego boiska do piłki nożnej po drugiej stronie alejki. Minał parking dla nauczycieli i okrążył osobny budynek z tablicą głoścącą, że jest to centrum techniczne.

Stride doszedł do rogu i przyjrzał się opustoszałemu boisku, z którego teraz korzystały jedynie grupki mew. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę, kilka razy pstryknął w dno paczki, aż jeden papieros się wysunął. Złożył dłonie, starając się osłonić płomyk. Próbował kilka razy, aż wreszcie końcówka papierosa się

rozżarzyła i zaciągnął się z lubością. Dym, który wypełnił mu płuca, był kojący jak towarzystwo starego przyjaciela. Napięcie nieco zelżało. Zaniósł się głębokim, dudniącym kaszlem.

- To zabójstwo dla zdrowia - odezwał się ktoś za jego plecami.

Stride poczuł się winny - jak uczeń przyłapany na paleniu pod szkołą. Odwrócił się i na stalowych stopniach niskich schodków prowadzących do tylnego wyjścia z centrum technicznego zobaczył atrakcyjną blondynkę. Ona także trzymała papierosa. Stride uśmiechnął się do niej na znak wspólnoty w przestępstwie.

- Przynajmniej umrzemy szczęśliwi - odparł.

Zrobił kilka kroków w jej stronę i oparł się o barierkę przy schodach.

- Zastanawiam się, czy lepiej jest palić czy pić.

- Czemu nie jedno i drugie - podsunął Stride.

- Myślałam i o tym. Ale jeszcze się nie zadeklarowałam.

Miała trzydzieści parę lat. Ubrana była w zasuniętą pod szyję czerwoną polarową kurtkę i nowe, jeszcze sztywne czarne spodnie. Wyglądała jak była cheerleaderka: jędrne ciało, sportowa sylwetka, krótkie, wycieniowane jasne włosy. Oczy barwy bladego błękitu. Miała zadziorny wyraz twarzy, zadarty nos i zaczerwienione od zimna policzki.

Odniósł wrażenie, że już ją zna. Powiedział jej o tym.

- Poznaliśmy się w zeszłym roku - poinformowała go. - Nazywam się Andrea Jantzik. Jestem nauczycielką. Kerry McGrath była moją uczennicą. Przesłuchiwał mnie pan w czasie śledztwa w jej sprawie.

- Czy uczyła pani także Rachel?

Andrea pokręciła głową.

- Ona nie chodziła na chemię, tylko na biologię. Peggy, to jest nauczycielka biologii, powiedziała mi dziś o niej. Ja jej nie znałam.

Stride pogrzebał w kieszeni i wyciągnął zmięty kawałek papieru - spis kursów i stopni Rachel, który dostał w sekretariacie.

- Czy rok temu nie uczyła jej pani angielskiego?

- To nie ja, to Robin Jantzik. To on uczy - uczył - tu angielskiego. Ale jeśli chce pan z nim porozmawiać, obawiam się, że będzie pan go musiał odwiedzić u nowej żony w San Francisco.

- Mąż? - spytał Stride.

- Dawno, dawno temu.

- Przykro mi. Czy to coś pomoże, jeśli powiem, że faceci to świnię?

Andrea się roześmiała.

- To już wiem.

Przeglądał się w jej cynicznym uśmiechu jak w lustrze. Znał również ten mur, jakim się obwarowała, bo sam wznosił wokół siebie; identyczny. Widział to w twarzy, gdy przyjrzał się jej z bliska: zmarszczki wokół ust, martwy wzrok, grubsza niż trzeba warstwa makijażu; daremna próba odświeżenia cery. Strata ciężko ją dotknęła, tak samo jak jego.

- Wtedy wróciła pani do papierosów? - zaryzykował.

Sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Czy to aż tak widać?

- Też coś takiego przechodziłem. Rok temu. Wtedy znowu zacząłem palić.

- A mnie się zdawało, że rok temu rzuciłam - odparła Andrea. - Ale nie ma tak dobrze.

- Czy pani mąż kiedykolwiek wspominał o Rachel?

Andrea pokręciła głową.

- Nie. Miał bardzo dużo uczniów.

- A inni nauczyciele albo uczniowie? Czy nie przychodzi pani do głowy ktoś, kto mógłby znać ją bliżej?

- Mógłby pan porozmawiać z Nancy Carver. To psycholog szkolny. Dziś rano w kafeterii miała wiele do powiedzenia na temat Rachel.

- Na przykład?

- Uważa, że to całe poszukiwanie to strata czasu.

- A mówiła dlaczego?

Andrea znowu pokręciła głową.

- Więc Rachel korzystała z jej pomocy?

- Nie wiem. Nancy nie pracuje w naszej szkole na etacie. Wykłada na uniwersytecie, a tu pomaga jako wolontariuszka uczniom z trudnościami. Głównie dziewczętom.

- Ma jakiś gabinet?

- Raczej schowek. Na pierwszym piętrze. Ale muszę pana ostrzec. Jest pan w posiadaniu pewnego narzędzia, którego Nancy nie akceptuje.

- Pistoletu? - spytał Stride, zaskoczony.

- Penisa.

Stride roześmiał się. Andrea także zachichotała i po chwili oboje zanosili się od śmiechu. Przyglądali się sobie, ciesząc się dowcipem i wzbudzonym przez sytuację delikatnym prądem wzajemnego oddziaływania. Jak dziwnie było śmiać się. Nie umiał sobie przypomnieć, ile to już czasu minęło, odkąd czuł się tak rozluźniony, by dopatrzeć się w czymś walorów humorystycznych. Albo odkąd dzielił to uczucie z kobietą.

- Przynajmniej pan wie, czego się pan może spodziewać.

- Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

- Proszę mi mówić Andrea. Czy może regulamin tego zabrania?

- Nie zabrania. Mam na imię Jonathan.

- Moim zdaniem bardziej do ciebie pasuje Jon.

- Może być i tak.

Stride zawahał się, nie wiedząc dlaczego. Po chwili uprzytomnił sobie, że miałby ochotę powiedzieć coś jeszcze, zaprosić ją na kolację, spytać, jaki jest jej ulubiony kolor, albo ująć w palce ten jeden kosmyk jasnych włosów, który spadł jej na twarz i delikatnie go odsunąć. Siła tego uczucia nagle go obezwładniła. Może dlatego, że niemal od roku nie doznał nawet przebłysku takiego nastroju. W głębi serca tak długo był jak martwy, że miał wątpliwości, czy potrafi się obudzić.

- Źle się czujesz? - spytała Andrea.

Na jej twarzy pojawił się wyraz troski. Uprzytomnił sobie, że to bardzo ładna twarz.

- Nie, wszystko w porządku. Jeszcze raz dzięki.

Zostawił ją na schodach. Dziwne uczucie minęło. Ale nie do końca.

Stride znalazł miejsce urzędowania Nancy Carver w maleńkiej pakamerze niemal niewidocznej ze szkolnego korytarza. Dopiero gdy zajrzał za załom muru, dostrzegł wąskie drzwi z nazwiskiem Nancy wyrytym na zawieszanej na gwoździu deseczce. Zdjęcia i druki, którymi były oklejone, z pewnością wprawiały członków ciała pedagogicznego w histerię.

Były wśród nich artykuły prasowe o niebezpieczeństwach homofobii. Inne, ze starannie wyciętymi ilustracjami, potępiały rozpowszechnianie pornografii. Na ulotce z ostatniego dorocznego zjazdu Amerykańskiego Towarzystwa Homoseksualnych Pracownic Wyższych Uczelni jej nazwisko było wytłuszczone jako jednej z mówczyń. Niezliczone fotografie przedstawiały kobiety w strojach turystycznych na łonie natury.

Stride rozpoznał Black Hills i malownicze wodospady, jak się domyślił, kanadyjskie. Bohaterkami tych zdjęć były przede wszystkim nastolatki i młode osoby w wieku studenckim. Jedynym wyjątkiem w ich gronie, obecnym na większości fotek, była niewysoka, mocno zbudowana kobieta około czterdziestki o krótko ostrzyżonych brązowoczerwonych włosach, w dużych ciemnych okularach o grubych oprawkach. Na większości zdjęć ubrana była w ten sam strój; zieloną polarową bluzę i sprane niebieskie dżinsy.

Stride uważnie obejrzał dziewczyny na wszystkich zdjęciach, ale w żadnej z nich nie rozpoznał Rachel - ani Kerry. Poczł lekkie rozczarowanie.

Już miał zastukać do drzwi, gdy dosłyszał ze środka niewyraźne dźwięki. W jednej chwili zmienił plan i zastanawiając się, czy okażą się zamknięte na klucz, po prostu nacisnął klamkę i pchnął. Drzwi otworzyły się do wewnątrz i huknęły w ukośną ścianę, zostawiając przejście o niespełna metrowej szerokości.

Zanim dwie osoby obecne w pomieszczeniu zdobyły się na jakąkolwiek reakcję, oczy Stride'a objęły całą scenę. Nastolatka o pulchnej dziecinnej twarzy i prostych jasnych włosach z zamkniętymi oczami spoczywała w podniszczonym niebieskim fotelu, który ledwo się tu mieścił. Nancy Carver stała za oparciem. Szeroko rozstawionymi palcami masowała policzki i czoło dziewczyny. Oczy, osłonięte okularami, także miała zamknięte. Gdy drzwi walnęły w ścianę, obie gwałtownie otworzyły oczy. Nancy oderwała dłonie od skóry swojego gościa, jakby sparzyła ją żywym ogniem.

Dziewczyna na fotelu nie spojrzała na Stride'a, ale wykręciła szyję i nerwowo zerknęła na Nancy Carver. Ta z kolei z ledwo hamowaną wściekłością wbiła wzrok w Stride'a.

- Co pan sobie, u diabła, wyobraża? Jak pan śmie tak po prostu tu włązić?

Stride użył swojego najmiłszego tonu szczerzej skruchy.

- Bardzo panią przepraszam. Chciałem z panią porozmawiać. Nie wiedziałem, że u pani ktoś jest.

Dziewczyna właśnie zmagala się z fotelem, próbując przesunąć go do wygodniejszej pozycji, by wstać. Unikała wzroku Stride'a.

- Muszę wracać na lekcje. Serdecznie dziękuję, Nancy.

- Oczywiście, Sarah. Przyjdź we czwartek - odpowiedziała jej Carver łagodniejszym głosem.

Sarah zgarnęła z biurka Nancy Carver stosik książek. Trzymając je przy piersiach, niezdarnie przecisnęła się obok Stride'a. Bez zbędnej zwłoki zniknęła na korytarzu.

Stride zamknął drzwi. Nancy Carver nie poruszyła się. Nadal stała za oparciem starego fotela, przypatrując mu się jak insektowi. Jej rozwścieczone brązowe oczy za szklami okularów wydawały się nienaturalnie wielkie. Była jeszcze niższa, niż można było sądzić na podstawie fotografii, ale dobrze umięśniona.

- Czego pan ode mnie chce? - spytała.

- Moje nazwisko Jonathan Stride - zaczął, ale zgasła go niecierpliwym machnięciem ręki.

- Tak, tak, wiem, kim pan jest. Z policji, prowadzi pan śledztwo w sprawie zniknięcia Rachel i marnuje mój czas. - Wróciła do biurka i usiadła na drewnianym krześle. - Niech mi pan powie coś nowego.

Stride rozejrzał się po maleńkim gabinecie. Biurko było typowo szkolne - biała laminowana płyta na aluminiowych nogach. Zajmowały go stosy książek w twardych oprawkach o tajemniczych, niewątpliwie związanych z psychologią tytułach i niemal pękające od papierów segregatory. Telefon był cały oblepiony karteczkami z różnymi notatkami. Poza krzesłem, biurkiem i fotelem nie było tu innych mebli.

Jeszcze tylko korkowa tablica na ścianie, tak samo jak drzwi do pomieszczenia obwieszona wycinkami prasowymi i zdjęciami.

Niespiesznie zajął miejsce w fotelu, rozsiadł się wygodnie. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął notes, przeszukał kilka innych i wreszcie znalazł długopis, potem westchnął i opadł na miękkie oparcie. Otworzył notes, przewrócił kilka kartek wstecz i chwilę wpatrywał się w niewyraźne zapiski, drażniąco cmokając językiem. W końcu podniósł wzrok na Nancy Carver, która siedziała na swoim krześle z cierpliwością bomby zegarowej.

- Moja współpracownica twierdzi, że powinienem poddać się psychoterapii - powiedział tonem miłej pogawędki. - Czy każdy pacjent może liczyć na mały masażyk twarzy?

Twarz Nancy była jak wykuta z kamienia.

- Sarah nie jest pacjentką.

- Nie? Fatalnie. Słyszałem, że jest pani doktorem, ale może źle zrozumiałem. Czy więc jest pani fizjoterapeutką?

- Mam magisterium i doktorat z psychologii, panie inspektorze. Jestem etatowym nauczycielem akademickim uniwersytetu stanu Minnesota. Ale tu, z tymi dziewczętami, jestem po prostu Nancy.

- To miłe. Więc co to było, ta scenka z Sarah? Przyjęcie piżamowe?

- Nie. Co prawda to nie pański interes, ale Sarah ma zaburzenia snu. Pokazywałam jej techniki relaksacyjne. To wszystko.

Stride pokiwał głową.

- Relaks to świetna sprawa. Moja współpracownica powiada, że i tego powinienem spróbować.

- Może powinna panu też powiedzieć, żeby pan szybciej przechodził do rzeczy. Pańska gierka jest czasochłonna, a doskonale czytelna, więc może by pan już zadał mi swoje pytania i pozwolił wrócić do pracy?

Mówiąc to, Nancy Carver po raz pierwszy się uśmiechnęła, aczkolwiek bez śladu ciepła.

Stride odpowiedział uśmiechem.

- Gierka?

- Gierka. Zobaczymy, kto kogo lepiej przeanalizuje. Niech pan nie zapomina, że ja z tego żyję. Bądźmy lepiej uczciwi, dobrze? Poza wszelkimi wnioskami na temat śledztwa, jakie pan mógł wyciągnąć, ocenił mnie pan także jako obiekt seksualny. Uznał pan, że nie jestem na tyle atrakcyjna, by stanowić wielką stratę dla heteroseksualnego społeczeństwa. Zauważył pan jednak, że jestem wysportowana i biorąc pod uwagę mój zadziorny sposób bycia, wyobraził pan sobie, że gdyby jakimś cudem udało się panu zaciągnąć mnie do łóżka, byłaby to zapewne całkiem niezła jazda. Wszystko to wzbudziło w pańskiej wyobraźni fantazje o tym, jak kocham się z innymi kobietami - i ciekawość, czy uprawiam tu seks z nastolatkami. Ma pan nadzieję, że zachowując się nonszalancko i atakując moje słabe punkty, sprawi pan, że wymknie mi się jakiś mroczny sekret.

- To niesamowite - powiedział Stride. - Gdyby pani mogła mi jeszcze powiedzieć, kto wygra w Pucharze Świata.

Nancy Carver pozwoliła sobie na jeszcze jeden powściągliwy uśmiech.

- Mam rację, prawda?

- No dobrze, skoro już pani poruszyła ten temat; uprawia pani tu seks z nastolatkami?

- Nie uprawiam seksu z osobami niepełnoletnimi, panie inspektorze - odpowiedziała powoli, akcentując każde słowo.

- Dobra odpowiedź. Co prawda nie na to pytanie, które pani zadałem, ale dobra. Podobają mi się zdjęcia na pani drzwiach. Często zabiera pani uczennice na wycieczki.

- Nazywam je feministycznymi rekolekcjami naukowymi.

- Czy w tych rekolekcjach uczestniczą osoby niepełnoletnie?

- Oczywiście. Za pozwoleniem rodziców.

- Ciekaw jestem, czy Rachel kiedykolwiek towarzyszyła pani w tych rekolekcjach.

- Nie, nigdy - odparła Nancy.

- A Kerry McGrath?

- Nie, nie znałam Kerry. Czy pan sugeruje, że jestem w jakiś sposób zamieszana w ich zniknięcie?

Stride pokręcił głową.

- W żadnym razie. Szukam punktów zaczepienia.

- Więc czemu nie zacząć od aktywistki ruchu lesbijskiego, prawda?

- Nie do wiary, pani czyta w moich myślach. Czy kiedykolwiek udzielała pani porad którejś z tych dziewczyn?

- Nie udzielam tu porad, panie inspektorze.

- Cóż, skoro wyjaśniła mi pani, że nie jest pani szkolną fizjoterapeutką, to czym się pani tu zajmuje, jeśli nie poradnictwem?

- Jestem ich mentorką. Albo po prostu przyjaciółką. Nie regulują tego żadne zależności formalne.

- To dziwne, nie sądzi pani? No bo przecież ma pani magisterium i doktorat z psychologii, jest pani etatowym nauczycielem akademickim na uniwersytecie stanu Minnesota, a na pani biurku widzę masę książek z wyrazem kończącym się na „logia” w tytule.

- Nie ma w tym nic dziwnego, panie inspektorze. Co więcej, można by nawet powiedzieć, że to pan jest powodem mojej obecności w tym miejscu.

- Ja? A to jakim sposobem?

Nancy Carver pochyliła się nad biurkiem z pedantycznie złożonymi dłońmi i świdrującym spojrzeniem wielkich brązowych oczu.

- No cóż, ponieważ nie znalazł pan w końcu Kerry McGrath, pozostawił pan wiele uczennic tej szkoły z niewyleczonym urazem.

Stride skrzywił się.

- Nie nadążam za pani rozumowaniem.

- Wobec tego powiem wyraźniej. Po zniknięciu tamtej dziewczyny, czyli od sierpnia ubiegłego roku, w szkole zaczęły się kłopoty z niektórymi uczennicami. Opuszczały lekcje, ni stąd, ni zowąd miewały napady płaczu, przejawiały skłonność do zachowań autodestrukcyjnych. Wtedy ja zaproponowałam swoje usługi - konsultacje wolontariusza i nie w sensie zawodowym, ale życiowym, czyli kogoś, kto zdoła nawiązać z nimi kontakt i porozmawiać o ich lękach. Miarą stopnia zaniepokojenia władz szkolnych niech będzie to, że nie wgłębiały się w moje preferencje polityczne czy seksualne, tylko powitały mnie z otwartymi ramionami. A ja przekonałam się, że lubię pracować z dziewczętami. Tak więc przekształciłam to w stałą współpracę, dwa popołudnia tygodniowo. Kilka razy zabierałam też niewielkie grupki na swoje rekolekcje. Nie jestem terapeutką, choć moje zawodowe doświadczenie z pewnością pomaga. Przede wszystkim jestem kimś, z kim te młode osoby mogą szczerze rozmawiać.

- Czy miała pani okazję zaprzyjaźnić się z Rachel?

Wpatrywał się w jej twarz, czekając na reakcję. Nie pojawiło się nic, nawet drgnienie, żadna próba ukrycia czegokolwiek, wciąż to samo spokojne spojrzenie.

- Znałam ją - odparła, w dalszym ciągu nie zdradzając niczego.

- Jak blisko?

- Spotkałyśmy się kilka razy. Nie należała do grona moich stałych rozmówczyń. I jak już mówiłam, nie była z nami nigdy na rekolekcjach.

- Po co do pani przychodziła?

Nancy chwilę milczała. Spokojnie wpatrywała się w Stride'a.

- Nie jestem upoważniona, żeby panu o tym powiedzieć - oświadczyła w końcu.

- Dlaczego? - spytał Stride zirytowany. - Wyjaśniła pani bez żadnych wątpliwości, że pani relacje z uczennicami nie miały charakteru zawodowego, a więc tajemnica zawodowa pani nie obowiązuje, prawda?

- Moje zobowiązania w tym względzie zależą od tego, jak Rachel postrzegала naszą relację i czy ona uważała mnie za terapeutkę. Tak czy inaczej, powiedziała mi pewne rzeczy jedynie pod warunkiem, że pozostaną one wyłącznie między nami. Musiałam jej obiecać, że nie powiem o tym nikomu. A jeśli zyskam sobie sławę osoby, która zdradza powierzone jej tajemnice, panie inspektorze, nie odniosę w swoim zawodzie sukcesu, bez względu na to, czym się zajmę.

- Ale przecież musi pani rozumieć, że sytuacja się zmieniła. Dziewczyna zniknęła. Jeśli coś, co pani wie, może przyczynić się do jej odnalezienia, ma pani wręcz obowiązek wobec Rachel, żeby nam o tym powiedzieć.

Nancy Carver pokręciła głową.

- Niestety, to nie jest prawda.

- Pani doktor, ta dziewczyna może być w poważnym niebezpieczeństwie - nalegał Stride.

- Panie inspektorze, nie wiem o niczym, co pomogłoby wam ją odnaleźć. Proszę mi wierzyć.

- Mówiła pani w szkole, że pani zdaniem nigdy nie znajdziemy Rachel. Dlaczego? Na jakiej podstawie pani tak sądzi?

- Nie znaleźliście Kerry - odparła.

- Czy ma pani powody, by przypuszczać, że te dwie sprawy są ze sobą związane?

- Nie, nie chciałam nic takiego sugerować. Nie mam powodu, by tak myśleć.

- A jednak jest pani pewna, że nie znajdziemy Rachel - powtórzył Stride.

- Nie jestem pewna, czy ona chce, żebyście ją znaleźli.

Oczy Stride'a się zwężiły. Zerwał się z fotela i przechylił przez biurko, obiema dłońmi ściskając jego krawędź. Chciał, żeby Nancy Carver każdym centymetrem ciała poczuła jego fizyczną obecność.

- Jeśli jest pani w posiadaniu jakichś informacji, żądam, żeby je pani ujawniła. Niech mnie pani nie zmusza, żebym przyszedł do pani z nakazem aresztowania.

Nancy Carver nawet nie drgnęła. Płonącym wzrokiem odpierała jego spojrzenie.

- Śmiało, panie inspektorze. Nie może mnie pan aresztować za domysły i nie może mnie pan zmusić, żebym powiedziała, co wiem. Już to panu mówiłam i powtarzam raz jeszcze. Nie wiem, gdzie jest Rachel. Nie wiem, co się z nią stało. Nie mam żadnych informacji, które mogłyby panu pomóc w jej odnalezieniu.

- Ale sądzi pani, że ona żyje - powiedział Stride. - Że zniknęła z własnej woli.

- Powiem panu, co sądzę, panie inspektorze. Za pół roku Rachel Deese będzie miała osiemnaście lat. Wtedy nawet jeśli pan ją znajdzie, nie będzie pan jej mógł zmusić do powrotu.

Stride potrząsnął głową.

- Pani milczenie jej nie pomaga. Jeśli uciekła, jeśli miała powody, żeby uciec, muszę to wiedzieć. Poznałem jej matkę. Wiem, że między nimi toczyła się nieustanna wojna. Ale jeśli będzie sama, może się wpakować w poważne kłopoty. Czy muszę pani mówić, czym się kończy większość ucieczek nastolatek? Ile z nich jest bezdomnych? Ile staje się prostytutkami?

Przez chwilę wydawało się, że może jeszcze wygrać. W oczach Nancy dostrzegł przelotny cień słabości. Wiedziała, że mówi prawdę. Ale potem znów pojawiła się w nich stal, a na twarzy maska.

- Przykro mi. Nie wiem nic, co mogłoby panu pomóc. Przedstawiałam jedynie moją prywatną opinię.

- Czyli?

Nancy wzruszyła ramionami.

- To, co już powiedziałam. Nigdy jej nie znajdziecie.

7.

Heather Hubble skręciła w lewo i zjechała z pięćdziesiątkitrojki na nieoznakowaną wiejską drogę niecałe piętnaście kilometrów od Duluth. Na nierównej, poślizniętej koleinami powierzchni samochodem trzęsło i rzucało. Na siedzeniu obok niej w tym samym rytmie trzęsła się jej sześciolatka córka Lissa.

Był czwartek, późne popołudnie. Heather chciała wykorzystać blednące światło i wydłużające się cienie, aby sfotografować zrujnowaną szopę kilka kilometrów stąd na południe. Specjalnie wyczekała, aż wszechobecne kolory jesieni zaczną w zauważalny sposób tracić swoją świetność. Jaskrawoczerwone liście zrudziały. Żółcienie wyblakły i nabrały zielonkawego odcienia. Coraz więcej liści opadało; na polach wokół szopy powinno ich być mnóstwo. Idealny moment. Także sama szopa znajdowała się w stanie daleko posuniętego rozpadu. Obiekty jej fotografii będą wzajemnie wzmacniać efekt swojego wyglądu.

- Podoba mi się ta droga, mamus - powiedziała Lissa, podskakując na siedzeniu. - Jest ładna i podrzuca.

Przycisnęła nos do szyby, przyglądając się drzewom. Na zewnątrz padał jednostajny deszcz uschniętych liści.

- Daleko jeszcze? - spytała niecierpliwie.

- Już nie - odparła Heather.

Tuż za zakrętem po lewej stronie wyłoniła się szopa. W jej oczach piękna i romantyczna, w rzeczywistości była to po prostu od dawna opuszczona stara rudera. Heather sądziła, że nie przetrwa tej zimy, choć myślała tak już od dobrych paru lat. Przypuszczała, że resztki dachu załamią się pod ciężarem śniegu, który zresztą w kilku miejscach przeżarł już w nim postrzępione dziury. Czerwona farba, którą była pomalowana wyblakła, popękała i oblażała. Okna wybiły kamieniami okoliczne wyrostki. Cała konstrukcja zdawała się zapadać do wewnątrz, pochylone ściany były już mocno niestabilne. Jeśli przyjedzie tu, dajmy na to, w lutym, z szopy zostanie już zapewne zaledwie stos przysypanych śniegiem belek.

Skręciła w zarośniętą trawą drogę, a właściwie nie tyle drogę, co szlak wydeptany w ciągu wielu lat przez licznych odwiedzających to miejsce. Zaparkowała i wysiadła. Lissa wygramoliła się za nią.

- Ja tu jeszcze nie byłam, prawda, mamus? - spytała.

- Nie, chyba nie. Kiedy ja tu przyjeżdżałam, ty byłaś w szkole.

- Nie wygląda najlepiej, co?

Heather się roześmiała.

- Rzeczywiście.

- Mogę ją obejrzeć?

- No pewnie. Ale nie wchodzić do środka. To niebezpieczne.

- W takim miejscu mogłyby być duchy - oznajmiła Lissa. - Jak myślisz?

- Kto wie, może.

- Skąd znasz to miejsce? - spytała Lissa.

Heather uśmiechnęła się.

- Kiedy byłam nastolatką, często tu bywałam. Jak wiele z nas.

- Po co?

- Po prostu lubiliśmy myszkować. Tak samo jak ty.

Nie mogła wyjawić prawdziwej przyczyny. W tamtych czasach ona, jak i dziesiątki innych nastolatków z Duluth, przyjeżdżali tutaj, żeby uprawiać seks. To była najgorętsza melina w całym okręgu. Doszło do tego, że po szkole kursowała tajna lista, żeby nie parkowało tu zbyt wiele osób naraz. Pierwsze doświadczenia seksualne Heather zdobywała właśnie tutaj, w tylnej części furgonetki, pod gwiazdami.

Ciekawe, czy i dziś uczniowie wykorzystują szopę do tego celu? Z tyłu, za nią nadal widoczne były zachodzące na siebie ślady kół. Zauważyła też, że pole zaśmiecają liczne butelki po piwie. Gdyby dobrze poszukała, zapewne znalazłaby też zużyte prezerwatywy.

Zwróciła wzrok na Lissę.

- I nie dotykaj niczego.

Lissa spochmurniała.

- To co mam robić?

Heather złagodziła stanowisko.

- Możesz brać do ręki kamienie i patyki, ale nie rzeczy, które należały do innych ludzi, jasne? A jeśli nie wiesz, co to jest, to nie ruszaj.

- Dobrze. - Lissa wzruszyła ramionami.

Rozdzieliły się. Heather patrzyła za Lissą, gdy ta powędrowała w zarośla.

Upewniwszy się, że wszystko w porządku, Heather zaczęła się przygotowywać do zdjęć, przechodząc to tu, to tam, przymierzając się, szukając odpowiedniego kąta. Gdy w końcu wybrała miejsce i zaczęła rozstawiać sprzęt, Lissa dała nura za szopę.

- Hej, uważaj tam! - zawołała za nią.

Lissa odchrzyknęła coś w odpowiedzi, ale Heather nie dosłyszała.

Uklękła i spojrzała w okienko aparatu, gdzie zaczynał się zarysowywać obraz.

Słońce za jej plecami zbliżało się do czubków najwyższych drzew. Heather poczuła ucisk w żołądku i mrowienie w czubkach palców, jak zawsze gdy wiedziała, że osiągnie dokładnie ten efekt, o który jej chodzi. Odczekała kilka sekund, żeby jeszcze raz zmierzyć światło i dostosować przesłonę. Na koniec, wreszcie gotowa, nacisnęła migawkę, potem jeszcze raz i jeszcze raz, przy wtórze mechanicznego szmeru przesuwającego się filmu.

- Mamuś! - krzyknęła Lissa zza stodoły. - Chodź, zobacz!

- Za chwileczkę, skarbie.

- Patrz, patrz, patrz! - Lissa wybiegła zza szopy.

- Lissa, mamusia jest zajęta. O co chodzi?

- Zobacz, co znalazłam. Prawda, że ładne?

Heather na chwilę oderwała wzrok od aparatu. To wystarczyło, żeby dojrzeć, iż Lissa trzyma w ręku złotą bransoletkę.

- Gdzie to znalazłaś, skarbie?

- Za szopą.

Heather zmarszczyła brwi.

- A czy ja ci nie mówiłam, żebyś nie brała niczego do ręki? Żadnych rzeczy innych ludzi?

- Tak, ale to co innego - upierała się Lissa.

- Jak to co innego?

- Nie jest niebezpieczne ani nic, to tylko bransoletka.

- Owszem, i to bransoletka należąca do kogoś innego, kto zapewne tu wróci i będzie jej szukać - odparła Heather. - A teraz odłóż ją tam, gdzie znalazłaś.

- To znaczy, że nie mogę jej wziąć?

Heather westchnęła. Z Lissą i biżuterią zawsze tak było.

- Nie, nie możesz jej wziąć. Jest własnością kogoś innego. Masz ją natychmiast odnieść na miejsce.

- Ten ktoś na pewno już by jej nie chciał - protestowała żałośnie Lissa. - Jest cała brudna.

- No to czemu ty ją chcesz?

Na to Lissa nie miała gotowej odpowiedzi. Zastanowiła się.

- Mogę ją wyczyścić - powiedziała wreszcie.

- Podobnie jak osoba, do której należy. Koniec dyskusji. Odłóż bransoletkę na miejsce.

Lissa skapitulowała i z nieszczęśliwą miną poszła za szopę. Heather z ulgą skupiła uwagę na aparacie. Znowu spojrzała w okienko. Idealnie.

Za szopą Lissa z ociąganiem położyła bransoletkę tam, gdzie ją znalazła, to znaczy w kałuży błota. Ale to naprawdę nie było w porządku. Nie wierzyła, że ktoś może tu po nią wrócić.

- Ale mamusia kazała - szepnęła do siebie.

Odłożywszy ją, Lissa podjęła przeszukiwanie terenu. Miała już całkiem udaną kolekcję, kilka ciekawych kamieni ładne błękitne kwiatki, jedno i drugie upchnięte w kieszeniach. Nie była świadoma upływu czasu. Wydawało jej się, że minęła zaledwie chwila do czasu, gdy znów podniosła główkę i zobaczyła, że słońce schowało się już za drzewami.

Jednocześnie usłyszała wołanie matki.

- Lissa, chodź, czas wracać!

Choć raz nie trzeba jej było tego powtarzać. Puściła się biegiem w kierunku szopy. Po drodze musiała jednak minąć błotnistą kałużę, w której leżała bransoletka.

- Lissa! - zawołała znowu matka.

Lissa pomyślała chwilę. Bransoletka naprawdę się jej podobała, a ten ktoś, kto ją tu zostawił, wykazał się sporą niedbałością. Mogłaby ją wziąć, wyczyścić i przechowywać, a gdyby poprzednia właścicielka kiedykolwiek chciała ją odzyskać, u niej będzie bezpieczna. Nadal jednak uważała, że ta osoba mogła ją po prostu wyrzucić.

Mamusia tego nie rozumie. Ponieważ nie lubi biżuterii.

Lissa nachyliła się szybko, złapała bransoletkę i wepchnęła na samo dno kieszeni.

- Idę! - krzyknęła i pobiegła przed szopę.

CZEŚĆ DRUGA

8.

Bird Finch przemierzał studio, stąpając jak na szrudłach przez rozciągnięte po podłodze kable. Nikt się do niego nie odzywał. Już dawno się nauczyli, że przed programem na żywo Bird nie przemówi nawet słowa. Spalały go emocje. Przygotowywał się psychicznie.

Dzisiejsze wskaźniki oglądalności znowu poszybują pod niebo.

Po raz pierwszy od zniknięcia Rachel, po trzech tygodniach podchodów nagrywał wywiad z Graeme'em i Emily Stonerami. Po raz pierwszy byli gotowi opowiedzieć o stracie córki. W dodatku nie będą sami. Wraz z nimi w studio znajdowała się inna pogrążona w żalobie rodzina, Mike i Barbara McGrathowie od ponad roku bezowocnie poszukujący swojej córki Kerry. Obie rodziny usiądą razem z nim, dadzą upust uczuciom i przekażą komunikat policji.

Na północnym wybrzeżu grasuje morderca, który porywa dziewczęta z ulicy. Złapcie go.

Bird zatrzymał się i splótł ręce na piersiach. Na jaskrawo oświetlonym planie telewizyjnym w wygodnych fotelach siedzieli Graeme i Emily Stonerowie. Wokół nich krzątały się dwie charakteryzatorki i raz po raz dziobały ich po twarzach. Patrzył, jak podchodzą do nich McGrathowie i jak obie rodziny witają się z pewnym skrzepowaniem.

- Dwie minuty - zapowiedział głośnik z góry.

Bird wyłonił się z mroku studia i przeszedł przez plan zwinnie jak wielki kot. Niczym czarna wieża wyrósł nad swoimi gośćmi, którzy spojrzeli na niego z głębi swoich foteli. Uśmiechnął się do nich, odsłaniając zęby, na tle czarnej skóry białe jak papier. Po kolei chwycił ich dłonie w miążdzący uścisk.

- Chcę wszystkim państwu podziękować za to, że zgodzili się państwo ze mną spotkać - przemówił do nich poważnym dudniącym głosem zarezerwowanym dla pokrzywdzonych. - Mogę sobie tylko próbować wyobrazić, jakie to dla państwa trudne. Ale zarazem jest to tak ważne, by wszyscy mieszkańcy naszego stanu usłyszeli państwa opowieść. I, da Bóg, może wasz głos dotrze do dziewcząt albo do tego, ktokolwiek to jest, kto je wam odebrał.

- To bardzo pięknie z pana strony - powiedziała Barbara McGrath.

- Postaram się zrobić wszystko, co możliwe, aby czuli się państwo swobodnie - zwrócił się do Stonerów. - Proszę nie myśleć o kamerze. Po prostu rozmawiajmy. Proszę mi opowiedzieć swoją historię.

Bird wcisnął długie ciało w swój ulubiony fotel. Grzbietem dłoni potarł ogoloną czaszkę i zerknął na garnitur, sprawdzając, czy kieszenie, chusteczka i mankiety są w porządku. Odchrząknął i ułożył zgiętą w łokciu lewą rękę na poręczy fotela.

Posłał swoim gościom ostatni współczujący uśmiech. Zapaliła się czerwona lampka.

- Dobry wieczór państwu - przemówił. - Nazywam się Jay Finch. Dziś chcę państwu przedstawić wyjątkowy wywiad z dwiema rodzinami z Duluth w stanie Minnesota, Spotykają się po raz pierwszy w życiu, ale łączy ich, z każdym dniem silniej, wspólne brzemię.

Kamera cofnęła się, obejmując siedzących naprzeciwko niego Stonerów i McGrathów.

- Piętnaście miesięcy temu Kerry McGrath, córka Mike'a i Barbary McGrathów, zniknęła na ulicach Duluth. Dziś mijają trzy tygodnie, jak ten sam straszliwy los spotkał Rachel Deese, córkę Emily Stoner i pasierbicę jej męża Graeme'a. Dwie nastolatki, które chodziły do tej samej szkoły i mieszkały zaledwie kilka kilometrów od siebie. Obie zaginęły bez wieści. Wszyscy modlimy się o ich bezpieczeństwo i drżymy o ich życie.

Głos Birda nabrał twardszych tonów.

- Policja nie powie nam, że te dwie zbrodnie są ze sobą powiązane. Mówi tylko, że śledztwo trwa, ale jak dotąd nie mamy żadnych dowodów, że w jakimkolwiek stopniu przybliżyła się do rozwiązania tych przerażających zagadek. Tymczasem mieszkańców Duluth czeka następna noc złych snów. Ile razy któraś z ich córek wychodzi do szkoły, zastanawiają się, czy bezpiecznie wróci do domu. Ile razy wychodzi spotkać się z przyjaciółmi, dzwonią sprawdzić, czy dotarła na miejsce. To właśnie jest lęk. To jest cena niewiedzy. Ponieważ każdy mieszkaniec Duluth powtarza szeptem to samo pytanie: Co się z nimi stało?

Bird skupił wzrok na kamerze, jakby stał w jednym pokoju z każdym z widzów.

- Co się stało? Czy w Duluth grasuje seryjny morderca polujący na młode dziewczęta? Czy ktoś jeszcze jest zagrożony? Czy i tym razem czeka nas rok przerwy, czy cierpliwość mordercy już się wyczerpała? Czy i dziś jest gdzieś na naszych ulicach, krążąc sam jeden w samochodzie, zwalniając na widok każdej przechodzącej osoby?

Słowa szczypały go w język jak kwaśny cukierek. Czuł ten lęk jak coś namacalnego i wiedział, że rozsiewa go po całym stanie. Nie czuł się winny. Powinni się bać.

- Nie znamy odpowiedzi na te pytania - powiedział cicho Bird. - Nie wiemy, co naprawdę stało się w te dwie noce, między którymi minęło nieco ponad rok. Bóg wie, że wszyscy mamy nadzieję, iż Kerry i Rachel żyją gdzieś i są bezpieczne, i że w niedalekiej przyszłości ujrzemy je znowu w domach ze swoimi rodzicami. Ale póki to nie nastąpi, obywatele naszego stanu czekają na odpowiedzi ze strony policji. Czekają już zbyt długo.

Bird zwrócił się do Barbary McGrath.

- Posłuchajmy teraz innych ofiar tych zbrodni, cierpiących i zadręczających się domysłami rodzin. Zwracam się do pani McGrath. Czy w głębi serca wierzy pani, że Kerry żyje?

Emily słyszała odpowiedź tamtej kobiety. Powiedziała to, czego można się było spodziewać. Tak, Kerry żyje, ona czuje to wyraźnie całą duszą, wie, że jej córka gdzieś jest i jak długo Kerry się nie znajdzie, nigdy nie straci nadziei. Potem ta obca, siedząca tak blisko niej, Barbara McGrath zwróciła się do kamery, wpatrzyła się w nią i zaczęła mówić, błagać.

- Kerry, jeśli tam jesteś, jeśli mnie słyszysz, wiedz, że cię kochamy. Nie ma dnia, żebyśmy o tobie nie myśleli. I chcemy, żebyś do nas wróciła.

Z westchnieniem, obezwładniona przez emocje, Barbara ukryła twarz w dłoniach. Mąż nachylił się ku niej; Barbara skłoniła głowę na jego ramię, a on zanurzył dłoń w jej czarnych włosach i łagodnie ją głaskał.

Emily przyglądała im się z uczuciem dziwnego dystansu. Miała wrażenie, że znajduje się daleko stąd. Gdy spojrzała na Graeme'a, dostrzegła, że i on ich obserwuje z nieprzeniknionym, pozbawionym emocji wyrazem twarzy. Ciekawa była, czy czuje to co ona - zazdrość. Zazdrościła im ich czystego, nieskomplikowanego bólu i tego, że mogą czerpać pocieszenie i siłę od siebie nawzajem. Ona nie miała ani jednego, ani drugiego. Dlatego tak długo opierała się przed tym wywiadem; ponieważ wiedziała, że będzie zmuszona do tylu kłamstw. Będzie musiała mówić to, czego się od niej oczekuje, nawet jeśli zupełnie tego nie czuje. Powie, jak bardzo tęskni za Rachel,

zastanawiając się, czy rzeczywiście tak jest. Sięgnie po rękę Graeme'a, szukając pociechy, i w jego pozbawionym życia uścisku nie czuje niczego.

Jedynego człowieka, który ją rozumie, który mógłby jej pomóc, tu nie ma.

Czuła się jak unoszący się nad planem duch. Słyszała, jak Bird Finch zwraca się z kolei do niej. Jego głos docierał do niej jakby z długiego tunelu.

- A czy pani chciałaby powiedzieć coś Rachel?

Emily wpatrywała się w kamerę i czerwone światelko nad nią. Była jak skamieniała. Czuła się tak, jakby gdzieś tam w ciemności soczewki naprawdę widziała Rachel i Rachel widziała ją. Sama nie rozumiała własnych uczuć. Tak długo nosiła w sobie ból wrogości, że nie wiedziała, jak ma żyć bez niego. Rachel to przeszłość - ich gorzka wojna także. Trudno byłoby sobie wyobrazić, że mogłaby naprawdę pragnąć jej powrotu.

Czy rzeczywiście? Czy naprawdę tak jest lepiej?

Tyle razy życzyła sobie, żeby Rachel znikła. Snuła fantazje, że gdyby pozbyła się tego ciężaru, jej życie wreszcie by się poprawiło. Może znowu miałaby jakieś życie małżeńskie. Może na odległość byłaby w stanie kochać córkę.

Co się stało?

- Proszę pani? - odezwał się Bird.

Może powinna powiedzieć im prawdę. Gdyby poznali sekret, może zostawiliby ją w spokoju. A prawda była taka, że Rachel jest zła.

Emily od śmierci Tommy'ego pracowała na dwóch posadach, powoli zmniejszając dług, wygrzebując się z dołu, w którym je zostawił. Od ósmej do piątej była kasjerką w śródmiejskim oddziale Range Bank. Potem wskakiwała do samochodu, szybko jechała na Miller Hill, gdzie na stoisku z książkami sprzedawała romanse i magazyny typu „Playboya” aż do zamknięcia centrum handlowego, to znaczy do dziewiątej. Świat przesłaniała jej mgła, w której poruszała się jak otumaniona stresem i bezsennością.

Jedyny jasny punkt w jej życiu pojawił się przed trzema tygodniami, kiedy to przywiozła do domu teriera szkockiego. Po latach powrotów do ciszy i milczącej wrogości Rachel hałas i figle psa były miłą odmianą. Właściwie Emily kupiła go z myślą o Rachel. Ale Rachel nie zwracała na niego uwagi. Emily wychodziła z nim w nocy na podwórko, gdzie uganiał się bez końca za niebieską zabawką do gryzienia, którą mu rzucała.

Dokonała wtedy zdumiewającego odkrycia. Mały biały piesek o kusych łapkach i zmierzwionej sierści skruszył jej mur obronny. Uświadomiła sobie, że znowu cieszą ją powroty do domu. Pies witał ją z szaleńczą radością, jakby była najlepszym, najważniejszym człowiekiem pod słońcem. Spał na jej kolanach i w jej łóżku. W weekendy chodzili na długie spacerki - pies przodem, szarpiąc smycz i ciągnąc Emily po ulicach miasta.

Rachel nie zaproponowała dla niego żadnego imienia. Wobec tego Emily nazwała go Puszkiem.

W drodze do domu, nawet na wpół śpiąca, już zaczynała się uśmiechać. Dzięki Puszkiemu. Dopiero gdy pomyślała o Rachel, na jej twarzy znów pojawiała się przynęta, uśmiech bladł i zastępował go wyraz znużenia. Wkrótce po śmierci Tommy'ego poszła z Rachel do psychologa, ale po kilku sesjach dziewczynka odmówiła dalszego uczestnictwa. Rozmawiała z nauczycielami. Rozmawiała w kościele z Daytonem. Wszyscy byli pełni współczucia, ale nikt tak naprawdę nie mógł pomóc. Dla Rachel ból po śmierci Tommy'ego zawsze będzie tak samo żywy. Ukojenie zdawała się czerpać tylko z wymierzania kar matce - wciąż i wciąż na nowo.

Emily wjechała na wąski podjazd prowadzący do ich piętrowego domku z dwiema sypialniami na górze i zaniedbanym podwórkiem. Z głębokich szczelin w spękanej nawierzchni wyrastały kępy trawy.

Spodziewała się tupotu psich łapek. Puszek powinien wybiec jej na powitanie.
- Puszek! - zawołała.

Przekonana, że Rachel zamknęła psa w ogródku za domem, nastawiła uszu, nasłuchując szczekania.

Przeszła do kuchni. Z głodu burczało jej w brzuchu. Wyciągnęła z lodówki torebkę z brokulami i zjadła kilka różyczek? Usłyszała jak córka ciężkim krokiem schodzi po schodach. Rachel weszła do kuchni, ale się z nią nie przywitała. Opadła na krzesło i wyciągnęła ze stosu poczty katalog bielizny. Wzięła sobie też kawałek brokuła.

- Szukasz jakiegoś seksownego staniczka? - spytała Emily z uśmiechem.

Rachel rzuciła jej nieprzyjazne spojrzenie, ale ona była zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

Przytknęła nos do szyby.

- Robi się zimno - powiedziała. - Nie powinnaś zostawiać Puszka na podwórku.

Rachel przewróciła kartkę.

- Nie zostawiłam go na podwórku. Uciekł przez frontowe drzwi.

- Uciekł? Jak to?

- Wymknął mi się między nogami, kiedy wchodziłam do domu.

Emily poczuła, że ogarnia ją gorączka.

- No, ale co z nim, szukałaś go? Zgubił się? Muszę go znaleźć!

Rachel podniosła głowę znad katalogu.

- Wybiegł na ulicę. Wpadł pod samochód. Przykro mi.

Emily oparła się o drzwi. Ręce pofrunęły do otwartych ust.

Ogromny kłęb wzbierał jej w żołądku, pierś falowała. Potem przyszło szczypanie pod powiekami i gwałtowny, niepowstrzymany szloch, łzy płynące po policzkach i wymykające się spomiędzy palców. Przygryzła sobie język i wybiegła z kuchni. Starła się nabrać powietrza, ale miała wrażenie, że się dusi. Potykając się, dotarła do drzwi frontowych, otworzyła je na oścież i opadła na poręcz werandy. Ledwo zauważyła lodowaty wiatr. Zostawiwszy drzwi otwarte, powlokła się na podjazd i tam kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Osunęła się na zimny chodnik, oparta o jeszcze ciepły samochód. Zamknęła oczy .

Nie wiedziała, jak długo leżała skulona na podjeździe. Gdy pomyślała, że czas się ruszyć, samochód był już zupełnie zimny, ona też. Palce miała zeszywniałe. Strumyki łez zamarzały jej na twarzy. To był tylko pies, powtarzała sobie, ale bezskutecznie. W tamtej chwili czuła się gorzej, niż gdyby wróciwszy do domu, przekonała się, że to Rachel zginęła na ulicy.

Bez celu ruszyła po podjeździe. Na jezdni nie było śladu po wypadku. Znowu osunęła się na kolana i beczynn timer patrzyła przed siebie. Była tak roztrzęsiona, a światło tak słabe, że ledwo dostrzegła maty przedmiot wciśnięty pod przeciwny krawężnik. Był prawie niewidoczny, jak coś, co wypadło z pojemnika na śmieci. Coś w tym przedmiocie przykuło jednak jej uwagę. W jej zalanych łzami oczach pojawił się wyraz zdumienia. Po chwili zdumienie przerodziło się w przerażenie.

Już wiedziała, co to jest. Ale przecież to niemożliwe! Z nagłym przyplływem sił Emily poderwała się na równe nogi. Z ociąganiem przeszła przez ulicę - nie chciała zaglądać do rynsztoka, ale łzy utrudniały jej widzenie. W końcu spojrzała i potrząsnęła głową. Wciąż nie mogła uwierzyć. Nawet wtedy, gdy już się pochyliła, podniosła brudny przedmiot i trzymała go w na wpół bezwładnej dłoni, chciała się mylić.

Potem jej ręka zacisnęła się wokół niego w pięść. Ból ustąpił miejsca wściekłości. Jeszcze nigdy nie czuła tak pierwotnej nienawiści. Wypełniała całą jej duszę. Nie chodziło tylko o Puszkę. Chodziło o lata okrucieństwa, które wieńczył ten uczynek. Emily drżała, jakby targana falami gniewu. Szczęki i usta same się jej zacisnęły.

Wydała z siebie krzyk, który przeszedł w skowyt:

- Rachel!

Pędem przebiegła ulicę, podjazd i wpadła do domu, zatraskując za sobą drzwi z taką gwałtownością, że cały dom się zatrzęsł. Nie obchodziło jej, czy sąsiedzi słyszą. Wciąż wykrzykiwała imię córki:

- Rachel!

W morderczej furii wbiegła do kuchni, gdzie Rachel w dalszym ciągu spokojnie przerzucała kartki katalogu. Dziewczyna podniosła wzrok, zupełnie niewzruszona krzykami. Nie odezwała się. Czekala.

- Ty to zrobiłaś! - W głosie Emily brzmiała rozpacz. - To ty!

Wyciągnęła rękę i rozprostowała dłoń. Spoczywała w niej niebieska gumowa zabawka, którą Puszek z taką radością aportował.

- On wcale nie uciekł - syknęła. - Sama go wypuściłaś. A potem rzuciłaś mu zabawkę, kiedy nadjeżdżał samochód. Zabiłaś go!

- Nie bądź śmieszna - rzuciła Rachel.

- Tylko nie udawaj mi tu niewinnej idiotki - wybuchnęła Emily. - Zabiłaś go! Ty pieprzona okrutna mała żmijo, zabiłaś mojego psa!

Budowane przez lata tamy runęły. Emily dosłownie zwlokła Rachel z kuchennego krzesła. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła córkę w twarz.

- Zabiłaś go! - krzyknęła znowu i wymierzyła jej drugi, jeszcze silniejszy cios. - Jak mogłaś?

Uderzyła jeszcze raz. I jeszcze raz.

Policzek Rachel przybrał barwę buraka. Przecinały go białe smugi - ślad palców Emily. Z wargi sączyła jej się krew. Nie stawiała oporu. Stała bez ruchu, a jej oczy, zimne i spokojne, pod żadnym z ciosów nawet nie mrugnęły. Biernie przyjmowała karę, aż wreszcie furia matki się wypaliła. Emily cofnęła się chwiejnie, wpatrując się w córkę, po czym odwróciła się i ukryta twarz w dłoniach. W pomieszczeniu nagle znowu zrobiło się cicho.

Emily objęła dłoń drugą ręką. Czowała, jak wzrok Rachel wpija się jej w plecy. Córka bez słowa wyszła z kuchni. Usłyszała jej kroki na schodach, a potem pisk rur i szum puszczonej w łazience wody.

To była ta jedna jedyna rzecz, której przysięgła sobie nigdy nie zrobić i bez względu na to, jak źle będzie między nimi.

I właśnie to zrobiła.

- Proszę pani? - powtórzył Bird Fineh. - Czy jest coś, co chciałaby pani powiedzieć teraz Rachel?

Emily pustym wzrokiem patrzyła w kamerę. Łzy przepłynęły jej oczy i trysnęły na policzki. Dla wszystkich widzów był to obraz bólu matki w obliczu najstraszliwszej tragedii - straty dziecka. Nie muszą znać prawdy.

- Chyba tyle, że ją przepraszam - powiedziała.

9.

W piątkowy wieczór Stride siedział samotnie w swoim boksie na parterze urzędu miasta. Chromowana lampa rzucała niewielki krąg światła na papiery, które usiłował czytać. Specjalnie wrócił do biura, chcąc podgonić robotę i przeanalizować raporty z innych śledztw w sprawie przestępstw popełnionych w tygodniach poprzedzających zniknięcie Rachel. W większości były to zwykłe domowe nieporozumienia, kradzieże samochodów, włamania do sklepów - słowem, sprawy, które spokojnie mógł powierzyć swoim siedmiu podwładnym. Ale przygnębiała go sama objętość. Spod stosów papierów nie było widać podniszczonego blatu jego biurka.

Na parterze siedziby wydziału śledczego panował spokój. Jego zespół poszedł do domu. Stride lubił siedzieć tu nocą, w zupełnej ciszy, gdy nie dzwonił telefon. Mógł mu przeszkodzić jedynie sygnał pagera, jak natrętny komar przypominający, co złego zdarzyło się w mieście. W ciągu dnia nie spędzał w swoim biurze zbyt wiele czasu. Wydział nie był liczny, więc w co ważniejszych śledztwach musiał dzielić ciężar czarnej roboty z innymi. To mu odpowiadało. Lubiał pracę w terenie, prawdziwą pracę. Część papierkową odwalał o różnych nietypowych porach, kiedy nikt nie przeszkadzał.

Miasto nie fundowało im luksusów styropianowe kasetony nad jego głową zdobiły zacieki - pamiątki licznych incydentów, gdy na biurko kapała mu woda z ciekących rur. Szarą wykładzinę na podłodze czuć było pleśnią. Jego boks był na tyle przestronny, że dało się w nim zmieścić jeszcze jedno krzesło dla gościa i tak naprawdę to była jedyna różnica między pokojem porucznika a pokojem sierżanta. W przeciwieństwie do większości współpracowników Stride nie trudził się, by nadać stanowisku pracy bardziej osobisty charakter, wieszając zdjęcia czy plakaty. Miał tylko jedną fotografię Cindy przypiętą do korkowej tablicy, a nawet ona była częściowo zakryta najnowszymi instrukcjami z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To było zimne i obskurne miejsce, z którego chętnie uciekał, jeśli tylko mógł.

Z niedalekiej odległości dobiegł go dźwięk zatrzymującej się windy. W nocy nie zdarzało się to często. Oznaczało, że zjeżdża do nich ktoś z góry, z prawdziwej góry. Zaczekał, aż drzwi się otworzą, i poznał karzełkowatą postać K-2.

- Dobry wieczór, Jon - przemówił piskliwy głos zastępcy szefa policji Kyle'a Kinnicka.

Lekko wspinając się na palce, przeszedł przez otwarte drzwi do boksu Stride'a. Zmarszczył brwi na widok sterty papierów na drugim krześle. Stride przeprosił i przeniósł je na podłogę, żeby szef mógł usiąść.

- Myślisz, że ona nie żyje? - spytał Kinnick, przechodząc od razu do rzeczy.

- Na to wygląda - odparł Stride. Nie było sensu lukrować prawdy, którą obaj znali.

- W dziewięciu przypadkach na dziesięć na tym etapie nie odnajdują się żywe.

Kinnick ostrym szarpnięciem rozluźnił węzeł krawata. Miał na sobie grafitowy garnitur, nieco za duży na jego drobną figurkę. Wyglądał, jakby właśnie wracał z posiedzenia Rady Miasta.

- Psiakrew. Rozumiesz, że burmistrz nie jest zbytnio zadowolony. Interesują się nami krajowe dzienniki. Czy to nie jest sprawa seryjnego mordercy. Coś, co mogliby pociągnąć dłużej.

- Nie ma na to żadnych dowodów.

- A od kiedy to dowody mają dla nich jakieś znaczenie? - jęknął Kinnick.

Podłubał w ucho, które na jego małej czaszce sterczało jak liść kapusty.

Stride się uśmiechnął. Przypomniało mu się, jak w ubiegłym roku Maggie sparodiowała go na biurowej imprezie w Dniu Świętego Patryka.

- Ciebie to śmiesz? - spytał Kinnick.

- Nie, szefie. Przepraszam. Nie musi mi pan mówić o dziennikarzach. Bird cały czas siedzi mi na karku.

Kinnick prychnął. Traktował podwładnych dość szorstko i stanowił wdzięczny obiekt dowcipów, jednak Stride go lubił. Był raczej typem urzędnika, nie stworzonym do pracy w terenie, ale zaciekle bronił swojego wydziału przed władzami miasta, a poza tym stawiał sobie za punkt honoru, by spotykać się ze wszystkimi lokalnymi grupami interesu - od przedszkolaków po rotarian - i budować pozytywny wizerunek policji. Wobec swoich ludzi był lojalny, i Stride to doceniał.

- Wiesz chyba, że nie mamy na tę sprawę za dużo czasu? - spytał Kinnick. Wycelował swoim czarnym półbutem w jego zagracone biurko. - Już i tak o wiele za bardzo angażujesz się w to jedno.

Nie było sensu przypominać szefowi, że nie kto inny jak właśnie on polecił Stride'owi, by osobiście zajął się śledztwem. Problem K-2 był czysto polityczny i biurokratyczny. Władze miasta chciały mieć to z głowy. Szybko.

- Wszystko inne jakoś idzie. Nie ma żadnych większych problemów, które wymagałyby mojego udziału.

- Obaj wiemy, że w tym wypadku jesteśmy już poza normalną procedurą. W dodatku jest duże prawdopodobieństwo, że to się nigdy nie wyjaśni. Będę musiał przesunąć ciebie i Maggie. Guppo przejmie śledztwo i niech się bawi z tym dalej. Jeśli coś znajdziemy - wtedy wrócisz.

- To woda na młyn Birda - zaprotestował Stride. - Jeszcze za wcześnie. Nie chciałbym, żeby to wyglądało tak, jakbyśmy porzucili sprawę.

- Myślisz, że mnie się to podoba? - Kinnick potarł czoło i przyklepał siwiejące włosy zaczesane od jednego wielkiego ucha do drugiego. - Stoner jest moim znajomym. Ale nie robicie żadnych postępów.

- Potrzebuję jeszcze trzech tygodni. Sam pan powiedział, że burmistrzowi szczególnie na tym zależy. Jeśli do tego czasu nic nie znajdziemy, zgodzę się, że sprawa nie rokuje. Wtedy Guppo może ją sobie przejąć. Ma już Kerry.

Kinnick pokręcił głową i westchnął. Westchnął, jakby szedł na gigantyczne ustępstwo.

- Dwa tygodnie. A jeśli w tym czasie tu zacznie się coś dziać, odwołam cię wcześniej. Zrozumiano?

Stride skinął głową.

- Doceniam to. Dziękuję, szefie.

Szef dźwignął się z krzesła i milcząc, udał się do windy.

Drzwi błyskawicznie się otworzyły i połknęły go. Maszynaria zaszumiała, wracając na trzecie piętro.

Stride odetchnął głęboko. Wiedział w czym rzecz. K-2 nie przyszedł tu, żeby odsunąć go od śledztwa. Na to było o wiele za wcześnie, ale chciał mu uświadomić, że licznik bije.

- Co mam robić? - spytała Maggie.

Patrzyła na swoje trzy karty warte w sumie dwanaście punktów. Krupier miał na wierzchu szóstkę.

Stride oparł papierosa o brzeg popielniczki. Smużka dymu wiła się z niego i rozpyływała w szarej chmurze wiszącej nad stołami do blackjacka. Niski sufit był ledwo widoczny w mgłę. Gdy oddychał, powietrze smakowało zastarzałym dymem. Oczy piekły go od zaduchu, a częściowo pewnie dlatego, że było już po północy, ponad osiemnaście godzin, odkąd zaczął się dla niego ten dzień. Siedział w biurze, dopóki Maggie nie zadzwoniła i nie zagroziła mu, że wywlecze go stamtąd siłą.

- Stać - odparł.

- Ale mam tylko dwanaście punktów. Chyba powinnam wziąć nową kartę.

Stride potrząsnął głową.

- Założę się, że krupier ma dziesiątkę. Przy szesnastu punktach będzie musiał ciągnąć i bardzo prawdopodobne, że przewali. Stój.

- Proszę kartę - powiedziała Maggie.

Krupier rzucił na stół króla kier.

- O, w mordę.

Stride podniósł rękę znad swoich kart o wartości czternastu punktów. Krupier wyciągnął jego zakrytą kartę, waleta, i dał mu nową. To była dziesiątka.

- Ty gnoju - rzuciła Maggie.

Stride zaśmiał się i dołożył do swojej kupki jeszcze dwa żetony.

W niewielkim kasynie cuchnęło potem wzbierającym na skórze setki ludzi wciśniętych w klaustrofobicznie małe sektory. Większość gości ubrana była ciepło, jak to w zimną noc, i złana potem w wysokiej temperaturze wydzielanej przez ciała i maszyny. Było tu tłoczno i głośno. Automaty rozbrzmiewały elektronicznym szcękaniem i brzękiem spadających monet. Całe pomieszczenie wypełniał szum rozmów; od czasu do czasu rozlegał się okrzyk podniecenia, gdy ktoś zgarnął pulę.

Grali niemal godzinę. Stride był do przodu o czterdzieści dolarów. Maggie do tyłu o dwadzieścia. Wziął dwa żetony i przesunął je na pole zakładów.

- Masz dziś dobry dzień - powiedziała Maggie. - Czemu nie pójdziesz na całość? Jeśli więcej postawisz, więcej wygrasz. Zawsze stawiasz tylko dwa dolary, nawet kiedy masz dobrą passę. - Ściągnęła usta w dzióbek i zatrzepotała rękami jak kurczak skrzydełkami. - Nie masz jaj, Stride.

- I to mówi dziewczyna, która zaraz przegra spódnicę.

- Nie prowokuj mnie - puściła do niego oko.

Przez cały dzień jeszcze raz rozmawiał z różnymi ludźmi, którzy znali Rachel. Wieczorna wyprawa do kasyna miała być sposobem na oderwanie się od sprawy, która od trzech tygodni stała się ich obsesją. Ale nie było ucieczki. Telewizor zawieszony nad barem pokazywał wywiad z Birdem Finchem. Nie potrzebowali fonii. Gniewny język ciała Birda był wystarczająco czytelny.

- A może Bird ma rację - przyznała z ociąganiem Maggie. - Może to rzeczywiście seryjny morderca.

Stride zerknął na Maggie spod oka. Nieprzekonany, pokręcił głową.

- Mam nieodparte wrażenie, że to nie to samo.

- Czyżby? A może nie chcesz, żeby to było to samo? Przypominam, że chodzi o dwie nastoletnie dziewczyny, mieszkające o kilka kilometrów od siebie, które znikają bez śladu.

- A jednak coś tu nie pasuje. Oboje zgadzamy się, że przypadek Kerry to sprawka nieznanego zbrojcy albo zwykły napad uliczny, tak czy nie?

Maggie skinęła głową.

- Tyle tylko, że tej drugiej wersji ja osobiście nie kupuję. Przypadkowy napastnik ucieka z miejsca zbrodni. Uważam, że ktoś ją porwał.

- W porządku. Ja też tak myślę. Ale czy możesz sobie wyobrazić, że ten sam gość szuka sobie ofiary w samym śródmieściu Duluth, gdzie może być widziany z dziesiątków domów. To jakoś bez sensu. Taki ktoś szuka okazji, samotnej dziewczyny gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc. Nie będzie jeździł tam i z powrotem po dzielnicy domów mieszkalnych. Za duże ryzyko.

Krupier, facet o długich czarnych włosach i obwisłych wąsach, obrzucił ich nerwowym spojrzeniem. Napotkawszy wzrok Stride'a, przybrał poważny wyraz twarzy i zajął się rozdawaniem kart.

- A więc to tylko zbieg okoliczności? - spytała Maggie.

Stride wzruszył ramionami.

- To nie jest już małe miasteczko. Takie rzeczy się zdarzają. Idę o zakład, że tego, kto porwał Kerry, nie ma już nawet w Minnesocie. A jeśli chodzi o Rachel - im bliżej się temu przyglądam, tym wyraźniej czuję, że odpowiedzi należy szukać w domu.

- I Emily, i Graeme byli badani wariografem - przypomniała mu Maggie. - A w ich przeszłości nie znaleźliśmy niczego podejrzanego.

- To mnie nie interesuje. W tym trójkącie coś śmierdzi. Masz Emily i Rachel, które nieustannie skaczą sobie do gardeł, a w tym wszystkim Graeme'a. Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, co się tu zdarzyło i dlaczego.

- Żebyśmy tylko nie przeholowali. Jeśli za mocno przyciśniemy rodzinę, nie mając żadnych dowodów, wiesz, co powie K-2?

- K-2 chce, żeby sprawa została rozwiązana. Porozmawiajmy jeszcze z pastorem. Daytonem. Ktoś musi wiedzieć, co się działo w tym domu.

- Dobra. Niech i tak będzie.

Maggie machnęła ręką i wróciła do gry. Ostrożnie upiła swojego drinka, starając się ominąć plasterek ananasa i marszcząc nos, gdy nadziewała się na papierową parasolkę.

- Cześć, inspektorze.

Stride nie wiedział, skąd dobiegł go ten głos. Zawieszony gdzieś w gwarze kasyna, ale bliski, jak delikatne tło muzyczne. Obrócił się wraz z krzesłem, by spojrzeć za siebie.

Stała tam kobieta. Uśmiechała się do niego. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę do połowy ud, ściągniętą w talii paskiem. Blond włosy były potargane wiatrem. Policzki zarumienione.

- Jestem Andrea. Pamiętasz? Ze szkoły.

- Oczywiście - powiedział niepewnie, jakby budząc się z transu. - Pamiętam.

Maggie zakolysała się na swoim krześle, przypatrując się obojgu. Napotkała wzrok Stride'a i ostentacyjnie chrząknęła. Stride uprzytomnił sobie, że powinien dokonać prezentacji i zauważył, że Andrea nagle pojęła, iż on i Maggie są tu razem. Odruchowo cofnęła się o krok, nie chcąc być intruzem.

- Przepraszam - powiedział. - Andreo, to moja partnerka, Maggie Bei. Wpadliśmy tu zrelaksować się paroma partyjkami po całym dniu szlifowania bruku. Maggie, to Andrea Jantzik. Andrea uczy w tutejszym liceum.

- Niezmiernie mi miło - rzekła Maggie. - Może pani do nas dołączy? Proszę zająć trzecią bazę. Stride nauczy panią wszystkiego, co wie o blackjacku, to znaczy jak wygrywać i nie mieć z tego żadnej przyjemności.

Andrea uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Och, nie, nie chcę przeszkadzać.

- Nie przeszkadza pani w najmniejszym stopniu. - Maggie zawahała się, ale uznała, że taka subtelność nie będzie wystarczająco czytelna. - Jestem jego partnerką w pracy w policji. Wyłącznie.

- Aha - powiedziała Andrea. I jeszcze raz. - Aha.

- A w ogóle - dorzuciła Maggie - chyba spróbuję teraz szczęścia na automatach. Jest tu taki jeden zwany Wielką Świnią, który podobno kwiczy, kiedy się zgarnie pułę. Chciałabym to usłyszeć. Może pani usiąść na moim miejscu.

- Na pewno? - spytała Andrea.

Ale Maggie zeskoczyła już z krzesła i siłą podprowadziła Andreę na swoje miejsce. Dwoma głośnymi łykami dokończyła drinka, wyjęła ze szklaneczki parasolkę i wetknęła sobie do kieszeni. Pomachała im ręką.

- Bawcie się dobrze. Zadzwoń jutro, szefie.

Stride z sarkastycznym uśmiechem kiwnął jej głową.

- Dzięki, Mags.

Gdy Andrea sadowała się na krzesło, Maggie mrugnęła do niego i nim odeszła, nachyliła się i szepnęła mu w ucho.

- Ona cię chce, szefie. Nie spieprz tego.

10.

Andrea zsunęła z ramion czarną skórzaną kurtkę i rzuciła ją na sąsiedni stół. Ubrana była wystrzałowo. Obcisła czarna spódniczka ledwo zakrywała uda. Nogi obciążone czarnymi rajstopami były smukłe, ale umięśnione. Różowa satynowa bluzka połyskiwała w świetle lamp kasyna. Rozpięta pod szyją na dwa guziki, ukazywała rąbek nagiej skóry unoszący się przy każdym oddechu. Nienaganny makijaż był najwyraźniej równie starannie przemyślany jak wykonany, od bladego błyszczaka na wargach po długie lśniące rzęsy i delikatne kreski na powiekach. Szyję ozdobił złoty łańcuszek, a migotliwe szafirowe kolczyki podkreślały barwę oczu.

Wyglądała jak wamp, jak chodzące zaproszenie. Ale Stride zdawał sobie sprawę, że Andrea nie potrafi tego wykorzystać. Czuli się nieswojo. Obciągała spódnice, starając się nieco bardziej zakryć nogi. Jej uśmiech wyrażał nieśmiałość, zażenowanie, niepewność i brak wiary w siebie. Bawiła się naszyjnikami, skręcała go w palcach i robiła wszystko, co się dało, żeby nie patrzeć wprost na niego.

Uprzytomnił sobie, że jest zdenerwowana i nie wie, co powiedzieć. Podobnie jak on. Wiele już czasu minęło, odkąd jako wolny stapał w subtelnym tańcu z przedstawicielką płci przeciwnej. Próbował sobie przypomnieć, jak się to robi. Ale tak długo był z Cindy, że nie umiał wymyślić nic mądrego. Ostami raz był na randce w szkole średniej i słusznie przypuszczał, że nic z tego, co wtedy mówił, teraz nie zabrzmiałoby inteligentnie.

W końcu krupier odkasznął i wskazał mu karty.

- Grasz? - spytał Stride.

Andrea pokręciła głową.

- Niestety, nie.

- Wolisz automaty?

- Prawdę mówiąc, w ogóle nie gram - przyznała. Odwróciła się i przełomie spojrzała mu w oczy. - Przychodziłam czasem z Robinem, tu albo do Czarnego Niedźwiedzia, ale zawsze tylko patrzyłam, jak on gra. To moja pierwsza samodzielna wyprawa.

Stride zauważył, że krupier wzdycha.

- Więc dlaczego przyszłaś?

Andrea ruchem głowy wskazała najbliższy rząd automatów. Stride odwrócił się i zobaczył dwie kobiety, które udawały, że grają, ale znacznie bardziej zajmowała je obserwacja ich stolika. Szepotały coś do siebie i uśmiechały się. W jednej z nich rozpoznał inną nauczycielkę z liceum.

- Moja klaka - wyjaśniła. - Oświadczyły mi, że w ten piątkowy wieczór jako rozwódka do wzięcia muszę wreszcie pokazać, co potrafię. No a to tutaj jak na standardy Duluth i dla osoby po trzydziestce jest chyba najbliższe pojęciu szampańskiej zabawy.

- Cóż, cieszę się, że to zrobiły - rzeki Stride.

- Tak - odparła Andrea. - Ja chyba też się cieszę.

- Chcesz zagrać? Z przyjemnością pomogę ci stracić trochę pieniędzy.

- Nie. Od tego hałasu boli mnie głowa.

- Może masz ochotę pójść gdzie indziej? Znam pewne miejsce tuż nad wodą, gdzie serwują najlepszą margaritę w mieście.

- A co z twoją koleżanką?

Uśmiechnął się.

- Mags może wrócić taksówką.

Stride zerknął na zegarek. Było prawie wpół do drugiej. Jechali przez Canal Park, gdzie wciąż jeszcze panował duży ruch, a parkingi przy barach i restauracjach były pełne samochodów. Wjechał w jedną z uliczek prowadzących na most.

- Nie przypominam sobie, żeby w Point były jakieś dobre knajpy - zauważyła Andrea.

Stride zerknął na nią, zakłopotany.

- Cóż, prawda jest taka, że to ja robię najlepszą margaritę w mieście. A mój dom jest nad samą wodą.

- Ach, tak - powiedziała Andrea.

Wyczuł jej nagłą niepewność.

- Przepraszam, powinienem być od razu wyjaśnić, co mam na myśli. Posłuchaj, nic szczególnego się za tym nie kryje. Mówiłaś, że zmęczył cię hałas, a na mojej werandzie jest cicho, jeśli nie liczyć fal. Ale możemy pojechać gdzie indziej.

Andrea rzuciła szybkie spojrzenie za okno.

- Nie, w porządku. Jestem przecież w towarzystwie gliny, prawda? Jeśli zaczniesz się kleić, zawsze mogę wezwać... hm, ciebie.- Roześmiała się, znowu odprężona.

- Na pewno?

- Na pewno. Ale żeby mi te margarity były naprawdę dobre.

Kilka przecnic za mostem zjechał i wtoczył się na pas piasku pełniący rolę podjazdu. Ulica była ciemna i cicha. Andrea z zagadkowym uśmiechem przypatrywała się małemu domkowi i gęstwie nagich krzewów.

- Nie do wiary, że mieszkasz w Point.

- Dlaczego? Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym mieszkać gdzie indziej.

- To taka dzika okolica. Sztormy są tu na pewno niesamowicie gwałtowne.

- Są - przyznał.

- I na pewno też grzęzniesz w śniegu.

- Zaspy nieraz sięgają sufitu.

- To cię nie przeraża? Ja bym się pewnie czuła, jakby jezioro chciało mnie połknąć.

Oparł się o dach samochodu i przyglądał się jej z namysłem.

- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale czasem wydaje mi się, że właśnie sztormy lubię najbardziej. One mnie tu trzymają.

- Nie rozumiem - powiedziała zbита z tropu.

Wzdrygnęła się pod zimnym podmuchem wiatru, który objął ich oboje.

- Wejdźmy.

Gdy szli do drzwi, objął ją ramieniem, chcąc ją ogrzać. Pozwoliła się przytulić, i to było bardzo przyjemne. Przez rękaw skórzanej kurtki czuł ciepło jej ręki, a jej włosy laskotały mu twarz. Puścił ją dopiero, gdy musiał poszukać kluczy. Andrea spłotła ręce na piersiach.

Weszli do domu. W holu było ciemno i ciepło. Usłyszał tykanie stojącego zegara. Chwilę trwali w milczeniu, gdy Stride zamykał drzwi. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że Andrea pachnie jakimiś perfumami, czymś delikatnym, jak woda różana. Dziwnie mu było poczuć w swoim domu zapach innej kobiety.

- Co takiego widzisz w sztormach, Jon?

Stride wziął od niej kurtkę i powiesił w szafie. W swoim skąpym stroju była najwyraźniej nadal zziębnięta. Odwiesił także swoją kurtkę i zamknął szafę. Oparł się plecami o jej drzwi. Andrea wpatrywała się w niego, choć w ciemnym holu oboje byli ledwo widoczni, jak cienie.

- Ma się wrażenie, że czas się zawiesza. Jakby żywioł wsysał człowieka i tam w środku można było zobaczyć najróżniejsze rzeczy. Mógłbym przysiąc, że czasem słyszę ojca. Raz zdawało mi się, że go widzę.

- Twojego ojca?

- Pracował na statku transportującym rudę. Kiedy miałem czternaście lat, grudniowy sztorm zmył go z pokładu.

Andrea wzdrygnęła się.

- Przepraszam.

Stride spokojnie skinął głową.

- Chyba ciągle ci zimno.

- Głupio się ubrałam, co?

- Ubrałaś się bardzo pięknie - odparł.

Miał pokusę, żeby wziąć ją w ramiona i pocałować, ale się oparł.

- Jesteś bardzo miły. Ale owszem, jest mi zimno.

- Chcesz sweter i dzinsy? Obawiam się, że to najwyższy szczyt mody, na jaki możesz się wspiąć w tym domu.

- Och, nie, dziękuję. Tu jest ciepło.

- Ale ja myślałem, że posiedzimy na werandzie - uśmiechnął się Stride.

- Na werandzie?

- Jest obudowana, a poza tym mam kilka mocnych grzejników.

- Boję się, że tylek mi zamarznie, Jon.

- No dobrze. Szkoda byłoby takiego fajnego tyłka.

Mimo ciemności wyczuł, że się zarumieniła.

Weszli do kuchni. Gdy Stride zapalił światło, oboje zmrużyli oczy. Ku swemu przerażeniu uprzytomnił sobie, że ostatnie trzy tygodnie śledztwa pograżyły jego dom w stanie kompletnego chaosu. W zlewie piętrzyły się góry naczyń. Kącik jadalny nie był sprzątnięty od co najmniej dwóch dni. Obok brudnych szklanek i talerzy z zaschniętymi resztkami spaghetti po stole walały się stosy notatek.

- Nieźle - powiedziała z uśmiechem Andrea.

- No, tak, przepraszam za ten bałagan. Nie jestem przyzwyczajony do starań, żeby mój dom był przyjazny dla gości. Bywa tu tylko Maggie, która ma to w nosie. Mnie też ma za nic. Ale chyba powinienem był o tym pomyśleć, zanim cię zaprosiłem.

- Nie przejmuj się.

- Ale na werandzie jest posprzątane, przysięgam. Przyniosę ci koc. Ogrzejesz sobie nogi przy grzejniku, owiniesz się kocem, a ja przygotuję ci mnóstwo najmocniejszej margarity, jaką kiedykolwiek piłaś.

- Niech będzie.

Gdy dzbanek z margaritą był w połowie opróżniony, żadne z nich nie zwracało już uwagi na zimno.

Andrea spoczywała wyciągnięta w wiklinowym fotelu. Jej stopy w samych pończochach wystawały spod wielobarwnego hiszpańskiego koca. Ustawiony przed fotelem przenośny grzejnik ogrzewał jej palce. Koc zmarszczył się wokół talii. Wyżej osłaniała ją tylko jedwabna bluzka. Rozcierała sobie nagie ręce pokryte gęsią skórą. Przez pierwszą godzinę siedziała owinięta aż pod brodę, ale potem koc coraz bardziej się zsuwał.

W dłoni trzymała pękaty kieliszek. Co chwila wysuwała język, by zlizać z jego brzegu słoną kropelkę, po czym pociągała łyk zielonego napitku. Mimo półmroku

Stride widział wyraźnie jej ruchy, a przelotny widok jej języka na szkle dziwnie go podniecał. Obserwował ją z drugiego fotela, oddalonego zaledwie o kilkanaście centymetrów.

Na werandzie było prawie ciemno. Tylko z domu za ich plecami sączyło się blade światło, dzięki któremu na podłodze kładły się długie cienie. Przez jeszcze niepowleczone mrozem fragmenty wysokich okien widać było atramentową czerń jeziora oświetloną tylko gromadą gwiazd i półksiężycem. Długie chwile leżeli tak obok siebie. Było już późno, ale nie chciało im się spać. Wyostrzone zmysły łowiły dochodzące zewsząd dźwięki: plusk załamujących się o brzeg fal, szum grzejnika, rytm ich oddechów. Rozmowa toczyła się zrywami, przedzielały ją smugi ciszy.

- Mówisz o tym rozwodzie bardzo spokojnie - odezwał się Stride. - Czy to tylko maska?

Utkwiła w nim wzrok.

- Tak.

Na szybach pojawiło się kilka strużek wody. Stride patrzył za okno. To był deszcz ze śniegiem. Zabębnił głośniejsz w drewniany dach nad ich głowami. Bicz wiatru smagnął dom. Weranda zatrzeszczała. Stride sięgnął po dzbanek i napełnił kieliszki.

Andrea zakręciła kostkami lodu w kieliszku. Na jej wargach zagościł smutny uśmiech.

- Pojechałam do siostry do Miami. Denise właśnie urodziła dziecko. Wracam, a tu liścik. Napisał, że potrzebuje побыć przez jakiś czas w samotności. Żeby pisać. Żeby „odzyskać kreatywność”. Nigdy nie zdobył się na odwagę, żeby do mnie zadzwonić. Ani razu. Tylko pocztówki. Cholerne pocztówki, żeby cały świat się dowiedział. Raptem jest w Yellowstone. Potem w Seattle. Píše świetną rzecz. Ale tymczasem zorientował się, że przy mnie po prostu nie może być sobą. Że tłamszę jego geniusz. Więc może lepiej się rozstańmy.

- Psiakrew - mruknął Stride.

- Pięć tygodni i dziesięć pocztówek. Tyle potrzebował, aby oficjalnie zakończyć nasze małżeństwo i przyznać się, że ma kogoś w San Francisco. Na odwrocie był widoczek pieprzonego Golden Gate Bridge.

- Przykro mi - powiedział Stride.

- No cóż, trudno. Rzecz nie tyle w tym, że tak bardzo za nim tęsknię, ile w tym, że nienawidzę być sama.

- Ja tęsknię za drobiazgami - szepnął Stride. - Nad ranem marznę. Czasem budzę się i próbuję przeturlać się po łóżku, żeby być bliżej Cindy, jak dawniej. Zawsze narzekała, że mam zimne ręce, i rozgrzewała mnie jak piecyk. Ale jej nie ma. Więc leżę skostniały.

Jego słowa powoli zamierały. Zaległa cisza. Choć Andrea o nic nie pytała, wiedział, że chce, aby mówił dalej. Wcześniej przelotnie napomknął o śmierci Cindy, bez zagłębiania się w szczegóły, nie chcąc rzucać cienia na ich wspólny wieczór. Andrea była zasmucona i poruszona, ale tak jak inni nie wiedziała, co mu powiedzieć, jak pocieszyć.

Nawet ten jeden okruch, wspomnienie jej ciepła obok niego w łóżku, wzbudził w nim pragnienie opowiedzenia o wszystkim. Ale trwał w upartym milczeniu.

Teraz już rozpadała się regularna śnieżycą. Lodowate smugi zakryły widok na zewnątrz. Stride rzucił okiem na niski stolik obok fotela i uprzytomnił sobie, że dzbanek jest pusty. Spojrzał na zegarek, ale w półmroku nie mógł odczytać, która godzina.

- Udało ci się - oświadczyła w końcu Andrea.

- Co?

- Jestem pijana. Dziękuję.

Stride skinął głową.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Andrea podniosła na niego wzrok. Tak mu się przynajmniej zdawało. Ledwo ją widział.

- Powiedz mi coś - rzekła. - Czy chcesz iść ze mną do łóżka?

Tego rodzaju pytanie wymagało błyskawicznej odpowiedzi ale od śmierci Cindy Stride zetknął się z nim po raz pierwszy Pół dzbanka margarity i twardniejące krocze podpowiadały mu co robić. Mimo to czuł się, jakby popełniał zdradę.

- Tak, chcę.

- Ale?... - spytała, prawidłowo odczytując brzmienie jego głosu.

- Ale jestem pijany i nie wiem, czy, hm, stanę na wysokości zadania.

- Kłamiesz.

- Tak.

- Nie byłeś z żadną kobietą, odkąd ona umarła.

- Nie.

Andrea ześliznęła się z wiklinowego fotela. Niepewnie dźwignęła się na nogi.

- Ciężka sprawa - powiedziała.

Stride nie poruszył się. Patrzył, jak zadziera spódnicę i szarpie czarne rajstopy i majtki w kwiecisty wzór. Ściągnęła je i rzuciła za siebie. Była naturalną blondynką, co zdradzała kępa kędzierzawych włosów między smukłymi udami. Niezdarnie rozpięła guziki bluzki i stanik. Rozsunęła ubranie, odsłaniając drobne piersi ze sterczącymi różowymi brodawkami.

Nachyliła się nad nim i pociągnęła za suwak dżinsów, jej palce powędrowały w głąb.

- Zdaje się, że stanąłeś na wysokości zadania.

- Zdaje się.

Z pewnym trudem wydobyła penisa. Szybkim ruchem przerzuciła nogę przez fotel i stanęła nad nim okrakiem. Jedną ręką rozchyliwszy wargi sromowe, a drugą przytrzymując członek, opuściła się na niego. Stride poczuł, jak zagłębia się w wilgotne fałdy, i jęknął.

- Podoba się?

- Podoba się.

- To dobrze.

Sięgnął do jej piersi i opuszkami palców pieścił brodawki.

- Mocniej.

Uszczypnął je, potem dużymi dłońmi ścisnął całe piersi. Andrea krzyknęła z rozkoszy i opadła na niego, całując go, wpychając mu język do ust. Jej pośladki wznosiły się i opadały. Stride wcisnął dłoń pod jej wzgórek łonowy, odszukał lechtaczkę i zaczął ją masować.

Weranda skrzypiała i piszcziała. Wtórował jej fotel, narzekając na podwójny ciężar.

Stride poczuł, że rośnie. Andrea prowadziła go szybko do cudownego pijanego orgazmu. I wyglądało na to, że sama też ku niemu zdąża. Podniosła głowę; na twarzy miała dziki uśmiech. Stride dźwignął się i wziął jeden sutek do ust. Mocno przycisnęła jego głowę do swojej piersi. Lizął ją i ssał, czując, jak dotyk prężnej brodawki doprowadza go do szaleństwa. Jego biodra uniosły się i zwarły w spazmie z jej biodrami. Szczytował z wargami zaciśniętymi na jej piersi. O dziwo, Andrea zaczęła się śmiać.

- Boże - szepnęła, jakby do siebie. - A ten gnój mówił, że jestem zimna w łóżku.

11.

- No? - spytała Maggie.

Strząsnęła śnieg z butów na dywanik terenówki Stride'a, splotła ramiona i patrzyła na niego wyczekująco.

- Co? - odparł Stride, uśmiechając się mimo woli.

Maggie wydała triumfalny okrzyk. Walnęła go w ramię.

- Znam ten uśmiech - oznajmiła rozpromieniona. - To jest uśmiech faceta, któremu ostatniej nocy dopisało szczęście. A nie mówiłam? Nie miałam racji?

- Daj spokój, Mags.

- No dalej, szefie, szczegóły, szczegóły - nacierała.

- Dobrze już, dobrze. Zasiedzieliśmy się, upiliśmy się i wylądowaliśmy w łóżku.

Było super. Zadowolona?

- Nie, ale ty najwyraźniej tak.

Stride rzucił jej poirytowane spojrzenie i wyprowadził pojazd z parkingu przed domem Maggie. Koła ślizgały się na świeżym śniegu. Przez noc napadało go tylko kilka centymetrów, mokrego, ciężkiego; dość, żeby jezdnia stała się zdradziecka, ale nie dość, by wyciągnąć z garaży pługi śnieżne. Stride zamrugał. Oczy miał czerwone.

- No i jak się czujesz? - spytała Maggie.

Zacisnął dłonie na kierownicy nieco mocniej i podjeżdżając do znaku „Stop”, naprzemiennie wciskał i puszczał hamulec.

- Jeśli już musisz wiedzieć, czuję się winny jak jasna cholera.

- Przecież nie zdradzasz Cindy. Ona byłaby na ciebie wkurzona, że tak długo czekałaś.

- Wiem - przyznał. - To samo sobie mówiłem. Ale serce tak naprawdę temu nie wierzy.

Prawdę mówiąc, Cindy mu się śniła, a kiedy się obudził i po raz pierwszy od roku wyczuł obok siebie czyjąś ciepłą obecność, przez krótką chwilę cieszył się myślą, że to naprawdę ona tam leży. W stanie półsnu uwierzył, że to zeszłoroczna tragedia była snem, a prawdziwe życie jest nadal szczęśliwe i zwyczajne. Ale wtedy zobaczył Andreę i targnął nim smutek. To nie było sprawiedliwe. Andrea była ładna i miła. Jej nagie ciało widoczne nad kocem wyglądało podniecająco. Ale musiał zamrugać, żeby przetrwać lzy.

- To był twój pierwszy raz - pocieszyła go Maggie. - Wróciłeś na boisko. Z każdą randką będziesz się czuł lepiej.

- Może. Dziś znowu spotykam się z Andreą.

Maggie uśmiechnęła się chytrze.

- Ach tak? Rozumiem. Jak już wyjmiesz pistolet, nie możesz przestać strzelać, co? Stride rzucił jej ukośne spojrzenie.

- Jesteś ordynarna, Mags. Kto cię tego nauczył?

- Ty.

- No tak, no tak - przyznał, chichocząc.

- Uważaj tylko, żeby cię nie poniosło, dobra? Ty dochodzisz do siebie po śmierci Cindy, a ona dochodzi do siebie po rozwodzie. Oboje musicie się odbić od dna.

- Odkąd to jesteś takim ekspertem od związków damsko-męskich? - spytał ponuro Stride, już żałując, że w jego głosie tak wyraźnie brzmi rozdrażnienie.

- Powiedzmy, że wiem coś niecoś na temat podnoszenia się po ciosie, może być? Stride nie odpowiedział. Jechali w milczeniu.

Ich cel znajdował się na południowym krańcu miasta. Po lewej minęli port i przecięli pajęczynę torów wokół doków. Nie było tu zbyt wiele zabudowań - kilka pozbawionych szyb barów, sklepy z alkoholem wystawione na sprzedaż i stacje

benzynowe. Jeszcze trochę i znaleźli się na przedmieściu, gdzie w pobliżu autostrady międzystanowej przetrwało spore skupisko starych domów. Większość zbudowano przed rokiem tysiąc dziewięćset czterdziestym. W tamtych czasach były to skromne, ale wygodne, siedziby marynarzy i robotników portowych. Teraz większość popadła w ruinę, a cała dzielnica stała się rajem dilerów narkotykowych.

- Dla Emily małżeństwo z Graeme'em to był duży skok na drabinie społecznej - odezwała się Maggie. - Należy jej się uznanie, że umiała go złapać. Ciekawe, jak tego dokonała.

- Cóż, nasz poczciwy wielebny powiedział, że parę lat temu była z niej niezła laska.

- Naprawdę tak powiedział?

- Parafrazuję. Ale Emily najwyraźniej nadal jest z nim blisko. I mam wrażenie, że on wie o niej i Rachel więcej niż ktokolwiek inny.

- Tylko czy nam coś powie.

- Zgodził się z nami spotkać. To już coś.

Zaśnieżonymi ulicami dojechali do spokojnego osiedla. Stojące samochody wyglądały jak pagórki śniegu, między którymi musiał lawirować na wąskiej jezdni.

Kościół, gdzie Dayton pełnił funkcję pastora, stanowił przyczółek, z którego tutejsi mieszkańcy odpierali przestępczość i wandalizm. Dziedziniec był idealnie czysty, obsadzony starannie przystrzyżonymi i precyzyjnie rozmieszczonymi na szerokim trawniku krzewami zdobnymi teraz w śnieżne czapy. Był tu także rząd huśtawek i placyk zabaw dla dzieci. Jedno i drugie z drzewa cedrowego. Sam budynek kościoła pysznił się świeżą farbą. Wysokie, wąskie okna obramowane były na jasnoczerwono.

Podjechali pod kościół i zaparkowali, zostawiając na śniegu pierwsze tego dnia ślady kół. Powietrze było rześkie i zimne. Dobrnęli do głównego wejścia. W przedsionku było chłodno - ciepło ulatniało się pod wysokie sklepienie. Skuleni w sobie, rozejrzeli się wokół. Stride zwrócił uwagę na tablicę ogłoszeń pełną informacji o leczeniu narkomanii, zapobieganiu przemocy i poradnictwie dla rozwodzących się. W samym środku rzucało się w oczy ogłoszenie o zaginięciu Rachel z wyeksponowaną fotografią.

- Dzień dobry! - zawołał Stride.

Gdzieś z głębi kościoła dosłyszał jakiś ruch, potem stłumiony głos. Po krótkiej chwili z cienia wyłonił się Dayton Tenby i podszedł do nich, do przedsionka.

Dayton miał na sobie szare spodnie od dresu i szary wełniany sweter ze skórzanymi łatami na łokciach. Powitał ich nerwowym uśmiechem i uściskiem mokrej od potu dłoni, podobnie jak wtedy, gdy Stride spotkał się z nim po raz pierwszy. Wokół jego czoła także perlila się wilgoć. Pod pachą trzymał żółtawy blok zapisany pajęczym pismem, a za uchem miał długopis.

- Przepraszam, że nie czekałem, żeby państwa powitać. Pisałem właśnie kazanie na jutrzejsze nabożeństwo i trochę straciłem kontakt z rzeczywistością. Chodźmy do mnie, tam jest cieplej.

Poprowadził ich przez całą długość budynku. Jego mieszkanie z tyłu kościoła było ciasne, pudełkowate, wyposażone w meble z ciemnego drzewa. Nad skromnym kominkiem wisiał duży olejny obraz Chrystusa. Płonący ogień napełniał pomieszczenie przyjemnym ciepłem. Dayton usadowił się na dużym wyściełanym krześle obok kominka i odłożył swój blok z notatkami na najbliższy koniec rzeźbionego stołu. Zapraszającym gestem wskazał im starą niewygodną kanapę. Stride i Maggie usiedli. Maggie wpasowała się idealnie, ale Stride dłuższą chwilę kręcił się, próbując znaleźć pozycję odpowiednią dla swego długiego ciała.

- Przy naszym pierwszym spotkaniu powiedział ojciec, że Rachel na pewno uciekła z domu - zaczął Stride. - Czy nadal ojciec tak uważa?

Dayton ściągnął usta.

- Jak na żart to już trwa trochę za długo, nawet zważywszy, że to Rachel. Nie powiedziałbym tego Stonerom, ale zaczynam się obawiać, że to może być coś więcej niż dziecinny wygłup.

- Ale nie ma ojciec koncepcji, co? - spytała Maggie.

- Nie, nie mam. Czy państwo sądzą, że została porwana?

- Niczego nie wykluczamy - rzekł Stride. - Na razie próbujemy dowiedzieć się czegoś więcej o relacjach Rachel z innymi ludźmi i o jej przeszłości. Chcemy stworzyć sobie jej obraz. Ponieważ ojciec zna ją i jej rodzinę od dawna, pomyśleliśmy, że mógłby nam ojciec pomóc.

Dayton skinął głową.

- Rozumiem.

- Zachwytu nie widzę - powiedziała Maggie.

Dayton złożył splecione dłonie na kolanach.

- Nie w tym rzecz. Po prostu staram się rozważyć, co mogę, a czego nie mogę. Są pewne rzeczy, o których dowiedziałem się, pełniąc rolę przewodnika duchowego, i które muszą pozostać tajemnicą. Jestem pewien, że państwo to rozumieją.

- Czy to znaczy, że doradzał ojciec Rachel?

- Krótko. Dawno temu. O wiele więcej pracowałem z Emily. Przez wiele lat wspólnie staraliśmy się rozwiązywać problemy z Rachel. Niestety, bez wielkiego powodzenia.

- Wszystko, co może nam ojciec powiedzieć, będzie pomocne - zapewniła go Maggie.

- Prawdę mówiąc, rozmawiałem o zapowiedzianej przez was wizycie z Emily. Podejrzywałem, że ten temat wypłynie. Emily wielkodusznie udzieliła mi zezwolenia na nieskrępowane relacjonowanie naszych kontaktów. Naturalnie nie mam zezwolenia Rachel, ale zważywszy okoliczności, nie przysłużyłbym się sprawie, gdybym ukrywał informacje. Muszę jednak dodać, że Rachel powiedziała mi bardzo niewiele o sprawach, które kładły się cieniem na jej duszy.

- Może zechciałby ojciec zacząć od początku - zasugerował Stride.

- Tak, oczywiście. No cóż, wiele problemów w stosunkach Emily z Rachel datuje się od czasów jej pierwszego małżeństwa z Tommym Deese'em. To on wbił między nie klin, a po jego śmierci sprawy jeszcze się pogorszyły. Rzecz jasna dowiedziałem się tego wszystkiego dopiero dużo później. Znałem ich oboje z kościoła, ale żadne nigdy nie podjęło próby zawierzenia mi.

- Mieszkali w pobliżu?

- O, tak. Na tej samej ulicy.

- Czy Rachel miała wielu przyjaciół?

Dayton zabębnił palcami po stole.

- Nigdy nie była z nikim specjalnie blisko. Może oprócz Kevina. On zawsze robił do niej słodkie oczy, ale bez wzajemności.

- To ten Kevin, który ostatniego wieczoru był z nią w Canal Park? - spytała Maggie.

- Tak. Kevin i jego rodzina nadal tu mieszkają. Spodziewam się, że zostanie prawnikiem, może prezesem jakiejś wielkiej firmy, że osiągnie prawdziwy sukces. Jego jedyną słabością jest Rachel. Mam wrażenie, że chciał ją ocalić. Ale Rachel nie wydawała się zainteresowana ocaleniem. No i dobrze, ta Sally, z którą się teraz spotyka, o wiele lepiej do niego pasuje. To chyba brzmi dosyć zimno, prawda? Nie to,

żebym żywił jakieś złe uczucia wobec Rachel, ale Kevinowi nigdy by się z nią nie ułożyło.

Maggie skinęła głową.

- Rozumiem, że pana zdaniem Kevin nie mógł mieć nic wspólnego ze zniknięciem Rachel.

Twarz Daytona wyrażała autentyczny wstrząs.

- Kevin? Och, nie, nie. Niemożliwe.

- Porozmawiajmy o Emily i Graemie. Czy Rachel żywiła niechęć do Graeme'a? Czy miała pretensję do Emily, że wprowadziła w ich życie nowego mężczyznę?

- Takie przypuszczenie samo się nasuwa, prawda? Ale chyba tak nie było. Ich stosunki były dość dobre, w każdym razie przez pewien czas. Sądzę, że Rachel planowała użyć Graeme'a przeciwko Emily, tak jak Tommy używał jej. Napuścić Graeme'a i Emily na siebie nawzajem. Może nawet jej się to udało. Nie byli bardzo szczęśliwym małżeństwem.

- W jakim sensie? - spytała Maggie. - Awantury? Niewierność?

Dayton podniósł rękę.

- Przepraszam, zaschło mi w gardle. Muszę sobie wziąć wody. Nie mogę sobie pozwolić na chrypę przed kazaniem. Czy państwa także mogę czymś poczęstować?

Stride i Maggie potrząsnęli głowami. Dayton z uśmiechem przeprosił i zniknął w sąsiednim pokoju. Usłyszeli jego kroki na twardej posadzce, a potem głos rur, gdy odkręcił kran. Po chwili wrócił, popijając z czerwonego plastikowego kubka.

- Przepraszam - powiedział jeszcze raz, siadając. Sprawiał wrażenie nieco swobodniejszego. - Na czym skończyliśmy?

- Emily i Graeme - odpowiedziała Maggie.

- Tak, tak. Cóż, nie sądzę, żeby w ich małżeństwie dochodziło do aktów agresji. Myślę, że problem jest, by tak rzec, odwrotny. Brak emocji. Po prostu nie wygląda na to, żeby się kochali.

- W takim razie czemu się w ogóle pobrali? - spytał Stride.

Dayton spochmurniał.

- Graeme jest człowiekiem sukcesu. Myślę, że Emily mogła być nieco zaślepiąona tymi wszystkimi zerami na jego koncie. Kiedy ktoś przez całe życie walczy, żeby związać koniec z końcem, wizja świata, w którym ma się zdecydowanie więcej swobody, może być bardzo kusząca. Być może dopuściła, by marzenia przesłoniły jej rzeczywistość.

- A Graeme? - zagadnęła Maggie. - Bez urazy, ale Emily nie sprawia wrażenia atrakcyjnej partii dla bankowego bonzy.

Dayton przypatrywał się Maggie z zagadkowym uśmiechem, jakby to pytanie bardzo go rozbawiło.

- Któż to może wiedzieć, co się komu w kim spodoba? Emily ma dużo uroku. Rachel, wbrew jej mniemaniu, nie odziedziczyła urody wyłącznie po Tommym. Poza tym wielu mężczyzn pociągają kobiety, którymi trzeba się zaopiekować. Może tak było z Graeme'em?

To już zdaniem Stride'a było zupełnie niepodobne do Graeme'a.

- Jak się poznali?

- Jak opowiada Emily, to dość romantyczna historia - rzeki Dayton. Jego głos zabrzmiał nagle głośniejsz, śmielej. Jakby z większym przekonaniem. - Graeme pracował w banku już od roku i wyobrażam sobie, że większość żeńskiego personelu uważała go za doskonałą partię. Przystojny, pewny siebie, z wysoką pozycją i pieniędzmi. Czego chcieć więcej? Ale on jakoś żadnej nie okazywał zainteresowania. Emily parę razy mi o nim wspominała, ale nawet nie śmiała marzyć, żeby chociaż spojrzął w jej stronę. Nigdy nie starała się do niego zbliżyć. Była jedną z nielicznych,

które tego nie próbowały. Może to właśnie podziało na jej korzyść? Mógł zobaczyć w niej jedyną kobietę odporną na jego urok. Tak czy inaczej, pewnego dnia podszedł do niej na parkingu po pracy. Zapytał, czy nie poszłaby z nim na drinka. Okazało się, że pociągała go już od pewnego czasu, ale nie miał odwagi jej zagadnąć. Śmieszne, prawda? Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Rzeczywiście - powiedział Stride.

Zerknął na Maggie; zmarszczyła brwi.

- I po niedługim czasie wzięli ślub - kontynuował Dayton. - Romans o oszłamiającym tempie.

Maggie pokręciła głową.

- A po kilku latach ani śladu uczuć?

- Zdarza się - odparł Dayton. - Widuję to aż nazbyt często.

- Proszę mi wybaczyć, ale ciągle nie mogę czegoś zrozumieć. Powiedzmy, że Graeme zaprosił Emily na randkę. I okazało się, że mają ze sobą na tyle dużo wspólnego, by był gotów rzucić się w małżeństwo? Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Może to brzmi niesympatycznie, ale czy Emily nie zastawiła na niego sidła?

Dayton przygryzł wargę. Wyglądał na skrepowanego.

- Nie wiem, co pan przez to rozumie.

Maggie uśmiechnęła się.

- Sidła, pułapkę. Kobiety są świetne w manipulowaniu mężczyznami tak, aby robili to, co one zechcą. Nawet ten tutaj, Stride, też zrobi wszystko, co mu każe. To rodzaj sztuki.

Dayton odpowiedział nerwowym uśmiechem.

- Cóż, nie sądzę, żeby Emily miała jakąś strategię. Była zbyt oszołomiona rozwojem wydarzeń. Jak już mówiłem, może pieniądze przesłoniły jej fakt, że tak naprawdę nie czuła wielkiej namiętności. Ale nie wierzę, żeby rozmyślnie go oszukiwała.

- My po prostu musimy znać prawdę - powiedział Stride. - Z całą pewnością jest coś jeszcze.

Dayton skinął głową.

- Tak, wiem, Tylko że to nie ma nic wspólnego z Rachel, więc nie bardzo rozumiem, po co mielibyśmy prać te brudy.

- Jeśli się nie ma wszystkich kawałków, nie można złożyć układanki. Proste jak drut.

- Chyba tak - Dayton otarł wilgotne czoło. - No dobrze, więc po kilku tygodniach znajomości Emily zorientowała się, że jest w ciąży. I to w istocie doprowadziło do małżeństwa.

- Graeme z pewnością był zachwycony - mruknął Stride.

- Niespecjalnie. Chciał, żeby przerwała ciążę. Ona odmówiła. Myślę, że najbardziej zadowolony byłby, gdyby to się jakoś rozwiało. Ale w takim mieście jak Duluth, na jego stanowisku, nie można sobie pozwolić na skandal. Więc się z nią ożenił.

- A dziecko? — spytała Maggie.

- Poroniła. O mało nie umarła.

- Graeme nie próbował doprowadzić do kulturalnego rozwodu?

- Nie; nie próbował - odparł Dayton. - Wyglądało na to, że pogodził się z tym małżeństwem. Pewnie doszedł do wniosku, iż rozwód będzie niezwykle kosztowny. Więc postanowił dźwigać swoje brzemię. Ale bynajmniej nie udawał, że wkłada w to serce. Pozostawanie w małżeństwie było po prostu wygodniejsze. Przez pewien czas Emily też była zadowolona. Dla kogoś, kto tak długo musiał walczyć o przetrwanie, miłość nie jest taka ważna.

- Przez pewien czas? - spytała Maggie.
 - No cóż, pieniądze nie leczą z samotności.
 - I jak sobie teraz radzą z sytuacją? - podjął Stride.
 - Chyba najlepiej spytać o to ich samych, inspektorze.
 - I Rachel cały czas tkwiła w tej przemiłej atmosferze - zauważyła Maggie.
- Dayton westchnął.

- Cała ta trójka w tym domu. Nikt nie czuł się zbyt szczęśliwy. To bardzo przykre. Dlatego byłem tak przekonany, że Rachel uciekła. Miała od czego.

- Czy kiedykolwiek mówiła, że chciałaby uciec z domu.
- Nie, nigdy mi się nie zwierzała. Sądzę, że postrzegala mnie jako sojusznika Emily, a to automatycznie czyniło mnie jej wrogiem.
- Może jest jeszcze coś, co mogłoby rzucić światło na tajemnicę jej zniknięcia? Coś, co ojciec, usłyszał, zauważył?

- Niestety - odpowiedział Dayton. - Przykro mi, ale nie.

Wszyscy wstali. Niezręcznie podali sobie ręce. Stride wyczuł, że pastor wprost nie może się doczekać, żeby sobie poszli. Drzwi zamknęły się za nimi. Zatrzymali się na werandzie, zapinając kurtki i owijając sobie twarze szalikami. Ich ślady na śniegu już znikły, rozwiane przez wiatr.

- Co o tym myślisz? - spytała Maggie.

Stride spod przymrużonych powiek spojrział w zimne płóńce.

- Myślę, że należy nam się przerwa.

12.

Heather upiła łyk herbaty z wyszczerbionego porcelanowego kubka i odstawiła go na niski stolik w bezpiecznej odległości, gdzie potrącenie go nie groziło katastrofą, potem ostrożnie wzięła do ręki wywołane przed kilkoma godzinami w zimnej piwnicy odbitki.

Pierwszy śnieg zawsze owocował dobrymi pracami. W lesie za domem znalazła rozpiętą między dwoma drzewami ogromną idealną pajęczynę. Jej przejrzyste nici oblepiały kryształki śniegu, tworząc koronkowy wzór. Szybko nastawiła ostrość i gdy robiła zdjęcie za zdjęciem, podmuch wiatru strącił lodowate ozdoby i rozerwał pajęczynę. Jedna z fotografii pokazywała właśnie moment jej rozdzielenia w otoczeniu łagodnie opadających płateczków śniegu.

Heather zdjęła okulary i odłożyła je na bok. Właśnie kończyła się płyta z koncertem Brahmsa. Rozkoszując się melodią cichnącej muzyki, zamknęła oczy. Gdy ostatnie nuty rozpływały się w ciszy, uprzytomniła sobie, jak bardzo jest zmęczona.

Prawie cały dzień spędziła z aparatem na śniegu i mrozie, aż stopy całkiem jej przemokły, a palce zdrętwiały. Lissa towarzyszyła jej przez cały ten czas, ale jej zimno zupełnie nie przeszkadzało. Heather ciągle jej powtarzała, żeby zakryła twarz, ale gdy tylko nie patrzyła, mała uparcie ściągała szalik. Po powrocie do domu wykapały się w gorącej wodzie, lecz Heather gdzieś w środku wciąż czuła zimno tego dnia. Chciała już tylko opatulić ciało długą flanelową koszulą nocną i zagrzebać się pod górą koców.

Zgasila lampę i zsunęła się z rozkładanego fotela. Zgasila też górne światło i w domu zaległa ciemność - tylko pokój dzienny rozświetlało blade odbicie poświaty księżycowej lśniącej na świeżym śniegu na zewnątrz. Heather na palcach przeszła przez hol, nie chcąc obudzić Lissy. Jak to miała w zwyczaju, uchyliła drzwi do pokoju córeczki i zajrzała do środka. Lissa zawsze spała z zapaloną nocną lampką. Pokój

wypełniały cienie. Lissa leżała na brzuszku, z buzią ukrytą w poduszce, pogrążona w głębokim śnie. Zrzuciła z siebie część koców i spała do połowy odkryta.

Heather zbliżyła się, żeby ją przykryć. Noc będzie jeszcze zimniejsza. Chwilę postąła przy łóżku, wpatrując się w spokojną buzię Lięsy i uśmiechając się, gdy mała od czasu do czasu pomrukiwała przez sen. Nachyliła się i musnęła wargami czoło córeczki.

Podciągnęła koc i otuliła jej ramionka.

Coś stoczyło się z łóżka i miękko wylądowało na dywanie. Heather spojrzała w dół; w ciemności dostrzegła błysk. Kucnęła zdziwiona i podniosła przedmiot, który tam leżał. Była to złota bransoletka. Heather ani nie kupiła jej Lissie, ani też nigdy przedtem jej nie widziała. Zmarszczyła brwi, zastanawiający skąd córka ją wzięła, zaskoczona, że nigdy nic o niej nie wspomniała. Jak znała Lissę, to oznaczało, że bransoletka pochodzi z nielegalnego źródła.

Wyszła z sypialni dziewczynki. Bransoletkę wzięła ze sobą.

Ruszyła do swojej sypialni. Położyła bransoletkę na sfatygowanej pięcioszufladowej komodzie i chwilę uważnie jej się przyglądała. Potem wzruszyła ramionami i odwróciła się. Rozpięła czerwoną koszulę w szkocką kratę, rzuciła ją do kosza z rzeczami do prania. Nie nosiła stanika. Ściągnęła dzinsy, została w majtkach i skarpetkach i szybko wciągnęła przez głowę nocną koszulę.

Skuliła się pod swoimi sześcioma kocami. Włączyła radio. Szukała muzyki, ale wszędzie akurat nadawali wiadomości. Nie wsłuchiwała się - były z reguły zbyt przygnębiające. Na południe od miasta spalił się wiejski dom. Zginęła staruszka. Dziewczyny z Duluth, Rachel, nadal nie odnaleziono. „The Trojans” przegrali ważny mecz.

Heather wodziła wzrokiem po ścianie nad łóżkiem, pełnej oprawionych fotografii. Dopiero co dodała do kolekcji jedno zdjęcie z sesji fotograficznej przy szopie. Zamierające słońce nad czubkami drzew oświetlało resztki budynku, które rzucały na ziemię długie cienie. Martwe liście okrywały ją jak dywan. Niebo na horyzoncie miało szarość stali. Chciała uchwycić obraz rozkładu i udało jej się osiągnąć pożądany efekt.

Gdy tak wpatrywała się w zdjęcie, w końcu jej się przypomniało.

Pamięć podsunęła jej widok Lissy, jak wybiegła zza rogu szopy, krzycząc, że coś znalazła. Heather zareagowała z roztargnieniem, skupiona na aparacie. Ale przypomniała sobie, że Lissa pokazała jej złotą bransoletkę, a ona kazała małej natychmiast odłożyć ją na miejsce. A tu proszę, po kilku godzinach znajduje się ukryta w jej łóżku.

- A to mała żmija - powiedziała na głos, poirytowana.

Z ciężkim westchnieniem wygramoliła się z łóżka i wzięła bransoletkę z komody. Nie była szczególnie ciężka, na pewno niedroga. Pewnie jakaś uczennica zgubiła ją w czasie romantycznego spotkania kochanków za szopą.

Heather przyjrzała się bransoletce i na jej wewnętrznej powierzchni zobaczyła napis:

T ♥ R

T kocha R, pomyślała. Jasne. R była zapewne ładną pierwszoklasistką, a T piłkarzem, który uznał, że biżuteria to świetna metoda dobrania się do dziewczyny. Heather się roześmiała. Odłożyła bransoletkę na nocny stolik i zgasiła światło.

W ciemności próbowała zasnąć, ale ciągle kręciła się i rzucała na łóżku. Kilka minut temu oczy same jej się zamykały. Teraz była zupełnie rozbudzona. W głowie kłębiła jej się dzungla myśli. Liceum. Ładne dziewczyny migdałace się z chłopakami

za szopą. Staruszka ginąca w płomieniach. Mecze piłki nożnej. Prezenty ze złotych bransoletek. Młodzieńcze miłości. Młodzieńcze pragnienia.

Inicjały.

Znowu zobaczyła je w myślach.

Nagle szeroko otworzyła oczy i nic nie widząc, wpatrywała się w czerń pokoju. Pod warstwą koców jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Na oślep wymacała włącznik światła i zamrugła, gdy pokój zalala jasność.

Spojrzała na bransoletkę, nie śmiąc jej dotknąć.

T kocha R, pomyślała znowu.

R.

13.

Stride stał na leśnej drodze tuż poza granicą terenu oględzin wokół szopy. Wjeżdżające i wyjeżdżające tamtędy przez cały dzień wozy policyjne zamieniły śnieg w śliską szarą breję.

Stride okopał się w miejscu i mocno zaparł obiema nogami, starając się stawić opór porywistemu wiatrowi. Przenikliwy ziąb ciął jedyny nieosłonięty szalikiem rąbek jego twarzy niczym nóż. Czerwoną czapkę naciągnął nisko na czoło, a kaptur parki związał ciasno przy szyi. Na ręce włożył skórzane rękawiczki. Lodowaty wiatr miał temperaturę minus dziesięć stopni.

Przyroda nie była skłonna do współpracy. Podobnie jak los.

Szukali od południa. Minęło już pięć godzin; zbliżała się noc. Jak dotąd jedynymi znaleziskami, jakimi mogli się wykazać w efekcie tej żmudnej, niemal łamiącej karki pracy w przenikliwym zimnie, były dziesiątki zachodzących na siebie śladów opon, odłamki szkła, zużyte strzykawki i zawrotna ilość najzwyklejszych śmieci. Wszystkie znalezione przedmioty trafiały do plastikowych torebek starannie opatrywanych metryczkami określającymi, z którego metra kwadratowego terenu pochodzą.

Gdyby informacja od Heather Hubble nadeszła dwa dni wcześniej, mogliby przeszukać obszar wokół szopy stosunkowo łatwo. Dziś wszelkie dowody rzeczowe, jeśli jakieś tu były, spoczywały pod kilkucentymetrową warstwą śniegu. Ludzie przeszukujący poszczególne pola tej szachownicy musieli ostrożnie odmiatać sypki śnieg na kawałki już zbadane. Przy każdym zrywie wiatru śnieg wracał na dawne miejsce. Była to powolna niewdzięczna praca. Ale nie mieli innego wyjścia, jak tylko posuwać się centymetr po centymetrze, poszukując szczegółów być może nie większych niż włos, uwieczonych gdzieś w ziemi i pogrzebanych pod białą pokrywą.

Nie to jednak naprawdę przygnębiało Stride'a. Najgorsze było dopiero przed nimi. Prognoza pogody zapowiadała na rano jeszcze większe opady śniegu, prawdziwą zamieć, która może zrzucić na całe północne lasy kolejne dziesięć centymetrów śniegu. Jeśli to nastąpi, nie zobaczą ziemi aż do kwietnia, kiedy już nie bardzo będzie czego szukać. Muszą działać szybko. Zamówił przenośne reflektory, które właśnie rozstawiano, żeby można było przeczesywać teren przez całą noc. Mimo to nie mieli zbyt wiele czasu na tak żmudne zadanie.

A do tego jeszcze ze wszystkich miejsc na ziemi to musiała być ta szopa.

W każdym innym miejscu w tej dzicy znaleźliby co najwyżej korę brzożową i opadłe liście. Tu było jak na szkolnym boisku. Mógł jedynie zgadywać, ileż to nastoletnich par zostawiło po sobie pozbawione znaczenia ślady, które jednak trzeba było metodycznie przeanalizować, zbadać, sklasyfikować i dopiero potem ostatecznie odrzucić. Guppo recytował mu przez radiotelefon litanię dziwacznych przedmiotów,

na które dotąd natrafili. Zaczęli w pobliżu miejsca, gdzie mała Lissa - jak jej się wydawało - znalazła bransoletkę, i posuwali się na zewnątrz. Jak dotąd znaleźli między innymi majtki (o cztery rozmiary za duże na Rachel), aparat ortodontyczny, paczkę dropsów, króla pik z nagą blondynką na rewersie i dziewięć prezerwatyw.

Wiedział, że szanse na znalezienie czegoś ewidentnie związanego ze sprawą Rachel są niewielkie. Mimo to był podniecony. Stonerowie bez żadnych wątpliwości rozpoznali bransoletkę jako własność Rachel. Przesądziły o tym inicjały T ♥ R - „Tommy kocha Rachel”. Bransoletka była dawnym prezentem od ojca.

Kevin już wcześniej zeznał, że gdy widział Rachel po raz ostatni w Canal Park, miała na ręku tę bransoletkę. A teraz znalazła się tutaj, pierwszy namacalny dowód wskazujący, gdzie była Rachel po swoim zniknięciu. Ale na zawodową satysfakcję Stride’a rzuciła cień posępna wymowa tego odkrycia.

- Ona nigdy by jej nie zgubiła - powiedziała bez ogródek Emily. - To niemożliwe. To był prezent od Tommy’ego i zawsze ją nosiła. Nawet pod prysznicem. Nigdy jej nie zdejmowała.

Na widok bransoletki twarz Emily Stoner zbieleła. Stride dobrze ją rozumiał. Przez cały ten czas w głębi serca żywiła nadzieję, że Rachel wyjechała, opuściła ich z własnej woli, uciekła, spletała im okrutnego figła. Gdy wzięła tę bransoletkę do ręki, nadzieja zgasła.

A potem, u boku męża, który nie patrzył na nią, lecz wprost przed siebie, dosłownie się rozsypała. Wybuchnęła niekontrolowanym łkaniem.

- O mój Boże, ona nie żyje - wyszeptła. - Ona naprawdę nie żyje.

Stride nie próbował wkraczać w tę chwilę z fałszywą nadzieją. Mógłby jej, rzecz jasna, powiedzieć, że znalezienie bransoletki samo w sobie nic nie znaczy. Ale prawda była oczywista dla wszystkich. Całymi tygodniami szukali żywej dziewczyny, starali się rozszyfrować tajemnicę jej życia, tropili rozwiązanie zagadki.

Teraz rozpocznie się inne poszukiwanie. Poszukiwanie ciała Rachel.

Z tyłu dobiegło go trzaśnięcie drzwi samochodu, a potem kroki. Ktoś brnął przez śnieg. Odwrócił się. Maggie - ubrana w czarny zimowy melonik, futrzane nauszki i płaszcz z czerwonej wełny, falujący przy kostkach. Przedzierała się przez śnieg w skórzanych botkach na kwadratowych, wysokich na pięć centymetrów obcasach. Nie miała szalika, ale na jej złocistej skórze wściekły atak wiatru zdawał się nie robić najmniejszego wrażenia.

Stanęła obok Stride’a i zdała mu raport z wyników pracy kilkunastu policjantów skulonych nad miotłami, telefonami i torbami na dowody rzeczowe.

- Jaja ci zamarzną - powiedziała. - Czemu nie wrócisz do samochodu?

- Tam jest Guppo, nie wiesz? Lepiej mi tutaj.

Maggie zmarszczyła nos.

- Przypilnowałam go, żeby nie jadł surowych warzyw, i odblokowałam okno, tak że w każdej chwili możemy wpuścić tam świeże powietrze.

- Nie, dzięki. I tak muszę zaraz odstawić szopkę dla mediów. Już prawie pora na wieczorne wiadomości.

Zerknął na pełną drogę. Wozy policyjne blokowały przejazd w odległości parudziesięciu metrów. Za blokadą jarzyły się światła. Czekają tam na niego ponad dwudziesty reporterów, trzęsących się z zimna, utyskujących i za wszelką cenę starających się zwrócić na siebie uwagę. Na szczęście na tym wietrze niewiele było słychać.

Zerknął na zegarek. Za dziesięć piąta. Obiecał im wywiad na żywo, a w nim najświeższe nowiny.

- A ty byłeś tu kiedyś jako nastolatek?

- Czemu pytasz?

Maggie posłała mu uśmiech.

- Ta kobieta, która znalazła bransoletkę, mówiła, że to było od lat tradycyjne miejsce macanek tutejszej młodzieży.

Stride wzruszył ramionami.

- Ja zabierałem swoje dziewczyny na przyjemne, bezpieczne leśne ścieżki nad jeziorem.

- Więc kto bywał tutaj?

- Te łatwe.

- Czyżby to była seksistowska uwaga, którą powinnam zgłosić jako przejaw dyskryminacji? - drażniła się z nim.

- Jeśli chłopakowi udało się namówić dziewczynę na romantyczną przejażdżkę nad jeziorem, mogło to oznaczać, że jest szansa na dotarcie do drugiej bazy.

- Powiedz mi jeszcze, co to jest druga baza. - Maggie swawolnie przesuwiała koniuszkiem języka po zębach. - My w Chinach nie gramy w bejsbol. Dekolt, brodawki czy co?

Stride puścił jej pytanie mimo uszu.

- Ale jeśli zaproponował szopę i dziewczyna się zgodziła, to już było jasne, na co może liczyć. Z drugiej strony nie proponowało się tego, nie wiedząc, z jaką dziewczyną ma się do czynienia. Bo można było oberwać po gębie.

- A ty ?

- Pamiętam, że kiedyś wspomniałem o szopie Lori Peterson. Chlusnęła mi w twarz colą.

- Zuch dziewczyna - rzekła Maggie. - Czy to znaczy, że Rachel była łatwa?

Stride przygryzł dolną wargę.

- Tak wszyscy mówią.

- Tyle że dotąd nie znaleźliśmy ani jednego chłopaka, który by się przyznał, że z nią spał.

- No właśnie, ciekawe, prawda? Chociaż kto chciałby się wyrywać przed szereg i zadeklarować jako podejrzan, skoro dziewczyna znikła?

- Czyli myślisz, że to była randka?

- Może. Rozstała się z Kevinem tuż przed dziesiątą, mówiąc że jest zmęczona. A z tego, co wiemy, nie wydaje się typem dziewczyny, która w piątek wieczór szybko się męczy.

- Więc może była umówiona z kim innym. Z kimś, kto przyjechał po nią do domu.

Stride kiwnął głową.

- Przyjeżdżają na małe bara-bara do szopy. Ale coś się chrzani. Sprawa wymyka się spod kontroli. I nagle amant ma na rękach ciało.

- Zakładamy, że ona nie żyje? - spytała Maggie.

Stride westchnął.

- A nie?

- No to kim jest ten tajemniczy nieznajomy? Jakiś chłopak ze szkoły?

- Od tego trzeba zacząć, Mags. Najwyższy czas przepytac na nowo każdego, kto choć odrobinę pasowałby na jej chłopaka.

Maggie jęknęła.

- Calutki dzień odpytywania nadczytnych hormonalnie licealistów, którym się wydaje, że są darem z niebios dla każdej istoty mającej cipkę. Dajesz mi zawsze najlepsze zadania, szefie.

- Ubierz się stosownie do okoliczności, Mags. Więcej z nich wydobędziesz.

- Świetnie - mruknęła Maggie. - Żebym jeszcze miała stosowny biust.

- Coś wyślisz.

Maggie uszczypnęła go w ramię, odwróciła się i poszła do samochodu. Stride uśmiechnął się. Ruszył w kierunku tłumu dziennikarzy. W osłoniętej rękawiczką dłoni trzymał radiotelefon. Wetknął go sobie pod kaptur.

- Mamy coś, Guppo? - spytał.

Przez radiotelefon zagrzemiał głos Guppa.

- Co to za cholera, poruczniku? W każdym pudełku mamy więcej gówna, niżbym się spodziewał znaleźć w nowojorskiej narkotykowej spelunie. Musiał pan sobie wybrać na miejsce zbrodni akurat to?

Usłyszał coś jeszcze, a potem pełen pretensji głos Maggie.

- Psiakrew, Guppo, przyszedłam dosłownie na pięć sekund. Musisz właśnie teraz? Stride zachichotał.

- Guppo, powiedz jej, żeby przestała marudzić. Spytaj ją, w co się jutro ubierze do pracy.

W tle usłyszał zakłócony trzaskami głos.

- Pieprz się, Stride.

Stride znowu włączył nadajnik.

- Słuchaj, Guppo, czy mamy cokolwiek, co mogłoby mieć jakikolwiek związek ze sprawą Rachel?

- Może być, że mamy bardzo dużo. A może być, że nic. Nie będziemy wiedzieć, dopóki nie przebadamy tego materiału. Jest mnóstwo rzeczy wskazujących na seks, narkotyki i rock and roli, ale bez odcisków palców i analizy krwi wszystko to czysta spekulacja.

- Czyli nic w rodzaju przyznania się do winy przywiązanego do drzewa mordercy?

- Na razie nie. Nadal szukamy - beknął Guppo.

- Dobrze - powiedział Stride.

Włożył radiotelefon z powrotem do kieszeni. Podeszedł do wozów policyjnych i chwilę rozmawiał z funkcjonariuszami, którym powierzono niewdzięczne zadanie utrzymywania dziennikarzy i gapiów na odległość. Po drugiej stronie żółtej taśmy dosłownie się kłębiło, tak samo jak w noc po zniknięciu Rachel. Zalany światłem reflektorów Stride skrzywił się. Szmer głosów spotężniał w jeden wielki krzyk.

Stride pokazał palcem jednego z reporterów, którego znał osobiście.

- Czy twoja ekipa może się zająć oświetleniem? - Gdy tamten skinął głową, Stride kontynuował. - W porządku, mamy jedną ekipę, która oświetla mnie i was, i nie włączamy fleszy, dobra? Jeśli usłyszę jakieś krzyki, już mnie tu nie ma. Kto chce o coś spytać, podnosi rękę, ja wywołuję tę osobę, a ona zadaje jedno pytanie.

- Kiedy to zostałeś wybrany na prezydenta, Stride? - zawołał Bird Finch z pierwszego szeregu.

Stride uśmiechnął się szeroko.

- Wszyscy słyszeli. Bird już zadał swoje jedno pytanie. Przesuńcie go na koniec kolejki.

Dziennikarze roześmiali się drwiąco. Kilku spróbowało przepchnąć się przed Birda i zająć jego miejsce tuż pod taśmą. Ale atletyczny eks-koszykarz nie ustąpił ani na centymetr. Rzucił Stride'owi lodowaty uśmieszek.

Reflektory paliły Stride'a w twarz. Po raz pierwszy tego dnia nie czuł zimna. Tylko stopy, mokre i ukryte w cieniu, były nadal skostniałe.

- Jak tam, chłopaki, gotowi? - spytał. - Najpierw krótkie oświadczenie, potem pytania.

Zobaczył czerwone światełka na kilkunastu ręcznych kamerach. Kilka razy, wbrew jego zakazowi, oślepił go flesz.

- Najpierw może powiem, co wiemy - zaczął. - Dziś rano na naszą gorącą linię zadzwoniła pewna kobieta, w której posiadaniu znalazła się bransoletka jej zdaniem

mogąca mieć związek z zaginięciem Rachel Deese. Bransoletkę tę matka Rachel zidentyfikowała bez żadnych wątpliwości jako własność córki. Sądzymy, że Rachel miała ją na sobie w noc swojego zaginięcia. Według zeznań świadka, tej właśnie kobiety, bransoletka została znaleziona tutaj, za szopą. Obecnie przeszukujemy cały teren na przestrzeni około stu metrów kwadratowych wokół tego miejsca. To wszystko, co mogę obecnie powiedzieć.

Kilka osób jednocześnie wykrzyczało swoje pytania. Stride spiorunował ich wzrokiem, nie ruszając się i nie odpowiadając. Bird Finch dramatycznym gestem wyrzucił w górę rękę. I bez tego był o głowę wyższy od pozostałych. Z uniesionym ramieniem wyglądał jak czarna Statua Wolności. Może lepiej mieć to już za sobą, pomyślał Stride.

- Bird?

- Czy teraz wierzysz, że Rachel nie żyje - spytał Bird.

Zaakcentował słowo „teraz” akurat na tyle, by zasugerować słuchaczom, że to, co wszyscy wiedzieli już od dawna, do Stride’a dotarło z pewnym opóźnieniem.

- Nie chciałbym się wdawać w tego rodzaju spekulacje - odparł Stride.

Zanim ktokolwiek inny zdążył podnieść rękę, Bird wstrzelił się w moment ciszy z kolejnym pytaniem.

- Ale teraz już będziecie szukać ciała, prawda?

- Aktualnie jesteśmy w trakcie przeszukiwania terenu pod kątem dalszych dowodów rzeczowych. To intensywna, wymagająca ogromnej koncentracji praca, która może nam zająć jeszcze wiele godzin. Następne kroki będą zależały od tego, co znajdziemy, jeśli coś znajdziemy. Ale pełna analiza zajmie parę tygodni.

Następna ręka powędrowała w górę. Bird wskazał drogę, po której ruszyli inni.

- Gdy zakończycie te poszukiwania, zaczniecie też przeszukiwać okolicę, tak? Czy macie nadzieję, że znajdziecie ciało?

- Mamy nadzieję, że nie znajdziemy ciała - warknął Stride. - Ale istotnie planujemy podjąć poszukiwania innych potencjalnych dowodów rzeczowych w okolicznych lasach.

- Zapowiedziano dalsze opady śniegu. Czy to opóźni prace?

- Oczywiście. To jest Minnesota. O tej porze roku każde poszukiwania są utrudnione.

- Czy potrzebujecie wolontariuszy do pomocy w poszukiwaniach? - spytał jeden z reporterów.

- Z pewnością pożyteczna będzie każda oferta pomocy. Umieścimy na naszej stronie internetowej informacje o tym, w jaki sposób można nam pomóc i gdzie wolontariusze mogą się zgłaszać. W żaden sposób nie będzie natomiast pomocne przeczyszczenie lasów przez osoby postronne na własną rękę. To może tylko zaszkodzić śledztwu. Jeśli ludzie chcą pomagać, muszą nam pozwolić koordynować swoje działania.

Kolejne ręce wystrzeliły w górę.

- Czy znaleźliście jakiegokolwiek inne potwierdzenie, że Rachel tu była?

- Jeszcze nie - odparł Stride.

Jeszcze jedna ręka.

- Czy w ogóle kogoś podejrzewacie?

- Nie.

Bird Finch nie czekał, aż Stride znowu udzieli mu głosu.

- Pracujecie nad tą sprawą ponad trzy tygodnie i nikogo nie podejrzewacie?

- Jak dotąd nie ma dowodów na udział jakichkolwiek osób.

- A przestępcy seksualni? - spytał reporter z Minneapolis.

- Przesłuchaliśmy w okolicy wszystkie osoby, które w przeszłości dopuściły się aktów przemocy na tle seksualnym. Ale muszę jeszcze raz jasno powiedzieć, że nie mamy żadnych dowodów na czyjekolwiek związku z zaginięciem Rachel.

Znowu Bird.

- Czy teraz jesteście bardziej skłonni łączyć tę sprawę z zaginięciem Kerry McGrath? Ze zbrodnią, o którą najwyraźniej także nikogo nie podejrzewacie?

- Nie doszukaliśmy się żadnych powiązań między tymi zdarzeniami. Nie wykluczamy, że istnieją. Ale nie mamy dowodów, że te dwa przypadki zaginięcia mają ze sobą coś wspólnego.

- Czy ten przełom w sprawie daje większą nadzieję, że uda się wyjaśnić, co się stało z Rachel?

Stride nawet nie widział kobiety, która zadała to pytanie, tylko jej uniesioną rękę. Zawahał się, starannie dobierając w myślach słowa.

- Tak, mam większą nadzieję. Mamy jakiś punkt zaczepienia, miejsce, tu może znajdziemy odpowiedzi na niektóre pytania. Chcę zaapelować do wszystkich, którzy nas teraz oglądają. Jeśli w noc zaginięcia Rachel ktoś był w tej okolicy, jeśli coś widział albo słyszał, proszę do nas zadzwonić. Wiemy, że Rachel tu była. Chcemy się dowiedzieć, jak się tu dostała. Chcemy się dowiedzieć, co się stało.

Wskazał jeszcze jedną wyciągniętą rękę.

- Jak długo tu zostanieie? - spytała reporterka dziennika z Saint Paul.

- Może nawet całą noc - odparł Stride.

I tak było.

Gdy policja kończyła przeczesywanie kolejnego fragmentu terenu, torebki ze znaleziškami wędrowały do samochodu, gdzie Maggie i Stride oglądali każdy przedmiot, a następnie umieszczali go w osobnej przegródce specjalnej kasety. Stride nie natrafił na nic, co mogłoby mieć związek z osobą Rachel, choć prawdą było także, że mógł mieć taką rzecz przed oczami i nie wiedzieć o tym. Więcej miały powiedzieć dopiero badania laboratoryjne.

Stride spojrział na zegarek i przekonał się, że jest już prawie czwarta nad ranem. Na podłodze leżało pudełko po pizzy, prawie puste, jeśli nie liczyć dwóch zaschniętych niedojedzonych kawałków. Stride nie miał pojęcia, jak Guppo mógł je przegapić. Maggie siedziała naprzeciwko. Głowa jej się kiwała, oczy co chwila się zamykały. Oparta łokcie na kolanach, a twarz objęła dłońmi.

Stride, zmęczony i skostniały, pozwolił myślom powędrować do Andrei. Gdy zadzwonił, żeby odwołać spotkanie, zareagowała ze zrozumieniem, choć było mu przyjemnie słyszeć w jej głosie cień zawodu. On też był zawiedziony. Nie był pewien, czy chodzi tylko o seks, czy też o samą bliskość kobiecego ciała, ale bardzo chciał ją zobaczyć. Andrea była ogromnie atrakcyjną kobietą. Nie było to oczywiście nic takiego jak z Cindy. Ale też nic już takie nie będzie. Andrea jest inną osobą i nie można oczekiwać, że jej głównym celem będzie dorównanie duchowi.

Gdy głośnik w samochodzie zatrzeszczał, Stride aż podskoczył. Miał wrażenie, że przez kilka sekund spał.

- Zaczyna padać śnieg - zameldował jeden z jego podwładnych.

- No to świetnie, po prostu świetnie.

Zmusił się, żeby się podźwignąć. Bolały go mięśnie, grzbiet miał zupełnie zeszywniały. Zazwyczaj wieczorem robił serię ćwiczeń rozciągających, ale od kilku dni zaniedbał to. Teraz za to płacił. Bolało go też ramię, miejsce, w które kilka lat temu został postrzelony. Na zimnie zawsze było gorzej.

Zerknął przez zamarznięte tylne okno furgonetki. W świetle rozstawionych na całym terenie lamp widział duże płatki śniegu łagodnie opadające na ziemię. Każdy z

osobna wydawał się taki malutki i nieszkodliwy, tymczasem razem wkrótce całkowicie zasypią jego teren poszukiwań.

- I jak? - spytała cicho Maggie.

- Całkiem źle - odparł Stride.

Wpatrzył się w cienie lasu. Próbował sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać tamtej nocy. Rachel na siedzeniu pasażera. Ktoś parkujący za szopą. Zbiegiem okoliczności akurat wtedy nikogo innego tam nie było. W jaki sposób bransoletka trafiła na ziemię? W taką zimną noc nie uprawialiby seksu na zewnątrz. Może po prostu wyszli na dwór popatrzeć na las, tak samo jak on. A potem chłopak próbował zaciągnąć ją z powrotem do samochodu, zaczęli się szarpać, bransoletka się zsunęła i... co dalej?

A może już w samochodzie zrobiło się nieprzyjemnie i Rachel próbowała uciec. On za nią. Bransoletka spadła podczas szamotaniny. On ją uderzył. Dusił. A potem co zrobił z ciałem? Zabrał głębiej w las? Wciągnął je do samochodu i pojechał ukryć zupełnie gdzie indziej?

Głośnik znowu ożył.

- Chłopaki, pamięta któryś, jak tamtej nocy Rachel była ubrana? - odezwał się jeden z funkcjonariuszy.

Stride i Maggie spojrzeli po sobie. Maggie wyrecytowała z pamięci.

- Czarne dżinsy, biały golf.

Głośnik zamilkł.

Kilka sekund później:

- Biały golf, powiadacie?

Teraz przemówił Stride.

- Tak właśnie powiadamy.

Jeszcze jedna pauza, tym razem dłuższa.

- No dobra, chłopaki. Może i coś mamy.

Trójkątny kawałek był niewielki, długości około piętnastu centymetrów, i postrzępiony. Mimo pokrywającego go brudu nie mogło być wątpliwości, że kiedyś był biały. Tuż przy jednym brzegu, tam gdzie został oderwany od reszty ubrania, znajdowała się mocno wżarta w splot dzianiny czerwonawobrazowa plama.

14.

Emily była przekonana, że traci zmysły. Od tamtego straszego wieczoru, gdy rzuciła się na Rachel, nigdy do tego stopnia nie czuła, że nie panuje nad sobą. Dryfowała po morzu, samiutka, bez jakiegokolwiek nadziei na ratunek.

Gnana niepokojem, chodziła tam i z powrotem, wydeptując ścieżkę w dywanie. Dłońmi o szeroko rozstawionych palcach ścisnęła czoło, mocno jak imadłem. Nieświeże włosy spadały jej na twarz. Oczy miała rozszerzone, oddychała głośno, szybko, z wysiłkiem. Głowa pulsowała bólem, jakby w środku rozrastał się guz.

- Chciałbym pokazać pani tę bransoletkę - powiedział tamten policjant.

Raz tylko spojrzała i zaczęła krzyczeć.

Nie wierzyła, że ten dzień naprawdę nadejdzie. Pamiętała, co ta druga kobieta, Barbara McGrath, powiedziała w programie telewizyjnym. Jak bardzo boi się tego dnia, gdy policjanci zapukają do jej drzwi z posępnym wyrazem twarzy. Ale Emily nie wierzyła, że to może się zdarzyć jej. Wierzyła, że Rachel żyje. Pewnego dnia zadzwoni telefon, a na drugim końcu linii rozlegnie się znajomy drwiący śmiech.

Wierzyła, dopóki nie zobaczyła bransoletki. Teraz wiedziała. Rachel nie żyje. Ktoś ją zabił.

To było tak, jakby policja wyciągnęła jej ziemię spod stóp. Mijały godziny, a ją ciągle trawiła rozpacz.

Ciche dźwięki, jak zawsze słyszalne na werandzie, dudniły w jej głowie jak grzmot. Kominek mruczał, napełniając pomieszczenie ciepłym powietrzem. Gałęzie rosnących za oknem tawuł, popiskując, ocierały się o szyby. Drewniane elementy domu trzeszczały, jakby uginając się pod ciężarem niewidzialnego ducha.

I ten najgorszy ze wszystkich dźwięk: stuk, stuk laptopa Graeme'a, pracującego obok, w odległości zaledwie kilku metrów, obojętnego na jej mękę.

Stuk, stuk, stuk.

Nigdy by nie uwierzyła, że mogą dojść do takiego stanu. A co najgorsze, sama to wszystko na siebie sprowadziła.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

Napięta jak struna, czekała na jego reakcję. Siedziała na kanapie w swoim ciasnym pokoju dziennym, z dłońmi niezręcznie złożonymi na kolanach. Graeme na wyścielanym krześle naprzeciwko niej, z kieliszkiem w ręce. To był już jego drugi drink po kolacji, na którą do pieczonych żeberek podała szampana.

Gdy oboje się rozluźnili, wyrzuciła z siebie swoją nowinę.

- Mówiłaś, że się zabezpieczasz - powiedział Graeme.

Po twarzy Emili przebiegł skurcz. Nie to pragnęła usłyszeć. Nie było słów miłości, podniecenia. Tylko z lekka zawoalowany wyrzut.

- Biorę pigułki - odpowiedziała. - Ale nic nie daje stuprocentowej pewności. To był wypadek. Wola boska.

- Nie wiem, czy jesteśmy na to przygotowani.

- Nie wiem, czy ktokolwiek kiedykolwiek jest przygotowany.

- Chodzi mi o to, że nie mam pewności, czy nie powinniśmy tego przerwać.

Emilia poczuła, że wzbierają w niej łzy. Oddychała z trudem. Przemówiła drżącym głosem.

- Nie zabiję mojego dziecka.

Graeme nie odpowiedział.

- Nie zrobię tego, Graeme - powtórzyła. - Jak możesz mi to proponować? To także twoje dziecko.

Wstała z kanapy. Obeszła stolik do kawy i uklękła przed Graeme'em. Wzięła jego dłonie w swoje.

- Nie chcesz stworzyć naszemu dziecku wspólnego domu? - spytała.

Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund sprawiał wrażenie porażonego. Oczy utkwilił gdzieś nad jej ramieniem. Ale potem ledwo zauważalnym ruchem skinął głową. Emilia poczuła, jak na jej twarzy wykwita szeroki uśmiech ulgi i radości. Zarzuciła ręce na szyję Graeme'a i mocno go uściskała. Obsypała go pocałunkami.

- Pobierzmy się zaraz - powiedziała. - Jak najszybciej. W ten weekend.

Graeme też się uśmiechnął.

- Dobrze. W ten weekend pojedziemy na wybrzeże i znajdziemy jakiś mały kościółek. Możemy też zabrać Rachel.

Na krótką chwilę jej myśli zmącił cień. W tym podnieceniu niemal zapomniała o córce. Ale to minęło. Czowała się mocna, pewna siebie. Tak będzie dobrze. Dla niej. Dla Graeme'a. Nawet dla Rachel. Może w końcu staną się rodziną. Rodziną, która nigdy nie będzie musiała troszczyć się o pieniądze.

- Dobrze, tak zrobimy - przytaknęła.

Odchyliła się i zaczęła rozpinąć bluzkę, patrząc, jak jego oczy śledzą ruchy jej palców. Gdy połny materiału się rozchyliły, sięgnął do jej piersi.

I nagle odezwał się jego pager. Przenikliwy wysoki dźwięk wypełnił cały pokój. Oboje podskoczyli. Emily z obnażonymi piersiami opadła na siedzenie. Graeme zerwał się z krzesła i sięgnął po pager. Odpiął go z paska i spojrzął na wyświetlacz.

- Muszę lecieć.

Emily wyprostowała się, przyglądała włosy i poprawiła bluzkę. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Nic nie szkodzi.

Odprowadziła go do drzwi i została chwilę w progu, owiana nocnym powietrzem, patrząc, jak wycofuje samochód z podjazdu. Patrzyła za nim, aż całkiem zniknął jej z oczu, ale nie ruszyła się z miejsca, rozkoszując się łagodnym powiewem wiatru na twarzy.

Cicho zamknęła drzwi. Nucąc pod nosem, ruszyła do kuchni.

- Ale śmiesznie wyglądałaś z tymi dyndającymi cyckami - usłyszała czyjś głos.

Rachel siedziała na najwyższym stopniu schodów na piętro. Długie gołe nogi swobodnie wyciągnęła przed siebie. Była ubrana w krótkie szorty i czarny top ciasno obejmujący jej bujny biust. Czarne włosy były mokre, jakby wyszła spod prysznic. Skóra lśniła.

- Szpiegowalaś nas?

Rachel wzruszyła ramionami.

- Graeme mnie widział. Nie chciałam psuć twojej wielkiej chwili.

Tego wieczoru Emily postanowiła nie dać się wciągnąć w gierki Rachel. Nie zaszczycając jej kolejnym spojrzeniem, skierowała się do kuchni.

- Stara sztuczka jeszcze raz się sprawdziła, co? - zawołała za nią Rachel.

Emily stanęła jak wryta.

- Co to ma znaczyć?

Rachel wykrzywiła twarz i przedrzeźniając głos matki, zaszczebiotała.

- Biorę pigułki, kochanie. To był wypadek. Wola boska.

- No i co? - spytała Emily.

- No i to - Rachel wyciągnęła przed siebie niewielką kosmetyczkę i otworzyła ją, demonstrując nienaruszony krążek małych zielonych pigulek. - Mnie to wygląda na pigułki antykoncepcyjne. Co się stało, mateczko? Czyżbyś narobiła sobie jakichś zaległości?

Emily zakryła usta dłońmi. Twarz jej pobieliała. Potem się opanowała. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Ty tego nie rozumiesz.

Rachel wycelowała w nią palec.

- Doprawdy? Jesteś dokładnie taką kłamliwą dziwką, za jaką cię zawsze uważałam. Tatusi mówił tak samo.

Emily nie odpowiedziała. Rachel miała rację - oszukała Graeme'a. Ale zrobiła to w dobrym celu, dla nich obu. Żeby w końcu zapewnić im odrobinę bezpieczeństwa. Nie musieć pracować. Nie chciała schwytać go w pułapkę, tylko uprzytomnić mu, że ją kocha.

- Przypuszczam, że powinnam ci podziękować - ciągnęła Rachel. - Tatusiowi też splatałaś takiego figla? Dlatego przyszłam na świat? Wiedziałaś, że samej nie uda ci się zatrzymać go przy sobie.

Emily przygryzła wargę. Chciała na cały głos wykrzyknąć zaprzeczenie. Ale długa pauza wystarczyła, by Rachel przekonała się, jaka jest prawda.

- Robisz się przewidywalna - stwierdziła dziewczyna.

- Masz zamiar powiedzieć Graeme'owi? - spytała Emily.

Co prawda, znała odpowiedź. Rachel nie pominęłaby okazji, by zatopić matce nóż w sercu. Wszystkie starannie zbudowane plany legną w gruzach.

Ale Rachel ją zaskoczyła.

- Po co miałabym to robić? Dzięki temu pierwszy raz w życiu zaświtała mi myśl, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Odwróciła się i znikła w swoim pokoju.

Emily żałowała, że nie pozwolili jej zatrzymać bransoletki. Udało jej się tylko rzucić na nią okiem. Przez plastikową torebkę dostrzegła dedykację Tommy'ego. Potem policjant zabrał ją sprzed jej oczu. „Dowód rzeczowy”, powiedział.

Dostanie ją z powrotem po procesie. Jeśli będzie jakiś proces. Jeśli kiedykolwiek się dowiedzą, co stało się z Rachel.

Nie przestawała chodzić tam i z powrotem. Ból, który starała się wycisnąć z głowy, jeszcze się nasilił. Rzeczywistość była zbyt straszna, nie do zniesienia. Tak bardzo pragnęła, żeby ktoś ją przytulił, powiedział: „No, już dobrze, dobrze”, albo chociaż pozwolił jej się do woli wypłakać. Zatrzymała się i spojrzała na męża; w niemej wściekłości potrząsnęła głową. Pracował na komputerze, jakby jej tu wogóle nie było. Ignorował jej jęki, jej płacz, jej ciężki chód.

Stuk, stuk, stuk. Palce na klawiaturze. Jej córka nie żyje, a on zabawia się arkuszami kalkulacyjnymi.

Jakim cudem mogła tego nie zauważyć? Jak zdołała sobie wmówić, że go kocha albo że on mógłby kiedykolwiek kochać ją?

Utkwiła palące spojrzenie w jego plecach. Znów zadała sobie pytanie, jak mogli zabrnąć tak daleko. Rachel odeszła, a ona była w stanie myśleć tylko o tym, jak puste było całe jej życie, od małżeństwa poczynając. Straciła wszystko.

Wreszcie jej milczenie zwróciło jego uwagę. Odwrócił się i napotkał jej wzrok pełen pasji. Miała dzikie oczy. Nie wiedziała, co ma począć z całym tym ładunkiem żalu, który w niej eksplodował. Korek wyskoczył z butelki. Stała tak cała drżąca.

- Usiądź, Emily - powiedział Graeme. - Odpręż się.

To aż śmieszne, jak on zawsze musi powiedzieć nie to, co trzeba. Jakąż nienawiść budził w niej teraz sam jego głos i ten spokój, z którym artykułował każde bezbarwne słowo. Nie była w stanie znieść tego dłużej.

- Co takiego? - syknęła. - Ty mi mówisz, że mam się odprężyć?

Mierzyli się wzrokiem. Jego spojrzenie było martwe, przechodziło przez nią na wylot, jak przez powietrze. Był cierpliwy i uprzejmy. Obcy.

- Wiem, co czujesz - podjął, jakby przemawiał do rozhisteryzowanego dziecka.

Emily objęła rękami czoło. Zamknęła oczy, a jej twarz wykrzywił grymas. Łzy płynęły strumieniem.

- Nie wiesz, co czuję, bo ty nie jesteś zdolny poczuć nic, rozumiesz, nic! Siedzisz na tym swoim krześle, uśmiechasz się, i zgrywasz się, że jesteśmy kochającą się parą. A przecież wiem, że nic do mnie nie czujesz.

- Zachowujesz się irracjonalnie.

- Irracjonalnie? - Konwulsyjnie zaciskała i rozprostowywała pięści. - Boże, a jak myślisz, dlaczego? Skąd to irracjonalne zachowanie, co?

Nie odpowiedział.

Potrząsnęła głową, wciąż nie dowierzając.

- Ona nie żyje. Rozumiesz? Ona naprawdę nie żyje.

- Znalezione tylko bransoletkę. To niekoniecznie musi coś znaczyć.

- To znaczy wszystko - odparta Emily. - Nie mam już Rachel. I nie mam ciebie, prawda? Nigdy cię nie miałam.

- Emily, proszę...

- O co, Graeme? Proszę, idź sobie? Proszę, nie zwracaj mi głowy swoimi śmiesznymi problemami?

Nie odpowiedział.

- Dlaczego się ze mną ożeniłeś? - wyszeptała. - Mogłeś mi dać pieniądze. Nie powiedziałabym nikomu, że dziecko było twoje. Gdybyś chciał, wyjechałabym z miasta. Dlaczego się ze mną ożeniłeś, skoro nic do mnie nie czuleś?

Graeme wzruszył ramionami.

- A dałaś mi jakiś wybór?

Emily ledwo go słyszała. Ale miał rację. Jej błąd. Jej wina.

- Chyba powinnam była usunąć ciążę - powiedziała.

To byłoby znacznie łatwiejsze, prosty zabieg, wyssanie rodzącego się w niej życia. Łatwiejsze niż strata dziecka kilka miesięcy później, z rzeką krwi.

- Tak byłoby dobrze, co, Graeme? Nie musiałbyś się ze mną żenić. Nie musiałbyś się wcale żenić. Byłbyś szczęśliwy, mogąc spokojnie bawić się swoimi arkuszami kalkulacyjnymi i dzwonić do sekstelefonu.

Graeme wbił w nią ostry wzrok. Tym razem poruszyła czułą strunę. Wpatrywał się w nią. Wyglądał nawet na odrobinę przestraszonego. I dobrze.

- Nie sądziłeś, że wiem, prawda? Kiedyś zesłam za tobą na dół. Widziałam cię tutaj, na kolanach, jak obciążałeś fiuta i dyszałeś do telefonu. Słyszałam, jak mówiłeś do tej dziewczyny, jak bardzo chciałbyś ją teraz pieprzyć. To było lepsze, prawda? Lepsze niż udawanie, że dobrze się bawisz, pieprząc mnie.

Emily utkwiała wzrok w suficie.

- Wszyscy wyszlibyście na tym lepiej. Ty i Tommy, i Rachel. Ja rozpieprzyłam życie wam wszystkim. Szkoda, że się nie wyskrobałam i za pierwszym razem.

Osunęła się na kolana, a potem opadła na czworaka na biały pluszowy dywan. Przez chwilę tłukła pięścią w podłogę, po czym przewróciła się na plecy, przyciągnęła kolana do piersi i skuliła się.

- Bóg wiedział, co robi. Nie chciał, żebym miała drugie dziecko. Wystarczy spojrzeć, jakiego potwora zrobiłam z pierwszego.

Graeme pochylił się nad nią. Na twarzy miał przyklejony wyraz zatroskania. Fałszywy, jak wszystko w ich życiu.

- Nie dotykaj mnie. Nie dotykaj mnie! Nie udawaj, dobrze? Nie udawaj!

- Emily, może byś poszła na górę? Weź tabletkę. Pomoże ci zasnąć. To był dla ciebie straszny dzień, straciłaś głowę.

Emily leżała na dywanie. Jej gniew, jej ogień się wyczerpał. Wszystko w niej się wyczerpało. Wygrali, wszyscy troje, Tommy, Rachel, a teraz Graeme. Tak długo z nimi walczyła, a tymczasem to nie było warte całego tego bólu i rozpacz. Prawie widziała, jak nad nią stoją. Tommy obok Graeme'a. W drzwiach Rachel, jeszcze jako dziecko. Graeme klęczy koło niej.

- Weź tabletkę - powtórzył.

To nie był sen. Naprawdę to powiedział.

Emily się uśmiechnęła. Miał rację, oczywiście, miał rację. Bo zawsze miał rację, zawsze miał wszystko idealnie wyważone. Czas iść na górę. Wiedziała, że on za nią nie pójdzie. Czas spać. We śnie mogła zapomnieć o tym wszystkim. O wszystkich. Dźwignęła się i precyzyjnie przycisnęła koło Graeme'a. W jej wyobraźni Tommy i Rachel nadal byli obok. Niemal słyszała echo ich śmiechów.

- W porządku - powiedziała. - Dopiąłeś swego.

Weź tabletkę, pomyślała. Weźmie.

15.

- Chyba pani zimno - zauważył barman, zerkając przez bar na gołe nogi Maggie.

Czarna skórzana spódniczka sięgała jej do połowy ud. Siedziała jak przyklejona do stołka, by przy jakimś nieostrożnym ruchu nie uraczyć świata widokiem jaskraworóżowych majtek. Czerwony wełniany płaszcz leżał przewieszony przez sąsiedni stołek. Jedwabna bluzka koloru burgunda nie miała rękawów.

Owszem, było jej zimno.

- Czego się pani napije? Gorącej herbaty? - spytał barman z uśmiechem.

Maggie odwzajemniła uśmiech i zamówiła duże beczkowe.

Po chwili wrócił i postawił przed nią kufel. Szkło było oszronione, po powierzchni unosiły się kostki lodu.

- Jest pani może modelką czy kimś takim? - spytał.

Maggie roześmiała się.

- A to dobre. Podoba mi się. Nie, prawdę mówiąc, jestem gliną.

- Aha, akurat - odparł barman.

Maggie sięgnęła po czerwony płaszcz i odchyliła połę. Przypięty od wewnątrz znaczek błysnął na barmana. Podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Dobrze, dobrze, wygrała pani. Czy nie ma jakiegoś przepisu, że gliny nie mogą pić na służbie?

- Kto powiedział, że jestem na służbie?

Prawdę mówiąc, była, ale gwałtownie potrzebowała drinka.

Powoli sączyła swoje piwo. Był poniedziałkowy wieczór, w barze prawie pusto. Przez cały długi dzień cierpiała męki pod pożądliwymi oczami nastoletnich chłopców. I wszystko na nic. *Nada*. Figa z makiem. Nie znalazła nikogo, kto by się przyznał, że był z Rachel albo wie o kimkolwiek, kto by z nią był w pobliżu osławionej szopy. Wszyscy mieli mnóstwo do powiedzenia, ilekroć Maggie niedbale krzyżowała lub prostowała nogi, ale na sam dźwięk imienia Rachel zamykali buzie na kłódkę. Nikt jakoś nie chciał namalować sobie na piersi tarczy strzelniczej dla policji.

Obok siebie zauważyła kolejnego zdenerwowanego nastolatka.

- Czy może pani Bei? - spytał Kevin Lowry.

Maggie szybko oszacowała go wzrokiem. Solidnie zbudowany, silny chłopak, o blond włosach ostrzyżonych prawie na zero. Ubrany był w strój kelnera; czarne dżinsy i czerwoną koszulkę ciasno opinającą jego beczkową pierś. Oczy Kevina, podobnie jak jego poprzedników, obiegały sylwetkę Maggie z góry na dół, zatrzymując się chwilę na nogach.

Usiedli przy małym stoliku u końca baru, z dala od dymu i hałasu. Maggie wzięła ze sobą swoje piwo. Spytała, czy Kevin chce jakiś napój gazowany, ale pokręcił głową. Oparła się swobodnie na łokciach i nachyliła ku niemu. Kevin, wyraźnie skrzepowany, siedział naprzeciwko niej.

- Nie gryzę - zapewniła go Maggie z ciepłym uśmiechem.

Kevin także odpowiedział przelotnym uśmiechem.

- Jak się czuje pani Stoner? - spytał cicho.

- Mało brakowało, a byłoby po niej. Ale z ostatnich wieści ze szpitala wynika, że wszystko będzie dobrze.

- Bardzo mi przykro, gdy o tym myślę. Wiele wycierpiała.

- Z powodu Rachel?

Kevin wzruszył ramionami.

- Zdarzało się. Między rodzicami i dziećmi zawsze są jakieś problemy.

- Odnoszę wrażenie, że one miały ich więcej niż przeciętnie.

Cień uśmiechu.

- Może.
- Jak myślisz, dlaczego nałykała się pigułek?
- Pewnie nie mogła już tego wytrzymać.
- Czego?
- Tego wszystkiego.

Maggie odczekała, aż Kevin podniesie wzrok.

- Słyszałam, że przyjaźniłeś się z Rachel. Ludzie mówią, że z tobą byłoby jej w życiu lepiej, ale że nigdy tego naprawdę nie doceniała. Musiało ci być ciężko.

Kevin westchnął.

- Dla mnie Rachel była zawsze czymś w rodzaju bajki. Tak naprawdę nigdy nie oczekiwałem, że coś z tego wyniknie.

- No a jak to było z tym ostatnim wieczorem - spytała ostro Maggie. -

Powiedziałeś, że cię prowokowała.

- To nic nie znaczy. Potrafiła się tak okrutnie bawić.

- Czy mogła być umówiona z kimś jeszcze? Z innym chłopakiem?

- Może. Rachel spotykała się z wieloma facetami. Nie rozmawialiśmy o tym.

Maggie pokiwała głową.

- Wiesz, że to zabawne. Rozmawiałam dzisiaj z dziesiątkami facetów z waszej szkoły. Nikt się nie przyznał, że kiedykolwiek chodził z Rachel.

- A to ci niespodzianka - odpad Kevin. - Przecież każdy się boi. Wiedzą, co znaleźliście za szopą.

- Więc kłamią.

- Jasne. Założę się, że była z każdym z nich.

W jego głosie wyraźnie słyszała gorycz.

- A z tobą?

- Już mówiłem, że nie.

- Poza tym jednym wieczorem - powiedziała Maggie. - To trochę dziwne, nie uważasz? Prowokuje cię i tej samej nocy znika.

Jego oczy natychmiast przepełnił niepokój.

- To znaczy?

- Mówiłeś, że Rachel wyznaczyła ci randkę na sobotę wieczór. Ale kiedy po nią przyjechałeś, już jej nie było.

Kevin skinął głową.

- Jesteś pewien, że ta randka nie była w piątek? Nie umówiliście się, że przyjdiesz później do niej do domu?

- Nie! - Kevin podniósł głos.

- Nie poszedłeś do niej?

- Nie. Wróciłem do domu. Przecież policja przeszukiwała moich rodziców.

Dobrze pani wie, że tak było.

Maggie uśmiechnęła się.

- Znam sporo dzieciaków, którzy świetnie sobie radzą z wymykaniem się z domu bez wiedzy rodziców. Słuchaj, gdyby Rachel chciała zniknąć, pomógłbyś jej, prawda? Zrobiłbyś wszystko, o co by cię poprosiła.

Kevin przygryzł dolną wargę i nie odpowiedział. Rozglądał się wokół, jakby szukał drogi odwrotu.

- Zrobiłeś to? Pomogłeś jej uciec?

- Nie - odpowiedział z uporem.

- Ale wróciłeś do niej później? Czy miała inną randkę? To by cię mocno wkurzyło, prawda? Ja cię rozumiem, Kevin. Kochałeś ją przez całe swoje życie. Ona była twoim snem. I nagle zaczęła tak z tobą pogrywać. To cię musiało rozwścieczyć.

Kevin zapalczywie kręcił głową.

- Nie? Nie poszedłeś tam, nie czekałeś na nią? Nie chciałeś jej przekonać, że traci tylko czas z tymi wszystkimi facetami? Że nie są dla niej. Ty jesteś dla niej. Ale ona cię odrzuciła.

Teraz już Kevin był po prostu zły.

- Nie widziałem się z nią. Nie poszedłem do jej domu.

- Musisz przyznać, że miałeś fantastyczny motyw.

- Niech pani przestanie.

- Może pojechaliście na przejażdżkę. Po prostu pogadać. I może jakoś tak się stało, że trafiliście do szopy. Może ta rozmowa nie potoczyła się tak, jak chciałeś.

Kevin zacisnął pięści.

- To kłamstwo.

- Na miejscu zbrodni znaleźliśmy krew i prezerwatywy, Kevin. Co wykaże analiza DNA?

Kevin wstał. Drżał z wściekłości.

- Wykaże, że to nie ja! Bo mnie tam nie było!

Maggie też wstała. Łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu, ale ją odepchnął. Próbowała nakłonić go, żeby na nią spojrział.

- Usiądź, Kevin. Ja wiem, że ciebie tam nie było. Ale na ogół nie wiem, dopóki nie przyprę człowieka do muru. Ci, którzy są winni, nie kontratakują. Usiądź, proszę.

- Rachel jest ostatnią osobą na świecie, którą mógłbym skrzywdzić - powiedział Kevin.

- Wiem. Ale wygląda na to, że ktoś jednak skrzywdził. Więc jeśli nie ty poszedłeś do jej domu, to kto?

Kevin potrząsnął głową.

- Myśli pani, że gdybym wiedział, to bym nie powiedział?

- Nie przypominasz sobie, żeby Rachel mówiła coś, go mogłoby nas naprowadzić? Nie słyszałeś w szkole żadnych plotek? Jak rozumiem, szopa była raczej popularnym miejscem. Trudno uwierzyć, żeby nic się nie rozeszło.

- Jasne, wszyscy wiedzą o szopie, Mnóstwo ludzi o tym gada. Ale skąd można wiedzieć, co z tego jest prawdą, a co gadką-szmatką?

- Ale jesteś pewien, że ona tam bywała.

- Tak na pewno to nie wiem. Po prostu trudno mi uwierzyć, że tego nie robiła.

- Dlaczego?

Kevin rozłożył ręce w geście irytacji.

- Bo w kółko mówiła o seksie.

- Tylko mówiła? - spytała Maggie. - Czy rzeczywiście uprawiała seks?

- Nie wiem. Nie wymieniała nikogo z nazwiska.

Kątem oka Maggie zauważyła w drzwiach baru pulchną nastolatkę o kasztanowych włosach. Ręce pewnym gestem wsparła na biodrach. Jej oczy omiatały lokal jak radar, badając każdy stolik. Gdy dostrzegła Kevina, jej twarz rozjaśnił uśmiech. Potem zauważyła Maggie, jednym spojrzeniem oceniła jej strój i spochmurniała. Pomaszerowała prosto do nich.

- Cześć, Kevin - powiedziała głośno.

Kevin, zaskoczony, podniósł oczy.

- Sally!

Zerwał się na równe nogi i musnął jej usta pocałunkiem.

- Przyszłam z rodzicami na kolację. Paula powiedziała, że jesteś tutaj. Była trochę wkurzona. - Po czym dodała wyzywająco. - A kim jest ta pani?

- To pani Bei. Z policji.

- Z policji? - Sally uniosła brwi.

Maggie wstała i wyciągnęła rękę, którą Sally ujęła bez entuzjazmu.

- Oboje rozmawialiśmy już z policją - powiedziała.

- Wiem. Kevin właśnie mi mówił, że tak naprawdę nie wie nic konkretnego o żadnych chłopakach Rachel. Natomiast my uważamy, że po rozstaniu z wami, ktoś musiał przyjść po nią do jej domu. Przychodzi ci ktoś do głowy?

- Nie sędzę, żeby dla Rachel ktoś się naprawdę liczył - oświadczyła Sally. - Ona wykorzystywała ludzi i wyrzucała jak śmieci.

- To niezły sposób, żeby narobić sobie wrogów - zauważyła Maggie. - Czy ktoś sprawiał wrażenie zwariowanego na jej punkcie? Czy kiedykolwiek skarżyła się, że ktoś nie daje jej spokoju?

- Skarżyła się? - powtórzyła Sally. - Nie ona.

- Dobrze, zostawmy na chwilę Rachel. A inne dziewczyny w szkole? Czy mówiły coś o chłopakach, którzy się im naprzykrzają?

Kevin potarł podbródek. Spojrzał na Sally.

- A Tom Nickel? Pamiętasz, jak Karin mówiła, że przysyła jej takie dziwne liściki.

Kawał palanta.

Sally wzruszyła ramionami.

- No tak, ale to było dwa lata temu. A on w zeszłym roku skończył szkołę.

- Ale poszedł na uniwersytet - odparł Kevin. - Ciągle tu mieszka.

- Chyba tak.

Maggie zapisała jego nazwisko w notesie.

- Ktoś jeszcze?

- Większość chłopaków ze szkoły to gnojki - powiedziała Sally. - Dlatego ja miałam niesamowite szczęście.

Otoczyła Kevina ramieniem w pasie, a on pocałował ją we włosy.

- A czy któraś z dziewczyn nie mówiła, że coś przykrego spotkało ją w szopie? - spytała Maggie.

To było to.

Trwało tylko ułamek sekundy, ale Maggie uchwyciła to we wzroku Sally. Jej sposób bycia zupełnie się zmienił; chłodna arogancja znikła, a zastąpił ją lęk. A potem błyskawicznie wszystko minęło. Sally odwróciła się do Kevina i pocałowała go, nie patrząc na Maggie. Gdy znowu zwróciła się do niej, na twarzy miała maskę.

- Nie zadaję się z dziewczynami, które bywają w szopie - oznajmiła.

Maggie pokiwała głową:

- Rozumiem.

- Kevin! - krzyknął ktoś od drzwi. Kobieta po pięćdziesiątce z męczeńską, gniewną miną machała w ich kierunku jadłospisami. - My tam mało nie padniemy. Jesteś potrzebny, słyszysz? Natychmiast!

Kevin zwrócił się do Maggie.

- Jeszcze coś? Bo muszę iść.

Maggie pokręciła głową. Kevin jeszcze raz pocałował Sally i pośpiesznie wyszedł z baru. Sally podniosła się, żeby iść za nim, ale Maggie łagodnie przytrzymała ją za rękę.

- Możesz mi poświęcić jeszcze minutę? - spytała.

Nachmurzona Sally usiadła na miejscu Kevina. Maggie sączyła swoje piwo i nie spuszczała z niej wzroku. Dziewczyna odpowiadała nerwowym spojrzeniem. Maggie odstawiła kufel i nakryła jej dłoń swoją. Sally była zmieszana i zalękniona. Porywcza, zazdrosna istotka zniknęła.

- Opowiesz mi o tym, Sally? - spytała Maggie cicho.

Sally próbowała udąć zdziwioną.

- Nie rozumiem. O czym?

- Daj spokój. Kevina tu nie ma. Twoich rodziców tu nie ma. Wszystko zostaje między nami dziewczynami. Mnie możesz powiedzieć.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

Maggie mocniej ujęła jej dłoń.

- Coś ci się przydarzyło. Kiedy wspomniałam o szopie, o mało nie zemdlłaś. Byłaś tam, prawda? Słuchaj, ja cię nie osądzam. Ale jeśli tam byłaś i ktoś cię wykorzystał, muszę wiedzieć.

Sally potrząsała głową.

- To nie było tak.

- Dla mnie nie musisz szukać wytłumaczenia. Jestem twoją siostrą, jasne? Wiem, jacy potrafią być mężczyźni.

- Nie chcę nikomu narobić kłopotów - powiedziała Sally. - Nigdy nie sądziłam, że to może być coś ważnego. To znaczy, właściwie prawie o tym zapomniałam. I nawet kiedy się dowiedziałam, że za szopą znaleziono bransoletkę Rachel, nie sądziłam, że może być jakiś związek...

- Powiedz mi, co to było - zachęciła Maggie.

Sally westchnęła.

- Nie mówiłam o tym Kevinowi. Nie mówiłam nikomu.

- W porządku. Mnie możesz powiedzieć. Wiesz, że mogę ci pomóc?

Na twarzy dziewczyny malowały się splątane emocje.

- Myśli pani, że to naprawdę coś ważnego? Bo wydaje się strasznie głupie.

Maggie miała ochotę wyrwać jej słowa z gardła, ale cierpliwie gładziła dłoń Sally i czekała. Dolna warga Sally zadrżała.

- Jakies pół roku temu wybrałam się na północ na rower. Czasem biorę samochód, parkuję gdzieś za miastem i jeżdżę na rowerze po bocznych drogach. W niedzielę rano prawie nikogo tam nie ma, więc myślałam, że będę mogła swobodnie pojeździć.

Maggie pochyliła się ku niej. O Boże, to nie był zwykły chłopak ze szkoły. To był jakiś psychol. Cholera, cholera, Cholera. Pomyślała o Kerry McGrath i starała się przesłać wzrokiem komunikat: „To była głupota, dziewczyno!”

- I? - spytała.

- Zerwał mi się łańcuch. Ktoś mnie podwiózł.

- Ktoś?

Sally skinęła głową.

- Chodzi o to, że go znałam, więc się nie bałam.

- Pojechałaś z nim z własnej woli? - spytała Maggie.

- Tak. Do samochodu miałam straszny kawał drogi.

- Zaczepiał cię?

Sally zawahała się.

- W pewnym sensie. No nie, tak naprawdę to nie. Ale zatrzymał się przy szopie.

W głowie Maggie rozdzwoniły się dzwony. Gęsia skórka pokryła jej ciało, jak zawsze, gdy trzymała w ręku klucz do sprawy. Wreszcie, wreszcie jakiś ślad.

- I co się stało, Sally?

Sally z trudem przełknęła ślinę. Wpatrywała się uporczywie w swoje dłonie, teraz złożone na kolanach. Jej wygląd nagle się zmienił; sprawiała wrażenie dużo młodszej. Dziwne, pomyślała Maggie, jak te nastolatki potrafią odgrywać takie dorosłe i dojrzałe, ale wystarczy poskrobać po wierzchu, a stają się znowu dziećmi.

- Najpierw po prostu rozmawialiśmy. Powiedział mi, że ładnie wyglądam. Że mam bardzo seksowny strój i widać, że jestem w świetnej formie. Tylko że wydawał mi się, czy ja wiem... o wiele za poważny. Zaczęło się nieszkodliwie, ale po pewnym czasie zrobiło się jakoś dziwnie i niesamowicie.

Maggie kiwała głową.

- Dobrze, i co dalej?

- No więc dojeżdżaliśmy do miejsca, w którym odchodziła droga do szopy. Spytał, czy kiedyś tam byłam. Powiedziałam, że nie. Zaczął żartować, że powinniśmy pojechać i sprawdzić, czy jest tam teraz jakaś para. I naprawdę skręcił. Pojechał tam. Mało nie oszalałam ze strachu.

- Powiedziałas coś na ten temat?

Sally pokręciła głową.

- Za bardzo się bałam.

- Więc zawiózł cię do szopy.

- Tak. Zajechał od tyłu. Byłam gotowa uciekać. Ale on niczego nie próbował.

Tylko mówił dalej, wie pani, taka tam gadka-szmatka. Zupełnie jakby się namyślał, czy ma zrobić ruch.

- Bałaś się, że będzie próbował cię zgwałcić? - spytała Maggie.

- Sama nie wiem, co myślałam. Po prostu... to było bardzo dziwne.

- Ale w końcu nic się nie stało?

Sally skinęła głową.

- Za nami zatrzymał się inny samochód. I on zaraz ruszył. To wyglądało tak, jakby nie chciał, żeby go ktoś rozpoznał, wie pani? Przez resztę drogi prawie w ogóle się do mnie nie odzywał, po prostu podwiózł mnie do mojego samochodu i wysadził. I tyle.

- Tak że właściwie nic między wami nie zaszło.

- Nic. Tak jak mówiłam, byłam pewna, że będzie czegoś próbował. Ale później, już po wszystkim, zaczęło mi się wydawać, że to bzdury.

Maggie znowu wzięła Sally za rękę.

- Sally, ja muszę wiedzieć, kto to był.

- Wiem. Myślałam wcześniej, żeby o tym powiedziacie naprawdę nie sądziłam, że to może być ważne. Chyba sama siebie przekonałam, że mi odbiło. Że on nie miał złych zamiarów.

- Ale teraz tak nie sądzisz.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Dobrze - powiedziała Maggie. - Czy ktoś was razem widział? Czy poznałaś ten samochód, który przyjechał za wami?

Sally pokręciła głową.

- Szybko się stamtąd zmyliśmy.

- Powiedz mi, Sally. Nie pozwolę mu cię skrzywdzić, Kto to był?

Sally nachyliła się i wyszeptła nazwisko wprost do ucha Maggie.

Maggie natychmiast wyjęła z płaszcza telefon komórkowy i wybrała numer Stride'a.

16.

Stride opuścił urząd miasta i wstąpił do szpitala dopiero w poniedziałek wieczorem, ale okazało się, że Emily Stoner została już wypisana i wyszła przed godziną w towarzystwie Daytona Tenby'ego. Wiadomość o jej próbie samobójczej nie zaskoczyła go. Wiedział, że to właśnie jest najbardziej niebezpieczny moment: gdy po tygodniach lub miesiącach bezowocnych poszukiwań rodzice albo współmałżonek dowiadują się prawdy. Rzeczywistość wali w nich jak kula do burzenia murów i czasem to jest nie do zniesienia.

Postanowił tego wieczoru nie odwiedzać domu Stonerów. Na razie nie mógł im nic więcej powiedzieć, poza tym przypuszczał, że lekarze nakazali Emily natychmiast się położyć. Już wcześniej poinformował Graeme'a przez telefon o jedynym znaczącym owocu przeszukania okolic szopy - zakrwawionym strzępie materiału, który mógł mieć związek z zaginięciem Rachel.

Pojechał do domu.

Drogi były śliskie od mokrej brei. Śnieg padał przez cały dzień, zasypując ulice miasta i okoliczne lasy. Poszukiwania wokół szopy trwały, ale praca szła nieznośnie powoli. Policjantom zwisały z wąsów sople, a przez skórzane buty przesączało się zimno. Kopali, rozgarniali, zdrapywali i kleli śnieg. Ich działania miały też nowy, bardziej złowieszczy cel. Wraz z grupą ochotników z okolicy zaczęto przeczesywać lasy w poszukiwaniu ciała Rachel. Ludzie sondowali śnieg kijkami narciarskimi i kopali tam, gdzie natrafiali na coś niecodziennego. Informacje przekazywali przez radiotelefony do Guppa w samochodzie policyjnym, a on zaznaczał każde przeszukane pole na podzielonej siatką mapie terenu w swoim laptopie.

Stride nie miał wielkiej nadziei, że coś znajdą. Ogromna przestrzeń, jaką zajmowały północne lasy, działała na korzyść morderców. Mieli tysiące kilometrów przestrzeni na pozbycie się ciała. Ofiary przeważnie znikwały i na tym był koniec. Jak Kerry McGrath. Gdzieś tam leżały, zagrzebane albo po prostu porzucone z dala od najbliższej drogi, łatwy łup dla zwierząt, które bezcześciły ich ciała. Wzdrygnął się na myśl, że Rachel spotkał ten sam los. Ale bezmiar terenu i atak śniegu kazały mu wątpić, że kiedykolwiek znajdą coś innego niż ten biały strzęp na dowód, że ona rzeczywiście nie żyje.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Bateria prawie się wyczerpała. Zapasową zostawił w biurku. Ale i tak był już blisko domu. Wybrał numer poczty głosowej i odsłuchiwał wiadomości.

Pierwsza była od Maggie, z około czternastej. Krótka i miłutka.

- Kutas z ciebie, szefie.

Roześmiał się, wyobraziwszy sobie, jak jej poszły przesłuchania w liceum.

Druga wiadomość była z laboratorium, sprzed godziny. Potwierdzili, że plama na materiale była plamą ludzkiej krwi o grupie AB, takiej, jaką miała Rachel. Testy DNA jeszcze nie były gotowe.

Ostatnia wiadomość pochodziła z ósmej tego wieczoru, sprzed dosłownie pięciu minut. Spodziewał się, że to znowu będzie Maggie z raportem z całego dnia. Ale to nie była ona.

- Cześć, Jon - przemówił miękki, nerwowy głos. - Mówi Andrea. Tak naprawdę nie spodziewałam się, że odbierzesz, ale chyba po prostu chciałam usłyszeć twój głos. To głupie, prawda? I może to też zabrzmiało głupio, kiedy ci powiem, że mi ciebie brakuje. Ale to prawda. Wygląda na to, że zrobiłeś na mnie wrażenie. Tak czy owak, ja jeszcze jestem w szkole. Mam masę testów do sprawdzenia, więc siedzę w pracowni, ale dużo myślałam o nas. I o piątku. Wiem, że nie jesteś panem swojego czasu, ale

mam nadzieję, że niedługo się znowu zobaczymy. Naprawdę bym chciała. No dobrze, fajnie, to zrobiłam z siebie idiotkę, więc co jeszcze? Zadzwoń kiedyś. Pa, Jon.

Na najbliższym skrzyżowaniu Stride zawrócił i pojechał na wzgórze, gdzie mieściło się liceum.

Zajeżdżał na parking z widokiem na całe Duluth po lewej stronie i zatrzymał się niedaleko budynku. Brnął po betonie, który potem, jak odjechały pługi, pokryła już kilkucentymetrowa warstwa śniegu. Ręce wcisnął do kieszeni i mrugając intensywnie, strącał z rzęs płatki śniegu.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Zastukał w okno, ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go dosłyszeć. Zaklął. Przycisnął twarz do zimnego szkła i zajrzał do wewnątrz. Pustka.

Stride wyjął z kieszeni swój telefon, ale bateria siadła już kompletnie. Znowu zaklął i przedarł się przez zaśnieżony trawnik wokół bocznego skrzydła. Już był przy tylnych drzwiach, gdy zobaczył Andreę wychodzącą z klasy na końcu korytarza. Miała na sobie szare spodnie od dresu, które ładnie podkreślały jej długie nogi, sportowe buty i luźny sweter z dekoltem w serek. Nie zauważyła Stride'a. Podeszła do automatu z napojami na korytarzu. Włożyła banknot, wyjęła puszkę bezcukrowej coli, otworzyła ją i pociągnęła długi łyk.

Stride zabębnił w drzwi.

Przerwała, odwróciła się i zobaczyła go. Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Puściła się ku niemu biegiem, rozlewając colę i śmiejąc się, gdy brązowy płyn przyskałał na podłogę. Odstawiła puszkę, wytarła ręce w sweter i pośpieszyła do drzwi. Otworzyła, chwyciła Stride'a za rękę i wciągnęła go do środka. Gdy drzwi zamknęły się z trzaskiem, odcinając drogę wiatrowi, lepkimi palcami objęła go za szyję i wpiła się w jego usta głębokim pocałunkiem. W pierwszej chwili był zbyt zaskoczony, żeby zareagować, ale potem oplótł ją ramionami, a ich wargi poznawały się nawzajem.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała. - Nie mam już dużo do zrobienia. Może wejdiesz, pogadamy chwilę, a potem pojedziemy na spóźnioną kolację.

- Świetny pomysł - rzekł Stride.

Objął ją w tali i zgodnym krokiem udali się do pracowni chemicznej.

- To nie potrwa dłużej niż pół godziny. To zwykłe testy wielokrotnego wyboru. Nie muszę nad nimi myśleć, tylko liczyć punkty.

- Jak im poszło? - spytał Stride.

- Bywało lepiej. Z każdym rokiem słabiej się koncentrują. Coraz trudniej ich zainteresować.

- Nauki przyrodnicze nie były też moją mocną stroną.

- Naprawdę? Myślałabym raczej, że przyszedłoby ci do głowy precyzja detalu, rozwiązywanie zagadek naukowych, takie rzeczy - Adrea, mówiąc, wodziła wzrokiem po teście i czerwonym pisakiem zaznaczała błędy.

- Analizę naukową zostawiam technikom w laboratorium. Moja działka to sztuka wynajdywania możliwości.

- To znaczy?

- Większość ludzkich postępów zostawia za sobą jakieś ślady. Musisz się przemieszczać. Musisz jeść, kupować benzynę, korzystać z toalety, spać. Zostawiasz po sobie naskórek, odciski palców, płyny ustrojowe. Wszystkie te rzeczy można wyśledzić, zakładając, że jest się w stanie odsiać to, co zostawili inni ludzie, i znaleźć osobę, której się szuka.

Andrea słuchała z uśmiechem.

- Czy ci się to podoba, czy nie, Jon, to brzmi zupełnie jak opis procesu naukowego. Nie mogłeś przespać wszystkich lekcji.

- Na pewno nie przespałbym twoich.

Zarumieniła się i znowu skierowała oczy na arkusze testowe. Chwilę milczeli. Ciszę mąciło jedynie skrobanie czubka markera po papierze i szelest przewracanych kartek. Wzrok Stride'a błędził po klasie, ale po chwili przyłapał się na tym, że obserwuje Andreeę, jak siedzi ze spuszczoną głową i szczupłymi palcami co chwila nerwowo zakłada jasne włosy za uszy. W kącikach ust zauważył linijki uśmiechu jak dwa półksiężycy. Podciągnięte rękawy swetra obnażały nagie kształtne przedramiona, smukłe, ale silne.

Wyczuła, że na nią patrzy, i podniosła wzrok. Ich oczy się zwały, ale nie odezwali się ani słowem.

Ciekaw był, co ona widzi, gdy patrzy na niego. Wiedział, bo Cindy mu to mówiła, że jest atrakcyjny dla kobiet, ale nigdy nie rozumiał dlaczego. Nie miał pięknych rysów i gładkiej cery, wyglądał raczej jak marynarz wysmagany sztormami. Jak ojciec. Za każdą wizytą u fryzjera w spadających na podłogę włosach dostrzegał coraz więcej siwizny. Kości coraz bardziej bolały go przy ruchach, a rana po kuli też dawała mu się we znaki bardziej niż osiem lat temu, gdy został postrzelony. Starzał się, bez wątpienia. Ale w szczerym spojrzeniu Andrei było coś, co ujęło jego myślom ciężaru lat.

Odchyliła się na krzesło i wciąż się w niego wpatrując, obiema rękami zasłoniła usta.

- Czuję się trochę niezręcznie - wyznała cicho.

- Dlaczego? - zdziwił się Stride.

Andrea roześmiała się i rzuciła mu lekko figlarne spojrzenie.

- Mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie o regularne podrywanie facetów w kasynie i sypianie z nimi.

- Och. Przepraszam. Nie powinienem był do tego dopuścić. Byłaś pijana. To nie było w porządku.

- Oboje byliśmy pijani. I oboje tego chcieliśmy. Nie musisz się czuć winny. Ale następnego dnia byłam przerażona. Bałam się, że popełniłam straszny błąd.

- Nie popełniłaś - rzekł Stride.

- Chcesz usłyszeć coś okropnego? Zazdrościłam ci trochę, gdy się dowiedziałam, że twoja żona umarła.

Stride spojrział na nią dziwnie.

- Nie rozumiem.

- Cindy umarła i nic na to nie możesz poradzić. Nie było w tym twojej winy. Ale ty zachowałeś dobre mniemanie o sobie. A to właśnie odebrał mi mój mąż.

Stride pokręcił głową.

- To nie twoja wina. Jego. Z tego, co mi mówiłaś, wygląda na kawał samolubnego skurwysyna.

- Wiem. A mimo to tęsknię za nim. Pewnie uważasz mnie za idiotkę.

- Witaj w klubie. Słuchaj, może byśmy poszli na tę kolację już teraz? Jestem głodny jak wilk, a w Briar Patch robią grube steki, które rozpływają się w ustach. A piwo jest zimne jak lód.

Andrea skinęła głową.

- Chętnie. Na dzisiaj wystarczy. Zamknę to tylko i możemy zmykać.

Wyszli na pusty korytarz. Stride dosłyszał dalekie dźwięki, jakby ktoś rzucał piłką, ale wokół nie było widać żywej duszy. Światło było przyćmione, a zza okien noc ziewała na nich czarną paszczą jak olbrzymi potwór.

Weszli po schodach na piętro i znaleźli się na kolejnym pustym korytarzu. Andrea otworzyła drzwi naprzeciwko klatki schodowej i pstryknęła włącznikiem światła. Pomieszczenie było pełne metalowych biur, szafek kartotekowych i półek z podręcznikami. Podeszła do biurka przy oknie, otworzyła dolną szufladę i wrzuciła do

niej stertę testów. Na ścianie nad biurkiem Stride zauważył zdjęcie mężczyzny. Przypuszczał, że to jej eks-mąż.

- Załatwione - powiedziała.

Zgasili światło i Andrea zamknęła drzwi na klucz.

Gdy kierowali się z powrotem na schody, Stride zauważył pod drzwiami jednego z pomieszczeń na końcu korytarza smużkę światła.

Andrea zauważyła jego wahanie.

- Co jest?

- Pewnie nic.

Ale nagle załała go fala niepokoju. Po kilku latach nabiera się umiejętności wyczuwania, że coś jest nie w porządku.

- Czy to światło dochodzi z pokoju Nancy Carver?

Andrea zauważyła je dopiero teraz.

- Chyba tak.

Oczy Stride'a zwęziły się.

- To ci się pewnie wyda dziwne, ale zaczekaj tu, dobrze? Chcę coś sprawdzić.

- Dobrze, skoro trzeba.

Andrea w wyczekującej pozie oparta się o ścianę. Stride cicho przemierzył korytarz, zbliżając się do światła. Jego podejrzenia się potwierdziły; drzwi pokoju Nancy Carver były przyknięte, ale nie zamknięte. Zatrzymał się, nasłuchując, ale z wewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk. Zakasłał rozmyślnie.

Spodziewał się jakiejś reakcji ze strony kogoś, kto był w środku. Ale na korytarzu nadal zalegała cisza.

Przysunął się bliżej drzwi, na tyle blisko, że mógł zajrzeć przez szparę do środka pomieszczenia, które służyło jej za gabinet. Dostrzegł róg biurka, a na nim rękę kobiety. Wyglądało na to, że siedzi bez ruchu w fotelu.

Patrzył dalej, ale kobieta się nie poruszyła. Stride pchnięciem otworzył drzwi na oścież. Rozwarty się z głośnym skrzypieniem i zadudniły o ścianę. Podszedł jeszcze bliżej i stanął w progu.

W środku była Nancy Carver. Siedziała bez ruchu przy biurku. Gdy wszedł, spojrzała na niego pustymi oczami w czerwonych obwódkach. Namiętny gniew, jaki widział w tych oczach wcześniej, zniknął. Policzki miała zapadnięte. Rude włosy zmierzwione. Patrzyła prosto przez niego, jakby go nie widziała.

Stride'a tak zaszokował jej wygląd, że przez kilka sekund nie zauważył pistoletu, który leżał na biurku, zaledwie kilka centymetrów od jej palców.

- A cóż to ma znaczyć? - spytał i błyskawicznie sięgnął po pistolet.

Spodziewał się, że będzie chciała go porwać, wycelować albo w siebie, albo w niego, ale Nancy Carver nadal się nie ruszyła. Patrzyła tylko na niego, gdy ważył broń w rękę i wysypywał naboje na podłogę.

Stride oparł się o ścianę, dysząc ciężko. Pistolet zwisał mu z dłoni.

- Zechce mi pani powiedzieć, co się tu, u diabła, dzieje?

Nie dodał: Może mi pani powie, dlaczego już druga kobieta związana ze sprawą Rachel chce się zabić. Bo nie miał wątpliwości, że to właśnie planowała Nancy Carver. Nancy i nieobecny wyrazem twarzy potrząsnęła głową.

- Mogłam go powstrzymać - szepnęła.

Stride oparł się o biurko.

- Kogo?

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Myślałam, że uciekła.

Stride nie odpowiedział.

Po jej policzkach zaczęły torować sobie drogę łzy.

- A tymczasem ona nie żyje. A ja mogłam go powstrzymać. Wiedziałam o wszystkim.

- Muszę iść - powiedział Stride do Andrei.

Siedzieli w jego samochodzie za szkołą, obok jej auta. Ściszone radio grało piosenkę Patty Loveless.

- Zobaczymy się jutro?

- Niczego nie mogę obiecać.

- A może byś jutro przyszedł do mnie na noc? Nieważne o której. Tak dobrze było spać razem z tobą wtedy w piątek. Mając ciebie blisko, od razu poczułam się lepiej.

- To może być bardzo późno. Nie wiem, kiedy wrócę, i pewnie nie będzie ze mnie wielkiego pożytku.

Uśmiechnęła się.

- Zostawię zapalone światło.

Andrea otworzyła drzwi samochodu. Gdy wysiadła, śnieg osunął się z dachu i oprószył jej jasne włosy płatkami bieli. Posłała mu pocałunek, zatrzasnęła drzwi i pobiegła do swojego auta. Patrząc, jak wsiada, zauważył błysk zapalniczki, gdy zapalała papierosa. Samochód ruszył od razu. Odjeżdżając, pomachała mu.

Stride pojechał do domu, lawirując po pustych, śliskich ulicach mniej rozważnie, niżby należało. Dwa razy zagapił się na światłach i nie zareagował od razu, gdy zmieniły się na zielone. Jego oczy bezmyślnie przewiercały mokre szyby. Wycieraczki popiskiwały w hipnotyzującym rytmie. „Wiedziałam o wszystkim”.

Jeszcze raz wrócił do Nancy Carver, próbując stłumić gniew na myśl, że mogła potwierdzić ich podejrzenia wiele tygodni temu. Może mogliby zrobić coś jeszcze. Byliby znacznie bliżej.

A gdyby Emily Stoner umarła, nie znając prawdy? Potem zaczął się zastanawiać, czy Emily nie podejrzewała tego od początku.

Bywały chwile, gdy praca wydawała mu się grą, zagadką do rozwiązania. Ale bywały też chwile, gdy nienawidził swojej wiedzy o ciemnej stronie ludzkiego serca.

Przejechał przez most prowadzący do Point. Minął dwie przecznice dzielące go od domu i wjechał na swój podjazd. Na ulicy stał samochód Maggie. W domu paliło się światło; domyślił się, że czeka na niego. To mu oszczędzi jednego telefonu. Będzie mu dziś potrzebna. Mieli przed sobą długą noc pracy. Wszedł do domu.

Maggie była w kuchni. Siedziała z nogami na krześle. Jadła zapiekankę z serem i czytała gazetę.

- Nie odebrałaś cholernego telefonu - zawiadomiła go uprzejmie.

- Bateria padła. Przepraszam.

- Czekam na ciebie od ponad godziny.

- Masz szczęście, że przyszedłem sam.

Zastanawiał się, jak ma dać Maggie do zrozumienia, że powinna być nieco ostrożniejsza, używając jego domu jak swojego. Nie sądził, żeby Andrea odniosła się ze zrozumieniem do szczególnego charakteru ich stosunków. Spojrzał na jej spódnicę zadartą prawie do talii.

- Wyglądasz jak gorąca laska.

- Ale jestem zamarznęta na lód. I to przez ciebie.

- Warto było, jeśli wydobyłaś coś z chłopaków.

Maggie uśmiechnęła się.

- Z chłopaków nic. Ale i tak szliśmy w dobrym kierunku. Jak zwykle rodzina ma pierwszeństwo.

Stride usiadł naprzeciw niej.

- Graeme?

Kiwnęła głową.

- Sally go wsypała. Okazuje się, że latem zeszłego roku zabrał ją na małą przejażdżkę do szopy.

- Zgwałcił ją?

- Nie, ktoś mu przeszkodził. Ale ona sądzi, że na to się zanosilo.

- Jest coś jeszcze - powiedział Stride. - Co powiesz na to?

Rachel przyznała się Nancy Carver, że spała z Graeme'em. Mówiła, że to się zdarzyło kilka razy, a potem ona z tym skończyła, ale Graeme chciał ciągnąć dalej.

Brwi Maggie poszybowwały w górę.

- Nie bujasz? Myślisz, że Emily coś podejrzewa?

- Mogę się założyć, że tak, ale sama przed sobą nie chce się przyznać.

- Graeme to twardy zawodnik. Ze wszystkiego, nawet z badania wariografem, wychodził obronną ręką. Trudno go będzie przygwoździć.

- No tak, ale on i Emily? Daj spokój. Myślę, że od początku chodziło mu o Rachel. A Rachel zapewne sądziła, że pieprzenie się z Graeme'em będzie idealną karą dla matki. Ta parka była dla siebie stworzona.

- Tylko jak to udowodnimy.

- Mamy zeznanie Carver. To już jakiś początek.

- To tylko słowa. Z tym nigdy go nie dopadniemy.

Stride skinął głową.

- Wiem. Ale dzięki temu uzyskamy nakaz rewizji.

17.

W trakcie przygotowań do rewizji Stride pod przysięgą nakazał swoim ludziom milczenie, ale to nic nie dało. Gdy kawalkada wozów policyjnych zajeżdżała pod dom Stonerów, na falach radiowych pojawił się Bird Finch, opisując Graeme'a Stonera jako doktora Jekylla i pana Hyde'a, który uwiódł swoją nastoletnią pasierbicę, a potem ją zabił. Stride usłyszał to przez radio i z niesmakiem wyłączył wiadomości. Obok niego Maggie pokręciła głową.

- Jak on to, u diabła, zrobił? Nikt o tym nie wiedział.

Stride wzruszył ramionami.

- Chodźmy.

Ruszyli długą alejką prowadzącą do drzwi frontowych wraz z gromadą umundurowanych policjantów. Stride gestem przywołał jednego z nich.

- Bomba wybuchła - powiedział. - Należy się spodziewać, że dziennikarze zaczną szturmować to miejsce całymi chmarami. Nie chcę ich nigdzie w pobliżu, zrozumiano? Ogrodzić teren i trzymać ich z daleka. I żadnych ciekawskich sąsiadów.

Policjant skinął głową i wrócił do samochodu, zabierając ze sobą trzech innych funkcjonariuszy. Stride szepnął do Maggie.

- Miejmy oko na tę rewizję, Mags. Chcę, żeby wszystko odbyło się ściśle według regulaminu i pod nadzorem. Żadnych skuch. Jeśli skończy się na postawieniu tego gościa przed sądem, będzie miał na swojej ławce Archiego Gale'a i możesz być pewna, że wszystko, co zrobimy, zostanie podane w wątpliwość.

- Wysłuchałam, zrozumiałam, wykonam - odparła Maggie. - Możesz na mnie liczyć, szefie.

Stride nie musiał dzwonić. Gdy wchodził po schodkach, Graeme Stoner otworzył drzwi na oścież. W jego oczach widniała zimna furia.

- Witam, poruczniku - rzekł. - Widzę, że przyprowadził pan ze sobą kilku kolegów.

- Panie Stoner, mamy ważny nakaz rewizji tej posesji w celu poszukiwania dowodów związanych ze zniknięciem i potencjalnym zabójstwem Rachel Deese.

- Tego się domyśliłem. A czy jest zwykłą praktyką policji przyłączanie się do egzekucji, zanim jeszcze znaleziono jakiegokolwiek dowody winy? Dzięki wystąpieniu Birda Fincha sprzed kilku minut mój telefon już się rozdzwonił. Oczywiście od razu zatelefonowałem do Kyle'a ze skargą.

Stride wzruszył ramionami. Kontakty Graeme'a we władzach miasta nie mogły mu teraz pomóc.

- Zostanę z panem w czasie przeszukania.

Graeme odwrócił się na pięcie i wycofał się do wnętrza domu, nie oglądając się za siebie. Stride poszedł za nim, a Maggie zebrała policjantów w przedsionku i wydała im instrukcje. Guppo miał dowodzić w piwnicy, ona na parterze, a piętro i samochody mieli sobie zostawić na koniec.

- Według regulaminu - powtórzyła ostrzeżenie Stride'a. - Przez cały czas macie pracować dwójkami i nie rozdzielać się. Cokolwiek znajdziecie, fotografujecie, do torebki, opisujecie. Wszystko jasne?

Krzepcy policjanci, każdy o blisko pół metra wyższy od małej Azjatki, potulnie pokiwali głowami i ruszyli do pracy. Gdy rozchodzili się na wszystkie strony, ich kroki brzmiały jak grzmot.

Od dwóch osób, które Stride zastał na werandzie, wiało chłodem. Emily Stoner siedziała tam, gdzie zobaczył ją po raz pierwszy, w fotelu przy kominku. Była blada, najwyraźniej bardzo osłabiona. Całe jej ciało jakby się skurczyło, a skóra obwisła. Włosy w strąkach spadały na twarz. Sprawiała wrażenie o wiele lat starszej niż kilka tygodni temu.

Nie poruszyła się ani nic nie mówiła, ale oczami wodziła za Graeme'em, który zajął miejsce w fotelu naprzeciwko niej. Stride zawsze wyczuwał między nimi napięcie, ale tym razem było inaczej. Emily, jak wszyscy, słyszała wiadomości. Stride wiedział, o czym myśli - że ten mężczyzna siedzący tak spokojnie kilkanaście centymetrów od niej, z którym przez pięć lat dzieliła łóżko, może być potworem.

Zachowanie Graeme'a zdumiało go.

Stride miał do czynienia z wieloma przestępcami w pierwszych chwilach po tym, jak prawda wyszła na jaw. Większość gniewnie protestowała, deklarowała niewinność, zaprzeczała oczywistości. Ale nigdy nie widział nikogo tak spokojnego i pewnego siebie jak Graeme Stoner. Facet był wściekły, ale absolutnie opanowany. I ciągle miał na twarzy wyraz obojętnego rozbawienia, jakby cała sprawa była niczym więcej niż rozrywkowym numerem na imprezie firmowej.

Stride nie wiedział, co o nim myśleć. Miał przekonanie, że na ogół potrafi rozpoznać, czy ktoś jest winny, czy niewinny, wyczytać prawdę z jego oczu i twarzy. Ale twarz Graeme'a była maską.

- Zdaje pan sobie sprawę, że zrujnował pan moją opinię w tym mieście - Graeme wbił w niego twarde spojrzenie. - Mam nadzieję, że urząd miasta będzie stać na odszkodowanie, gdy pana pozwę.

Stride zignorował go. Zwrócił się do Emily.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny. Gdyby była jakaś możliwość przeprowadzenia tego w sposób mniej bolesny dla pani, na pewno bym ją wykorzystał. Wiem, ile pani wycierpiała.

Emily skinęła głową, ale nie odezwała się. Nie odrywała wzroku od męża, próbując dokonać tego samego co Stride - dopatrzeć się prawdy. Ale twarz Graeme'a niczego nie zdradzała.

- Muszę pana teraz poinformować, jakie przysługują panu prawa - powiedział Stride.

Graeme podniósł brew.

- Czy jestem aresztowany?

- Nie, ale jest pan podejrzanym w śledztwie. Zanim przejdziemy do następnego etapu, chcę mieć pewność, że jest pan świadom swoich praw.

Stride wyrecytował wszystkie przepisowe ostrzeżenia, przyglądając się, jak Graeme krzywi się w niesmaku.

- Wiedząc, że nie musi pan nic mówić, czy zechce pan odpowiadać na pytania mimo nieobecności pana Gale'a?

Kolejne wzruszenie ramionami.

- Nie mam nic do ukrycia - rzekł Graeme.

Stride był zaskoczony. Bogaci podejrzeni nigdy nie mówią. Ale skoro już los mu sprzyja...

- Ten przeciek do mediów jest godnym pożałowania wypadkiem. Przepraszam pana za to. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

Stride nie zamierzał pytać zbyt ostro, żeby facet nie doszedł do wniosku, że lepiej nic nie mówić. Chciał drażnić powoli, zmierzając ku drastycznym szczegółom. Ale coś w oczach Graeme'a mówiło mu, że ta strategia jest dla niego doskonale czytelna.

- Radzę, żeby się pan dowiedział, jak do tego doszło, panie poruczniku.

Stride pokiwał głową.

- Na pewno jednak rozumie pan, że niektóre odkryte przez nas szczegóły budzą wiele wątpliwości. Chcielibyśmy poznać pańską wersję. Dlatego tu jestem.

- Z pewnością.

- Czy sypiał pan z Rachel?

W pomieszczeniu zapadła ciężka cisza. Emily wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź Graeme'a. Stride obserwował, jak mężczyzna zaciska szczęki, a na jego twarz wypełza gniew. Jego pewność kazała mu się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. A może gość jest po prostu urodzonym aktorem?

- Co za obelżywe pytanie. Ale odpowiedź brzmi: nie. Nigdy. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego z własną pasierbicą, panie poruczniku. To nie miało miejsca.

- Rachel twierdziła, że miało - powiedział Stride.

- Nie wierzę - odparł Graeme. - Może i nie miała najlepszych stosunków z żadnym z nas, ale nie mogę uwierzyć, że była zdolna wymyślić tak odrażające kłamstwo.

- Powiedziała szkolnemu psychologowi Nancy Carver, że zaczęliście uprawiać seks wkrótce po pańskim ślubie.

Stride zauważył, że Emily skrzywiła się i wstrzymała oddech. Graeme zerknął na żonę, potem przeniósł wzrok z powrotem na Stride'a.

- Carver? Nic dziwnego. Wścibska suka. Może pan sobie wyobrazić, że dzwoniła tutaj i odpytywała mnie? Ale nigdy nie wystąpiła z podobnymi oskarżeniami. Sądzę, że to ją powinien pan przesłuchać, poruczniku. Ta kobieta jest bez wątpienia lesbijką. Nawet przypominam sobie, że dzwoniłem do szkoły ze skargą.

Stride zapisał to w swoich notatkach. Postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście w szkole złożono jakąś skargę na Nancy Carver.

- Po co Rachel miałyby wymyślać taką historię?

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiła. To wszystko najprawdopodobniej wymysł tej Carver.

- Rachel powiedziała to jeszcze komuś - skłamał Stride.

Tym razem w oczach Graeme'a zaśniono wahanie. Ale szybko znikło.

- Naprawdę trudno mi w to uwierzyć. Ale jeśli tak; to nie przychodzi mi do głowy żadne inne wytłumaczenie prócz tego, że musiała mieć jakieś problemy. Może miała jakieś fantazje związane z moją osobą. A może próbowała wykopać przepaść między mną a Emily. Kto wie?

- Ale pan z nią nie spał?

- Już mówiłem, nie.

- Nigdy pan jej nie dotknął ani nie miał pan z nią innego rodzaju kontaktów seksualnych?

- Oczywiście, że nie - warknął Graeme.

- I ona nigdy nie dotykała pana.

- Nie jestem Billem Clintonem, panie poruczniku. Skoro mówię, że nie uprawiałem seksu, to znaczy, że nie uprawiałem seksu.

Stride skinął głową. Tak stanowcze zaprzeczenie wzmocni oskarżenie, jeśli uda się znaleźć jakikolwiek dowód na poparcie tezy o związku Rachel i Graeme'a. Jeśli. Zdawał sobie sprawę, że jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy Stoner zapierałby się tak mocno, gdyby istniał jakikolwiek sposób udowodnienia, że tych dwoje naprawdę coś łączyło. Mógł też mówić prawdę.

- Czy zna pan koleżankę Rachel nazwiskiem Sally Lindner? - spytał.

Graeme zmarszczył brwi.

- Chyba tak. Jeśli dobrze pamiętam, chodzi z tym chłopcem, Kevinem. Dlaczego pan pyta?

- Czy kiedykolwiek podwoził ją pan samochodem?

- Naprawdę nie pamiętam, Może.

- Może?

Graeme potarł podbródek.

- Może. Rzeczywiście któregoś dnia podwoziłem ją kawałek. Zepsuł jej się rower. To było kilka miesięcy temu, i słowo daję, nie pamiętam, czy to na pewno była ona.

- Gdzie pan ją spotkał?

- Zdaje mi się, że gdzieś na północy, za miastem. Wracalem z jednej z naszych filii.

- A dokąd pan ją zawiózł?

- Już mówiłem. Do jej samochodu.

- Zatrzymywaliście się gdzieś?

- Nie przypominam sobie.

- Ona twierdzi, że zabrał ją pan do szopy.

- Do szopy? Nie, z pewnością nie. Podwoziłem ją do jej samochodu i tam zostawiłem. To wszystko, panie poruczniku.

- Nic takiego się nie zdarzyło? - spytał Stride. - Nigdy pan tam z nią nie był?

- Nic takiego się nie zdarzyło - odparł Graeme stanowczo.

- Więc dlaczego Sally powiedziała, że się zdarzyło?

Graeme westchnął.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć, panie poruczniku? Może Rachel ją namówiła?

- Rachel? Po co Rachel miałaby to robić?

- To skomplikowana dziewczyna - powiedział Graeme.

Maggie wskazała dębową, trzyszufladową szafkę na dokumenty.

- Ty zacznij od tego. Ja się zajmę biurkiem.

Towarzyszący jej policjant, cwany dwudziestopięciolatek, który jeszcze nie zdążył wyrosnąć z przyszczy, pokiwał głową, nie przerywając głośnego żucia gumy. Miał na imię Pete i był jeszcze nowicjuszem. Zanim zaledwie miesiąc temu wstąpił do policji, przepracował kilka lat w prywatnej firmie ochroniarskiej. Maggie lubiła go za

buńczuczną pewnością siebie, ale musiał się jeszcze dużo nauczyć. Miał nieostrożność wydmuchać balon z gumy do zucia i strzelić z niego palcami w białej rękawiczce. O mało nie odgryzła mu głowy i wyrecytowała odpowiednie rozporządzenie na temat zanieczyszczania terenu przeszukania. Poza wszystkim innym ten dźwięk ją denerwował.

Pete przestał wydmuchiwać balony, ale nadal żuł gumę tylko po to, żeby się z nią podrażnić. Ona na jego miejscu zrobiłaby to samo, i to jej się spodobało.

Znajdowali się na piętrze w gabinecie Graeme'a Stonera. Panował tam nieskazitelny porządek. Na dużym wykonanym na miarę dębowym biurku stał monitor i klawiatura, niewielki rząd książek ustawionych tematycznie i dwa słupki płyt kompaktowych. Maggie rzuciła na nie okiem. Jedna kupka odzwierciedlała muzyczne upodobania Graeme'a do głośnych symfonii Mahlera. W drugiej znajdowały się płyty opatrzone etykietką „poufne” i pieczęcią banku Graeme'a.

- Guppo będzie musiał przejrzeć to wszystko plus twardy dysk - powiedziała. - Trzeba to opisać i zabrać.

Pete stęknął. Zanurzył dłoń w białej rękawiczce w pierwszej szufladzie.

Maggie rozglądała się po pokoju, analizując gust Graeme'a. Ściany były oklejone ciemnoniebieską tapetą w złoty rzucik harmonizujący z ciepłą złotą barwą wykładziny dywanowej. Na ścianach wisiało kilka oryginalnych akwarel, przedstawiających głównie widoki natury. Dla amatorskiego oka Maggie wyglądały na kosztowne, profesjonalne pracę. Głównymi meblami w tym pomieszczeniu były biurko i misternie rzeźbione obite skórą krzesło. Wystroju dopełniały szafa na dokumenty, wbudowane w ścianę półki zastawione książkami w twardych oprawach i wyściełany fotel do kompletu z sofą. Na rogu biurka stała smukła mosiężna lampa z kulistym abażurem.

Był to bogaty, bezosobowy pokój - dużo pieniędzy, zero indywidualności. To samo można było powiedzieć o sypialni - elegancka przestrzeń, w której trudno było sobie wyobrazić żywego człowieka. Razem z Pete'em spędzili niemal dwie godziny tam i w łazience, grzebiąc po szufladach i szukając sekretów. Niewiele odkryli. W tych pomieszczeniach co najmniej równie interesujące jak to, co znaleźli, było to, czego nie znaleźli. Żadnych środków antykoncepcyjnych. Żadnych gadżetów z sex shopu. Żadnych filmów tylko dla dorosłych. Ciekawe, kiedy Graeme i Emily ostatni raz uprawiali seks.

Ale to nie miało znaczenia. Chodziło o to, czy Graeme i Rachel kiedykolwiek uprawiali seks. Jak dotąd w żadnym pomieszczeniu nie natrafili na nic, co potwierdzałoby oskarżenie Nancy Carver, a z przeszukania pokoju Rachel tuż po jej zniknięciu wiadomo było, że nie zostawiła po sobie żadnych fizycznych śladów kazirodczego romansu.

Maggie wzdrygnęła się. Próbowала wyobrazić sobie Rachel samą z Graeme'em w tym domu. Czy to się działo w sypialni? W jej pokoju? Na podłodze w łazience? Czy kładł się na niej, czy nakłonił ją, żeby go dosiadła? Czy brał ją od tyłu? Czy zmuszał ją, żeby przed nim klęczała i ssała go?

Dowody. To był problem. Jak długo Rachel się nie pojawi, Graeme mógł bezpiecznie zaprzeczać romansowi, bo jakież mogą być dowody, że dwoje ludzi odbywało stosunki seksualne? Było tylko to, co Rachel powiedziała innym - w sądzie bezwartościowe.

- Co jest w tej szafie, Pete? - spytała.

Policjant wzruszył ramionami.

- Zeznania podatkowe. Gwarancje. Facet niczego nie wyrzuca.

- Sprawdź każdy papierek i spakuj zeznania podatkowe. Musimy je skopiować.

Maggie skupiła się na biurku. Brała do ręki każdą książkę, kartkowała i odkładała. Po kolei otwierała szuflady, przepatrując każdą od początku do końca. Potem uklękła i obmacała dno każdej z nich, na wypadek, gdyby coś było przyklejone od spodu.

Włączyła komputer. Nie miała czasu sprawdzać twardego dysku bajt po bajcie - to było zadanie Guppa - ale chciała przynajmniej przejrzeć e-maile i strony, które Graeme odwiedzał w internecie. Żeby zapobiec przypadkowym zmianom, najpierw wydrukowała na laserowej drukarce pełną listę, zapisując każdy szczegół na twardym dysku. Potem podłączyła pendrive do złącza USB komputera i skopiowała twardy dysk. Skończywszy, przełączyła stację do swojego laptopa i wywołała na nim bliźniaczy obraz zawartości komputera Graeme'a.

Kliknęła w Internet Explorer i ku swemu zdziwieniu przekonała się, że historia poprzednich wyszukiwań została usunięta. Nie było śladu po ostatnio odwiedzanych stronach i nic w „ulubionych”.

- Ciekawe - powiedziała głośno. - Wygląda na to, że sprząta po sobie.

- Co? - spytał Pete.

- Żadnych odwiedzin. A przecież w swoim banku prowadzi bankowość elektroniczną. Czy to się trzyma kupy? Wyraźnie nie chciał, żeby inni mogli zobaczyć, gdzie surfował.

Maggie załadowała Outlooka. Skrzynka pocztowa była tak samo idealnie czysta. Nic w skrzynce odbiorczej, nic w wiadomościach wysłanych, nic zapisanego. Tak jakby facet jeszcze nigdy nie wysłał ze swojego komputera żadnego listu, co oczywiście było absurdem.

Coś było nie tak. Zastanawiała się, czy nie miał skrzynki w jakimś ogólnodostępnym portalu takim jak Yahoo! albo Hotmail, gdzie mógłby wysłać i odbierać osobistą pocztę, nie zostawiając śladów w komputerze. Ale to będzie o wiele trudniej znaleźć.

Radiotelefon zatrzeszczał i Maggie wzięła go do ręki.

- Tak?

To był Guppo.

- Skończyliśmy w piwnicy.

- I co?

- Czysta jak łąka. Nawet narzędzia ogrodnicze lśnią nowością. Nie sędzę, żeby spędzał tam dużo czasu.

- Cholera - zakląła Maggie.

Miała nadzieję, że nawet jeśli nie zdołają udowodnić, że Rachel i Graeme uprawiali seks, to znajdą dowód morderstwa. Ale uprzytomniła sobie, że w świetle znaleziska w szopie było bardzo mało prawdopodobne, by zabił ją w domu. Logika podpowiadała, że pojechali do szopy i tam coś między nimi zaszło - coś, co skończyło się śmiercią Rachel.

- Dobra, Guppo, idź z Terryem do minivana na dworze i sprawdźcie go.

Przeszukajcie każdy centymetr, wyciągnijcie dywaniki, poświećcie ultrafioletem, może będzie jakiś ślad krwi. Włosy. Włókna, nasienie, odciski palców. Cokolwiek. Chcę wiedzieć, czy Rachel była w tym samochodzie.

- Tak jest.

Kolejny głos, który zagrzechotał w radiotelefonie, należał do Terry'ego.

- Maggie, do stu skurwysynów, chcesz mnie zamknąć w samochodzie z Guppem?

Już dość się wycierpiałem w piwnicy.

Maggie roześmiała się.

- Hej, ja to przeżyłam w szopie, Terry, nie licz na moje współczucie. Wyłączam się.

Ponownie zawiesiła sobie urządzenie na pasku.

- Wezmę się chyba za półki - powiedziała, z niesmakiem wodząc oczami po ścianie tomów w twardej oprawach,
- Komputer czysty?
- W każdym razie na pierwszy rzut oka. Wygląda na to, że Graeme lubi porządek. Guppo będzie musiał przejrzeć go dokładnie.
- A obrazki? - spytał Pete. - No wiesz, gify, jpegy, te rzeczy. Może trzyma tam jakieś świńskie foty albo inne pornosy.

Maggie pokiwała głową i kliknęła w wyszukiwarkę. Najpierw wpisała „Rachel” w poszukiwaniu jakichkolwiek plików mogących zawierać imię dziewczyny. To byłoby za proste, pomyślała i miała rację. Pusto. Spróbowała jeszcze raz, z plikami zaczynającymi się na literę R, ale wynik ją przygnębił. Wpisała „seks”, potem „porno”, ale nic nie znalazła.

Później wpadła na inny pomysł. Zawęziła listę szukanych obiektów do plików utworzonych lub edytowanych na przestrzeni dwóch tygodni przed zniknięciem Rachel i wkrótce potem.

To wyszukiwanie zaowocowało pewną ilością plików. Przeglądała je powoli, odrzucając pliki systemowe, a sprawdzając wszystko, co wyglądało na dokument tekstowy albo arkusz kalkulacyjny. Wszystkie były najwyraźniej związane z pracą. Zawierały mnóstwo szczegółów dotyczących transakcji online, inwestycji wspólnych i oddziałowych raportów zysków i strat. Przeszukiwała plik po pliku, w myślach skreślając jeden po drugim z listy, pełna wątpliwości, czy to wyszukiwanie wniesie coś więcej niż poprzednie. Graeme był zbyt sprytny. I wtedy to zobaczyła.

Fargo4qtr.gif. Plik graficzny utworzony dwa dni przed zniknięciem Rachel.

Sądząc po nazwie, mógł to być plik służbowy, ale znajdował się w niewłaściwym katalogu. Poza tym w służbowych plikach Graeme’a nie było innych tego typu plików graficznych. Najechała myszką i zawahała się przed kliknięciem. Wstrzymała oddech. Potem jednym drgnieniem palca kliknęła i wpatrzyła się w opustoszały ekran. Obraz zdawał się ładować w nieskończoność, choć słysząc delikatne pomrukiwanie laptopa, zdawała sobie sprawę, że to zaledwie sekundy. Potem monitor ożył i na ekran wyskoczyło kolorowe zdjęcie. Maggie gwałtownie wciągnęła powietrze.

- O mój Boże.

Zaciekawiony Pete odwrócił się i spojrzał jej przez ramię. Na widok ekranu i on sapnął.

- O, w mordę.

Było to jedno z najniezwyklejszych zdjęć, jakie kiedykolwiek widziała. Maggie uważała się za zatwardziałą heteroseksualistkę, ale nawet ona nie mogła się powstrzymać, żeby nie zwilżyć warg językiem. Czy Rachel przyciągały jej oczy jak magnes.

Na zdjęciu była naga. Znajdowała się gdzieś w głuszy, na tle nieostrych drzew. Padał deszcz, który pokrywał jej skórę srebrnymi strumyczkami i toczył się po jej ciele. Zdjęcie uwidaczniało kropelki wody na piersiach dziewczyny, strużki spływające w stronę krocza i skapujące na ziemię. Miała ugięte kolana. Jedną rękę trzymała między nogami - dwa palce były niewidoczne, wsunięte między wargi sromowe. Drugą dłonią obejmowała swoją prawą pierś, szczypiąc brodawkę. Usta rozchyliła w uśmiechu rozkoszy, ale jej zielone oczy były szeroko otwarte, wpatrzone w obiektyw.

Maggie uprzytomniła sobie, że Pete za jej plecami ciężko dyszy.

- Boże, mam nadzieję, że ta dziewczyna żyje - powiedział. - Co ja bym dał, żeby toto wypieprzyć.

- Zamknij się - rzuciła posępnie Maggie.

Kliknęła „drukuj”. Drukowało się powoli, linijka po linijce, pokrywając papier wizerunkiem masturbującej się w lesie nastolatki.

- A to skurwysyn - mruknęła.

Na werandzie panowała cisza. Emily i Graeme nadal siedzieli w swoich fotelach. Emily patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, zastygła bez ruchu, z dłońmi złożonymi na kolanach. Graeme, starannie ignorując Stride'a, przez swoje okulary połówki studiował jakieś papiery. Gdy zapas pytań policjanta się wyczerpał, po prostu wrócił do pracy, jakby zupełnie nie miał się czym martwić.

Stride miał świadomość, że jego spokój jest przynajmniej w części udany, ponieważ już samo podejrzenie wystarczało, by zrujnować mu opinię. Czy mu się to podobało, czy nie, Graeme Stoner był w Duluth skończony. I wiedział o tym. Pytanie tylko, czy pozostanie na wolności i będzie mógł udać się gdzie indziej, czy też znajdą to, czego potrzebują, by unieszkodliwić go na długie lata.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Słyszał, jak Guppo i Terry gramolą się z piwnicy, potem jak wychodzą przez drzwi frontowe. Choć nie słyszał rozmowy, przypuszczał, że Maggie kazała im przeszukać vana. Radiotelefon wolał wyłączyć. Lepiej, żeby Stonerowie nie słuchali ich dialogów.

Patrzył na Graeme'a, analizując jego twarz. Wiedział, że Graeme czuje jego wzrok, choć nawet nie mrugnął, spokojnie przewracając kartki. Ciekawe byłoby zobaczyć Dana Ericksona, jak walczy w sądzie, żeby wpakować tego faceta za kratki. Jeśli uda im się dotrzeć do sądu. Minęło jeszcze trochę czasu.

Usłyszał kroki Maggie. Wparowała do pokoju, powiewając kartką papieru. Tym razem Graeme spojrzął z autentycznym zainteresowaniem i odrobiną nerwowości. Maggie szepnęła Stride'owi do ucha.

- Zajmij się tym.

Stride spojrzął na zdjęcie i aż zamrugnął na widok nagiej dziewczyny. Musiał przywołać świadomość, że to jest nastolatka, która zaginęła i być może już nie żyje.

Podniósł wzrok znad kartki i napotkał spojrzenie Graeme'a. Nagle poczuł, że ma tego aroganckiego sukinsyna powyżej uszu.

- Proszę mi powiedzieć, czy ma pan cyfrowy aparat fotograficzny?

Graeme skinął głową.

- Oczywiście.

- Będziemy musieli go zatrzymać. Czy poznaje pan tę fotografię?

Podał kartkę Graeme'owi. Jego opanowanie prysło; usiłował trzymać ją nieruchomo, ale widać było, że ręce mu drżą. Emily też zobaczyła, co na niej jest. Zasłoniła dłonią otwarte usta, tłumiąc krzyk.

- Gdzie to znaleźliście? - spytał Graeme, starając się zachować spokojny ton.

- W komputerze w pańskim gabinecie - wyjaśnił Stride.

- Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięło. Nigdy przedtem tego nie widziałem.

- Naprawdę? To nie pan zrobił to zdjęcie?

- Nie, oczywiście, że nie. Powiedziałem już, że nie mam pojęcia, skąd się wzięło w moim komputerze. Pewnie Rachel je tam zapisała. Taki dowcip.

- Dowcip? - Stride uniósł brwi. - No, niezły dowcip.

- Kto wie, czemu to zrobiła.

Stride pokiwał głową.

- Nie ma pan pojęcia, gdzie ani kiedy zostało zrobione?

- Najmniejszego.

Maggie wpatrywała się w niego zimnym wzrokiem.

- Ten plik został utworzony w pańskim komputerze na dwa dni przed zniknięciem Rachel.

- Dwa dni? - zdziwił się Graeme.

- To dość szczególnie zbieg okoliczności - dodał Stride.

- Cóż, jak już mówiłem, musiała to zrobić Rachel. Może to było jakieś dziwaczne pożegnanie przed ucieczką.

Stride podszedł do niego bliżej.

- Ale ona nie uciekła, prawda? Razem z panem pojechała tamtej nocy do szopy. Pojechał pan, żeby uprawiać z nią seks, tak jak pan to robił przez lata. Czy tym razem odmówiła? Czy próbowała uciec? Czy zagroziła, że powie o tym pańskiej żonie?

- Graeme - słaby głos Emily brzmiał błagalnie. - Proszę, powiedz, że to wszystko nieprawda.

Westchnął i przeniósł wzrok na nią.

- Oczywiście, że nieprawda.

- Wiemy, że Rachel była tamtej nocy w szopie. Wiemy, że najpierw wróciła do domu i zastała tam tylko pana. Czy zechce nam pan opowiedzieć, co się zdarzyło potem?

Graeme potrząsnął głową.

- Nie słyszałem, jak wchodziła. I to wszystko, co mam do powiedzenia przed przyjazdem pana Gale'a.

Sprawa miała wrażenie oszołomionego. Stride cieszył się, widząc, że mimo wszystko jak każdy człowiek jest omylny, popełnia błędy, zostawia za sobą ślady i nie wie, jak zareagować, gdy jego kłamstwa wychodzą na jaw.

- Szukaj dalej, Mags - powiedział.

Maggie już miała wrócić na górę, gdy zapiszczał radiotelefon. Wszyscy w pokoju usłyszeli głos Guppa.

- Maggie, Stride, jesteście potrzebni. Mamy ślady krwi na podłodze pod dywanikiem z tyłu samochodu i na nożu w skrzynce narzędziowej.

Maggie szybko wyłączyła, ale było za późno.

Emily krzyknęła.

Stride i Maggie patrzyli, jak jej rysy zniekształca niczym niezłagodzony ból.

Zerwała się z fotela, szara na twarzy. Odwróciła się i w najwyższym przerażeniu wpatrywała się w Graeme'a, który siedział z zastygłym na twarzy dziwnym uśmiechem, niczym kot, który właśnie połknął kanarka. Emily osunęła się na kolana.

Stride rzucił się naprzód, gotów pochwycić ją, gdyby zemdląca.

Ale Emily jęknęła, opadła na czworaka i zwróciła się na biały dywan.

CZEŚĆ TRZECIA

18.

Kitch, jak potocznie nazywano klub Kitchi Gammi, stanowił próbę przeszczepienia na grunt Duluth elegancji klubów miast Nowej Anglii. Był to pięciokondygnacyjny budynek z czerwonej cegły otoczony starannie utrzymanymi, wręcz wypielegnowanymi ogrodami, w ciepłe wiosennych dni pełnymi kwiatów, z szerokimi dwuspadowymi dachami i okazałą werandą. Klub szczylił się znajdującymi się na górnych poziomach kameralnymi salami bibliotecznymi umeblowanymi antykami z drzewa czereśniowego, wytwornymi fotelami i zawsze świeżymi nowinami z Minneapolis i Nowego Jorku w dziennikach rozłożonych na wspartych na lwich łapach stolikach do kawy. To tam politycy i inwestorzy delektowali się łyżkami brandy, prowadząc ważne dla miasta interesy.

Uwagę odźwiernego, pomarszczonego osiemdziesięcioletniego Norwega imieniem Per, który pracował w Kitchu dłużej niż wielu członków klubu było na świecie, zwrócił wysoki, tęgi mężczyzna, który właśnie wchodził na schodki. Mężczyzna ów gwizdał piosenkę Sinatry tak jak zawsze przez te trzydzieści lat, odkąd się znali. Zbliżał się do sześćdziesiątki i był prawie tak szeroki jak wysoki, ale krok miał sprężysty, energiczny. Siwe kędzierzawe włosy ponad wysokim, łysiejącym czołem były starannie ostrzyżone. Twarz rumiana, kwadratowa, o ostrych jak brzytwa niebieskich oczach za maleńkimi okrągłymi jak oczy sowy okularami, kozia bródka. Ubrany był w grafitowy trzyczęściowy garnitur w prążki i białą koszulę. Spod rękawów wyglądały złote spinki. W butonierce miał kwiat. Wchodząc ciągnął za sobą smuzkę zapachu wody kolońskiej.

- Dobry wieczór, panie mecenasie - powitał go Per, szybko otwierając drzwi.
- Miło cię widzieć, Per, jak zawsze — odpowiedział grzmiącym głosem Archibald Gale. - Co za zachwycający wiosenny dzień, nieprawdaż?
- O tak, panie mecenasie. Domyślam się, że ma pan nową dużą sprawę?
- Mam, Per, mam.
- No, ja zawsze mówię, że nie ma lepszego od pana.
- Oby twój głos trafił do uszu przysięgłych, Per.

Serdecznie poklepał staruszka po ramieniu i wszedł do ciemnego foyer. Drzwi z ciemnego dębu i kolorowego witrażowego szkła zamknęły się za nim delikatnie. Zerknął na zegarek i sprawdził, że jest szesnasta czterdzieści pięć, piętnaście minut do umówionego spotkania z Danem Ericksonem prokuratorem okręgowym. Gale lubił przyjechać wcześniej, rozsiąść się w jednej z bibliotek ze szklaneczką szkockiej i tak oczekiwać swojej ofiary.

Choć Gale był jednym z najznakomitszych w tym stanie adwokatów w sprawach kryminalnych, plotka głosiła, że większość spraw wygrał w Kitchu, osłabiając morale swoich oponentów przy koleżeńskim drinku. Jego niewinne aluzje i mroczne insynuacje tak wytrącały prokuratorów z równowagi, że zaczynali wątpić w swoją strategię i płać się w sądzie. Reputacja Gale'a jako specja od wojny psychologicznej była tak szeroko znana, że większość prokuratorów odrzucała teraz jego tradycyjne zaproszenia na wieczorną pogawędkę w Kitchu w przeddzień procesu.

Ale Daniel był zbyt pewny siebie, żeby je odrzucić. Tak było zabawniej. W ciągu wielu lat pracy Gale miał do czynienia z wieloma aroganckimi prokuratorami o ambicjach politycznych i lubił upuszczać im powietrza. Ten był bardziej bezwzględny

od innych. Gdy poprzedni prokurator okręgowy Tiygg Stengard zatrudnił Daniela, Gale szepnął swojemu staremu przyjacielowi i adwersarzowi słówko ostrzeżenia przed jego nowym człowiekiem numer dwa. Ale Stengard w przeciwieństwie do Gale'a był politykiem i miał słabość do czystej, nieskrywanej ambicji.

- Liczę, że ty mi trochę tego chłopaka zmiękczysz, Archie - powiedział. - Skop mu parę razy dupę. To mu wyjdzie na zdrowie.

I Gale tak zrobił. Nie był zdziwiony, że Daniel w sądzie okazał się gładki i skuteczny, a po śmierci Stengarda dobrze sobie radził na stanowisku prokuratora okręgowego. Ale przegrał dwie duże sprawy, obie do Archibalda Gale'a.

Proces Graeme'a Stonera przyniesie mu albo zemstę, albo upokarzające zejście z boiska.

Gale wiedział, że Daniel jest pewny swego i wiedział także, że ma ku temu powody. Nawet jeśli nie ma ciała, zebrane dowody wystarczą, by nastawić przysięgłych przeciwko klientowi, który sprawiał wrażenie jeszcze bardziej aroganckiego niż sam prokurator. A jeśli Daniel przekona ich, że facet rzeczywiście rznął swoją pasierbicę, Gale'owi nie będzie łatwo ocalić Stonera od dożywocia.

Ale Gale lubił wyzwania. Miał też w zanadru kilka niespodzianek.

Wskoczył do staroświeckiej windy, która ugięła się pod jego ciężarem. Zwykle chodził po schodach dla zachowania kondycji, ale przed takim spotkaniem nie chciał ryzykować zadyszki. Gdy winda zazgrzytała i stanęła, wysiadł i przeszedł przez hol do obszernej biblioteki z widokiem na jezioro. Z kuchni wyłoniła się Margaret, a on pochylił się, by wesoło cmoknąć ją w policzek. Staruszka zachichotała zarumieniona.

- Postawiłam panu na stoliku szklaneczkę oban.

- Ach, Margaret, jesteś dla mnie za dobra. Co ty na to, żeby ze mną uciec?

Margaret znowu zachichotała.

- Czy pan wie, czego się napije pan Erickson?

- Przygotuj dla niego bombay gin i mnóstwo lodu. Na mój rachunek. Mam wrażenie, że szybko będzie chciał następnego drinka.

Margaret uśmiechnęła się, jakby połączył ich mały sekret, i wycofała się do kuchni.

Gale rozgościł się w sali bibliotecznej. Chwilę rozmyślał, wyglądając przez okno, zerknął na nagłówki w „Star Tribune”, którą już czytał, i w końcu spoczął na sofie z tysiąc dziewięćset dwudziestego, ogrzewając w dłoni szklaneczkę z oban. Był spokojny - jak zawsze przed procesem. Inni adwokaci stawali się energiczni i niespokojni. Gale się koncentrował. Czuł, jak jego tętno zwalnia, a mózg powoli mobilizuje się na wizji tego; co było przed nim.

Po pięciu minutach wpadł Daniel Erickson, z podwójnym dżinem w niskiej szklance o grubym dnie, pobrzękując kostkami lodu. Krople dżinu przeskoczyły przez krawędź i opryskały podłogę.

- Witaj, Danielu - powiedział Gale. - No, no, wyglądasz na zdenerwowanego.

Dan zatrzymał się z uśmiechem.

- Przeciwnie. Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy. Ostatnim razem mnie pobiliś, Archie.

- I poprzednim razem też, jeśli mnie pamięć nie myli - przypomniał mu radośnie Gale.

- No, ale tym razem będzie inaczej.

Dan nie usiadł. Chodził tam i z powrotem od okien do kominka. Miał na sobie granatowy garnitur i wypastowane, błyszczące czarne buty. Jasne włosy miał starannie ułożone. Choć niski, był przystojny, o zdrowym, sportowym wyglądzie. Gale podejrzewał, że już od dobrych paru tygodni chodził do solarium, by zrobić wrażenie na przysięgłych.

- Ach, tak? A przecież sędzia Kassel już przychyliła się do mojego wniosku w sprawie Nancy Carver - rzekł Gale.

Dan wzruszył ramionami. Wziął z półki nad kominkiem małą porcelanową figurkę tancerki, przełożył ją z ręki do ręki i odstawił.

- Zeznanie Carver to dowód ze słyszenia. Wiedziałem, że nie uda nam się go włączyć.

- Tak mówisz, ale to jednak bardzo utrudnia ulokowanie Graeme'a i Rachel w jednym łóżku, co?

- Och, mamy na to dość innych sposobów - powiedział Daniel. - Ten twój klient to chory facet, Archie. Biorąc tę sprawę, nie przysporzyłeś sobie przyjaciół w naszej społeczności.

Gale schował nos w szklaneczce szkockiej i pociągnął dyskretny łyżeczek.

- Tak, przywykłem już do listów z obelgami i wyrokami śmierci. Nie sądzisz, że to śmieszne, kiedy ludzie odgrażają się, że mnie zabiją, bo bronię kogoś, kogo uważają za mordercę?

- No, trudno powiedzieć, że bronisz niewiniątka - zauważył Dan.

Właśnie znowu doszedł do okna i chwilę obserwował poniedziałkowy ruch na London Road. Potem znów ruszył na środek pokoju.

- Usiądź wreszcie. Kręci mi się w głowie od tego twojego chodzenia.

Dan uśmiechnął się. Zabębnił palcami po kieszeniach.

- Zobaczysz, Archie. Zobaczysz.

- Rzeczywiście sprawiasz wrażenie bardzo pewnego siebie.

- To dlatego, że mam Stonera w garści. Wiem to. Ty też to wiesz.

- O, gdybym był tobą, przyjrzałbym się kilku swoim świadkom nieco uważniej. Mógłbyś się przekonać, że mają do powiedzenia także inne rzeczy.

Po twarzy Dana przemknął ledwo zauważalny cień zaniepokojenia, który szybko zastąpił szeroki uśmiech.

- Niech cię diabli, ty stary lisie. Kłamiesz prawie tak dobrze jak ja.

Gale zachichotał.

- W twoich ustach to wielki komplement. Ale ja nie kłamię. Możesz to uznać za zawodową grzeczność.

- Tak, tak. Słuchaj, możesz się wic i wykręcać kota ogonem, ale w tej sprawie mi się nie wymkniesz. Twoją jedyną szansą była zmiana miejsca rozprawy, a tutaj przegrałeś. Do diabła, wcale nie muszę się fatygować doprowadzaniem Nancy Carver na miejsce dla świadków, żeby zeznała, jak Rachel opowiedziała jej, że bzyka się z tatusiem. Wszyscy przysięgli już to wiedzą. Choć oczywiście nie powiedziałbym tego poza tym pokojem.

- Tak - westchnął Gale - byłem rozczarowany tą decyzją. Podejrzewam, że pani sędzia ma świadomość, iż sprawę należało przenieść, ale chciała ją dla siebie. Pod tym względem jest trochę podobna do ciebie.

Dan pochylił się, zanurzył palce w kryształowej wazie i wyciągnął garść orzechów. Wybrał biały brazylijski i włożył sobie do ust.

- Masz zupełną rację - powiedział, chrupiąc orzech. - Powinieneś chyba wiedzieć, że spałem z Catharine.

Brwi Gale'a wygięły się w wyrazie zdumienia. Sięgnął na stolik po swoją szkocką.

- Spałeś z sędzią Kassel? Czy nie za daleko się posuwasz, byle wygrać sprawę?

- To było kilka lat temu. Nie była jeszcze sędzią, a ja nie byłem prokuratorem okręgowym.

- Ale, jeśli dobrze pamiętam, była już mężatką.

Dan wzruszył ramionami, tym razem wybrał nerkowca. Zjadł go głośno, nie racząc odpowiedzieć.

- Mógłbym wystąpić o zmianę sędzi - ciągnął Gale.

- Mógłbyś, ale tego nie zrobisz.

- Taki jesteś pewien?

Dan skinął głową.

- To nie będzie twoja ostatnia sprawa przed Catharine i nie wyobrażam sobie, żebyś w tej sytuacji chciał publicznie prać jej brudy. Poza tym wiesz, że mogłeś trafić gorzej. Z jej strony Stoner może liczyć na sprawiedliwe potraktowanie. To więcej, niż zasługuje.

- A z tego, co wiem o twojej reputacji, Daniel, fakt, że miałeś z nią romans, może działać na moją korzyść - odparował cierpko Gale.

- Och, nie posuwałbym się do takiego twierdzenia.

- No to dlaczego mi to powiedziałeś? - spytał niewinnie Gale.

- Doskonale wiesz dlaczego, Archie. Teraz już nie możesz udawać nieorientowanego. Dałem ci powód, żeby ją odsunąć, a ty nie skorzystałeś. Gdybyś odkrył nasz romans już po skazaniu Stonera, miałbyś powód do rewizji.

- To prawda. Tyle że Stoner nie zostanie skazany.

- Daj spokój, Archie. Na twoim miejscu namawiałbym go do przyznania się do winy. Mamy krew Rachel w jego samochodzie, na jego nożu i na miejscu zbrodni. DNA zgadza się idealnie. W kwestii dowodów naukowych nie zdołasz podważyć orzeczenia doktora Yee. Nikomu się to nie uda.

Gale wzruszył ramionami. Już wielokrotnie zetknął się z Yee.

- Tak, jeśli doktor Nieomylny mówi, że to jest krew tej dziewczyny, to to jest krew tej dziewczyny.

- Dołóż do tego kazirodztwo - dodał Dan. - Poza tym facet nie ma alibi i jest bogatym zadowolonym z siebie skurwysynem. Wzbudzi w przysięgłych odrazę.

Gale pokręcił głową. Skończył drinka i z cichym jękiem podźwignął się z fotela. Poglądził kozią bródkę.

- Wierz mi, Daniel. Wybrałeś złą sprawę na igrzyska dla ludu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć, że ty, Bird Finch i wszystkie inne media już uznaliście mojego klienta za winnego. Ale ten wyrok się nie liczy. Gdy ja skończę przedstawiać sprawę przysięgłym, nie będą potrzebowali nawet godziny, żeby go uniewinnić.

- Bo broni go wielki Archibald Gale?

- Nie. Bo nie macie podstaw - odparł Gale. - Nie macie nawet ciała. Znasz przecież prawdopodobieństwo skazania, gdy nie ma ciała.

- Dla wielkiej ławy przysięgłych to nie była przeszkoda - wytknął mu Dan.

Gale prychnął.

- Teraz mówimy o prawdziwych przysięgłych, Daniel.

- Zaryzykuję. Przysięgli nie będą premiować Graeme'a Stonera za to, że mamy w naszym stanie tyle świetnych miejsc do ukrycia ciała. Możesz sobie grzmieć i błyskać, Archie. Bóg świadkiem, że dobrze ci to wychodzi. Ale gdy pokażę przysięgłym, jakim człowiekiem jest Stoner, wyciągną właściwe wnioski.

Gale podszedł do Dana, nachylił się nad nim i położył mu na ramieniu mięsistą dłoń.

- Słuchaj, nie chcę cię upokarzać na sali rozpraw. Załatwmy to teraz, między nami. Wycofaj oskarżenie. Powiedz, że w tej chwili jest za mało materiału i czekasz na rozstrzygający dowód, żeby nie ryzykować powtórki. Stoner wyjedzie. Jego życie tutaj i tak się skończyło. A potem wszyscy o tym zapomną.

Dan zjadł ostatniego orzecha brazylijskiego i otrzepał dłonie z soli. Oczywiście miał zimne i złe. Wbił je w Gale'a i wycelował palec w jego twarz,

- Nie myśl, że zdołasz mnie zastraszyć. Życie Stonera się skończyło, to się zgadza. Jego resztę spędzi w więzieniu. Jest mordercą i nie zamierzam puścić mu tego płazem.

- Taki jesteś pewien jego winy?

Dan jęknął.

- Daj spokój, Archie. Między nami, chłopakami, chyba mi nie powiesz, że wierzysz w jego niewinność.

Gale wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

- Cóż, chyba wyczerpaliśmy temat - rzekł Dan. - Do zobaczenia w sądzie.

- Tak jest - Gale znów zachichotał. - Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

19.

Bocznymi ulicami, unikając tłumów, które zawsze wczesnym wieczorem wypełniały Superior, Gale szedł w kierunku południowym. Jak na swoją tuszę krok miał sprężysty, aportowy. Dostrzegłszy o kilka przecznic dalej po prawej okrągły budynek hotelu Radisson, skręcił w główną ulicę. Zbliżając się do celu, dyskretnie rozglądał się wokół. Swobodnie wszedł do holu i skierował się do wind.

To była najbardziej ryzykowna część. Gale był łatwo rozpoznawalny. Obawiał się, że w hotelowym barze nad drinkami mogą czyhać reporterzy z miejscowego dziennika, którego siedziba znajdowała się niedaleko stąd. Dojechał windą na szóste piętro, wysiadł i przeszedł na klatkę schodową. Zszedł trzy piętra w dół, znowu wsiadł do windy i tym razem wysiadł na dziesiątym. Ostrożnie rozejrzał się po korytarzu. Następnie przeszedł na sam jego koniec i pięciokrotnie zapukał do drzwi jednego z apartamentów.

Przez wizjer dostrzegł, że za drzwiami przesunął się cień.

Graeme Stoner otworzył.

- Miło mi cię widzieć, mecenasie - powitał go. - Jak zawsze.

Odsunął się, by przepuścić Gale'a, po czym zamknął i zaryglował za nim drzwi.

- Bird Finch jest przekonany, że jesteś jeszcze w Minneapolis - poinformował go Gale.

- To dobrze. Inaczej hotel byłby w stanie obłężenia.

Gale uzyskał zwolnienie za kaucją, ale Stoner i tak nie mógł wrócić do domu. Rozgłos wokół jego aresztowania wystawił go na niebezpieczeństwo, zresztą nawet gdyby nie był zagrożony, i tak nie był mile widziany pod własnym dachem. Emily wystąpiła o rozwód. Bank też go wylał, choć Gale pomógł Graeme'owi w zawarciu korzystnej finansowo ugody w zamian za ciche wycofanie się bez żadnych roszczeń.

- Jakież to dobre słowo przynosisz mi od Danny'ego Ericksona? - spytał Graeme.

Gale zachichotał.

- Jest jak zawsze pewny siebie. Chce cię koniecznie wsadzić, Graeme.

Graeme wzruszył ramionami.

- Cały Danny. Wiesz, spędzaliśmy kiedyś ze sobą sporo czasu. Uważałem go za przyjaciela. Ale dla Danny'ego przyjaźń liczy się tylko, dopóki się opłaca. Napijesz się?

Gale pokręcił głową.

- Ale mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że ja sobie pozwolę.

Graeme sięgnął do barku i nalał sobie kieliszek brandy, po czym usadowił się w wygodnym fotelu przy oknie. Zmierzchało. Niebo nabrało barwy ciemnego błękitu. Graeme był ubrany w brązową golfową koszulkę i beżowe spodnie. Na pobliskim stole jarzył się ekran laptopa. Gale spytał go kiedyś, co robi z wolnym czasem, i Graeme

odpowiedział, że w ciągu ostatnich pięciu miesięcy zwiększył swój stan posiadania na giełdzie o dwadzieścia procent. To była jego rozrywka.

Gale, wciąż na stojąco, przypatrywał się swojemu klientowi. Gdy Graeme zadzwonił do niego w dniu rewizji, nie okazywał żadnych emocji, spokojnie zapewnił go o swojej niewinności i przeprosił Gale'a, że rozmawiał z policją pod jego nieobecność. Ale to dlatego, oświadczył, że wie, iż jest niewinny i nie ma nic do ukrycia.

Ciekawe, czy rzeczywiście. Dla obrony to było oczywiście bez znaczenia. Ale niezdrowa ciekawość kazała Gale'owi zastanawiać się, jaka jest prawda. Słyszał już w życiu wielu kłamców i zazwyczaj widział ich na wskroś. Graeme był inny. Albo facet mówił szczerze, albo był jednym z najbardziej utalentowanych kłamców, jakich spotkał na swojej drodze. Niestety, zazwyczaj przekonywał się, że im lepszy kłamca, tym bliższe prawdy było oskarżenie.

Co nie znaczyło, że nie był w stanie przekonać przysięgłych do czegoś zgoła innego.

Ale jak jest tym razem?

Gale musiał przyznać sam przed sobą, że oskarżenie miało przekonujące poszlaki. Dowody rzeczowe znalezione w samochodzie i przy szopie wskazywały bezpośrednio na Graeme'a, choć nic nie dowodziło, że te dwa miejsca są ze sobą jakoś szczególnie powiązane. I choć oskarżenie nie miało (o ile wiedział) nic na potwierdzenie, że między Graeme'em a Rachel istniał związek seksualny, skandaliczne pogłoski mogły wystarczyć, by wstrząsnąć ławą przysięgłych złożoną z flegmatycznych Skandynawów, którzy nie akceptowali sekstelefonów ani rozwiązłości u siedemnastolatków. A prawda? Nie znał prawdy. Był w stanie podważyć oskarżenie, miał też na oku innych podejrzanych, o których możliwym udziale w zniknięciu Rachel mógłby przekonać przysięgłych. Ale nic z tego nie oczyszczało Graeme'a w jego oczach.

Po prostu nie wiedział. To go trochę wytrącało z równowagi. Nie miał nic przeciwko temu, by bronić winnych, a cieszył się, gdy mógł bronić niewinnych. Ale stan zawieszenia między jednym a drugim był dla niego czymś nowym.

Graeme się uśmiechał. Wyglądał, jakby czytał w jego myślach.

- Czujesz, że zawarłeś pakt z diabłem, mecenasie?

Gale zajął miejsce naprzeciwko niego.

- Twoja dusza stanie przed zupełnie innym sądem, Graeme. My zajmijmy się tym, z którym spotkamy się jutro.

- Jasne. Czego się dowiedziałeś od Danny'ego? Czy zastraszyłeś biedaka na śmierć?

Gale wzruszył ramionami.

- Jak na sprawę, w której nie ma ciała, ma zupełnie niezły materiał. A Daniel dobrze wypada przed sądem.

- Ale nie tak dobrze jak ty.

- Nie - przyznał bez oporu Gale. - Nie tak dobrze.

- No widzisz, płacę właśnie za tę pewność. Ale powiedz mi szczerze, jakie są perspektywy? Nie oszczędzaj moich uczuć.

- Dobrze. Sednem sprawy są dowody rzeczowe. Są mocne. A opinia publiczna jest do ciebie tak źle nastawiona, że większość przysięgłych będzie stronnicza, niezależnie od tego, co deklarują. Obawiam się, że wejdą na salę rozpraw z przekonaniem, że jesteś zboczonym skurwysynem.

- Co więc możemy zrobić?

- Daniel wie, że dowody doprowadzą ich tylko do brzegu, i będzie chciał zbudować most, po którym przejdą na drugi. Ja zaś chcę ich zmusić, żeby spojrzeli w dół i doszli do wniosku, że ten drugi brzeg nie jest dostatecznie solidny.

- Znakomita analogia - rzekł Graeme. - Przypuszczam, że masz coś więcej.
Gale skinął głową.

- Jest jeszcze teoria nieznanego szaleńca.

- Zawsze mi się podobała.

- I słusznie. Nie wystarczy zasiać wątpliwości, czy ty to zrobiłeś. Muszę sprawić, by przysięgli uświadomili sobie, że istnieją inne przekonujące możliwości. Jeśli będziesz jedynym kandydatem, skazą cię nawet przy wątpliwych dowodach.

Graeme dokończył brandy i nalał sobie następną porcję.

- Ale zapewniałeś mnie, że te możliwości istnieją.

Gale pokiwał głową.

- Tak sędzę.

Prawdę mówiąc, Gale miał poważne podejrzenia, że ktoś spośród tych, których zamierzał przedstawić jako potencjalnych sprawców, rzeczywiście może być winien. Ale w chłodnym uśmiechu Graeme'a było coś, co go irytowało. Ten facet mu się nie podobał.

- Ale nie powiesz mi, co znalazłeś - ciągnął Graeme. - To nie fair.

- Czasem im mniej wiesz i im mniej mi powiesz, tym lepiej.

- No dobrze, spytam po prostu. Czy myślisz, że za kilka tygodni będę mógł przeprowadzić się do Colorado, czy będę się musiał zameldować dożywotnio w nieco mniej wygodnym hotelu?

Gale zmierzył swojego klienta baczny spojrzeniem.

- Nie lubię się zakładać, Graeme. Nie wiem, czy jesteś winny, czy niewinny, i tak naprawdę to mnie nie obchodzi. Ale trudno jest udowodnić morderstwo, jeśli nie ma ciała. A w tej sprawie nie sędzę, że wystarczą poszlaki. Myślę, że z tego wyjdiesz.

- Nawet jeśli przysięgli uważają mnie za zboczonego skurwysyna? - spytał, uśmiechając się Graeme.

- Z tym damy sobie radę.

Graeme zadowolony skinął głową.

- Miło mi to słyszeć. Ale mogę sobie wyobrazić co najmniej jedną osobę, która będzie tym gorzko rozczarowana.

Gale mógł sobie wyobrazić wiele takich osób.

- Kto?

- Rachel.

Gale wytrzeszczył na niego oczy.

- Więc myślisz, że ona żyje?

- Jestem tego pewien.

- A dowody znalezione w samochodzie? W szopie?

- Podrzucone.

- Żeby cię zrobić.

- Właśnie.

Oczy Gale'a zwęziły się w dwie szparki.

- Po co Rachel miałyby to robić?

- To skomplikowana dziewczyna.

Gale znowu uprzytomnił sobie, jak bardzo drażni go ten uśmieszek. Za każdym razem, gdy zaczynał sam siebie przekonywać, że jego klient jest naprawdę niewinny, wypełzał na jego twarz, a w oczach zapalał się i gasł zły błysk.

- Skąd ta pewność? Czy ktoś inny nie mógł jej zabić, a potem zrobić ciebie?

- To brzmi zupełnie logicznie, więc odpowiem: tak, mógł.

- Ale tak nie myślisz?

Graeme potrząsnął głową.

- A więc to wszystko wyszukana intryga Rachel? Wszystkie dowody sfabrykowane, żeby wsadzić cię do więzienia.

- Tak uważam - odparł Graeme.

- Wiesz co, jest jedna rzecz, która może nas pogrążyć i wpakować cię do więzienia.

- Doprawdy? A cóż to takiego, mecenasie?

- Jeśli Daniel przekona przysięgłych, że naprawdę pieprzyłeś tę dziewczynę.

- Trudno dowieść czegoś, co nigdy się nie zdarzyło.

Twarz Graeme'a była słabo widoczna w półmroku hotelowego pokoju. Gale widział tylko jego nieruchome oczy. W jego głosie brzmiała ta sama gładka szczerłość co zawsze, a język ciała był bez zarzutu. Nie było żadnych oznak nieuczciwości, żadnego sygnału, które nauczył się wychwytywać i analizować. Ale Gale uprzytomnił sobie, że tym razem nie wierzy w ani jedno jego słowo. Ani jedno.

Jego klient jest winien.

Odczuł niemal ulgę. Teraz może go bronić.

- Mam nadzieję, że to prawda - powiedział. - Jeśli z nią spałeś, a Daniel będzie w stanie tego dowieść, to jesteś w dużym kłopotcie.

Graeme uśmiechnął się.

20.

Port w Two Haibors był ledwo widoczny; zaledwie jako długa wąska plama zakłócająca linię drzew. Za nimi i nad nimi niebo było czyste i błękitne. Ale Stride widział ciemne chmury piętrzące się na horyzoncie, rozpełzające się jak rak i podkradające się coraz bliżej łodzi. Wiatr wzbijał na jeziorze białe pienne grzebienie i kołysał łódką z boku na bok jak zabawką w wannie. Pchnął przepustnicę i śruba silnika zaczęła młócić fale, ale szybkość zwiększyła się nieznacznie. Szkwał dopadnie ich, zanim dotrą do domu.

Czuł się jak idiota, że dał się tak złapać. Piękna niedziela była tak kusząca, w dodatku Guppo zaproponował, że pożyczy mu ośmiometrową sportową kabinową łódź motorową, cudo odziedziczone po wuju. Stride namówił Andreę, żeby z nim popłynęła. Zazwyczaj oddawali się miejskim rozrywkom, chodzili do teatru, na koncerty, na kolacje z innymi nauczycielami z liceum. Andrea lubiła popisywać się Stride'em przed koleżankami, które tak jej współczuły po rozwodzie. Ale nie spędzali czasu w sposób najbliższy sercu Stride'a, na przykład na pływaniu po jeziorze. Takich spokojnych rzeczy mu brakowało i chciał, by wróciły do jego życia.

Ale to popołudnie okazało się katastrofą. Nawet w ciepłych promieniach wiosennego słońca na jeziorze było lodowato zimno. Wiatr dosłownie rozrywał im kurtki. Stride rzucił cumę, ale osiągnął tylko tyle, że gdy poryw wiatru szarpnął łódką, kołek trzasnął. Andrea, targana nudnościami wskutek nieustannego bujania, w końcu wymiotowała. Dwie godziny przesiedzieli pod pokładem, skuleni pod kocami, nawet nie rozmawiając jeśli nie liczyć przeprosin Stride'a skwitowanych słabym uśmiechem Andrei. W łódźce mieli nieotwartą butelkę wina i wyszukany lunch, który ledwo tknęli.

Zaproponował, że odwiezie ją do domu. To był jedyny tego dnia moment, w którym jej twarz rozjaśniła radość.

A teraz pruć prosto w sztorm. Nie mogło już chyba być dużo gorzej. Miał nadzieję, że Andrea zostanie pod pokładem i nie zobaczy ohydnej czerni sunącej ku nim po niebie.

Stride starał się nakłonić silnik do rozwinięcia większej prędkości, ale w tej walce z jeziorem on już dał z siebie wszystko. Prawdę mówiąc, niedługo trzeba będzie zwolnić, żeby nie stracić kontroli nad łódką. Skierował ją pod fale i pod wiatr, ale jego podmuchy stale zmieniały kierunek. Zmarszczył brwi. Chmury zrównały się już z zachodzącym słońcem. Na błękitnej wodzie kładły się cienie. Powietrze natychmiast jeszcze się oziębiło. Stride włożył rękawiczki, skórzaną kurtkę, a czapkę bejsbolową naciągnął nisko na czoło. Ale uszy miał czerwone jak ogień, a policzki różowe i zupełnie zdrętwiałe.

Czyjeś dłonie objęły go w pasie. Andrea złożyła mu głowę na plecach. Nawet nie zauważył, gdy do niego podeszła. Nachylił się, żeby ją pocałować. Uśmiechała się do niego, ale była blada, a usta miała zimne. Gdy spojrzała w stronę łądu i zauważyła zbliżający się sztorm, oczy jej się rozszerzyły. Zerknęła na niego, więc udał, że wszystko jest w porządku.

- Ile to potrwa, zanim dopłyniemy?

- Może z godzinę.

Andrea rzuciła okiem na burzowe chmury.

- To nie wygląda za dobrze - powiedziała.

- Nie martw się, najwyżej trochę zmokniemy. Może zaczekasz na dole?

Andrea nie chciała prawdy. Chciała pociechy i zapewnienia, że nic jej nie grozi.

Cindy spojrzałaby mu tylko w oczy i przejrzałaby go na wylot, a potem wierciłaby mu dziurę w brzuchu tak długo, aż przyznałby się jej, co mu leży na sercu.

Prawda była taka, że się bał. Miał w żołądku zbitą kulę zmartwień i obaw. Martwił się tą burzą, bo nie żeglował od roku i jego umiejętności trochę zardzewiały. Poza tym niepokoił się procesem, który miał się zacząć następnego dnia, nareszcie, gdy po dwóch tygodniach intensywnej pracy w końcu skompletowano skład ławy przysięgłych. Martwił się też Andrea.

Nie wiedział, czy zdążają ku miłości, czy tylko nawzajem łagodzą swój ból.

Ich życie intymne ostygło. W pierwszych tygodniach byli śmiali i wynalazczy, odbijając sobie długie miesiące tłumienia namiętności. Andrea powtarzała mu, jakim jest cudownym troskliwym kochankiem i jak dobrze jej jest czuć go w sobie. Ale teraz kochali się z rzadka. Andrea oddała mu inicjatywę - sama, dziwnie daleka, całowała go, pozwalała się kochać, nawet szczytowała, ale nie oddawała się tak bez reszty jak przedtem. Stride, choć nigdy nie powiedziałby tego na głos, zaczął rozumieć, dlaczego Robin nazywał ją zimną. Sprawiała wrażenie, jakby się bała stracić kontrolę. Albo rzeczywiście się bała.

Zadawał sobie pytanie, czy czuje to, co powinien, czy ma dla niej właściwe uczucia. Głupie pytanie. Liczyło się to, że ból stał się teraz czymś znośnym, czymś, z czym mógł sobie poradzić. I teraz jego życie było lepsze. Lubił czuć obok siebie ciało Andrei. Cieszyło go jej uznanie. Chciał z nią być.

Spojrzał na nią, szukając w jej oczach zdenerwowania, ale dostrzegł tylko głód uczuć. Pojawiał się za każdym razem, gdy tylko go widziała. Pragnął się nim otulić.

- Myślisz o procesie, prawda? - spytała Andrea.

Nie myślał, ale najwygodniej było przyznać, że tak.

- Co Dan mówi o składzie ławy przysięgłych?

- Spełnia nasze oczekiwania. Dan jest, ogólnie biorąc, zadowolony z sytuacji.

- Nie sprawiasz wrażenia przekonanego.

Stride wzruszył ramionami.

- Wolałbym mieć bardziej bezpośrednie dowody. Ale Stoner jest za sprytny.

- Nie rozumiem. Macie krew w samochodzie i na miejscu zbrodni. Czy to nie wystarczy?

- Dla innego adwokata może. Ale ja już krzyżowałem szpady z Archiem Gale'em. On jest zdolny przekonać przysięgłych, że to ja ją zabiłem - roześmiał się Stride.

- Myślisz, że posłuży się tą samą linią co obrońca OJ? Będzie utrzymywał, że dowody zostały podrzucone?

Stride pokręcił głową.

- Nie, nic z tych rzeczy. Tutaj to się nie uda. Nie sądzę też, żeby podważał wynik badania DNA. Na to doktor Yee jest za dobry. Ale nie mamy ciała i nie mamy ani jednego człowieka, który tej nocy, gdy Rachel znikła, widziałby ją z Graeme'em. Nie mamy też nikogo, kto mógłby potwierdzić, że ze sobą żyli, ponieważ zeznania Carver nie zostały dopuszczone.

- Jesteś pewien, że to on? - spytała Andrea.

- Już mi się zdarzało mylić. Ale wszystko, na niego wskazuje. Nie jestem tylko pewien, czy zdołamy tego dowieść. Szlag mnie trafia na myśl, że mógłby uniknąć kary za morderstwo, bo jest sprytniejszy i bogatszy niż my. Po prostu mam złe przeczucie. Jakby czegoś nam w tej układance brakowało. A jeśli ja mam takie uczucie, Bóg świadkiem, że Gale na pewno też je ma. I on może to coś znaleźć.

- Czego ci brakuje?

- Nie wiem. Sprawa wydaje się mocna, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie znamy całej historii.

Przyglądał się niebu. Chmury prawie ich dogoniły i błękit wokół nich pociemniał, jakby zapadła noc. Fale ryczały i rozbijały się o dziób, chłoszcząc ich zimnym prysznicem. Łódź skakała po wodzie, to unosząc się nad powierzchnią, to opadając na nią z gwałtownym szarpnięciem. Andrea straciła równowagę i chwyciła Stride'a za ramię. Zaczął zmniejszać gaz, aż łódź złapała równowagę.

Deszcz lunął na nich z furją, jakiej Stride absolutnie się nie spodziewał. Gnane niemal poziomo wściekłym wiatrem płaszczyzny deszczu siekły ich tak, że krople sprawiały wrażenie tysiącznych użądleń. Stride nic przed sobą nie widział. Próbował mrugać, ale nadal nie widział nic nawet przez zmrużone oczy. Horyzont zniknął. Jediną rzeczywistością była pochłaniająca ich czarna masa i nieustannie zmieniająca kierunek zasłona deszczu.

Nacisnął guzik na pulpicie sterowniczym i wypuścił kotwicę. Chciał przedsięwziąć jakieś środki ostrożności, żeby się nie przewrócili. Jezioro rzuciło łódkę i poganiało do tańca na grzbietach fal. Nawet stojąc na kotwicy, łódź w pewnej chwili tak przechyliła się na lewo, że Stride'a naprawdę ogarnął strach, że zaraz się wywróci. Żeby nie wypaść za burtę, musieli trzymać się śliskiej mosiężnej poręczy. Łódka wyprostowała się, ale z kolei zaczęła wściekle kręcić się w kółko. Próbował utrzymać ją pod kątem do fal, lecz jego wysiłki nie zdawały się na nic. Coraz bardziej obawiał się, że wylądują w wodzie.

Miał tylko nadzieję, że jeśli łódka pójdzie na dno, on utonie razem z nią. Inaczej zabije go Guppo.

Ale nie poszli na dno.

Uprzytomnił sobie, że fale się zmniejszyły. Deszcz też nie był już tak intensywny i udało mu się dostrzec niebo, które odrobinę przejaśniało. Łódka wciąż się kołysała, ale silnik zaczął znowu sobie radzić, utrzymując kurs. Kilka chwil później deszcz ustał zupełnie. Chmury zaczęły się rozwiewać, pozostawiając po sobie coraz większy obszar błękitu. Wiatr się uspokoił, jakby burza wyssała z atmosfery całą energię.

Znów było widać ład. Zerknął na zegarek i zobaczył, że od początku sztormu minęło zaledwie dwadzieścia minut.

- Koniec - powiedział. - Chodź, popatrz.

Andrea rozejrzała się niepewnie, spojrzała na pogodne niebo, potem za siebie, tam, gdzie burza znikła na drugim brzegu jeziora. Odkleiła palce zaciśnięte na jego

pasku, ale zaraz pośliznęła się i kolana się pod nią ugięły. Stride podtrzymał ją, żeby się nie przewróciła.

- Może zejdziesz na dół? - zasugerował. - Połóż się i odpocznij. Niedługo będziemy w domu.

Uśmiechnęła się do niego słabo.

- Trzeba przyznać, że umiesz zabawić dziewczynę, Jon.

- Nie będziemy już tego robić - obiecał.

Andrea przeciągnęła się jak kot, rozciągając napięte mięśnie.

- Wszystko mnie boli.

Chwilę uważnie przyglądała się jego twarzy, pogładziła go po policzku.

- Nic ci nie jest?

- Nie, w porządku.

- Wyglądasz, jakby coś cię dręczyło.

Wzruszył ramionami.

- To ten proces. Zawsze tak reaguję.

Andrea nie wyglądała na przekonaną.

- Chodzi o mnie?

Oderwał dłonie od steru i ujął jej twarz.

- Jesteś najlepszym darem, jaki życie przyniosło mi po długim czasie.

To była prawda.

- Nie wiem, Jon. Czy dwojgu zranionym ludziom może się udać?

- A jak inaczej moglibyśmy wyzdrowieć?

Andrea wzięła go za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Kocham cię, Jon.

O kilka uderzeń serca za późno, Stride odpowiedział jednak:

- Ja też cię kocham.

21.

Gdy w końcu dojechali do Duluth, Stride został na noc u Andrei. Robił to ostatnio kilka razy w tygodniu. Nigdy nie spędzali razem nocy w Point. Musiał przyznać, że materac Andrei jest o wiele wygodniejszy niż dwunastoletni model, który miał w domu, i że w jej ekspresie dało się zrobić kawę, którą można było pić, a nie żuć. Ale niekiedy brakowało mu prymitywnej samotności własnego domu. Czasami pragnął rano dotknąć bosymi stopami zimnej drewnianej podłogi, a nie pluszowego dywanu. Tęsknił za dźwiękiem i zapachem jeziora, które z okien Andrei widoczne było w niezmiernej dali.

Zasnął szybko, z głową Andrei na ramieniu. Ale w środku nocy przyśnił mu się zły sen, że jest znowu na łódce i że Andrea nadal trzyma się go kurczowo. Tym razem nie zdołał jej utrzymać i zsunęła się do wody. Usłyszał tylko jej krzyk, zanim jezioro ją pochłonęło. Obudził się, dysząc ciężko, z szeroko otwartymi oczami. Z ulgą zobaczył, że Andrea spokojnie śpi u jego boku, ale sen był tak wyrazisty, że nie mógł od razu zasnąć na nowo.

Rozbudzony, zaczął myśleć o procesie.

Dan tryskał pewnością siebie. Ale Stride zbyt często widział jak Archibald Gale wyciąga króliki z kapelusza. I ciągle coś nie dawało mu spokoju, ciągle miał wrażenie, że czegoś tu brakuje, jakiegoś faktu, który rozproszyłby jego obawy. Chciał skazania Graeme'a. Jeśli jest coś jeszcze, coś, co przypieczętowałoby sprawę - chciał to znaleźć.

Podobne uczucie prześladowało go w wielu sprawach. Zawsze chciał więcej. Ale, jak stale przypominała mu Maggie, po dokonaniu zbrodni pozostaje tylko część elementów układanki. Znaleźli tyle, ile byli w stanie, i muszą zaufać prokuratorowi i przysięgłym, że złożą z nich całość.

Dan był zadowolony ze składu ławy przysięgłych. Korzystał z pomocy konsultanta, który przedstawił mu skład idealny, potencjalnie wrażliwy na poszlakową teorię winy Graeme'a, wraz z hipotezą jego romansu z Rachel. Osiem kobiet, czterech mężczyzn. Cztery kobiety zamężne, z dziećmi w wieku od czterech do dwudziestu lat. Dwie rozwiedzione, dwie młode, niezamężne. Jeden z mężczyzn był dziadkiem i wdowcem, drugi samotnym gejem, kolejny był żonaty, ale bezdzietny i ostatni - student.

Zgodnie z zaleceniem konsultanta udało im się uniknąć mężczyzny w średnim wieku mającego nastoletnią córkę - innymi słowy, kogoś podobnego do Graeme'a.

Gdy w piątek ostatecznie ustalono skład ławy przysięgłych, Dan zabrał Stride'a na okolicznościowe piwo. Spędził dwie godziny, pyszniąc się przewagą nad Gale'em, który stawiał zdumiewająco słaby opór. Jedynym sukcesem adwokata było przekonanie sędzi Kassel, żeby zarządziła odosobnienie przysięgłych, aby uchronić ich przed szturmem prasy, nieuniknionym przy takim procesie.

Stride pił z Danem, ale był strapiiony. Jeśli skład był tak dobry z punktu widzenia oskarżenia, czemu Gale do tego dopuścił? Gale, który nie słynął z brakoróbstwa, nawet nie skorzystał z usług konsultanta. Dlaczego?

Dan odniósł się do jego wątpliwości z lekceważeniem.

- Nawet ciebie zdołał zmusić, żebyś uwierzył w jego sztuczki. Gale nie jest cudotwórcą, Jon. Po prostu schrzanił robotę. Myślał, że sam sobie poradzi z wyborem przysięgłych i przewalił. To wszystko.

Ale Stride nie był przekonany.

Wyśliznął się z łóżka ostrożnie, żeby nie obudzić Andrei. Nagi, podszedł do okna. Miasto rozświetlały tysiące mrugających świateł. Dalej rozciągała się czerń jeziora. Cicho otworzył okno. Andrea nie lubiła spać przy otwartym oknie, a jemu, który nie zamykał ich na noc aż do początku zimy, trudno się było do tego przyzwyczaić. Nocne powietrze było rozkosznie chłodne. Nie był wobec siebie uczciwy. Nie przyznawał się, jak wiele ten proces dla niego znaczy. Dlatego właśnie chciał mieć jeszcze więcej dowodów, aby zyskać absolutną pewność, że Graeme nie wymknie się sprawiedliwości. Przegrał Cindy, przegrał Kerry i nie zniósłby, gdyby miał przegrać także Rachel. Tym razem jakaś kobieta będzie mogła na nim polegać.

Stał tak blisko pół godziny, wpatrzony w horyzont, wystawiając nagą skórę na łagodny powiew wiatru. W końcu usłyszał, że Andrea się poruszyła. Zamknął okno i wśliznął się z powrotem pod kołdrę. Chwilę wiercił się i przewracał z boku na bok, ale wreszcie na nowo zapadł w sen.

Poranek był oszałamiający. Wstawał dzień tak piękny, jak tylko może się zdarzyć w Duluth: oślepiające słońce, jasnobłękitne niebo i lekki wietrzyk od jeziora. Zbliżając się do gmachu sądu, Stride wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne. Włożył je w nadziei, że zdoła wmieszać się w tłum i przeniknąć do budynku niezaatakowany przez prasę.

Sąd znajdował się tuż przy First Avenue, przy ślepej uliczce o nazwie Priley Drive. Kręta uliczka otaczała spory ogród z budynkiem sądu w centrum, urzędem miasta po prawej gmachem sądu federalnego po lewej. Na ogół było to przyjemne, spokojne miejsce, w sam raz na lunch z dala od biura - na ławeczce przy strzelającej bąbelkami fontannie i klombie tulipanów, pod amerykańską flagą łopoczącą na gigantycznym maszcie.

Ale nie dzisiaj.

Tłum wypełniał brukowany chodnik i wylewał się na ulicę zakorkowaną wozami transmisyjnymi. Kamerzyści z różnych ujęć filmowali reporterów szturmujących pięciokondygnacyjny budynek z brązowej cegły, obleżony przez gapiów, demonstrantów i jeszcze innych reporterów. Ruch uliczny zamarł. Korek ciągnął się do wielu przecznic wstecz. Na szczycie schodów prowadzących do sądu Stride zauważył kilku swoich podwładnych, powstrzymujących tłum przed wtargnięciem do środka. Niżej zbита grupka reporterów stała z mikrofonami i aparatami fotograficznymi wyciągniętymi w stronę Dana Ericksona, który głośno wykrzykiwał odpowiedzi na ich pytania.

Panował przytłaczający hałas. Wściekli kierowcy trąbili. Grzmiały radioodbiorniki i telewizory. Kilkanaście kobiet skandowało jakieś hasła - z tablic, które trzymały, wynikało, że protestują przeciwko pornografii. Zamiłowanie Graeme'a Stonera do dorosłych rozrywek odbiło się w prasie szerokimi echem, a ugrupowania zwalczające pornografię uznały jego romans z Rachel i jego kryminalne konsekwencje za użyteczne dla swojej kampanii.

Chaos. Proces Stonera był największym wydarzeniem sądowym w Duluth od wielu lat i nikt nie chciał go przegapić.

Stride od niechcienia wmieszał się w tłum. Grzecznie przeproszał, przeciskając się między napierającymi ludźmi. Gdy widział jakichś dziennikarzy, odwracał wzrok - jeszcze jedna twarz wśród setek innych. Ci, którzy go znali, raczej nie widywali go w garniturze, tak więc dzisiaj mógł uchodzić za urzędnika śpieszącego do parkometru. Zostawił tłum za sobą i bez szwanku przedostał się na schody. Wszedł do holu i ruszył na górę, przeskakując po dwa marmurowe stopnie. Obok niego stale przepływały dwa strumienie ludzi ciągnących w górę i w dół. Dotarł na trzecie piętro, lekko westchnął i skierował się korytarzem do sali rozpraw. Zatrzymał się jeszcze przy oknie na krótką chwilę; tyle, żeby rzucić okiem na kłębiący się na dole tłum.

Nadciągał Archibald Gale. Dziennikarze zgodnie rzucili się teraz na niego.

Masywnych dębowych drzwi do sali rozpraw pilnowało dwóch policjantów. Poznali Stride'a i przepuścili go. Wszyscy inni musieli mieć przepustkę. Wpuszczono także liczną reprezentację dziennikarzy, ale bez kamer i aparatów. Sędzia Kassel nie życzyła sobie w sali sądowej większego cyrku, niż już miała.

Sala była staroświecka, imponująca, z długimi rzędami ławek dla widzów, zdobiona ciemnymi misternie rzeźbionymi ornamentami. Ławki te były całkowicie wypełnione. W pierwszym rzędzie za miejscem prokuratora dostrzegł Emily Stoner. Wpatrywała się w puste miejsce obrony, jakby Graeme już tam był. Oczy miała gorzkie i pełne łez.

Stride wśliznął się do tego samego rzędu i usiadł obok niej. Emily wbiła wzrok w kolana i nie odezwała się.

Tuż przed sobą miał Dana Ericksona szepczącego do swojej asystentki, atrakcyjnej blondynki o imieniu Jodie. Stride przypuszczał, że Dan z nią sypia, choć oficjalnie się do tego nie przyznawał. Pochylił się do przodu i dotknął jego ramienia. Prokurator przerwał, obejrzał się i pokazał Stride'owi wystawione w górę kciuki. Ukryta pod stołem dolna połowa jego ciała drżała z podniecenia. Dan był wyraźnie nabuzowany.

- Wyglądasz jak Rambo przed atakiem, Dan - powiedział Stride.

Dan się roześmiał.

- W pełnej gotowości.

Wrócił do rozmowy z Jodie. Stride zauważył, jak prawą ręką pogładził jej ramię. Potem ręka na chwilę powędrowała w dół i ścisnęła jej udo. Tak, sypiał z nią.

- Co za świnia - usłyszał szept.

Uprzytomnił sobie, że to Maggie cichutko usiadła w rzędzie tuż za nim. Wbiła w plecy Dana lodowate spojrzenie. W przystępie żalu po nieudanym ataku na Stride'a w zeszłym roku Maggie wdała się w przelotny romans z Danem. Skończyło się nieprzyjemnie, gdy okazało się, że Dan sypiał w tym samym czasie z dwiema innymi kobietami. Wzrok Maggie mówił, że o przebaczeniu nie może być mowy.

- Mimo wszystko jest miłutki - powiedział Stride.

Wiedział, że drażni śpiącego niedźwiedzia, ale nie mógł się powstrzymać.

Maggie się nachmurzyła.

- Ty też jesteś świnią.

- Kwik - odparł Stride.

- Jak tam nauczycielka?

- Wczoraj po południu omal nie zabiłem nas obojgu na łódce. Poza tym w porządku.

- Dobrowolnie weszła z tobą na łódkę? - Twarz Maggie była kamiennie poważna.

- Bardzo śmieszne. Żeby się tylko Guppo nie dowiedział. Mało brakowało, a byłby stracił i szefa, i łódkę.

- Mniejsza o szefa. Za łódkę zająłby twój dom.

Po sali rozpraw przeszedł szmer. Widzowie zaczęli wyciągać szyje. Archibald Gale wchodził w aurze gwiazdy filmowej. Miał na sobie granatowy trzyczęściowy garnitur, jak zwykle nienagannie skrojony, z idealnym trójkątem chusteczki wyglądającym z kieszonki. Jego małe okulary w złotej oprawie rzucały błyski.

Stride'a zdumiewała lekkość ruchów u tego tak tęgiego, zwalistego mężczyzny. Gale niemal płynął. Po drodze kilka razy zatrzymał się, by uściśnąć czyjaś dłoń, a potem przedarł się przez wahadłowe drzwiczki. Złożył na pulpicie obrony cienką teczkę koloru burgunda, po czym nachylił się do Dana i szepnął mu coś do ucha. Z ruchu jego warg Stride domyślił się, że to było:

- Nie mów, że cię nie ostrzegałem, Daniel.

Widząc Gale'a, woźny otworzył boczne drzwi i strażnik wprowadził na salę Graeme'a Stonera ubranego równie nieskazitelnie jak jego obrońca. Graeme demonstrował taką samą postawę, jaką Stride widział u niego od początku: chłodny, pewny siebie, z iskierką rozbawienia w oczach. Nie drgnął ani nawet nie mrugnął na widok żony, która wkrótce miała być eks-żoną. Uśmiechnął się do niej zupełnie zwyczajnie, usiadł i wdał się w cichą rozmowę z Archibaldem Gale'em.

Emily wręcz przeciwnie - nie odrywała od niego oczu. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha, kogoś, kogo nienawidziła z całego serca.

Dokładnie o dziewiętej woźny wezwał obecnych do powstania. Do sali sądowej weszła sędzia Catharine Kassel, czterdziestolatka, w czarnej todze osłaniającej smukłą sylwetkę. Otrzymała nominację dwa lata temu. Magazyn „Law & Politics” okrzyknął ją najseksowniejszym sędzią w Minnesocie. Nienagannie ułożone blond włosy i wytworna pociągła twarz w pełni uzasadniały ten tytuł. Mimo to większość prawników się jej bała. W sali rozpraw jej chłodne szare oczy szybko ścinały się lodem.

Sędzia Kassel zajęła miejsce i obrzuciła tłum baczny spojrzeniem.

- Przypominam wszystkim - zaczęła stanowczo - że w czasie rozprawy nie życzę sobie żadnych demonstracji. Proszę to przyjąć jako deklarację zera tolerancji. Każdy, kto naruszy zasady, zostanie natychmiast wyprowadzony i już tu nie wróci. Mam nadzieję, że wyraziłam się jasno.

W sali sądowej panowała absolutna cisza. Po chwili sędzia Kassel uśmiechnęła się promiennie.

- Cieszę się, że się rozumiemy.

Skinęła na woźnego.

Wprowadzono przysięgłych, którzy niepewnie zajęli miejsca, spoglądając z niepokojem na twarze obecnych. Sędzia Kassel, najwyraźniej chcąc rozładować napięcie, powitała ich tonem nieco bardziej przyjaznym. Następnym kilka dni mieli spędzić z dala od rodzin i przyjaciół w śródmiejskim Holiday Inn. Z ich twarzy Stride wyczytał, że nie mogli się doczekać rozpoczęcia i zakończenia tego procesu.

Sędzia dała im chwilę na zajęcie miejsc, po czym poprowadziła zwyczajowe czynności przygotowawcze.

Potem poprosiła Dana Ericksona, aby wygłosił oświadczenie wstępne.

Dan nie śpieszył się. Spojrzał w oczy każdemu z przysięgłych.

Podniósł powiększone zdjęcie Rachel z długimi lśniąco czarnymi włosami i zagadkowym uśmiechem. Popatrzył na nie, a potem, trzymając je delikatnie, zwrócił w stronę przysięgłych. Odczekał, aż jej portret zapadnie każdemu z nich w duszę.

- Oto Rachel Deese - powiedział. - Jest piękna. Uroczą siedemnastoletnią dziewczyną, mającą przed sobą całe życie. Niestety, miesiąc po zrobieniu tego zdjęcia Rachel znikła. Dowody znalezione w toku śledztwa prowadzą do tragicznego wniosku. Ta piękna dziewczyna została zamordowana.

Dan wbił wzrok w swoje buty, smutno potrząsając głową.

- Żałuję, że nie mogę ułatwić wam zadania. Żałuję, że tamtej październikowej nocy na miejscu zbrodni nie było kogoś jeszcze prócz Rachel i jej zabójcy. Kogoś, kto siedziałby teraz na ławie świadków i opowiedział nam, jak to się stało. Ale chyba wiecie, że większość morderstw nie odbywa się w miejscach publicznych. Morderstwo to ohydny czyn dokonywany dyskretnie.

Odwrócił się i spojrzał na Graeme'a Stonera, czekając, aż wzrok przysięgłych podąży za nim. Potem podjął.

- Ale skoro mordercy zachowują swoje sekrety dla siebie, to jak ich skazujemy? Czasem, jak w tym przypadku, posługujemy się czymś, co nazywamy poszlakami. Są to fakty, które, zebrane w całość, prowadzą do nieuniknionego przekonania co do uczynków i winy oskarżonego. Pozwólcie, że podam wam przykład. Zabitego nożem mężczyznę znaleziono w jego własnym domu. Nikt tej zbrodni nie widział. Nikt nie widział, kto go zabił. Nie ma bezpośrednich dowodów. Znajdujemy jednak na narzędziu zbrodni odciski palców innego mężczyzny. Odkrywamy, że ten człowiek żywił urazę do zamordowanego. Stwierdzamy, że nie ma alibi na czas, w którym dokonano morderstwa. Na jego butach znajdujemy ślady krwi o grupie odpowiadającej grupie krwi ofiary. To wszystko są poszlaki ukazujące prawdę o tej zbrodni.

Dan czekał, obserwując wyraz twarzy przysięgłych, chcąc mieć pewność, że dobrze go zrozumieli.

- A w tym procesie zobaczycie niepodważalne poszlaki dotyczące morderstwa na Rachel Deese. Zostaniecie przekonani bez żadnych wątpliwości, że człowiek, który zasiada na ławie oskarżonych, Graeme Stoner, zabił tę piękną dziewczynę i pozbył się jej ciała.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał Erickson, celując w Stonera niewzruszonym palcem. - Na tej rozprawie zdejmujemy mu maskę, którą nosi przed światem. Pokażemy wam kogoś zupełnie innego. Kogoś, kto trzyma w swoim komputerze fotografię swojej nagiej pasierbicy. Kogoś, kto podnieca się fantazjami o seksie z nastolatkami. Kogoś, czyj związek z Rachel stanowi mroczny sekret. Łączył ich bowiem związek o charakterze seksualnym.

Przerwał, dając przysięgłym czas na przemyślenie tego wniosku. Pozwolił im przyjrzeć się Graeme'owi i zastanowić się, co się kryje za jego beznamytnym wyrazem twarzy. To, że Graeme miał na sobie elegancki garnitur, jaki włożyłby w zwykły dzień

pracy w banku, nie miało znaczenia. Dan chciał, żeby przysięgli zobaczyli jego ubranie jako fasadę dla brudnej duszy.

- A co z Rachel? Będę wobec was uczciwy. Nie wiem, gdzie jest ciało Rachel. Wie to tylko jeden człowiek, ten, który siedzi tam, na ławie oskarżonych. Możecie zadać sobie pytanie, skąd wiemy, że popełniono morderstwo, jeśli nie możemy okazać wam ciała. Obrona będzie chciała was przekonać, że skoro nie ma ciała, można wierzyć, iż Rachel nadal żyje.

Dan potrząsnął głową.

- Czy to możliwe? Cóż, można także wierzyć, że Elvis nadal żyje. Ale nie jesteście tu, by rozstrzygać, co jest możliwe. Jesteście tu, by ponad wszelką wątpliwość ustalić fakty. Pamiętajcie o tym. Zobaczycie dowody rzeczowe, jakie zebraliśmy, i uprzytomnicie sobie, że można z nich wyciągnąć tylko jeden wniosek: Rachel została zamordowana, a jej ciało ukryte gdzieś w dziczy lasów północnej Minnesoty. Niestety, może się zdarzyć, że nikt nigdy jej nie znajdzie. To straszna, tragiczna prawda. Ale nieznamość miejsca, w którym morderca ukrył ciało, nie zmienia prawdy. Rachel nie żyje. Zostaniecie o tym przekonani.

- Prześledzimy z wami każdy jej krok. Pokażemy wam taśmę wideo, na której widać tę dziewczynę, jak w piątek wieczorem jedzie do domu. Czuje się bezpieczna. Uśmiecha się. Właśnie umówiła się z chłopakiem na randkę na następny wieczór. A jednak nikt już nigdy tej dziewczyny nie zobaczył. Zamiast niej znajdujemy kawałek ubrania, które miała wtedy na sobie - ubrania kupionego zaledwie kilka dni wcześniej - splamiony jej krwią, na zalesionym terenie kilka kilometrów na północ od miasta. Na ziemi znajdujemy bransoletkę, która była jej największym skarbem. To ostatnie, czego się dowiadujemy o Rachel.

Erickson rzucił miażdżące spojrzenie na Graeme'a Stonera, po czym gwałtownie odwrócił się do przysięgłych.

- A co łączy te dwie sceny? Dziewczynę w samochodzie, żywą i szczęśliwą, i zakrwawiony kawałek materiału wiele kilometrów stamtąd? Cóż, Rachel tego dnia wracała do domu, w którym Graeme Stoner był sam. Matka Rachel wyjechała. Na podjeździe koło domu stał zamknięty na głucho samochód Graeme'a Stonera. Dowody, które łączą te dwie sceny, znajdziecie w tym samochodzie. Znowu krew Rachel. Krwawe odciski palców Rachel na ostrzu noża. Nitki golfa, który miała na sobie. I odciski palców Graeme'a Stonera na tym samym nożu.

- To chcę wam pokazać w tym procesie. Fakty. Dowody. Krew i nitki, które nie kłamią. Moim zadaniem jest przedstawić wam fakty, pokazać, co znaleźliśmy.

- Obrona ma w tym procesie inne zadanie - podjął Erickson. - Oni chcą, żebyście zignorowali fakty lub znaleźli dla nich inne, szalenie nieprawdopodobne wyjaśnienia. Obecny tu pan Gale jest artystą z gatunku magików, jakich możecie zobaczyć w Las Vegas. Magicy to zdolni ludzie. Potrafią otumanić publiczność i udawać, że piękna dziewczyna lewituje na ich oczach. Dobry magik bywa tak przekonujący, że człowiek ma pokusę wierzyć, iż ta dziewczyna naprawdę unosi się nad sceną. Ale wy wiecie i ja wiem, że to tylko sztuczka. Iluzja.

Zwarł się oczami z każdym z przysięgłych po kolei. Twarz miał poważną.

- Nie dajcie się omamić. Nie dajcie się nakłonić do odrzucenia zdrowego rozsądku. Pan Gale będzie próbował na was swoich magicznych sztuczek, ale ja chcę, żebyście mieli przed oczami materialne dowody. I zobaczycie, że te dowody da się wyjaśnić tylko w jeden sposób - że tej strasznej nocy, gdy Rachel zaginęła, obsesyjny związek Graeme'a Stonera z jego pasierbicą w końcu przekroczył granicę dzielącą go od przemocy i morderstwa. Może nigdy się nie dowiemy, co dokładnie między nimi zaszło albo dlaczego. Ale związek kazirodczy ma w sobie taki potencjał zła, że może

ekspłodować w każdej chwili. To nic, że nie było tam nikogo, kto widziałby jak do tego doszło. To się stało. Oto co pokażą wam dowody. To się stało.

Wstał Archibald Gale, zdjął okulary i odłożył je ostrożnie na pulpit obrony. Spojrzał na Graeme'a Stonera, uśmiechnął się, po czym zwrócił uwagę na przysięgłych. Podeszedł bliżej, poklepując się po kieszeniach, jakby czegoś zapomniał.

- Chciałem was zadziwić, wyciągając z kieszeni królika, ale chyba zostawiłem moje magiczne zdolności w Caesar's Palace.

Tłum w sali zatrzęsł się od tłumionego śmiechu, kilku przysięgłych także. Oczy Gale'a zabłysły.

Pogładził kocią bródkę i powoli powiódł wzrokiem po całym pomieszczeniu. Miał dar stwarzania nastroju napięcia. Fakty tak naprawdę się nie liczyły. Liczyło się, kto opowie przysięgłym bardziej przekonującą historię. Ze swoim potężnym wzrostem i talentem dramatycznym Gale był do tego stworzony.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat byłem na tej sali wiele, wiele razy - zaczął łagodnie. - Mieliśmy tu sporo bardzo interesujących procesów. Ale nie pamiętam, żebym kiedyś widział takie tłumy i tak żywe zainteresowanie rozprawą. Jak myślicie, dlaczego?

Pozwolił przysięgłym chwilę pomyśleć.

- Ponieważ tu mamy do czynienia z tajemnicą. Każdy chce się dowiedzieć, jak się skończy ostami rozdział. Znikła dziewczyna. Co się z nią stało? Czy padła ofiarą przemocy, czy też uciekła, jak robią to co roku dziesiątki tysięcy nieszczęśliwych nastolatków. A jeśli coś jej się stało, to co? I dlaczego? Czy była to naprawdę, jak twierdzi oskarżenie, wina jej ojczyma? Czy też ktoś inny, kto miał powód do gniewu i zazdrości wobec Rachel, dał upust agresywnym uczuciom? A może brutalny seryjny zabójca, który jest wciąż na wolności, sięgnął po kolejną ofiarę?

Gale z namysłem pokiwał głową.

- Chciałbym wam obiecać, że gdy skończymy, będziecie wiedzieli, co się stało z Rachel. Ale nie będziecie wiedzieli. Bo my nie wiemy. Graeme Stoner nie wie. Ani pan Erickson. Zostaną wam jedynie pytania i wątpliwości. Ale nie ma w tym nic złego. Może sami zechcecie odkryć prawdę, ale w tej sali nie jest waszym zadaniem dopisać zakończenie do opowieści o tajemniczym zniknięciu.

Uniósł głowę.

- Tak, wiem, co teraz myślicie. Cały on. Magik. Czy nie przed tym ostrzegali was prokurator? Że będę nagiął jego ukochane fakty i starał się przekonać was do jakichś nieprawdopodobnych wytworów wyobraźni? Nie, nie proszę was, żebyście wierzyli mi w cokolwiek na słowo. Różnica jest taka, że pan Erickson planuje pokazać wam niektóre fakty, a ja chcę, żebyście zobaczyli wszystkie. Wtedy uświadomicie sobie, że Graeme Stoner nie jest winien zbrodni morderstwa, i dacie policjantom informację, że muszą wrócić do pracy i wyjaśnić, co naprawdę stało się z tą dziwną, nieszczęśliwą dziewczyną.

Gale pochylił się i wsparł dłonie na barierce dzielącej go od przysięgłych.

- Pan Erickson mówi, że powinniście mieć na uwadze dowody. Zgadzam się. Chcę, żebyście przyjrzel się im dokładnie, tak, byście dostrzegli również to, czego oskarżenie wam nie mówi. Nie mówią wam, że Graeme był tamtej nocy w swoim samochodzie razem z Rachel. Bo nie mają dowodów, że tak było. Nie mówią wam, że samochód Stonerów był w noc zaginięcia Rachel przy szopie, bo nie mają dowodów, że był. Nie mówią wam, iż wiedzą, że Rachel nie żyje. Bo nie wiedzą. Nie mówią, że potrafią udowodnić, iż Graeme Stoner uprawiał seks ze swoją pasierbicą. Bo nie potrafią. Zamiast tego wszystkiego chcą, żebyście dokonali myślowego skoku. Zamierzają zaprezentować wam drobne, niepowiązane ze sobą szczegóły i

sfastrygować je razem, abyście uwierzyli w to, czego nie są w stanie udowodnić. To nie są dowody ani poszlaki. To fikcja. Zgadywanka.

Stride doznał uczucia, jakby omdlewał od środka. Bang, bang, bang, Gale uderzył kolejno we wszystkie ich słabe punkty. Oczywiście miał rację. Naprawdę nie byli w stanie dowieść żadnej z tych hipotez. Mogli jedynie wyłożyć na stół kawałki układanki i mieć nadzieję, że przysięgli będą na tyle bystrzy, by złożyć je w całość.

- Ale jest coś jeszcze - ciągnął Gale. - Zobaczycie także, że oskarżenie, w żarliwym pragnieniu dopisania do zagadki zręcznego wyjaśnienia, ignoruje wiele innych możliwych rozwiązań. Obawiam się, że pan Erickson jest typem człowieka, który jeśli po złożeniu silnika zostaje mu sporo części, dochodzi do wniosku, iż widocznie nie są one bardzo ważne.

Mrugnął do przysięgłych, a potem uśmiechnął się do Dana.

- Przypatrzmy się tym kilku częściom - powiedział.

- Inna nastolatka, Kerry McGrath, zamieszkała o kilka kilometrów od Rachel, uczennica tej samej szkoły, zaginęła rok przedtem, nim znikła Rachel. Jej także nigdy nie odnaleziono. Policja wie, że Graeme Stoner nie miał nic wspólnego z jej zniknięciem. A jednak ignoruje ponurą możliwość, że w naszym mieście grasuje seryjny morderca, który poluje na młode dziewczęta. Kolejna sprawa. W wieczór przed swoim zniknięciem Rachel zachowywała się dziwnie. Dlaczego? Czy coś wiedziała? Czy była z kimś umówiona? Planowała ucieczkę? Kolejna sprawa. Kto jeszcze widział się z Rachel tej nocy, kiedy zaginęła? Kto miałby powód do radości, gdyby zniknęła na zawsze? Kolejna sprawa. Dlaczego tak naprawdę Rachel była nieszczęśliwa? Czy z powodu relacji z ojczymem? Nie. Z powodu fatalnej, pełnej goryczy i agresji relacji z matką. Zapamiętajcie to słowo. Agresja.

Stride zerknął na Emily i zobaczył, że po jej policzku spłynęła łza. Wbiła wzrok w kolana, szlochając cicho.

- Pytania i wątpliwości - kontynuował Gale. - Pod koniec procesu będziecie ich mieć wiele. Nie będziecie jednak pytać ani wątpić, jak należy postąpić. Należy mianowicie uznać mojego klienta za niewinnego zbrodni, o którą został niesłusznie oskarżony.

Dłuższy czas patrzył przysięgłym w oczy. Potem wrócił na ławę obrony i usiadł.

Stride badawczo przyglądał się twarzom przysięgłych. Oto zaczyna się mecz, którego wyniku jeszcze nikt nie zna.

Start.

Stride zajął miejsce na ławie świadków. Robił to już setki razy, tak że czuł się swojsko, jakby zachował się tu kształt jego ciała. Nawiązał kontakt wzrokowy z przysięgłymi.

Przysięgli miasta Duluth wierzyli policji. Czytał to z ich oczu. To nie byli wielkomięscy mądrze, którzy uważali policję za wroga. Widział, że zauważyli jego znużoną postawę, siwe pasma w ciemnych włosach, solidną twarz, i doszli do wniosku, że można mu zaufać.

Dan przedstawił go, a potem pozwolił Stride'owi opowiedzieć o swojej pracy w policji, latach doświadczenia, doskonałej znajomości świata zbrodni i umiejętności badania miejsc zbrodni. Dopiero potem zaczęli mówić o Rachel. Stride zrelacjonował, jak zawiadomiono go o zaginięciu dziewczyny, a potem krok po kroku przedstawił sędziom materiał dowodowy z jej ostatniej nocy.

Opisał nagranie z nadbrzeżnej kamery, pokazujące samochód Rachel przemykający tuż po dziesiątej. Dan pokazał je zgromadzonym przysięgłym. Potem zaprezentował powiększoną, ziarnistą fotografię przedstawiającą twarz dziewczyny za kierownicą. Choć obraz nie był wyraźny, dla każdego było oczywiste, że to właśnie Rachel. Uśmiechała się. Wyglądała na zadowoloną.

Taką właśnie, przypomniał Dan obecnym, widziano Rachel Deese po raz ostami.

- Panie poruczniku, w co Rachel jest ubrana na tej fotografii?

- W biały golf - odparł Stride.

Dan wrócił do pulpitu oskarżenia i wziął z niego coś - paragon starannie zapakowany w plastikową torebkę.

- Czy rozpoznaje pan ten przedmiot?

Stride skinął głową.

- Jest to paragon, który był w reklamówce firmy Gap na podłodze sypialni Rachel. Znaleźliśmy go podczas pierwszego przeszukania.

- Na co?

- Na sztukę odzieży zakupioną w niedzielę przed zniknięciem Rachel. Biały golf marki Gap.

- Czy w wyniku przeszukania sypialni Rachel znaleźliście biały golf?

- Nie.

Dan z namysłem pokiwał głową.

- Panie poruczniku, proszę nam opowiedzieć, w jaki sposób pan i pańscy ludzie szukali Rachel?

- Podjęliśmy natychmiastowe i wnikliwe poszukiwania w skali stanu i w skali regionu. Moi ludzie przesłuchali wszystkich mieszkańców dzielnicy w odległości do dwunastu przecznic od domu Stonerów. Sprawdziliśmy stację autobusową, lotnisko, stację kolejową i wszystkie korporacje taksówkowe w Duluth i w Superior. W całym stanie policja sprawdziła każdą stację benzynową i każdy sklep spożywczy wzdłuż głównych dróg. Wszędzie pokazywaliśmy fotografie Rachel i przesłuchiwalismy obsługę. Zamieściliśmy informację na naszej stronie internetowej oraz przefaksowaliśmy ją policji w całym kraju. Działania te przyniosły setki tropów, które nasi funkcjonariusze, a także koledzy z innych stanów systematycznie badali. Mamy doskonale fotografie Rachel do okazania świadkom, przeprowadziliśmy dosłownie tysiące wywiadów. Wszystko to nie przyniosło jednak ani jednego potwierdzenia, by od czasu nagrania na wybrzeżu gdziekolwiek widziano Rachel. Nic. Nigdzie.

- Jakie wyciągnęliście z tego wnioski? - spytał Dan.

- Coraz mniej braliśmy pod uwagę możliwość, że Rachel uciekła. Od tamtego piątkowego wieczoru nikt nie widział jej żywej. Poza tym od początku wydawało się

wątpliwe, by uciekła, zostawiając w domu samochód. Wydawało nam się wysoce nieprawdopodobne, żeby mająca samochód nastolatka porzuciła swój środek transportu. Jak już mówiłem, sprawdziliśmy wszystkie inne i nie znaleźliśmy dowodów, że któregokolwiek z nich użyła.

- Czy rozważaliście możliwość, że została porwana przez obcą osobę?

Stride skinął głową.

- Przesłuchaliśmy wszystkich znanych nam przestępców seksualnych zamieszkałych w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od miasta. Przeprowadziliśmy kilka śledztw w przypadkach, kiedy przesłuchiwany nie miał pewnego alibi na noc z piątku na sobotę. Nie znaleźliśmy dowodów, że ktokolwiek z nich był w pobliżu Duluth. Nikt w dzielnicy Rachel nie rozpoznał ich fotografii ani ich samochodów.

- Czy według pana jeszcze jakieś cechy tej zbrodni w świetle dotychczasowych doświadczeń przemawiają przeciwko hipotezie porwania przez obcą osobę? - spytał Dan.

- Tak. Praktycznie wszystkie takie porwania zdarzają się w odludnych miejscach. Na przykład na polnych drogach. Porwanie dziewczyny z ulicy w pobliżu jej domu jest niezwykle mało prawdopodobne. Większość przestępców seksualnych nie czyha na ofiary w terenie zaludnionym, gdzie ryzykują, że zostaną rozpoznani albo że krzyk czy opór ofiary zaalarmuje sąsiadów. Popołniają zbrodnie, gdy nadarzy się okazja. Odludna droga. Pechowa ofiara wypadku. Ponieważ wiemy, że tamtego wieczoru Rachel wróciła do domu - jako że stoi tam jej samochód - wiemy też, że znajdowała się w okolicy o dużym natężeniu ruchu.

Dan wrócił na chwilę do pulpitu oskarżenia. Napił się wody. Nie chciał poganiać przysięgłych. Stride przedstawiał złożony scenariusz i trzeba było dać sądowi czas na prześledzenie łańcucha dowodów i wniosków.

- Czy w rezultacie znaleźliście dalsze dowody wyjaśniające, co się stało z Rachel?

- Tak.

Stride opowiedział o informacji od Heather Hubble, która doprowadziła do odnalezienia bransoletki i przeszukania okolic szopy.

- Czy w wyniku tego przeszukania znaleźliście inne dowody obecności Rachel w tym miejscu?

- Tak. Znaleźliśmy skrawek białej dzianiny z ciemnymi plamami. Plamy okazały się krwią.

Dan podniósł ze stolika i zademonstrował kolejny dowód.

- Dłaczego to odkrycie było tak ważne?

- Sądźmy, że Rachel w noc zaginięcia miała na sobie biały golf, który kupiła w poprzedni weekend. Materiał odpowiada temu, z którego uszyty był golf. Przekazaliśmy go do analizy do laboratorium kryminalistycznego w Minneapolis.

Dan nie drażył tematu golfa. Zaraz po Stridzie miejsce świadka miał zająć w celu złożenia kawałków układanki w całość doktor Yee - Doktor Nieomylny jak nazywano go w sferach sądowych Minnesoty. Yee porównał kawałek materiału z innym golfem tego samego producenta i uznał, że marka i rodzaj dzianiny odpowiadają temu, co miała na sobie Rachel. A plamy krwi na podstawie analizy DNA określono jako plamy krwi grupy odpowiadającej grupie Rachel.

- Czy od tej chwili charakter poszukiwań się zmienił, panie poruczniku?

- Tak. Doszliśmy do wniosku, że Rachel nie żyje, i zaczęliśmy szukać ciała.

- Ale nie znaleźliście, prawda?

Stride pokręcił głową.

- Nie. Przeszukaliśmy ogromną powierzchnię lasów wokół szopy. Policja z pomocą wolontariuszy przeczesywała metr po metrze według szczegółowego planu. Niestety, jest tam po prostu zbyt dużo miejsca na ukrycie zwłok.

- Mimo wszystko jest pan przekonany, że Rachel nie żyje? - spytał Dan.

- Sprzeciw - przerwał Gale. - Świadek nie ma pewnej wiedzy, czy ta dziewczyna żyje, czy nie.

Dan potrząsnął głową.

- Pytam o wniosek oparty na bogatym kryminologicznym doświadczeniu porucznika Stride'a. Jest w tej dziedzinie ekspertem.

Sędzia Kassel ściągnęła usta.

- Dopuszczam pytanie. Świadek ma odpowiedzieć.

- Tak, uważam, że Rachel nie żyje - rzekł Stride. - To jedyne racjonalne wyjaśnienie.

- Cofnijmy się jeszcze trochę. Czy oprócz zakrwawionego strzępka materiału znaleźliście na miejscu zbrodni jakieś inne dowody rzeczowe?

Gale znowu wstał.

- Wysoki Sądzie, oskarżenie określiło przeszukiwaną okolicę jako miejsce zbrodni mimo braku dowodów, że popełniono tam zbrodnię.

Sędzia Kassel skinęła głową.

- Obrona ma rację, panie prokuratorze.

Dan nie dał się zbić z tropu.

- Czy w pobliżu miejsca znalezienia strzępka materiału znaleźliście także coś innego?

- Tak - odpowiedział Stride. - Na ziemi za szopą, tam, gdzie zwykle parkują samochody, było wiele zachodzących na siebie śladów butów. Nie byliśmy w stanie dopatrzeć się tam niczego, co mogłoby być dla nas pożyteczne. Ale w odległości mniejszej niż pół metra od miejsca odkrycia materiału znaleźliśmy kilka oddzielnych odcisków sportowych butów numer dwanaście. Znaleźliśmy też odciski innych sportowych butów numer osiem.

Dan pokazał fotografie śladów wraz z rekonstrukcją podeszew.

- Czy udało się wam zidentyfikować markę butów odpowiadających śladom o rozmiarze dwanaście?

- Tak wzór jest charakterystyczny. Pośrodku obcasa znajduje się duży okrąg. Odpowiada butom Adidasa, model dziewięćset pięćdziesiąt cztery trzysta. W Duluth jest w sprzedaży w trzech sklepach.

Dan wziął teraz ze stołu kawałek papieru i znowu przedstawił go jako dowód.

- Zechce nam pan powiedzieć, panie poruczniku, co to za papier?

- Jest to kopia czeku wypisanego przez Graeme'a Stonera cztery miesiące przed zaginięciem Rachel. Czek został wystawiony na sklep pod nazwą Sports Feet na sumę osiemdziesięciu pięciu dolarów.

- Ile jest w Duluth sklepów tej firmy?

- Jeden, w Miller Hill Mail.

- Czy ten sklep sprzedaje odpowiadający znalezionym odciskom model butów Adidasa?

- Tak. W okresie wystawienia czeku ich cena wynosiła osiemdziesiąt pięć dolarów.

Dan posępnie pokiwał głową.

- Proszę mi powiedzieć, panie poruczniku, czy w czasie przeszukania domu pana Stonera znaleźli państwo buty Adidasa?

- Nie, nie znaleźliśmy.

- Żadnych sportowych butów?

- Znaleźliśmy niedawno zakupione buty Nike. Prawie nieużywane.
Dan wyciągnął kolejną kopię czeku wystawionego przez Graeme'a Stonera.

- Proszę nam coś powiedzieć o tym drugim czeku.

- Ten czek także wystawiono na sklep Sports Feet, tym razem na sumę siedemdziesięciu ośmiu dolarów, w weekend po zniknięciu Rachel. Siedemdziesiąt osiem dolarów to cena tego samego modelu butów Nike, jaki znaleźliśmy w sypialni pana Stonera.

- Zaledwie cztery miesiące po zakupie pierwszej pary butów kupił następną?

- Zgadza się - potwierdził Stride.

- A jaki rozmiar miały znalezione przez was buty Nike?

- Dwunasty. Taki sam jak buty, których ślady znaleźliśmy w pobliżu szopy.

- Jeszcze jedno pytanie dotyczące nóg, panie poruczniku. Czy zdołaliście ustalić, jakiego rozmiaru buty nosiła Rachel?

- Osiem. Odpowiada to rozmiarowi odcisków znalezionych w pobliżu szopy.

Dan odczekał chwilę, wpatrując się w przysięgłych, śledząc ich oczy, upewniając się, że dotarło do nich znaczenie wszystkiego, co zostało powiedziane. Stride dostrzegł w ich wzroku, że jego zeznanie zrobiło wrażenie. Podobnie jak on nie lubili zbiegów okoliczności.

- Czy w trakcie śledztwa uzyskał pan nakaz przeszukania domu Stonerów? - spytał Dan.

- Tak.

- Proszę powiedzieć, co znaleźliście w czasie tego przeszukania.

- Pierwszy znaczący dowód znaleźliśmy na twardym dysku komputera w gabinecie pana Stonera. To była fotografia Rachel.

Dan wziął powiększony wydruk fotografii. Przedstawił go jako dowód i pokazał Stride'owi tak, żeby nie widzieli jej sędziowie przysięgli.

- Czy to jest ta fotografia?

Stride skinął głową.

- Tak.

Dan zbliżył się do ławy przysięgłych. Powoli odwrócił fotografię, tak żeby wszyscy mogli ją dobrze zobaczyć. Kilku gwałtownie wciągnęło powietrze. Stride zwrócił uwagę, że czterech mężczyzn odruchowo pochyliło się do przodu. Na widok dziewczyny na zdjęciu nie sposób było nie zareagować pobudzeniem seksualnym.

- Czy w trakcie dalszego przeszukania znaleźliście inne dowody o charakterze seksualnym?

- Tak. W tylnej szufladzie szafki kartotekowej, także w gabinecie, znaleźliśmy kilka magazynów pornograficznych. Były to takie tytuły jak „Candy Girls”, „Jail Bait” i „Lollipop Pussy”.

Wciąż wpatrzony badawczo w twarze przysięgłych, omijając wzrokiem Stride'a, Dan spytał:

- Co to za pisma?

- Publikują widoczne ze wszystkimi szczegółami akty modelek ucharakteryzowanych na nastolatki.

Dan wrócił do ławy oskarżenia, zabierając ze sobą zdjęcie Rachel. Dyskutowali ze Stride'em, czy zostawić fotografię na sztaludze, żeby przysięgli mogli mieć ją przed oczyma do końca jego zeznań. Ale obaj stwierdzili, że ten widok będzie zanadto rozpraszał mężczyzn, a może nawet i kobiety.

Wziął teraz z pulpitu magazyny znalezione w domu Graeme'a i jeden po drugim podał przysięgłym. Gdy je kartkowali, ich twarze krzywiły się w niesmaku. Dan pozwolił im spędzić na tym zajęciu kilka minut, dość długo, aby mogli zorientować się

w wynaturzonym charakterze zdjęć, ale nie na tyle długo, by zdążyli zobojętnieć. Następnie zebrał magazyny i wyciągnął ze swoich zbiorów jeszcze jedną kartkę.

Podał ją Stride'owi.

- Może mi pan powiedzieć, co to jest?

- To jest wydruk numerów telefonów, na które dzwoniło z numeru domowego Stonerów.

- Co z niego wynika?

- Telefonowano z niego regularnie pod numery telefonicznych serwisów seksualnych. Średnio dwa lub trzy razy w miesiącu przez okres ponad roku. Są to serwisy eksponujące seksualność nastolatek. Ogólnie biorąc, pozwalają dzwoniącym wyobrazić sobie, że uprawiają seks z młodymi dziewczętami.

- Dziękuję, poruczniku. Wróćmy może do przeszukania gospodarstwa domowego państwa Stonerów. Czy przeszukaliście także minivana pana Stonera?

- Tak. Minivan stał w garażu obok domu. Znajdował się tam w czasie każdej naszej wizyty w domu Stonerów.

- Czy gdy go przeszukiwaliście, był zamknięty?

- Tak. Pan Stoner przekazał nam kluczyki.

- Co odkryliście w trakcie przeszukania?

- Starannie zbadaliśmy dywanik w tylnej części samochodu. Znaleźliśmy tam kilka małych plam, które okazały się plamami krwi. Znaleźliśmy także białe nitki identyczne jak w golfie Rachel. Cały ten materiał został przesłany do laboratorium kryminalistycznego.

Wkrótce doktor Yee pomoże przysięgłym powiązać fakty; nitki pasują do dzianiny golfu, który Rachel miała na sobie w noc swojego zniknięcia, podobnie jak do strzępka znalezionego przy szopie. Plamy w samochodzie i na nożu także odpowiadają krwi Rachel.

- Znaleźliście plamy krwi i nitki z tyłu zamkniętego samochodu Graeme'a Stonera? - powtórzył Dan.

- Tak jest - odpowiedział Stride.

- Czy w samochodzie było coś jeszcze?

Stride skinął głową.

- W pudełku z narzędziami znaleźliśmy piętnastocentymetrowy nóż myśliwski.

Dan wrócił do pulpitu i odwrócony tyłem do Stride'a złowieszcym gestem zamachnął się w powietrzu nożem.

- Czy to jest znaleziony przez was nóż?

- Tak.

Dan podsunął nóż przysięgłym, obracając go w dłoniach tak aby odbicie światła lamp załśniło na ostrzu.

- Czy na samym nożu też znaleźliście jakieś ślady?

- Na ostrzu noża znaleźliśmy ślady krwi. Znaleźliśmy także dwa odciski palców, odpowiadające odciskom kciuka palca środkowego Rachel.

- Na trzonku?

- Nie, na ostrzu.

Dan obejrzał się, pozornie zbity z tropu.

- Na ostrzu?

- Tak. Odciski palców Rachel były na ostrzu noża, skierowane ku górze, co wskazuje na postawę obronną.

- Sprzeciw - warknął Gale.

- Uznaję - orzekła sędzia Kassel.

- Dobrze, więc czy może nam pan pokazać, jak układały się na nożu krew i odciski palców? - spytał Dan.

Zbliżył się do stanowiska świadka i podał nóż Stride'owi. Porucznik ostrożnie obrócił go tak, że ostrze było skierowane do wnętrza jego dłoni. Potem objął je palcami.

- To było tak - powiedział.

Podał nóż z powrotem Danowi.

- Rozumiem - rzekł Dan. - Powiedzmy więc, że zamierzyłybym się na pana, o, tak.

W jednej chwili wychylił się z ławy. Nóż mignął tuż przed nosem Stride'a.

Porucznik natychmiast zareagował, próbując zablokować jego ruch ręką. Palce ułożyły mu się w taki sam sposób, jaki przed chwilą demonstrował sędziom.

Gale gniewnie zerwał się z miejsca.

- To jest przedstawienie, Wysoki Sądzie. Rachel równie dobrze mogła po prostu podnieść go z ziemi. Minispektakl pana Ericksona jest mylący i nieistotny dla sprawy.

Sędzia Kassel skinęła głową i rzuciła Danowi ostre spojrzenie.

- Uznaję. Polecam przysięgłym, by nie brali tego przedstawienia pod uwagę. I, panie prokuratorze, nie życzę sobie w tej sali więcej tego rodzaju nonsensów, czy to jasne?

- Oczywiście - zapewnił Dan.

Ale komunikat trafił do przysięgłych.

- Dobrze, panie poruczniku, jeszcze jedno pytanie. Czy znaleźliście na nożu jeszcze jakieś odciski palców?

- Tak, na rękojęści znaleźliśmy odciski odpowiadające odciskom palców oskarżonego.

- I nic więcej.

- Nie.

- Dziękuję panu, panie poruczniku. Nie mam więcej pytań.

23.

- Dzień dobry, panie poruczniku - zaczął Gale.

Dźwignął się na nogi i stanął za pulpitem obrońców. Smutnym wzrokiem przypatrywał się przysięgłym.

- Zdaje mi się, że od śmierci pańskiej żony nasze drogi się nic spotkały. Bardzo mi przykro.

Stride nie odezwał się. Wstydu nie ma ten Gale. Za rzekomymi wyrazami współczucia kryła się sugestia dla przysięgłych. Być może jasność umysłu porucznika została przyćmiona żalobą. Może nie wszystko zauważa.

- Rachel nie była pierwszą nastolatką, która zaginęła na naszym terenie, prawda? - spytał Gale.

- Nie.

Adwokat zdjął okulary i leniwie przejechał zausznicą po wargach. Zerknął z ukosa na Stride'a.

- Nieco ponad rok wcześniej zaginęła inna nastolatka, nazwiskiem Kerry McGrath, czy tak?

- Owszem - odparł Stride.

- Była w tym samym wieku co Rachel.

- Tak.

- Chodziła do tej samej szkoły?

- Tak.

- Mieszkała w odległości kilku kilometrów od Rachel?

- Tak.

Gale pokręcił głową.

- To zastanawiające, nic uważa pan, poruczniku? Według pana to zbieg okoliczności?

Rzucił przysięgłym spojrzenie wyrażające konsternację, jakby chciał spytać: „Jesteście w stanie w to uwierzyć? Czy ten facet jest ślepy?”.

- Nic znaleźliśmy dowodów, że te dwa przypadki coś ze sobą łączy - odpowiedział Stride.

- A jednak uznaliście je za wystarczająco podobne, by poszukiwać implikacji, że pan Stoner ma coś wspólnego ze zniknięciem Kerry. Czy to prawda?

Stride wzruszył ramionami.

- Badaliśmy wszystkie ślady w odniesieniu i do Kerry, i do Rachel. To standardowa procedura.

- I faktem jest, że nie znaleźliście absolutnie żadnych dowodów, które mogłyby wskazywać na udział mojego klienta w zaginięciu Kerry.

- To prawda - przyznał Stride.

Gale pokiwał głową.

- Żadnych śladów krwi?

- Nie.

- Żadnych nitek?

- Nie.

- Sprawa zaginięcia Kerry McGrath w istocie nadal nie została rozwiązana, prawda?

- Tak.

Gale szeroko rozłożył ręce. Okulary trzymał niedbale w palcach lewej dłoni.

- A więc mamy dwie nastolatki, które zaginęły w bardzo podobnych okolicznościach. Czy nie wydaje się to panu prawdopodobne, panie poruczniku, że jakiś chory szaleniec, jakiś obcy, jeden z dziesiątek przestępców seksualnych zamieszkałych w północnej Minnesocie, porwał zarówno Kerry McGrath jak i Rachel Deese? Że obie dziewczyny padły ofiarą seryjnego mordercy? Czy to nie jest równie zadowalające wyjaśnienie?

Stride pokręcił głową.

- Nie. Dowody świadczą o czymś innym.

- Ach, dowody - rzekł Gale, uśmiechając się do przysięgłych. - Tak, zaraz do nich dojdziemy. Ale na razie przyjrzyjmy się sprawie z nieco innego punktu widzenia, panie poruczniku. Nie ma pan pewności, że Kerry McGrath nie żyje, prawda?

- Nie.

- A jednak jest pan pewien, że Rachel nie żyje.

Stride skinął głową.

- W tej sprawie mamy dowody rzeczowe.

- Kroplę krwi, może dwie. Skrawek materiału.

- Ale to jest krew Rachel. Skrawek ubrania Rachel.

Gale z namysłem pogładził kozią bródkę.

- Czy znaleźliście dość krwi, by móc podejrzewać, że ktoś wykrwawił się na śmierć?

- Nie.

- Nawet nie tyle, by dowieść, że w ogóle popełniono zbrodnię, prawda?

Stride zmierzył Gale'a chłodnym spojrzeniem.

- Nie sądzę, żeby Rachel zacięła się przy goleniu.

- Ale w gruncie rzeczy pan nie wie, prawda? Mogła sięgnąć po coś do skrzynki z narzędziami, natrafić na nóż, skaleczyć się i zakrwawić dywanik i swoje ubranie. Czy nie jest to możliwe?

- Tylko jeśli się wyrwie dowody z kontekstu. Znaleźliśmy także krew i nitki tkaniny w szopie.

- Ale to ciągle nie jest dostateczny dowód, że ktoś zginął, zgodzi się pan ze mną?

- Wprost przeciwnie. Moim zdaniem to właśnie wynika z dowodów.

Gale uniósł krzaczastą brew.

- To pan tak twierdzi. Niech mi pan powie, panie poruczniku, czy wie pan, ile nastolatków co roku ucieka z domu?

- Tysiące.

- Ściśle biorąc dziesiątki tysięcy - sprostował Gale.-Rachel nie była w domu szczęśliwa, prawda?

- Nie.

- Prawdę mówiąc, odpowiada klasycznej charakterystyce uciekiniera z domu, czyż nie?

- Muszę powiedzieć, że nie. Uciekinierzy nie zostawiają za sobą śladów, jakie myśmy znaleźli. Krwi. Skrawków ubrania.

- A jeśli nie chciała, żeby jej szukano? - spytał Gale.

Stride zawahał się, na moment tracąc pewność siebie.

- Proszę?

- Cóż, gdyby, jak to pan sugeruje, wzięła samochód, każdy by wiedział, że uciekła, prawda? Szukałby jej pan po całym kraju. Ale powiedzmy, że Rachel chciała zniknąć, a nie chciała, żeby rodzina, której nienawidziła, albo wścibska policja deptała jej po piętach. Czy nie mogła skaleczyć się w palec i zostawić za sobą materialnej poszlaki, że spotkał ją zły koniec?

Stride potrząsnął głową.

- To bez sensu. Gdyby upozorowała swoją śmierć, zostawiłaby coś bardziej oczywistego. W obecnej sytuacji rzeczywiście szukaliśmy jej po całym kraju. Rzeczywiście prowadziliśmy intensywne śledztwo. Rachel nie mogła wiedzieć, że natrafimy na ślad w samochodzie, a już z pewnością nie w szopie.

- A więc w końcu dotarliśmy aż tutaj. - Gale wyprostował się, wpatrując się w twarz Stride'a, potem w twarze przysięgłych. - Porozmawiajmy zatem o szopie, poruczniku. W to miejsce uczniaki przyjeżdżają robić rzeczy zabronione przez rodziców w domu, zgadza się?

- W dużym stopniu.

- Dobrze. Czy wie pan, ile zgłoszeń miała w zeszłym roku policja w związku z szopą?

Stride pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Czy będzie pan zdziwiony, jeśli powiem, że było ich trzydzieści siedem?

- Nie, nie będę.

- A czy będzie pan zdziwiony, jeśli panu powiem, że w ciągu ostatnich pięciu lat mieliśmy osiem oskarżeń o gwałt w związku z szopą? - spytał Gale.

Jego gładki ton stwardniał. Oczy zwięzły się w ostre lazurowe punkty.

- To możliwe.

- Więcej niż możliwe, panie poruczniku. Prawdziwe. Szopa to niebezpieczne miejsce, prawda?

- Zapewne - przyznał Stride.

- Nastolatki gwałcą nastolatki, a policja jakoś nic z tym nie robi.

- Są okresowe kontrole. Ale młodzież ciągle tam wraca.

- Zgadza się, panie poruczniku. Młodzież. To jest miejsce, gdzie młodzież robi złe rzeczy. Czy fakt, że dowody w sprawie Rachel zostały znalezione w pobliżu szopy, nie sugeruje, iż w sprawę może być zamieszany inny nastolatek ?

- Braliśmy tę możliwość pod uwagę i odrzuciliśmy - odpowiedział Stride.

- Ściśle biorąc, to była wasza pierwsza myśl, prawda? Zaraz po znalezieniu bransoletki wysłał pan swoich ludzi do szkoły, żeby przesłuchali wszystkich chłopców. Czy nie tak było, panie poruczniku?

- Tak, zrobiliśmy to.

Gale skinął głową. Znowu przejechał oprawką okularów po ustach, a potem pociągnął długi łyk coli z puszki. Chusteczką, którą miał w kieszeni, osuszył usta i otarł czoło.

- Jaki rozmiar butów pan nosi, panie poruczniku?

Nieżył jest - powiedział do siebie Stride, Zastanawiał się, skąd Gale to wie.

- Dwanaście.

- Rozumiem. Więc to pan mógł zostawić te ślady w szopie?

- Sprzeciw - warknął Dan Erickson.

Sędzia Kassel pokręciła głową.

- Uchylam.

- Nie mam butów o wzorze podeszwy odpowiadającym śladom znalezionym za szopą. Tymczasem Graeme Stoner kupił właśnie takie zaledwie cztery miesiące przed zniknięciem Rachel. A teraz tych butów nigdzie nie ma.

- A czy pan wie, ile par butów tego modelu sprzedano w Minnesocie w ubiegłym roku?

- Nie wiem - przyznał Stride.

- Ponad dwieście. Czy więc tych śladów nie mógł pozostawić ktoś inny?

- Tak. Ale nikt z tych, którzy mogli, nie jest ojczymem Rachel. I nie ma samochodu, w którym znaleziono ślady jej krwi.

- Ale poza śladami butów, które mogło pozostawić kilkuset innych mężczyzn, nie ma pan dowodów, które pozwoliłyby na zlokalizowanie mojego klienta tamtej piątkowej nocy w szopie?

- Nie.

- Prawdę mówiąc, nie wie pan, kiedy zostawiono te ślady, tak?

- Tak.

Gale przerwał, by dać przysięgłym czas na przetrwanie tej wymiany zdań.

- A co z samochodem, poruczniku? Przywiązywał pan dużą wagę do faktu, że na nożu znalezionym w skrzynce narzędziowej były odciski palców mojego klienta.

- Owszem.

Gale wzruszył ramionami.

- Ale to jego samochód. Czy nie spodziewał się pan znaleźć w nim jego odcisków palców?

- Gdyby ktoś inny posłużył się nożem i wytarł go, nie byłoby na nim żadnych odcisków palców - wytknął mu Stride.

- Chyba żeby ten ktoś był w rękawiczkach. Prawda?

- To możliwe - przyznał Stride. - Ale wtedy najprawdopodobniej zatarłyby inne odciski palców, a tak się nie stało.

- A czy Rachel nie mogła celowo zostawić śladów na nożu, wiedząc, że będą tam również odciski palców Graeme'a?

Stride potrząsnął głową.

- Nie ma dowodów, że zrobiła coś takiego.

- Nie ma też dowodów, że nie zrobiła, zgodzi się pan? Ale zostaliśmy jeszcze chwilę przy samochodzie. Nie ma świadków, którzy widzieliby, jak Graeme Stoner jechał w tamten piątek tym samochodem?

- Nie.

- A więc nie wiemy, czy ten samochód w ogóle gdzieś jeździł? - spytał Gale.

- Nie zgadzam się. Nitki znalezione w samochodzie to takie same nitki jak znalezione przy szopie. Także przy szopie znaleziono bransoletkę Rachel. W piątek wieczorem Rachel miała na sobie tę bransoletkę i biały golf. Niech pan połączy kropki, panie mecenasie.

Gale uśmiechnął się. Stride dostrzegł w jego oczach przelotną iskierkę, jak gest uznania. Punkt dla dobrych chłopców. Ale Gale jeszcze nie skończył.

- Jeśli rzeczywiście ktoś wiózł Rachel tym samochodem, to skąd pan wie, że to był Graeme Stoner?

- Samochód należy do niego. Był zamknięty.

- Ach, był zamknięty. Rozumiem. I nikt inny nie mógł go wziąć.

Stride skinął głową.

- Musiałby uruchomić silnik, zwierając kable. Poza tym, jeśli pan sugeruje, że ktoś inny wziął samochód, ta osoba musiałaby zostawić w okolicy domu Rachel swój własny. To śmieszne wyobrażać sobie, że morderca parkuje własne auto na ulicy, porywa dziewczynę, kradnie inny samochód, jedzie do szopy, a potem wraca po własny samochód.

- Chyba że morderca przyszedł pieszo - rzekł Gale.

- A może przyfrunął - odparował Stride.

Przysięgli zaczęli się śmiać. Sędzia Kassel nachmurzyła się i ostro spojrzała na Stride'a.

Gale czekał, aż oznaki wesołości ucichną.

- Po zniknięciu Rachel robił pan zdjęcia w domu Stonerów, czy tak? - spytał spokojnie.

- To standardowa procedura - odpowiedział Stride.

Był ciekaw, do czego Gale zmierza.

Gale wrócił do pulpitu obrony i wziął z niego fotografię. Zawiesił ją na sztaludze tuż obok Stride'a, tak aby przysięgli dobrze ją widzieli.

- Czy to jest powiększenie fragmentu jednego z tych zdjęć?

Stride przelotnie rzucił okiem na fotografię.

- Tak.

- Powiększenie przedstawia stolik w holu Stonerów, tuż za drzwiami wejściowymi, czy tak?

- Tak.

Gale sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojego garnituru. Wyciągnął z niej złote markowe pióro i wskazał przedmiot znajdujący się na stoliku.

- Czy może nam pan powiedzieć, co to jest, panie poruczniku?

Stride rozpoznał od razu.

- To kryształowa popielniczka.

Teraz już wiedział, dokąd Gale zmierza.

- A co jest w popielniczce, panie poruczniku?

- Klucze.

- Ściśle biorąc, są to klucze pana Stonera, do samochodu i do domu. Tak?

- Sądzę, że tak.

- Kluczyki do samochodu. W popielniczce tuż przy drzwiach wejściowych.

- Tak - potwierdził Stride.

- Więc każdy, kto przeszedł przez próg, mógł po prostu po nie sięgnąć i wziąć. I uruchomić samochód. Rachel też.

Stride pokręcił głową.

- Nie, to nie jest racjonalny wniosek z materiału dowodowego. Zgodnie z tym scenariuszem zabójcą musiałby być ktoś, kto wiedział, że Rachel jest w domu, wszedł do domu, miał na rękach rękawiczki, wiedział, że klucze są przy drzwiach, i nosił buty tego samego rozmiaru i marki co Graeme Stoner. To wygląda na jeden z pana magicznych numerów, panie mecenasie.

- Żadnych takich, poruczniku - warknęła sędzia Kassel.

Stride skinął głową i przeprosił. Ale udało mu się przynajmniej tymczasowo podważyć teorię Gale'a. Miał tylko nadzieję, że przysięgli nie zagubili się w tej sieci daleko idących możliwości, jakie przed nimi snuł.

Gale odwdzieczył się sędzi Kassel ciepłym uśmiechem. Potem, starannie przyglądając siwe włosy na czubku głowy, odwrócił się znowu do Stride'a.

- Dobrze więc, panie poruczniku, teraz pomówmy o tak zwanym romansie pana Stonera z jego pasierbicą. Nie ma pan żadnych materialnych dowodów na potwierdzenie tej szalonej teorii, prawda? Śladów nasienia? Wydzieliny z pochwy?

- Jestem przekonany, że prali swoje rzeczy - odparł Stride.

- Żadnych świadków?

- Mało prawdopodobne, by oddawali się tym czynnościom publicznie - zauważył Stride z lekkim uśmiechem.

Gale nie odwzajemnił uśmiechu.

- Rozumiem to jako odpowiedź przeczącą, panie poruczniku. Zainwestował pan też sporo czasu w troskę o świat fantazji pana Stonera. Czerpie on przyjemność z pewnej dość niesmacznej pornografii. - Gale westchnął. - Innymi słowy, jest mężczyzną. Ale żaden z materiałów, jakie znaleźliście, nie jest nielegalny, czy może jest?

- Nie - potwierdził Stride.

- Te magazyny można kupić na głównej ulicy Duluth, czyż nie?

- Tak przypuszczam.

Gale wziął wydruk z numerami telefonów przedstawiony przez Dana i pomachał nim w powietrzu.

- A jeśli chodzi o te sekstelefony, cóż, bez urazy, panie poruczniku, gdyby mężczyzna rzeczywiście uprawiał seks z nastolatkami, to czy musiałby płacić pięć dolarów za minutę, żeby symulować to samo przez telefon?

- To pokazuje jego zamiłowanie do seksu z młodocianymi.

- Te numery, na które pan Stoner dzwonił od czasu do czasu... czy pan wie, ilu innych mężczyzn w Duluth korzystało z nich w ciągu ostatnich sześciu miesięcy? - spytał Gale.

- Nie.

- A ja tak. Prawie dwustu. W tym kilku, którzy, jak sądzę, służą w policji. Czy każdego z nich objęliście śledztwem jako podejrzanego?

- Nie.

Gale pokiwał głową.

- Oczywiście, że nie. Ponieważ i pan, i ja wiemy, że te telefony to tylko fantazje i że nie mają nic wspólnego z rzeczywistym zachowaniem człowieka. Zgadza się?

- To zależy od kontekstu. I od człowieka.

- Ale nie zna pan kontekstu w tych wszystkich przypadkach, prawda?

- Nie.

- Oczywiście, że nie. Szczerze mówiąc, gdy się temu bliżej przyjrzeć, to jedynym materialnym dowodem sugerującym istnienie jakiegokolwiek związku o charakterze

seksualnym między Rachel Deese a moim klientem jest ta zdumiewająca fotografia, którą znaleźliście na jego domowym komputerze. Czy tak?

- Ta fotografia jest bardzo przekonująca - zauważył Stride.

- I to nie tylko w jednym aspekcie - odparł Gale. - Ale nie ma pan żadnych dowodów, że pan Stoner kiedykolwiek widział tę fotografię?

- Była w jego komputerze.

- Tak, istotnie, ale Rachel też miała dostęp do tego komputera. Mogła w każdej chwili umieścić to zdjęcie na twardym dysku, tak?

- I na to również nie ma żadnych dowodów.

Gale lekceważąco machnął wielką dłonią.

- Ale nie ma pan też dowodów, że tego nie zrobiła, prawda? Któż może wiedzieć, co chodzi po głowie nastoletnim dziewczynom. Może to miał być dowcip. Może chciała wprawić go w zakłopotanie. Może chciała sprowokować awanturę między ojczymem a matką. Tak naprawdę nie wie pan tego, zgadza się?

- Nie wiem- zgodził się Stride.

- Niech pan mi powie, panie poruczniku, kiedy ta fotografia znalazła się w komputerze pana Stonera?

- Z właściwości pliku wynika, że został utworzony w sobotę przed zniknięciem Rachel.

- A kiedy po raz ostami ktoś go otwierał? - ciągnął Gale.

- Tego samego dnia.

Gale odchylił się w tył, demonstrując niedowierzanie. Zdumionym wzrokiem wpatrywał się w Stride'a. Doskonale wiedział, jaką datą opatrzony jest plik, ponieważ widział wszystkie dowody. Ale w oczach przysięgłych wyglądało to tak, jakby zapoznał się z tą szokującą informacją po raz pierwszy.

Wziął powiększoną fotografię i jeszcze raz pokazał ją przysięgłym, nie śpiesząc się, tak by każdy był w stanie odczuć w pełni erotyczną moc Rachel.

- Tego samego dnia? Poruczniku, pan mówi, że ten mężczyzna miał obsesję na punkcie swojej pasierbicy. Że wdał się z nią w gorący zakazany romans. No więc ma to niesamowite zdjęcie w swoim komputerze i w ogóle go nie ogląda?

Gale powachlował się dłonią, jakby próbując ochłonać.

- Mój Boże, panie poruczniku, gdybym to ja miał to zdjęcie w swoim komputerze, nie wiem, czy udałoby mi się zająć się jakąkolwiek pracą.

Dan Erickson zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw!

Gale podniósł obie ręce w geście kapitulacji.

- Wycofuję, wycofuję.

Uśmiechnął się złośliwie do Stride'a.

- Panie poruczniku, bądźmy realistami. Ta zapierająca dech fotografia zostaje załadowana do komputera pana Stonera, a on całymi tygodniami nie raczy nawet jej otworzyć. Może to on ją tam wrzucił. Może ma niewiarygodną siłę woli. Ale czy najbardziej logiczne nie wydaje się panu inne wyjaśnienie? Że nie wiedział, iż ta fotografia jest w jego komputerze?

24.

Drugiego dnia procesu Dan jako pierwszą osobę wezwał na świadka Emily Stoner.

Ciemne włosy spięła w niewielki koczek. Cera, pokryta grubą warstwą makijażu, wyglądała gładko i świeżo. Usta umalowała bladoróżową szminką, na szyi miała sznur pereł, a w uszach także perłowe kolczyki. Granatowa dopasowana sukienka z białą ozdobą na kołnierzyku była najwyraźniej nowa. Przyglądając się jej, Stride przez chwilę wyobraził sobie, jaka musiała być kiedyś. Teraz jej wiek zdradzały tylko oczy. Podobnie jak dzień wcześniej nie umiała ukryć wyrazu wyczerpania i rozpaczki.

Obcasy Emily stukały o marmurową posadzkę. Podeszła do miejsca dla świadków i została zaprzysiężona. Nie patrzyła na Graeme'a i Stride zauważył, że on też ją ignorował. Gale także to zauważył. Dyskretnie szturchnął swojego klienta łokciem. Graeme wskutek fałszywych oskarżeń utracił żonę: powinien zademonstrować żal.

Emily usiadła. Szybkim spojrzeniem obrzuciła przysięgłych, po czym nerwowo odwróciła wzrok. Ręce złożyła na kolanach.

Była atrakcyjna, sympatyczna, ale Stride'owi wydawała się niepewna. Wydarzenia ostatnich miesięcy przeorały jej duszę. Stride zaczął się zastanawiać, czy tylko dlatego nie podjęła następnej próby samobójczej, że chciała zeznawać przeciwko Graeme'owi i patrzeć, jak go skazują. Miał nadzieję, że jest na to szansa.

- Wiem, jakie to dla pani trudne - zaczął Dan.

Pierś Emily wezbrała głębokim westchnieniem, a powieki na chwilę przesłoniły oczy. Wyprostowała się. Teraz mogła już opowiedzieć swoją historię. Twarz miała skupioną i zaciętą.

- Dam sobie radę - powiedziała.

- Jak pani poznała Graeme'a Stonera?

- Byłam kasjerką w Range Bank. On przyszedł do zarządu z Nowego Jorku. Był nieżonaty, atrakcyjny, bogaty i wszystkie kobiety szalały na jego punkcie. Ja też.

- Czy okazywał pani zainteresowanie?

- Nie. Nie od razu. Mijał mnie, nie patrząc na mnie, jakbym nie istniała. Tak samo było z innymi. Ignorował je.

- A potem? - spytał Dan.

- Pewnego dnia do banku przyszła Rachel. Była ubrana w obcisłą bluzkę bez pleców i szorty. Zwróciłam jej uwagę i wdałyśmy się w kłótnię. Graeme zobaczył nas razem, ale nic nie powiedział. Później tego samego dnia poprosił mnie o spotkanie.

Dan podsumował opowiadanie Emily. Spytał podniesionym głosem.

- Graeme poprosił panią o spotkanie tego samego dnia, w którym zobaczył panią z Rachel.

- Tak.

- Po kilku miesiącach, kiedy nie zwracał na panią żadnej uwagi?

- Tak.

- Czy wcześniej widział panią z Rachel?

- Nie wiem, jak mógłby nas widzieć. Rachel nigdy nie przychodziła do banku.

- Dobrze. Więc zaczęliście się spotykać. Jak Rachel zareagowała na pojawienie się w waszym życiu mężczyzny?

- Odnosiła się do Graeme'a przyjaźnie. Flirtowała z nim.

- W końcu pani i Graeme wzięliście ślub. Jakie w pani obserwacji były ich późniejsze stosunki?

Emily jeszcze raz nabrała dużo powietrza.

- Mieli swoje specjalne zajęcia. Jeździli na wycieczki do lasu z aparatem fotograficznym. Nie było ich godzinami. Graeme kupował jej prezenty; ubrania, płyty, takie rzeczy.

- Co pani o tym myślała?

- Z początku byłam zadowolona. Byłam szczęśliwa, że znowu mam rodzinę. Ale zaniepokoiło mnie, że Graeme spędza coraz więcej i więcej czasu z Rachel, a coraz mniej i mniej ze mną. Zrobił się daleki, zimny. Jakby postanowił zakończyć nasz związek. Nie wiedziałam dlaczego.

Dan chwilę przypatrywał się przysięgłym, a potem zapytał spokojnie:

- Czy miała pani jakiegokolwiek powody przypuszczać, że pani mąż utrzymuje stosunki seksualne z pani córką.

W oczach Emily zapłonął gniew.

- Były oznaki. Ja zamykałam na nie oczy. Nie chciałam w to uwierzyć. Ale gdy patrzę wstecz, widzę pewne sygnały, które powinny mi być zabrzmieć jak dzwonki ostrzegawcze.

- Na przykład?

- Na przykład kiedyś układałam zakupy w tyle samochodu. To był poniedziałek, a poprzedniego dnia Graeme i Rachel byli na wycieczce. Natknęłam się tam na jej majtki.

- Co pani wtedy zrobiła? - spytał Dan.

- Zapytałam o to Graeme'a. Powiedział, że Rachel pośliznęła się, przechodząc przez strumień, wpadła do wody i zamoczyła ubranie.

- Rozmawiała pani również z Rachel?

- Nie. Wyprałam je i odłożyłam do jej rzeczy.

- Co pani jeszcze zauważyła?

- Innym razem widziałam, jak się całują. Leżałam już w łóżku, kiedy usłyszałam, że Rachel i Graeme wchodzi po schodach. Rachel chichotała. Na korytarzu paliło się światło. Słyszałam, jak mówi mu dobranoc, wyjrzałam i zobaczyłam, jak zarzuca mu ręce na szyję i całuje go. Prosto w usta. To nie był niewinny pocałunek.

- Rozmawiała pani o tym z Graeme'em albo Rachel?

- Nie. Udałam, że śpię. Nie mogłam się na to zdobyć.

Dan odczekał chwilę, aż relacja Emily zapadnie wszystkim w pamięć.

- Czy ta bliskość między Graeme'em a Rachel trwała przez cały czas?

Emily pokręciła głową.

- Nie, coś się zmieniło. Dwa lata temu ich wzajemne relacje jakoś się popsuły. Rachel stała się wobec niego chłodna i obojętna. Nie zauważyłam niczego szczególnego, co by tę zmianę poprzedziło, żadnych dyskusji, kłótni. Po prostu wyłączyła go jak lampkę. Graeme starał się ją odzyskać. Był wręcz żaloszny. Kupił jej nowy samochód, ale nic się nie zmieniło. Od tego czasu Rachel traktowała go mniej więcej tak jak mnie. Jak wroga.

- Sprzeciw - warknął Gale.

- Uznaję - powiedziała sędzia Kassel.

- Dlaczego nie powiedziała pani o tym wszystkim policji od razu, gdy Rachel zaginęła?

- Próbowałam wmówić sobie, że to niemożliwe, żeby Graeme miał z tym coś wspólnego. Oszukiwałam samą siebie, jakby to wszystko, co widziałam, nic nie znaczyło. Poza tym myślę, że świadomość, iż coś tak strasznego działo się na moich oczach, była zbyt upokarzająca.

Gale znowu zgłosił sprzeciw, który znowu został uznany. Ale Dan osiągnął cel. Był gotów do puenty.

- Wiemy, że pani stosunki z córką były trudne. Czy po tym wszystkim, co między wami zaszło, nadal ją pani kocha?

Twarz Emili zalała fala uczuć. Stride po raz pierwszy zobaczył, że te zmęczone oczy potrafią ożyć.

- Oczywiście! Kochałam ją całym sercem. Wciąż ją kocham. Wiem, ile wycierpiała, i zrobiłabym wszystko, żeby do niej dotrzeć. Nigdy mi się to nie udało. Ta świadomość rozdziera mi duszę. Moim największym wyrzutem sumienia zawsze będzie to, że nie zdołałam znaleźć sposobu, żeby zasypać tę przepaść między nami.

Dan uśmiechnął się.

- Dziękuję pani.

25.

Stride zakładał, że Gale będzie traktował matkę ofiary z najwyższą delikatnością. Mylił się. W zachowaniu Gale'a nie było ani cienia współczucia.

- W gruncie rzeczy pani stosunki z córką były okropne, prawda? - zaczął.

- Nie były dobre. Już to mówiłam.

Gale prychnął.

- Nie były dobre? Rachel stale pani powtarzała, że pani nienawidzi, czyż nie?

- No... powiedziała to kilka razy.

- Nazywała panią dziwką.

- Czasami.

- Niszczyła pani rzeczy, osobiste rzeczy, dla czystej przyjemności.

- Czasami.

- Robiła straszne rzeczy tylko po to, żeby panią zranić?

Emili skinęła głową.

- To prawda. - Po czym wyrzuciła z siebie gniewny pocisk. - Jak na przykład uprawianie seksu z moim mężem.

- Albo ucieczka z domu i zrujnowanie pani życia i małżeństwa.

- Tego nie zrobiła.

Gale wzniosł nad głowę mięsiste ramiona.

- Skąd pani wie? Czy nie była na tyle inteligentna i przebiegła, żeby zaplanować coś takiego?

- Sprzeciw - rzucił Dan.

Gale wzruszył ramionami.

- Wycofuję pytanie. Sama pani przyznała, że nie powiedziała pani nikomu o tych tak zwanych obserwacjach, dopóki nie dowiedziała się pani od policji, że mąż jest w tej sprawie podejrzanym. Tak?

- Byłam w fazie zaprzeczania.

- Zaprzeczania? W gruncie rzeczy wcale pani nie myślała, że mają romans.

- Nie, wtedy jeszcze nie.

- A teraz myśli pani tak tylko dlatego, że to pasuje do sensacyjnej historyjki pana Ericksona, prawda?

- Nie. To nieprawda.

- Czyżby? - Głos Gale'a aż ociekał niedowierzaniem. - To wszystko, o czym pani nam opowiedziała, to były sprawy między panią a Rachel. To nie dotyczyło Graeme'a. Rachel igrała z panią. Torturowała panią. Chciała panią zranić.

- To było bardzo przykre - przyznała Emily.

- Tak przykre, że kiedyś pobiła pani córkę, czyż nie?

Emily zadrżała. Zapadła się w sobie, wbiła wzrok w kolana.

- Tak - Szepnęła.

- Głośniej! Była pani wściekła i sprząła ją pani na kwaśne jabłko, zgadza się?

- To się zdarzyło tylko raz.

Gale pokręcił głową.

- Ach, a więc tylko raz zastosowała pani wobec córki przemoc fizyczną. To się mieści w normie, tak?

- Nie! Żałuję tego z całego serca!

- Córka prowokowała panią, aż ją pani brutalnie zaatakowała. Tak było?

Dan wstał.

- Wysoki Sądzie, pan Gale znęca się nad świadkiem.

Sędzina skinęła głową.

- Więcej umiaru, panie mecenasie.

Gale zmienił kierunek ataku.

- Gdyby panią wystarczająco mocno przycisnęła, zrobiłaby to pani znowu, prawda?

- Nie.

Gale zniżył głos i ciągnął ze złowieszczym spokojem.

- Czy to nie pani miała w grancie rzeczy najlepszy motyw, żeby zabić Rachel?

Emily szeroko otworzyła oczy.

- Nie!

- Nie? Mimo tylu lat upokorzeń?

- Nigdy bym jej nie skrzywdziła.

- Właśnie nam pani powiedziała, że pani to zrobiła.

- To było dawno - powiedziała Emily błagalnym tonem. - Zdarzyło się raz i nigdy więcej.

- Nie? - spytał Gale. - Czy nie wyrównała pani z nią rachunków w tamten weekend?

- Nie, nie, oczywiście, że nie! Nawet mnie wtedy nie było!

Gale był cierpliwy.

- A gdzie pani była?

- U siostry w Saint Louis.

- W piątek w nocy? Tej nocy, kiedy Rachel zaginęła?

- Tak.

W głowie Stride'a włączył się dzwonek alarmowy.

- Ale w sobotę już nie - powiedział Gale. - W sobotę nie była pani w Saint Louis, prawda?

Emily zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Zatrzymałam się w hotelu w Cities. Byłam zmęczona. Jechałam cały dzień.

- Gdzie dokładnie się pani zatrzymała?

- Nie pamiętam. Gdzieś w Bloomington.

- Czy to mógł być Airport Lakes Hotel?

- Możliwe. Naprawdę nie pamiętam.

Gale wziął ze swojego stolika kawałek papieru.

- Czy nie jest to kopia pani rachunku za pobyt w hotelu Airport Lakes w Bloomington w tamten weekend?

Emily pobladła.

- Tak.

- W takim razie - Gale zmarszczył brwi - mamy problem, prawda?

Emily milczała. Gale podniósł papier.

- Ponieważ z tego rachunku wynika, że zameldowała się tam pani w piątek wieczór, a nie w sobotę.

- Sukinsyn - wyszeptał Stride.

Maggie nachyliła się do niego i syknęła.

- Cholera, siostra dała jej alibi. Przysięgła, że w piątek w nocy Emily była u niej.

Emily wciąż milczała. Gale rozłożył ramiona, rachunek trzymał w uniesionej wysoko lewej ręce.

- No i co, proszę pani?

- To musi być pomyłka - odparła Emily martwym głosem.

- Pomyłka? - Ton Gale'a był pogardliwy. - Policzyli pani dwie noce zamiast jednej, a pani nie zauważyła? Mamy wezwać recepcjonistkę, która panią meldowała?

Oczy Emily błędziły gorączkowo, szukając pomocy. Stride, obserwując ją, zauważył, że co chwila wracają w jedno miejsce, tam, gdzie siedział Dayton Tenby.

Spojrzał na pastora i w jego oczach też dostrzegł popłoch.

Emily załamała się.

- No dobrze, tak, byłam tam w piątek wieczór. W sobotę zrobiłam zakupy w Mail of America. Graeme'owi by się to nie podobało, więc skłamałam. Wydawało mi się, że to drobiazg.

- Jakże wygodnie - rzekł Gale. - Ale prawdę mówiąc, mogła pani spokojnie dojechać tamtej nocy do Duluth i z powrotem.

- Nie zrobiłam tego - upierała się Emily.

- Melduje się pani, potem jedzie pani na północ. Przyjechałaby pani do domu tuż po dziesiątej. Akurat równo z Rachel.

- Nie. Tak nie było.

Gale się uśmiechnął.

- Nie? Niech pani nam opowie, co Rachel zrobiła tamtej nocy. Co pani powiedziała? Nacisnęła o jeden guzik za dużo?

- Nie, nie, nie.

Dayton Tenby pochylił się do przodu i Stride zobaczył, że szepcze coś gwałtownie do Dana.

- Wiedziała pani o szopie, prawda? - napierał Gale.

Emily nie odpowiedziała.

- Chcę słyszeć tak lub nie. Wiedziała pani, czym jest ta szopa i gdzie jest?

- Tak.

- Była tam pani wcześniej, prawda?

- Nie byłam tam od wieków.

- Ale kiedyś tak? Wiedziała pani o niej?

- Tak. - Jej głos brzmiał jak pozbawione życia echo.

- Miała pani rzeczywisty motyw i okazję, żeby zabić Rachel. Już kiedyś dopuściła się pani wobec niej przemocy. Ona traktowała panią jak szmatę.

Emily wlepiała w niego wzrok.

- Nie zabiłam mojej córki.

- Okłamała pani policję. Okłamała pani męża. Okłamała pani sąd. Skąd mamy wiedzieć, że teraz pani nie kłamie?

Po twarzy Emily potoczyły się łzy.

- Nie kłamię.

Gale wzruszył ramionami.

- Dziękuję pani. Nie mam więcej pytań.

Dan wstał, by przesłuchać ją po raz kolejny.

- Proszę nam powiedzieć, co pani robiła w piątek wieczór, skoro nie była pani, jak pani twierdziła, u siostry?

- Byłam na zakupach - powtórzyła Emily.

Dan spojrział w jej uparte oczy. Jego głos złagodniał.

- Nie może pani tego dalej ukrywać. Czas, żeby prawda wyszła na jaw. Proszę nam powiedzieć. Gdzie pani była w piątek w nocy.

Stride pochwyił wzrok Emily utkwiony w Daytonie. Zauważył, że pastor lekko skinął głową. Emily wzięła głęboki wdech i zwróciła się do przysięgłych. Znowu była opanowana.

- Byłam w hotelu w Bloomington, zgodnie z tym, co mówi rachunek. Spotkałam się tam z mężczyzną. Nie chciałam, żeby dowiedział się o tym mój mąż ani nikt z naszego środowiska.

Dan pokiwał głową.

- Z kim się pani spotkała w Minneapolis?

- Ja... to znaczy... z Daytonem. Z Daytonem Tenbym. Przez wiele lat był moim pastorem - słowa wybiegały jej z ust w błyskawicznym tempie. - Nie spotkaliśmy się z intencją nawiązania romansu. Był w Minneapolis na konferencji. Chciałam z nim porozmawiać, więc wyjechałam od siostry wcześniej. Zjedliśmy kolację, a potem, no cóż, jakoś tak od słowa do słowa... W końcu spędziliśmy razem cały weekend. Było pięknie. Ale czułam się winna i wstydziłam się, i nie chciałam narażać pozycji Daytona. Mimo że to wszystko moja wina, wiedziałam, że może ucierpieć.

- Była pani z nim przez cały czas? - spytał Dan.

- Tak.

- I nie miała pani żadnej okazji, żeby wymknąć się do Duluth?

Emily pokręciła głową.

- Oczywiście, że nie. To śmieszne. Tamtej nocy w domu z Rachel była tylko jedna osoba. Graeme.

26.

- Oglądałam wiadomości - powiedziała Andrea, pociągając łyk chardonnaya, który pili duszkiem, jak zimne piwo. - Wiesz, jacy są ci eksperci ze swoimi zakładami, kto wygrywa, kto przegrywa. Ale wtedy autentycznie wyglądało na to, że nie mają pojęcia. Nawet Bird nie chciał się wypowiedzieć.

- Miło słyszeć, że coś było w stanie odjąć mu mowę - skomentował Stride.

- Co myśli Dan?

- Myśli, że wygrywa.

- A jak sądzisz, co myśli Gale?

- Sądzę, że myśli, że on wygrywa.

- Więc kto wygrywa?

Stride się roześmiał.

- My. Chyba. Mimo wszystko jestem optymistą.

Andrea, dobrze już wstawiona, potrząsnęła głową.

- Optymistą? Ty? Nie wydaje mi się.

- Tym lepiej. W takim razie naprawdę musimy wygrywać.

- Maggie też tak uważa?

- Maggie? Maggie tak nienawidzi Dana, że dla niej Stoner pewnie mógłby ujść wolno, gdyby tylko Dan dostał w dupę. Na razie twierdzi, że jest remis i chyba ma rację.

Andrea milczała. Potem powiedziała.

- Wydaje mi się, że Maggie nieszczerze mnie lubi.

Stride wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci, jak jest z Maggie. Myślę, że zależy jej na mnie, chociaż nie chce się przyznać. Jest pewnie trochę zazdrosna. To jej problem, nie twój.

- Myśli, że nie jestem dla ciebie odpowiednią kobietą.

- Powiedziała ci to?

- Nie. Kobiety po prostu takie rzeczy wiedzą.

- No dobrze, my zajmujemy się sobą, a Maggie niech zajmuje się Maggie. W porządku ?

Andrea skinęła głową. Skończyła swoje wino i rozlała pozostałą zawartość butelki do obu kieliszków, opryskując po drodze szklany blat stolika. Wytarta wino palcem i oblizała go.

Stride siedział obok niej. Z okna naprzeciwko kanapy rozciągał się widok na miasto u ich stóp i na mroczniejsze o zmierzchu jezioro. Stride zdążył się już przebrać w koszulkę polo z krótkim rękawem i stare dzinsy. Andrea wyciągnęła rękę i dotknęła blizny na jego ramieniu.

- Nigdy mi nie opowiadałeś o tym postrzale - powiedziała.

- To było wieki temu.

- Ale opowiedz - nalegała.

- Próba samobójcza - wyjaśnił. - Spudłowałem.

- Jo-na-than - wyskandowała zirytowana. - Nigdy nie dajesz odpocząć swojemu wisielczemu humorowi?

Uśmiechnął się.

- No dobrze, to był wypadek na polowaniu.

- Tak?

- Tak. polowałem na coś, co w pewnej chwili zapolowało na mnie.

- Jesteś niemożliwy. Proszę, naprawdę chcę wiedzieć. Powiedz mi, proszę.

Stride westchnął. Nie lubił tego wyciągać. Odreagowanie zajęło mu rok życia z Cindy i z psychoterapeutą.

- Kilka lat temu trafiłem na awanturę domową. Mieliśmy domek letni na zachód od Ely. Obok mieszkała taka para... mężowi pewnego dnia po prostu odbiło. Był moim dobrym kumplem. Byliście zaprzyjaźnieni. Ale to był wrażliwy gość, weteran wojny, stracił pracę, a z nią rozum, wszystko naraz. Jednego wieczoru żona zadzwoniła po mnie i powiedziała, że on wymachuje pistoletem i grozi, że zabije ją i dzieci. Znałem go. wiedziałem, że sprawa jest poważna. Ale nie zadzwoniłem po posiłki, bo sądziłem, że to najprostsza droga, żeby mieć masę trupów, nie wyłączając jego. Poszedłem z nim pogadać.

- I co się stało?

- Dostałem się do środka, a on wycelował we mnie największą cholerną spluwę, jaką w życiu widziałem; prosto w moją twarz. Wyglądało na to, że nie chce gadać. No, ale ja gadałem tak czy owak. I docierałem do niego, albo tak mi się wydawało.

Wypuścił dzieciaki. Kilka minut później udało mi się go namówić, żeby pozwolił też wyjść żonie, chociaż ona nie chciała. Zostaliśmy tylko we dwóch. Naprawdę myślałem, że zaraz będę mógł iść do domu. Chciałem się jeszcze tylko upewnić, że on się nie zabije. Ale chyba go nie doceniłem. Wycelował jednak tę spluwę w swoją głowę.

Krzyknąłem na niego, ruszyłem naprzód, z rękami w górę, chcąc go powstrzymać. Ale zamiast odłożyć pistolet, wycelował go z kolei w moją pierś i pociągnął za spust, ot tak, bez żadnego ostrzeżenia. Ja już dałem nura w dół, tak że kula przeleciała mi przez ramię, obróciła mnie i powaliła na podłogę. A on, mając już z głowy tę drobną przeszkodę, włożył sobie lufę do ust i kiedy ja wrzeszczałem, odstrzelił sobie potylicę.

Andrea pogładziła go po twarzy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy mnie upijasz? Zmuszasz mnie do mówienia rzeczy, od których robi ci się smutno.

- Moja wina. Sama się prosiłam. Ale cieszę się, że mi powiedziałeś.

- No dobrze, dajmy temu spokój. Mam otworzyć następną butelkę?

Andrea pokręciła głową.

- Przypominam, że muszę jutro iść do szkoły. Nie sądzę, żeby dzieci chciały oglądać mnie na kacu.

- Jak to się stało, że nie spotykaliśmy się w czasach licealnych?

To było typowe pytanie zrodzone z kilku kieliszków wina.

- Może dlatego, że kiedy ja byłam w pierwszej klasie, ty już skończyłeś liceum.

- A, rzeczywiście. Wszystko jedno. Założę się, że nie zaszczyciłabyś mnie nawet jednym spojrzeniem.

- Zaszczyciłabym cię i jednym, i drugim, i trzecim.

- Ee, nie sądzę. Byłam jednym z tych zamkniętych w sobie smętnych odludków. A ty... ty na pewno byłaś cheerleaderką, byłaś we wszystkich możliwych kółkach i miałaś mnóstwo chłopaków.

Andrea rzuciła mu uśmiech.

- Cheerleaderka tak. Kółko naukowe tak. Chłopaki nie.

- Daj spokój!

- Serio! - Miałam różne propozycje, ale wszystko kończyło się na pierwszej randce. - Objęła dłońmi piersi. - Kiedy orientowali się, że nie położą na nich łap, tracili zainteresowanie.

- No, to rzeczywiście trochę jak zdmuchnąć świeczki i nie jeść tortu - zauważył Stride.

- Och, przestań. Gadasz jak typowy facet. Ty za to pewnie byłeś w liceum skończonym dżentelmenem.

Stride się roześmiał.

- Nie ma czegoś takiego jak szesnastoletni dżentelmen.

- Tak czy inaczej miałeś szczęście. Znalazłeś pokrewną duszę. Poznałeś Cindy w ostatniej klasie, prawda?

- Tak.

- I to było to?

Stride uśmiechnął się tęsknie.

- Tak, to było to. Wpadłem. Miłość od pierwszego wejrzenia. Naprawdę byłem wtedy taki szybki.

Przysunęła się do niego bliżej, ściskając za ramię. Śpiący na jego kolanach kot podniósł wzrok, oburzony naruszeniem jego spokoju.

- Co takiego miała w sobie Cindy? - spytała Andrea cicho.

Stride wpatrzył się w przestrzeń, gdzie wciąż jeszcze potrafił przywołać jej obraz. Z czasem odrobinę stracił na ostrości. To już nie było zbliżenie. To był oddalający się portret.

- Nie pozwalała mi tkwić na moim odludziu. Drażniła się ze mną, podkopywała się pod moje mury obronne. Poza tym była najbardziej uduchowioną osobą, jaką znałem. Nie tyle religijną, co właśnie uduchowioną. Pomagała mi naprawdę zobaczyć to, co kocham: jezioro, lasy - w innym świetle. Kiedy patrzyłem na nie jej oczami, nic już nie było takie samo. Było lepsze.

Przeniósł wzrok na kota, który znowu zasnął, nieporuszony jego wspomnieniami. Zerknął na Andree, wciąż opartą o jego ramię. Płakała.

Następnego ranka Dan wezwał na świadka Kevina Lowry'ego.

Kevin był po prostu idealnym świadkiem. Postawny, zdrowo wyglądający nastolatek, gładziutko ogolony, nieco skrępowany białą koszulą i krawatem. Zanim umieścił krzepkie ciało na krześle dla świadków, kręcił się i wił. Jego oczy omiotły salę rozpraw, nerwowo zmierzyły sędziów przysięgłych i napotkały wzrok Emily Stoner. Posłał jej dyskretny współczujący uśmiech, ale ona nie zareagowała.

Dan szybko streścił historię znajomości Kevina z Rachel i przeszedł do Graeme'a.

- Kevin, słyszeliśmy już relację innego świadka, że stosunki Rachel z Graeme'em Stonerem zmieniły się nagle i radykalnie. Były bliskie, a potem już nie. Czy to zauważyłeś?

Kevin skinął głową.

- O, tak. Ni stąd, ni zowąd. Byli w najlepszej komitywie, aż tu nagle jakieś dwa lata temu Rachel zrobiła zwrot. Nawet się nie zbliżała do pana Stonera. Powiedziała mi, że go nienawidzi.

- Mówiła dlaczego?

- Nie. Spytałem ją kiedyś i powiedziała... no, nazwała go dość nieładnie.

- Jak go nazwała, Kevin?

Kevin sprawiał wrażenie skrępowanego.

- Powiedziała, że to pieprzony zbok.

- Czy zwróciłeś uwagę na zachowanie pana Stonera w tym okresie?

- Kiedy widziałem ich razem, odnosił się do niej naprawdę miło. Tak samo jak zawsze. Chociaż nie wiem, to było trochę tak, jakby za bardzo się starał. Na przykład na początek roku szkolnego pan Stoner kupił Rachel nowy samochód.

Stride zmarszczył czoło. Samochód Rachel jakoś go niepokoił. Pamiętał, że miał takie wrażenie od samego początku. Ale przeszukali go gruntownie i nic nie znaleźli.

- Czy to ją ucieszyło?

Kevin potrząsnął głową.

- Nie, to znaczy samochód jej się podobał. Nie cierpiała tego starego, który dostała po matce. Ale mówiła o nim jakoś sarkastycznie. Powiedziała, że pan Stoner musiał jej go kupić, że nie miał wyjścia.

- Czy wyjaśniła dlaczego?

- Nie.

- Czy to był ten samochód, którym jechała, gdy widzieliście się po raz ostatni?

- Tak.

- Dobrze, Kevin, porozmawiajmy o tym wieczorze. Opowiedz nam, co się wtedy stało.

Kevin opisał zdarzenie w Canal Park z Rachel i Sally tak samo, jak opowiedział o tym Stride'owi.

- Opisz, proszę, stan emocjonalny Rachel. Jaka ci się wydawała?

- Normalna. Zadowolona. Nie przygnębiona, ani nic takiego.

- Czyli to był po prostu zwykły wieczór?

- Jasne.

- No dobrze, a następny dzień?

- No, Rachel spytała, czy chcę się z nią spotkać w sobotę wieczorem. Ale kiedy przyszedłem po nią, jej już nie było.

- Czy rozmawiałeś z oskarżonym?

- Tak. Powiedziałem mu, że jestem umówiony z Rachel. Odpowiedział, że nie wie, gdzie ona jest. Że od rana jej nie widział.

- Gdzie był samochód Rachel?

- Stał pod domem. Nie mogłem zrozumieć, gdzie Rachel mogła się podziać, jeśli nie wzięła samochodu.

Dan pokiwał głową.

- Powiedziałeś to panu Stonerowi?
- Pewnie. Powiedziałem, że to naprawdę dziwne. Niepodobne do Rachel.
Spytałem, czy nie powinniśmy do kogoś zadzwonić.
- Co odpowiedział?
Kevin obrzucił Graeme'a gniewnym spojrzeniem.
- Powiedział, że nie, że nie ma powodu do niepokoju. Że Rachel prawdopodobnie bawi się mną tak samo jak wszystkimi innymi.
- Czy w piątek, kiedy Rachel proponowała ci randkę, miałeś wrażenie, że to tylko zabawa?
- Nie, mówiła poważnie. Naprawdę mieliśmy razem wyjść.
- Co Rachel mówiła w piątek, kiedy się z tobą żegnała?
- Że jedzie do domu. Że jest zmęczona.
- Mówiła, że jeszcze się gdzieś wybiera, że ma się z kimś spotkać?
- Nie.
- Czy sprawiała wrażenie zmartwionej, niespokojnej, roztargnionej.
- Nie.
- Więc jeszcze raz; w twoim przekonaniu to był zwyczajny wieczór.
- Zgadza się - przytaknął Kevin.
- Dziękuję, Kevin.
Wstał Gale.
- Kevin, powiedziałeś, że to był zwykły wieczór. Tak? - spytał Gale, pozwalając sobie na lekki odcień niedowierzania w głosie.
- Owszem.
- Dobrze. Kiedy pierwszy raz zobaczyłeś Rachel, stała na poręczy mostu.
- Tak.
- Wiał wiatr i padał deszcz. Kevin pokiwał głową.
- Pogoda była okropna.
- A więc Rachel stała na tej wąskiej poręczy, pod nią lodowata woda, a wiatr wiał jak wściekły. Tak to wyglądało?
- Zgadza się.
- Mogła łatwo zginąć, prawda?
- Chyba tak.
Gale uniósł brwi.
- Chyba? Kevin, ty przecież byłeś przerażony. Pobiegłeś, żeby ją ratować.
- Tak, pobiegłem.
- Czy wiadomo ci, żeby kiedykolwiek przedtem robiła coś takiego na moście?
- Nie.
- Dlaczego akurat tego wieczoru miałyby ryzykować śmierć?
- Nie wiem - odparł Kevin.
- Czy Rachel robiła ci tego wieczoru seksualne awanse? - ciągnął Gale.
- Tak.
- Na oczach twojej dziewczyny?
Kevin spochmurniał.
- Sally była wtedy na łodzi. My byliśmy na moście.
- Ale mogła was widzieć, nieprawdaż?
- Przypuszczam, że mogła.
- Czy Rachel kiedykolwiek wcześniej tak się wobec ciebie zachowała?
- Nie - zaprzeczył Kevin.
- A więc tego jednego jedyne wieczoru prowokuje seksualnie swojego najstarszego przyjaciela, kogoś, kogo znała całe życie, po raz pierwszy i ostatni?
- Tak - głos Kevina był prawie niesłyszalny.

- Rozumiem. Teraz co do tej randki. Czy Rachel po raz pierwszy zaproponowała ci spotkanie?

- Tak.

- Pierwszy raz w ogóle?

- Tak.

- Więc znowu akurat tego jednego wieczoru Rachel postanawia po raz pierwszy i ostatni zaproponować ci randkę.

- Tak jest.

Gale uśmiechnął się.

- Więc tak naprawdę to nie był pod żadnym względem zwykły wieczór, zgodzisz się ze mną?

Kevin się zawahał.

- Chyba nie.

- Dlaczego Rachel zachowywała się tak dziwnie?

- Nie wiem.

- W porządku, Kevin. Porozmawiajmy o czymś innym. Znałeś Kerry McGrath, prawda? Tę inną dziewczynę, która zaginęła dwa lata temu?

- Sprzeciw! - Dan prawie wrzasnął. - Pytanie obrony jest nieistotne dla sprawy i nie dotyczy przedmiotu przesłuchania.

Sędzia Kassel stuknęła młotkiem i Stride pomyślał, że sprawiło jej to przyjemność. Zmierzyła Dana zniecierpliwionym spojrzeniem.

- Proszę się uspokoić, panie prokuratorze.

Potem przeniosła wzrok na Gale'a. Jej ładna twarz zastygła w twardym grymasie, ale oczy były zaciekawione.

- Mecenasiu, proszę mnie przekonać, że pańskie pytanie ma sens. Bo mimo niewłaściwego zachowania oskarżenia jestem skłonna je uchylić.

Gale wiedział, że ją zaintrygował. Przysięgł też.

- Mam nadzieję, że Wysoki Sąd okaże mi pobłażliwość i pozwoli mi zatrzymać się chwilę na tym szczególe. Chcę sprawdzić pewne fakty, które mają kluczowe znaczenie dla obrony. Świadkowie oskarżenia zeznają, że nie ma związku między zaginięciem Kerry a zaginięciem Rachel. Chcę podważyć to twierdzenie, co jest z pewnością istotne dla sprawy. Co więcej, to pan Erickson uchylił te drzwi jako pierwszy, wchodząc w prywatne powiązania między świadkiem a Rachel. Mam prawo badać, czy miał on również związki z inną dziewczyną, która zaginęła w podobnych okolicznościach.

Wargi sędzi Kassel wygięły się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. Stride nie umiał powiedzieć, czy ją to bawiło, czy rozkoszowała się możliwością, że Gale ma w rękawie asa, którym może skompromitować Dana.

- Sąd okaże pobłażliwość na bardzo krótką chwilę, panie mecenasiu. Na bardzo krótką.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - rzekł Gale.

W ciszy, która teraz zapadła, cała sala skupiła się na Kevinie, który skręcał się cały na miejscu dla świadków. Gale powtórzył pytanie.

- Pewnie że ją znałem.

- Czy kiedykolwiek mieliście randkę?

- Nie - odparł Kevin.

- Czy zapraszałeś ją, a ona odmówiła?

- Nie - to był raczej szept niż głos.

- Wysoki Sądzie - powiedział błagalnie Dan.

- Panie mecenasiu? - zwróciła się do Gale'a sędzia Kassel. - Pobłażliwość sądu się wyczerpuje.

Gale błyskawicznie rzucił następne pytanie.

- Czy ona kiedykolwiek zapraszała ciebie?

Dan uniósł się, żeby ponownie zaprotestować, ale zanim otworzył usta, Kevin westchnął bardzo głęboko i powiedział:

- Tak.

Dan powoli opadł na swoje krzesło. Przysięgli i reszta obecnych wyglądali jak zahipnotyzowani. Sędzia Kassel odłożyła młotek i oparła się wygodniej.

- Kiedy Kerry cię zapraszała? - spytał Gale.

- Tydzień przedtem, nim zginęła.

Po sali przebiegł szmer.

Stride zerknął na Maggie. Odpowiedziała mu zmieszonym spojrzeniem.

Pracowali nad sprawą McGrath razem, ale nazwisko Kevina ani razu nie wypłynęło. Nie było żadnych dowodów, że tych dwoje coś łączyło. Sekundę później zrozumieli.

- Zgodziłeś się? - spytał Gale.

Kevin pokręcił głową.

- Nie. Powiedziałem jej, że spotykam się już z Sally.

- Więc do randki nie doszło?

- Nie.

- Jak Kerry przyjęła odmowę?

- Normalnie. Powiedziała, że może innym razem.

Gale pokiwał głową.

- A Sally? Nie podobało jej się, że inna dziewczyna proponuje ci spotkanie? Tak jak Rachel tamtego wieczoru?

- Była wkurzona. Powiedziałem jej, że to głupstwo. Nie rozmawialiśmy o tym więcej.

- A tydzień później Kerry znikła, tak jak później Rachel.

Kevin przełknął ślinę.

- Tak.

- Dziewczyny, które zapraszają cię na randkę, jakoś nie mają szczęścia, co Kevin?

Dan ponownie krzyknął „Sprzeciw!” i tym razem gniew sędzi Kassel skierował się na Gale'a. Uznała sprzeciw i pouczyła przysięgłych, że mają nie brać tego pytania pod uwagę. Gale podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Nie mam do ciebie więcej pytań, Kevin - rzekł spokojnie.

Zanim Kevin wstał, Dan szybko się poderwał.

- Wysoki Sądzie, proszę o głos.

Sędzia skinęła głową.

- Proszę.

- Kevin, powiedz proszę, gdzie byłeś w noc zaginięcia Kerry McGrath.

- Na Florydzie. W Disneylandzie z rodzicami.

- A tej nocy, gdy zginęła Rachel, co zrobiłeś, gdy rozstaliście się w Canal Park?

- Wróciłem do domu.

- Widziałeś się z rodzicami?

Kevin przytaknął.

- Oglądaliśmy film w telewizji. Skończył się po północy.

- Dziękuję, Kevin.

- Co to, kurwa, miało być? - spytał Dan, odgryzając kawałek kanapki. - Główny element jego obrony?

Stride bawił się spinaczem do papieru. Rozprostowywał go i zginał wciąż od nowa.

- To chyba oczywiste, nie? Zamierza przedstawić Sally jako zazdrosną seryjną morderczynię. Kto wyciąga rękę po mojego chłopaka, ginie bez śladu.

- Przecież mówiłeś, że jej się nie da zahaczyć. Mówiłeś, że ma alibi.

Stride skinął głową.

- Bo ma. Nie wiem, jak on to sobie dalej wyobraża. Ale najwyraźniej wydaje mu się, że przysięgli mogą to kupić.

- Jeśli skreślę Sally z naszej listy, to nie mamy jak wsadzić Graeme'a do szopy. A Gale sam ją wezwie, przez co będziemy wyglądali, jakbyśmy chcieli coś ukryć. To znaczy, że za pół godziny ona staje na miejscu dla świadków. Więc powiedzcie mi, czy ta dziewczyna mogła to zrobić? Mam się martwić?

Maggie potrzęsnęła głową.

- Wykluczone. Rozmawiałam z nią. Jeśli chodzi o Kevina, to może i jest z niej zazdrosna jędza, ale jakoś sobie nie wyobrażam, żeby miała porywać inne dziewczyny z ulicy i zabijać je. A tego o Graemie i o szopie nie zmyśliła. Mówi prawdę.

- To dlaczego, do cholery, Gale myśli, że to jest jego gwarancja wolności? Czy wiemy, gdzie była Sally, gdy zaginęła Kerry?

- Nie - odparł Stride. - Jej imię nigdy w tamtej sprawie nie wypłynęło.

- Wiemy, że nie była z Kevinem - zauważyła chytrze Maggie. - To już ustaliłeś. On był na Florydzie.

Stride pośpieszył z interwencją, zanim Dan eksplodował.

- Ona tego nie zrobiła, Dan. Ale możesz być pewny, że Gale już sprawdził, że Sally nie ma alibi na tę noc. Albo że nie pamięta, gdzie wtedy była. Do diabła, minęły prawie dwa lata. Rozgrzebywanie tego teraz to jak wróżenie z fusów. Zwykły zbieg okoliczności. Daj dziewczynie szansę. Przekonała Maggie, przekona i przysięgłych.

Dan zatrzaskał teczkę i rzucił Maggie złe spojrzenie.

- W porządku. Nie zmieniamy strategii. Zignorujemy temat Kerry McGrath. W mojej ocenie nadal paroma punktami prowadzimy. Gdyby przysięgli zebrali się teraz, może by się chwilę zastanawiali, ale by go skazali. Jeśli jednak Gale namąci im w głowach następnymi fałszywymi podejrzanymi, to może im w końcu wmówić, że rzecz jest wątpliwa. I jedną sprawę chciałbym postawić jasno. Jeśli przegramy, wy dwoje przez najbliższe dziesięć lat będziecie zeskrobywać ptasie gówna z pomników. Cała wasza nadzieja w tym, że daliście mi dość materiału, żeby wsadzić tego zboczeńca za kratki.

Stride i Maggie wymienili spojrzenia. Oboje myśleli o tym samym.

Co knuje Gale?

Albo gorzej: co przeoczyli?

Jerry Gull nie mógł dłużej wytrzymać. Musiał się wysikać. Natychmiast. Tymczasem od Duluth dzielił go jeszcze długi kawał pustej drogi.

Przez długie cztery godziny seminarium w Hibbing żłopał kawę, a potem pośpiesznie opuścił hotel, nie skorzystawszy z toalety. Jerry miał fobię na punkcie publicznych toalet i z zasady używał tylko własnej, w domu lub w biurze. W zwykłych okolicznościach zdążyłby swobodnie dojechać z Hibbing do domu, ale miał godzinne opóźnienie, ponieważ musiał pojechać po Brunswicka.

Brunswick to był pies jego dziewczyny Arlene. Nowofundland ważący więcej niż Jerry. Gdyby się wspiał na tylnych łapach, byłby też pewnie wyższy.

Arlene była przez krótki czas mężatką, a przy rozwodzie opieka nad psem przypadła jej eks-mężowi, który mieszkał na niewielkiej farmie pod Hibbing. Jerry nie znał Brunswicka; popełnił fatalny błąd, mówiąc Arlene o tym seminarium, a ona wymusiła na nim obietnicę, że zajędzie na farmę jej eks-męża i przywiezie jej Brunswicka na długi weekend, który miała spędzić u siostry na południe od Duluth.

Dlatego właśnie tylne siedzenie jego toyoty corolli zajmował czarny zwierz wielkości całej Kanady.

Kawa podziałała niemal z minuty na minutę. Jerry starał się o tym nie myśleć i po prostu jechał szybciej. Nie byłoby problemem zatrzymać się w jakimś przydrożnym McDonalddie, ale jeszcze nie dojrzał do konfrontacji ze swoją fobią, a poza tym nie był pewien, czy uda mu się wyjść z samochodu tak, żeby przy okazji nie uciekł Brunswick.

Zanim zaczął na dobre tańczyć na siedzeniu, że wszystkich sił ściskając nogi, był już w lesie, daleko od jakiegokolwiek miasta. Poza tym ten pies: przez niego chciało mu się sikać jeszcze bardziej. Wydierał intensywną woni dyszał mu w kark gorącym cuchnącym oddechem. Wyprodukował już chyba z litr śliny, z czego większość wsiąkła w ramię niebieskiego garnituru Jerry'ego. Mokrym pyskiem czule ocierał się o policzek Jerry'ego i ani mu się śniło odsunąć.

W tym samochodzie było po prostu za mało miejsca dla niego, jego pęcherza i Brunswicka.

Jerry wpatrywał się w pobocze i nagle cud - jakieś trzysta metrów przed sobą wypatrzył dokładnie to, czego potrzebował: odludną polną drogę skręcającą w las. Wyglądała na zupełnie nieuczęszczaną. W takim miejscu mógł się trafić najwyżej jakiś samotny rolnik lub myśliwy.

Skręcił. Toyota podskakiwała i kołysała się. Fafle Brunswicka bujały się do rytmu, zraszając śliną cały samochód, a przy okazji okulary Jerry'ego. Jęcząc z obrzydzenia, otarł je dłonią.

Przejechał tak około półtora kilometra, aż dotarł do gęstej brzeziny bez jakiegokolwiek śladu bytności człowieka.

Jego ciało przepelniały potężne strumienie, rzeki, wodospady, wszelkie możliwe niesione bystrym nurtem, napierające masy wodne. Nie był pewien, czy wytrzyma.

Gwałtownie otworzył drzwi i dosłownie wybiegł z samochodu. Popędził na prawo, między drzewa i zaczął szarpać suwak od spodni. W pośpiechu nie od razu natrafił na penisa: rozpaczliwie przewracał oczami, próbując wyswobodzić go ze slipów. Wreszcie, w ekstazie, zdołał go wyjąć i natychmiast zaczął zalewać gąbczastą ziemię; strumień moczu tryskał samoczynnie jak z węża ogrodowego.

Ulga była tak wielka, że oczy wypełniły mu się łzami.

I nagle, gdy już prawie skończył, coś wielkiego i ciężkiego uderzyło na niego od tyłu, tak że runął jak długi. Wykręcił się i wylądował na plecach na mokrej - zmoczonej przez niego ziemi, podczas gdy penis wciąż jeszcze robił swoje, jak zepsuty zraszacz strzelając moczem na spodnie, koszulę, krawat i twarz. Jerry wrzasnął, tak

sparaliżowany grozą sytuacji, że nie od razu zdał sobie sprawę, iż sprawcą ataku był Brunswick, który teraz jak pocisk wystrzelił w las.

- BRUNSWICK! - ryknął Jerry, dając częściowy upust wściekłości.

Pozbierał się z ziemi i spojrzał na swoje zmoczone ubranie. Nie wierzył własnym oczom. To jakiś koszmarny sen. A co najgorsze, pies zapewne przepadł na zawsze i Arlene nigdy mu tego nie wybaczy. Poważnie rozważał, czy nie pójść do samochodu, odjechać i nigdy więcej nie wracać do domu.

Hau!

Gdzieś z oddali dobiegło głębokie szczekanie. Brunswick nie zniknął, choć mało brakowało. Sądząc z odgłosu, był co najmniej sto metrów od niego, w głębi lasu. Jerry zawołał jeszcze raz i czekał w nadziei, że usłyszy tupot potężnych łap (przypominający raczej dudnienie kopyt) wracającego pośpiesznie psa.

Akurat.

Hau!

Jerry westchnął i zaczął przedzierać się przez zarośla. Ciągle przywoływał Brunswicka, a pies od czasu do czasu odpowiadał, pomagając mu trzymać się tropu. Jerry był mokry, brudny i śmierdział. Zapadał się w wilgotną ziemię, a gałęzie szarpały mu ubranie i skórę. Buty miał oblepione błotem. Na domiar złego zaczął padać deszcz.

- Brunswick! - zawołał.

Zaczął już tracić cierpliwość.

Hau!

Jerry skierował się tam, skąd dobiegło ostatnie Szczeknięcie, mrużąc oczy i wysilając się, żeby dostrzec coś między gałęziami. Teraz udało mu się wypatrzeć czarną bestię z nosem przy ziemi, kopiącą gorączkowo w miękkim gruncie.

- No, nareszcie - mruknął.

Ostrożnie podszedł do psa, nie chcąc go spłoszyć, żeby znowu gdzieś nie pomknął. Ale Brunswick był skupiony na swoim zajęciu i zupełnie nie zwracał uwagi na Jerry'ego. Znalazł coś niezwykle interesującego i z wielkim zapałem rozgrzebywał ziemię na małej przesiece. Raz po raz wtykał cały wielki łeb w wykopany przez siebie dół.

Jerry z pewnym wahaniem wyciągnął rękę i chwycił psa za obrozę.

- Niedobry pies - powiedział, głaszcząc zmierzwiłone czarne futro.

Brunswick, który dopiero teraz go wyczuł, podniósł łeb i spojrzał na niego radośnie. Z fafli spływała mu ślina. Jego szeroki pysk był zaciśnięty na czymś długim i białym.

- Cóż to za skarb znalazłeś, Brunswick? - spytał Jerry.

Chwycił to coś, co wystawało z psiej mordy. Brunswick chwilę się szarpał, ale ustąpił.

Dopiero po minucie Jerry zorientował się, co trzyma w ręku.

Potem, z rosnącym lękiem, zajrzał do dołu.

- Ja pierdolę! - powiedział.

Sally na miejscu dla świadków wyglądała wręcz dziecinnie. Ubrana była skromnie, w biały bawełniany sweter z okrągłym dekoltem i niebieską spódnicę. Sweter był na tyle luźny, że jej biust nie rzucał się w oczy. Gęste włosy miała starannie związane z tyłu głowy. Cerę miała różową, bez makijażu. Nie nosiła biżuterii, jedynie złoty zegarek.

Stride wpatrywał się w nią. Czyżby się mylił? Pozwolił sobie na cień wątpliwości, rozważając przez chwilę wariacką ewentualność, że wszyscy źle ocenili sytuację. Sally była zazdrosna i zaborcza. Czy mogła przekroczyć granicę i dokonać morderstwa?

Dwukrotnie?

Po prostu nie mógł w to uwierzyć.

- Sally, chciałbym, żebyś opowiedziała przysięgłym o tym, co ci się zdarzyło ubiegłego lata. Czy możesz opisać nam ten incydent?

Sally skinęła głową. Twarz miała poważną i opanowaną.

- To było w lipcu, w niedzielę rano. Pojechałam samochodem na północ, za miasto, pojeździć na rowerze. Zatrzymałam się na jednej z wiejskich dróg, zaparkowałam i przesiadłam się na rower.

- Jak długo jeździłaś? - spytał Dan.

- Może z pół godziny. Słuchałam muzyki i nie za bardzo zwracałam uwagę na czas. Ale w pewnej chwili zerwał mi się łańcuch. Byłam kilkanaście, może dwadzieścia kilometrów od samochodu. Zawróciłam i szłam pieszo, prowadząc rower.

- Przeszłaś pieszo całą drogę do samochodu?

- Nie. Minął mnie minivan. Kierowca się zatrzymał i zatrąbił na mnie. To był ojczym Rachel, Graeme Stoner.

- Czy dobrze znałaś pana Stonera?

Sally wzruszyła ramionami.

- Tyle, żeby się przywitać. Kilka razy byłam u Rachel z Kevinem, moim chłopakiem.

- Co było dalej, Sally?

- Zaproponował, że podwiezie mnie z rowerem do mojego samochodu.

- Zgodziłaś się?

- Tak. Byłam zmęczona. Ucieszyłam się, że mogę skorzystać z takiej okazji. Wsiadłam do jego auta, ale potem siedzieliśmy tak jeszcze dobrych kilka minut. Nawet nie próbował zapalić. To było trochę dziwne. Zadawał mi masę pytań. Bardzo osobistych.

- Powiedz nam, o co cię pytał.

Sally się zawahała.

- Powiedział, że często widuje mnie z Kevinem. Spytał, czy to mój chłopak.

- Co odpowiedziałaś?

- Że tak. Potem spytał z takim dziwnym uśmiechem, Czy uważamy?

- Jak sądzisz, co to miało znaczyć?

Gale wstał.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Nawet jeśli założymy, że ta rozmowa rzeczywiście miała miejsce, świadek nie może rościć sobie pretensji do czytania w myślach.

- Uznaję, ale komentarz następnym razem proszę zachować dla siebie - pouczyła go sędzia Kassel.

Gale usiadł z ledwo zauważalnym uśmiechem.

- Czy czułaś się zażenowana?

- Z początku nie. Ale potem to się zrobiło męczące. Siedzieliśmy tam już z pięć minut, a on nic, tylko zarzucał mnie pytaniami. Zaczęłam robić aluzje, no wie pan.

Potem powiedziałam, że powinniśmy już jechać. Że naprawdę muszę już wracać. W końcu zapalił i ruszyliśmy. Ale uprzytomniłam sobie, że jedziemy bardzo wolno. Zerknęłam na szybkościomierz. Jechał tylko pięćdziesiątką. Większość kierowców na tych drogach jedzie osiemdziesiątką albo dziewięćdziesiątką.

- Czy pan Stoner mówił coś do ciebie podczas jazdy?

- Tak. Powiedział, że jestem ładna. Że podobają mu się moje włosy. Że mam taką ładną cerę. I cały czas na mnie patrzył. Ale nie na moją twarz.

- Na go patrzył, Sally?

Sally rzuciła nerwowe spojrzenie na przysięgłych.

- Gapił się na moje piersi. Co chwila na nie patrzył. Próbowałam zapleść ręce, ale to wyglądało śmiesznie. Więc tylko się tak ustawiłam, żeby nie miał dobrego widoku.

- Jak się wtedy czułaś?

- Czułam się nieswojo.

- Powiedziałaś mu coś?

Sally pokręciła głową.

- Nie. Chciałam tylko wrócić do mojego samochodu i wydostać się stamtąd.

- I co było dalej?

- Spytał mnie, czy byłam kiedyś w szopie.

Przez salę rozpraw przebiegł szmer. Sędzia Kassel młotkiem przywróciła ciszę. Stride zauważył, jak na te słowa Sally twarze przysięgłych przybrały wyraz czujności.

- Mów dalej, Sally.

- Powiedział, że słyszał, jaka tam odchodzi jazda, i pytał, czy byłam tam z Kevinem - ciągnęła.

- Co odpowiedziałaś?

- Że nie.

Był naprawdę zdziwiony. Myślał, że się wygłupiam. Ale ja naprawdę tam nie byłam.

- Gdzie się wtedy znajdowaliście?

- Dojeżdżaliśmy do skrzyżowania dróg. Wiedziałam, że szopa jest niedaleko.

Wszyscy wiedzą, gdzie ona jest. Na skrzyżowaniu zatrzymał samochód.

Dan pochylił się do niej.

- Gwoli jasności, Sally, czy mowa o tej samej szopie, w pobliżu której znaleziono ślady bytności Rachel? Jej bransoletkę, krew?

- Tak, o tej samej.

- Więc co było dalej?

- Zapytał, czy szopa jeszcze tu jest. Powiedziałam, że chyba tak. Miał takie błyski w oczach, jakby chciał ze mną flirtować, i spytał, czy nie wydaje mi się, że może się tam akurat zabawiać jakaś parka.

- A co ty powiedziałaś?

- Że nie wiem. Że naprawdę powinniśmy już jechać.

- Czy cię posłuchał?

- Nie. - Sally się skrzywiła. - Powiedział, że powinniśmy sprawdzić. Uparł się. Skręcił i zjechał na drogę do szopy. Wtedy naprawdę się przestraszyłam.

- Jak przypuszczałaś, co się mogło zdarzyć?

- Sprzeciw - warknął Gale. - To są spekulacje.

- Pytam świadka o jej ocenę sytuacji, Wysoki Sądzie, a nie o to, co oskarżony miał na myśli - skontrował Dan.

Sędzia Kassel chwilę się zastanawiała.

- Dopuszczam pytanie. Niech świadek odpowie.

- Naprawdę nie wiem, co myślałam. Byłam po prostu przerażona. Tak dziwnie mówił... chyba myślałam, że będzie czegoś próbował.

- I rzeczywiście zabrał cię do szopy?

Sally skinęła głową.

- Tak. Zajeżdżał za szopę i stanął. Już się szykowałam, żeby się rzucić do ucieczki. No bo naprawdę mnie przestraszył. Nikogo tam nie było, a on ciągle na mnie patrzył. I powtarzał, że jestem taka ładna.

- Czy cię dotknął?

- Nie. No, nie miał okazji. Byliśmy tam najwyżej dwie minuty, kiedy podjechał inny samochód. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa.

- Co zrobił pan Stoner?

- Dał po garach. Przepraszam - zawahała się Sally. - Ale naprawdę. Jak tylko pojawił się ten drugi samochód, wcisnął gaz i wynieśliśmy się stamtąd.

- Czy jeszcze coś do ciebie mówił?

- Prawie nic. Wrócił na główną drogę i tym razem jechał osiemdziesiątką. Za parę minut byliśmy przy moim samochodzie. Wysadził mnie i tyle. Cieszyłam się, że mogę się stamtąd wydostać.

- Opowiadałaś komuś o tym zdarzeniu?

- Nie. W każdym razie nie wtedy. Byłam zażenowana, czułam się głupio. Próbowałam sobie wmówić, że może źle zinterpretowałam jego zachowanie. Ale wszystko było tak, jak to panu opowiedziałam.

- To wszystko, Sally. Dziękuję. - Dan odwrócił się do Gale'a. - Świadek należy do pana.

Teraz, pomyślał Stride. Czas na fajerwerki.

Nachylił się, żeby szepnąć to Maggie. Wtedy uprzytomnił sobie, że Maggie nie ma.

29.

Gale zdjął okulary do czytania, wetknął je w kieszonkę na piersi swojej marynarki i rzucił Sally dobrotliwy, ojcowski uśmiech.

- To nie potrwa długo, Sally - obwieścił. - Mam do ciebie tylko kilka pytań.

Gówno prawda, pomyślał Stride.

- Pojechałaś na rower ładnych kilka kilometrów za miasto, czy tak? Nie bałaś się?

- Nie - odparła Sally. - Jeżdżę tam przynajmniej raz na miesiąc.

Gale zmarszczył brwi.

- A przecież zaledwie kilka miesięcy przedtem inna dziewczyna z twojej szkoły została porwana, gdy biegła na takiej właśnie odludnej drodze. Czy to nie budziło twoich obaw?

- Sprzeciw - rzucił Dan. - Co świadek myślał lub czego nie myślał, nie ma znaczenia dla sprawy.

- Wysoki Sądzie, jeśli sędziowie przysięgli mają rozstrzygnąć, czy to zdarzenie istotnie miało miejsce, należy im się przedstawienie całego kontekstu - zaprotestował Gale.

Sędzia Kassel skinęła głową.

- Oddalam. Świadek ma odpowiedzieć na pytanie.

Sally wzruszyła ramionami.

- Pewnie powinno budzić obawy. Ale naprawdę jakoś o tym nie myślałam.

- Więc nie martwiłaś się, że ten ktoś, kto porwał Kerry, może porwać także ciebie.

- Sprzeciw. Świadek już odpowiedział na to pytanie.

- Uznaję.

- Dobrze. Twierdzisz, Sally, że pan Stoner zabrał cię z drogi, gdy prowadziłaś rower do swojego samochodu, tak?

- Tak.

- I całe zdarzenie było dla ciebie dużym wstrząsem.

- Tak.

Gale urwał na chwilę.

- Ale nikomu o tym nie powiedziałaś?

- Nie. Wtedy nie.

- Nikomu? Ani rodzicom? Ani Kevinowi? Ani nauczycielowi?

- Nie. Bałam się. Myślałam, że może przesadzam.

- Że przesadzasz. Innymi słowy, zaczęłaś zdawać sobie sprawę, że wyciągnęłaś pochopne wnioski. Prawda?

Sally się zawahała.

- Nie wiedziałam, co myśleć. Po prostu cieszyłam się jak szalona. Nie chciałam go pakować w kłopoty.

- Po raz pierwszy wspomniałaś komukolwiek o tym rzekomym wydarzeniu, kiedy przesłuchiwała cię policja, prawda?

- Owszem.

- Ale to nie było twoje pierwsze przesłuchanie, prawda?

- Nie.

- Zanim ni stąd, ni zowąd wystrzeżiłaś z tą rewelacją, byłaś już przesłuchiwana.

Czy tak?

- Powiedziałaś już, że byłam przestraszona.

- Tak czy nie, Sally.

- Tak. - I zanim Gale zdążył ją powstrzymać: - Dopiero kiedy się dowiedziałam o tych rzeczach znalezionych w szopie, zdałam sobie sprawę, że to coś ważnego.

- Przedtem nigdy nie przyszło ci to do głowy.

- Nie, jakoś nie.

Gale zmienił kierunek.

- Jesteś zakochana w poprzednim świadku, Kevinie, prawda?

Dan wstał.

- To bez znaczenia dla przedmiotu zeznań, Wysoki Sądzie.

Sędzia Kassel zasznurowała usta.

- Nie, dopuszczam pytanie - oświadczyła.

Sally z chęcią odpowiedziała:

- Tak, jesteśmy bardzo blisko - stwierdziła stanowczo.

- To przystojny chłopak. Założę się, że od czasu do czasu inne dziewczyny go zaczepiają.

- Kevin kocha mnie.

- Nigdy nie ogląda się za innymi?

- Nie.

- Nie? Ale dziewczyny próbują, prawda? Czy Kerry McGrath tego nie zrobiła?

Dan momentalnie znowu zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw na tej samej podstawie, Wysoki Sądzie.

- Panie mecenasie? - spytała sędzina.

- Wysoki Sądzie, zmierzam do ustalenia wiarygodności świadka.

- Dobrze, oddalam. Ale spodziewam się bardzo szybko zobaczyć związek ze sprawą. - Sędzia Kassel niecierpliwie zmarszczyła brwi.

- Czy Kerry nie zaprosiła Keviną na randkę? - powtórzył Gale.

- Kevin mówił coś takiego, tak.

- Czy to cię zdenerwowało?

- Kevin odmówił. Gdyby się zgodził, to by mnie zdenerwowało.
- Nie byłaś wściekła na Kerry, że kłusuje na twoim terenie? - spytał z uśmiechem Gale.

- Nie.

- Naprawdę? Nie rozmawiałaś z nią o tym?

Sally się zawahała.

- Nie.

- Twój głos nie brzmi zbyt pewnie, Sally.

- Może wspomniałam jej, że Kevin nie jest do wzięcia. Nic wielkiego się nie stało.

- Wspomniałaś? Czy to była niewinna, dobronuszna wzmianka, czy raczej „trzymaj się z dala od mojego faceta, bo ci kudły powyrywam”?

Oczy Sally rozszerzyły się. Zaczęła rozumieć. Stride niemal widział myśl, która zrodziła się w jej świadomości. On mnie próbuje w to wrobić.

- Sprzeciw - zawołał Dan. - Wysoki Sądzie, pogubiłem się. Czyj to jest proces i czyja zbrodnia jest jego przedmiotem?

Sędzia Kassel westchnęła.

- Panie mecenasie, ja też się pogubiłam. Może zechciałby pan wyjaśnić mi, gdzie jest ten związek? Okazałam aż nadto dużo cierpliwości.

Dan wyszedł przed stolik obrony i zanim Gale zdążył otworzyć usta, zaproponował:

- Wysoki Sądzie, czy możemy przedyskutować ten temat na osobności? Z całym szacunkiem dla obrony, nie chcę, żeby coś, co nie zostało wpuszczone frontowymi drzwiami, wchodziło tylnymi.

- To obraźliwa uwaga, Wysoki Sądzie - zareplikował Gale.

Sędzia dłuższą chwilę przyglądała się obu mężczyznom. Potem skinęła głową:

- Dziesięć minut. Proszę do mnie, panowie.

Sędzia Kassel, siedząc przy swoim uporządkowanym biurku, pochyliła się do przodu, łokcie oparła na blacie. Gale usadowił się naprzeciwko niej. Dan chodził od ściany do ściany.

- No, Archie? - zagadnęła sędzia sympatycznym tonem. - Porozmawiajmy o tym związku.

Gale rozłożył ręce, jakby uzasadnienie było oczywiste.

- Wysoki Sądzie, staram się wykazać, że istnieją inne logiczne wyjaśnienia zniknięcia Rachel, i moja linia przesłuchania ma się przyczynić do uwiarygodnienia tej tezy. Co więcej, da to przysięgłym uzasadnione podstawy, by uznać, że świadek wymyślił całą tę historię o tym, jak to pan Stoner zabrał ją do szopy. Nie ma w tej sprawie żadnych dowodów, więc przysięgli mogą się opierać jedynie na jej słowach. Mam prawo podać je w wątpliwość.

Dan zareagował gniewnie.

- Wysoki Sądzie, to, co świadek powiedział albo nie powiedział Kerry McGrath, nie ma żadnego przełożenia na jej wiarygodność. Pan Gale posługuje się pomówieniami, chcąc rzucić cień na świadka i podsunąć sądowi szaloną koncepcję, że może mieć coś wspólnego z zaginięciem pierwszej dziewczyny. Nie ma on na to cienia dowodu, ponieważ takie dowody nie istnieją. Chce tylko zamieszać przysięgłym w głowach. To oburzające.

Gale potrząsnął głową.

- Udało mi się już ustalić pewien element wspólny dla obu tych zaginięć. Mianowicie obie dziewczyny tuż przed tym, nim zagięły, zaproponowały randkę temu samemu chłopakowi. A między nimi stoi zazdrosna przyjaciółka. Mam prawo do

analizy tych okoliczności, ponieważ w istotny sposób uzasadniają one wątpliwości, czy mój klient był zamieszany w drugie zaginięcie, i podważają wiarygodność świadka.

- Niczego nie podważają - upierał się Dan. - Twierdzenie, że Sally miała powód, by kłamać w sprawie incydentu z szopą, pociąga za sobą sugestię, że to ona zabiła obie dziewczyny. To absurd. Ten tak zwany element wspólny jest czystym zbiegiem okoliczności. Ilu innych uczniów i nauczycieli miało jakiś kontakt z obiema dziewczynami, nim zagięły? Czy pan Gale zamierza wszystkich przesłuchać? Prawda jest taka, że nie mamy żadnych danych, iż ten akurat świadek jest zamieszany w zaginięcie Kerry lub Rachel. Nic. To zasłona dymna.

- Panie Gale - odezwała się chłodno sędzia Kassel - czy dysponuje pan jakimś innym dowodem niż zbiegi okoliczności i myślenie życzeniowe?

Gale skinął głową.

- Uważam, że tak, Wysoki Sądzie. Dotyczy on zaginięcia Rachel.

Sędzia Kassel chmurnie zmarszczyła brwi, bawiąc się długopisem.

- To się świetnie składa, zważywszy, że przedmiotem rozprawy jest właśnie zaginięcie Rachel. A co z Kerry McGrath?

Gale zawahał się.

- Nie jest to dowód bezpośredni, Wysoki Sądzie.

Sędzia Kassel posłała mu złowrogie spojrzenie.

- Wobec tego pańska linia przesłuchania w tej kwestii zostaje zamknięta. Proszę przejść do właściwego przedmiotu tej rozprawy. Pouczę sąd przysięgłych, aby nie brał pod uwagę żadnych wypowiedzi o Kerry McGrath w przesłuchaniach obu świadków i spodziewam się nie słyszeć więcej tego nazwiska. Czy to jest jasne? Sala rozpraw nie jest odpowiednim miejscem do zabawy w ciuciubabkę.

- Nie uważam tego za zabawę w ciuciubabkę, Wysoki Sądzie.

- Słyszał pan moją decyzję. Teraz wracajmy.

Denerwujące oczekiwanie na sali rozpraw nie zrobiło Sally dobrze. Jej pewność siebie i opanowanie zniknęły. Na miejscu świadka stała teraz zagubiona, skrępowana, zalekniona nastolatka, nieświadoma, skąd może się spodziewać ciosu. Stride zastanawiał się, czy nie temu właśnie służył cały ten chwyt z Kerry McGrath - zmięczeniu Sally przed następną rundą.

Gale porzucił swój sympatyczny sposób bycia. Stał się ostry jak żyłotka. Skupił wzrok na Sally, ale wyczekał jeszcze kilka szarpających nerwy sekund, zanim podjął przesłuchanie.

Koncentrację Stride'a na rozgrywającym się przed nim melodramacie zakłócił na chwilę widok Maggie, która precyzyjnie się między rzędami i usiadła za nim. Pod krzesłem dała niu znak nogą. Stride odwrócił się i pod osłoną dłoni szepnął jej wprost do ucha.

- Coś się dzieje?

Maggie pokiwała głową. Rozejrzała się na wszystkie strony, w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia w osobie dziennikarza.

- Dzwonił Guppo. Pojechał do czegoś, co znalezione na północ od miasta. Mówi, że to może być ważne.

Z ławy obrony Gale podjął zimnym jak lód głosem.

- Gdzie mieszkasz, Sally?

Zdziwiona, podała adres.

- Jak daleko stamtąd do domu Rachel?

- Chyba niecałe półtora kilometra.

- Da się dojść pieszo?

- Oczywiście.

- Szłaś kiedyś pieszo ze swojego domu do Rachel?

Sally przytaknęła.

- Tak, kilka razy.

- A czy byłaś u niej w domu?

- Tak, kilka razy. Z Kevinem.

- Jaki samochód mają twoi rodzice?

Dan wstał.

- Sprzeciw, pytanie bez związku ze sprawą.

Sędzia Kassel westchnęła.

- Oddalam sprzeciw. Ale czas płynie, panie mecenasie.

- Proszę odpowiedzieć - zwrócił się Gale do Sally.

- Chevroleta minivana.

- Podobny do samochodu państwa Stonerów?

- Tak.

- Jesteś więc obeznana z tablicą rozdzielczą?

- Sprzeciw rzucił Dan. - Odpowiedź na to pytanie jest oczywista.

- Uznaję. Dalej, panie mecenasie.

- Dobrze, Sally, pomówmy o tym ostatnim wieczorze, kiedy ty i Kevin widzieliście się z Rachel. Byliście we trójkę w Canal Park?

- Tak jest.

- Możesz mi powiedzieć, jak byłaś wtedy ubrana?

Sally się zawahała. Nerwowo zerknęła na Dana, który oparł się o siedzenie i rzucił Stride'owi zdziwione spojrzenie.

- Jak byłam ubrana? Nie pamiętam.

Gale pokiwał głową.

- Może będę mógł odświeżyć twoją pamięć.

Odszukał w kieszeni okulary i umieścił je na końcu nosa. Przewrócił kilka kartek w notatniku.

- Czy mogły to być niebieskie džinsy i czerwona parka? Jak ci się wydaje?

- Może - odparta Sally. - Naprawdę nie wiem.

- Ale masz takie ubranie, czy tak?

- Mam.

Gale splótł ramiona i zmierzył dziewczynę wzrokiem.

- Nie byłaś w Canal Park tak długo jak Kevin i Rachel, zgadza się?

- Nie. Wysłałam o wpół do dziesiątej, czy coś koło tego.

- I co potem robiłaś?

- Pojechałam do domu.

- Zatrzymywałaś się gdzieś?

- Nie. Pojechałam prosto do domu.

Gale znowu przerzucił kilka kartek notatnika.

- Czy potem jeszcze wychodziłaś?

- Nie, już nie.

Gale uśmiechał się zimno.

- Jesteś tego absolutnie pewna?

- Tak - odparła Sally.

- No dobrze. Powiedz mi, Sally, dlaczego wróciłaś wcześniej? Dlaczego nie wróciłaś z Kevinem? Jest twoim chłopakiem, prawda?

- Tak, jest.

- I zostawiłaś go samego z Rachel?

Sally uśmiechnęła się blado.

- Byłam zmęczona.

- Och, daj spokój, Sally. Wiesz, co zeznał Kevin. Powiedział, że na moście Rachel prowokowała go seksualnie.

Sally nie odpowiedziała. Przygryzła dolną wargę i unikała wzroku Gale'a.

- Prawda jest taka, że widziałas ich razem czy nie? Widziałas, co robią?

- Nie, nie widziałam.

Gale uniósł brwi,

- Nie patrzyłaś? Twój chłopak zjeżdżał z podnoszącego się mostu z piękną dziewczyną, a ty nic? Po prostu sobie poszłaś?

- Już mówiłam, że byłam zmęczona - powtórzyła Sally.

- A szczerze mówiąc, byłaś wściekła, prawda? Twój chłopak zdradzał cię na twoich oczach. Ta dziwka bez serca całowała go i pieściła przed twoim nosem, specjalnie tak, żebyś to widziała. - Gale na chwilę zawiesił głos. - Wypadłaś stamtąd jak burza, prawda, Sally? Czułaś furie, upokorzenie. Tak?

Sally zamrużyła oczami. Po jej policzku spłynęła łza, którą szybko wytarła.

- Było mi przykro - powiedziała cicho.

- Więc jednak ich widziałas.

Sally w milczeniu przytaknęła.

- Byłaś na nich zła.

- Nie, na Kevina nie - powiedziała Sally bez ogródek.

- Byłaś wściekła na Rachel.

Sally spochmurniała.

- Ona jakby rzuciła na niego urok. Robiła tak ze wszystkimi facetami. Ale na nikim jej nie zależało. Po prostu ich wykorzystywała.

- I to cię wkurzało, prawda?

- Była okrutna - oświadczyła Sally. - Wiedziałam, że tylko bawi się Kevinem. Wiedziałam, że on jej naprawdę nie nie obchodzi.

- A co Kevin czuł do Rachel? Miał do niej słabość?

Sally oblała się rumieńcem.

- To nic nie znaczyło. To była po prostu słabość. On kocha mnie.

- A jednak, Sally, czy nie rzuciłby cię bez chwili namysłu, gdyby tylko miał szansę być z Rachel?

- Nie! - krzyknęła Sally.

- Czy nie to właśnie stało się tego wieczoru?

- Nieprawda!

- Więc co się stało? Co Rachel wtedy zrobiła?

Sally spuściła głowę.

- Pocałowała go.

- Co jeszcze?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Już się przyznałaś, że ich widziałas. Co Rachel zrobiła z twoim chłopakiem na twoich oczach?

Sally zawahała się.

- Włożyła mu rękę w spodnie.

- Więc ona jest na moście, zabawia się z twoim chłopakiem, a ty stoisz sama na chodniku?

- Tak.

- I myślisz, że dla niej to tylko gra? Nic poważnego?

- Tak! Taka właśnie była! W ogóle jej nie obchodził.

- Ale ona obchodziła jego. Zawsze się w niej potajemnie kochał, prawda? I ty o tym wiedziałas. I proszę, oto jego wymarzona dziewczyna sama do niego przychodzi. Bałaś się, że cię zostawi, prawda?

- Kevin by tego nie zrobił.
- Wiemy, że umówił się z Rachel na randkę na następny wieczór. Odwołał spotkanie z tobą. Nie było tak?

Sally przygryzła wargę. Wyglądała, jakby chciała uciec z sali sądowej.

- Zadzwoił i odwołał nasze spotkanie.

- I to wszystko była wina Rachel?

- Tak!

- Więc popatrzyłaś sobie na tych dwoje na moście i poszłaś do domu?

- Tak jest.

- I to wszystko, po prostu poszłaś do domu?

- Tak. Było mi przykro.

- Nie chciałaś stanąć z nimi twarzą w twarz?

- Nie, nie mogłam. Nie mogłam na nich patrzeć.

- Przypomnij mi, o której to było?

- Około wpół do dziesiątej.

Gale zdjął okulary. Przerzucił notatnik i zamknął go. Oczy Sally śledziły każdy jego ruch. Sądząc, że to koniec przesłuchania, zaczęła się podnosić. Ale gdy już stała, Gale nagle się odwrócił. Przełknęła ślinę i zatrzymała się. Gale pociągnął swoją kocią brodkę i wpatrywał się w Sally z namysłem.

- Co robiłaś po powrocie do domu?

- Chwilę rozmawiałam z rodzicami, a potem poszłam spać.

- Dzwoniłaś do Kevina?

- Nie.

- Do Rachel?

- Nie.

- Pewnie trudno ci było zasnąć, skoro byłaś taka zła?

- Nie pamiętam - odparła Sally.

Odeła dolną wargę. Przybrała wojowniczą postawę.

- Twoja sypialnia jest na parterze?

- Tak.

- Więc gdybyś chciała, mogłabyś wymknąć się z domu bez wiedzy rodziców?

- Nie zrobiłam tego.

- Nie poszłaś do domu Rachel, żeby się z nią skonfrontować? Dać jej nauczkę?

- Sprzeciw, świadek już odpowiedział na to pytanie - warknął Dan.

- Uznaję.

Gale spróbował z innej strony.

- Dobrze, postawmy sprawę jasno. Czy tamtej nocy, już po twoim powrocie do domu, widziałaś się jeszcze z Rachel?

Zanim Dan zdążył zaprotestować, oczy Sally rozwarły się na całą szerokość.

- Nie!

Kilku przysięgłych pochyliło się do przodu. Dan podejrzliwie przyglądał się Sally, a potem obejrzał się i rzucił Stride'owi pytające i wrogie spojrzenie. Stride nachylił się do Maggie.

- O co tu chodzi, do cholery? Dokąd on zmierza? Miodowa skóra Maggie przybladła o kilka tonów.

- Chyba mnie zabijesz, szefie.

- Gadaj - powiedział Stride.

- Jej ubranie - wyszeptała Maggie.

Gale zaczął, aż w sali rozpraw zapanuje cisza. Potem spokojnie podjął.

- Wytłumacz nam coś, Sally. Jeśli nie poszłaś na rozmowę z Rachel, jeśli tej nocy nie opuszczałaś swojego pokoju, to dlaczego widziano cię na ulicy kilka przecznic od domu Rachel tuż po dziesiątej?

Salę zalała kolejna fala wrzawy, którą sędzia Kassel uciżyła młotkiem.

Sally wiała się pod skierowanymi na nią spojrzeniami.

- To niemożliwe. Nie byłam tam.

Gale westchnął. Wyciągnął ze swoich notatek jedną białą kartkę i zbliżył się do ławy świadków.

- To jest raport policyjny z tej nocy, kiedy Rachel zaginęła. Protokół przesłuchania niejakiej pani Carli Duke zamieszkałej cztery przecznice od Stonerów. Czy zechcesz nam przeczytać podkreślony ustęp, Sally?

Sally wzięła kartkę w końce palców, jakby paliła ją żywym ogniem. Jej głos był ledwo słyszalny.

- Kilka minut po dziesiątej widziałam przechodzącą dziewczynę. Ale zupełnie nie przypominała tej, której szukacie. Miała kręcone brązowe włosy, była ubrana w dżinsy i czerwoną parkę.

Gale wziął od niej kartkę.

- Coś jak ty, Sally.

- To nie ja - wyszeptała. - To nie byłam ja.

Stride też szepnął:

- A to sukinsyn, jak mogliśmy to przegapić?

- Szukaliśmy ludzi, którzy widzieli Rachel - powiedziała Maggie. - Nie inne dziewczyny.

Gale z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Ktoś ubrany tak samo jak ty, z takimi samymi włosami, w pobliżu domu Rachel tej nocy, kiedy zniknęła, tuż po tym, jak Rachel upokorzyła cię w parku. Ale to nie byłaś ty.

Sally była bliska załamania.

- Nie.

- A ja twierdzę, że kłamiesz, Sally - warknął Gale.

- Sprzeciw! - rzucił Dan.

Sędzia Kassel skinęła głową.

- Uznaję.

Gale wcale się nie przejął.

- Jeśli powołamy panią Duke na świadka, myślisz, że cię rozpozna?

- Sprzeciw, to spekulacje.

- Uznaję.

Ale co powiedziane, to powiedziane.

- Co powiedziałaś Rachel? Ostrzegłaś ją, żeby się trzymała z dala od Kevina?

- Nie widziałam się z nią.

- Otworzyła ci? Kluczyki do samochodu były też przy drzwiach? Wybrałyście się we dwójkę na przejażdżkę?

- Nie!

- Widziano cię, Sally. Kevin i tak się dowie, że to ty. Czas żebyś powiedziała jemu i nam prawdę. Ostatni raz pytam: czy poszłaś tamtej nocy do domu Rachel?

- Sprzeciw - powtórzył Dan. - To jest znęcanie się nad świadkiem, Wysoki Sądzie.

Ale sędzia Kassel jak wszyscy inni wpatrywała się w Sally. Powoli pokręciła głową.

- Oddalam. Proszę odpowiedzieć na pytanie, młoda damo.

Sally spojrzała na sędziego, potem na Gale'a i na przysięgłych.

Z trudem przełknęła ślinę i nerwowo przeczesła palcami włosy. Zakręciła kosmyk na palcu. Po jej twarzy popłynęły łzy.

A potem, wzdychając, powiedziała:

- Tak.

Sala eksplodowała. Sędzia Kassel na próżno usiłowała uciszyć tłum. Następne słowa Sally niemal utonęły w krzyku:

- Ale ja jej nie zabiłam! Nie, nie!

Gale odczekał, aż hałas ucichnie.

- Kłamałaś cały czas, Sally. Dlaczego mamy ci teraz uwierzyć?

- Chciałbym powtórnie przesłuchać świadka, Wysoki Sądzie.

Dan nie miał wyboru. Nie mógł zostawić przysięgłych z niezaspokojoną ciekawością. Musiał wydobyć z Sally prawdę.

- Powiedz nam, co wtedy zrobiłaś, Sally.

Sally teraz sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się doczekać, by to powiedzieć.

- Rzeczywiście wymknęłam się z domu. Byłam potwornie wściekła na Rachel. Była okrutna, bawiąc się Kevinem, a przecież wiedziałam, że jej na nim nie zależy. Więc poszłam do niej. Chciałam jej nagadać, powiedzieć, że to, co robi, jest podłe.

- I co?

- Kiedy doszłam, jej samochód już stał przy domu. Więc przypuszczałam, że Rachel jest.

- I co zrobiłaś?

- Podeszłam do drzwi. Chciałam z nią porozmawiać.

- I porozmawiałaś?

Sally pokręciła głową.

- Nie.

- Dlaczego? Już jej nie było?

- Nie, nie to. Już miałam zadzwonić, ale się powstrzymałam.

- Dlaczego?

Sally rzuciła Archiemu Gale'owi triumfujące spojrzenie.

- Usłyszałam ze środka głosy. Ktoś krzychał. Słyszałam Rachel. Wrzeszczała, jakby była okropnie wzburzona. I słyszałam... słyszałam też pana Stonera. Poznałam jego głos. Krzychał na Rachel. To była straszna awantura. Więc odwróciłam się i odeszłam.

Graeme Stoner pochylił się do Gale'a i zaczął mu coś gorączkowo szeptać.

Nawet Dan sprawiał wrażenie osłupiałego. Patrzył na Sally, a potem po prostu powiedział.

- To wszystko, nie mam więcej pytań.

Stride pokręcił głową. Co za pieprzony bajzel.

Gale znowu wstał. Jeśli nagła rewelacja Sally, która - gdyby przysięgli jej uwierzyli - jak nic byłaby gwoździem do trumny Graeme'a, zrobiła na nim jakieś wrażenie, to nie dał tego po sobie poznać.

- Sally, Sally, Sally - mruknął łagodnie. - Po tylu kłamstwach cóż znaczy jeszcze jedno?

- Sprzeciw.

- Uznaję.

Gale wzruszył ramionami.

- Mamy uwierzyć, że byłaś w posiadaniu informacji kluczowej dla tej sprawy i postanowiłaś jej nie ujawniać? Aż do tej chwili?

- Bałam się - powiedziała śmiało Sally.

- Czego? - spytał zdziwiony Gale.

- Jego. Pana Stonera.

- Nawet gdy znalazł się w areszcie?

- No... tak - zająknęła się Sally.
- A jednak nie bałaś się na tyle, żeby zatrzymać dla siebie historyjkę o szopie. To powiedziałaś policji, dlaczego nie wszystko?
- Nie wiedziałam, czy mi uwierzą.
- Więc skłamałaś. Niezła strategia.
- Nie chciałam, żeby moi rodzice dowiedzieli się, że wtedy wyszłam. Ani Kevin. Bałam się. Nie wiedziałam, co sobie pomyślą.
- Mogliby pomyśleć, że zabiłaś Rachel.
- Nie! -krzyknęła Sally. - Wcale nie!
- Naprawdę nie powiedziałaś nikomu o tej rzekomej kłótni między Rachel a Graeme'em, ponieważ jej nie było, prawda? Wymyśliłaś to tutaj, teraz.
- Nie, to nieprawda!
- Nie? Daj spokój, Sally. Przyznałaś dopiero teraz, że poszłaś do domu Rachel, a przedtem przez wiele miesięcy mówiłaś w tej sprawie nieprawdę. Co się tam w istocie zdarzyło?
- Sprzeciw, świadek już odpowiedział na to pytanie - przerwał Dan.
- Oddalam - powiedziała cierpko sędzia Kassel.
Zupełna katastrofa. Nie wierzyła jej nawet sędzia.
- Było tak, jak powiedziałaś - upierała się Sally. - Słyszałam ich. Gale westchnął.
- Naprawdę? A co mówili?
- Nie mogłam rozróżnić słów - odparła Sally.
- Rozumiem. Słyszałaś tylko głosy.
- Tak.
- I wściekła, i upokorzona, przeszedłszy półtora kilometra, żeby się z nią policzyć, po prostu sobie poszłaś, rezygnując z rozmowy. Bo usłyszałaś głosy. Sally kiwała głową.
- Tak było.
- I nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby komuś o tym powiedzieć? Miałaś w ręku materiał kluczowy dla śledztwa w sprawie morderstwa i nic nie powiedziałaś, bo bałaś się, że rodzice cię skarżą za wyjście nocą z domu?
- Nie, to nie... to znaczy, nie o to chodziło.
Gale nie ustępował.
- Sally, podaj nam choć jeden jedyny powód, dla którego mielibyśmy uwierzyć w tę historię.
Sally otworzyła i zamknęła usta. Zwilżyła wargi językiem. Milczała.
- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie - rzekł Gale.

Stride nie miał ochoty wychodzić. Maggie też nie, ale kiedy sędzia Kassel ogłosiła zakończenie rozprawy na ten dzień i w sali zapanował tumult, Guppo znowu się odezwał, więc zaczęła przepychać się do drzwi. Stride i Dan zostali z tyłu. Wiedzieli, że gromada reporterów tylko czeka, żeby się na nich rzucić. Gale już tam był i przejeżdżał się po zeznaniach Sally, twierdząc uparcie, że otworzyły one drzwi do uniewinnienia jego klienta. Ale dziennikarze chcieli też zobaczyć Dana i Stride'a i wysłuchać ich wersji.

- Przegraliście? - spyta Bird?

Obaj wiedzieli. Tak, przegrali. Na dobrą sprawę można było na tym zakończyć.

Tuż za nimi stała Emily Stoner. Sprawiała wrażenie zagubionej i przybitej. Była sama. Dayton Tenby, który przez cały czas trwał u jej boku, teraz wyszedł, żeby podprowadzić samochód za budynek sądu. Strażnicy mieli ją wyprowadzić tylnym wyjściem, z dala od dziennikarskiej hordy.

Nie odezwała się ani słowem, a Dan nie dawał po sobie poznać, że jest świadom jej obecności. Ale Stride wiedział, że tylko to powstrzymuje go przed wybuchem furii.

- Mówiłeś, że ma alibi - rzekł Dan.

Jego wargi tworzyły linię cienką jak rysa w lodzie.

- Bo miała.

- A jednak zeznania twojego własnego świadka rozbiły jego alibi w drobny mak. I nikt nie zdołał go pozbierać.

Stride westchnął ciężko.

- No dobrze, Dan, nie ma co szukać wymówek? Spieprzyliśmy sprawę. Proste jak drut. Powinniśmy byli to wylapać, a nie wylapaliśmy.

- Rozśmiesz mnie - syknął Dan. - Wyjaśnij mi dlaczego.

- Tego pierwszego dnia przesłuchaliśmy setki świadków. Szukaliśmy ludzi, którzy widzieli Rachel. Ktoś, kto kilka przecznic dalej widział nastolatkę, której wygląd nie odpowiadał rysopisowi Rachel, po prostu nie mógł wtedy obudzić szczególnej czujności.

- Dlaczego, do jasnej cholery?

Stride pokręcił głową.

- Sally nie była podejrzana. Do diabła, nadal nie jest. Ani przez sekundę nie wierzę, że może mieć coś wspólnego z zamordowaniem Rachel. Nie ma żadnego śladu przemawiającego za jej udziałem.

- Może po prostu jest dla was za sprytna - stwierdził Dan.

- Nie ma mowy. Gdyby to naprawdę było zabójstwo w afekcie, zostawiłaby masę dowodów. Wezwij mnie jutro na przesłuchanie. Mogę podkreślić, że ani w szopie, ani w samochodzie nie ma ani jednego niezidentyfikowanego odcisku palca, żadnych włosów, nitek, niczego, co pozwoliłoby doszukiwać się tam Sally. To nie była ona.

- Nie mamy żadnego nowego materiału - odparł Dan. - Nie mogę cię wzywać na świadka, żebyś powtarzał przysięgłym to, co już raz powiedziałeś.

Za ich plecami Emily odchrząknęła. Mężczyźni stanęli i spojrzeli na nią, jakby dopiero teraz ją zauważyli. Jej twarz była biała.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Mówicie, panowie, tak, jakby stało się coś złego. Czy to nie jest korzystne dla procesu? Przecież ona właśnie dostarczyła tego brakującego ogniwa, które wam było potrzebne. Słyszała, jak tamtej nocy Graeme i Rachel się kłóca. To chyba wystarcza?

Dan pokiwał głową. Gniew zgasł w jego oczach, ich wyraz złagodniał.

- Obawiam się, że sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

- Ale dlaczego? To chyba powinno gwarantować wyrok skazujący?

Dan ujął jej dłoń w swoje. Spojrzał jej w oczy.

- Rzecz w tym, czy przysięgli jej uwierzą. Pan Gale zasiał wątpliwości co do jej wiarygodności. Wiemy, że skłamała raz, twierdząc, że nie wychodziła tamtej nocy zobaczyć się z Rachel. Przysięgli mogą myśleć, że znowu kłamie, aby coś ukryć.

- Czy pan też tak myśli?

Dan westchnął.

- Naprawdę nie wiem, Emily. Chciałbym jej wierzyć. W połączeniu z innymi dowodami to, co mówi Sally, brzmi całkiem logicznie. Gdyby powiedziała to od razu, mielibyśmy wyrok skazujący w kieszeni, nie ma wątpliwości. Ale w obecnych okolicznościach obawiam się, że jej zeznanie nie poprawia, lecz pogarsza sytuację.

- Ale dlaczego? - Głos Emily brzmiał żałośnie.

- Cóż, ponieważ może wzbudzić w przysięgłych zrozumiałe wątpliwości. Całość zeznań Sally może im się wydawać na tyle niepewna, że nie mogą też już mieć absolutnej pewności co do winy Graeme'a.

- On jest winien - oświadczyła Emily z pasją. - Zrobił to. Wiem, że tak jest.

- Wielu przysięgłych też może tak myśleć. Pytanie tylko, czy są wystarczająco przekonani, żeby go skazać.

Wyglądało na to, że prawda zaczyna jej świtać.

- Chce pan powiedzieć, że ten sukinsyn może zostać uniewinniony? Że może stąd wyjść wolno?

- Obawiam się, że to możliwe - przyznał Dan.

W jego ochrypłym głosie brzmiała złość, jakby i on dopiero teraz zaczynał sobie zdawać sprawę z sytuacji.

Stride podniósł głowę. W sali powstało jakieś dodatkowe zamieszanie. Pojawiła się Maggie. Przepychając się przez przejście i machając do niego ręką, wzywała go wzrokiem. Bez słowa opuścił Dana i Emily, przedarł się przez bramkę i spotkał się z nią na środku przejścia.

- Znaleźliśmy ciało - powiedziała bez tchu Maggie. - Na północ od miasta. Guppo tam jest.

- Rachel?

- Nie można stwierdzić. To szczątki szkieletu. Ten skurwysyn próbował ją spalić. To mogą być zwłoki Rachel. Albo Kerry. Albo jeszcze kogoś innego.

Stride przymknął oczy. Miesiąc temu to byłaby fantastyczna wiadomość. Trzy miesiące temu jeszcze lepsza. Mogłaby obalić najważniejszą tezę Gale'a; że być może Rachel żyje.

- Gdzie?

- Na północy. Kilka kilometrów na północ od szopy. Gdybyśmy rozszerzyli krąg poszukiwań o jeszcze jeden kilometr, moglibyśmy ją znaleźć.

- Czy Guppo zabezpieczył teren?

- Tak. Lekarz sądowy też już tam jest.

- Co mówi? - spytał Stride.

- Na razie niewiele. Że budowa szkieletu odpowiada budowie nastoletniej dziewczyny. Z resztą musimy poczekać na DNA, dokumentację dentystryczną albo na coś, co, miejmy nadzieję, jeszcze się znajdzie w pobliżu.

- Ani słowa prasie - powiedział Stride. - Tylko spokojnie. Powiem Danowi i zaraz możemy tam jechać.

Stride obejrzał się na Dana i Emily. Jak ma mu o tym powiedzieć w obecności matki tej dziewczyny?

Odetchnął głęboko. Poprosił Maggie, żeby zaczekała. Wracając, widział, że Dan i Emily go obserwują. Nie było sposobu by zrobić to dyplomatycznie.

- W lasach na północ od miasta znaleziono ciało - poinformował ich.

Oczy Emily gwałtownie się rozszerzyły, a dłoń powędrowała do ust.

- O, nie!

- Cholera - rzucił Dan.

Powtórzył to kilka razy.

Emily osunęła się na krzesło. Chwilę siedziała w milczeniu, krucha jak rozbita skorupka. Wreszcie podniosła na Stride'a nabiegłe krwią oczy.

- Czy to... czy to ona?

- Jeszcze nie wiemy. Bardzo mi przykro. Mamy tylko szczątki szkieletu, więc identyfikacja trochę potrwa.

- Ile? - spytał Dan.

- Pewnie będziemy musieli poczekać na testy DNA, chyba że coś wyniknie z badania uzębienia. Tak czy inaczej, to może być parę tygodni.

Dan potrząsnął głową.

- Nie mamy paru tygodni. Nie mamy nawet paru dni.

- Wiem - zgodził się Stride.

- Co to znaczy? - spytała Emily.

- Praktycznie jest już prawie po procesie - wyjaśnił jej Dan. - Nie mając pewności co do tożsamości zwłok, nie możemy przedstawiać tej kwestii przysięgłym.

Podejrzenia nie są dowodami.

- Ale przecież mamy teraz ciało - powiedziała błagalnie Emily. - Nie możecie pozwolić, żeby ten człowiek dalej udawał przed przysięgłymi, że ona może żyje.

- Niestety, jeszcze nie wiemy, czy to jej ciało - przypomniał łagodnie Stride.

- To jest chore - Emily potrząsała głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Boże, nie mogą go przecież wypuścić. Muszą odroczyć proces. Muszą dać wam czas na udowodnienie, że to Rachel.

Dan westchnął. Stride wiedział, co myśli. Za mało, za późno.

- O tym zdecyduje sąd - powiedział.

31.

- Odroczenie?

Brwi sędzi Kassel drgnęły, a głos uniósł się o oktawę.

- Panie prokuratorze, proszę mi powiedzieć, że to tylko przykład pańskiego czarującego poczucia humoru.

Dan żałośnie rozłożył ręce.

- Zdaję sobie sprawę, że to niecodzienny wniosek, Wysoki Sądzie.

- Niecodzienny? - prychnął Gale. - A może raczej niesłychany?

Obaj mężczyźni nachylili się nad stołem sędziowskim. Za ich plecami sala rozpraw była znowu pełna, brzęcząca gwarem stłumionych rozmów. Sędzia Kassel uderzyła młotkiem w blat, ale skutek był niewielki. Graeme Stoner siedział z niewzruszoną twarzą. Tego dnia Emily zajęła miejsce tuż za nim, jakby chciała, żeby czuł jej obecność. Jej płonące oczy wpijały się w jego kark. Graeme zauważył ją, siadając, ale od tej pory ani razu się nie obejrzał. Było jednak oczywiste, że miał świadomość jej bliskości. Z tej odległości z pewnością dolatywał go zapach jej perfum.

Przysięgłych jeszcze nie było. Gdy Dan wystąpił z wnioskiem o odroczenie rozprawy, znajdowali się jeszcze w swoim odosobnieniu. W całej Minnesocie byli jedynymi ludźmi, do których świt nie dotarł krzyczącymi ogromnymi nagłówkami gazet:

CIAŁO RACHEL?

- Nie mogliśmy się spodziewać czegoś takiego - tłumaczył Dan. - Ale w interesie sprawiedliwości po prostu musimy mieć czas na zbadanie tych szczątków.

- Przedtem oskarżeniu jakoś nie przeszkadzał brak ciała, Wysoki Sądzie - zauważył Gale.

Sędzia Kassel zerknęła na Dana.

- To prawda.

- Prokurator czuł się wystarczająco pewnie, by sformułować oskarżenie, nie mając żadnego dowodu, że dziewczyna nie żyje - ciągnął Gale. - Miał już swoją szansę.

- Nie zakończyłem jeszcze przedstawiania wniosku - przypomniał mu Dan.

- Tak, ale oskarżenie nie ma nic na jego poparcie, Wysoki Sądzie. Gdzie są dowody? Gdzie są świadkowie?

Dan pokręcił głową.

- Obrona pana Gale'a była w znacznej mierze ukierunkowana na wywarcie na przysięgłych wrażenia, że Rachel może żyje. obrońca posługiwał się tą sugestią, by wzbudzić ich wątpliwości. Jeśli możemy wykazać, że insynuacje pana Gale'a są fałszywe, przysięgli mają prawo o tym wiedzieć.

Sędzia Kassel splótła ręce na piersiach i odchyliła się do tyłu.

- Mecenasiu?

- To może tylko zaszkodzić sprawie - argumentował Gale. - Ława przysięgłych zapoznała się z materiałem. Mają go w głowach na świeżo. Dawanie oskarżeniu czasu, by pamięć przysięgłych zbladła, jest niesprawiedliwe i nierozsądne. Może się okazać, że znalezienie ciała nie ma żadnego związku z tą sprawą, a wtedy będzie już za późno, żeby naprawić szkody. Nie mamy zresztą pojęcia, jak długo trzeba będzie czekać na identyfikację, zakładając, że w ogóle będzie możliwa.

- Przecież właśnie tobie, Archie, powinno zależeć na odroczeniu - zwrócił się do adwokata Dan. - Wysoki Sądzie, przysięgli nawet w izolacji mogą się dowiedzieć o znalezieniu ciała. Wiadomości łatwo przenikają przez kordony. Uznają, że to Rachel. To wpłynie na ich decyzję. Powinniśmy im pomóc, tak by opierali się na faktach, nie na pogłoskach.

Sędzia Kassel rzuciła mu blade uśmiech.

- To bardzo wielkoduszne z pańskiej strony, że się pan tak o nich troszczy. W istocie jednak przysięgli nie dowiedzą się niczego na temat ciała, jeśli nie będzie odroczenia procesu. Zaraz po tym, jak pan do mnie wczoraj zadzwonił, kazałam zablokować wszystkie rozmowy przychodzące i wychodzące. Dzięki Bogu to jeszcze było przed programikiem pana Fincha. W ich pomieszczeniach nie ma radia ani telewizora. Przewożeni są pod ścisłą obserwacją. Na razie nie wiedzą i nie dowiedzą się, jeśli zaczną obrady za dzień czy dwa, a my zachowamy odpowiednie środki ostrożności. Jeśli będę do tego zmuszona, rozprawa będzie się toczyć przy drzwiach zamkniętych.

- Sąd mógłby podjąć decyzję o unieważnieniu procesu - podsunął Dan. - Moglibyśmy zacząć wszystko od nowa.

Gale otworzył usta, ale sędzia uciszyła go ruchem ręki.

- Dam sobie radę, panie mecenasiu. Nie ma podstaw do unieważnienia, panie prokuratorze. Rozprawa toczy się bez żadnych uchybień.

- Wysoki Sądzie, społeczeństwo nie powinno być karane za to, że oskarżony tak dobrze zaciera za sobą ślady, iż dopiero teraz znaleźliśmy ciało.

- Znaleźliście jakieś ciało, niekoniecznie to ciało - poprawił go Gale. - A nawet jeśli to Rachel, nie ma dowodów na udział pana Stonera lub jego obecność na miejscu zbrodni. To nie wnosi niczego istotnego.

- Tego jeszcze nie wiemy - argumentował Dan gorąco. - Nie zakończyliśmy jeszcze przeszukiwania miejsca zbrodni.

- Słusznie, nie dajmy się ponieść emocjom - rzekła sędzia Kassel. - Pan prokurator ma rację. Zbił pan kapitał na niemożności okazania ciała. Teraz, kiedy ciało jest, nie może pan twierdzić, że to bez znaczenia.

- Prokuratura postanowiła postawić zarzuty, nie dysponując ciałem - powtórzył Gale. - Gdyby tego odkrycia dokonano za tydzień, pan Stoner byłby już dawno uniewinniony.

- To nieistotne, Wysoki Sądzie - oświadczył Dan.

- Może, ale faktem jest, że bardzo się panu śpieszyło, żeby postawić pana Stonera przed sądem. Teraz jakoś mniej się panu śpieszy, żeby pozwolić mu zadecydować o jego losie. - Sędzia zasznurowała usta i zanim któryś z prawników zdążył znowu zabrać głos, podniosła rękę. - Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej i o tym odkryciu, i o tym, jak długo trzeba będzie czekać na jakieś rozstrzygnięcia.

Jej oczy odnalazły w trzecim rzędzie Jonathana Stride'a. Skinęła na niego dłonią, przyzywając go do stołu.

Stride wstał, czując na sobie oczy całej sali. Nie był przygotowany. Nie spał tej nocy, jego ubranie było całe w błocie. Przyjechał do miasta zaledwie dwie godziny temu. Od wczesnego wieczoru wraz z dwudziestoma innymi policjantami przedzierał się pod blaskiem reflektorów przez grząski grunt, szukając dodatkowych śladów. Wiedział, że to daremny wysiłek, choć jeszcze przez wiele dni będą musieli przesiewać ziemię. Po sześciu miesiącach deszczów, śniegu i lodu mogło już nie pozostać nic, co wskazywałoby na obecność Graeme'a Stonera - żadnych śladów butów, nitek, krwi - nic prócz ciała, które także było tylko kupką kości.

Ale było. Pytanie tylko - czyje.

Stride pchnął bramkę i dołączył do Dana i Gale'a przy stole sędziowskim. Sędzia zlustrowała wzrokiem jego ubranie i worki pod oczami.

- Widzę, że miał pan ciężką noc, poruczniku.

- Bardzo ciężką, Wysoki Sądzie - odparł Stride.

- Mam nadzieję, że jest pan w stanie jeszcze przez chwilę nie zasnąć i odpowiedzieć na kilka pytań.

- Postaram się - uśmiechnął się Stride.

- Dziękuję. Po pierwsze, kto powiedział panu Finchowi i wszystkim jego kolegom po fachu o znalezieniu ciała? Już dostatecznie źle się stało, że coś takiego wynikło w środku procesu, ale jeszcze gorzej, że zostało roztrąbione na cały stan. Mamy szczęście, że przysięgli się nie dowiedzieli.

- Bardzo mi z tego powodu przykro, Wysoki Sądzie, Sam chciałbym wiedzieć, skąd Bird czerpie informacje. Nie mam pojęcia.

- No dobrze, trudno, na tym polega jego praca. A teraz proszę mi powiedzieć, co konkretnie znaleźliście. Czy to są na pewno ludzkie szczątki?

- Tak. Potwierdził to medyk sądowy.

- Płeć?

- Mówi, że żeńska.

Sędzia skinęła głową.

- I nie ma nic, co pozwoliłoby jej od razu zidentyfikować? To może być Rachel, Kerry albo jeszcze inna dziewczyna.

- Nic nie zostało. Żadnych ubrań, żadnych rzeczy osobistych, Ciało było częściowo spalone. Musimy zbadać DNA.

- Jak długo to wszystko będzie trwało?

Stride potrzęsła głową.

- Chciałbym móc udzielić jednoznacznej odpowiedzi, Wysoki Sądzie. Ale to może być równie dobrze kilka dni jak kilka tygodni.

- I w pobliżu nie znaleźliście nic godnego uwagi?

- Nie. Będziemy jeszcze szukać, ale nie jestem optymistą, zważywszy, ile czasu już minęło.

- Ale identyfikacja ciała jest sprawą kluczową, Wysoki Sądzie - przerwał Dan. - Gdyby okazało się, że to Rachel, miałyby to ogromny wpływ na proces.

- Gdyby, gdyby, gdyby - powiedział Gale. - Jeśli to, może tamto. Nie mamy dowodów, ale będziemy szukać. Może kilka dni, może kilka tygodni, może nigdy. Pan Stoner nie powinien być zmuszany do siedzenia tutaj, podczas gdy policja i prokuratura będą nas zwodzić mętnymi obietnicami dowodów, które dopiero mają mieć. To samo dotyczy przysięgłych. Dużo dymu, mało ognia, Wysoki Sądzie.

Sędzia westchnęła.

- Jestem skłonna przyznać panu rację.

Dan obiema rękami uchwycił się stołu.

- Wysoki Sądzie, kilka dni. Dajcie nam czas do końca tygodnia, żebyśmy mieli chociaż szansę potwierdzić tożsamość. Jeśli do tego czasu nic nie znajdziemy, proces zostanie wznowiony.

- A tymczasem zeznania świadków staną się mglistym wspomnieniem - dodał Gale jadowicie. - Nie, teraz albo nigdy.

- Przecież każde zeznanie można w dowolnej chwili odczytać - powiedział Dan.

- Och, błagam - rzucił Gale.

Sędzia uciszyła ich obu.

- Wystarczy, panowie. Panie prokuratorze, rozumiem pańską sytuację. Sama odczuwam duży opór przed kontynuowaniem procesu, mając przed oczami kuszącą perspektywę zdobycia nowych, być może kluczowych dowodów. Ale w tej chwili nie macie nic poza nadziejami i teoriami. Rozpoczął pan tę sprawę, mimo że nie było ciała, w przekonaniu, że zdoła pan w tym stanie rzeczy uzyskać wyrok skazujący. Będzie pan musiał ponieść konsekwencje tej decyzji.

Sędzia włączyła mikrofon i uderzyła młotkiem w stół, by uciszyć salę. Ogłosiła postanowienie.

- Oddalam wnioszek o odroczenie rozprawy, kontynuujemy.

- Wysoki Sądzie, ponownie wnioskuję o dopuszczenie dowodu ze słyszenia w postaci zeznania doktor Nancy Carver o istnieniu związku seksualnego między oskarżonym a Rachel Deese z powodu niemożności przesłuchania Rachel Deese osobiście.

- Oddalam wnioszek. Coś jeszcze?

Dan zacisnął pięści w bezsilnym gniewie.

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Doskonale. Woźny, proszę wprowadzić przysięgłych.

Stride odwrócił się od stołu. W oczach Dana widział furję, skierowaną na niego lodowaty chłód, jakiego nie odczuł jeszcze nigdy w życiu. Dan wyglądał tak, jakby jego przyszłość została pogrzebana w tym płytkim dole, z którego wykopali ciało, a winę mógł przypisać tylko jednej osobie.

- Spieprzyłeś mi tę sprawę od pierwszej sekundy - wyszeptał.

Stride nie odpowiedział. Nie miał czasu.

Coś było nie tak.

Szum na sali zmienił charakter. Szmery i szepty, które rozbrzmiały po ogłoszeniu postanowienia sądu przerodziły się w jakiś niepokój. Ludzie zaczęli się kręcić, wstawać, coś sobie pokazywać. Z trzeciego rzędu Maggie zawołała Stride'a po nazwisku i zaczęła się przepychać do przejścia między rzędami.

Po chwili zaczęli też krzyczeć inni.

Stride zobaczył, jak Graeme Stoner zrywa się ze swojego krzesła, jakby przeszedł go prąd elektryczny. Wsparł się obiema rękami o pulpit. Oczy miał szeroko rozwarte, pełne zdumienia.

Otworzył usta, jakby chciał się zaśmiać. Nagle pierś mu zafalowała i zamiast śmiechu z jego ust wydobyła się strużka krwi. Zamrugał. Spojrzał w dół, na kropelki rozpryskujące się na jego białej koszuli jak wiśnie na śniegu. Uśmiechnął się.

Potem jego klatka piersiowa zafalowała znowu, a strużka przerodziła się w rzekę. Jaskrawoczerwona krew popłynęła z ust i nosa Graeme'a. Rozlała się na jego garnitur i na pulpit, wsiąkając w leżące tam papiery. Jak szkarłatna fontanna spłynęła kaskadą na podłogę, zbierając się w kałuże.

Oczy Graeme'a poszarzały, zrobiły się szkliste i uciekły w tył głowy. Jeszcze kilka sekund stał. Potem jego ciało zadrżało. Ramiona się zapadły i osunął się na pulpit. Głowa zwisała mu z krawędzi, wciąż rozpryskując gejzer krwi. Na podłodze zebrało się jej już całe jezioro. Nie można było zakręcić kurka. Nawet Dan Erickson i Archibald Gale krzyknęli i cofnęli się przed czerwonym przyływem w niebezpiecznej bliskości ich butów.

Graeme tymczasem leżał twarzą w dół, wydając ostatnie tchnienie.

Stride chciał podbiec, ale się pośliznął. Odzyskał równowagę i dał nura do przodu. Maggie dopadła Graeme'a pierwsza. Odepchnęła kilka osób, które znieruchomiały ze zgrozy, stały jej na drodze. Przeskoczyła tych, którzy krzycząc, rzucili się do panicznej ucieczki.

Emily Stoner stała w pierwszym rzędzie, skamieniała, tak samo jak wszyscy wokół niej, wpatrzona w przesiąknięte krwią ciało męża tuż przed nią. Prawe ramię miała wzniesione. Maggie chwyciła je żelaznym uściskiem swoich drobnych dłoni, unieruchamiając w powietrzu, ale Emily sprawiała wrażenie, że tego nie zauważyła. Nie poruszyła się. Nie puściła tego, co miała w ręku.

Wtedy właśnie dobiegł do nich Stride. Przechylił się nad żalonym trupem Graeme'a Stonera i wyjął z dłoni Emily pokryty czerwienią rzeźnicki nóż. Prawdziwy sądny dzień.

32.

Okna w bibliotece na piętrze były zamknięte; targała nimi poranna burza. Gale oparty o framugę okienną sączył kawę z porcelanowej filiżanki. Przeniósł wzrok na Dana Ericksona, który rozsiadł się na kanapie z talerzem jajek i kielbasek z wysoką szklanką soku pomarańczowego.

- Wiesz, że by go uniewinnili - powiedział.

Jego usta wygięły się w uśmiechu, a oczy rzucały błyski.

Nóż i widelec Dana zazgrzytały o talerz. Z przekrojonego jajka wypłynęło żółtko.

- Nie bądź taki pewny. Słyszałeś wywiad Birda z przysięgłymi. Nie uwierzyli, że Sally miała z tym coś wspólnego. Uważali, że on to zrobił.

- Zdaje mi się, że używali określenia „prawdopodobnie”, a gdyby to było na sali sądowej, to by już wystarczyło jako uzasadniona wątpliwość. Poza tym wszyscy mieli okazję wysłuchać twojej konferencji prasowej w ubiegłym tygodniu. Gniewny prokurator obalający nieuzasadnione zarzuty wobec niewinnego dziewczątka. Żadnych dowodów poza tymi, które wskazywały na pana Stonera. - Twarz Gale'a oświetliła błyskawica. - Mniejsza o to, że nie potrafiłeś udowodnić tego w sądzie.

- To ty tak twierdzisz - odparł Dan uprzejmie.

Gale pokręcił głową.

- Nie mieści mi się w głowie, że Emily weszła tam z nożem.

- Mieliśmy wykrywacze metalu. Ale na nią polowali dziennikarze. Poprosiła, żeby ją wprowadzić tylnymi drzwiami. Kto by się spodziewał, że wpadnie w taką wściekłość.

- Mówisz, że to cię zaskoczyło? Daj spokój. Chwilami odnoszę wrażenie, że chciałeś, żeby coś takiego się zdarzyło, Danielu. - Gale upił jeszcze trochę kawy. - Zawarłeś z nią układ?

- Zabójstwo drugiego stopnia. Trzy lata więzienia o złagodzonej rygorze.

- Sprawiedliwość trąciła ją po łapkach.

- Och, przestań. Facet zabił jej córkę. Nie jesteśmy już w sądzie, Archie. Przecież tak naprawdę nie wierzysz, że Graeme był niewinny, co?

- Nie wiem, czy był niewinny. Nie wiem, czy był winny. Ty też nie wiesz.

Dan przyłożył serwetkę do ust i wstał, wygładzając garnitur. Wziął dzbanek z kawą i nalał sobie.

- Tak czy owak, to był genialny pomysł, żeby wysledzić Sally u Rachel. Co ci nasunęło tę myśl?

- Widać, że nigdy nie wychowywałeś nastolatków - roześmiał się Gale. - Naprawdę myślisz, że dziewczyna, która widzi, jak inna dziewczyna podrywa jej chłopaka, mogłaby tak po prostu wrócić do domu i iść spać? Nie ma mowy. Pyskówka była nieunikniona.

- A ta historia z Kerry McGrath?

- Kiedy już wiedziałem, że Sally tamtej nocy poszła zobaczyć się z Rachel, zacząłem szukać analogii. A gdy Kevin przyznał, że Kerry robiła mu propozycje, to było niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Dan wzruszył ramionami.

- Ojciec Sally szperał w papierach i sprawdzał kalendarz. W tamten weekend cała rodzina była w teatrze. Na *Nędznikach*. Sprawdziliśmy, że rzeczywiście kupili bilety.

- Taki dowód kochający ojciec jest w stanie skombinować, gdy córka ma kłopoty.

- Ona tego nie zrobiła, Archie.

- Niech ci będzie. Ale w tej sprawie jest coś więcej, niż wypłynęło w sądzie.

Budynkiem klubu wstrząsnął grzmot. Gale w zamyśleniu wpatrywał się w niebo.

- Skoro Graeme nie żyje, pewnie nigdy się nie dowiemy - rzekł Dan.

Gale pogładził się po bródce.

- Och, nie wiem. Może Rachel wróci i sama zdradzi nam swoje sekrety? Jak duch.

Stride nasłuchiwał gwałtownego bębnienia deszczu w szyby. Z każdą błyskawicą pod powiekami pojawiała się jasność. Dębowe deski werandy jęczały pod naporem wiatru. Czuł słodką świeżość powietrza przyprawionego jeszcze pleśniowym zapachem lasu.

Gdy grzmot obudził go o czwartej nad ranem, opatulony kocami przeniósł się na werandę i włączył grzejnik. Burza huczała mu nad głową, tocząc się falami od zachodu, a on to zasypiał, to znów się budził. Budzik w sypialni wydzwonił się już ze dwie godziny temu. Mniejsza o to. Niebo było nadal tak ciemne, że wyglądało jak w nocy.

Śledztwo i proces wciąż nie schodziły mu z myśli. Nie miał poczucia, że sprawa została zamknięta. Absolutnie nie był w stanie uwierzyć w niewinność Stonera. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Ale może okłamywał sam siebie, próbując przekonać własny mózg, że od początku nie był w błędzie. Odpędzał wątpliwości jak komary, a one jak komary po chwili wracały, brzęcząc mu nad uchem. Coraz głośniejsze.

Pomyślał o pocztówce. Gdy wieczorem wrócił do domu, czekała w skrzynce pocztowej. Spoglądał na nią co kilka minut. I słyszał komary.

Podłoga zaskrzypiała pod ciężarem kroków. Stride błyskawicznie otworzył oczy. Wyciągnął szyję i w drzwiach werandy zobaczył Maggie. Jej czarne włosy były kompletnie mokre. Z twarzy i rękawów kapą woda. Sprawiała wrażenie małej i bezbronnej.

- Widzę, że sprzedajesz dom - powiedziała.

Tablica została wystawiona kilka dni temu. Znowu zamknął oczy i pokręcił głową, zły sam na siebie.

- Miałem ci właśnie powiedzieć. Naprawdę, Mags.

- Żenisz się, prawda? Z nauczycielką?

Stride pokiwał głową.

To się stało jakiś tydzień temu, przy kolacji. Teraz, kiedy spoglądał wstecz, nawet nie był pewien, kto się komu oświadczył. Zaczęli ją na trzeźwo, w złych nastrojach, a zakończyli kilka godzin później pijani i zaręczeni. Andrea przywarła do niego i nie chciała go puścić. To było miłe uczucie.

- Przepraszam, Mags.

Wyjęła rękę z kieszeni i wycelowała w niego palec wskazujący jak pistolet.

- Straciłeś rozum, szefie? Popełniasz tragiczny błąd.

- Wiem, że jest ci przykro.

- Żebyś, cholera, wiedział, że jest mi przykro, kiedy widzę, jak mój przyjaciel zamierza spieprzyć sobie życie. Powiedziałam ci, żebyś uważał, nie? Oboje próbujecie się odbić od dna. Cindy zawsze mówiła, że pod względem emocjonalnym jesteś najtępszym człowiekiem na ziemi, i widzę, że chyba miała rację.

- Nie mieszaj w to Cindy - warknął Stride.

- Bo co? Chcesz mi wmówić, że to nie ma z nią nic wspólnego? Powtarzam raz jeszcze, szefie. Popełniasz błąd. Nie rób tego.

- Ty i ja, to było nierealne. Nie sprawdziłoby się. Sama to przyznałaś.

- Myślisz, że chodzi mi o siebie? - spytała Maggie. Wzniosła oczy do sufitu, jakby wzywając boskiej pomocy. - Nie do wiary.

Zapadła między nimi krępująca cisza. Zakłócał ją jedynie pomruk burzy na dworze i woda kapiąca z kurtki Maggie na podłogę werandy.

- Czy to złe, jeśli wiąże się dwoje ludzi, którzy się nawzajem potrzebują?

- Tak. To jest złe. Wiązać się powinni ludzie, którzy się kochają.

- Och, daj spokój, tym twoim słownym gierkom.

- To nie są żadne gierki. Jesteś zakochany albo nie jesteś. Albo należycie do siebie na zawsze, albo nie macie żadnego powodu, żeby się pobierać.

- Myślałem, że może się ucieszysz ze względu na mnie - powiedział Stride.

- Chciałbyś, żebym się uśmiechnęła, poklepała cię po plecach i powiedziała, że to cudownie? - W głosie Maggie buzował gniew. - A gównu. Ani mi się śni. Nie pojmuję, jak ci to mogło przyjść do głowy.

Stride nie odpowiedział. Słuchał jak oddycha gwałtownie. Maggie potrząsnęła głową i westchnęła, zbierając emocje jak rozsypane po podłodze kamyki.

- Jeśli czujesz, że musisz to zrobić, no to rób. Ale nie mogłabym spojrzeć na siebie w lustrze, gdybym nie powiedziała, co mam do powiedzenia.

- W porządku, Mags. Powiedziałaś.

Dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Było to pożegnanie bez słów. Nie pożegnanie na zawsze, po prostu pożegnanie z ich przyjaźnią w dotychczasowym kształcie.

- Przyszłam ci powiedzieć, że to nie jest ciało Rachel -oznajmiła Maggie, wracając do profesjonalnego rzeczowego tonu. - Mamy wyniki badań DNA. To Kerry.

Stride zaklął pod nosem. Pomyślał o tej słodkiej niewinnej dziewczynie. Stracił ją, stracił Cindy. Znów owładnął nim gniew. Gniew, że zabójca uszedł kary.

A potem pomyślał: to nie Rachel. Znów usłyszał komary wokół głowy. Brzęczały.

- Wczoraj dostałem coś pocztą - powiedział spokojnie.

Ruchem głowy wskazał leżącą na stoliku do kawy pocztówkę. Maggie rzuciła okiem na fotografię przedstawiającą szare zwierzę o długich uszach i dziwnych proporcjach ciała na tle pustyni.

- Co to jest, u diabła?

- Szakalopa - odparł Stride. - Pół szakal, pół antylopa.

Maggie zrobiła głupią minę.

- Co takiego?

- To żart - wyjaśnił Stride. - Bujda. Takie zwierzę nie istnieje. Takie pocztówki wysyła się ludziom, żeby sprawdzić, jak bardzo są łatwowierni.

Maggie sięgnęła po pocztówkę.

- Nie dotykaj jej, trzymaj tylko brzegi.

Maggie zamarła z dłonią znieruchomiałą w powietrzu i rzuciła Stride'owi pełne ciekawości spojrzenie, jakby wyczuła coś strasznego. Potem ostrożnie podniosła pocztówkę, trzymając krawędzie między palcami, i odwróciła ją. Odczytała tekst nabazgrołony czerwonym atramentem. W miejscach, gdzie na pocztówkę padły krople deszczu, litery rozmyły się i spływały czerwonymi strużkami.

Zasługiwał na śmierć.

- Do stu sukinsynów - wyrwało się Maggie. Szeroko otwarte oczy wlepiała w Stride'a i gwałtownie potrząsnęła głową. - To nie może być od niej. Od Rachel. Ta dziewczyna nie żyje.

- Nie wiem, Mags. Jak bardzo jesteśmy łatwowierni?

Maggie przyjrzała się znaczkowi pocztowemu.

- Las Vegas.

Stride pokiwał głową.

- Miasto wyrzutków - rzekł.

CZEŚĆ CZWARTA

Trzy lata później

33.

Suchy Bob mieszkał w przyczepie kempingowej zakotwiczonej przy niezbyt uczęszczanej drodze kilka kilometrów na południe od Las Vegas. Jak wielu włóczęgów przybył tu nie wiadomo skąd. Przed rokiem pojawiła się przyczepa. Przyholowała ją tu ostro ciężarówka, która zawróciła do miasta natychmiast, gdy buda na kółkach została odczepiona. Następnego dnia po tym, jak zajęła swoje obecne miejsce przy zakurzonej drodze, na poboczu autostrady pojawił się drewniany palik, a na nim deseczka z nabazgranym odręcznie napisem:

Suchy Bob

A pod spodem:

Upominki ezoteryczne
Poezja
Suszone mięso

Bob przedzierał wewnątrz przyczepy zasłoną, w otworze wejściowym ustawiał rozchwierutany stolik i kasę i otwierał swój interes. Wywieszał dziesiątki dzwoneczków powietrznych ze szkła witrażowego, do metalowej tablicy przybitej na ścianie przyczepiał magnesiki w kształcie piramidy, a na półkach rozstawił kadzidelka, świece o zapachu drzewa sandałowego i wiersze wykaligrafowane na papierze, które potem kopiował na staroświeckim powielaczu, zwijał arkusze w ruloniki i obwiązywał je purpurowymi wstążeczkami.

Ale jego regularni klienci nie przyjeżdżali po dzwoneczki powietrzne ani po wiersze. Przyjeżdżali po suszone mięso: wołowinę, kurczaka, indyka - w smakach teriyaki czy cajun - które Bob trzymał w pudełkach po butach w starej lodówce. Większość z nich to byli kierowcy ciężarówek. Wystarczyło, że zatrzymało się ich paru z czystej ciekawości, a wieść rozeszła się po całym Południowym Zachodzie. Jeden przekazywał drogiemu. Jedziesz do Vegas? Zjedź do Suchego Boba. Przyjeżdżali w jego stałych godzinach otwarcia, czyli dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Jeśli akurat spał, po prostu go budzili i sprzedawał im swoje suszone mięso. Zarabiał co miesiąc tyle, że gdyby pieniądze się go trzymały, mogłyby przeprowadzić się do miasta i otworzyć prawdziwy sklep, przestrzegać przepisów sanitarnych i płacić podatki, zamiast przemykać się pod radarem fiskusa.

Ale pieniądze się Boba nie trzymały. Połowa trafiała do automatów do gry. Połowę w postaci butelek po dżinie wyrzucał z przyczepy na pustynię, gdzie lśniły jak pole diamentów.

Bob rok temu popełnił samobójstwo, tylko jego ciało jeszcze tego nie odnotowało.

Kierowcy gadali o tym między sobą. Jeszcze rok temu Bob jak na faceta, który po całych dniach prażył się na pustyni, wyglądał dość normalnie. Ale potem z każdym miesiącem starzał się coraz gwałtowniej. Nigdy się nie golił, co najwyżej wycinał sobie kołtuny z długiej siwiejącej brody. Włosy spadały mu z ramion w splątanych

kosmykach. Skóra pomarszczyła się i poszarzała, a oczy zapadły w głąb czaszki. Nie jadł też prawie nic poza swoim suszonym mięsem i był coraz to chudszy i chudszy, aż doszedł do niespełna sześćdziesięciu kilogramów. Nigdy nie prał ubrania, czyli dżinsów i T-shirtu z napisem Las Vegas, zwisających smętnie z jego chudej sylwetki. Towarzyszył mu taki smród, że niektórzy z jego klientów nie mogli się zmusić, żeby wejść do środka i zwracali mu uwagę, że nawet mięso zaczyna śmierdzieć. Bob tylko otwierał okno, aby suche, pełne kurzu powietrze przewiało jego przyczepę.

Nie mógł już chodzić do kasyn. Zawracano go od drzwi. Co kilka dni spędzał więc czas w barze jakiś kilometr od przyczepy, gdzie grał w wideopokera, dopóki barman był w stanie wytrzymać. Potem kupował sobie butelkę dżinu, szedł do siebie, wypijał ją i odpływał. Rano czy kiedy tam następny kierowca ciężarówki zabębnił w drzwi dość głośno, żeby go obudzić, wyrzucał ją na pustynię.

Poprzedniego wieczoru to były dwie butelki. Może zresztą to było dwa wieczory temu, a może trzy. Nie wiedział.

Nie pamiętał zbyt wiele. W telewizji słyszał, że jest środa, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy poszedł w tango. Ostami klient przyjechał po południu - tyle że nie pamiętał, jakiego dnia - i potem zaczął nalewać sobie szklanekę po szklance dżinu. A teraz była środa.

Bob westchnął. Musiał się odlać.

Wstał, przytrzymując się ściany, żeby złapać równowagę. Przez kilka sekund przyczepa wirowała wokół niego, ale w końcu się ustabilizowała. Zszedł z materaca na podłogę i chwilę przyglądał się umykającym pluskwom. Niedaleko leżały dwie butelki po dżinie. Bob kucnął, podniósł je i zajrzał do środka. W każdej zebrała się resztką, tylko tyle, że gdy odwrócił je do góry dnem i nadstawił usta, zdołał zamoczyć język. Jego organizm był już tak zatruty, że od samego smaku żołądek natychmiast zafalował i musiał kilka razy z wysiłkiem przełknąć ślinę, żeby nie wymiotować.

Bob chwycił butelki za szyjki. Rozejrzał się za sandałami, dostrzegł je pod krzesłem i wsunął w nie stopy. Klapiąc butami, powłókł się do wyjścia. Zapinki dawno się zepsuły. Otworzył sobie drzwi kolanem i do środka wdarł się dzień. Jeszcze nagi, Bob poczłapał po zardzewiałych schodkach na piach za przyczepę.

Słońce paliło jak oszalałe, niczym żółty pożar rozlewający się po wzgórzach. Zmrużył oczy, a jego skóra ściągnęła się na upale. Zaczynał się gotować. Z każdym wdechem wciągał do płuc rozżarzone powietrze.

Penis drgnął, gotów do akcji. Bob zaczął sikać mocnym strumieniem, który wzbil z ziemi obłoczek kurzu, a następnie zebrał się w niewielką kałużę. Nadal sikał w sam jej środek. Kilka kropli spadło mu na stopy. Przyglądał się strudze moczu w takim skupieniu, jakby wyciekała z niego życiodajna krew. Mocz był mętny i śmierdzał dżinem. Bob wiedział, że za kilka sekund kałuża zniknie, wyparuje na słońcu.

Strumień zaczął słabnąć i po chwili sączyła się już tylko wąska strużka.

Jedną ręką cisnął butelkę w powietrze. Obserwował ją, gdy błyszcząc w słońcu, płaskim łukiem leciała ku ziemi. Nasłuchiwał brzęku szkła i patrzył, jak odłamki rozpryskują się na wszystkie strony. Następnie z namaszczeniem powtórzył rytuał z drugą butelką, napawając się świstem powietrza, a potem trzaskiem.

Leżały tam już dziesiątki rozbitych butelek. To było jego prywatne pole minowe. Większość odłamków szybko zasypywał piach, ale te najświeższe błyszczały, odbijając promienie słoneczne jak wiązki promieni laserowych.

Zmrużył oczy, przypatrując się pustyni. Był na dworze kilka minut; najwyższy czas, żeby wrócić do wozu, gdzie co prawda nie było chłodniej, ale przynajmniej ciało nie prażyło się bezpośrednio na słońcu. Jego pomarszczona skóra tak często ulegała oparzeniom, że tu i tam miał małe sączące się i niegojące ranki. Czuł teraz, jak go pieką.

Mimo to Bob tkwił na miejscu.

Sam nic wiedział, co przyciągnęło jego wzrok. Widział mocne, choć niewysokie, pokrzywione od wiatru krzaki kreozotu i juki jak karłowate palmy. Były tam, gdzie powinny być. I wzgórza w oddali wyglądały tak samo. I potłuczone butelki błyskały jak zawsze. Jak diamenty.

Tyle że - nie, to niemożliwe.

Coś było nie tak. Widział błysk słońca odbity od czegoś, ale nie na polu minowym, gdzie zawsze rzucał butelki. To coś przyciągało jego wzrok z dalszej odległości, trochę z boku, gdzie nie mógł dostrzec żadnych odłamków. A jednak coś migotało w gorącym słońcu, niczym diamenty mrugające na niego spod krzaka.

Co to jest?

Bob zmarszczył czoło. Sam nie wiedząc dlaczego, powłókł się przez piach, by sprawdzić, co to takiego. Im był bliżej, tym szybciej szedł, aż w końcu prawie biegł. Nie miał kondycji, brakowało mu tchu, ale ostatnie kilkanaście metrów przebył truchtem, aż znalazł się dokładnie w miejscu, z którego wabiły go diamenty. Tam zatrzymał się i spojrzał na ziemię.

Diamentowy połysk pochodził z brokatowego żeluzi pokrywającego skórę leżącą w piachu kobiety.

Leżała twarzą w górę, częściowo zasłonięta przez zwisające nisko nad ziemią gałązki. Była naga tak jak on, tylko że martwa, o wieku trudnym do określenia: po prostu wyschnięty trup ze ściągniętą skórą i oczami szeroko otwartymi, ale skurczonymi do wielkości drobnych kamyczków, z brudnymi, poszarzałymi blond włosami i otwartymi w bezgłośnym krzyku ustami, przez które jak przez bramę maszerowały pustynne żuki, aby wyjadać ciało od środka. Trudno byłoby rozpoznać w niej coś, co kiedyś było ludzkie i piękne.

Bob osunął się na kolana.

Patrzyła prosto na niego. Jej bezbarwne teraz usta wykrzywiały uśmiech. Ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął jej skóry, jakby się obawiał, że nagle się obudzi i złapie go. Ale ona się nie poruszyła. W dotyku jej skóra była jak papier ścierny.

Nagle zobaczył, że przez jej twarz przebiegł skurcz. To jakiś koszmar! Przecież ona nie żyje!

Bob gapił się na nią ze zgrozą. Usta otworzył w bezdźwięcznym krzyku, który wzbierał w jego duszy i nagle zobaczył, jak z nosa trupa gramoli się tłusty karaluch i macha na niego czułkami. Potykając się, rzucił się w tył, zaczął biec. Nie do przyczepy, po prostu odwrócił się i na łeb na szyję, niezdarnie pognął przed siebie na szosę. Sandały zgubił po drodze. Kamyki pustyni raniły mu stopy, aż zaczęły zostawiać krwawe ślady. Ale biegł, nie zwalniając, nie oglądając się za siebie, jakby po piętach deptał mu duch dziewczyny.

Serena Ditol z Biura Szeryfa Okręgu Clark zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i spojrzała na ciało.

- Ładny widoczek.

Powiedziała to w przestrzeń, do nikogo. Prawdę mówiąc, widoczek wcale nie był ładny. Nienawidziła trupów znajdujących na pustyni. Wszystkie wyglądały, jakby miały po sto lat, a czasem, jeśli się je znalazło w drugiej kolejności po ptakach i zwierzętach, były w dodatku objedzone; nie miały oczu, mięśni zupełnie jak w koszmarnym śnie. Najczęściej widywała zwłoki z nożami w plecach albo z ranami postrzałowymi, co dla kogoś uodpornionego na krew, nie było wcale takie znowu trudne do strawienia. Przynajmniej ciało wyglądało jak ciało. Nie tak jak to tutaj.

Z pewnością kobieta. Tyle bez trudu dało się ustalić. Słońce robiło okropne rzeczy z ludźmi, którzy mieli pecha po śmierci spędzić trochę czasu na pustyni, ale nigdy nie słyszano, żeby pod jego wpływem znikaly fiuty. Natomiast piersi, owszem, spłaszczaly się praktycznie do zera. Tylko że ten tutaj trup, uprzytomniła sobie Serena, wciąż miał je całkiem niezłe. Ciekawa sprawa. Poza tym ciało świeciło w słońcu, jakby do niej mrugając. To także było ciekawe.

Serena osunęła się na czworaka i przybliżyła do ciała na odległość kilku centymetrów, tak żeby go nie dotknąć. Obejrzała stopy, potem resztę nóg, więcej czasu, niżby chciała, poświęciła na oględziny krocza, potem brzuch, piersi, wreszcie twarz i usta. które wyglądały jak wyciągnięte do makabrycznego pocałunku.

Serena wstała, wyciągnęła z kieszeni cyfrowy dyktafon i zaczęła mówić.

Wiatr targał jej włosy, bujne, czarne, do ramion. Miała figurę tancerki rewiowej, za którą omyłkowo brała ją na pierwszy rzut oka większość odwiedzających Las Vegas. Nabrała więc nawyku noszenia odznaki, co na ogół kładło kres niepożądanym awansom ze strony pijanej stonki. Miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, była gibka i harmonijnie zbudowana. Ubrana w biały top i obcisłe spłowiałe dżinsy. Dzięki regularnym intensywnym ćwiczeniom fizycznym była silna i dobrze umięśniona. Ponieważ większość dnia spędzała na słońcu, jej skóra miała odcień złotego brązu.

Była po trzydziestce. Oczy, zazwyczaj ukryte za brzoskwiniowymi szklami przeciwsłonecznymi, miały barwę szmaragdowej zieleni. Usta miała drobne, wargi blade, podbródek łagodnie zaokrąglony. Nie sprawiała wrażenia młodej, dziewczęcej, nie sprawiała go zresztą nigdy. Tak jak teraz, pięknie, ale dojrzałe, wyglądała już jako nastolatka. Dopiero niedawno jej wiek zaczął doganiać wizerunek. Czasem, w chwilach bezczynności, zastanawiała się, jak to będzie, gdy zacznie go przeganiać.

Dziewczyna leżąca u jej stóp też się pewnie nad tym zastanawiała. Ale już się nie dowie. I całe szczęście, że nie mogła się teraz zobaczyć.

- Wiek - powiedziała Serena do dyktafonu. - Z tym trzeba poczekać na oględziny lekarskie. Ale według mnie najwyżej dwadzieścia parę. Przyczyną śmierci był najprawdopodobniej tępy uraz czaszki. Na tylnej powierzchni głowy we włosach widoczna jest zaschnięta krew. Nie ruszając ciała, mogę tylko przypuszczać, że w tym miejscu może być wgniecenie. Włosy czarne, farbowane na blond.

Serena przyjrzała się pustynnemu otoczeniu.

- Nie została zabita tutaj. Za mało krwi na ziemi. Ktoś, kto to zrobił, przytargał tu ciało i porzucił. Jest naga, ale nie widać oznak gwałtu, nie ma siniaków w okolicy miednicy, zadrapań, połamanych paznokci, żadnych ran. Trzeba będzie jednak sprawdzić, czy nie doszło do gwałtu. Czas zgonu - nie do ustalenia. Zobaczymy, czy lekarz będzie w stanie się wypowiedzieć. Przypuszczam, że co najmniej kilka dni. Stężenie pośmiertne ustąpiło całkowicie. Mamy szczęście, że nie zdążyły się do niej dobrać sepy.

Nagle coś jej przyszło do głowy. Jednym palcem ostrożnie puknęła pierś martwej dziewczyny.

- Oczywiście - powiedziała sama do siebie, wstając.

Kontynuowała nagranie.

- Uszy przekłute, ale bez kolczyków. Brak zegarka. Brak pierścionków. Paznokcie u rąk i nóg pomalowane na czerwono. Na twarzy pozostałości mocnego makijażu.

Większość ciała pokryta żelem brokatowym.

Usłyszała zbliżające się kroki, a potem głos:

- Hola.

- Uważaj, gdzie stąpasz, Cordy - rzuciła Serena, nie oglądając się.

Prawdę mówiąc, to i tak było bez znaczenia. Prowadziła już wizje lokalne na pustyni i wiedziała, że najczęściej nie znajduje się żadnych śladów. Nic dziwnego, że gangsterzy starego poczciwego Vegas lubili podrzucać tam swoje ofiary.

Cordy udął obrażonego.

- Co ja jestem? Żółtodziób?

Cordero Elias Angel od pół roku był jej partnerem w służbie. Serena, która zyskała sobie sławę trudnej we współpracy, zmieniała podwładnych dość często. Ale wyglądało na to, że Cordy miał szansę utrzymać się dłużej. Dawał z siebie tyle, ile dostawał, robił, co mu kazano i ani razu nie spróbował jej poderwać. Cordy lubił drobne młodziutki blondynki, a Serena nie spełniała żadnego z tych trzech warunków. Był też od niej ponad dziesięć centymetrów niższy i sześć lat młodszy. Ich układ nie miał w sobie nic romantycznego.

Ze swoim wyglądem Serena otrzymywała mnóstwo propozycji. Ale ile razy opuściła przyłbicę i zgadzała się na randkę, spotkanie z reguły kończyło się dość szybko. Jej obcesowy sposób bycia zrażał facetów. Od lat z nikim nie spała. I mówiła sobie, że jej tego nie brakuje.

Cordy przeciwnie, prowadził aktywne życie towarzyskie. Przez ten krótki czas, odkąd pracowali razem, widziała go z sześcioma różnymi kobietami w wieku od dwudziestu do dwudziestu trzech lat. Żadna nie wyszła poza etap łóżkowej gimnastyki. Dla co najmniej dwóch z nich to był pierwszy raz, w każdym razie tak twierdził Cordy. Serena uważała, że to odrażające, i powiedziała mu to bez ogródek. Cordy tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu; uznała, że lepiej dać spokój tematowi, niż wywoływać stare duchy.

Mimo kompaktowych rozmiarów był atrakcyjnym towarem. Ubierał się zawsze nienagannie. Dziś włożył kwiecistą koszulę od Tommy'ego Bahama i czarne jedwabne spodnie. Miał kruczoczarne włosy zaczesane do tyłu i przygładzone żelem. Skórę miał śniadą, koloru oliwy z pierwszego tłoczenia. Na tle jego latynoskiej cery zęby sprawiały wrażenie uderzająco białych, a brązowe oczy drapieźnych. Serena wystawiła kciuk w kierunku przyczepy.

- No i co tam?

- Ach, żałosny dziadyga. Nawet nie taki stary, ale wiesz, szybko się stacza. Każdej nocy topi smutki w butelce dżinu. Widzisz to potłuczone szkło? Jak skończy, po prostu rzuca ją za siebie.

Serena przyjrzała się polu tłuczonego szkła za przyczepą.

- Dopilnuj, żeby dokładnie to zbadać. Jeśli tragarz się skaleczył, włokąc tu to ciało, to może uda się znaleźć jakąś krew.

- Uhm - odparł Cordy.

- Za kilka miesięcy pewnie znajdziemy i Suchego Boba rozkładającego się w tej przyczepie - zauważyła Serena. - Czy to on zadzwonił na policję?

Cordy pokręcił głową.

- On tylko znalazł ciało i ze strachu całkiem mu odbiło. Pobiegł na golasa na szosę. Z autostrady zauważył go motocyklista i zgłosił to. Kiedy go zatrzymano, bełkotał w kółko o żywym trupie.

- Znał tę dziewczynę?

- Nie, mówi, że nigdy wcześniej jej nie widział. Po prostu wyszedł się odlać i natrafił na zwłoki. Niespodzianka.

- A jak to wygląda w czasie? Ma jakieś pojęcie, kiedy ta paczuszka mogła zostać dostarczona? Słyszał coś, Widział?

- Gdzie tam, nic a nic. *Nada*. Był schlany do nieprzytomności przez przynajmniej dwa dni, może trzy. To mogło się stać kiedykolwiek.

Serena westchnęła.

- Super.

- Na moje oko nie mamy tu za wiele materiału.

- Rozumiem, że przeszukałeś przyczepę pod kątem krwi?

- Uhm. Pokrwawił sobie stopy, kiedy biegł na bosaka, ale jak na rozwaloną głowę było tego za mało. A wierz mi, że w tej przyczepie dawno nikt nie sprzątał. Denatki tam nie było, chyba żeby przyjąć wersję, że przyczyną zgonu było uduszenie od smrodu. Ale powinnaś skosztować tego suszonego mięsa. Dał mi kawałek. Chyba indyk cajun. Dobrze, jeśli ktoś jest w stanie znieść zapach.

- Jak będziesz musiał po drodze do miasta zjeżdżać na pobocze i dawać nura na pustynię, pożałujesz, że próbowałeś.

- Jestem Meksykaninem. Mam żołądek ze stali. Chili, mamuśka - Cordy grzmotnął się pięścią w klatkę piersiową.

Serena potrząsnęła głową.

- Salmonella, słonko. Nie jest zastrzeżona dla *gringos*.

- Zapominasz o jednym. Chciałem zobaczyć, czy nie ukrywa czegoś w lodówce, a nie miałem nakazu rewizji. Tak więc teraz, dzięki temu smakołykowi, wiem, że w pudełkach po butach nie ma nic innego, jak tylko suszone mięso.

- Jestem pod wrażeniem, słonko. Naprawdę.

Serena jeszcze raz spojrzała na ciało, żałując, że nie ma go czym nakryć, by przywrócić dziewczynie odrobinę godności. Las Vegas miało swoją kronikę niesamowitych zbrodni i już od dawna nic, co tam znajdowała, nie było w stanie jej zadziwić. Brała udział w rewizji podejrzanej kobiety, która najpierw obnażyła imponujące piersi, a już po chwili okazała się przesadnie hojnie wyposażonym przez naturę mężczyzną. Prowadziła śledztwo w sprawie morderstwa Karla, którego dwie żądne wrażeń nastolatki rozciągały na domowej roboty kole, aż go rozerwały. Aresztowała kiedyś mężczyznę, który nago spacerował po śródmieściu z dwiema kozami. Pokręcone, chore, głupie - widziała i robiła już wszystko. Ale od czasu do czasu trafiała na sprawę, o której instynkt jej mówił, że to coś interesującego, głębokiego i mrocznego. To właśnie szósty zmysł mówił jej teraz.

Było coś jeszcze. Szczególnie bolała ją każda sprawa związana z zabójstwem młodej kobiety. Zbyt dobrze pamiętała lata swojego dorastania w Phoenix i miała świadomość, że gdyby to czy tamto w jej życiu przybrało inny obrót, ona też mogłaby być takim nagim ciałem na pustyni.

- Jak się nazywasz, mała? - szepnęła, wpatrzona w zwłoki dziewczyny.

- Zdaje się, że nadciąga kawaleria - rzekł Cordy. Wskazał na szosę, którą właśnie zaczął napływać strumień karet i wozów policyjnych. - Powiedz, że nie będziemy się tu piec przez najbliższe pięć godzin, podczas gdy oni będą grzebać w ziemi.

Serena pokręciła głową.

- Zabezpieczymy teren i przekażemy Neussowi. Popołudnie na słońcu dobrze mu zrobi. Pogadamy z lekarzem sądowym, zobaczymy, czy nie dopatry się czegoś, co ja przegapiłam. A potem zobaczymy, czy uda nam się zidentyfikować dziewczynę.

- Zechcesz mi powiedzieć, jak planujesz zidentyfikować ciało, którego nikt nie będzie w stanie rozpoznać?

- No cóż, po pierwsze masz wyciągnąć z działu wszystkie doniesienia z ostatnich dwóch tygodni na temat osób zaginionych; białych, płci żeńskiej, w wieku od trzynastu do trzydziestu lat.

- Aha. Chcesz to mieć oprawione czy na CD?

- Powiedziałam „z dwóch tygodni”, nie „z dwóch lat”, Cordy. Ale będę zdziwiona, jeśli ją tam znajdziemy.

- Czemu?

- Podejrzewam, że obracała się w kręgach, gdzie zaginięcie nie jest wielkim wydarzeniem.

- Aha. Więc co wtedy zrobimy?

- Wtedy odwiedzimy parę klubów ze striptizem.

Cordy zawył z radości.

- Coś w sam raz dla mnie, mamuśka. Myślisz, że ta laska była striptizerką? Mam nadzieję, że za życia wyglądała lepiej. Jakby człowiek zobaczył coś takiego rozebranego, zamknąłby się w domu z żoną do końca życia.

- Ty się zamknij, Cordy.

- No dobrze, więc czego nie zauważyłem? Znalazłaś jakąś legitymację związku zawodowego striptizerek czy co? Skąd ta pewność, że zdarzało jej się tańczyć w niekompletnym stroju?

Serena wzruszyła ramionami.

- Ma implanty piersi. Dlatego się nie zapadły. Włosy łonowe wygolone, tak że został tylko wąski pionowy pasek. Na piersiach i na udach resztki brokatu. Na lewej piersi wytatuowane serduszko. Złóż to wszystko w całość, a wyjdzie ci, że dziewczyna pracowała przy mosiężnym słupie.

- Aha. To zawęża nasz krąg poszukiwań do zaledwie około czterystu lokali. Nie wspominając już o agencjach na telefon.

- Powiedziałam striptizerka, nie dziwka. Dziwki nie zawracają sobie głowy brokatem, słonko. Ani implantami. To jest coś do pokazywania. Zacniemy od lepszych miejsc i miejmy nadzieję, że dziewczyna była na tyle dobra w wygibasach i podskokach, żeby załapać się do któregoś z nich.

- Ty tu rządzisz - uśmiechnął się Cordy. - Jeśli muszę spędzić dzień, rozmawiając z kobietami, które lubią rozbierać się w klubach, niech i tak będzie.

Oczy Sereny z wolna przyzwyczajały się do ciemności panującej w klubie. W powietrzu wisiał dym i nieokreślony zapach perfum. Z ukrytych głośników dudnił rock. Podłoga wibrowała w głuchym rytmie. Ściany ciasnego holu były wyłożone panelami z ciemnego drzewa. Od wnętrza klubu dzieliły ich drzwi obite czerwoną tkaniną. Tuż przed nimi znajdował się podest; nad nim na ścianie wisiało erotyczne chińskie malowidło. Gdy weszli, zza czerwonych drzwi wychynał potężny mężczyzna w szarym garniturze i powitał ich uśmiechem. Miał kędzierzawe jasne włosy i krzaczaste wąsy.

Zerknął na Cordy'ego bez zainteresowania, po czym zatrzymał wzrok na Serenie, napawając się jej widokiem od stóp do głów.

- Dla ciebie wejście gratis, kochanie. A dla tego oto Banderasa cena wynosi dwadzieścia cztery dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Goryl rzucił Cordy'emu uśmiech. Serena miała wrażenie, że z uszu jej partnera strzelił dym.

- Nie jesteśmy klientami. - Błysnęła mu przed oczami odznaką. - Biuro Szeryfa Okręgu Clark. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa.

Uśmiech zniknął. Jego miejsce zajęła chłodna obojętność.

- Kto został zabity?

- Właśnie próbujemy ustalić. To N.N., znaleziona na pustyni, z rozwaloną od tyłu głową. Przypuszczamy, że mogła pracować w którymś klubie.

Cordy wyciągnął z kieszeni marynarki fotografię i zaprezentował ją Supermanowi.

- Poznajesz tę dziewczynę?

Serena śledziła reakcję mężczyzny. Zauważyła, że przybladł nieco, a jego twarz skurczyła się w mimowolnym grymasie.

- A kiedy pracowała w tej branży? W tysiąc dziewięćset czterdziestym?

- Jeśli masz zamiar poleżeć przez kilka dni na pustyni, nie zapomnij o kremie z filtrem - powiedziała Serena. - Poznajesz ją?

- Nie.

- Żadna z dziewczyn w ostatnich dniach nie zaginęła?

Mężczyzna głośno zarechotał.

- Żarty sobie robicie? Dziewczyny przychodzą i odchodzą co tydzień, codziennie. To nie etat w biurze.

- Chodzi nam tylko o ostatnich kilka dni - odparła Serena.

Nienawidziła takich koleśków. Sępy. Żerowali na młodych ciałach, a potem, kiedy ich walory traciły świeżość, wypluwali je na ulicę.

- Odpowiedź brzmi „nie”.

- A tatuaż? Mieliście dziewczynę z wytatuowanym na lewej piersi serduszkiem?

- Tatuaże? Mamy smoki, kotki, portrety chłopaków, drut kolczasty, słoneczniki i Dwighta Yoakamę. Żadnych serduszek.

- Jesteś pewien?

Facet wyszczerzył zęby w uśmiechu,

- Widziałem wszystkie.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali z dziewczynami - rzekł Cordy.

- Macie nakaz?

- Nie potrzebujemy nakazu, żeby rozmawiać - powiedziała Serena. - Swoją drogą, jeśli się uprzesz, żebyśmy przyszli z nakazem i przypadkiem znajdziemy tu jakiegoś drąga, cóż, interes trochę podupadnie, prawda?

- Tylko szybko - powiedział posepnie facet. - Aha, no i niektóre dziewczyny mogą wyglądać dość młodo, ale wszystkie są pełnoletnie, jasne? Zawsze sprawdzam dowody.

- Jasne - przytaknęła Serena.

Gdy miała szesnaście lat, bez trudu wchodziła do klubów z fałszywym dowodem. W dawnych złych czasach.

Pchnęli czerwone drzwi i znaleźli się w klubie. Wyglądał identycznie jak siedem innych, które już tego dnia odwiedzili. Muzyka, głośna w holu, tutaj była ogłuszająca. Szeroki wybieg z sięgającymi sufitu mosiężnymi słupami kończył się w samym środku lokalu, Otaczały go wąskie stoliki ciasno obstawione stołkami. Większość atrakcji miała miejsce na wybiegu, ale były tam też trzy niskie estradki otoczone półkolistymi ławami. Przestrzeń pod ścianami podzielona była na obite aksamitem boksy. Resztę miejsca wypełniały stoliki restauracyjne i koktajlowe.

Serena naliczyła około trzydziestu mężczyzn, od napalonych uczniów w T-shirtach po starszych panów w garniturach, a między nimi paru pijaczków i stukniętych. Niektórzy mocno się wczuwali, pokrzykiwali i pohukiwali, starając się dostać tak blisko dziewczyn, jak tylko się dało, żeby nie oberwać. Inni siedzieli jak wryci, z rozdziawionymi ustami i głupimi uśmieszkami na twarzach. Jeszcze inni siedzieli nieruchomo, sączyli drinki i obserwowali dziewczyny przez szczeliny zmrużonych powiek. To byli ci groźni, ci, którzy nie okazywali żadnych emocji.

Serena doznawała tego samego klaustrofobicznego uczucia, jakie miała w poprzednich klubach. Bezwiednie spojrzała w dół, jakby w obawie, że sama jest rozebrana, zastanawiając się, jak by to było znaleźć się na miejscu tych dziewczyn. Jeśli nie liczyć kilku kelnerek, była tu jedyną kobietą ubraną w coś więcej niż majtki. Nic więc dziwnego, że nie ściągała na siebie specjalnej uwagi. Jedynie kilku mężczyzn, którzy widocznie nie spodziewali się ujrzeć tutaj kobiety w ubraniu, obrzuciło ją takim samym taksującym wzrokiem, jakim oceniali dziewczyny na scenie. Zrobiło jej się niedobrze.

Wpatrywała się w twarze paradyjących po wybiegu dziewczyn, starając się zajrzeć za plastikowe uśmiechy. Ich wiek był łatwo czytelny. Im grubsza była warstwa makijażu, tym więcej chciały ukryć. W zadymionym ciemnym klubie to zwykle wystarczało; i tak większość mężczyzn nie zwracała sobie głowy twarzami. Ale Serena widziała. Zaglądała im w oczy i widziała ich sekrety. To było drogie miejsce, z młodszymi dziewczynami jeszcze niewyniszczonymi przez alkohol i narkotyki. Tu dziewczyna mogła się jeszcze oszukiwać, że zrobi karierę, będzie bogata. Przez wiele lat Serena widziała jednak już zbyt wiele takich zużytych twarzy wieńczących wyćwiczone ciała. Z czasem ciała też wędły i zaczynała się równia pochyła.

Wspomniała, jak sama, mając szesnaście lat, przyjechała do tego miasta z przyjaciółką. Obie uciekły od swojego życia w Phoenix. Serena dostała pracę w kasynie. Jej przyjaciółka trafiła do jednego z takich klubów. Próbowwała namówić też Serenę. Płacili znacznie lepiej. To było kuszące. Ale Serena wiedziała już co nieco o mężczyznach i nie wyobrażała sobie, by mogła paradować przed nimi nago. Na szczęście. Jej przyjaciółka przeprowadziła się do lepszego mieszkania, nakręciła parę niskobudżetowych filmów porno, a po pewnym czasie złapała AIDS. Umarła potworną śmiercią w wieku dwudziestu dwóch lat.

Dziewczyna z pustyni nie żyła. Jej przyjaciółka nie żyła. Czasem Serena czuła się winna, że sama przeżyła.

Od jednej z estradek dobiegł ich ryk aplauzu. Serena i Cordy podeszli bliżej, spoglądając na otwór, który pojawił się pośrodku sceny. Powoli, jakby woda wypływała ze źródła, wynurzyły się z niego dwie czarne ręce, zmysłowo wyginające się w takt muzyki. Spod podłogi na ruchomej platformie wyjechała centymetr po

centymetrze dziewczyna. Jej ręce zdawały się nie mieć końca. Potem Serena dostrzegła ciemne włosy i jakby wyrzeźbioną w mahoniu twarz. Dziewczyna była doskonale piękna, najwyżej osiemnastoletnia, oszałamiająca. Nowa - Serena widziała to w jej oczach. Jeszcze ją ekscytował jej hipnotyczny wpływ na mężczyzn i ich ochryple okrzyki. Świetnie się bawiła i oni o tym wiedzieli. W takim miejscu nie mogło być nic bardziej podniecającego niż dziewczyna, która naprawdę chciała ich rozpałcić, a nie grała, znużona. Mężczyźni umieli dostrzec różnicę.

- Lavender! - krzyknął ktoś.

Dziewczyna odwróciła się do tego, kto zawołał ją po imieniu, i obdarzyła go zmysłowym uśmiechem wydatnych wargi mrugnięciem. Nie przerywała tańca, coraz lepiej widoczna. Miała na sobie rubinowy top pięknie kontrastujący ze smolistą skórą. Jej piersi rozpięły koronkę. Płaski brzuch był nagi, pod nim tylko stringi. Gładkie smukłe nogi kończyły się krwistoczerwonymi czółenkami na blisko dziesięciocentymetrowych obcasach.

- Schowaj język - poleciła Serena Cordy'emu.

- Ciężko, mamuśka, oj, ciężko - wyszeptał.

- Co to ma być, prognoza pogody z południa? - spytała z uśmiechem.

Cordy nie odpowiedział. Jak zahipnotyzowany śledził ruchy Lavender odpinające guziczek po guziczku.

- Co z tobą, Cordy? Myślałam, że lubisz drobne blondynki?

- Dobra salsa wymaga różnych rodzajów chilli.

- To jakieś meksykańskie przysłowie?

- Nie, to moja nowa filozofia życiowa.

Serena przyglądała się, jak Lavender odsłania ogromne sutki, twarde jak pociski. Ujęła pełne piersi w stulone dłonie. Tłum zawył.

- Chodź, Don Juanie, idziemy na zaplecze.

Serena powlokła za sobą Cordy'ego, wyciągającego szyję, żeby jak najdłużej widzieć Lavender, na tył klubu, gdzie znajdowały się kolejne obite drzwi, a na nich tabliczka z napisem „Tylko dla personelu”. Pilnował ich krępy czarny ochroniarz z miną człowieka, który nie ma czasu na pierdoły. Serena wyjaśniła, że chcą porozmawiać z dziewczynami. Długo lustrował ich odznaki, ale w końcu niechętnie ich przepuścił.

Mijając go, Cordy. uśmiechnął się mile:

- Czy dziewczęta nie poczują się skrępowane, jeśli do garderoby wejdzie mężczyzna?

Serena się roześmiała. Ochroniarz nie.

Zeszli po schodach do garderoby, gdzie było rojno jak w ulu. Znajdowało się tam co najmniej dziesięć dziewczyn w różnych stadiach nagości. Jedne upychały właśnie piersi w skąpe kostiumy przed wyjściem na scenę. Inne cierpliwie malowały się przed oświetlonymi lustrami. Te, które już skończyły występ, ubierały się do wyjścia. Większość nie zwracała szczególnej uwagi na Cordy'ego i Serenę, choć parę rzuciło mu zachęcający uśmiech. Odpowiedział uśmiechem.

Serena zaczęła od trzech dziewcząt szykujących się do opuszczenia klubu. Jedna była już całkowicie ubrana, druga w dzinsach i w czarnym staniku, trzecia, ruda, kompletnie naga.

- Chcemy zadać wam kilka pytań - zaczęła Serena.

Dziewczyny, dotąd rozmowne i roześmiane, zbiły się w grupkę. Jedna obojętnie wrzuciła ramionami. Ruda na widok Cordy'ego wygięła nagie ciało jakby na wystawie, aż po kasztanowaty wzgórek między nogami. Spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się prowokująco. Cordy oparł się pokusie spojrzenia w dół, choć Serena wiedziała, że jest bliski eksplozji.

Wyjaśniła, po co tu przyszli, i opisała martwą dziewczynę, wspominając także o tatuażu na lewej piersi. Gdy dziewczyny usłyszały o morderstwie, ich nastawienie się zmieniło. Pracowały w branży, która przyciągała niemało kopniętych, więc gdy któraś z nich ginęła, reszta od razu zastanawiała się nie tylko, kto to zrobił, ale także, czy któraś z nich nie będzie następną na liście zabójcy.

- No i co? - spytała Serena. - Znacie ją?

Popatrzyły po sobie.

- Dziewczyny przychodzą i odchodzą - powiedziała ruda, głaszcząc się leniwie po piersiach. - Ten opis mógłby pasować do dobrej setki w różnych klubach.

- A tatuaż? - spytał Cordy.

Pokręciły głowami.

Cały dzień to samo. Dziewczyny przychodzą i odchodzą. Któż by zauważył, że któraś jednego dnia jest, a drugiego jej nie ma? I tyle jest wśród nich młodych farbowanych blondynek.

Szybko odpytali jeszcze inne dziewczęta w garderobie i od każdej dowiedzieli się tego samego. Już mieli wyjść i ruszyć do następnego klubu z listy, gdy Cordy wskazał na obrotowy podnośnik, który właśnie zjeżdżał do nich razem z balansującą, żeby się utrzymać, Lavender. Czarna striptizerka zeskoczyła na podłogę, a podnośnik wrócił do poprzedniego położenia.

Była naga, jeśli nie liczyć stringów, zza których sterczały banknoty. Piersi jej się kołysały, obcasy stukwały. Przystanąła przed automatem z colą i wyciągnęła zza stringów dolara. Kupiła sobie napój gazowany, otworzyła i upiła długi łyk. Potem jej oczy spoczęły na Serenie i Cordym.

- Czego tu chcecie?

- To policja - powiedziała usłużnie ruda. Miała teraz na sobie obcisłą bluzkę bez pleców i czarne skórzane spodnie. - Szukają zaginionej dziewczyny.

- Wszystkie jesteście zaginione - powiedziała Lavender.

Cordy nie udawał, że jest w stanie się opanować. Spojrzał jej w oczy, a potem powoli opuścił wzrok i powiódł nim po całej długiej przestrzeni nagiego ciała, zatrzymując się we wszystkich szczególnie interesujących miejscach. Lavender uśmiechnęła się rozbawiona.

- Faceci płacą grubą forszę, żeby to oglądać - zauważyła. - Skąd ci przyszło do głowy, że gliny mogą mieć za darmo?

- Jeśli pójdziesz ze mną na kolację, to już nie będzie za darmo - zaproponował Cordy. - Co ty na to?

Serena wzniosła oczy ku niebu.

Lavender się roześmiała.

- Czy fiuta masz tak samo dużego jak jaja?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - odparł Cordy.

Lavender zerknęła na Serenę.

- Rozumiem, że ty i on nie jesteście razem? Nie wchodzę w trójkowe układy.

- Jesteśmy tylko partnerami w pracy - oświadczyła Serena, dźgając Cordy'ego łokciem w żebra. - A po dzisiejszym dniu może nawet i to nie.

- Jak masz na imię? - spytała Lavender, zerkając znowu na Cordy'ego.

Serena widziała, że jest zainteresowana. Dziwnie było patrzeć, jak działa urok Cordy'ego. Na nią nie, ale na wiele dziewcząt tak.

- Możesz mi mówić Cordy.

- Jestem od ciebie parę centymetrów wyższa, Cordy. Nie chciałabym cię nieumyślnie skrzywdzić. - Jej wargi wygięły się w uśmiešku.

- Związana nikogo nie skrzywdzisz - powiedział prowokacyjnie Cordy.

- Dość tego, chłopcy i dziewczęta - ucięła Serena. - Słyszysz, Cordy?

- Piątek wieczorem? - ciągnął Cordy, patrząc na Lavender.

Wzruszyła ramionami, ale to było przyzwolenie.

- Dobra, spryculku. Przyjdź po mnie o ósmej. Będziemy mieć sześć godzin do początku następnej zmiany.

Serena westchnęła.

- Cudownie. Jakże romantycznie. Tymczasem jednak mamy taki problem, że znaleźliśmy martwą dziewczynę i próbujemy ustalić, kto to jest.

- Dziewczyny przychodzą i odchodzą - rzekła Lavender.

- Wiem. Ta przyszła i odeszła na dobre. Metr sześćdziesiąt osiem, czarne włosy ufarbowane na blond, wiek między siedemnaście a dwadzieścia pięć lat, tak w każdym razie przypuszczamy. Zaginęła co najmniej dwa lub trzy dni temu.

- Takich jest mnóstwo - powiedziała Lavender.

Cordy wyciągnął rękę i palcem wskazującym musnął lewą pierś Lavender tuż pod brodawką.

- Tu, w tym miejscu, miała wytatuowane serce.

Cholera, chłopak był naprawdę dobry. Czasami Serena czuła się jak robot.

Wszędzie seks, a ona? Żadnych emocji.

Wiedziała, jak nazywają ją inni gliniarze. „Drut Kolczasty”. „Wysoki Płot” i „Wstęp Wzbroniony”. To była jej wina. Nawet jeśli mężczyzna jej się podobał, zawsze znalazła sposób, by zamiast pozwolić mu wejść, krwawiącego zwałić z nóg. Czasem zazdrościła Cordy’emu. W jego wykonaniu to wyglądało tak prosto.

- Serce? - powtórzyła powoli Lavender.

Serena wyczytała to w jej oczach. Po raz pierwszy tego dnia tętno jej przyspieszyło.

- Znałaś ją?

Lavender przygryzła dolną wargę.

- Może. W poprzednim klubie, w którym pracowałam, była dziewczyna z takim tatuażem. I pasuje do opisu.

- Jak się nazywała?

- Christi. Christi Katt. To znaczy, to pewnie było fałszywe nazwisko, prawda?

Dajmy na to, ja też nie jestem Lavender, a gdyby ktoś wiedział, jak się naprawdę nazywam, to by znaczyło, że zna mnie za dobrze.

- Co to za klub? - spytał Cordy.

- Thrill Palace. Na Boulder Strip.

Serena go znała.

- Wiesz, gdzie mieszkała?

- W takiej norze niedaleko lotniska. Cholera, jak to się nazywało? Vagabond. Tak, Vagabond Apartments. Stosowna nazwa, co? Założę się, że umowę najmu zawiera się tam na tydzień. Może nawet na dzień.

- Pamiętasz coś jeszcze?

- Nie za dużo. Nie była gadatliwa. Przychodziła, robiła swoje. Większość dziewczyn jakoś tam się ze sobą koleguje, ale ona nie brała w tym udziału.

- Kiedy widziałaś ją ostatni raz?

- Kiedy odchodziłam z klubu. Jakiś miesiąc temu.

Cordy z pewnym ociąganiem wyjął z kieszeni fotografię.

- Czy to może być ona?

Lavender zerknęła na zdjęcie, po czym pośpiesznie przymknęła oczy i odwróciła głowę. Potem otworzyła je znowu, jeszcze raz rzuciła szybkie spojrzenie na zdjęcie.

- O w mordę. Mocna rzecz. Nikt nie zasługuje na to, żeby tak wyglądać, naprawdę nikt.

- Czy to może być ona?

Lavender się skrzywiła.

- Może. Nie wiem. Na tej podstawie trudno poznać. Christi była naprawdę ładna, nie jak to tutaj. Cholera, była prawie tak seksowna jak ja. Jeśli to ona... no, to... psiakrew.

Potrząsnęła głową i oddała im odwróconą fotografię.

- Dzięki, Lavender - powiedziała Serena. - Bardzo nam pomogłaś.

Cordy puścił do niej oko.

- *Gracias*. Do zobaczenia w piątek.

- Hej, ty mnie już widziałeś, spryciulku - odparła Lavender. - W piątek ja będę oglądać ciebie.

36.

Zjechali z I-15 na Tropicana Avenue i niecierpliwie czekali na zmianę świateł, by wjechać na Las Vegas Boulevard. Po prawej mieli makietę zamku króla Artura, czyli hotel Excalibur, a po lewej makietę Manhattanu. Z miniaturowych stateczków okalających makietę Statuy Wolności tryskały fontanny.

Krople wody padały aż na chodnik. Serena poczuła na policzku chłodną wilgoć. To było miłe uczucie. Zerknęła na hordy turystów, którzy zrobiwszy sobie przerwę w trwonieniu pieniędzy w kasynach, przewalali się to tu, to tam w już nieświeżym powietrzu wczesnego wieczoru. Najwyraźniej było im gorąco, bo wycierali czoła i szarpali kołnierzyki koszul. Choć słońce skryło się już za chmurami, nadal było ponad trzydzieści stopni.

Zapaliło się zielone światło. Minęli MGM Grand i na Koval Lane skrzyśle w lewo, potem znowu w prawo i niemal natychmiast opuścili pełen blichtru świat Strip i znaleźli się w nędznej dzielnicy zabudowanej dwupokojowymi domkami o okratowanych oknach. To był tygiel Vegas: czarni, Meksykanie, Indianie i imigranci z dziesiątek innych krajów, pracujący za grosze w sektorze obsługi kasyn. Nie był to teren o wysokim wskaźniku przestępczości, przynajmniej w porównaniu z tak zwanym Nagim Miastem w pobliżu wieży Stratosphere, gdzie dochodziło do większości popełnianych w tym mieście morderstw. Tu staruszki wciąż jeszcze same chodziły po ulicach, pchając wózki z zakupami. Dzieci bawiące się na podwórkach szturchały patykami skorpiony.

Niemal kilometr dalej znaleźli Vagabond Apartments - dwukondygnacyjny budynek zdobiony popękkanymi stiukami. Wyglądał jak motel. Mieszkania na parterze wychodziły na parking, a na piętrze na wąską galerijkę z zardzewiałą poręczą. Wszystkie okna były szczelnie zakryte grubymi zasłonami, a metalowe, obłożone z farby drzwi zamykały się na sztaby.

Patrząc na ten budynek, Serena na chwilę znów poczuła się nastolatką w podobnym mieszkaniu w Phoenix. Mimo duszącego żaru wstrząsnął ją dreszcz. Obrazy przelatowały jej przed oczami jak błyski flesza. Martwe oczy matki. Wytatuowana na piersi mężczyzny jaszczurka kiwająca na nią różowym językiem. Już po wszystkim woda kapiąca z prysznica.

Serena odetchnęła z wysiłkiem i odepchnęła od siebie przeszłość.

- No, nie wiem - powiedziała. - Wyobrażałam sobie tę dziewczynę w jakimś eleganckim otoczeniu. Zdawałoby się, że pracując w Thrill Palace, mogła sobie pozwolić na coś lepszego.

Chyba że była alkoholiczką, dokończyła w myślach. Albo narkomanką.

- Może się ukrywała - podsunął Cordy.

Serena wzruszyła ramionami.

- Poszukajmy administratora.

Pierwszy lokal na parterze był otwarty. Z korytarza wchodziło się do niewielkiego pomieszczenia pełnego skrzynek pocztowych. W drzwiach minęli się z niskim łysym mężczyzną około pięćdziesiątki, w szortach i bez koszuli, który właśnie wychodził wolnym krokiem, przeglądając korespondencję. Nie podniósł na nich wzroku. W jego poczcie Serena zauważyła „Penthouse’a”. Weszli do biura, gdzie jedną ścianę zajmowały kolejne skrytki pocztowe, a drugą automaty z napojami i batonikami.

Na końcu pomieszczenia znajdował się kontuar z dzwonkiem, a za nim zamknięte drzwi przyozdobione kalendarzem z aktami. Na blacie leżało kilka egzemplarzy porannej gazety. Jeden był otwarty na ogłoszeniach, inny na komiksach. Na gazetach stał papierowy talerzyk z okruchami po pączkach, do których zlatywały się muchy. Cordy nacisnął guzik dzwonka. Za ścianą rozległo się brzęczenie. Nikt nie wyszedł, by ich powitać. Cordy nacisnął guzik jeszcze raz i trzymał tak długo, aż usłyszeli kroki.

Drzwi otworzyły się. Gapił się na nich około dwudziestoletni chłopak z kolczykami w obu uszach, długimi mysimi kosmykami i bokobrodami. Był wysoki i chudy, o wąskiej krostowatej twarzy i wystającym podbródku. Podobnie jak lokator, którego przed chwilą minęli, ubrany był tylko w szorty, bez koszuli.

- Tak?

Nie wyglądał na zadowolonego, że mu przeszkodzono. Z zaplecza dobiegły ich jakieś dźwięki. Serena domyśliła się, że chłopak nie jest sam.

- Szukamy mieszkania, *muchacho* - rzekł Cordy. - Może byś nam pokazał saunę i korty?

- Że niby, kurwa, co?

Serena się uśmiechnęła.

- Ty tu jesteś administratorem?

- Ja, bo co?

- Jesteśmy glinami. Czy tu mieszka osoba o nazwisku Christi Katt?

- Tak, bo co? - powtórzył.

- Bo masz zmienić sposób bycia i dać nam klucz do jej mieszkania. Jasne?

Cordy wyszczerzył zęby.

- Basen obejrzymy później.

Chłopak pokręcił głową.

- Pieprzone gliny, z wami to naprawdę. Dobra, okay, numer dwieście cztery.

Mieszka tu od roku. Niezła laska, co? O wiele fajniejsza niż te inne szmaty, które się tu kręcą.

Nerwowo obejrzał się za siebie, najwyraźniej nie będąc pewien, czy jego gość nie słyszy.

- Kiedy ją ostatnio widziałeś? - spytała Serena.

- Nie wiem. Chyba kilka dni temu.

- Ale nie wczoraj czy przedwczoraj.

- No nie, trochę dawniej.

Cordy powolnym krokiem zbliżył się do skrytek pocztowych i odszukał numer dwieście cztery.

- Jest tu sporo poczty.

- No przecież mówiłem, nie? Może zadekowała się gdzie indziej.

- Widziałeś z nią kogoś? Chłopaka, dziewczynę, kogokolwiek? - Serena bacznie patrzyła mu w oczy, próbując uchwycić isierkę kłamstwa.

- Nie trzymała się z nikim - odparł chłopak.

- Nikt o nią nie pytał?

- Wy pierwsi.

- Jakim jeździ samochodem?

- Starym gruchotem. Czerwonym chevroletem cavalier.

Serena zerknęła na Cordy'ego, który natychmiast wyszedł.

Po chwili wrócił i skinął głową.

- Jest na parkingu.

- Zauważyłeś, czy ostatnio gdzieś wyjeżdżał? - spytała Serena.

- Kto to wie? Ja się tym nie interesuję.

- No dobrze, to daj klucz.

Chłopak się zawahał.

- Nie musicie mieć nakazu rewizji czy czegoś takiego? Christi się wścieknie, jeśli tak po prostu was wpuszczę.

Christi już nigdy się na nikogo nie wścieknie, pomyślała Serena. Uśmiechnęła się do młodzieńca.

- Daj już ten klucz.

Wzruszył ramionami i wycofał się do mieszkania. Serena usłyszała jazgotliwy kobiecy głos, potem syk chłopaka „Zamknij się”. Wyłonił się na nowo po kilku sekundach z kluczem przyczepionym gumką do mieszałka do farb.

- Tylko żebym to dostał z powrotem, dobra? - burknął, po czym wrócił do siebie i zatrzasnął drzwi.

- Rzućmy okiem na samochód - powiedziała Serena.

Wyszli na dwór i przeszli wzdłuż budynku na sam koniec parkingu. Czerwony cavalier stał od strony ulicy. Podeszli i osłaniając dłońmi oczy przed blaskiem słońca, zajrzeli do środka. Samochód był pusty. Nie było w nim śmieci, ani żadnych papierów. Christi Katt, jeśli to ona była właścicielką, utrzymywała w nim porządek.

Serena zauważyła małą, może ośmioletnią hinduską dziewczynkę, z założonymi z tyłu rękami wędrującą przez parking w kierunku biura. Miała na sobie prostą białą sukienkę do pół łydki, ozdobioną tylko niebieską falbanką na kołnierzyku. Jej sandaalki stuknęły o chodnik. Proste czarne włosy spadały na ramiona.

Serena przywołała ją skinieniem ręki.

- Cześć - powiedziała. - Czy wiesz, czyj to samochód?

Dziewczynka energicznie kiwnęła główką.

- O tak. Bardzo ładnej pani. Mieszka na górze.

Cordy uśmiechnął się do dziewczynki.

- Widziałas tu ostatnio tę ładną panią?

- Widziałam w niedzielę. Jak idzie do pracy. Potem nie.

Była środa.

- Czy była wtedy z kimś?

Dziewczynka zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

- A nie widziałas, jak wracała?

- Nie - odparła dziewczynka. - Ale w nocy ja wychodzę widzieć gwiazdy i jej samochód tutaj stoi.

- Która to była godzina?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Późno.

- Czy ten samochód od tego czasu ciągle tutaj stoi? - spytała Serena.

- Tak, tutaj.

- Dzięki, kochanie.

Przedzierając się przez pogniecione torebki po czipsach i opakowania z batonów, Serena i Cordy ruszyli na schody. Wbiegli na piętro. Cordy ostro zastukał do drzwi opatrzonych numerem dwieście cztery, choć tak naprawdę nie spodziewał się, że ktoś

mu otworzy. I rzeczywiście. Rozejrzeli się po korytarzu, chcąc sprawdzić, czy mają szansę kogoś zainteresować, ale nie zobaczyli żywego ducha.

- Rękawiczki - poleciała Serena.

Cordy pokiwał głową. Wyciągnął z kieszeni marynarki płaskie pudełko i każde z nich naciągnęło świeżutkie białe lateksowe rękawiczki, które oblepiały ich dłonie jak drugą skórą.

- Niektórzy ludzie od tego umierają - zauważył Cordy.

- Od rękawiczek?

- Alergia na lateks. Tak jak na orzeszki ziemne. Dostaje się drgawek.

- Może to sól tak szkodzi.

- Na rękawiczkach?

- Nie, na orzeszkach. Otwieraj te cholerne drzwi, Cordy.

Cordy włożył klucz w dolny zamek. Delikatnie, czubkami palców przekręcił gałkę. Rozległ się szcęk i drzwi ustąpiły. Do wnętrza wpadła szczelina światła, ale reszta mieszkania była pogrążona w mroku. Cordy zrobił dwa kroki do przodu, znalazł włącznik i zapalił światło. Omiótł mieszkanie szybkim spojrzeniem.

- Strzał w dziesiątkę, mamuśka.

Serena weszła za nim. Jej oczy natychmiast zatrzymały się na środku dywanu, na zaschniętej czerwonawobrazowej plamie o średnicy około pół metra. W pokoju unosił się metaliczny zapach krwi.

- Wezwę techników - powiedział Cordy, wyciągając z kieszeni telefon komórkowy,

- I jakichś mundurowych, żeby zaczęli pukać do drzwi. Musimy się dowiedzieć, kiedy ją ostatnio widziano, z kim się zadawała, takie rzeczy. Jak tylko skończymy tutaj, możemy sprawdzić w Thrill Palace. Aha, i niech ktoś wrzuci nazwisko Christi Katt do komputera. Zobaczymy, co wyskoczy.

- Uhm - odparł Cordy.

Gdy Cordy rozmawiał z posterunkiem, Serena przeszła się po mieszkaniu. Było małe - niewielki pokój dzienny, miejsce dokonania zbrodni, miniaturowa kuchnia i sypialnia. Umebłowane było skąpo i tanio; jedna większa kanapa i druga mała, dwuosobowa, najwyraźniej z wyprzedaży garażowej, stolik pod telewizor z dyskontu i kilka niedopasowanych do siebie stolików i krzeseł. Dywan był spłowiały i zniszczony.

Serena włączyła dyktafon.

- Mieszkanie wygląda sterylnie. Nic osobistego. Żadnych fotografii. Żadnych plakatów na ścianach. Żadnych bibelotów ani zbiorów, z których można by wnioskować, kim była ta dziewczyna i co miała w głowie. To jest mieszkanie bez historii.

Weszła do kuchni i zaczęła ostrożne oględziny.

- Na lodówce nie ma magnesów. W środku prawie pusto, w szafkach tylko kilka pudełek płatków, makaron i puszki z zupą. Nie była to z pewnością druga Julia Child. To wszystko wygląda, jakby się dopiero wprowadziła, chociaż administrator mówi, że mieszkała tu już rok.

Zerknęła na zlew i zobaczyła leżący na boku, czysto wymyty ciężki szklany wazon. Wróciła do pokoju. Przyjrzała się półkom na ścianie.

- Znalazłaś coś? - spytał Cordy.

- Może. W zlewie jest wazon. Założę się, że to narzędzie zbrodni. Popatrz tutaj, na tę półkę. Widzisz w tym kurzu jaśniejszy krążek? Dno wazonu odpowiada mu kształtem i wielkością. Christi i morderca stoją tutaj, tak? Ona odwraca się tyłem, morderca chwyta wazon i bach! rozwała jej czaszkę.

- Mhm. No i nie ma śladu włamania ani walki. Przypuszczam że, po pierwsze, знаła mordercę, po drugie, morderstwo było aktem spontanicznym, nieplanowanym.

Wściekłość. Zazdrość. Biorąc pod uwagę, jaka to dziewczyna, nie wykluczałbym zazdrości.

- Czym się kierujesz?

Cordy przyłożył palec do skrzydełka nosa.

- Węchem.

Serena roześmiała się.

- Jasne. Niech teraz twój węch zaprowadzi cię do sypialni. Zobaczmy, czy tam coś nie zostało.

Sypialnia była ciasna, z szafą i wejściem do łazienki po prawej stronie. Christi miała duże łóżko, stolik nocny i małą komodę. Podobnie jak w pozostałych częściach mieszkania, na ścianach nie było nic.

- Na łóżku nie ma koca - zauważyła Serena.

- Może było jej gorąco.

- A może morderca posłużył się nim do przeniesienia ciała.

Serena weszła do łazienki wyposażonej w sedes, umywalkę i prysznic za różową plastikową zasłonką. Obejrzała umywalkę i brodzik w poszukiwaniu śladów krwi, ale niczego nie znalazła. Technicy sprawdzą to jeszcze luminolem. W apteczce było trochę przyborów i kosmetyków. Ku swemu zdziwieniu nie doszukała się żadnych środków antykoncepcyjnych. Albo faceci Christi używali prezerwatyw, albo jej życie seksualne było tak samo ekscytujące jak Sereny.

Wróciła do sypialni, gdzie Cordy właśnie przeszukiwał szufladę nocnego stolika.

- Masz coś?

Cordy potrząsnął głową.

- Niewiele. Grafiki z dwóch innych klubów. Może pracowała tam wcześniej, sprawdzimy. Poza tym nic. Żadnych listów, pocztówek, liścików miłosnych, rachunków, paragonów, wyciągów z karty kredytowej. Wyjątkowo dyskretna *señorita*.

- W moich szufladach panu je kompletny chaos - powiedziała Serena. - Śmieci z dziesięciu lat. Na ich podstawie można by napisać moją biografię.

- No więc na podstawie zawartości tych szuflad nie da się napisać biografii Christi Katt. Czy jak tam się naprawdę nazywała.

- Dobrze, szukaj dalej. A przy okazji, są tam jakieś kondomy?

- A co, kończą ci się?

Serena westchnęła.

- Jak się czujesz, Cordy? Wyglądasz blado. Może to alergia na lateks. Uprzedź mnie, gdybyś miał dostać drgawek.

- Kondomów nie ma - odpowiedział Cordy, chichocząc.

Serena przejrzała szafę dziewczyny. Nie zajęło jej to zbyt wiele czasu. Było tam kilka par pantofli na wysokich obcasach, na wieszakach kilka bluzek, spódnic i sukienek, a na drucianych półkach dwie małe kupki T-shirtów i dżinsów. Przeszukała kieszenie. Znalazła tylko trochę monet i parę listków gumy do żucia.

Wycofała się, kręcąc głową.

- Ta dziewczyna to chodząca zagadka. Może chociaż portfel albo klucze? Znalazłeś coś takiego?

- *Nada* - odparł Cordy.

- Ciekawe. W takim razie gdzie są?

- Może zabrał je morderca.

- Może i tak - zamyśliła się Serena. - Powiedzmy, że Christi jest w domu, klucze i portfel ma w kieszeni. Morderca puka do drzwi. Z jakiejś przyczyny ona go wpuszcza. Albo go zna, albo się nie boi. Poważny błąd. Rozmawiają, może się kłóć, ona odwraca się tyłem i kurtyna. Morderca, jakiś pedantyczny osobnik, myje wazon, wyciera odciski palców - chyba że mamy prawdziwego farta - i owija ciało w koc z łóżka.

Dzięki temu nie zostawia śladów krwi. Czeka, aż zrobi się ciemno i pusto, ciągnie ciało do swojego samochodu, odjeżdża i wyrzuca je na pustyni.

- Mhm. Tyle tylko, że to ciało było nagie. Mogę sobie wyobrazić, że gość wziął portfel i klucze. Ale czemu zostawił ją na golasa? Kto wie, może było jakieś tango z trupem w pozycji horyzontalnej? To mógł być jakiś ciężko kopnięty.

- Tego towaru nie brakuje - zauważyła Serena. - Sekcja wykaże, czy są ślady jakichś czynności seksualnych. Ale obnażenie ciała rzeczywiście może na to wskazywać. Chyba że była tu z facetem, już naga.

- Ale kondomów nie było.

- Słusznie. Tak więc nie natrafiliśmy na żaden ślad życia osobistego tej dziewczyny, a jednak zdołała kogoś rozwścieczyć do tego stopnia, że ją zabił. Nieźle. Mam nadzieję, że kolegowała się z kimś w Thrill Palace. Albo w którymś z tych innych klubów.

- Nie przyzwyczajaj się do tej myśli, mamuśka.

- Nie zamierzam. Dobra, sprawdź komodę i ogólnie, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Ja jeszcze rzucę okiem na pokój dzienny, zanim zادهczą go panowie w wielkich buciorach.

Zostawiła Cordy'ego w sypialni. Powoli jeszcze raz przeszła się po mieszkaniu, przypatrując się wszystkim powierzchniom, ścianom i podłodze. W kuchni zajrzała do kubła na śmieci pod zlewem. Znalazła fusy od kawy, skórki pomarańczy i stary program telewizyjny.

Wróciwszy do pokoju, przejrzała stosik płyt obok przenośnego odtwarzacza. Otwierała po kolei wszystkie pudełka, ale nie znalazła nic ciekawego. Wydało jej się dość interesujące, że Christi lubiła jazz. Serena także się nim upajała w gorszych okresach swoich pierwszych lat w Vegas, gdy była jeszcze nastolatką. Kiedy wydorosła, przerzuciła się na country. Jazz był dobry na kłopoty. Country było dobre na życie. W sypialni Cordy zagwizdał długo i donośnie.

- Co tam? - zawołała.

Cordy milczał.

Zaciekawiona, Serena wróciła do niego. Cordy siedział po turecku na podłodze. Materac z wielkiego łóżka był do połowy ściągnięty na podłogę. Obok Cordy'ego leżała niewielka kupka gazet. Cordy rozłożył jedną z nich i czytał jak urzeczony.

- Tajna skrytka? - spytała Serena.

Cordy skinął głową.

- Trzeba było poczekać na ekipę techniczną i nie ruszać tego przed nimi - powiedziała, ale u niej też ciekawość wzięła górę. - Co tam masz?

Cordy odłożył gazetę.

- No więc, jak myślisz, jak długo to ciało leżało na pustyni? Serena wzruszyła ramionami.

- Kilka dni. Bo co?

- No to w takim razie mamy problem, mamuśka.

Stride usłyszał, jak Andrea wstaje z łóżka i zaczyna szykować się do pracy. Był czwartek, szósta rano. Nie poruszył się, ale otworzył oczy i obserwował ją, jak w ciemności sypialni zdejmuje białą koszulkę nocną i majtki. Jej naga sylwetka była znacznie pełniejsza niż trzy lata temu, ale wciąż atrakcyjna.

- Hej - szepnął.

Andrea nie spojrzała na niego.

- Cześć - rzuciła chłodno.

- Mogłabyś mi przypomnieć, jak masz na imię?

Pokręciła głową.

- To nie jest śmieszne, Jon.

- Wiem, przepraszam.

Poprzedniej nocy razem z Maggie przesłuchiwali podejrzanego o przynależność do azjatyckiego gangu narkotykowego. Od paru miesięcy takie późne powroty do domu zdarzały się często.

- Miło by było, jakbyś czasem zadzwonił - powiedziała Andrea. - To trzecia noc z rzędu, a ja nie miałam pojęcia, kiedy cię zobaczę. Nie ma cię przy mnie. Nigdy cię nie ma.

- Ta sprawa... - zaczął Stride.

- Nie obchodzi mnie ta sprawa - odpowiedziała. - Gdyby nie było tej, byłaby jakaś inna.

Stride skinął głową w milczeniu. Miała rację. I robiło się coraz gorzej. Stride zdał sobie sprawę, że zajmuje się dochodzeniami będącymi w gruncie rzeczy działką jego podwładnych. Nawet K-2 to zauważył i zapytał, nie owijając w bawełnę, czy Stride szuka pretekstów, by unikać powrotu do domu. Odpowiedział, że nie, ale w głębi serca nie był taki pewny.

- Co słyhać u Denise? - zapytał. - Mam wrażenie, jakbyśmy od czasu twojego wyjazdu w ogóle się nie widzieli.

- Może dlatego, że mnie nie zauważyłeś? Nawet się niczym nie zainteresowałeś. Czy naprawdę choć trochę cię to obchodzi? Już nic o mnie nie wiesz.

Andrea czekała z rękami wspartymi na biodrach. Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, odwróciła się i weszła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi. Stride'a doleciał szum odkręconej wody.

Problemy pojawiły się przed rokiem. Dwa lata przeżyli wspólnie we względnym spokoju, po prostu unikając dyskusji o kwestiach spornych. Ostatnio jednak gromadziło się ich coraz więcej. Zaczęło się od kwestii dzieci, których Andrea pragnęła z całego serca, w przeciwieństwie do Stride'a. On czuł się już na to za stary. Gdy opuszczałyby dom, byłby już po sześćdziesiątce.

Lecz Andrea nalegała. Osiemnaście miesięcy po ślubie, za niechętnym przyzwoleniem męża, przestała brać pigułki. Kochali się tak często, że w końcu seks stał się dla nich czynnością mechaniczną, całkowicie odartą z romantyzmu. I mimo wszystkich tych starań nie udało się. Stride usiłował sprawiać wrażenie rozczarowanego, ale obawiał się, że ulgę miał wypisaną na twarzy. Wiedział, co myśli Andrea - że gdyby miała dziecko z pierwszym mężem, ten nigdy by od niej nie odszedł i jej życie wciąż byłoby sielanką. A teraz bała się, że jeśli znów się nie uda, straci również Stride'a. Czuła więc, że musi za wszelką cenę zająć w ciążę. Nie było jej to jednak dane.

Stride powtarzał setki razy, że dla niego to nie ma znaczenia, ale na jej twarzy coraz wyraźniej malował się wyraz cierpienia i mimo że od tego czasu upłynął rok, już nie zniknął. Byli na najlepszej drodze do zupełnej obcości wzajemnej.

Stride usłyszał, jak Andrea zakręciła wodę. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich nago, obserwując go. Patrzył na krople wody biegnące po jej skórze, kapiące na dywan. Przygryzła dolną wargę. Stride widział jej twarz na tyle wyraźnie, by zorientować się, że płakała. Przez dłuższą chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem.

Zupełnie jakby czytała w jego myślach i przestraszyła się tego, co tam zobaczyła.
- Musimy porozmawiać - powiedziała.

Usłyszał to w jej głosie. Wiedział, że ta chwila zbliża się nieuchronnie. Rozwód. Pozostawało tylko pytanie, które z nich pierwsze wypowie to słowo.

- Przepraszam - powiedziała zduszonym głosem.

- To ja powinienem przeproszać - odrzekł Stride.

Rozłożył szeroko ramiona, a ona do niego przyszła. Mocno przytulił jej mokre ciało. Spojrzał w zaczerwienione, pełne niepokoju błękitne oczy. Ujął jej twarz w dłonie i uśmiechnęli się do siebie słabo, próbując odegnać ból. Nagość Andrei sprawiła, że Stride zareagował automatycznie. Poruszył się, próbując w nią wejść, ale ona ześliznęła się z niego, położyła na plecach i łagodnie pociągnęła go na siebie. Stride położył się na niej. Jego ręce powędrowały na jej kark. Zaczął ją całować, ale odwróciła twarz. Poczul, jak jej nogi rozwierają się pod nim, kolana zginają się i unoszą. Trwała bez ruchu, jedynie obejmowała go mocno, kiedy w nią wchodził. Zbliżenie było szybkie i powierzchowne. W końcu ciało Stride'a się rozluźniło i kilka minut leżeli bez ruchu. Gdy poczul, że Andrea delikatnie go odpycha, odsunął się. Pocałowała go lekko, po czym wyskoczyła z łóżka, zanim zdążył jej dotknąć.

Usłyszał, jak odświeża się w łazience. Wyszła i zaczęła się w pośpiechu ubierać. Nie powiedziała ani słowa. Gdy była już gotowa, zawahała się w drzwiach. Zmierzyła go wzrokiem, w którym malowała się pustka, po czym odwróciła się i wyszła, zostawiając go samego.

Z niespokojnego snu wyrwał go telefon. Zerknął na zegarek, jęknął i zaczął po omacku szukać słuchawki. Była dziewiąta trzydzieści, pół godziny po terminie zaplanowanego na rano spotkania.

- Spóźnię się - warknął do telefonu. - Złóż na mnie skargę.

Spodziewał się sarkastycznego komentarza Maggie. Zamiast tego po krótkiej chwili, usłyszał nieznany mu lekko kpiący śmiech o niskim brzmieniu.

- Czy to porucznik Stride? Odnoszę wrażenie, że pana obudziłam.

Stride opadł z powrotem na łóżko i zamknął oczy.

- Istotnie. I nie potwierdzę swojej tożsamości, dopóki nie wypiję kawy, więc może uznajmy to za pomyłkę?

- Co za strata. Niejaka Maggie powiedziała mi, że jest pan świetny w seksie przez telefon.

Stride zaśmiał się, zmieszany, ale też zaintrygowany.

- Akurat Maggie nie może mieć na ten temat nic do powiedzenia. Kto, u diabła, mówi?

- Nazywam się Serena Dial. Pracuję w policji okręgu Clark. I niestety, mam informacje dotyczące pewnej starej sprawy, które się panu nie spodobają, poruczniku.

- Okręg Clark? - zapytał Stride.

- W Nevadzie - wyjaśniła Serena. - Las Vegas.

Las Vegas. Stride momentalnie się rozbudził. Nie miało znaczenia, że minęły trzy lata - już wiedział, dlaczego Serena do niego dzwoni. Rachel. Imię dziewczyny zadźwięczało mu w głowie, a przed oczami stanęło ciało uwiecznione na tamtym niesamowitym zdjęciu.

Cisza w słuchawce się przeciągała. W końcu Stride powiedział:

- Zgaduję, że macie ją w areszcie?

- Nie, w kostnicy.

- Rachel nie żyje?

Nic nie rozumiał. W jego fantazjach, gdy dzwonił ktoś z Vegas, Rachel wciąż żyła. Czasem wyobrażał sobie, że to dzwoni ona sama.

- Nie żyje. Zamordowana. Porzucona na pustyni. Wiem, że to stanowi dla pana problem.

Stride zastanawiał się, czy nie śni.

- Kiedy się to wydarzyło?

- Wygląda na to, że w ciągu kilku ostatnich dni.

A więc naprawdę żyła, pomyślał Stride. Aż do niedawna.

- Wiecie co się stało? Kto ją zabił?

- Jeszcze nie - odpowiedziała Serena. - Ale gdyby mógł mnie pan odebrać z lotniska dziś wieczorem, może moglibyśmy to wspólnie rozpracować.

- Przylatuje pani tutaj?

- Tam prowadzi trop, poruczniku. Do Duluth.

38.

Maggie otwarcie przyznawała każdemu, kto z nią jechał, że jej ciało nie jest stworzone do prowadzenia terenówki. Żeby w ogóle widzieć coś zza kierownicy, siedziała na książce telefonicznej, a pod pedałem gazu i hamulcem musiała mieć specjalne podkładki, tak aby mogła dosięgnąć do nich stopami. Zanim przed dwoma laty wyszła za Erica Sorensona, jeździła małym geo metro. Jednakże Erie, były pływak olimpijski, nie mieścił się w jej samochodzie. W związku z tym ich pierwszym wspólnym zakupem był znacznie większy pojazd, który Erie mógł prowadzić, nie siedząc z kolanami pod brodą.

Stride nie lubił jeździć z Maggie. Nigdy nie była bardzo dobrą kierowcą, a wszystkie te modyfikacje, mające na celu skorelowanie jej ciała z dużym wozem, bynajmniej nie poprawiały sytuacji. Co więcej, podejrzewał, że z nim jeździła jeszcze bardziej ryzykownie z czystej złośliwości. Przy każdej wspólnej podróży starał się nie wciskać wyimaginowanego hamulca i nie zdradzać wyrazem twarzy swojego przerażenia.

Był wczesny czwartkowy wieczór. Samolot Sereny Dial z Las Vegas przez Minneapolis miał wylądować za pół godziny. Im bardziej oddalali się od jeziora, kierując się przez Miller Hill w stronę lotniska, tym cieplejsze stawało się powietrze wpadające do samochodu przez otwarte okna. Maggie pokręciła głową. Gdy światła przed nimi zmieniły się na czerwone, zamiast zwolnić, przejechała skrzyżowanie na pełnym gazie, trąbiąc jak szalona.

- Rachel żyła przez cały ten cholerny czas - powiedziała. - Archie Gale będzie zachwycony.

Stride skinął głową ze znużeniem.

- Dana nieszczególnie ucieszy wiadomość, że oskarżał człowieka o zamordowanie dziewczyny, która wcale nie była martwa. Nie wydaje mi się, żeby to miało mu pomóc w kampanii.

- Powiedziałeś mu już? - zapytała Maggie.

- Jeszcze nie. Poprosiłem K-2 o zwłokę do jutra. Ta policjantka z Vegas, Serena, zgodziła się, żebyśmy zachowali to w tajemnicy, dopóki nie zawiadomimy Emily.

Maggie zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że Emily się nie załamie. Wyobraź sobie, że zabijasz męża za zamordowanie twojej córki, a następnie dowiadujesz się, że był niewinny.

Stride wzruszył ramionami.

- Może niewinny zabójstwa. Nadal jednak uważam, że Graeme sypiał z Rachel.

- Pytanie brzmi: co się z nią, u diabła, tak naprawdę stało?

- Ktoś musiał jej pomóc zniknąć. Niemożliwej żeby sama opuściła miasto.

Wpadlibyśmy na jakiś trop. Może ktoś podwiózł ją do Minneapolis. Przebrała się, wskoczyła do autobusu, a jej przyjaciel wrócił do Duluth i trzymał język za zębami.

- A dowody, które znaleźliśmy w szopie? Bransoletka, krew, ślady butów?

- No właśnie, w tym problem. Wiemy, że Rachel tamtej piątkowej nocy była w szopie. - Stride potarł dolną wargę i zagapił się na mijane fast foody i sklepy z alkoholem. - No dobra, a co powiesz na taką wersję: Rachel wraca tej nocy do domu. Graeme chce wykorzystać nieobecność Emily. Razem z Rachel jadą do szopy, przechodzą na tył samochodu i zaczyna się ostra jazda.

Maggie pokręciła głową.

- Po co mieliby jechać do szopy? Nikogo nie byłoby domu, dlaczego po prostu nie zrobili tego w sypialni?

- Kto wie, może szopa była ich miejscem. A może Graeme nie powiedział jej, o co mu chodzi. Tak czy inaczej, udaje mu się ją tam wywieźć. Ale coś idzie niezgodnie i planem. Może tym razem Rachel mówi nie, a Graeme źle znosi odmowę. A może wymyślają sobie jakąś perwersyjną zabawę z nożem, która wymyka się spod kontroli. Rachel udaje się wydostać z vana, Graeme rzuca się w pościg. Walczą, dziewczyna gubi bransoletkę, ma podarty golf. On wciąga ją z powrotem do samochodu.

- I co potem? Pamiętaj, że jej nie zabił.

- Wiem. Graeme nagle przytomnieje. Nigdy wcześniej się tak daleko nie posunął, strach działa na niego jak zimny prysznic. A może stało się to samo co wtedy z Sally. Słyszy, że zbliża się inny samochód i zmywa się jak najszybciej. Udaje, że to jedno wielkie nieporozumienie, odwozi Rachel do domu i każe zapomnieć o całej sprawie.

Maggie gwałtownie dała po hamulcach; samochód przed nimi skręcał. Z piskiem opon zjechała na lewy pas i rzuciła kierowcy wściekle spojrzenie.

- Lecząc docierają do domu, Rachel robi w majtki ze strachu - podjęła wątek Maggie.

- Tak jak ja teraz - powiedział Stride.

- Jesteś jak duże dziecko. To ty nauczyłeś mnie tak prowadzić. Więc co dzieje się potem? Rachel się boi. Ma tego dość.

- Zgadza się. No więc dzwoni do przyjaciela i mówi: zabierz mnie stąd. I znika.

- No dobrze, ale w takim razie dlaczego nie wzięła swojego samochodu? Dlaczego nie zabrała żadnych ubrań?

Stride w zamyśleniu przygryzł wargę.

- Może spanikowała. Nie chciała, żeby ją znaleziono, a jej samochód rzuca się w oczy. Nie mogła już tam wytrzymać ani minuty dłużej, nawet tyle, żeby się spakować. Może myślała, że Graeme znów będzie czegoś próbował, więc nie chciała nawet wchodzić z nim do domu.

Maggie zjechała z głównej drogi na pustą autostradę prowadzącą na lotnisko. W jednej chwili rozpedziła się do ponad setki na godzinę, tak że deska rozdzielcza zaczęła złowieszczo dygotać.

- Jeśli mamy rację, to ktoś wiedział, że Rachel żyje. I ktokolwiek to jest, milczał, nawet gdy o morderstwo został oskarżony niewinny człowiek.

Stride skinął głową.

- Jeśli Rachel powiedziała swojemu przyjacielowi, co się wydarzyło w szopie, może uznał, że Graeme dostał to, na co zasłużył.

- A dlaczego Graeme nie wytłumaczył, co się naprawdę stało?
- Graeme miałby powiedzieć prawdę? - zaśmiał się Stride. - Dajże spokój. Gdyby się przyznał do uprawiania seksu z tą dziewczyną, byłby skończony. Jestem przekonany, że Gale go o tym poinformował. Nikt nie uwierzyłby w jego historię. Zaprzeczanie wszystkiemu stanowiło dla niego znacznie lepsze wyjście.
- Okay, idźmy o krok dalej. Kto jest tajemniczym przyjacielem?
- Nie wiem - odparł Stride. - Zawsze wydawało mi się, że Rachel nie miała żadnych przyjaciół, a przynajmniej nikogo, komu by naprawdę ufała.
- Z wyjątkiem Kevina.
- Tak, z wyjątkiem Kevina. Ale czy potrafisz sobie wyobrazić, żeby Kevin dochował tajemnicy? Nie wygląda na takiego, co miałby dość zimnej krwi, żeby kłamać przed sądem.
- A co z Sally? Wiemy, że coś ukrywała. Wiemy przecież, że tamtej nocy poszła do Rachel. I jakoś nie wydaje mi się, żeby miała rozpaczać z powodu wyjazdu rywalki tam, gdzie nie mogłaby już prześladować Kevina.
Stride poukładał sobie w myślach wszystkie elementy łamigłówki.
- Ciekawa teoria.
- Myślisz, że powinniśmy z nią pogadać?
- Zdecydowanie tak. Rachel nie wróci, żeby uwieść Kevina. Stoner też już jej nie zagraża. Może teraz powie prawdę.

Maggie skręciła w lewo w krętą drogę prowadzącą do głównego terminalu lotniska Duluth. Był on nie większy niż boisko futbolowe, w kształcie trójkąta i pokryty stromym dachem w kolorze ciemnej czekolady. Maggie zaparkowała przy samym końcu budynku. Jej policyjna odznaka została na desce rozdzielczej. Przeszli przez olbrzymie drzwi obrotowe na opustoszały niższy poziom terminalu i wjechali schodami wyżej. Z głośników sączyła się delikatnie muzyka country. Stride rozpoznał łagodny głos Vince'a Gilla.

Do przylotu Sereny mieli jeszcze sporo czasu. Stride wrzucił dwudziestopięciocentówkę do automatu do gry we flipera. Był to model dwupoziomowy z wizerunkiem skąpo ubranej dziewczyny o ogromnym biuście, celującej grającemu w twarz z pistoletu i piszczącej radośnie „Puknij mnie!”. Stride był catkiem niezły we fliperach w czasach szkolnych, ale okazało się, że nie jest to jak jazda na rowerze, której nigdy się nie zapomina. Pierwsza piłka od razu przeleciała prosto przez środek. Druga przez chwilę tańczyła na górze, nabijając Stride'owi kilka tysięcy punktów, by zaraz spaść z lewej strony. Przy trzeciej piłce Stride się trochę rozkręcił i zaczął kołysać biodrami. Maggie kupiła sobie colę z automatu i teraz piła ją, przyglądając się jego grze.

- Czy ta policjantka z Vegas myśli, że dziewczynę zabił ktoś stąd?
Stride, nie spuszczać oczu z maszyny, wzruszył ramionami.
- Nic na ten temat nie powiedziała; tylko że trop prowadzi tutaj.
- Serena Dial - powiedziała Maggie. - Przez telefon sprawiała wrażenie konkretnej. Założę się, że to niezła laska.
- Niby czemu?
- Jest z Vegas. Wszystkie dziewczyny z Vegas są boskie.
- Nigdy tam nie byłem - powiedział Stride.
- Powinieneś więcej podróżować, szefie.
- No cóż, dla mnie wakacje to samotny wypad do lasu, z dala od tłumów na Coney Island.

Rozkojarzył się i prawie stracił ostatnią piłkę, ale w ostatniej chwili udało mu się ją ocalić zręcznym podbiciem.

- Samotny?

- Wiesz, co mam na myśli.

Budynek zatrząsł się od ryku silnika towarzyszącego lądowaniu samolotu na pasie startowym. Stride zauważył, jak przedstawiciel agencji sprzedaży biletów, głośno żując gumę, wjeżdża ruchomymi schodami i kieruje się do wyjścia numer jeden. Na chwilę, spuścił wzrok z maszyny i to wystarczyło, by ostatnia srebrna pileczka prześliznęła się niepostrzeżenie obok flipera.

Stride i Maggie ruszyli w stronę wyjść.

- Jak ją rozpoznamy? - zapytała Maggie.

- Będziemy improwizować.

Rozpoznali Serenę bez najmniejszych trudności. Wszyscy pasażerowie byli typowymi mieszkańcami Minnesoty; skromnie ubrani, wtapiający się w otoczenie, niepozorni. Tylko Serena wyróżniała się spośród wychodzących - na ich tle lśniła jak kryształowy kieliszek wśród papierowych kubków z Burger Kinga. Miała na sobie błękitne skórzane spodnie opinające jej długie nogi niczym druga skóra. Wokół talii błyszczał pasek w formie srebrnego łańcucha, którego końce zwisały luźno między udami. Kusy biały T-shirt odsłaniał fragment idealnie płaskiego brzucha. Na to wszystko włożyła czarny skórzany płaszcz, który sięgał jej niemal do kostek. Miała błyszczące ciemne włosy, bujne i luźno puszczone.

- No, no - mruknęła Maggie.

Stride nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział kobietę bardziej pociągającą. I przyszło mu do głowy, że gdyby Rachel dane było dorosnąć, mogłaby wyglądać właśnie tak.

Serena zatrzymała się przy wyjściu i zaczęła się przyglądać ludziom zza okularów w kolorze miodu. Błyskawicznie dostrzegła Stride'a i Maggie i z lekkim uśmiechem ruszyła ku nim. Wszyscy wokoło obserwowali każdy jej ruch, ale ona zdawała się w ogóle tego nie zauważać.

- Pan porucznik Stride? - zapytała.

Na obcasach dorównywała mu wzrostem patrzyła prosto w oczy.

- Zgadza się. - Stride uświadomił sobie, że on też nie odrywa od niej spojrzenia. Prowokującego. - To moja partnerka, Maggie Bei. To ona rozpusza o mnie plotki przez telefon.

- Nazywam się Sorenson - powiedziała Maggie. - Zapomina, że jestem mężatką. Zauważyła, jak Stride i Serena na siebie patrzą i uśmiechnęła się znacząco. - Jak się zdaje, zapomniał też, że i on jest żonaty.

Stride rzucił Maggie mordercze spojrzenie. Ta w odpowiedzi pokazała mu język.

- Bardzo mi się podoba twój mundur - rzuciła Maggie. - Czy w Vegas wszystkie kobiety gliny takie noszą?

Serena zdjęła okulary i zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Jej uśmiech nabral bardziej szelmowskiego wyrazu.

- Tylko te z cyckami, skarbie.

Maggie zaśmiała się głośno.

- Ona mi się podoba - zwróciła się do Stride'a.

Stride ponownie objął spojrzeniem sylwetkę Sereny i nawet nie próbował ukryć zainteresowania. Gdy odpowiedziała mu tym samym, poczuł, że przeleciała między nimi iskra.

- Jesteś teraz w Minnesocie - powiedział Serenie. - Tu obowiązuje strój regulaminowy.

- Masz na myśli, że trzeba wyglądać nudno?

- Właśnie.

- No cóż, wy dwoje nie wydajecie mi się nudni.

Maggie znów się zaśmiała.

- Poczekaj, aż nas lepiej poznasz.

Skierowali się do wyjścia. Za przechodzącą Sereną odwracały się wszystkie głowy. Maggie ze Stride'em została trochę z tyłu. Nachyliła się do niego i szepnęła:

- Chcecie zostać sami?

- Zamknij się - odparował Stride.

Na niższym poziomie odebrali walizkę Sereny w tym samym kolorze co jej spodnie. Stride zdjął bagaż z taśmy i stęknął z wysiłku.

- Ja pierdzielę, przywiozłaś ze sobą ciało? Serena się zaśmiała.

- O przepraszam, to nie jest tu właściwa procedura?

Wyszli przez drzwi obrotowe. Powietrze wciąż było ciepłe, ale od wzgórz ciągnęła bryza. Serena znów włożyła okulary i odetchnęła głęboko.

- Boże, jak cudownie. Świeże powietrze. Jak w zimie.

- Hm, w zimie jest tu trochę chłodniej - powiedział Stride.

- Tak, o jakieś czterdzieści stopni - dodała Maggie.

Serena kiwnęła głową.

- No, przeczytałam trochę o Minnesocie w internecie. Wyszło na to, że to taka druga Alaska. Ale teraz jest bardzo przyjemnie. U nas jest w tej chwili jak w piekle. Gorąco. Gdybyście kiedyś chcieli poczuć się jak w Vegas, wsadźcie głowę do piekarnika.

- Brałam ślub w Reno - powiedziała Maggie.

- Tak? Lubię Reno. Kocham góry. Ciągłe sobie powtarzam, że kiedyś wyniosę się w cholerę z tej pustyni.

- Masz męża? - zapytała Maggie.

Serena pokręciła głową.

- Nie.

Dotarli do samochodu. Serena wdrapała się na tylne siedzenie i oparła się od niechcenia o przednie fotele, żeby móc rozmawiać ze Stride'em podczas podróży. Stride poczuł, jak jej łokieć lekko muska mu kark. Poczuł delikatny zapach jej perfum i słodki oddech. Był boleśnie świadom wszystkiego, co się z nią wiąże.

- Jesteś całkowicie pewna, że dziewczyna znaleziona na pustyni to Rachel Deese? - zapytała Maggie.

Serena skinęła głową.

- Nie ma wątpliwości. Odciski palców są identyczne z tymi, które umieściliście w systemie. Do tego jeden ze świadków zidentyfikował ją na zdjęciu. Przykro mi. Wiem, że to was stawia w trudnej sytuacji.

- Jesteśmy do tego przyzwyczajeni - zapewniła Maggie, chichocząc.

- Czy ktoś tu już o tym wie?

- Tylko my i nasz szef. Chciałem uniknąć jakichkolwiek przecieków. Pomyślałem, że najpierw należy zawiadomić matkę. Jak tylko zaczniemy o tym z kimkolwiek rozmawiać, informacje przedostaną się do gazet.

- Tak, domyślam się, że to będzie prawdziwa sensacja. Czytałam materiały prasowe. Dziwna sprawa. Na waszym miejscu też bym uznała, że dziewczyna nie żyje.

- Dzięki - powiedział Stride.

- Tak czy inaczej, jak tylko powiemy matce, powinniśmy chyba otworzyć akta i przyjrzeć się wszystkim przyjaciółom Rachel i w ogóle każdemu, kto mógł ją znać.

Stride odwrócił się do Sereny. Ich twarze znalazły się w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od siebie.

- Co to wniesie do śledztwa w sprawie morderstwa w Vegas?

Serena znowu zdjęła okulary. Stride zajrzał w jej szmaragdowe oczy. W pierwszej chwili gdy ją zobaczył, wydawała mu się młodsza. Ale z bliska spostrzegł w jej twarzy dojrzałość. Zmarszczki śmiechu były już dość głębokie. Musiała być po trzydziestce, a

więc jak dla Stride'a wciąż młoda, ale miała w sobie wrażliwość, mądrość osoby starszej. Uśmiechała się często i radośnie, a jej oczy rzucały mu figlarnie spojrzenia. Ale Stride wyczuwał też pewien dystans, brak zaufania, którego cienka warstwa oddzielała ich od siebie. Zastanawiał się, czy to dlatego, że wyczuła więź, jaka się między nimi wytworzyła. Zdał sobie sprawę, że nie odpowiedziała na jego pytanie.

- No więc? - zapytała Maggie, rzucając im spojrzenie z ukosa.

- Zakładam, że znany wam jest Range Bank?

- Jasne - odpowiedział Stride. - Jestem jego klientem. Jak zresztą połowa miasta. Dlaczego?

Serena nachyliła się jeszcze bliżej.

- Znaleźliśmy w mieszkaniu Rachel fragment wydruku z bankomatu Range Banku. Więc albo była tu niedawno albo ktoś stąd złożył jej wizytę.

39.

Stride przyjechał po Serenę do motelu w piątek tuż po dziewiątej rano. Zapukał. Gdy otworzyła, jej włosy były wilgotne po prysznicu, a skóra lśniła. Ubrała się trochę skromniej, w wytarte niebieskie dżinsy, ciepły granatowy T-shirt i kowbojki. Uśmiechnęła się na powitanie.

- Cześć, Stride - przywitała go. - Wejdz, jestem już prawie gotowa.

Mały pokój był wilgotny i pachnący. Lustro obok telewizora było całkowicie zaparowane. Na biurku leżała otwarta walizka ze złożonymi ubraniami. Prawie całą przestrzeń wypełniało ogromne łóżko.

- Przepraszam za ten pokój - powiedział. - W lecie zjeżdża tu sporo ludzi.

- Nie ma problemu - Serena wzruszyła ramionami.

Usiadła na brzegu łóżka i wkładała małe srebrne kolczyki

Zdawała się pieścić palcami płatki uszu. Stride uświadomił sobie, że nie może oderwać od niej oczu. Serena spojrzała na niego i zauważyła to. Po dłuższej chwili nerwowo spuściła wzrok.

- Zadzwoń mi po drodze do matki Rachel - powiedział. Czuł się niezręcznie. - W końcu udało mi się ją złapać. Możemy najpierw pojechać do niej.

- Powiedziałeś jej?

Stride pokręcił głową.

- Nie, powiedziałem tylko, że chcę z nią porozmawiać. Pewnie i tak podejrzewa, o co chodzi.

Serena wstała. Byli teraz tak blisko siebie, że mogliby się pocałować, i Stride poczuł dzikie pragnienie, by to zrobić.

- Chodźmy już - zasugerował.

Na dworze wdrapali się do jego terenówki. Siedzenia się rozpadały, a deskę rozdzielczą zaśmiecały notatki dotyczące różnych dochodzeń. W podstawce na kubek stała kawa z poprzedniego dnia. Na podłodze walał się fragment lokalnej gazety.

Serena zauważyła jego zawstydzienie i uśmiechnęła się.

- Nie przejmuj się. Lubię, jak wóz nosi ślady ludzkiej bytności. Bardzo stara ta kawa?

- Dość stara.

- Macie tu Starbucka?

- Jeszcze nie. Na razie musimy się zadowalać MacDonaldem. Chcesz wpaść po drodze?

- Pewnie.

Zaopatrzyli się w dwa kubki parującej kawy. Starą Stride wyrzucił. Kupił też frytki, które pojadał po drodze. Serena wystawiła łokieć za okno. Wpadająca przez okno bryza muskała jej świeżo wyszczotkowane włosy. Popijała swoją kawę. Stride rzucał jej ukradkowe spojrzenia, które ona parę razy odwzajemniła. Nie rozmawiali zbyt wiele.

Nad drogą wisały jeszcze resztki porannej mgły. Raz po raz zanurzali się w plamach bieli i Stride włączył światła. Na szczycie wzgórza, z którego widać było panoramę całego miasta, Serena wychyliła się, wyraźnie zafascynowana przebijającymi się przez mgiełkę fragmentami jeziora.

- Niesamowity widok - szepnęła. - Gdy się dłuższy czas mieszka na pustyni, zapomina się o istnieniu wody i drzew.

- Nigdy nie byłem na pustyni - powiedział Stride.

- Nigdy? Powinieneś pojechać. Jest piękna, na swój sposób.

- Pochodzisz z Las Vegas? - zapytał.

- Nie, z Phoenix.

Zauważył, jak jej wzrok staje się daleki, i zgadł, że wszedł na grząski grunt.

- Przeprowadziłam się do Vegas z przyjaciółką, gdy miałam szesnaście lat - dodała.

- Młodo - powiedział, zastanawiając się, przed czym uciekała.

Nie skomentowała tego.

Stride zjechał krętą uliczką na autostradę i skierował się na południe. To była najkrótsza droga do dzielnicy, w której mieszkali Emily i Dayton Tenby. Pobrali się jeszcze podczas odsiadki Emily, która zakończyła się sześć miesięcy temu.

- Zamarzam - powiedziała Serena, rozcierając sobie ramiona.

- Mam w bagażniku sweter. Chcesz pożyczyć?

Serena przytaknęła. Zmarszczyła nos.

- Czuję papierosy. Palisz?

- Kiedyś paliłem - przyznał Stride. - Udało mi się w końcu rzucić jakiś rok temu. Ale zapachu ciężko się pozbyć.

- Trudno było rzucić?

Stride skinął głową.

- Ale w zeszłym roku widziałem, jak kolega z pracy umiera na raka. Był najwyżej dziesięć lat starszy ode mnie. Przestraszyłem się.

- I dobrze - powiedziała Serena.

Stride nie miał trudności ze znalezieniem domu Daytona i Emily. Był oddalony tylko o dwie przecznice od kościoła, który razem z Maggie odwiedzili zimą ponad trzy lata temu. Stride zaparkował na ulicy i wyciągnął z bagażnika wełniany sweter w rdzawym kolorze. Serena wciągnęła go na siebie i podwinęła rękawy.

- Uratowałeś mi życie - powiedziała Stride'owi i ścisnęła go za ramię.

Emily od razu otworzyła drzwi. Stride spodziewał się, że więzienie ją postarzy, ale okazało się, że jeśli w ogóle nastąpiła jakaś zmiana, to na lepsze - wyglądała młodziej niż w ponurym okresie rozprawy. Była starannie umalowana, na ustach miała czerwoną szminkę. Jej błękitne oczy, niegdyś puste i martwe, znowu nabrały blasku, a ciemne włosy były obcięte na pieczarkę. Miała na sobie proste brązowe spodnie i luźną białą bawełnianą koszulę.

- Witam, panie poruczniku - powiedziała. - Dawno się nie widzieliśmy.

- To prawda. Świetnie pani wygląda.

- Proszę mi mówić Emily - powiedziała z uśmiechem.

- Z przyjemnością. A to jest Serena Diał. Pracuje w policji okręgu Clark w Las Vegas.

Emily uniosła brwi.

- Las Vegas?

Serena twierdząco skinęła głową. Emily niespokojnie zagryzła wargi. Otworzyła szerzej drzwi, zapraszając ich do środka.

- Dayton jest w salonie. Przykro mi, że nie udało się panu zastać nas wczoraj. Odsłuchaliśmy pańską wiadomość, ale dotarliśmy do domu bardzo późno. Przylecieliśmy do Minneapolis z dwugodzinnym opóźnieniem, po czym ruszyliśmy na północ.

- Byli państwo na wakacjach? - zapytała Serena.

- Częściowo. A częściowo to był wyjazd służbowy Daytona. W San Antonio, przy Riverwalk odbywała się narodowa konwencja Kościołów. Przedłużyliśmy pobyt o kilka dni, żeby zostać pełny tydzień.

Zaprowadziła ich do salonu. Dayton Tenby siedział na sofie, lecz gdy ich zobaczył, poderwał się i wyciągnął do nich obie ręce. Włosy Daytona były już całkiem siwe i niewiele z nich zostało, zaledwie wianuszek okalający podłużną czaszkę. Przybyło mu kilka kilogramów, tak że wyglądał mniej mizernie niż wtedy, gdy się poznali. Był ubrany w eleganckie szare spodnie, wykrochmaloną białą koszulę i czarną akrylową kamizelkę. Stride i Serena zajęli miejsca na sofie, Emily i Dayton, trzymając się za ręce, usiedli naprzeciwko na dwuosobowej kanapce. Widać było, że małżeństwo im służy. Mimo ponad dziesięcioletniej różnicy wieku sprawiali wrażenie szczęśliwych.

- Chcę, żeby pan wiedział, poruczniku, że nie żałuję tego, co zrobiłam powiedziała Emily. - Rozumiem, że musiałam odpokutować wobec społeczeństwa, ale gdybym znowu znalazła się w tej sytuacji, zrobiłabym to samo.

Stride zawahał się.

- Rozumiem...

Dayton spojrzał na nich.

- Nie łudzimy się, że to wizyta towarzyska. Na pewno macie dla nas jakieś wiadomości.

- Owszem - powiedział Stride. - Muszę uprzedzić, że ta informacja może być bardzo bolesna.

- Znaleźliście ją - stwierdziła Emily.

- Tak, ale nie w okolicznościach, jakich moglibyście się państwo spodziewać. W tym tygodniu panna Dial została wezwana w pewne miejsce na pustyni tuż za Las Vegas. Znalaziono tam ciało młodej dziewczyny. Obawiam się, że to była Rachel - umilkł na chwilę, po czym kontynuował. - Zginęła kilka dni wcześniej. Wygląda na to, że Rachel przez ostatnie trzy lata żyła.

- Żyła? - szepnęła Emily z rozszerzonymi oczami. - Przez cały ten czas?

Stride zobaczył, że mocno ściska rękę Daytona. Zamknęła oczy i powoli oparła głowę o jego ramię.

- Jak umarła? - zapytał Dayton.

- Przykro mi - powiedziała cicho Serena. - Została zamordowana.

Dayton pokręcił głową.

- Boże, nie.

Emily wyprostowała się i przetarła oczy. Z pudełka stojącego na stoliku wyciągnęła chusteczkę i wydmuchała nos. Zamrugła powiekami, próbując się opanować.

- Chcecie mi powiedzieć, że Graeme nie zabił mojej córki?

- Tak właśnie - odparł Stride.

- O mój Boże - zwróciła się do Daytona. - Zabiłam go, a on tego nie zrobił! Przez cały ten czas żyła!

- Może jej nie zabił, ale to nie znaczy, że był niewinny - powiedział Dayton.

- Wiem, wiem. Ależ musiała się z nas śmiać, gdziekolwiek była. Sprowokowała mnie podstępem, żebym go zabiła!

- Ma pani jakąś koncepcję tego, co się wydarzyło? - spytał Dayton Serenę. - Kto ją zabił?

- Prowadzimy dochodzenie - odpowiedziała. - Wiem, że to dla państwa trudny moment, ale muszę zadać kilka pytań. Czy miała pani jakiegokolwiek podstawy, by przypuszczać, że córka wciąż żyje? Czy kiedykolwiek próbowała się z wami skontaktować?

Dayton i Emily spojrzeli na Stride'a.

- Tylko ta pocztówka, którą nam pan pokazał - powiedział Dayton.

Stride opowiedział Serenie o kartce, ze znaczkiem z Las Vegas, którą otrzymał zaraz po procesie.

- Poszliście tym tropem? - zapytała.

- Na tyle, na ile było to możliwe. Na pocztówce nie było żadnych odcisków palców ani też żadnego materiału do analizy DNA na znaczku. Zawiadomiłem policję w Las Vegas i zapytałem, czy mogliby się rozejrzeć, ale nie wydawali się zbyt chętni do poszukiwań zbiegłej osiemnastolatki, która mogła żyć lub nie i równie dobrze mogła przebywać w Las Vegas jak i w jakimkolwiek innym miejscu.

- Nie wiem, czy na ich miejscu zachowałabym się inaczej.

Stride pokiwał głową.

- Ja przeprowadziłem dochodzenie, panno Dial - oświadczył Dayton.

Zarówno Stride jak i Serena spojrzeli na niego, zaskoczeni. Dayton zamilkł, wzrokiem prosząc Emily o pozwolenie. Kobieta skinęła głową.

- Według mnie ta pocztówka - cóż, to wyglądało mi na jedną z typowych gierek Rachel. Ta kartka miała nas udręczyć. To mnie przekonało, że ona żyje. Emily oczywiście była wtedy w więzieniu, a ja nie chciałem, żeby ślad ostygł, więc pojechałem jej szukać.

- Pojechał pan do Las Vegas? - zapytał Stride.

- Tak, na tydzień. Kiedy powiedział mi pan, że tamtejsza policja nie jest zbyt pomocna, postanowiłem sam się rozejrzeć. Zrobiłem to dla Emily. Zaslugiwała na to, by poznać prawdę.

- Jak pan się za to zabrał... mam na myśli poszukiwania? - zapytała Serena.

- No cóż, wiem, że to brzmi, jakbym zgrywał twardziela - powiedział Dayton. - Wziąłem ze sobą jej zdjęcie. Po prostu chodziłem po wszystkich kasynach i pokazywałem fotografię ochroniarzom, no, żeby się dowiedzieć, czy ktokolwiek ją widział. Jeśli wierzyć programom telewizyjnym, mają tam wszystkich na oku. Założyłem, że jeśli Rachel jest w Las Vegas, to pracuje w kasynie. Zdaje się, że tam wszyscy pracują w kasynach. Więc przeszedłem wzdłuż i wszerz Strip, potem centrum, a następnie przedmieścia.

- I znalazł ją pan? - zapytał Stride.

Dayton ze smutkiem pokręcił głową.

- Ani śladu. Nikt jej nie widział. Po tygodniu doszedłem do wniosku, że się pomyliłem, że jednak pocztówka nie była od Rachel.

- Czy potem był pan jeszcze kiedyś w Vegas? - zapytała Serena.

- Nie.

- Czy od tamtego wydarzenia mieli państwo jakikolwiek powód przypuszczać, że Rachel żyje? - zapytał Stride, patrząc obojgu prosto w oczy. - Jakieś dziwne wiadomości? Telefony?

- Nic takiego - powiedziała Emily. - Szczerze mówiąc, w przeciwieństwie do Dayton'a ja nigdy nie wierzyłam. Nigdy nie myślałam, że ona żyje.

- Ach tak? Czemu? - zaciekała się Serena.

Przez usta Emily przemknął ironiczny uśmiešek.

- Siedziałam w więzieniu. Byłam przekonana, że gdyby Rachel żyła, znalazłaby sposób, żeby mi tym dopiec.

Stride skinął głową.

- Zabraliśmy państwu już dość czasu - powiedział. Wstał.

Serena poszła za jego przykładem.

- Jak mamy załatwić formalności związane ze sprowadzeniem ciała Rachel? - zapytał Dayton.

- Ja się tym zajmę, dopilnuję, żeby ktoś do was zadzwonił - powiedziała Serena. - Postaramy się, żeby odbyło się to jak najszybciej. Proszę jednak zrozumieć, że trwa dochodzenie w sprawie o morderstwo. I jeśli mogę coś doradzić... Lepiej, żeby państwo nie oglądali ciała. Została znaleziona na pustyni, a pobyt w takim miejscu, cóż, nie wpływa dobrze na wygląd ludzkich szczątków.

Emily z trudem przełknęła ślinę.

- Rozumiem.

Uścisnęły sobie dłonie i Dayton odprowadził ich do wyjścia. Serena uśmiechnęła się do niego lekko.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że przynajmniej mieli państwo udane wakacje.

Dayton zawahał się.

- A tak. Dziękuję.

- Uwielbiam Riverwalk w San Antonio. Gdzie się państwo zatrzymali?

- Zjazd odbywał się w Hyacie.

- Udało się państwu wyrwać z miasta?

- Nie bardzo. Obejrzeliśmy tylko Alamo i tak dalej.

- No właśnie - powiedziała Serena.

Gdy już wychodzili, Dayton dotknął jej ramienia.

- Mogę panią o coś zapytać?

Serena skinęła głową.

- Zastanawiam się, czy pani wie, czym zajmowała się Rachel. Gdzie pracowała. Tak sobie myślę, że gdybym szukał dokładniej...

- Pracowała w klubie ze striptizem - powiedziała bez ogródek.

Dayton obliznął wargi.

- Ach. No cóż, tam nie szukałem.

40.

- Wierzysz mu? - zapytał Stride, gdy zmierzali z powrotem do miasta.

Wyjrzał przez okno i zobaczył czarne chmury zbierające się na niebie nad południowym wschodem. Zbliżała się letnia burza.

- Jeśli kłamie, to jest w tym dobry - odpowiedziała Serena. - Ale ja, tam gdzie w grę wchodzi mężczyzna i nastolatka, jestem bardzo podejrzliwa.

- Uważasz, że pastor, który wydaje się zbyt doskonały, by był prawdziwy, zapewne nie jest prawdziwy?

- Nie tylko to, Jonny.

Nie wyjaśniła jednak, co ma na myśli. Nie mógł się powstrzymać przed próbą zgłębienia jej tajemnic. Jego myśli zaprzętał również fakt, że nazwała go Jonny. Wypadło to naturalnie, spontanicznie. Zastanawiał się, czy w ogóle zdawała sobie sprawę, że to zrobiła. Ale zabrzmiało to poufale, niemal intymnie.

W ustach Andrei dźwięk jego imienia chyba nigdy nie zrobił na nim takiego wrażenia. I pamiętał, że takie samo poczucie bliskości wytworzyło się od początku znajomości między nim a Cindy. To były przerażające, niechciane myśli. Stride zdał sobie sprawę, że od przyjazdu Sereny odpychał od siebie myśl o Andrei. Jego fascynacja nowo poznaną kobietą była tak nagła i obezwładniająca, że zdawała się wypierać wszystkie inne emocje. Stride nie był typem skłonny do romansów. Jednakże w tej chwili właśnie tego pragnął. Bardziej niż czegokolwiek innego.

- Naprawdę byłaś kiedyś na Riverwalk?

- Nigdy - odpowiedziała Serena z przebiegłym uśmiechem.

Stride zaśmiał się.

- Jesteś cudowna.

Chciał, żeby wyczuła dwuznaczność w tym, co powiedział. Nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że Serena się lekko zarumieniła.

- Zlecę Maggie, żeby to sprawdziła - kontynuował. - Przyjrzymy się tej kościelnej konferencji i upewnimy się, czy oni naprawdę tam byli.

- Nawet jeśli się zameldowali, mogli obrócić do Vegas i z powrotem w jeden dzień. Nikt by się nie dowiedział.

- Sprawdzimy też loty. I wyciągi z ich kart.

Zanim Serena zdążyła coś odpowiedzieć, usłyszał dzwonek swojej komórki.

Wyciągnął telefon z kieszeni i przyłożył do ucha.

- Musimy pogadać - odezwał się męski głos.

Stride rozpoznał Dana Ericksona.

- Owszem - odpowiedział. - Dostałeś moją wiadomość?

- Cholernie jasne, że dostałem. To pewne?

- Tak.

- Psiakrew - syknął Dan.

Zaległa cisza, podczas której Stride niemal słyszał, jak trybiki w umyśle jego rozmówcy dokonują błyskawicznych kalkulacji.

- To niewiarygodne. Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

- Wolisz, żebym wpadł do twojego biura?

- Jeszcze czego. Do mojego biura masz się w ogóle nie zbliżać. Spotkajmy się za godzinę na parkingu przy liceum.

- Czy nie powinniśmy ustalić jakiegoś tajnego kodu, żeby się rozpoznać? - zapytał Stride.

- Śmieszne. Bardzo, kurwa, śmieszne. Masz tam być i już.

Stride się rozłączył.

Serena pytająco uniosła brwi. Słyszała większość rozmowy.

- Dan Brickson był oskarżycielem Graeme'a Stonera w sprawie o zabójstwo Rachel - wyjaśnił jej Stride. - Nie jest zbyt zachwycony naszymi rewelacjami.

- A skąd ta atmosfera filmu płaszcza i szpady?

- Dan jest prokuratorem okręgowym, ale ubiega się o stanowisko prokuratora stanowego. Myślę, że informacja o tym, iż oskarżał w procesie o morderstwo, które nie zostało popełnione, może odbić się niekorzystnie na jego kampanii.

Serena zmarszczyła brwi.

- Uważaj na siebie, Jonny. Taki facet, jak polityk, zwali na ciebie całą winę i doprowadzi do tego, że cię wyleją, byle tylko ocalić swój tyiek.

- Tak, to byłoby w stylu Dana - powiedział Stride.

Znowu nazwała go Jonny.

- Nic cię to nie obchodzi?

Stride obserwował, jak pierwsze krople deszczu rozbijają się na szybie.

- To zabawne. Nie jestem pewien, czy mnie obchodzi.

Gdy Stride podrzucił Serenę na komendę i ruszył przez wzgórze do szkoły, jego wycieraczki piszczały i miały się jak wściekle, zgarniając z szyby litry wody. Stride wychylił się do przodu, żeby przez strugi deszczu dojrzeć choćby zarys chodnika. Gdzieś wysoko na letnim niebie świeciło słońce, ale przez wiszące nad miastem czarne chmury było ciemno jak w nocy.

Stride dojechał niemal do końca parkingu, po czym spostrzegł lexusa Dana zaparkowanego z dala od innych samochodów. Stał obok niego. Lexus był granatowy, z przyciemnianymi szybami. Dan zostawił zapalone światła i włączony silnik.

Deszcz walił w terenówkę Stride'a. Kiedy otworzył drzwi, chlusnęła na niego woda. Miał uczucie, jakby w kark wbijały mu się tysiące lodowatych igiełek. Zatrzasnął drzwi i pociągnął klamkę lexusa od strony pasażera. Zamknięte. Już całkiem przemoczony, zaczął walić w okno. Usłyszał ciche kliknięcie i włączył się do samochodu, nanosząc przy tym trochę wody.

- Mnie też miło cię widzieć, Dan - mruknął, próbując otrząsnąć deszcz z rękawów i rozbryzując krople po całym wnętrzu.

- To są skórzane siedzenia - powiedział Dan z gniewną miną.

Wnętrze samochodu pachniało jak żona Dana, to znaczy pieniędzmi. Stride wiedział, że zarówno lexus jak i wszystko inne należało do Lauren, ale Dan świetnie odnajdywał się w nowej roli. Na jego lewej dłoni Stride zauważył ogromną obrączkę ślubną z rubinem, a na nadgarstku złotego roleksa. Granatowy garnitur Dana sprawiał wrażenie szytego na miarę i układał się miękko, bez najmniejszych zagnieceń. W tle słychać było lokalną stację radiową. Dan wyciągnął rękę i wyłączył radio. Przez chwilę siedzieli w ciszy zakłóconej jedynie przez deszcz rytmicznie uderzający o dach samochodu.

- W wiadomościach jeszcze nic nie było - powiedział Dan. - I niech tak zostanie. Stride pokręcił głową.

- Niemożliwe. To będzie wielka sensacja, dobrze o tym wiesz. Możemy liczyć co najwyżej na to, że uda nam się zachować tajemnicę jeszcze przez kilka dni, ale i to jest dość optymistyczne założenie. Wystarczy jeden przeciek.

- Kto o tym wie?

- Gliny z Vegas i kilku policjantów tutaj, w Duluth. Do tego Emily i jej mąż, Dayton Tenby.

- Powinieneś był mnie zawiadomić, zanim im powiedziałeś.

- Chryste, Dan, przecież tu chodzi o jej córkę.

Dan westchnął.

- No, to mów.

Stride opowiedział o odkryciu ciała Rachel na pustyni w Las Vegas i o tropach prowadzących do Duluth.

- Ale nie wiemy jeszcze, co wydarzyło się w Vegas - kontynuował. - Nie odkryliśmy też, co naprawdę się stało, gdy dziewczyna zniknęła po raz pierwszy. Pewne jest jedno: to że Stoner jej nie zabił.

- Macie jakieś poszlaki?

- Nie, jak na razie nic. Przeglądamy od nowa wszystkie akta z tamtego śledztwa i mamy zamiar namierzyć wszystkich, którzy byli zamieszani w tamtą sprawę.

Dan zmarszczył brwi.

- Im więcej ludzi w to wciągniecie, tym bardziej prawdopodobne, że wszystko wyjdzie na jaw.

- Wiem o tym, ale to nie jest jakaś przedawniona historia. To jest wszczęte dochodzenie w sprawie o morderstwo. Ktoś zabił Rachel niecały tydzień temu i chcę

się dowiedzieć, kto to był. Nie zwołaliśmy konferencji prasowej tylko dlatego, że chcę mieć efekt zaskoczenia, gdy będę rozmawiał z ludźmi.

- Świetnie - powiedział Dan. - Po prostu świetnie. Republikanie będą zachwyceni.

- Wierzę w ciebie, Dan. Na pewno jakoś się z tego wykręcisz.

Dan przeszył go ostrym wzrokiem.

- Jaja sobie robisz? Słuchaj, odpowiedzialnością za tę porażkę obarczę tylko i wyłącznie grupę dochodzeniową.

Punkt dla ciebie, Serena.

Stride skinął głową.

- Popelniliśmy trochę błędów, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale to ty zdecydowałeś, że idziemy do sądu, chociaż nie było ciała.

- O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że to Stoner jest mordercą. Że on to zrobił.

- Tak właśnie myślałem. Wszyscy tak myśleliśmy. Ale dowody były słabe. Znałeś je od samego początku.

Dan pokręcił głową.

- Nie zamierzam wdawać się z tobą w publiczne przepychanki. Oczekuję, że weźmiesz na siebie pełną odpowiedzialność. Czy wyrażam się jasno? Chcę, żebyś wstał i powiedział światu, że to policja wszystko spieprzyła. Ja działałem w dobrej wierze, opierając się na błędnych informacjach, których wy mi dostarczyliście. Ty i twoi koledzy już pozwoliliście uciec jednemu mordercy - temu, co zabił Kerry McGrath. I tak bardzo chcieliście rozwiązać sprawę Rachel, że poszliście na skróty.

W tym, co powiedział Dan, było trochę prawdy. Stride nie mógł zaprzeczyć, że był wtedy ogarnięty obsesją znalezienia Rachel lub doprowadzenia jej zabójcy przed oblicze sprawiedliwości. Przekonany o winie Stonera, mógł nie być całkiem obiektywny.

Jednak to Dan osobiście zdecydował się na wytoczenie sprawy o morderstwo, mimo że nie mieli ani ciała, ani szczególnych szans powodzenia.

- Wezmę na siebie swoją część winy - powiedział Stride. - Ale to nie jest cała prawda.

- Teraz już tak.

- To brzmi jak ultimatum.

Dan wzruszył ramionami.

- Interpretuj to sobie, jak ci się żywnie podoba. Ale możesz być pewny, że jeśli spróbujesz się wywinąć, konsekwencje będą przykre. Nie dam K-2 wyboru.

- Cóż, wygląda na to, że będę musiał wszystko przemyśleć. Masz dla mnie jeszcze jakieś inne cenne rady?

Dan milczał.

Stride otworzył drzwi i wygramolił się na zewnątrz. Chwilę przytrzymał je otwarte tak, że deszcz chlusnął do środka, zalewając siedzenie i moczając elegancki garnitur Dana. W końcu zatrzasnął drzwi i poczekał w strugach ulewy, aż Dan z piskiem opon odjedzie.

Serena siedziała sama w sali konferencyjnej w podziemiach ratusza. Od ślęczenia nad ogromną stertą dokumentów bolały ją oczy. Strona po stronie, akta odkrywały przed nią historię zniknięcia Rachel. Jak każda ofiara, postać dziewczyny stopniowo ożywała w jej umyśle. Ale tym razem czuła się tak, jakby patrzyła na swoje lustrzane odbicie o takich samych kruczoczarnych włosach i szmaragdowych oczach. Rachel mogłaby być jej siostrą bliźniaczką.

Przez to wszystko zaczęła rozmyślać o matce. Były do siebie tak podobne, że w dzieciństwie matka nazywała ją swoim małym złym sobowtórem.

Ale to matka była zła. Sprzedawała się diabłu za kilka gramów białego proszku. I dorzucała córeczkę.

Serena rozumiała, skąd się wziął jad w sercu Rachel. Nie musiała wiele przeczytać, by wiedzieć, jakim człowiekiem był Graeme i w jaką grę grało tych dwoje. Serena mogła się z łatwością postawić na miejscu Rachel. Znała to dławiące pragnienie zemsty. Różniło je tylko to, że jej udało się uciec, choć miała głęboką świadomość, że dokonała tego w ostatniej chwili.

Owładnięta samotnością i rozpaczą, Serena spojrziała na zegarek. To wspomnienia tak na nią działały. Poczowała chęć na drinka, a to było niebezpieczne. Było po osiemnastej. Maggie wyszła na tę ulewę ponad pół godziny temu, żeby zorganizować dla nich jakiś obiad. Stride musiał się zająć inną sprawą. Zadzwoił wczesnym popołudniem, żeby powiedzieć, że jest po drugiej stronie miasta, w banku, który właśnie został obrabowany, i posługuje federalnym.

Chciała, żeby przyjechał, a jednocześnie wołała, by trzymał się z daleka.

Mimo to, gdy usłyszała kroki w korytarzu, serce zaczęło jej bić jak szalone. Zebrała całą energię, by wybrać pozę spokojnej i obojętnej.

Ale to nie był Stride. Do sali konferencyjnej wparowała Maggie w wilgotnym płaszczu, z pudełkiem pizzy w jednej ręce i dwulitrową butelką coli light w drugiej. Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu.

- Specjalna przesyłka. I jest w niej mnóstwo kiełbasy, więc nie wciskaj mi wegetariańskiego kitu o bezmięsnych pizzach czy co wy tam jadacie na zachodzie.

Serena zaśmiała się i otworzyła pudełko. Po sali rozniósł się zapach mozzarelli i mocno przyprawionej wieprzowiny. Maggie strzeliła nakrętką i napełniła dwa plastikowe kubki, po czym chwyciła kawał pizzy i usiadła, odchylając się na krzesło tak, że oparła się o ścianę. Jej nogi zwisały nad podłogą.

- Rozwiązałaś sprawę? - zapytała.

- Nadal sądzę, że zrobił to Graeme - odpowiedziała Serena z uśmiechem.

- Tak, w tej wersji wszystko było znacznie prostsze. Jakieś wieści od Stride'a?

Guppo dzwonił i mówił, że szef jest już w drodze tutaj.

- Nie, Jonny się nie odzywał.

Serena wzięła kawałek pizzy i po chwili odłożyła nietknięty.

Maggie zdrowo łyknęła coli, po czym przyjrzała się Serenie. Z niepokojem zmarszczyła brwi.

- Wszystko gra?

- Pewnie. Czemu pytasz?

Maggie pociągnęła się za powiekę.

- Zaszklone oczy. Łzy. Co się dzieje?

- A, to - powiedziała Serena. - To nic takiego. Wspomnienia z niezbyt różowych lat młodości. W tej sprawie jest coś, co mnie porusza.

- To się zdarza każdemu z nas.

- Nawet takiej twardej sztuce jak ty? - zapytała Serena z przekąsem.

- Nie, ja jestem jak skała - odpowiedziała Maggie . - No, spróbuj pizzy, jest pyszna.

Serena wzięła swój kawałek i ugryzła ostrożnie. Nagle uprzytomniła sobie, jaka jest głodna, i zaczęła odgryzać większe kęsy. Szybko skończyła pierwszy kawałek i sięgnęła po następny. Popiła go colą, po której odbiło się jej głośno przeciągle, i nagle zaczęła niepowstrzymanie chichotać.

- Fajnie - powiedziała Maggie z niewzruszonym wyrazem twarzy. - Można cię wynająć na urodziny?

Serena znowu zaczęła się śmiać; przez chwilę obawiała się, że cola wyleci jej nosem. Maggie też straciła panowanie nad sobą i dobre kilka minut rżały obie do utraty tchu. W końcu spocona Serena otarła czoło i wydmuchała nos w serwetkę.

- Niezły z ciebie numer - powiedziała.

- Dzięki - odparła Maggie, znakomicie imitując głos Elvisa. - Dziękuję bardzo.

- Boże, tylko mnie już nie rozśmieszaj. - Serena odgarnęła włosy z twarzy.

Zamknęła oczy i tak jak Maggie przechyliła się z krzesłem do tyłu, aż oparto się plecami o ścianę.

- Mogę cię o coś spytać? - zagadnęła Maggie.

Serena, rozluźniona, stanowiła teraz łatwy cel.

- Pewnie.

- Czy dobrze widziałam, że między tobą a Stride'em zaiskrzyło już na lotnisku?

Krzesło Sereny z hukiem wróciło do pionu. Gałtownie otworzyła oczy. Na złocistej twarzy Maggie malował się szeroki uśmiech.

- Co?

- Oj, nie zgrywaj przede mną niewiniątka. Dobrze wiesz, że on cię pragnie. Nawet gdyby bardzo się starał, nie byłby w stanie tego ukryć. I zdaje mi się, że ty też go chcesz.

- Maggie, przecież on jest żonaty. Poza tym dopiero się poznaliśmy.

Maggie wzięła kolejny kawałek pizzy.

- Nazywaj to małżeństwem, jeśli chcesz, ale to już od dawna fikcja. Rozwód wisi w powietrzu. Dzięki Bogu. I nie opowiadaj mi, dziecino, że czas ma tu coś do rzeczy? No bo ile czasu trzeba? Miesiąc? Tydzień? Mnie, żeby się w nim zakochać, wystarczył jeden dzień.

- Tobie?

Maggie skinęła głową.

- O tak, chorowałam na niego przez wiele lat.

- I co?

- Nic. Wtedy był w prawdziwym związku. Kiedy ona umarła, postanowiłam spróbować. Ale jesteśmy sobie przeznaczeni jako przyjaciele, nie kochankowie. Na szczęście w końcu spotkałam Erica, którego moje nieprzyzwoite dowcipy jakimś cudem nie odstraszyły. Co więcej, mam wrażenie, że udało mu się, gnojkwowi jednemu, wzbudzić w Stridzie coś na kształt zazdrości, co było miłym bonusem.

Serena uśmiechnęła się lekko.

- Przyznaję, że on mnie bardzo pociąga.

- No to bierz się za niego.

- Jasne, już lecę. To nie takie proste. Nie bez powodu tam u mnie nazywają mnie „Drutem Koleczastym”. Mam trupy w szafie. Wielkie i ohydne.

- Jego nie odstraszysz - powiedziała Maggie.

- Założysz się?

- Chcesz się z nim przespać?

- Pewnie, że tak, ale nie zamierzam.

- Myślałam, że wszyscy w Vegas mają fantastyczne życie seksualne.

- Prowadzę bogate życie seksualne, tylko zazwyczaj sama ze sobą.
Maggie zaśmiała się znowu, długo i głośno.
- Co kto lubi. Ale mogę zaświadczyć, że seksu z właściwym facetem nic nie zastąpi.

Serena zmarszczyła nos. Nie była przekonana.

- Dopiero co go poznałam - powtórzyła.

- Walcz z tym, skoro chcesz, dziewczyno - powiedziała Maggie z westchnieniem. - Ale wiesz co, wkurza mnie, że ja całymi latami próbowałam go podrajcować, a tobie wystarczyło tylko wysiąść z tego pieprzonego samolotu. Nie masz znowu takiego wspaniałego biustu.

- Pewnie, że nie - mruknęła Serena.

Kiedy Stride wrócił do ratusza, z atmosfery panującej w sali konferencyjnej wynikało jedno: że Maggie i Serena w trakcie tego popołudnia zdążyły się serdecznie zaprzyjaźnić. Stride zawiesił mokry płaszcz na oparciu krzesła. Jęknął męczeńsko, usiadł i położył nogi na podniszczonym stole.

- FBI - oświadczył - Faceci Bez Inteligencji.

- Mnie rozgrzewa sam blask ich obecności - powiedziała Maggie.

Stride skinął głową.

- Ciesz się moje nastawienie. Powiedziałem K-2, że następnym razem to ty ich będziesz niańczyć.

- Wielkie dzięki - odparła Maggie.

- Jak poszło z Danem Ericksonem? - zapytała Serena.

Stride znowu jęknął i streścił im pogróżki Dana.

- Mówiłam ci, że to dupek - powiedziała Maggie.

- I miałaś rację - przyznał Stride, po czym zwrócił się do Sereny. - Maggie i Dan mieli kilka lat temu przelotny romans. Skończyło się nieciekawie. Jeśli dobrze pamiętam, spaliła mu dom.

- To gruba przesada i powiedziała Maggie. - Tylko jego płaszcz Burberry zajął się przypadkiem od papierosa.

- Tak, tyle że ty nie palisz - przypomniał jej Stride.

Serena zachichotała.

- Uwielbiam was oboje.

- Doszłyście do czegoś, kiedy mnie nie było? - spytał Stride.

- Poczyliśmy pewne postępy, ale w innej sprawie - odpowiedziała Maggie, puszczając oko do Sereny. Stride zauważył, że Serena odpowiedziała jej miażdżącym spojrzeniem, zrobiła się czerwona jak burak, chwyciła folder i zaczęła czytać. Nie umknęło też jego uwadze, że trzymała go do góry nogami.

- W jakiej sprawie? - zapytał.

- Raczej medycznej niż kryminalnej. Pokręconego umysłu Jonathana Stride'a.

Stride uśmiechnął się.

- Honorarium liczyście za godzinę?

- Nie stać cię na nas.

- No to szczęściarz ze mnie. A tymczasem udało wam się może wykonać też jakiś kawałek prawdziwej policyjnej roboty, gdy ja biegałem z kawą za FBI?

Serena odłożyła folder, już opanowana.

- Nic nam się nie wyjaśniło. Ale teraz już znam sprawę.

- W porządku, zajmijmy się pierwszym zniknięciem Rachel. Założę się, że gdybyśmy wiedzieli, co się wtedy wydarzyło, wiedzielibyśmy też, dlaczego została zabita.

- Tylko że trzy lata temu wszyscy byliśmy w błędzie - powiedziała Maggie.

- Tak, ale teraz wiemy coś, czego wy wtedy nie wiedzieliście - zauważyła Serena.
- Czyli? - zapytał Stride.
- Że Rachel tak naprawdę żyła.

Stride skinął głową. Wstał i nalał sobie kubek letniej kawy. Wentylator pod sufitem szumiał głośno, owiewając mu twarz zimnym powietrzem.

- To prawda. No dobra, co jeszcze wiemy?
 - Wiemy, że Rachel była tej nocy w szopie.
 - Czy aby na pewno? - zapytała Serena. - Może dowody zostały podrzucone?
- Maggie pokręciła głową.

- Rachel tam była i była też w vanie Graeme'a. Znaleźliśmy tam nitki z jej ubrania.

- Nie chodzi tylko o Rachel - przypomniał jej Stride. - Kie zapominaj, że mamy też odciski butów Graeme'a w pobliżu szopy. Butów, które kupił, a potem nie był w stanie nam ich pokazać. Według mnie to dowodzi, że oboje tam byli. Cokolwiek się między nimi wydarzyło, wystarczyło, by przestraszyć Rachel i skłonić ją do ucieczki.

- Ale wiemy, że Graeme jej nie zabił - powiedziała Serena.

Stride przedstawił jej swoją teorię, co mogło się wydarzyć tamtej nocy w szopie między Graeme'em i Rachel i jak dziewczyna mogła się zwrócić do przyjaciela o pomoc w ucieczce.

Serena patrzyła w sufit, w zamyśleniu kiwając głową. Odgarnęła wpadające jej do oczu włosy i upiła duży łyk coli.

- Może i mogło tak być. Ale z tego nadal nie wynika, dlaczego ktoś z Duluth miałby ją zabić trzy lata później.

- Chyba że Dan - rzuciła Maggie ze złośliwym uśmiechem.

- Jeśli uciekła, to kto jej pomógł? - zapytała Serena. - Dayton? To jego uganiecie się po Stripie w poszukiwaniu biednej małej zaginionej Rachel nadal wydaje mi się nieco podejrzan.

Stride pokręcił głową.

- Emily i Dayton byli tej piątkowej nocy w Minneapolis. Właśnie wtedy zaczął się ich romans.

- Może Rachel zadzwoniła do matki - powiedziała Serena.

- Myślę, że to ostatnia osoba, do której by zadzwoniła.

Maggie zacisnęła usta.

- I w ten sposób wracamy do Sally. Wiemy, że tamtej nocy widziała Rachel. W tej sprawie kłamała od początku. I byłaby bardzo niezadowolona, gdyby Rachel po trzech latach wróciła do Duluth, żeby odnowić znajomość z Kevinem.

Stride wyciągnął komórkę.

- Sally i Kevin mieszkają niedaleko uniwersytetu. Próbowałem dodzwonić się do nich wcześniej, ale nikt nie odpowiadał.

Wybrał numer. Po pięciu dzwoneczkach miał się już rozłączyć, gdy nagle usłyszał po drugiej stronie kobiecy głos.

- Halo? Sally? - Nasłuchując, zmarszczył brwi. - A czy wie pani może, gdzie jest? Muszę się z nią bardzo pilnie skontaktować.

Wysłuchawszy odpowiedzi, szybko się pożegnał i rozłączył.

- Kevina i Sally nie ma, ale wróca dziś, trochę później. To była sąsiadka, która opiekuje się ich kotem. Od dwóch tygodni są na wycieczce samochodowej. Pojechali do Wielkiego Kanionu.

- No, no - mruknęła Maggie.

- Sześć godzin do Vegas, autostrada jeden-piętnastie - dodała Serena.

Cordy, idąc z Lavender przez hol Bellagio, pod zdobięcymi sufit olbrzymimi szklanymi kwiatami w delikatnych kolorach, napawał się zazdrosnymi spojrzeniami przechodniów. Oboje wyluzowani i atrakcyjni, doskonale pasowali do tego ekskluzywnego miejsca. Cordy miał na sobie czarną jedwabną koszulę bez kołnierzyka, złoty łańcuch i świeżo wyprasowany jasnobrązowy lniany garnitur. Wypolerowane buty lśniły, a jego gładko zaczesane włosy wydierały delikatny, przyjemny zapach. Lavender była ubrana w obcisły czerwony trykot z wyciętymi w strategicznych miejscach okrągłymi otworami, które odsłaniały znaczne fragmenty jej hebanowej skóry i nie pozostawiała gapiom żadnych wątpliwości co do tego, że dziewczyna nie ma na sobie bielizny. Nawet całkiem naga nie mogłaby wzbudzać większego zainteresowania.

Gdy weszli do eleganckiej japońskiej restauracji, Cordy przez opary dymu z papierosów dostrzegł utkwione w dziewczynie oczy kilkunastu azjatyckich biznesmenów. Siadając, odpowiadała na nie prowokującym, pewnym siebie wzrokiem.

- Jak to jest? - zapytał Cordy.

Nie wyjaśnił, co ma na myśli, ale Lavender zrozumiała. To zainteresowanie. Natrętne spojrzenia. Jak to jest, zawsze i wszędzie czuć na sobie wzrok mężczyzn.

- Uwielbiam to - odpowiedziała. - Uśmiechała się chytrze i mówiła lekko zdyszczonym głosem, ze śladem ulicznego akcentu. - Jestem królową, skarbie. Rządę.

Oblizła wydatne wargi i Cordy poczuł, że jej naga stopa ociera się pod stołem o jego kostkę. Podszedł do nich kelner, zasuszony Japończyk o nieruchomej twarzy, w wykrochmalonym smokingu, i Lavender zaczęła zamawiać dania, których nazwy nie Cordy'emu nie mówiły, jak ika, maguro czy uni.

- Co będziemy jeść? - zapytał, gdy już sobie poszedł.

- Tuńczyka. Kałamarnicę. Jeża morskiego. Takie rzeczy.

- Jeża morskiego? Chyba się porzygam.

- Zaufaj mi - powiedziała Lavender.

Cordy skinął ręką w stronę azjatyckich biznesmenów przy innych stolikach.

- Bez urazy, Lav, ale czemu robisz to, co robisz? Przecież mogłabyś mieszkać z jednym z tych facetów na jakiejś wyspie.

- Masz jakiś problem z moją pracą? Jeśli tak, to powiedz od razu, dobra? Nie marnuj mojego czasu.

- Nie, skądże - zaprotestował Cordy.

Lavender dźgnęła go palcem.

- Poniżają się tylko i wyłącznie faceci śliniacy się co noc pod sceną. To ja panuję nad sytuacją. Oni mnie wielbią. Nie ma w tym nic złego. Pytasz, czemu to robię. Odpowiedź jest prosta - dla forsy.

- Przepraszam - powiedział Cordy.

- Nie musisz. Wszyscy o to pytają. Ale musisz to przełknąć, skarbie, albo ten wieczór szybko się skończy.

Kelner przyniósł czarną lakierowaną tacę elegancko udekorowaną złocistymi bułkami i płatami ryby ułożonymi na wilgotnych kupkach ryżu przystrojonych czernią wodorostów. Okazało się, że Cordy bardzo lubi sushi, zwłaszcza podane mu prosto do ust przez Lavender. Ona jadła żarłocznie, z błogim uśmiechem pochłaniając całe porcje. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tak go podnieciło samo jedzenie kolacji.

Kiedy skończyli, Lavender zamówiła sake. Cordy był zaskoczony, że tak niewielka ilość alkoholu w dodatku wchodzącego tak gładko, może tak silnie działać. Wypili

dwie małe karafki, po czym Cordy poprosił o rachunek i zapłacił z nieznacznym grymasem bólu.

Wyszli z restauracji i Cordy ku swej wielkiej radości uprzytomnił sobie, że teraz trzymają się za ręce. Gdy przechadzali się po kasynie, Lavender co chwila ocierała się o niego biodrami. Głaskała palcami wnętrze jego dłoni; nawet tak delikatny dotyk był dla niego niezwykle podniecający. Przez cały czas czuli na sobie wzrok innych gości.

- No więc dlaczego nie chodzisz ze swoją zajebistą partnerką? - zapytała Lavender.

- Z Sereną? To tylko koleżanka, nic więcej. Nie jest w moim typie.

Lavender szturchnęła go w bok.

- Jasne, i co jeszcze? Może i jest o kilka lat starsza od ciebie, ale wciąż niezła z niej laska. Nigdy nie próbowałeś?

Cordy wzruszył ramionami.

- Postawiła sprawę jasno od samego początku. Żadnych figli-migli. Poza tym wszyscy już znają jej reputację. Faceci zapraszają ją na randkę, a ona obcina im ją. Otoczyła się drutem kolczastym.

- Czemu? - zapytała Lavender.

Cordy pokręcił głową.

- Nie mówiła. - Powiódł dłonią po plecach dziewczyny i zatrzymał się na pośladkach. Przez jeden z owalnych otworów w sukience pogłaskał jej skórę. - To co, chcesz się trochę zabawić?

- Masz na myśli grę czy seks?

- Czy to nie to samo? Tak czy siak, dam się wydymać.

Lavender odrzuciła do tyłu głowę i zaśmiała się.

- Lubię cię, skarbie. Niech mnie, naprawdę cię lubię.

- Ja też cię lubię. Słuchaj, mam w portfelu pięćset dolców. Pozwól mi pograć, aż je stracę lub podwoję. Potem pójdziemy do ciebie.

Lavender uniosła podbródek Cordy'ego i miękkimi wargami i językiem wpiła się w jego usta.

- Byle szybko.

Poprowadził ją do automatów do gry o wysokie stawki. Normalnie grywał w Sam's Town w blackjacka za pięć dolców, ale dziś nie miał nastroju na siedzenie przy stole i powolne wciąganie się w grę. Poza tym to był wieczór na ostrzejszą grę; jego szczęśliwy wieczór. Chciał wykorzystać Lavender jako swój talizman. Wybrał wideopokera, gdzie jednorazowy maksymalny zakład wynosił siedemdziesiąt pięć dolarów. Wygrana czy przegrana - pójdzie szybko i będą mogli przystąpić do głównego punktu programu.

W ciągu dziesięciu minut Cordy ugrał trzysta dolarów, ale zaraz umoczył po szybkiej serii pechowych rozdań. Potem dostał strita i znowu był górą, choć nie udało mu się podwoić sumy. Poczul, że jak zwykle ogarnia go gorączka: przed całkowitym zatraceniem się w grze powstrzymały go tylko palce Lavender powoli wędrujące w stronę jego krocza. Rozdarty między szczękiem maszyny i boleśnie narastającą erekcją, był półprzytomny.

Z trudem zrozumiał, co Lavender do niego mówi, gdy zapytała:

- No więc czy tobie i tej twojej seksownej koleżance udało się ustalić, co się stało z Christi?

- Cholera! - Miał dwa asy, ale nie udało mu się dobrać trzeciego. - Co mówiłaś?

- Christi, ta zabita dziewczyna. Wiecie, kto to zrobił?

Cordy obserwował smętnie, jak w kolejnym rozdaniu ubywa mu następne siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Co? Ach, nie, jeszcze nie. Serena jest teraz w Minnesocie.

- W Minnesocie?

Cordy skinął głową.

- Tak, ta Christi przyjechała tu z jakiegoś miasteczka w północnej Minnesocie.

Wygląda na to, że to ktoś z domu złożył jej wizytę.

Znowu postawił maksymalną stawkę i wstrzymał oddech. Gdy zobaczył, że dostał cztery piątki pik, z przejęcia walnął w automat pięścią.

- No dalej, mamuśka, daj mi pika.

Lavender nie patrzyła na ekran. Jednym palcem sięgnęła mu między nogi i pomacała obrzmiałość.

- To ja czy gra? - zapytała.

Ale Cordy nie odpowiedział. Ostrożnie zatrzymał cztery karty, po czym nacisnął przycisk i wstrzymał oddech.

- Kurwa!

Lavender westchnęła i zabrała rękę. Zajęła się oglądaniem swoich polakierowanych paznokci.

- Już rozumiem, czemu nie gram.

- Hm? - mruknął rozkojarzony Cordy.

- Nic, dziwi mnie, że mordercą Christi okazał się ktoś spoza Vegas. Ja bym obstawiała tego jej okropnego faceta.

- Tak! - wrzasnął Cordy, gdy maszyna dała mu trzy króle. - No dalej, jeszcze czwarty, jeszcze jeden!

Nerwowo musnął palcami przycisk, a następnie nacisnął go, modląc się w duchu. Pokazały się pozostałe karty: trójka, as, siódemka, dziewiątka, królowa, król.

- TAK! - wydarł się Cordy, patrząc, jak do jego kart dołącza czwarty król. - TAK!

Chwycił Lavender, przygarnął do siebie i pocałował mocno i przeciągle, na co ona zareagowała entuzjastycznie. Kiedy odsunął się od niej i znów spojrzął na ekran, zobaczył, że podwoił swoje pieniądze. Wygrał ponad pięćset dolców!

Cordy skończył grę, upajając się dźwiękiem uderzających o srebrną tacę pięciodolarówek. Zapełnił nimi dwa plastikowe pojemniki, które ustawił jeden na drugim, i poszukał wzrokiem najbliższej kasy. Z pojemnikami pod jednym ramieniem i Lavender wspartą na drugim przemaszerował przez kasyno, jakby był królem świata. Podał je kasjerce i patrzył, jak wyspuje zawartość do maszyny liczącej. Na widok sumy ponad tysiąca dolarów z przejęcia oblizwał wargi.

I dopiero w tej chwili jego świadomość dogoniła szaleńczy wir krążących mu w głowie myśli. Nagle poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. Odwrócił się do Lavender. Twarz mu stężała, a wszystkie fantazje o seksie i pieniądzach gdzieś się rozwiały.

- Facet?

43.

Stride i Serena siedzieli w ciemnościach w jego wozie zaparkowanym pod zepsutą latarnią naprzeciwko bloku, w którym mieszkali Sally i Kevin. Okna samochodu były otwarte, tak że do środka wpadało chłodne wieczorne powietrze i co pewien czas jakaś zagubiona kropla deszczu. Obserwowali budynek od godziny. Rzecz jasna, mogli porozmawiać z nimi rano, ale Stride liczył na efekt zaskoczenia. Nie chciał dać Sally i Kevinowi czasu na przeciwczenie swoich reakcji.

Ponadto miał powód, żeby nie iść do domu. Dom był ostatnim miejscem, w którym Stride chciałby się teraz znaleźć. Taka była okrutna prawda. Czuł niesamowity pociąg do Sereny i chciał być z nią. Nie z Andream. Nie z własną żoną.

Widział jedynie zarys jej sylwetki, ale wiedział, że ona czuje na sobie jego palący wzrok. Rozumie uczucia, które wyznaje jej w milczeniu.

- Opowiedz mi o Phoenix - zwrócił się do niej. - o swojej przeszłości.

Pokręciła głową.

- Nigdy o tym nie mówię.

- Wiem, ale i tak mi opowiedz.

- Czemu interesujesz się moją przeszłością? - spytała Serena. - Przecież mnie nie znasz.

- Właśnie dlatego. Chcę cię poznać.

Serena milczała. Słyszał jej oddech, nerwowy i przyspieszony.

- Czego ty tak naprawdę chcesz, Jonny? - zapytała. - Przespać się ze mną?

Stride nie wiedział, co powiedzieć.

- Jak mam na to odpowiedzieć? - odezwał się w końcu. - Jeśli powiem „nie”, będziesz wiedziała, że kłamię. Jeśli powiem „tak”, wyjdę na kolejnego płytkiego glinek szukającego okazji.

- Nie byłbyś pierwszy.

- Wiem. I mogę powiedzieć tylko tyle: zdaję sobie sprawę, gdzie powinienem teraz być. W domu. Nie tutaj z tobą. To nie jestem ja, nie jestem sobą. Ale mimo wszystko jestem tutaj.

- Powiedz mi coś - Serena odwróciła się do niego w ciemności. - Maggie twierdzi, że twoje małżeństwo jest już skończone. Że było skończone, zanim się zaczęło. Czy to prawda?

Stride miał już dosyć udawania.

- Tak, to prawda.

- Nie okłamuj mnie, Jonny - ostrzegła go Serena. - Nie będę niczyją panią na jedną noc. Nie wiesz, jak rzadko zdarza mi się rozmawiać tak z mężczyzną. Zwłaszcza z dopiero co poznanym.

- Myślę, że wiem. I nie kłamię.

- Powiedz mi dlaczego. Dlaczego twoje małżeństwo jest skończone?

Próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- Oboje zmagamy się z duchami przeszłości. Jej pierwszy mąż ją opuścił. Ja nie umiałem wypełnić pustki, którą po sobie pozostawił.

- A co z tobą? Jak ma na imię twój duch?

Stride się uśmiechnął.

- Cindy.

- Złamała ci serce?

Minęło już dość czasu, by myśl o Cindy stała się tępym bólem duszy, nie jak nigdyś otwartą raną. Stride opowiedział Serenie o stracie ukochanej i miał wrażenie, że mówi o jakiejś odległej tragedii, która wydarzyła się komuś innemu. Serena wysłuchiwała wszystkiego w milczeniu, a potem wyciągnęła rękę i ich palce się splotły. Przez chwilę samochód, w którym siedzieli, był jak bańka mydlana, mały osobny wszechświat.

- Naprawdę chcesz usłyszeć moją historię? - zapytała Serena.

-mTak.

Widział, jak zmagają się ze strachem i nieufnością.

- Kiedy miałam piętnaście lat, mama zaczęła ćpać - powiedziała. - Uzależniła się. Przepuściła wszystkie nasze pieniądze, straciliśmy dom. Ojciec nas opuścił. Opuścił mnie.

Jej głos był pozbawiony wyrazu, zupełnie jakby nie należał do niej, jakby wszelkie emocje z niej uszły. Czuł, że dzieje się między nimi coś niezwykłego, że zaprosiła go do świata, który do tej pory należał tylko do niej.

- Zamieszkałyśmy z jej dilerem. Można powiedzieć, że byłam częścią planu finansowego pokrywającego koszty naszego utrzymania. Robił ze mną, co chciał. A naćpana do nieprzytomności matka patrzyła na to.

Stride poczuł narastające wzburzenie. Gniew. Instynkt opiekuńczy.

- Zaszłam w ciążę - ciągnęła. - Poszłam do kliniki sama i poddałam się zabiegowi. A potem już nie wróciłam do domu. Wiedziałam, że jeśli wrócę, zabiję ich oboje. Mówię poważnie. Spędzałam masę czasu, rozmyślając, w jaki sposób bym ich zamordowała. Ale nie zamierzałam zaprzepaścić swojego życia przez to, co oni mi zrobili. Więc spiknęłam się z przyjaciółką i wsiadłyśmy do autobusu do Vegas. Szesnastolatka sama na Stripie. W dzień harowałam w kasynie, a wieczorami chodziłam do szkoły. Zostałam gliną.

- Większość dziewczyn w twojej sytuacji skończyłaby jak Rachel.

- Wiem.

- Jesteś niesamowita - powiedział Stride.

Serena pokręciła głową.

- Nie jestem aniołem. Potrafię być prawdziwą suką. Większość facetów powiedziała ci, że taka właśnie jestem. Życie upływa mi na odstraszeniu mężczyzn.

- To czemu mnie nie odpychasz? - zapytał. - Czy może właśnie to usiłujesz teraz zrobić?

- Ależ tak, Jonny. Dla twojego dobra.

Nie odpowiedział. W najbliższym mieszkaniu zapaliła się lampa i rzuciła białe światło na ich twarze. Stride nie mógł oderwać oczu od jej ust. Świadoma jego pragnienia, rozchyliła lekko wargi. Niepewnie, z wahaniem nachyliła się ku niemu. Długie włosy spłynęły falą.

Lampa zgasła równie szybko, jak się zapaliła. Byli niewidoczni, gdy się całowali. Po chwili Serena się odsunęła i następną godzinę przesiedzieli w ciszy. Słowa nie były potrzebne.

Okolo północy pojawiło się malibu w kolorze truskawkowym.

Obserwowali, jak Kevin i Sally zarzucają sobie na ramiona plecaki i znużeni, wdrapują się po klatce schodowej. Gdy zniknęli, Stride dotknął ramienia Sereny i ruszyli ich śladem. Stride zapukał do drzwi mieszkania na trzecim piętrze. Kevin pojawił się w ułamku sekundy. Miał zaczerwienione oczy. Podejrzliwie przyjrzał się przybyszowi, ale po chwili rozpoznał Stride'a i w mgnieniu oka domyślił się, co go do nich sprowadza.

- Chodzi o Rachel, prawda? - zapytał.

Stride skinął głową.

- Przepraszam za to zaskoczenie. Tak, jesteśmy tu z powodu Rachel. Znaleźliśmy jej ciało.

Kevin cofnął się od drzwi, w oczach stanęły mu łzy. Wyrastał na przystojnego mężczyznę o falujących blond włosach i śniadej cerze.

Gdy weszli do mieszkania, Stride przedstawił mu Serenę, nie wspominając, że jest z Las Vegas. Błyskawicznie omiótł spojrzeniem umeblowanie z garażowych wyprzedazy i uprzytomnił sobie, że czegoś tu brakuje.

Nigdzie nie było plecaków.

- Gdzie jest Sally? - zapytał.

Kevin spojrzał na niego pustym wzrokiem.

- Co? A, robi pranie.

- Pranie!

Serena odwróciła się i wybiegła z mieszkania. Stride ruszył za nią, zostawiając Kevina w drzwiach. Znaleźli schody i przeskakując po dwa stopnie, zbiegli do piwnicy.

Znaleźli się w ciemnym korytarzu, po którym niósł się cichy mechaniczny pomruk. Stride zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Z drugiego końca dochodził znany mu odgłos pracującej pralki.

Wpadli do pralni.

Sally siedziała w pozycji lotosu na brzegu zdezelowanej sofy. Czytała magazyn „People”. Gdy otwarte z rozmachem drzwi rąbnęły o ścianę, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia i strachu.

- Co jest? - rzuciła lekko drżącym głosem.

Stride uważnie przyjrzał się dziewczynie. Schudła i było jej z tym do twarzy. Miała na sobie różowy top, białe szorty i tylko jeden sandał, który zwisał jej z lewej stopy. Drugi spoczywał na pożółkłym linoleum przed sofą.

- Pamiętasz mnie? - zapytał Stride.

Sally wpatrzyła się w jego twarz i jej oczy się zwięzły. Rozluźniła się trochę.

- Tak, pamiętam. I chciałabym się dowiedzieć, co to ma, u diabła, znaczyć.

- Któż to wraca w środku nocy po długiej podróży i z miejsca robi pranie? - spytała Serena.

- Ja - powiedziała Sally. - Nie życzę sobie śmierdzących brudów w mieszkaniu. A teraz, czego chcecie?

- Rachel nie żyje - powiedział Stride bez ogródek.

Zobaczył na jej twarzy to, co chciał - zmieszanie. To była pierwsza oznaka, że zaczynają docierać do prawdy o wydarzeniach sprzed trzech lat. Sally była zaskoczona, że Rachel nie żyje. A to oznaczało, że gdy zaginęła, Sally wiedziała, że Rachel żyje.

Ale to też znaczyło, że Sally jej nie zabiła. Gdy informacja w pełni do niej dotarła, Stride zauważył coś jeszcze. Dziewczyna z trudem powstrzymywała uśmiech, a na jej twarzy pojawił się wyraz gigantycznej ulgi i satysfakcji.

- Gdzie ją znaleźliście?

- W Las Vegas - odparł Stride. - To jest Serena Dial z Biura Szeryfa Okręgu Clark w Nevadzie. Rachel została tam zamordowana w ubiegły weekend.

- Zamordowana?

- Zgadza się - powiedziała Serena. - Jak wam się podobał Wielki Kanion?

Sally powoli skinęła głową. Zrozumiała.

- A, już łapię. Myślicie, że byliśmy w Vegas. Myślicie, że się z nią widzieliśmy?

- A nie było tak? - zapytał Stride.

- Akurat pozwoliłabym Kevinowi zbliżyć się do Rachel - warknęła Sally. Zmierzyła Serenę wzrokiem od stóp do głów. - Poza tym jestem wrogiem hazardu i podobnych rzeczy, które dzieją się w tym mieście. Nie byliśmy tam.

- Ona mówi prawdę - oświadczył męski głos. Stride zobaczył w drzwiach Kevina. Słyszał całą rozmowę. - Nie mieści mi się w głowie, że Rachel przez cały ten czas żyła.

- To naprawdę ciekawy zbieg okoliczności, Kevin - powiedział Stride. - Kiedy została zamordowana, ty i Sally byliście tylko kilka godzin od Vegas

- Ale w Vegas nie byliśmy - powtórzyła Sally.

Kevin skinął głową.

- Zgadza się.

Stride i Serena wymienili szybkie spojrzenia i doszli do tego samego wniosku. Tych dwoje mówi prawdę.

- Mimo wszystko będziemy musieli obejrzeć wasze ubrania i samochód - powiedział Stride. - Przykro mi.

- Znajdziecie tylko brud i pluskwy - oświadczyła Sally.

- Przypuszczam, że mówicie prawdę - powiedział Stride. - Ale próbujemy ustalić, czy śmierć Rachel miała coś wspólnego z jej wcześniejszym zniknięciem. To znaczy ,

że musimy się dowiedzieć, co się wtedy naprawdę wydarzyło. To ważniejsze niż kiedykolwiek.

Sally spochmurniała i odwróciła wzrok.

Stride zrozumiał, że dopóki Kevin jest z nimi, nic z niej nie wyciągnie.

- Keyin, mógłbyś nas na kilka minut zostawić samych z Sally?

Oczy dziewczyny się rozszerzyły. Wcale nie chciała zostać z nimi sama. Ale Kevin był myślami daleko, znowu przy Rachel. Przygarbiony, wyszedł z pralni jak robot i nawet nie spojrzął na Sally.

Serena zamknęła drzwi, a Stride oparł się o pustą suszarkę. Z góry przypatrywał się siedzącej na sofie Sally. Dziewczyna obrzuciła ich gniewnym spojrzeniem i wyzywająco założyła ręce.

- Ona nie żyje, Sally - zaczął Stride. - Nie musisz już dochowywać jej sekretów.

Sally znów usiadła w pozycji lotosu i zamknęła oczy.

- Jesteśmy tu sami - dodał. - Nie ma z nami sędziów ani ławy przysięgłych. Nie ma Kevina.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Wiesz, wiesz. Skłamałaś w sądzie. Nie słyszałaś tamtej nocy żadnej kłótni między Graeme'em i Rachel. Zmyśliłaś to. Teraz to bez znaczenia, Sally. Nikt cię nie aresztuje za krzywoprzysięstwo. Nic ci nie grozi. Ale musimy poznać prawdę.

- Rachel nie żyje i chcemy wiedzieć dlaczego - dodała Serena.

Sally wzruszyła ramionami.

- Wtedy myśleliście, że zginęła. Co się zmieniło?

- Wiemy, że tamtej nocy byłaś w jej domu. Widziano cię na ulicy.

- No i co z tego? - spytała Sally. - Poszłam tam, nie zobaczyłam się z nią, wróciłam do domu. Koniec, kropka.

- Skoro to prawda, to po co zmyśliłaś tę kłótnię Rachel z Graeme'em?

Sally się zawahała.

- Spanikowałam. Ten adwokat tak to wszystko przedstawiał, jakbym ja była w to zamieszana, co było kompletną bzdurą. I naprawdę myślałam, że Graeme jest winny. Do diabła, oni się bez przerwy żarli, to wcale nie było takie znowu wielkie kłamstwo.

- Problem w tym, że znowu kłamiesz, Sally - powiedziała Serena. - Kobiecie kitu nie wciśniesz.

Stride ukląkł przy sofie. Jego twarz znajdowała się teraz na poziomie twarzy Sally, w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

- Wiedziałaś, że Rachel żyje.

- To śmieszne - odparła Sally.

Ale jej głos drżał.

- Pomogłaś jej uciec - powiedziała Serena.

- Nieprawda.

- W takim razie opowiedz nam, co się wtedy wydarzyło, Sally. - Stride wyciągnął rękę i położył ją delikatnie na ramieniu dziewczyny. - Posłuchaj, wiem, jaka była Rachel. Wiem, jak potrafiła manipulować ludźmi.

Sally spojrzała mu prosto w oczy.

- Nic pan nie wie - szepnęła.

Sally zacisnęła dłonie w pięści w kieszeniach kurtki. Łokcie przycisnęła mocno do tułowia, maszerowała energicznym krokiem, tak że jej loki aż podskakiwały. Jej myśli bez przerwy zaprzętały widok Rachel i Kevina na moście, ciągle miała go przed oczami.

Rachel całuje Kevina.

Dotyka jego krocza.

A najgorszy ze wszystkiego był ten przebiegły uśmiezek Rachel. Odwróciła się na chwilę, by mieć pewność, że Sally tam jest i wszystko widzi. Nie dość, że ukradła jej Kevina, chciała jeszcze upokorzyć ją.

Sally nie była w stanie z nią rywalizować. Dotychczas jedyną pociechą było dla niej to, że Rachel nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania Kevinem. Bawiła się nim. Podpuszczała go. Flirtowała z nim. I to wszystko.

Aż do dzisiaj.

W swoim pokoju Sally gotowała się z wściekłości. Nie mogła pozbyć się sprzed oczu tego okropnego widoku. Jakaś część jej duszy chciała krzyknąć: „Pieprzę was oboje”, i pozwolić Kevinowi odczuć na własnej skórze, jakiego szczęścia zazna w ramionach tej bezwstydney dziwki. Jeśli tego właśnie chce, w porządku, niech go zniszczy. Niech zobaczy, jak wygląda życie pod jej pantoflem.

Ale nie potrafiła tego zrobić. To nie była jego wina. On był bezbronny jak mucha, która złapała się w utkaną przez Rachel sieć.

Postanowiła rozprawić się z Rachel raz na zawsze. Dać jej ultimatum: niech trzyma się z daleka od Kevina.

Więc po cichu wyszła ze swojego pokoju przez okno i szybko ruszyła ulicą. Ciało miała napięte jak struna. Ledwo zauważała mijane przecznice czy zimno zamieniające jej szybki oddech w parę. W myślach powtarzała sobie wszystko, co zamierzała powiedzieć Rachel. Przygotowywała długą mowę, przepowiadając ją sobie po cichu, szlifując sformułowania by były idealnie celne. Ale gdy znalazła się na chodniku przed domem Rachel, wszystkie słowa, które tak starannie dobierała, uleciały jej z głowy. Miała wrażenie, że język jej spuchł i odmówił posłuszeństwa; wnętrzości skręcały się jej ze zdenerwowania. Cała odwaga uleciała. Poraził ją strach.

Rachel była w domu. Sally wcześniej przyszło do głowy, że jej rywalka może ciągle jeszcze jest z Kevinem i że będzie musiała poczekać. Tak byłoby może nawet lepiej. Zaskoczyć ją, gdy tylko wysiądzie z samochodu, nie spodziewając się konfrontacji. Ale samochód Rachel stał na podjeździe. Sally musiała tylko podejść do drzwi i zadzwonić. Próbowała zebrać się na odwagę, znowu przywołując w myślach obraz dwóch postaci na moście. Rachel i Kevin. Pocałunek. Uwiedzenie. Uśmiech. Dziwka.

Wystarczy tylko nacisnąć dzwonek i Rachel otworzy. A wtedy Sally uwolni całą swoją wściekłość. Nawrzeszczy na nią. Uderzy ją. Pokaże Rachel, że jest ktoś, kto nie podda się bez walki.

Ale Sally była jak sparaliżowana. Umysł nakazywał jej iść dalej, lecz stopy wrosły w ziemię. Teraz już nie wiedziała, czy potrafi stawić jej czoło, mimo całej swojej złości, mimo tego, ile Kevin dla niej znaczy.

W domu Rachel zgasło światło na parterze. Dom pogrążył się w ciemnościach.

Już po wszystkim - pomyślała Sally. - Rachel idzie spać, Spóźniłam się.

Wtedy jednak usłyszała w środku kliknięcie, jakby zamkami zdała sobie sprawę, że ktoś otwiera drzwi frontowe. Sally opuściły resztki odwagi, uskoczyła z chodnika i ukryta się za żywopłotem. W bladym świetle latarni widziała dom.

Zobaczyła Rachel wymykającą się z domu w tym samym co przedtem ubraniu. Stojąc bez ruchu, z dużą plastikową torbą w ręku, dobrą minutę ukradkiem obserwowała ulicę.

Nagle Sally uprzytomniła sobie, że Rachel rusza w jej stronę. Na pewno ją zauważy. Próbowała się skulić, w nadziei że Rachel ją minie, ale jednocześnie wiedziała, że to jej jedyna szansa na konfrontację. Teraz albo nigdy. Z trudem przelknęła ślinę, po czym wyszła na chodnik, tuż przed nosem Rachel.

- Musimy pogadać - powiedziała.

Żołądek skręcił się jej te zdenerwowania i zła była na siebie za drżącą nutę w głosie. Brzmiał jak głos przestraszonego dziecka.

Gdy Rachel ją zobaczyła, zamarła. W jej oczach pojawiło się przerażenie, ale zaraz ustąpiło miejsca nienawiści i pogardzie.

- O cholera - syknęła. - Co ty tu, kurwa, robisz?

Sally odchrząknęła.

- Chcę porozmawiać z tobą o Kevinie - powiedziała słabym głosem.

Rachel rozejrzała się po ulicy. Były same. Zbliżyła twarz do twarzy Sally tak, że praktycznie stykały się nosami.

- Nie masz pojęcia, w co się pakujesz - powiedziała. - Wszystko rozwalisz.

Sally nic nie rozumiała. Nigdy nie widziała Rachel w takim stanie.

- Co? O czym ty mówisz?

Rachel złapała ją za nadgarstek i wykręciła jej rękę tak, że Sally skrzywiła się z bólu.

- Nie twój interes. Kapujesz? Nie widziałas mnie tutaj.

- Nie rozumiem - jęknęła Sally. - To boli.

Wszystko było nie tak, jak sobie zaplanowała. Nie miała pojęcia, o czym mówi Rachel, ale przerażał ją wyraz oczu dziewczyny.

- Będzie bolało jeszcze bardziej, jeśli się nie zamkniesz i nie posłuchasz - warknęła Rachel. - Może jesteś idiotką, Sally, ale myślę, że masz dość oleju w głowie, żeby zrozumieć dwie rzeczy. - Po pierwsze, Kevvy mnie nie interesuje. Jest cały twój, i niech Bóg ma go w swojej opiece. Po drugie, wiesz doskonale, że gdybym chciała, mogłabym ci go w każdej chwili zabrać.

- Nieprawda - zaprotestowała Sally.

Rachel zaśmiała się.

- Zrobiłby dla mnie wszystko. Zwłaszcza po tej małej robótce ręcznej na moście. Podobało ci się przedstawienie? Przyjemnie było patrzeć, jak doprowadzam twój chłopaka do orgazmu?

- Przestań - poprosiła Sally błagalnym głosem. - Nie mów tak.

- Dobrze. Cieszę się, że się rozumiemy. Więc postawmy sprawę jasno. Pójdiesz teraz do domu i zapomnisz o naszej pogawędce. Ona się nigdy nie zdarzyła. W ogóle mnie nie widziałas. Obiecuję ci coś, Sally. Jeśli kiedykolwiek piśniesz komuś słówko, wrócę i zrobię tak, że Kevvy więcej na ciebie nie spojrzy. Możesz sobie za niego wyjść, a ja prześlę się z nim dzień po waszym ślubie i, wierz mi, potem już nigdy nie będzie chciał cię widzieć.

Sally milczała. Nie wiedziała, co robić. Rachel przysunęła się jeszcze bliżej. Pogłaskała Sally po włosach, ta próbowała ją odepchnąć. Rachel ją przytrzymała.

- Rozumiesz, Sally?

- Nie, nic z tego nie rozumiem.

- Powiedz tylko, że mi wierzysz. Wierzysz mi, prawda? Wiesz, że w każdej chwili mogę ci zabrać Kevvy'ego?

Sally skinęła głową.

- Dobrze - powiedziała Rachel.

Uśmiechnęła się szeroko. Palcem drugiej ręki powiodła po policzku Sally. Nachyliła się tak, że Sally poczuła jej słodki oddech, i delikatnie pocałowała ją prosto w usta. To był długi pocałunek. Sally zrobiło się niedobrze.

- Nie zapomnij - szepnęła Rachel. - Ani słowa.

Stride słuchał opowieści Sally z rosnącym przerażeniem. Powoli pokręcił głową.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę - zapytał - że gdybyś powiedziała prawdę, uratowałabyś wszystkich?

Sally bez cienia skruchy wzruszyła ramionami.

- Nie znał pan Rachel. Ona mówiła poważnie. Gdybym komukolwiek powiedziała o tym spotkaniu, odebranie mi Kevina stałoby się jej życiową misją. Wiedziałam, do czego jest zdolna. A wtedy wyglądało, jakbym tylko ja to wiedziała.

- Chciałaś nam pozwolić wsadzić Graeme'a Stonera do więzienia? Chociaż w iedziałaś, że jest niewinny?

Oczy Sally zapłonęły gniewem. Niewinny? Jak cholera. Powiedziałam prawdę o tym, jak mnie wywiózł do szopy. Gdyby nie ten drugi samochód, zgwałciłby mnie. I mogę się założyć, że nie byłam jedyna. Przecież już wiedzieliście, że pieprzył Rachel.

- Ale dlaczego skłamałaś w sądzie?

- Musiałam szybko coś wymyślić - powiedziała. - Doszłam do wniosku, że to będzie wiadomość dla Rachel, gdziekolwiek jest: dotzymałam słowa. Ty też dotrzyмай.

Serena spojrzała w zdeterminowane oczy Sally.

- Nie byłabyś zadowolona, gdyby Rachel wróciła, prawda?

Sally nawet nie mrugnęła.

- Nie, ani trochę. Dla wszystkich była martwa. Chciałam, żeby tak zostało. Ale jeśli nadal myślicie, że pojechaliśmy do Vegas i dokończyłam robotę, jesteście w błędzie. Rachel dotzymała słowa. Nie wróciła.

- Nigdy się z tobą nie skontaktowała?

- Ani razu. Myślę, że szukacie w niewłaściwym miejscu. Powinniście być teraz w Vegas i szukać ludzi, którym tam zniszczyła życie. Taka dziwka nigdy się nie zmieni. Założę się, że tam pogrywała tak samo jak tutaj.

- Wiesz, co było w tej reklamówce, którą niosła? - zapytał Stride.

Sally pokręciła głową.

- Nie widziałam.

- I nie miała ze sobą nic więcej?

- Nic. Tylko tę reklamówkę i to, co na sobie. To samo co w Canal Park.

- Biały golf? - zapytał Stride.

- Tak.

- Czy był gdzieś rozdarty?

- Nie zauważyłam - odparła Sally.

- A bransoletka? - zapytał Stride. - Miała ją na ręce?

Sally zamknęła oczy i zastanowiła się.

- Tak mi się zdaje. Tak, jestem pewna. Mam ją przed oczami, jak dynda jej na rękę.

Stride skinął głową, rozważając różne możliwości.

- Powiedziała, jak zamierza wydostać się z miasta? Umówiła się z kimś?

Sally pokręciła głową.

- Nie wiem. Naprawdę. Nic nie mówiła o wyjeździe.

Ale musiała wyjechać, pomyślał Stride. Czy wydarzyło się coś jeszcze, co kazało jej zmienić plany - coś w szopie? Bo Rachel była tej nocy w szopie. Świadczy o tym bransoletka. Sally widziała ją u niej, gdy stały pod domem. Później tej nocy Rachel w jakiś sposób znalazła się w szopie i zostawiła tam dowód rzeczowy, który obciążał Graeme'a. A potem zniknęła.

- Musiałaś się nad tym później zastanawiać - powiedział Stride. - Do jakich doszłaś wniosków?

- Byłam tak samo zaskoczona jak wszyscy, przypuszczałam, że albo pojechała autostopem i uwiodła faceta, żeby milczał, albo nakręciła kogoś chłopaka ze szkoły, żeby ją stąd wywiózł.

- Ale ty jej nie pomogłaś? Nie wiesz nic więcej?

- Nie. I chciałabym już wrócić do Kevina.

Stride skinął głową.

- Dobrze, Sally.

Dziewczyna poderwała się z sofy i wyszła, zostawiając Stride'a i Serenę samych.

- Co o tym sądzisz, Jonny? - zapytała Serena.

Stride wpatrywał się w pralkę i rozmyślał, jak bardzo Guppo się ucieszy na wieść, że ma wstać w środku nocy, żeby zgarnąć olbrzymią torbę mokrego prania.

- Myślę, że Rachel, choć nie żyje, wciąż się nami bawi.

44.

- Zaczynasz mnie nudzić, skarbie - oświadczyła Lavender z rozdrażnieniem. - Nie sądziłam, że spędzimy cały wieczór na gadaniu. Wyobrażałam sobie raczej miłą kolację, a po niej długą powolną jazdę, wiesz?

Cordy wziął jej twarz w dłonie i pocałował. Położył rękę na jej piersi, wsunął kciuk w otwór w sukience i zaczął delikatnie pieścić jej skórę.

- Ja też tak myślałem, mamuśka. Ale muszę to wiedzieć, dobrze?

Nakryła jego dłoń swoją i ścisnęła pierś.

- Żebyś wiedział, co tracisz - powiedziała.

Cordy jęknął.

- Jeszcze tylko kilka pytań.

Lavender westchnęła i cofnęła rękę.

Siedzieli w jego samochodzie na parkingu Bellagio. Cordy jeździł czarnym PT cruiserem, którego wygrał na automatach w Sam's Town dwa lata temu - najwyższa pula, jaką kiedykolwiek zgarnął. Dbał o ten samochód jak o małe dziecko i zawsze zostawiał go na samym końcu parkingu, w nadziei że tam nikt mu go nie obrobi ani nie obije. Skórzana tapicerka pachniała salsą i cygarami - jego dwiema największymi słabościami po seksie i hazardzie.

Próbował się skupić, co nie było proste, gdy tuż przed oczami miał piersi Lavender pod opiętą tkaniną.

- Opowiedz mi jeszcze raz o tym facecie - wymamrotał".

- Widziałam go tylko raz, Cordy. Opisałam ci to już trzy razy.

- I za każdym razem coś sobie przypominasz, mamuśka. Tak to działa.

Lavender wymownie przewróciła oczami.

- To była bardzo gorąca noc, taka jak dzisiaj. Byłyśmy w klubie. Christi i ja, obie tam tańczyłyśmy, na tej samej zmianie. Była niezła, wiesz? Nie lubiła tego robić, nie tak jak ja, ale była w tym naprawdę dobra. Tak czy inaczej, tamtej nocy, pewnie z rok temu, jakiś facet przyszedł na zaplecze po jej występie i trochę z nami posiedział. Nie przedstawił się ani nic takiego. Ale pamiętam, że Christi nazywała go swoim starym chłopakiem. To było zabawne.

- Dlaczego?

Lavender zachichotała.

- Bo on był rzeczywiście stary. No wiesz, stary-były. Łapiesz?

- Jak stary? - zapytał Cordy.

- Nie wiem. Czterdzieści, pięćdziesiąt lat. No wiesz, stary.

- Jak wyglądał?

- Oj, nie pamiętam. Przeciętnie.

- Ciemne czy jasne włosy?

- Hm, ciemne, tak mi się wydaje. Może siwiejące. Nie wiem

- Wzrost?

- Raczej wysoki - powiedziała Lavender.

Cordy zrozumiał, że to prowadzi donikąd.

- I nie widziałaś go nigdy wcześniej? Christi nigdy o nim nie wspomniała?

Lavender pokręciła przecząco głową.

- Nie.

- A później? Widziałaś go jeszcze?

- Nie - powtórzyła dziewczyna.

Cordy spróbował z innej strony.

- Powiedziałaś wcześniej, że był okropny. Co w nim było okropnego?

Lavender zmarszczyła brwi.

- Mało się odzywał. Christi go trochę olewała i to mu się nie podobało. Wyglądało na to, że bardzo chce zostać z nią sam na sam i że ona z całą pewnością tego nie chce. Sprawiali wrażenie pokłóconych. I do tego ten jego wzrok. Niesamowicie intensywny. No wiesz, taki jakiś świrowaty. Gdyby nie był jej chłopakiem, pomyślałabym, że to jakiś zboczeniec. Wielu takich spotykamy. Ale on miał fioła tylko na jej punkcie.

- Skąd wiesz?

- No, to była przebieralnia, nie? Połowa dziewczyn była naga. Pięknych dziewczyn. Ja też stałam naga tuż przed jego nosem. W ogóle nie reagował. Nawet nas nie widział. Nie zwracał uwagi na żadną poza Christi.

Cordy spróbował sobie wyobrazić faceta, który nie zwraca uwagi na nagą Lavender. To było niemożliwe.

- Pamiętasz, o czym rozmawiali?

- Nie. Siedział sam i tylko co pewien czas coś jej szeptał. Ale ona rozmawiała głównie z innymi dziewczynami, nie z nim. Wydaje mi się, że troszkę się z nim drażniła. Specjalnie go ignorowała, żeby go wkurzyć.

- Czy jacyś inni faceci odwiedzali ją w klubie?

- Nigdy. To był jedyny raz. Inaczej pewnie bym w ogóle tego nie zapamiętała. Christi była samotniczką. prawdziwą zimną rybą.

- Jak to?

- No, tak jak powiedziałam, tej nocy nie rozmawiała z nim, tylko z nami. A to się zdarzało rzadko. Raczej nie gadała z innymi dziewczynami. Przychodziła, robiła swoje i wychodziła. Niektóre dziewczyny uważały, że to zarozumiała jędrza, inne, że pewnie się wstydzi.

- A co ty myślałaś? - zapytał Cordy.

- Na pewno się nie wstydziła. Dziewczyna, która się wstydzi, nie może być tak dobra jak ona. Myślę, że w jej oczach my wszystkie po prostu nie byłyśmy istotami ludzkimi. W ogóle dla niej nie istniałyśmy. Kiedy opowiedziałam jej o moim pomysle, ledwo skończyłam, ona zatrasnęła mi drzwi przed nosem.

- O jakim pomysle?

Lavender szturchnęła go w bok.

- Strona internetowa. Show erotyczny w sieci. Christi byłaby w tym doskonała i zgarnęłaby za to kupę szmalu. Ale powiedziała od razu, że nie ma najmniejszej możliwości, żeby się pokazała w internecie. To zabawne, bo przecież faceci i tak mogli obejrzeć wszystko, co chcieli, na żywo każdej nocy. Ale dla niej to nie miało znaczenia.

- Mówiła dlaczego?

- Nie, powiedziała, że nie jest zainteresowana, i kropka.

- Mhm. Słuchaj, Lav, muszę znaleźć tego faceta. Ta cała Christi to zagadka, rozumiesz? W jej mieszkaniu nie było nic osobistego. Z tego, co mówisz, wynika, że właściwie nie miała żadnego prywatnego życia. Jedyny nasz trop to ten facet.

Lavender wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam ci wszystko, co pamiętam, skarbie. Nie wiem, jak go znaleźć. To znaczy, mógłbyś pogadać z innymi dziewczynami, które tam wtedy były. Kilka z nich może jeszcze jest w Vegas. A nuż coś pamiętają.

Cordy skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że to strzał w ciemno.

- Dobra, zapisz mi ich nazwiska.

- I może ktoś inny w klubie też go widział. Bramkarze, barmani, kelnerki.

Wysłałam wtedy dość wcześnie, więc mógł jeszcze wrócić później, kiedy mnie nie było.

- Tak, to jakiś początek. Sprawdzę to wszystko jutro.

- Przykro mi, skarbie - powiedziała. - Wyglądasz na rozczarowanego.

- Bo jestem. Myślałem, że to będzie przełom w śledztwie, a teraz wygląda mi raczej na ślepy zaułek.

Lavender uśmiechnęła się znacząco.

- Wiem, jak ci to wynagrodzić.

Wysunęła język i sięgnęła do jego rozporka. Rozpięła go jednym zgrabnym ruchem.

- Chcesz loda, skarbie?

Cordy błyskawicznie stwardniał.

- Och, tak.

Jej palce zręcznie sięgnęły do środka.

- Mmmm, deser - szepnęła.

Pochyliła się, a jej włosy opadły na jego kolana. Cordy zamknął oczy w oczekiwaniu na rozkoszne ciepło. Nie doczekał się jednak. Lavender nagle się wyprostowała. Cordy, bardzo zawiedziony, otworzył oczy.

- Co jest, mamuśka? - zapytał błagalnym tonem.

Wpatrywała się w niego okrągłymi oczami.

- Może, ale tylko może, mam go na zdjęciu.

- Kogo?

- Tego tajemniczego faceta. Chłopaka.

Cordy poczuł, jak erekcja błyskawicznie mija, ale jego umysł trwał w stanie pobudzenia.

- Na zdjęciu? No co ty?

- Tak, serio. Tej nocy wygłupialiśmy się z moim polaroidem, robiłyśmy miny, pstrykałyśmy fotki naszym cyckom i tyłkom. Pamiętam, bo Christi nie pozwoliła mi zrobić sobie zdjęcia. Ciągle odwracała się tyłem. Ale możliwe, że świr znalazł się w tle którejś fotki.

- I masz jeszcze te zdjęcia? - zapytał Cordy.

- Tak sądzę. W domu. Mam specjalną szufladę, w której trzymam takie rzeczy.

Cordy przekręcił kluczyk w stacyjce; silnik cruisera błyskawicznie odpalił.

Zacisnął ręce na kierownicy.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

Lavender podała adres, ale nim zdążyła skończyć, Cordy wystrzelił na drogę wyjazdową z parkingu. Opony zapiszczały, a tyłem samochodu niebezpiecznie zarzuciło.

- Zwolnij trochę - zasugerowała Lavender z szerokim uśmiechem.

- Dlaczego?

Śmiejąc się, wycelowała palec między nogi Cordy'ego, gdzie ze spodni wciąż wystawał penis.

- No bo jeśli zatrzyma cię jakiś inny glina, jak to wytłumaczysz?

Stride wciąż nie miał ochoty wracać do domu.

Gdy dotarł do skrzyżowania, zamiast zjechać na trasę prowadzącą do motelu Sereny, skręcił w stronę jeziora i ruszył drogą, którą od lat znał na pamięć, choć od dawna już nią nie jechał. Nie zadał sobie pytania, dokąd się właściwie wybiera. Wiedział. Serce go tam ciągnęło.

- Chodźmy nad wodę - zaproponował Serenie.

- Czemu nie.

Przejechał przez Canal Park i most aż do Pointu. Żaden statek nie zakłócił im jazdy. Pod kołami samochodu zabrzęczała stal i po chwili Stride znalazł się tam, gdzie niegdyś był jego dom. Nawet teraz, w nocy, widział w świetle latarni, jak czas zmienił tę okolicę. Niektóre drzewa urosły, inne zniknęły. Wybudowano nowe domy, a część starych zburzono. Stride już od dawna tu nie przyjeżdżał, ale życie bez niego toczyło się dalej.

Mijając swój dawny dom, zwolnił. Zerknął w lusterko i upewniwszy się, że nikt za nimi nie jedzie, zatrzymał się i otworzył okno.

- To było nasze miejsce - powiedział. - Moje i Cindy.

- Bardzo chciałabym mieć taki dom - szepnęła Serena.

Wyglądał ładnie. Nowi właściciele pomalowali go na żółto, dzięki czemu pojaśniał, a sądząc po rabatach kwiatowych, mieli też dobrą rękę do roślin. Trawa i krzewy były równo przycięte. Podjazd wyłożono betonem. Przed domem wisiały huśtawki dla dzieci.

Światła były wygaszone. Właściciele wyjechali albo spali, albo leżeli w łóżku i wsłuchiwali się w fale, jak kiedyś on i Cindy.

Stride ruszył i przejechał przez dalszą część dzielnicy, teraz ciemną i opustoszałą. Dojechał aż do parku na samym końcu drogi, po czym zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Serena dołączyła do niego. Trzymając się za ręce, przeszli piaszczystą ścieżką między drzewami nad jezioro. Gdy wyszli na brzeg, niebo otworzyło się nad nimi, zatapiając ich w gwiazdach, a u ich stóp rozpostarła się huczająca, czarna woda. Za ich plecami lekki wiatr igrał z drzewami. Fale na jeziorze toczyły się jedna za drugą i z poszumem wpadały na plażę, jak okiem sięgnąć pustą i ciemną.

Stride dostrzegł pełen zachwytu uśmiech Sereny. Ścisnęła go za rękę i pociągnęła w stronę wody. Doszli do miejsca, gdzie piach był już mokry i fale niemal dosięgały ich stóp. Raz po raz musieli przed nimi uskakiwać, by nie zamoczyć nóg.

Serena okręciła się w kółko, napawając się widokiem. Wskazała cienką linię domów na horyzoncie.

- Dlaczego się stąd wyprowadziłaś? - zapytała.

- Andrei się tu nie podobało - wyjaśnił. - No i z tym miejscem wiązało się zbyt wiele wspomnień.

- Czy to boli, być teraz tutaj?

Pokręcił głową.

- Ani trochę.

Serena cofnęła się od wody i rozejrzała się.

- Posiedź przy mnie chwilę, Jonny.

Pochylił się i wziął w garść trochę piasku.

- Jest jeszcze wilgotno po burzy.

- Nie szkodzi.

Zobaczył to w jej oczach. Akt wiary. Dowód ufności. Dla niego nie było już odwrotu, wiedział tylko, że za nic nie chce powstrzymać tego, co musiało się stać.

Serena zdjęła buty. Rozpięła dzinsy, zsunęła je ze swoich długich, szczupłych nóg i wyszła z nich. Wyciągnęła ramiona ku niebu, odsłaniając kawałek nagiego brzucha i niżej białe bikini. Ściągnęła z siebie gruby sweter Stride'a i granatowy T-shirt. Jej jędrne piersi napinały tkaninę stanika. Ukłękła na piasku i wyciągnęła do Stride'a rękę.

- Zamarzniesz - powiedział.

- To mnie rozgrzeje.

Zdjął buty. Został w koszuli, ale ściągnął spodnie i odrzucił je na bok. Usiadł obok niej, tak że stykali się nogami, a piasek pod nim wcale nie wydawał się zimny. Objęła go ramionami, jej dłonie wślizgnęły się pod koszulę i powędrowały po plecach, lekko uciskając skórę. Pocałowali się zachłannie. Osunęli się na piasek.

Stride całował szyję Sereny i zsunął ramiączko od stanika, aż jej pierś objawiła mu się w całej okazałości. Objął wargami brodawkę i zaczął ssać. Z gardła Sereny wydobył się pomruk rozkoszy. Odsłonił drugą pierś i pocałował ją. Jej palce odszukały szparę w bokserkach Stride'a i wślizgnęły się do środka, delikatnie drapiąc jego obrzmiałość. Odciągnęła tkaninę; chłodny powiew wiatru musnął jego penisa.

- Szybko - szepnęła.

Sięgnął do jej majtek. Uniosła biodra, by mógł je zsunąć. Wyciągnęła do niego rękę i przygarnęła go do siebie. Lizał jej piersi, ale ona wzięła jego głowę w dłonie i poprowadziła ku swojej twarzy. Obsypał pocałunkami jej usta, policzki, oczy.

Rozłożyła nogi i objęła jego biodra. Penis otarł się o jej wzgórek łonowy i zsunął się niżej.

- Nie jesteście... - wyszeptał - bezpieczni. Zabezpieczeni.

- Jesteśmy - odparła, a w jej głosie zadźwięczał taki smutek że Stride przestraszył się, czy nie zniszczył tej chwili.

Ale oto jego członek odnalazł drogę - była wilgotna, czekała na niego. Rozkosz zaparła mu dech w piersiach. Jej również - obejmowała go mocno nogami, palcami szczypała kark. Wchodził w nią tak głęboko, że nieomal stali się jedną osobą. Gwiazdy obserwowały ich z góry, w uszach mieli ryk fal.

Serena patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Jeszcze nigdy nie czuł się bardziej nagi, bliższy drugiej osobie, niż w tej chwili, pod jej wzrokiem. Nie opuszczała powiek, aż w końcu odrzuciła głowę w tył. Uśmiech i okrzyk rozkoszy wyrwał jej się jednocześnie, a całe jej ciało zadygotało w jego rękach. Wtedy zamknął oczy i dał się ponieść ekstazie.

Leżeli na plaży. Serena włożyła tylko T-shirt. Stride delikatnie głaskał jej nagie nogi i łono. Była oblepiona piaskiem. Podparła się na łokciach i obserwowała niebo.

- Masz poczucie winy?

- Powinienem, ale nie mam.

- To dobrze.

- Mogę o coś spytać?

Zobaczył, że zaciska usta. Wiedziała, co to za pytanie.

- To z powodu aborcji - wyjaśniła. - Za długo zwlekałam. Były powikłania. Nie mogę mieć dzieci.

- Czy to dla ciebie problem? - zapytał, myśląc o Andrei.

- Było z tym różnie. Na początku, po tym wszystkim, co przeżyłam, trudno mi było wyobrazić sobie, jak w ogóle można chcieć mieć dzieci. Ale kiedy miałam dwadzieścia parę lat, był taki etap, że użalałam się nad sobą, dużo płakałam i dużo piłam. Niewiele brakowało, a przepiłabym swoją karierę w policji. Jaka matka, taka córka, wiesz? Osobowości podatne na uzależnienia. Ale znalazłam dobrą lekarkę, psychiatrę, która pomogła mi z tego wyjść. Teraz czasem mam takie myśli, ale potem

odchodzą. Ale nie mam poczucia, że moje życie jest mało warte dlatego, że nie mam dzieci.

- Ze mną jest tak samo.

- Powiedz mi coś - poprosiła Serena. - Wiem, że to zabrzmie dziwnie. Czy byłam dobra?

- Co?

- Gdy się kochaliśmy. Dobrze wypadłam? Do tej pory nigdy jakoś nie wychodziło i wiem, że to przeze mnie. Przez moje obciążenia emocjonalne. To strasznie przeszkadzało.

- Chyba nie muszę odpowiadać na twoje pytanie, prawda?

Zaśmiała się z samej siebie, ale widać było, że jej ulżyło.

- Nie, chyba nie.

Pieszczoty Stride'a stały się bardziej namiętne i jego dłoń powędrowała między jej nogi. Pod jego dotykiem biodra Sereny uniosły się i zadrżały.

- Zrób mi to jeszcze raz - powiedziała.

Ale ledwo zaczął, z leżących nieopodal spodni Sereny popłynęła elektroniczna melodyjka komórki. Jęknęła i oboje wybuchnęli śmiechem. Stride wygrzebał telefon z tylnej kieszeni dżinsów i podał go właścicielce.

- Mówi Serena. - A za chwilę: - Nie masz za grosz wycucia, Cordy.

Stride'a doleciał głos wyrzucający z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

- Zwolnij, Cordy - powiedziała Serena. - Co ty tam nawijasz?

Chociaż Stride nie mógł rozróżnić słów, zauważył w oczach Sereny błysk żywego zainteresowania.

- Jesteś pewien, że to on? - zapytała Serena. - Jeśli się mylisz, wyjdziemy na durniów.

Stride usłyszał, jak głos w słuchawce przechodzi niemal w pisk. Cordy był pewien.

- Niech to szlag - mruknęła Serena. - Dobra, niech ktoś obserwuje to miejsce, ale nie spłoszcie go. Patrzcie, co robi. Przylatuje jutro.

Z piersi Stride'a na chwilę uszło powietrze, pozostawiając jedynie tępy ból.

- Dobra robota, Cordy - rzuciła Serena. - Jestem przekonana, że ty i Lavender znajdziecie jakiś sposób, żeby to uczcić.

Rozłączyła się.

- Wygląda na to, że jednak szukaliśmy w niewłaściwym mieście - powiedziała.

- To znaczy?

- Okazuje się, że Christi-Rachel miała chłopaka. Cordy natrafił na zdjęcie zrobione w klubie, gdzie pracowała. Facet był w tle. Cordy go rozpoznał.

- Jak?

- My go już znamy - wyjaśniła Serena. - Tylko że teraz przypomina bardziej Howarda Hughesa. To ten zapijaczony szczur pustynny z przyczepy, koło której znaleziono ciało Rachel. I to z pewnością stawia sprawę w nowym świetle.

- Zabił ją i tak po prostu porzucił ciało za własnym domem? - zapytał Stride.

- Temu facetowi brakuje kilku klepek, przynajmniej gdy się napije. Jeśli spotykał się z Christi i ona go rzuciła, to mogło mu odbić do reszty.

- Więc idzie do jej mieszkania i próbuje ją przekonać, żeby do niego wróciła - rozmyślał głośno Stride. - Ona mówi mu, żeby spadał, a on wali ją w głowę wazonem. Zabiera ciało do siebie, rzuca za przyczepą i idzie w tango.

- To całkiem możliwe - stwierdziła Serena.

Stride pokręcił głową.

- A co z wydrukiem z bankomatu? Z tropem prowadzącym do Duluth?

- Może się pomyliłam - powiedziała, próbując jakoś ułożyć to sobie w głowie. -
Może Duluth to fałszywy trop.

- Nie pomyliłaś się - powiedział z naciskiem Stride. - W tym jest coś więcej.
Serena pochyliła się i pocałowała go chłodnymi wargami.

- Jedź ze mną.

- Co?

- Siedzisz w tym od samego początku, Jonny. Zasłużyłeś sobie, żeby być przy
zakończeniu. Nawet jeśli się okaże, że ten facet nie zabił dziewczyny, musi coś
wiedzieć. Spotkajmy się z nim razem.

Stride wstał i zaczął zbierać swoje ubranie.

- Dobrze - powiedział. - Ale jest coś, co muszę zrobić przedtem.

Wiedziała, o co chodzi.

- Porozmawiać z żoną?

Skinął głową.

- To przeze mnie - powiedziała.

- Nie, przeze mnie.

Myśl o rozwodzie nie przerażała go teraz tak bardzo. Andrea już wcześniej
uchyliła te drzwi. Teraz musiał tylko przez nie przejść.

- Być może jutro znajdziemy klucz do całej sprawy - powiedziała Serena.

Stride nie był tego taki pewny. Wiedział, że w Las Vegas kryje się tajemnica, ale
ani przez chwilę nie wierzył, że znajdzie tam prawdę. Prawda pozostanie tu, w Duluth.
I będzie czekać, aż on wróci i odkryje ją.

46.

Przez trzy lata małżeństwa Stride i Andrea rezerwowali sobotnie poranki dla
siebie. Z wyjątkiem paru weekendów w roku, kiedy Andrea odwiedzała swoją siostrę
Denise w Miami, nie odstępowali od tej zasady. Nawet w największej gorączce
śledztwa Stride starał się zachować sobotę wolną. Zazwyczaj jechali wtedy do Canal
Park na śniadanie nad jeziorem i czytali gazety przy kawie. Albo szli pobiegać wokół
liceum, a potem nagradzali swój trud ciastkami ze skandynawskiej piekarni. Właśnie
w tych chwilach, najbardziej czuł, że naprawdę są małżeństwem.

Ale w ten sobotni rano Stride przygotowywał się do lotu do Minneapolis, a
stamtąd do Las Vegas. To było jakby włączył alarm. Andrea zrozumiała. Stała w kącie
sypialni ze splecionymi na piersiach rękami, zaciśniętymi ustami i nieszczęśliwą
miną. Znaczna część gniewu, jaką zareagowała na wieść o jego wyjeździe, przerodziła
się w gorycz i cierpienie. Nie chciała słuchać tłumaczeń, których on i tak nie miał w
zapasie zbyt wiele.

- Nie rób tego - wyszeptała po raz kolejny. - Nie zostawiaj mnie, Jon.

Stride wcisnął kilka par skarpetek do tylnej kieszeni swojego marynarskiego
worka.

- Muszę to zrobić.

- Och, daj spokój - rzuciła gniewnie. - To już nie jest twój problem. Czemu nie
możesz sobie po prostu odpuścić?

Co miał jej odpowiedzieć? Był winien Rachel prawdę. Pamięć o niej
prześladowała go od lat i pragnął do końca rozwiązać jej zagadkę. Ale nie mógł
zaprzeczyć, że miał też inny powód, o którym nie mówił. Musiał się przekonać, dokąd
zmierza związek z Sereną, bo małżeństwo z Andrea było już skończone. Zdawała się
czytać w jego myślach.

- Opuszczasz mnie. Już raz przez to przeszłam. Wiem, jak to wygląda.
Stride przerwał pakowanie.

- No dobrze. Może i opuszczam.

- I tak zamierzasz to załatwić? - zapytała Andrea. - Uciekając? Od miesiący żyjemy jak obcy sobie ludzie. Od wielu dni prawie w ogóle nie ma cię w domu, nigdy do mnie nie dzwonisz. Gdzie u diabła byłeś zeszłej nocy?

- Nie zaczynaj - powiedział.

- Bo co? Myślisz, że nie wiem o tobie i Maggie?

- Między mną a Maggie nic nie ma. Już ci mówiłem. Nie będę o tym z tobą dyskutował.

- Gdybyśmy tylko umieli ze sobą rozmawiać, moglibyśmy sobie z tym poradzić. Ale ty potrafisz tylko jedno - odciąć się ode mnie. - Proszę cię, nie jedź - nalegała Andrea. - Jesteś im potrzebny tutaj.

Stride w myślach usłyszał ostrzeżenie Maggie sprzed pięciu lat.

- Wiem. Ale ty mnie nie kochasz. Nigdy mnie nie kochałaś.

- To kłamstwo!

- Nie udawaj - powiedział. - Ja skończyłem z udawaniem - Andrea nie dawała za wygraną.

- Proszę cię, żebyś został i rozwiązał nasze problemy.

Dotarł do niego ukryty komunikat: Jesteś moim mężem. Zrób to dla mnie. I chciał ją uszczęśliwić. Próbował przez te lata - bez skutku.

- Przykro mi. Muszę jechać.

Andrea wydała stłumiony okrzyk, zasłaniając usta dłonią.

- Chcesz rozwodu, prawda?

Zamknął oczy.

- A ty nie?

- Nie! - upierała się. - Nie chcę tego. Za nic.

- Ale nie jesteś szczęśliwa - powiedział Stride. - Ja też nie. Z tej sytuacji jest tylko jedno wyjście.

- Możemy to naprawić, jeśli zostaniesz, spróbujemy razem. Ale ty myślisz tylko o jednym - o wyjeździe.

Wziął jej dłonie w swoje i pokręcił głową.

- Nie uda nam się tego naprawić, Andrea. Dla nas obojga będzie lepiej, jeśli pójdziemy każde w swoją stronę i zaczniemy nowe życie. Myślę, że ty też to czujesz.

Andrea wyrwała mu się w gniewie, włosy opadły jej na twarz, a w oczach pojawił się dziki błysk. Porwała butelkę perfum stojącą na szafce i cisnęła nią o ścianę. Flakon rozbił się w drobny mak i wypełnił pokój mdląco słodkim zapachem. Andrea wpatrywała się w rozbite szkło na podłodze. Sprawiała wrażenie, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej. Stride objął ją ramieniem. Odepchnęła go.

- Idź już - powiedziała.

- Przykro mi.

W jej oczach płonęła wściekłość.

- Nieprawda. Ty już zdecydowałeś, co się dla ciebie liczy. Jeśli to rzeczywiście takie ważne, to wynoś się do diabła. Mam nadzieję, że dostaniesz to, czego chcesz. I mam nadzieję, że wtedy dopiero zadasz sobie pytanie, po jaką cholerę ci to było.

Stride jechał autostradą wzdłuż lasu. To był znowu ten sen o pogoni za dziewczyną, której nie może znaleźć. Jednakże tym razem, idąc po jej śladach i za jej śmiechem, znalazł. Wokół jej ciała stały Cindy, Andrea i Serena. Ich dłonie były umazane krwią.

- Kto to zrobił? - krzyknął Stride.

Każda z kobiet kolejno odwróciła się ku niemu i wskazała na niego palcem.

Obudził się gwałtownie.

Serena siedziała obok i czytała magazyn. Spojrzała na niego.

- Zły sen?

- W pewnym sensie. Skąd wiedziałaś?

- Wołałeś Rachel.

Stride się zaśmiał. Przetarł rękami twarz i przeczesał włosy, próbując się dobudzić.

- Naprawdę?

- Nie, żartuję sobie. Wyglądałeś, jakbyś znalazł się w miejscu, w którym bardzo nie chcesz być.

Pochylił się i pocałował ją.

- Jestem dokładnie tam, gdzie chcę być.

Samolot zaczął schodzić w dół. Stride wyciągnął szyję, by wyjrzeć za okno, ale z jego miejsca nie było widać miasta. Zobaczył tylko jasną poświatę, znak, że nieopodal musi być jakieś niezwykle silne źródło światła. Gdy wylądowali, w ciemnościach nie mógł dojrzeć nic prócz światła pasa. Kiedy jednak samolot skręcił w stronę terminalu, Stride zobaczył błyszczącą złotą wieżę, z jego perspektywy przypominającą ogromny bumerang.

- To jest Mandalay Bay - powiedziała Serena. - Niesamowita, prawda?

Gdy wyszli z samolotu i wkroczyli do hali przylotów, Stride stanął jak wryty, oślepiiony ferią barw i blaskiem wszechobecnych neonów. Nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o wrażeniach Sereny ze spokojnego lotniska w Duluth, skoro miała taki punkt odniesienia. Tu był inny świat.

Przy odbiorze bagażu zauważył mężczyznę, który wynurzył się z tłumu i ruszył w ich kierunku. Serena go uściskała.

- Jonathan Stride, a to Cordy Angel, mój partner.

Stride uścisnął mu dłoń.

- To fantastyczne, że udało ci się powiązać tego gościa z ciałem. Dokonałeś prawdziwego przełomu.

- Jestem wyjątkowo zdolnym detektywem - odparł Cordy i mrugnął...

- Myślę, że określenie „pieprzony farciarz” bardziej do ciebie pasuje - powiedziała Serena.

Cordy zwrócił się do niej.

- Facet jest obserwowany. Wyskoczył tylko na chwilę wczesnym popołudniem; pojechał do monopolowego. Uzupełnił zapas dżinu. Potem wrócił i od tego czasu nie rusza się z przyczepy.

Serena zmarszczyła brwi.

- Psiakrew, to znaczy, że jutro nie będzie kontaktował. Chciałam, żeby był choć trochę przytomny.

- To mu się chyba za często nie zdarza.

- Cóż, możemy go zawsze potrzymać do wytrzeźwienia na posterunku - stwierdziła. - Co z nakazem? Masz?

Cordy skinął głową.

- Możemy tam wparować i przewrócić wszystko do góry nogami. Ale ja już u niego byłem i nie piszę się na grzebanie w tym syfie.

Stride im przerwał.

- Dowiedziałeś się, co łączyło tego faceta z Rachel? Czy raczej powinienem powiedzieć Christi.

Cordy wygładził swoje lśniące czarne włosy.

- *Nada*. Jego tak zwany sklep nie ma licencji. Lavender widziała go tylko raz, a Christi nigdy o nim nie wspominała. To jeden z tych typów, którzy pojawili się w Vegas znikąd i zmierają donikąd.

- Chyba jednak nie wypadł sroce spod ogona, skoro stać go było na taką dziewczynę jak Christi - zauważyła Serena. - Pojedziemy do niego jutro z samego rana. Podrzucisz nas do mnie?

Cordy uniósł brew.

- Gdzie tylko zechcesz,

Stride unikał jego wzroku, co dla gliny zapewne było jednoznacznym przyznaniem się do winy.

- Byłeś już kiedyś w Vegas? - zapytał Cordy.

Stride pokręcił głową.

- Nie, to mój pierwszy raz.

- No proszę, prawiczek - zachichotał Cordy.

Stride siedział na tylnym siedzeniu cruisera Cordy'ego i przyglądał się przez okno rzędom olbrzymich hoteli i kasyn po obu stronach Las Vegas Boulevard. Cordy nie chciał jechać przez Strip, ale Serena uparła się, żeby pokazać Stride'owi miasto. Utknęli w gęstym wieczornym korku, między Tropicana a Flamingo. Po lewej, powiedziała Serena, jest Monte Carlo. Po prawej Aladdin. Przed nimi Bellagio, potem Parisj a następnie Bally's. Ogrom tych budynków przytłaczał Stride'a.

Upał był dla niego nie do wytrzymania. Gdy wyszli z lotniska, poczuł się, jakby ktoś skierował w jego twarz miotacz płomieni, pozbawiając go oddechu. Była noc, ale temperatura nadal wahała się w okolicach trzydziestu stopni. Przy każdym oddechu czuł w ustach smak pustynnego piasku. Cordy włączył klimatyzację na najniższą temperaturę i wkrótce w samochodzie zrobiło się tak zimno, że Stride zaczął się trząść.

- Najwspanialsze miasto świata - powiedział Cordy z dumą. - Kto chciałby mieszkać gdzie indziej? Pierwsza klasa, człowieku.

- To tu mieszkają ludzie? - zapytał Stride półzartem.

- No, no, Jonny. - Serena odwróciła się do niego i puściła oko.

- Wiesz, co jest w tym mieście najważniejsze? - zapytał Cordy, trąbiąc na limuzynę, która przejechała im przed samym nosem.

- Wszystko, tylko nie teoria piersi - rzuciła Serena.

Cordy mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

- W Las Vegas wszystko kręci się wokół piersi.

- Czego? - roześmiał się Stride.

- Piersi! Naprawdę. W tym mieście zobaczysz więcej piersi niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. To właśnie czyni je tak wyjątkowym. Nadaje charakter. Nie hazard czy alkohol. Nie osiemdziesiąt milionów pokoi hotelowych, ale to, że gdy przechadzasz się po ulicy, wszędzie widzisz piersi trzęsące się jak galareta. We wszystkich kształtach i rozmiarach. Próbuje wydostać się z tego czegoś, w co są przyobleczone. Wełna, lycra, nylon, bikini, wszelkiego rodzaju szmatki-sratki, kapujesz? Kobiety założyły wszystko, byleby było obcisłe, przezroczyście, więcej

odslaniało, niż zasłaniało. Przyjeżdżają tu przechwalać się swoimi piersiami, a wszyscy faceci chodzą tak napaleni, że nie są w stanie trzeźwo myśleć.

- Cordy jest kimś w rodzaju cycykologa - wyjaśniła sucho Serena.

- Nie mam racji? Jeśli nie mam racji, to mi powiedz.

Serena nie miała okazji aby coś powiedzieć. Trzy kobiety po dwudziestce, dwie blondynki i brunetka, przebiegły przez korek. Brunetka znalazła się najbliżej cruise'ego. Stride instynktownie skierował wzrok na jej dekolt. Dziewczyna miała na sobie głęboko wycięty T-shirt, który niemal pękał pod naporem piersi. Cordy nacisnął klakson i pokazał jej kciuki. Dziewczyna w odpowiedzi wysunęła język i namiętnie oblizwała wargi.

- Nie powiedziałam, że nie masz racji - westchnęła Serena.

- Aha. To dobrze, mamuśka. Wiesz, dlaczego w tym mieście tyle striptizerek stać na wyższe studia? Bo faceci są tak napaleni od gapienia się na dziewczyny, że zapłacą każde pieniądze, żeby tylko zobaczyć, co jest pod spodem.

Serena tylko pokręciła głową.

Kiedy minęli Flamingo, korek trochę się rozluźnił. Serena pokazała Stride'owi następną kolonię megahoteli, rozciągającą się od Caesar's Palace na południu po Stardust na północy. Gdy mijali Mirage, jego wulkan - przydrożna atrakcja turystyczna - właśnie wybuchł na oczach tłumu gapiów, wyrzucając w powietrze kaskady wody, parę i płomień. Stride nigdy nie widział miasta tak tętniącego życiem.

Zauważył jednak, że im dalej na północ, tym szybciej bladła świetlista aura Stripu. Miejsce drogich kasyn, zaspokajających potrzeby hazardzistów, zajęły sex shopy, salony masażu, bary z wideopokerem i motele z przepalonymi neonami. Na chodnikach było coraz mniej turystów; większość z nich miała dość rozumu, by nie zapuszczać się w te okolice. Na każdym rogu stały ufarbowane dziwki i uśmiechały się do nich szeroko spod grubych warstw jaskrawej szminki. Na progach domów spali bezdomni.

- Jakoś nie widać tu wulkanów - mruknął Stride.

Serena pokręciła głową.

- Nazywamy tę okolicę Nagim Miastem. I to już nie jest kolejny dowcip o piersiach. Jest tu co prawda wieża widokowa Stratosphere, ale wszędzie dookoła jest więcej narkotyków i morderstw niż w jakiegokolwiek innej części miasta.

Przejechali jeszcze kilometr i skręcili ze Stripu na Charleston. Zostawiając za sobą zarówno kasyna, jak i Nagie Miasto, skierowali się na wschód. Tutaj okolica nie różniła się od przedmieść w każdym innym mieście - ciągi pawilonów, sklepy z przecenionymi artykułami i sieciowe bary. W niecałe dziesięć minut dojechali do mieszkania Sereny. Znajdowało się w przypominającym ul zamkniętym osiedlu białych dwupiętrowych domów zdobionych sztukateriami i pokrytych jaskrawoczerwonymi dachami.

Serena pomachała ochroniarzowi, który otworzył im bramę. Cordy, który najwyraźniej dobrze znał tę okolicę, przejechał przez niezmiernie skomplikowany labirynt przecinających się uliczek i podjazdów, po czym zatrzymał się przy budynku na samym końcu osiedla.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, co, mamuśka? - rzucił.

Stride i Serena wyciągnęli swoje rzeczy z bagażnika. Od chodnika bił żar. Lekka sucha bryza od gór nie przynosiła żadnej ulgi. Stride odruchowo chciał wytrzeć czoło, ale uprzytomnił sobie, że powietrze jest tu zbyt suche, żeby można się było spocić.

- Spotkajmy się tu jutro o dziewiątej rano - powiedziała Serena do Cordy'ego. - Upredź ekipę techniczną, żeby czekali na nas na miejscu o dziesiątej.

Cordy mrugnął do Stride'a.

- Na pewno chcesz tu zostać? Moglibyśmy uderzyć do paru klubów.
- Dobranoc, Cordy - powiedziała Serena.
- Do diabła, mamuśka, jak możesz go trzymać w swoim nudnym mieszkaniu? To jego pierwsza wizyta w tym mieście. Ten człowiek zasługuje na odrobinę zabawy.
- Będzie się dobrze bawił - odparta Serena.

48.

Przez żaluzje w oknach sypialni do pokoju wpadało poranne słońce. Stride, już od dawna przebudzony, przyglądał się śpiącej Serenie.

Leżała na brzuchu, włosy zasłaniały jej twarz. Ręce miała podłożone pod poduszkę, tak że z boku widać było krągłość jej prawej piersi. Jedna noga wystawała spod prześcieradła.

Serena przekręciła się na plecy, racząc Stride'a widokiem nagich piersi i brązowych brodawek. Powoli zamrugnęła i uchyliła oczy, niechętnie do stawienia czoła światłu dziennemu. Odgarnęła włosy z twarzy.

- Która godzina? - zapytała sennym głosem.

- Późno, prawie kwadrans po ósmej.

Serena jęknęła.

- Cholera, Cordy zaraz tu będzie.

Próbował dotknąć jej piersi, ale Serena delikatnie trzepnęła go po rękach.

- Żadnych takich, poruczniku. Mamy tylko pięć minut na prysznic.

- Pięć minut w zupełności mi wystarczy - powiedział.

- Cicho. - Wygramoliła się z łóżka i skierowała do łazienki, odprowadzana wzrokiem Stride'a. Usłyszał, jak woła do niego.

- Zrób kawę, dobrze?

- Dobrze.

Zszedł nagi po schodach. Przejrzał szafki w poszukiwaniu kawy. Z pewnym trudem udało mu się dociec, jak działa skandynawski ekspres Sereny. Włączył go i wrócił na górę. Serena siedziała już z powrotem na łóżku i wycierała wilgotne włosy ręcznikiem. Na jej skórze lśniły krople wody.

- Wiem, o czym myślisz, i masz natychmiast przestać - rzuciła od niechcenia.

- Skąd wiesz, o czym myślę?

Jej oczy powędrowały w dół, a wzrok Stride'a podążył za nimi.

- Oj.

- No właśnie, oj. A teraz pod prysznic. Polecam zimny.

Kiedy Stride wyszedł z łazienki, poczuł zapach kawy. Serena gdzieś znikła, ale kilka sekund później weszła do sypialni z dwoma parującymi kubkami w rękach. Była częściowo ubrana, w majteczki bikini i biały T-shirt z dekoltem w serek.

- Lepiej się ruszmy, Jonny. Cordy jest punktualny.

- Więc jeśli mamy coś jeszcze zrobić, musimy się pośpieszyć.

- Ty masz zrobić tylko jedno, mianowicie ubrać się - powiedziała Serena. Ale zauważył, że jej oczy znów prześliznęły się po jego ciele. Podniosła głowę. - Naprawdę wystarczy ci pięć minut?

Stride siedział na tylnym siedzeniu cruisera Cordy'ego. Jechali na południe drogą I-15. Strip zostawili za sobą i kierowali się do ziemi jałowej. Stride czuł przypływ podniecenia. Gdzieś przed nimi, na skraju pustynnej drogi, znajdował się człowiek,

który znał Rachel po jej zniknięciu. Ktoś, kto widział ją żyć po śmierci. Ktoś, kto może znać odpowiedzi na pytania sprzed czterech lat.

Ale był to także mężczyzna, który być może rozwalił czaszkę młodej kobiety i rzucił jej ciało na pustyni. Serena zabrała ze schowka w swoim samochodzie dziewięciomilimetrowy pistolet Sig Sauer i włożyła go do kabury przewieszanej przez ramię pod luźnym, krótkim, niebieskim żakietem. Ruger Stride'a zajmował analogiczne miejsce pod grafitową sportową marynarką.

Cordy zjechał z autostrady i wbił tuman piachu na bocznej drodze. Wskazał ręką miejsce paręset metrów przed nimi, gdzie tuż przy drodze, od północnej strony Stride zobaczył zdezelowaną przyczepę.

- Tam mieszka ten facet.

- Tu ją znaleziono? - zapytał Stride.

- Tak - odparła Serena.

Cordy zaparkował przed samą przyczepą, ale nie zgasił silnika.

- Daj nam kilka minut, dobrze? - zwróciła się do niego Serena.

Wysiedli. Stride rozejrzał się po okolicy. Przyczepa była szara, pokryta grubą warstwą brudu i pustynnego piachu. Nie było żadnego chodnika, tylko ścieżka wydeptana przez gości. Nastawił uszu, wsłuchując się w dziwną kakofonię dźwięków, które zdawały się unosić i opadać z wiatrem. Była to groteskowa melodia, bez żadnego rytmu, po prostu beładny brzęk, jakby tysiąc dzieciaków bawiło się dzwoneczkami.

- A cóż to takiego? - zapytał.

- Dzwonki powietrzne - odpowiedziała Serena. - I to dużo.

Serena weszła pierwsza na schodki prowadzące do przyczepy, które ugiwały się pod jej ciężarem. Zatrzymała się przed drzwiami i zabębniła w aluminiową ścianę. Poza śpiewem dzwoneczków nie było żadnej odpowiedzi.

Na drzwiach ktoś namalował napis: Czynne całą dobę. Serena zerknęła na Stride'a, wzruszyła ramionami i ostrożnie otworzyła drzwi. Weszła do środka, Stride tuż za nią. Wewnątrz panował ogłuszający hałas. Okno było otwarte i przeciąg wprawiał w ruch kilkadziesiąt witrażowych dzwoneczków powietrznych, wirujących i zderzających się w beładnym, wielobarwnym tańcu. Oboje zasłonili sobie uszy. Serena zrobiła dwa kroki do przodu i z hukiem zamknęła okno. Powietrze znieruchomiało i dzwoneczki się uspokoiły, teraz tylko delikatnie pobrzękując w tle.

I wtedy usłyszeli głos.

- A więc domyśliliście się.

Odwrócili się gwałtownie. Bob siedział przy stoliku do kart, niecałe dwa metry od nich, przed krzywo powieszoną zasłoną dzielącą sklep od reszty przyczepy. Na stoliku stała otwarta metalowa kasetka na pieniądze. T-shirt zwisał na jego wychudzonej sylwetce, a szorty były o kilka rozmiarów za duże. Na nogach miał stare, zniszczone adidas.

Miał oczy szaleńca, dzikie i maleńkie, jak dwie czarne dziury. Przyjrzał się im obojgu po kolei, najpierw Serenie, potem Stride'owi, i na nim jego wzrok zatrzymał się dłużej. Bob zmrużył oczy, jakby w twarzy Stride'a zobaczył coś dziwnego i nieoczekiwanego. Pod tym wzrokiem Stride poczuł się jak przyszpilony do ściany owad. To upiorne uczucie pogłębiło się jeszcze, gdy ich oczy się spotkały. W jego mózgu jak błyskawica rozbłysła myśl: Ja cię znam.

Ale przecież go nie znał.

- Jak się nazywasz? - zapytał Stride.

Bob wzruszył ramionami.

- Jest napisane na tabliczce.

- Nietrudno będzie się tego dowiedzieć - oświadczyła Serena.

- Naprawdę? - zapytał Bob. - Nie byłem notowany, nie płacę podatków i nigdy nie zdjęto mi odcisków palców. To może mi powiecie, jak zamierzacie się o mnie czegokolwiek dowiedzieć?

- Sprawiasz wrażenie inteligentnego gościa - powiedziała Serena. - Spodziewałam się starego pijaczyny.

Bob skrzywił się i wskazał palcem na tył przyczepy.

- Dżin jest tam. Na wypadek gdybym stchórzył.

- Stchórzył? - zapytała Serena.

Bob potarł swoją długą brodę i pociągnął za skołtunione włosy. Przyłożył do głowy palec niczym pistolet i udał, że pociąga za spust.

- Zamierzasz się zabić? - spytała Serena. - Dlaczego?

Bob spojrzał na Stride'a i uśmiechnął się pośepnie, jakby znali ten sam tajemny dowcip.

- Ty wiesz.

- Skąd miałbym wiedzieć?

- Jesteś facetem. Dlaczego facet coś robi?

- Z powodu kobiety - odpowiedział Stride.

Serena pochyliła się nad Bobem.

- Mówisz o Christi?

Gniew Boba ustąpił miejsca rozrzewnieniu. Głos mu się łamał, gdy zwrócił się do Sereny.

- Jesteś do niej trochę podobna. Ona też miała takie zielone oczy. Ale zimne. Zniszczyła mnie. No bo rozejrzyjcie się tylko. Spójrzcie na moje życie. Ale gdybym mógł ją odzyskać, przeszedłbym przez to piekło jeszcze raz.

Oczy Sereny się zwęziły.

- Tak bardzo jej pragnąłeś? Taka była dobra?

- Nie dobra. Nigdy nie było w niej nic dobrego. Była zła.

- O co poszło? - zapytała Serena. - Odtrąciła cię?

Bob zaśmiał się dziko.

- Żeby to, kurwa, było takie proste! Wyobraźcie sobie, że macie klucz do pałacu, rozumiecie? Aż tu nagle któregoś dnia zamki zostają zmienione. Człowiek ogląda się za siebie i zdaje sobie sprawę, że poświęcił wszystko, zniszczył wszystko dla urojenia.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostami? - zapytała Serena.

Bob niecierpliwie machnął ręką.

- Nie traćcie mojego czasu. Chcecie zapytać, to pytajcie.

Stride wiedział, o jakim pytaniu mówi.

- Czy zabiłeś Rachel?

- Ktoś musiał - odpowiedział Bob.

- Ale czy ty to zrobiłeś?

- A nie to chcecie usłyszeć? Nie ułatwiłoby wam to życia?

- Chcemy się tylko dowiedzieć, jak było naprawdę - odparł Stride.

Bob zrzucił karalucha ze stolika. Owad powędrował na tył przyczepy.

- Nieprawda. Wiecie już wszystko, czego wam trzeba.

- Nie wiemy dlaczego - powiedział Stride.

Bob się zaśmiał.

- Dla niej to była zabawa. Niszczyła ludzi. A kiedy ktoś tak się bawi, w końcu ludzie niszczą jego.

- Myślę, że powinniśmy kontynuować tę rozmowę gdzieś indziej, powiedziała ostrożnie Serena. - Może pojechałbyś z nami na posterunek? Mógłbyś się umyć, zjeść coś porządnego.

W oczach Boba pojawił się drapieżny błysk.

- Nie pójdzie wam tak łatwo - warknął.

Jego zwinność ich zaskoczyła. Lewą ręką sięgnął do kasetki tak błyskawicznie, że w pierwszej chwili trudno było zrozumieć, co się dzieje, wyciągnął ją nad głowę tak, że niemal muskał sufit, krzyknął i zerwał się z miejsca, przewracając krzesło. Stride dojrzał przedmiot, który Bob ścisnął w wyprostowanej ręce. Rewolwer Smith and Wesson z dziesięciocentymetrową lufą.

- Ma broń!

Stride i Serena odskoczyli, zaplątując się w zwisające dzwonki powietrzne; zabrzęczały gwałtownie i niektóre, zerwane, rozbito się o podłogę.

Stride odchylił się w prawo i rzucił się w dół. W ramię i doń wbiło mu się potłuczone szkło. Wsunął zakrwawioną rękę pod kurtkę i chwycił rugera. Jednym ruchem odbezpieczył go i ukląkł, celując w pierś Boba.

Niecały metr dalej Serena uklękła na obu kolanach i celowała w Boba, dla pewności trzymając broń w obu rękach.

Bob zamarł w bezruchu. Popatrzył na nich z dziwnym, triumfalnym uśmiechem. Jego wzrok przeskakiwał między Sereną a Stride'em jak piłeczka pingpongowa. Rewolwer drżał mu w rękach.

- Na co czekacie? - rzucił.

- Nie chcemy cię skrzywdzić - powiedziała Serena spokojnie. - Rzuć broń.

- Ja się stąd wynoszę - oświadczył Bob. - A wy mi pomożecie.

Stride zobaczył, jak palce mężczyzny zaciskają się na broni. Bob powoli opuszczał rękę z rewolwerem.

- Będę strzelać - krzyknęła Serena.

- Nie! - zawołał Stride. - Czekaj! Czekaj!

Jedyne drzwi do prawdy zatrzaskiwały mu się przed nosem. Bob nie odbezpieczył broni. Nie był gotowy do strzału. Ale teraz wycelował rewolwer prosto w głowę Stride'a. Wzrok policjanta powędrował wzdłuż wyciągniętych rąk Boba i spotkał się z ciemnością lufy. Rewolwer gapił się wprost na niego. Poczł skurcz w miejscu, gdzie postrzelił go dawny przyjaciel. W pamięci usłyszał huk tamtego wystrzału i poczuł ból rozerwanego ciała.

- Bob, nie zastrzelisz mnie - powiedział Stride. - Odlóż rewolwer, a tym razem wygrasz. Możesz ją pokonać.

Bob pokręcił głową.

- Ona zawsze wygrywa.

Stride zabezpieczył swojego rugera. Jego palce się rozluźniły, broń wysunęła mu się z ręki i zawisła na palcu wskazującym. Pochylił się powoli i położył ją na ziemi.

- Jonny, co ty do licha wyprawiasz? - syknęła Serena.

- Ja tego nie zrobię - powiedział Stride do Boba.

Bob milczał, wahał się.

Dzyń, dzyń, dzyń, śpiewały dzwonki powietrzne.

- To nie ja to robię - powiedział Bob. - To ona. Zawsze ona.

Stride pokręcił głową.

- Nie możesz jej już za to winić. Ona nie żyje. Tym razem tylko ty decydujesz. Czy tego właśnie chcesz?

Ręka Boba zdrząła. Głęboko, żałośnie, wypuścił wstrzymywane powietrze, a gdy uchodziło, jego mięśnie jakby się zapadały. Dłoń, w której trzymał rewolwer, zwisła.

- A teraz połóż go na stole. Spokojnie. Powoli. Dobrze?

Stride poczuł przyływ ogromnej ulgi.

Nagle twarz Boba wykrzywiła się w wyrazie paniki i lęku. Jego oczy zognomniały jak u przerażonego dziecka. Otworzył usta i cofnął się o krok. Wzrok utkwiał w czymś, co widział tuż za Stride'em.

- Ona tu jest! - zaszlochał.

- Jonny, tracisz go - ostrzegła go Serena.

Stride wiedział, że ma rację. Bob tracił kontakt z rzeczywistością.

- Nikogo tam nie ma - powiedział stanowczo.

- TY NIE ŻYJESZ! - wrzasnął Bob.

Jednym ruchem uniósł rewolwer, jego lufa drżała. Zaciśnął szczęki i wyszczerzył zęby. Kciukiem odbezpieczył broń.

- Stój! - krzyknęła Serena.

Stride zeszywniał w oczekiwaniu na strzał, czekając, aż powietrze ucieknie mu z piersi.

Strzał Sereny odrzucił Boba w tył. Broń wypadła mu z ręki. Runął na podłogę z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Zarzęził, nie mogąc już oddychać, a na usta wystąpiła mu piana i krew. Jego ciało zadrgało, nogi skurczyły się w spazmie.

Serena podniosła się z kolan i podbiegła do niego.

Bob miał jeszcze dość siły, by unieść głowę. Z satysfakcją przyjrzał się temu, co zostało z jego klatki piersiowej. Krew zalewała mu płuca. Próbował coś powiedzieć, ale z ust wydobył się tylko charkot i jego szczeka się rozluźniła. Oczy o czarnych, olbrzymich źrenicach miotały się między Sereną a Stride'em.

- Cordy! - krzyknęła Serena, gdy drzwi przyczepy otworzyły się gwałtownie. - Wezwij karetkę!

Ale oboje wiedzieli, że Bob nie dożyje jej przyjazdu.

Wraz z nim umierała tajemnica.

Stride siedział na tylnym siedzeniu samochodu Cordy'ego. Drzwi zostawił otwarte, nogi zwiesił na zewnątrz. Po raz pierwszy od wielu miesięcy miał ochotę zapalić i pocierał palcem o palec, jakby trzymał w nich papierosa. Z karku wzdłuż kręgosłupa spływała mu strużka potu.

Dwadzieścia metrów dalej gliniarze z wydziału wewnętrznego, mimo potwornego upału chłodni jak węże, maglowali Serenę w sprawie strzelaniny. Jej piękna twarz wyrażała stoicki spokój - żadnych emocji, żadnych burz wewnętrznych. Stride znał jednak prawdę. Nie raz był świadkiem opóźnionych reakcji policjantów z Duluth, nawet twardych weteranów, którzy widzieli wiele trupów, tyle że zabitych przez innych. Oddanie strzału, odebranie komuś życia, widok człowieka umierającego na twoich rękach - to były druzgoczące przeżycia. Wielu gliniarzy musiało później poddawać się terapii. Niektórzy odchodzili za służby.

A potem przychodził czas na krytykę po fakcie. Ludzie, którzy nie byli na miejscu, nie przeżyli tych potwornych chwil, czuli się upoważnieni do kwestionowania twojej oceny sytuacji.

Stride mógł teraz zrobić tylko jedno: spokojnie czekać na swoją kolej i opowiedzieć im, co się wydarzyło. To był uzasadniony strzał. Nieunikniony.

Gdy przyjechała karetka, pozostało już tylko zabrać zwłoki. Stride przyglądał się, jak dwaj sanitariusze przeciskają nosze przez drzwi przyczepy. Ciało Boba leżało przykryte białym prześcieradłem z czerwoną plamą w miejscu, gdzie materiał przesiąkł krwią. Z zakurzonej podłogi poderwał się przeciąg i uniósł róg prześcieradła, powiewając nim jak białą flagą.

Stride zobaczył bezwładną kościstą nogę Boba i stary adidas na jego stopie. Podeszwa buta mrugnęła do niego jak przekrwione oko, owalne i czerwone.

W tej chwili Stride doznał wrażenia, że świat staje w miejscu, cały ruch i wszystkie dźwięki stopniowo zamierają jak milknąca pozytywka, aż w końcu już tylko słyszał swój urywany oddech i czuł potężne uderzenia serca, które jakby chciały rozerwać mu klatkę piersiową.

Stride niemal oczekiwał, że Bob poderwie się z noszy. Wyceluje w niego swoim kościstym palcem i zarechocze jak magik na widok publiczności gapiącej się z otwartymi ustami na jego najnowszą sztukę.

Ale to nie była żadna sztuczka. Nie sposób było nie rozpoznać tej podeszwy i czerwonego owalnego kształtu na środku obcasa, wyblakłego przez cztery lata używania. Bob miał na sobie buty Graeme'a.

Buty, które zostawiły ślady przy szopie. Buty, których nie mogli znaleźć, gdy zniknęła Rachel.

Stride stał jak wryty, jego umysł podejmował dramatyczne próby zrozumienia prawdy, która właśnie mu się objawiła.

I po chwili rozjaśniło mu się wszystko.

To była jedna wielka mistyfikacja. Rachel ukradła buty Graeme'a. Były w reklamówce, z którą wyszła z domu. A ten mężczyzna - nieboszczyk pod prześcieradłem - je włożył. Tamtej nocy był w Duluth.

Stride poderwał się i ruszył biegiem po spalonej słońcem ziemi, wzbudzając zdumienie sanitariuszy. Zerwał prześcieradło, odkrywając twarz Boba i jego wciąż szeroko otwarte oczy.

- Hej, co jest do cholery! - zaprotestował jeden z sanitariuszy.

Chwycił go za ramię, ale Stride mu się wyrwał. Pochylił się, nad twarzą Boba. W jego nozdrza wdarł się zapach śmierci, krwi i odpadków. Przyglądał się martwej twarzy, starając się wyczytać z niej prawdę. Ja cię znam.

Odwrócił się i kątem oka zobaczył Serenę. Wiedział, że czyta w jego myślach, czuje jego strach. Ale dzięki Bogu nie powiedziała ani słowa, niczego po sobie nie pokazała. Zanim inni gliniarze ruszyli w jego stronę, odwróciła wzrok.

Tuż za nim jakiś głos powiedział:

- Wszystko w porządku, stary?

- Cordy! - syknął Stride. Odciągnął młodego policjanta na bok. - Mówiłeś, że jest jakieś zdjęcie. Z czasów, kiedy jeszcze tak nie wyglądał. Masz je?

- Co, nieboszczyka? No tak, stary, jasne. Dostałem je od Lavender. Pomyślałem, że w razie czego moglibyśmy go tym przycisnąć.

- Pokaż mi je.

Cordy wyciągnął z kieszeni spodni plastikową torebkę. Stride wyrwał mu ją z ręki. Słońce go oślepiło. Zmrużył oczy, przez ten plastik nic nie widział. Bez wahania rozdarł torebkę i wyrzucił ją.

- Kurwa, nie wolno - zaczął Cordy, ale widząc wyraz twarzy Stride'a, zamilkł.

Stride trzymał zdjęcie, jakby paliło go w palce.

- Nie, nie, nie, nie - mamrotał, nie wierząc własnym oczom. Zakręciło mu się w głowie; zapragnął, by popękana pustynna skorupa pod jego stopami otworzyła się i pochłonęła go.

49.

Stride upił łyk zimnej kawy ze styropianowego kubka. Jego zniecierpliwienie rosło.

Przyglądał się przez oszkloną ścianę ledwo żywym od upału turystom biegającym między rzędami samochodów do wynajęcia. Budynek zatrzęsł się od huku, który obwieścił, że na lotnisku McCarran podchodzi do lądowania kolejny samolot. Wieczne cienie wydłużały się z każdą minutą.

Zabrzęczały szklane drzwi. Jedna z pracownic agencji przyczłapała spocona z ogromnego parkingu. Grubymi palcami ścisnęła plastikową podkładkę z klipsem do papierów.

- Długo jeszcze? - zawołał.

Kobieta się zatrzymała i oparła ręce na biodrach. Spomiędzy spodni od dresu w kolorze pudrowego błękitu i białego T-shirt wyłonił się nagi hebanowy brzuch.

- Czy ja wyglądam na jasnowidza? Przecież mówiłam, że mieli być tu dwie godziny temu.

- Czy wasi ludzie na parkingu wiedzą, że mają go zatrzymać? - upewnił się Stride.

- Nie chcę, żeby w nim sprząkali, zanim go obejrzymy.

- Tan cavalier, tablice z Teksasu - wyrecytowała numer rejestracyjny. - Jak tylko się pojawi, dowiesz się pierwszy, skarbie. Czekał spokojnie.

Zniknęła w pokoiku za kontuarem.

Serena siedziała niedaleko na metalowym krześle, łokcie wsparła na kolanach. Splątane czarne włosy zasłaniały jej twarz. Podniosła się z trudem, podeszła do Stride'a od tyłu i zaczęła mu rozmasowywać napięte mięśnie karku. Nachyliła się do niego i szepnęła:

- Nie musimy tego robić.

- Ja muszę. Muszę wiedzieć.

Serena westchnęła.

- Jak chcesz.

Stride wiedział, że ona ma rację. Lepiej było tak to zostawić. Wiedział, co znajdą w samochodzie, kiedy już tu przyjedzie.

A gdy pozna prawdę, będzie żałował, że nie umarła raz na zawsze na pustyni wraz z Bobem.

Ale nie mógł się powstrzymać. Zdjęcie doprowadziło go aż tutaj. Z pustyni na lotnisko, a następnie do agencji wynajmu - podążał tropem, który miał przed sobą. Wszystko było tak oczywiste, że zastanawiał się, czy nie zostało zainscenizowane specjalnie dla niego.

Serena wzięła od niego kubek z zimną kawą, napiła się i skrzywiła.

- O rany. Powiem ci tylko jedno, Jonny. Starbuck's.

Stride nie mógł się nie uśmiechnąć.

- No, już lepiej - mruknęła.

- Słuchaj, nie martw się o mnie - zwrócił się do niej Stride. - Dam sobie radę. Masz teraz na głowie własne problemy.

- Mówisz o tym, że zabiłam faceta? Że właśnie spędziłam sześć godzin w towarzystwie tych z wydziału wewnętrznego, przeżywając tę chwilę wciąż na nowo pięćset razy i więcej? Dzień jak co dzień.

- Ha.

Serena wzruszyła ramionami.

- Każą mi pogadać z psychiatrą. Jak za dawnych czasów. Wypłacę się później - wbiła wzrok w buty, wciąż zakurzone i zakrwawione. - Chcesz poznać prawdę? Przyszło mi to łatwo. Zbyt łatwo.

Stride nie musiał nic mówić.

Kobieta w rozmiarze XXL wyłoniła się z biura z radiotelefonem przy uchu.

- Twój samochód właśnie przyjechał, skarbie. Jeden z moich chłopców zaraz go tu przyprowadzi.

Stride poczuł nerwowy skurcz w żołądku.

- Co normalnie robicie, gdy wraca samochód? Odkurzacie wnętrze? Myjecie dywaniki?

- Tak jest - powiedziała.

- Bagażnik też?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli ktoś do niego narzyga. Co się zdarza, złotko.

- I jest pani pewna, że to było pierwsze wypożyczenie od zeszłego tygodnia?

Między jednym a drugim nikt go nie używał?

- Nikt.

Parę minut później jeden z pracowników zaparkował cavaliera tuż przy głównym budynku. Zostawił drzwi od strony kierowcy otwarte i zapalony silnik. Stride i Serena włożyli rękawiczki i wyszli na zewnątrz. Stride niósł z sobą latarkę halogenową z samochodu Sereny. Skierował światło na tylne siedzenie wozu.

Było czyste, żadnych śmieci czy skrawków papieru. Stride ukląkł i zajrzał pod oba siedzenia, uważnie przyglądając się podłodze. Następnie razem z Sereną spędzili pół godziny na badaniu obicia na tylnych siedzeniach, centymetr po centymetrze. Nic nie znaleźli.

Stride wyprostował się.

- Teraz bagażnik.

- Pewnie była zawinięta w koc - przypomniała mu Serena. - Na łóżku go nie było.

- Koce zostawiają ślady - odpowiedział.

Nie szukali długo. Gdy tylko otworzyli bagażnik i Stride oświetlił wnętrze, niemal natychmiast spostrzegli na wykładzinie brązową plamę wielkości dziesięciocentówki. Stride zatrzymał światło na plamie i Serena pochyliła się, by przyjrzeć się jej bliżej.

- To może być krew - powiedziała cicho. Po czym dodała: - Mam tu coś jeszcze.

Patrzył, jak wkłada rękę do kieszeni i wyjmuje pęsetkę. Chwyła nią coś, co tkwiło w metalowej krawędzi bagażnika, po czym cofnęła się i podstawiła ją pod światło latarki. Stride pochylił się i zobaczył pasemko blond włosów z jednego końca przechodzących w kruczoczarne.

- To może nic nie znaczyć - powiedziała Serena. - W tym mieście masa kobiet farbuje włosy.

Ale oboje znali prawdę.

- Muszę wracać - oświadczył Stride.

Od drzwi biura agentka pomachała do nich swoją tabliczką.

- Hej, i jaki werdykt? Dostanę wóz z powrotem? Bo jak nie, to muszę poszukać innego albo ktoś będzie zasuwać na piechotę, kapujecie?

Stride i Serena wymienili długie, poważne spojrzenia. Decyzja należała do niej, ale Stride wiedział, że może być tylko jedna. Skonfiskować samochód, wezwać ekipę, zebrać dowody i sprawić, że świat się zawali.

Serena odwróciła wzrok. Zatrzasnęła bagażnik i odmachnęła kobiecie z biura.

- Może go pani zabrać - zawołała.

Stride znalazł Andreę w gabinecie na piętrze - wśród grobowej ciszy budynku szkolnego oceniała prace klasowe. Drzwi były otwarte. Siedziała z pochyloną głową, głęboko skupiona; nie usłyszała jego kroków na schodach.

Myśli Stricte'a powędrowały do chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Oboje byli wtedy głęboko zranieni - dwoje ludzi opuszczonych przez osoby, z którymi zamierzali spędzić resztę życia. Naprawdę wierzył, że uda mu się uleczyć jej ból. Ale choć byli ze sobą coraz dłużej, choć wzięli ślub, gorycz w jej sercu nie traciła ostrości. Popęłił błąd. Lecz nigdy nie wyobrażał sobie, że ten błąd okaże się tak brzemienny w skutki.

- Cześć, Andrea - powiedział.

Podniosła głowę znad papierów na biurku. Sam nie wiedział, co spodziewał się zobaczyć w jej oczach: może lęk, może gniew, może smutek. Tymczasem nie zobaczył właściwie nic, jakby w tym krótkim czasie stali się sobie zupełnie obcy.

- Witaj - odpowiedziała spokojnym tonem. - Nie spodziewałam się, że wrócisz tak szybko.

Wyglądała starzej, ale może dlatego, że nie była umalowana. Miała na sobie swoją starą szarą bluzę z godłem uczelni. Jasne włosy spięła z tyłu. Na czubku nosa tkwiły okulary do okytania.

- No i co, dowiedziałeś się? - spytała, a z jej głosu powiało chłodem. - Warto było? Stride wyczuł oskarżycielską nutę. Jakby to była jego wina.

Wszedł do gabinetu i usiadł ciężko na drewnianym krześle naprzeciwko biurka. Jakże trudno było mu to powiedzieć. Ale musiał.

- On nie żyje, Andrea.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i odsunęła się od biurka. Zdjęła okulary. Zobaczył jej przerażone oczy.

Czekała, aż dokończy.

Stride skinął głową.

- Robin.

Miał pokusę, żeby ją okłamać, żeby nie widzieć jej szoku na wiadomość, że Robin, jej eks-mąż, był kochankiem Rachel.

Ale Andrea nie udawała zaskoczenia. Przymknęła oczy.

- Cholerny dureń - szepnęła. - Jak to się stało?

Stride krótko zrelacjonował wydarzenia w przyczepie. Andrea nie załamała się; tylko jedna łza utorowała sobie drogę z kącika jej oka w dół twarzy. Pozwolił jej na kilka chwil cichej żałoby, ale potem znowu ogarnął go gniew.

- Wiedziałaś - rzekł. - Niech cię diabli, wiedziałaś i nie powiedziałaś mi.

Pozwoliłaś mi tam pojechać, wiedząc, co znajdę.

- Mówiłam ci, żebyś nie jechał - przypominała mu Andrea, ocierając policzek. - To ty nie chciałeś odpuścić.

- Bo to jest moja praca! - Wstał, pomaszerował do drzwi i zatrzasnął je. Odwrócił się i spojrzał jej w twarz. - Od kiedy? Od jak dawna wiedziałaś? Wiedziałaś od początku? My kręciliśmy się w kółko, a ty wiedziałaś, że Rachel uciekła z Robinem?

- Nie, nie wiedziałam - zaprzeczyła Andrea. - Opuścił mnie na kilka miesięcy przed zniknięciem Rachel. Nie widzisz? Ona to zrobiła specjalnie. Żeby trudniej było skojarzyć. Wszystko zaplanowała. Kazała mu przyjechać po siebie w jesieni.

- To kiedy się dowiedziałeś? Jak?

Andrea wbiła wzrok w blat biurka.

- W zeszłym miesiącu dostałam od niego list.

- I w tym liście było coś o Rachel?

- Ładne mi coś - skrzywiła się, jakby poczuła w ustach coś wstrętnego. - Cały list był o Rachel, Rachel i jeszcze raz Rachel Jak go uwiodła. Jak go porzuciła. Ten żaloszny dupek też miał obsesję na jej punkcie.

- Gdzie jest ten list?

Andrea zawahała się.

- Spaliłam go.

- Dlaczego? - zapytał Stride. - Po co było go palić?

Podejrzał, że gdyby otworzył szufladę jej biurka, znalazłby go na samym wierzchu.

- Nie wiem czemu, spaliłam i już. Chciałam wymazać Robina ze swojego życia. Chciałam zapomnieć, co mi zrobił.

Stride pokręcił głową.

- Kłamiesz. Ale mnie nie oszukasz. Robin miał obsesję? Mój Boże, to co powiedzieć o tobie? Rzucił cię dla siedemnastolatki, a ty ciągle go kochasz.

Nie zaprzeczyła. Jej twarz przybrała wyrazu uporu.

- Wyjaśnij mi to, Andrea - nalegał Stride. - Robin pisze do ciebie list i aplikuje ci wiadomość o swoim romansie niczym śmiertelną truciznę. A co ty robisz? Od razu biegniesz do niego. Przypelzasz do niego na kolanach i starasz się go odzyskać.

Teraz zobaczył w jej oczach strach.

- Ja nie... - zaczęła.

Stride jej przerwał.

- Nie obrażaj mojej inteligencji. Masz mnie za durnia? Najpierw błagasz mnie, żebym tam nie jechał. A kiedy jednak jadę, znajduję twojego byłego męża zapijającego się na śmierć w przyczepie kempingowej. Jaka jest moja pierwsza myśl, Andrea? Ty. Pojechałem na lotnisko. Zadzwoiłem do banku. Wiem, że w zeszły weekend polecałaś od swojej siostry do Las Vegas.

- To nie było tak, jak myślisz - powiedziała Andrea. - Nie chciałam go odzyskać. Ale byłam przerażona. W liście pisał o samobójstwie. Nie mogłam tu beczynnie siedzieć. Dlatego tam pojechałam - żeby z nim porozmawiać.

- To mnie nie obchodzi - przerwał jej. - Nie chodzi o ciebie i Robina.

Nagła cisza, jaka między nimi zapadła, była brzemienna napięciem.

- Chcę usłyszeć, co zaszło między tobą i Rachel - powiedział Stride.

Patrzył na nią jak na podejrzanego na przesłuchaniu, wypatrując najmniejszego drgnienia mięśni twarzy. I zobaczył to, czego się spodziewał.

Winna.

- Chcę się dowiedzieć, dlaczego ją zabiłaś.

Andrea była spokojna.

- Mam się postarać o adwokata?

- Myślisz, że cię wydam? Widzę, że mnie nie znasz. Według policji w Las Vegas Rachel zamordował włóczęga znany jako Suchy Bob. Sprawa zamknięta.

- Skąd wiesz, że tak nie było?

Stride zachłysnął się z obrzydzenia.

- Proszę cię, Andrea, tylko bez takich gier. Robin raczej sam by się zabił, niż skrzywdziłby Rachel. Oboje to wiemy. Poza tym zostawiłaś za sobą szeroki ślad. Namierzyłem samochód, który wypożyczyłaś. Wywiozłaś ciało Rachel na pustynię. W bagażniku zostały włosy i krew.

- Chciałam, żeby ją zobaczył - powiedziała z goryczą. - Skoro tak bardzo jej pragnął, niech ją ma.

- Opowiedz mi wszystko - zażądał Stride. - Muszę znać prawdę.

Andrea skinęła głową. Nerwowym ruchem założyła wypadający kosmyk włosów za ucho i przygryzła wargi.

- Nie chciałam tego.

Wstała i wyszła zza biurka. Stała tuż obok Stride'a, ale nie spojrzała na niego. Patrzyła na zdjęcia na ścianie. Jej i Stride'a. Jej i Robina. Nawet teraz ich nie zdjęła.

Poczuł zapach papierosów. Znowu zaczęła palić.

- Ten list mnie prawie zniszczył, Jon - powiedziała. - Wiedziałam, że ty i ja przejdziemy trudny okres. Już z tym musiałam sobie radzić. A raczej nie radzić sobie. I nagle dostaję list od Robina, i dowiaduję się, co naprawdę wtedy zaszło. Musiałam go zobaczyć. Nie pojechałam tam, by spotkać się z nią, wierz mi, na litość boską. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Pojechałam do niego.

Odwróciła się do Stride'a.

- Byłeś tam. Widziałeś, w jakim był stanie. Nie wierzyłam własnym oczom. Co ona z nim zrobiła.

- Sam zrobił to ze sobą - odparł Stride.

- Nie, to nie była jego wina. Robin zawsze był słaby. Ja wiedziałam. I Rachel też to zauważyła. Wykorzystała go. Opowiedział mi, jak czytała jego wiersze i mówiła mu, że jest geniuszem. Wmówiła mu, że są dla siebie stworzeni. Ale to było tylko jedno z jej kłamstw, które on przełknął równie łatwo jak pozostałe. Zaraz po śmierci Graeme'a rzuciła go. Po prostu usunęła go ze swojego życia. Już go nie potrzebowała. Dla niego to było tak, jakby wyrwała mu serce. Zaczął pić, stoczył się. Nie miał już po co żyć.

- Mów o Rachel - przynaglił ją Stride.

- Tak, dobrze. Najdziwniejsze jest to, że w ogóle nie planowałam się z nią spotkać. Robin powiedział mi, gdzie ona pracuje, ale mnie to nie obchodziło. Nie przyjechałam tam ze względu na nią. Robin i ja rozmawialiśmy przez kilka godzin, jeśli można to w ogóle nazwać rozmową. On był zbyt pijany. Nie mogłam tego dłużej znieść.

- Więc pojechałaś stawić czoło Rachel.

- Nie, to nie było tak. Jechałam z powrotem na lotnisko, miałam wracać do domu. Ale coraz więcej myślałam o Rachel i o tym, co nam zrobiła. Co zrobiła mnie. Nie podjęłam świadomej decyzji, że do niej pojedę. Ale gdzieś po drodze zdałam sobie sprawę, że nie zmierzam na lotnisko. Wylądowałam w klubie. Chciałam ją tylko zobaczyć, przekonać się, jak wygląda. Spojrzeć jej w oczy. Gdy wyszła na scenę, nie od razu, ale ją poznałam. Wiedziałam, że to ona. I była dokładnie taka, jak opisywał Robin. Piękna. I zimna jak lód. Wtedy uprzytomniłam sobie, że zobaczyć ją to dla mnie za mało. Chciałam, żeby ona spojrzała na mnie i przyznała, co zrobiła. Więc czekałam na parkingu i pojechałam za nią. Kiedy dotarłam do jej mieszkania, omal nie stchórzyłam. Co można powiedzieć obcej osobie, która zniszczyła ci życie? Ale pomyślałam o Robinie gnijącym w tej przyczepie i o tym, jacy byliśmy ze sobą szczęśliwi, i wściekłam się.

- Poznała cię? - zapytał Stride.

- O tak. Od razu - zaśmiała się. - Powiedziała, że jeśli przyjechałam po Robina, to mogę go już sobie wziąć. Wiedziała wszystko o śledztwie. O tobie i o mnie. Uważała, że to zabawne. „Tobie złapałam męża, a jemu mordercę”. Tak powiedziała. Powinniśmy jej podziękować.

Andrea zaczęła się rozsyppywać.

- Nie wiem, jak... To znaczy, nic nie szło tak, jak się spodziewałam. Nie okazała cienia żalu. Wstydu. Wpatrywała się we mnie tymi strasznymi zielonymi oczami, jakbym była jakimś owadem. Czymś, czym można się pobawić, a potem rozgnieść.

Stride zauważył, że Andrei trzęsą się ręce. Nie był pewien, czy może na nią bardziej naciskać, żeby całkiem nie straciła panowania nad sobą.

- Co jeszcze powiedziała? - spytał.

- Stek kłamstw! - krzyknęła Andrea, zaciskając pięści. - Wszystko było jednym wielkim kłamstwem.

- Na przykład co?

- Wszystko! Powiedziałam jej, że nie miała prawa nas rozdzielać. Robin mnie kochał.

Jej oczy się zwęziły, prawie jak u gada.

- I wiesz, co mi odpowiedziała? Że Robin i tak chciał się ze mną rozwieść. Że uwieść go było śmiesznie łatwo, bo w łóżku ze mną ledwo mu stawał. Że seks ze mną był dla niego jak posuwanie zwłok. Że nie mogłam zajść w ciążę, bo między moimi nogami nie było życia.

- Skurwysyn - mruknął Stride.

- I wtedy zrozumiałam. Ona nie kłamała. To wszystko była prawda. To ja okłamywałam się przez cały ten czas. Co do Robina. I co do samej siebie. Więc stałam tam, kipiąc wściekłością, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam, a ona tylko uśmiechała się pogardliwie. Jakby moje życie było dla niej żartem. Jakby wszystko, czego mnie pozbawiła, nie miało najmniejszej wartości.

- I co zrobiłaś? - zapytał cicho Stride.

- Na półce stał wazon. Chwyciłam go i zamachnęłam się. Chciałam go rozbić. Roztrzaskać szkło po mieszkaniu. Ale go nie puściłam. Trzymałam go, a on o coś uderzył. Miałam zamknięte oczy. Nie wiedziałam nawet, co zrobiłam. Ale w coś trafiłam, a potem usłyszałam ten odgłos, jakby coś ciężkiego lupnęło o podłogę...

Stride słyszał to już setki razy, od ludzi, których aresztował, od oskarżonych błagających o litość. Dotychczas nie robiło to na nim wrażenia. Ale tym razem było inaczej.

- ...ona nie żyła. Nie wierzyłam własnym oczom, ale nie żyła. Zabiłam ją.

- Rachel nie żyła już od dawna - szepnął Stride.

Andrea wpatrywała się w niego błagalnym wzrokiem.

- Nie sądziłam, że znowu zostaniesz w to wciągnięty, Jon. Musisz mi uwierzyć. Nie przypuszczałam, że ktokolwiek mógłby dostrzec związek między tą sprawą a zniknięciem Rachel.

Stride wiedział, że sytuacja jest jasna. Gdyby byli teraz w sądzie, Andreę uznano by za winną. Ale przyszło mu do głowy, że nie tylko ona jest za to odpowiedzialna. I nie tylko Robin. On sam również ponosił część winy. Może dlatego wiedział, że nigdy nie będzie mógł ujawnić prawdy. Komu by to wyszło na dobre?

- Co teraz? - zapytała Andrea.

Właśnie, co teraz, zamyślił się Stride.

- Teraz oboje będziemy musieli z tym żyć.

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne - szepnęła - zostawić tak tę sprawę.

- Prawdę mówiąc, nie aż tak trudne. To powinno mi dać do myślenia.

Chciał już iść, pożegnać się, zostać sam na sam ze swoją winą. Ale wiedział, że musi jej coś powiedzieć, coś, w czym znajdzie oparcie. Żeby nie cała przeszłość okazała się jednym wielkim kłamstwem.

- Robin wiedział, że to ty zabiłaś Rachel - powiedział na odchodnym. - Wziął winę na siebie. Chciał, żebyśmy przypisali tę zbrodnię jemu. To było dla ciebie, Andrea. Robin zrobił to dla ciebie.

Stride uprzytomnił sobie, że nie ma dokąd pójść. W swoim własnym mieście był bezdomny. Wjechał na most nad kanałem i zatrzymał się tam, gdzie w swoją ostatnią noc tutaj stała Rachel. Zanim wróciła do domu i podrzuciła sfabrykowane dowody zbrodni w samochodzie Graeme'a. Zanim ukradła jego buty. Zanim spotkała się z Robinem czekającym w tylnej uliczce i zwabiła go do szopy, by zabawić się z nim w ich małą grę.

Pościg przez łąkę. Pocięte ubranie. Skóra. Krew. Strzęp materiału. Ślady.

Tańczyłem tak, jak mi zagrali, pomyślał.

Stride wpatrywał się w wodę, delikatnie poruszaną chłodną bryzą. Obiema rękami chwycił poręcz i wyobraził sobie, jak Rachel na niej balansuje. Gdyby nagły powiew wiatru strącił ją wtedy do wody, jego życie wyglądałoby dziś zupełnie inaczej. Lepiej czy gorzej - tego nie wiedział.

Poznał jednak tajemnice Rachel. Oprócz jednej. Nadal nie wiedział dlaczego. Po co cała ta gra. Skąd ta zaciekle wojna między nią a Graeme'em. Był zaskoczony, że Rachel nie dała im żadnej wskazówki, skoro we wszystkich innych sprawach zostawiała za sobą rozsypane okruchy prawdy. Chyba że wyjaśnienie zawierała ta tajemnicza pocztówka. „Zasługiwał na śmierć”. Stride odwrócił się i oparł o barierkę; przyglądał się samochodom jeżdżącym między centrum a Pointem. Teraz, gdy wiedział, że to Robin był brakującym elementem układanki, mógł zrekonstruować w myślach sekwencję wydarzeń. Wyobraził sobie, jak Rachel siedzi we wrześnie na lekcji Robina. Obmyśla swój plan.

„Złapałam tobie męża, a jemu mordercę”.

Coś zaczęło mu świtać. Czuł, jak zamęt w jego głowie rozwiewa się niczym mgła na jeziorze.

Stride usłyszał pisk opon na stalowym moście. Drgnął na widok czerwonego volkswagena pędzącego z Pointu z ciemnowłosą dziewczyną za kierownicą. Mijając go z rykiem silnika, posłała mu szeroki uśmiech. Przemknęła mu przez głowę szalona myśl, że to może być Rachel. Mimo świadomości, że ona nie żyje, pomyślał, że znalazła sposób, by go nadal dręczyć. Ale to nie był jej samochód. To nie była...

...Pijawka.

Nagle Stride przejrzał przez mgłę. I już wiedział. Rachel przez cały czas wysyłała mu komunikat.

51.

Ponad trzysta metrów nad ziemią, przypominającym talerz czubku wieży widokowej Stratosphere temperatura była o dobre piętnaście stopni niższa niż na Stripie. Kiedy Stride wyszedł na platformę obserwacyjną na wolnym powietrzu, wieża zakołysała się pod wpływem porywistego wiatru i poczuł pod stopami niepokojące wibracje. Nigdy nie bał się wysokości, ale teraz, tak daleko od ziemi, na tym jakby słabo osłoniętym wybiegu, zakreśliło mu się w głowie.

- Jedź na wieżę - zachęcał go Cordy.

Serena zdradziła kiedyś Cordy'emu, że czasem, kiedy nie może zasnąć, jedzie do Stratosphere i siedzi tam parę godzin, gapiąc się na miasto.

Przez trzy tygodnie nieobecności Stride'a rozmawiali parę razy przez telefon, ale on wciąż się zastanawiał, czy gdy się ponownie spotkają, wciąż będzie między nimi tak samo. Bał się, że ona już wyparła ze świadomości te kilka dni, które ze sobą spędzili.

Patrzył na panoramę Las Vegas, zadawał sobie pytanie, czy mógłby polubić to miasto, tak inne od wszystkiego, co znał.

Trudno wyrwać dzikie zwierzę z jego naturalnego środowiska i wpuścić do neonowej dżungli. Ale nie był pewien, czy chce jeszcze mieszkać w Duluth. Odpracował swoje, mógł już przejść na pełną emeryturę i miał okazję zerwać z przeszłością. Do tego w zeszłym tygodniu dowiedział się, że Maggie jest w ciąży i że mąż wymógł na niej, żeby zrezygnowała ze służby. Stride nie wyobrażał sobie pracy bez niej.

Okazało się, że jest w stanie podejść do barierki i patrzeć w dół bez zawrotów głowy. Przeszedł wzdłuż platformy w prawo i spojrzał na wschodnią część miasta, wolną od blasku kasyn. Przeszedł na południową stronę i przed oczami rozciągnął mu się hipnotyzujący przepych Stripu, jarzący się na pustyni niczym promień laserowy. W pierwszej chwili widział tylko olśniewające pasmo kolorów bez żadnych szczegółów. Ale im dłużej się przyglądał, tym więcej ich dostrzegał: szmaragdowy blask MGM Grand czy imitację wieży Eiffla. Był tak pochłonięty tym widokiem, że dopiero po dobrych kilku chwilach zorientował się, że nie jest sam.

Serena stała parę metrów od niego i przyglądała mu się z uśmiechem. Miała na sobie czarne džinsy i biały mechaty golf. Stride nie mógł nie zauważyć, że jej strój był niemal identyczny jak Rachel w noc jej zniknięcia. Z kruczoczarnymi włosami i wysportowaną sylwetką Serena bardzo przypominała tamtą dziewczynę na moście nad kanałem. Ten widok obudził w nim odruch współczucia. Rozumiał, jak łatwo Robin, Graeme, Kevin i wszyscy inni dawali się uwieść Rachel. Serena, równie piękna, miała taką samą władzę nad nim.

Dlaczego mężczyzna coś robi, spytał Robin. Dla kobiety.

Z cichym wdziękiem podeszła do niego, objęła go i czule przytuliła do jego twarzy swój ciepły, zaróżowiony policzek. Podniósł dłoń i pogłaskał ciemne włosy Sereny. Trzymać ją w objęciach było czymś tak naturalnym, jakby robił to od lat. Nie chciał jej już nigdy puścić, i przez dłuższą chwilę wydawało się, że tak właśnie będzie. Mogli tam zostać, przytuleni w wietrznej nocy, na zawsze. Nadal było między nimi tak samo, równie elektryzująco jak na początku.

- Wróciłeś - powiedziała z nutą zaskoczenia w głosie.

- Przecież obiecałem.

- Wiem. Ale w tym mieście obietnice rzadko coś znaczą.

Odsunął się i przyjrzał się jej twarzy, oswajając się z nią na nowo.

- Dobrze wyglądasz w telewizji.

Serena uśmiechnęła się szeroko.

- Ty to potrafisz czarować.

Dwie sieci telewizyjne z Minneapolis wysłały reporterów, żeby zrobili materiał o śmierci Rachel. Przeprowadzili wywiady z Sereną i Cordym, nakręcili film w klubie ze striptizem, w którym pracowała Rachel, i dołożyli ujęcia pustyni, miejsca, gdzie wcześniej stała przyczepa Robina. Rozpadający się pojazd został już odstawiony na złomowisko, a jego wysoce zakaźna zawartość spalona.

Ekipy telewizyjne nie dysponowały żadnym zdjęciem Suchego Boba, które można by pokazać na wizji. Stride postarał się, by jedyna znana fotografia mężczyzny zaginęła w śledztwie. A więc opisać go musiała Serena i tak też zrobiła. Był włóczęgą. Człowiekiem znikąd. W Vegas było takich wielu, większość nierównoważona psychicznie, a ten pielęgnował swoją obsesję, aż sprowokowała go do przemocy. Rachel miała to nieszczęście, że była dziewczyną, której on nie mógł sobie odpuścić.

Taka była wersja Sereny i tego się trzymała.

- Media przejęły twoje określenie - powiedział Stride. - „Człowiek znikąd” mordercą Rachel. Taki był nagłówek w gazecie.

- Dobry.

- Szkoda tylko, że nieprawdziwy.

- Już o tym rozmawialiśmy - powiedziała Serena. Musiałeś ją chronić.

Ostrożnie oparł dłonie na osłonie dla potencjalnych skoczków i spojrzał w dół. Od wysokości znów zakręciło mu się w głowie. Serena stanęła obok niego i położyła mu rękę na plecach.

- Co innego mogłeś zrobić? - zapytała.

- Wiem. Ale jest mi przykro, że cię w to wciągnąłem. Zmusiłem cię do kłamstwa.

- To był mój wybór - odparła Serena. Widziała, że on chce powiedzieć coś więcej i położyła mu palec na ustach. - To koniec, Jonny. Sprawa zamknięta.

- Niezupełnie.

Wziął głęboki oddech i zastanowił się, jak powiedzieć jej resztę. Nadal czuł się winny, że nie przejrzał na oczy wcześniej, chociaż to by niczego nie zmieniło. Czyn został popełniony.

Serena obserwowała go wyczekująco.

- Zostaje jeszcze relacja między Graeme'em a Rachel - powiedział. - Coś się wydarzyło. Coś, co uczyniło z nich śmiertelnych wrogów.

- Wiemy, że ze sobą sypiali - stwierdziła Serena. - Rachel miała dość. Graeme nie. Rozumiem, co to znaczy, Jonny. Jeśli ją zgwałcił albo chociaż próbował, to wystarczyło, żeby dziewczyna taka jak Rachel pragnęła zemsty.

- Tak, to prawda. Ale Graeme zemścił się pierwszy.

Graeme przyglądał się w świetle lampy, jak trzęsie mu się ręka, w której trzymał kieliszek z brandy. Uniósł ją do ust i pociągnął łyk alkoholu, w nadziei że pomoże mu się uspokoić. Opary wypełniły mu nozdrza, a brandy paliła jego suche gardło. Zamieszał trunek i upił kolejny tyk. Jednakże drzenie nie chciało ustać. Jego pragnienie rosło.

Emily była na nabożeństwie w kościele Świętego Pawła. Rachel siedziała w swoim pokoju; czekała, wiedziała, że on przyjdzie. Graeme odstawił brandy i bezszelestnie ruszył po schodach, a potem korytarzem pod drzwiami do jej sypialni. Poruszał się ostrożnie, stawiając uważnie każdy krok na dywanie, tak żeby nie ostrzegł jej żaden dźwięk. Spod drzwi wydostawało się światło. Wyobraził sobie Rachel, jak leży na łóżku, zapatrzona w sufit, z głową na poduszce. Myśli o tym, jak tyle razy się kochali.

Po cichu nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Były zamknięte na klucz.

- Rachel - zawołał stłumionym głosem, ale tak, by go usłyszała. - Wiesz, jak bardzo cię potrzebuję.

Cisza. Była w środku, słyszała go, ale nie odezwała się ani słowem.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni, Rachel - powiedział. - Nie uciekniesz od tego. Jesteśmy jak dwie strony jednej duszy.

Wiedział, że ona tam jest. Przedłużająca się cisza sprawiła, że zaczął tracić panowanie nad sobą. Uprzytomnił sobie, że zaciska i rozluźnia pięści i oddycha chrapliwie przez nos.

- Otwórz, Rachel - nalegał załamującym się głosem. - Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy. Ale muszę z tobą porozmawiać.

Jego obietnica była kłamstwem i oboje wiedzieli o tym doskonale. Gdyby otworzyła drzwi, nie umiałby się pohamować. Musiał jej dotknąć, wejść w nią za każdą cenę. Na myśl o jej nagim ciele oblał się potem i zaczął drżeć z pożądania.

- Rachel! - krzyknął. W jego głosie dźwięczał gniew. Nie mógł się już powstrzymać; zaczął walić pięścią w drzwi. - Potrzebuję Cię!

Uderzył o drzwi barkiem: odpowiedziały złowieszczym stęknieniem. Był gotów je wyważyć, żeby tylko dostać się do środka. Dom był stary i solidny; dębowa płyta nawet nie drgnęła.

- Wpuść mnie! - wrzasnął.

Przyłożył ucho do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Głos Rachel dobiegł go z tak bliska, że aż się przestraszył. Była po drugiej stronie tuż obok, oddzielona od niego tylko paroma centymetrami ciężkiego drewna.

- Wpuszczę cię, jeśli tego chcesz, Graeme - powiedziała. Jej głos był słodki jak miód, bez cienia emocji lub złości. - Jeśli musisz mnie zgwałcić, niech tak będzie.

- Nie zrobię tego - wymamrotał.

- W porządku, Graeme. Rozumiem. Masz swoje potrzeby.

- Tak - powiedział. - Tak, potrzebuję cię tak bardzo. Chcę, żeby było jak dawniej.

- A ja ci mówię, że możesz mnie mieć.

Z trudem oddychał. Myśl o doznaniach miłosnych z nią obezwładniła go.

- Pozwolisz mi?

- Tak. Ale pozwól, że najpierw ci powiem, co wydarzy się później.

W głosie Rachel zabrzmiało coś, co wprawiło jego ciało w nerwowy dygot.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek wejdiesz tutaj i tkniesz mnie, wezmę nóż rzeźnicki i odetnę ci jaja. Zrozumiałeś? A potem odetnę ci fiuta. Obiecuję ci to. Słyszysz? Rozumiesz mnie? Nie będziesz mógł przespać w tym domu już ani jednej nocy, nie zastanawiając się, kiedy cię rozczłonkuje. I nie sądz, że będziesz mógł sobie potem przyszyć swój mały skarb. Bo kiedy ci go utnę, natychmiast spuszczę go z wodą w kiblu, gdzie jego miejsce.

Graeme, przerażony, osunął na kolana. Zrobiło mu się niedobrze.

- Wierzysz mi, Graeme? - spytała Rachel. - Wierzysz, że to zrobię?

Próbował odpowiedzieć, ale zakrzuszył się własnymi słowami.

- Nie słyszę cię, Graeme.

- Tak, tak, wierzę ci!

I mówił prawdę.

- W takim razie powiedz, czy nadal chcesz wejść?

Graeme uciekł bez słowa. Nigdy nie czuł się tak zdeptany. Po raz kolejny udowodniła, że to ona ma prawdziwą władzę. Wrócił na dół i zaczął bez celu krążyć po pokoju. Problem polegał na tym, że wciąż był niesamowicie podniecony. Jego członek był twardy jak skała, a pożądanie tak silne, że chciał wrócić na górę i zerznąć ją mimo wszystko, nawet wiedząc, jakie to będzie miało konsekwencje. Ale zdawał sobie sprawę, że Rachel nie kłamie. Zrobiłaby wszystko, co zapowiedziała.

Poczuł, że przyciąga go jakaś obrzydliwa, a znajoma siła, niczym gwiazdę uwięzioną przez niewyobrażalną grawitację czarnej dziury. Powtarzał sobie, że chce od tego uciec, ale prawda była taka, że potrzebował tego, pragnął, zrobiłby dla tego wszystko. Próbował zachować spokój, ale palce znowu zaczęły mu drżeć, a pot kleistą błonką oblepił pachy i całe ciało. Poczuł, jak coś poruszyło się w jego duszy, otwierają się drzwi, budzi się mroczna postać.

- Nie, proszę, nie - błagał czającego się w nim potwora.

Ale on nie słuchał. Bawił się Graeme'em jak dziecko lalką, poruszając jego kończynami i mówiąc mu, co ma robić. To twoja wina, Rachel.

- Ruszaj - zagrzmiął potwór.

Był tak niepodobny do siebie; wyglądał zupełnie jak on, Graeme. Miał jego twarz.

Twarz... zła.

Graeme chwycił klucze i wyszedł przez drzwi frontowe. Pogoda była niepewna. W sierpniowy wieczór o tej porze nie powinno być jeszcze tak ciemno, ale chmury burzowe, które zgromadziły się nad miastem, pogrążyły niebo na wschodzie w niemal całkowitych ciemnościach. Porywczy wiatr szarpał gniewnie gałęzie dębów. Był już prawie przy garażu, gdy zauważył, że wyjazd jest zablokowany. Rachel zaparkowała tuż pod bramą i tym samym uwięziła jego samochód. Graeme zaklął. Spojrzał w górę okno jej sypialni, i zobaczył ją tam, jak obserwuje go z zimnym uśmiechem na twarzy. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by jego serce znowu zaczęło walić jak oszalałe. Ale zrobił wysiłek i napiął mięśnie twarzy, aż się wygładziły. Jego oczy stały się dwoma czarnymi punktami czystej furii. Kopnął tylny zderzak jej samochodu na tyle mocno, że zostało wgniecenie.

Stał na dworze, myśląc gorączkowo, co zrobić. Krople deszczu zaczęły zostawiać ciemne ślady na jego ubraniu, I wtedy wpadł na pomysł. Uśmiechnął się szeroko do Rachel. Jakby czytając w jego myślach, zmarszczyła brwi.

Wpadł z powrotem do domu i zdyszany wbiegł po schodach. W sypialni przekopał szufladę Emily, wyrzucając na podłogę pudełka z biżuterią i kosmetyki. Sięgnął w najgłębszy koniec. Wreszcie coś brzęknęło; jego palce dotknęły chłodnego metalu. Wyciągnął swoje znalezisko z narastającym podnieceniem. Zapasowe kluczyki Emily.

Chwycił je i wybiegł z powrotem na dwór, zatraskując za sobą drzwi. Spojrzał w okno Rachel, ale już jej tam nie było. Chwilę zmagał się z drzwiami samochodu. Jego palce były śliskie od deszczu i kluczyki wypadły mu na ziemię. Pochylił się, chwycił za kółko, wcisnął kluczyk w zamek, przekręcił. Drzwi się otworzyły.

Graeme rozejrzał się nerwowo. Był sam.

- Jedź - warknął potwór. - Poluj.

Trzymał kierownicę tak kurczowo, że była lepka od jego spoconych dłoni. Uciążliwy deszcz padał na przednią szybę, tworząc mgłę, z którą wycieraczki jakoś sobie nie radziły. Graeme ruszył w stronę mniej uczęszczanych dróg. Jego potrzeba była jeszcze silniejsza teraz, gdy czuł unoszący się w samochodzie zapach Rachel. Prawie jakby siedziała obok niego, prowokując go swoimi zimnymi, zielonymi oczami. Wspomnienie seksu z nią było tak żywe, że wciąż czuł jej palce muskające jego skórę.

- Poluj.

Ruszył pod górę, na zachód, przejechał Lakeside i szybko zostawił za sobą dzielnice mieszkalne. Dziesięć kilometrów dalej okolica była już zupełnie wyludniona. Nie było tu nic prócz brzoź rosnących po obu stronach autostrady. Rozpadało się już na dobre i zrobiło się zupełnie ciemno, więc żeby cokolwiek widzieć, musiał zwolnić i uważnie się rozglądać.

Zjechał trochę naprawo, bliżej pobocza. W ostatniej chwili zobaczył biegnącą tuż przed nim dziewczynę, której sylwetka odcinała się na tle cieni rzucanych przez drzewa. Wcisnął hamulec i skręcił gwałtownie, żeby ją wyprzedzić. Gdy dostrzegła samochód i uskokzyła z drogi, zobaczył w jej oczach strach.

Graeme zatrzymał się, ale nie zgasił silnika. Wysiadł i pobiegł szybko w stronę dziewczyny, która właśnie się podnosiła i ocierała z błota. W ciemnościach niewiele było widać, ale musiała być mniej więcej w wieku Rachel. Miała długie kasztanowate włosy związane w kucyk i zgrabną sylwetkę. Ubrana była w obcisłe szorty i sportowy stanik.

- Tak mi przykro - powiedział Graeme. - Coś ci się stało?

Dziewczyna zrobiła kilka kroków, utykając na jedną nogę.

- To nic wielkiego - powiedziała - pewnie tylko skręcenie.

Jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności na tyle, że mógł już przyjrzeć się jej dokładniej. Była młoda, bardzo atrakcyjna i słodka w swojej bezbronności, gdy tak stała ostrożnie na jednej nodze, z pojedynczymi kosmykami włosów wysuwającymi się z kuczka, w mokrym ubraniu oblepiającym jej skórę.

- Chodź, odwiezę cię do domu - powiedział Graeme i wyciągnął ramię, by mogła się na nim oprzeć.

Uśmiechnął się zachęcająco. Sam siebie nienawidził za to, co robił. To nie ja, to potwór. Jest różnica.

Wzięła go pod rękę, odzyskując równowagę. Chłonął jej dotyk. Ciało dziewczyny znalazło się teraz tak blisko niego, że doleciał go słodki zapach deszczu zmieszanego z potem. Graeme odblokował i otworzył tylne drzwi, zerkając przy tym ukradkiem na pustą drogę.

- Usiądź z tyłu, będziesz mogła trzymać nogę w górze - zasugerował.

Dziewczyna wskoczyła do środka. Pochylił się i obserwował, jak się usadawia. Oświetlał ją promień, który przebił się przez chmury, gdy już siedziała wygodnie z głową opartą o szybę. Jej wilgotna twarz była zarumieniona z wysiłku. Miała lśniące oczy. Wyciągnęła prawą nogę na siedzeniu, a drugą opuściła na podłogę samochodu. Zobaczył jej mocne łydki i uda; powiódł wzrokiem po opiętej tkaninie aż do miejsca, gdzie zbiegała się w literę V w kroczu. Piersi dziewczyny unosiły się i opadały od głębokich oddechów. Graeme patrzył, jak się kołyszą. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Zamoczę panu całe siedzenie - powiedziała.

- Nic nie szkodzi - odparł Graeme.

Patrzył na nią odrobinę za długo; jej uśmiech przerodził się w nerwowy chichot, a w oczach pojawił się cień niepewności. Nagle poczuł, że go przejrzała i zrozumiała jego intencje.

Graeme zamknął drzwi i wszedł z przodu. Odwrócił się do niej i postąpił jej zwycięski uśmiech,

- Muszę jeszcze tylko podjechać w jedno miejsce i wracamy do miasta. Dobrze?

- Och, oczywiście. - Dziewczyna przygryzła dolną wargę.

Widział, jak w jej myślach pojawiają się pierwsze pytania i powoli rodzi się strach.

Uspokój ją.

- Jestem Graeme - powiedział. - A ty jak masz na imię?

- Kerry - odparła dziewczyna. - Kerry McGrath.

Oczy Sereny były całkiem nieobecne, zapatrzone w jakiś punkt daleko za miastem. Stride wiedział, że w myślach widzi Graeme'a. Krążącego po bocznych drogach. Polującego niczym tygrys. Graeme'a podjeżdżającego do niewinnej nastolatki, której jedynym grzechem było to, że znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

- Jesteś pewien? - zapytała.

Stride wziął głęboki oddech i skinął głową.

- Graeme zabił Kerry. Rachel o tym wiedziała. Tak to się wszystko zaczęło.

- Ale po zniknięciu Rachel wasza ekipa przeszukała furgonetkę Graeme'a z mikroskopem. Trudno uwierzyć, że nie zostały żadne ślady.

- Zostały - odparł Stride. - Tylko że szukaliśmy w niewłaściwym miejscu.

Serena zmarszczyła brwi, nic nie rozumiejąc. Po chwili zachłysnęła się z obrzydzenia - już wiedziała.

- Skurwysyn. Wziął samochód Rachel.

- Właśnie - powiedział Stride. - To było właśnie to, co przeoczyliśmy na samym początku. Pamiętam, jak słuchałem zeznań podczas rozprawy Graeme'a; cały czas miałem wrażenie, że coś mi umknęło. Miałem odpowiedź przed nosem, ale nie zauważyłem związku. I Kevin, i Emily zeznali, że Graeme kupił Rachel nowy samochód w miejsce tego, który dostała po matce. Powinienem być zauważyć, jak to wszystko zbiegło się w czasie - czerwony volkswagen kupiony niemal natychmiast po zniknięciu Kerry. I jak Rachel go nazwała? Pijawka. O, tak. Ona wiedziała. I zamierzała mu za to odpłacić - na swój własny sposób.

- Znaleźliście ten stary samochód?

- Tak. Namierzaliśmy nowych właścicieli w Minneapolis. Znaleźliśmy kosmyk włosów i mikroskopijne ślady Kerry na tylnym siedzeniu. Były też ślady nasienia - Graeme'a. Powiadomiłem jej rodziców. Ucieszyli się na wieść, że - choć w dziwny

sposób - sprawiedliwości stało się zadość. Przynajmniej wiedzą teraz, iż zabójca Kerry nie pozostał bezkarny.

- Czy były jeszcze inne ofiary? - spytała Serena.

- Wiesz, jak to jest. Ci faceci zazwyczaj nie poprzestają na jednym razie. Badamy sprawy innych zaginionych nastolatków, które mogą mieć coś wspólnego z Graeme'em.

Serena skuliła się i zadrżała, lecz gdy Stride spojrział jej w twarz, zdał sobie sprawę, że to nie z zimna. Potarła sobie ramiona, jakby chcąc zetrzeć plamę.

- Nie sądzę, żebym bardzo różniła się od Rachel - powiedziała. - Mnie też wykorzystywano. I ja również pragnęłam zemsty.

- Rachel nie była całkiem niewinna - przypomniał jej Stride. - Grała w niebezpieczną grę.

- Nie oceniaj jej zbyt surowo, Jonny. Nie wiesz, co byś zrobił, gdybyś znalazł się na łasce potwora. - Znowu zadrżała, zerkając przez ramię. - Mam uczucie, że ścigają mnie widma przeszłości.

- Nie wierzę w duchy - powiedział Stride. Ale czy aby na pewno?

Tak naprawdę byli otoczeni przez duchy. Tłoczyły się wokół nich, przepychały, by stanąć obok na wąskiej platformie. Dobre duchy, jak Cindy, szepcząca, że dobrze zrobił, zakochując się w Serenie, oraz duchy czyściciele jak Rachel, uśmiechająca się z posępną ironią na myśl o wszystkich głębokich zmianach, jakich dokonała w jego życiu. I może były też złe duchy, jak Graeme, wywołujący u Sereny gęsią skórę i strach równie silny jak wtedy, gdy była jeszcze dziewczynką, samotną i całkowicie zdaną na swojego potwora.

Stride uniósł jej podbródek i zajrzał w głębokie zielone oczy. Delikatnie pogłaskał jej policzek. Dla niej chciał być silny, zdolny odpędzić wszystkie koszmary, chciał być jej partnerem lub oparciem, w zależności od potrzeby chwili. Gdy tak na siebie patrzyli, jej twarz złagodniała, a lęk uleciał. I teraz wiedział, że są sami na dachu świata i nie ma tu żadnych dusz prócz ich własnych.

- Duchów nie ma - powtórzył z całym przekonaniem, tak, by mu uwierzyła.

Kąćki ust Sereny uniosły się w uśmiechu.

- Nie mam prawa cię o to prosić - powiedziała - ale byłoby miło, gdybyś został tu na jakiś czas.

- Ja też tak pomyślałem.

Wtulili się w niego i pocałowała go namiętnie. Pod nimi błyszczały światła miasta.

- Witaj w Vegas, skarbie - szepnęła.

PODZIĘKOWANIA

Do powstania tej książki przyczyniło się wiele osób. Chciałbym podziękować Ali Gunn z Londynu i jej wspaniałej ekipie w Curtis Brown - Carol Jackson, Dianie Mackay, Tally Garner, Stephanie Thwaites i wielu innym - dzięki za wasze gorące poparcie dla mojej powieści i kariery. Dziękuję też Deborah Schneider z Nowego Jorku. Zmieniliście moje życie.

Marion Donaldson z Headline i Jennifer Weis z StMartin's Press są najżyczliwszymi i najrozsądniejszymi wydawcami, o jakich pisarz mógłby marzyć.

Robert Bond, najlepszy specjalista prawa własności intelektualnej w Londynie, zna absolutnie wszystkich. Dzięki, Robert. Alison, jeśli ci jeszcze tego nie mówiłem, ten twój arkusz kalkulacyjny to świetny pomysł.

Pisarz Ron Handberg i jego wydawca Jack Caravela służyli mi radą, gdy wszedłem w kluczową fazę redakcji tekstu.

Jestem też bardzo wdzięczny licznym wspaniałym przyjaciółom w Faegre & Benson - a przede wszystkim miłośnikom książek wśród prawników i pracowników, którzy zachęcali mnie do pracy. Stanowicie fantastyczny zespół. Moim bliskim przyjaciółom i czytelnikom w świecie biznesu w Twin Cities - Tony'emu Carideo, Jayowi Novakowi, Lynnowi Caseyowi i wielu innym - dzięki za dobre życzenia i cenne rady.

Specjalne podziękowania jestem winien moim dwojgu życiowym mentorom: Joyce Bartky, która kazała mi siedzieć i pisać, oraz nieżyjącemu już Tomowi McNamee, którego mądrość i wskazówki doprowadziły mnie tu, gdzie dziś jestem.

Barb i Jerry'emu - za wspaniałą opiekę nad Disneyem, gdy musieliśmy wyjechać. Janean - za przeczytanie wszystkich moich wcześniejszych książek i cierpliwe (prawie) czekanie na tę powieść. Janice - za jej wskazówki i przenikliwość. Keithowi i Judy, szalonym Anglikom. Wszyscy jesteście wspaniałymi przyjaciółmi.

Mam nadzieję, że mieszkańcy Duluth wybaczą mi złe czyny, jakie wpisałem w życie ich pięknego miasta. (Mieszkańcy Las Vegas, jak sądzę, już się przyzwyczaili).

Wreszcie ostatnie, lecz najważniejsze: swój sukces zawdzięczam żonie Marcii, która wierzyła we mnie przez ponad dwadzieścia wspólnie przeżytych lat; rodzinie - rodzicom, bratu, kuzynom, ciociom i wujkom, którzy stale mi kibicowali - i takim osobom jak Bea, Frank, Jo i Neal, którzy uśmiechają się do mnie z góry.

